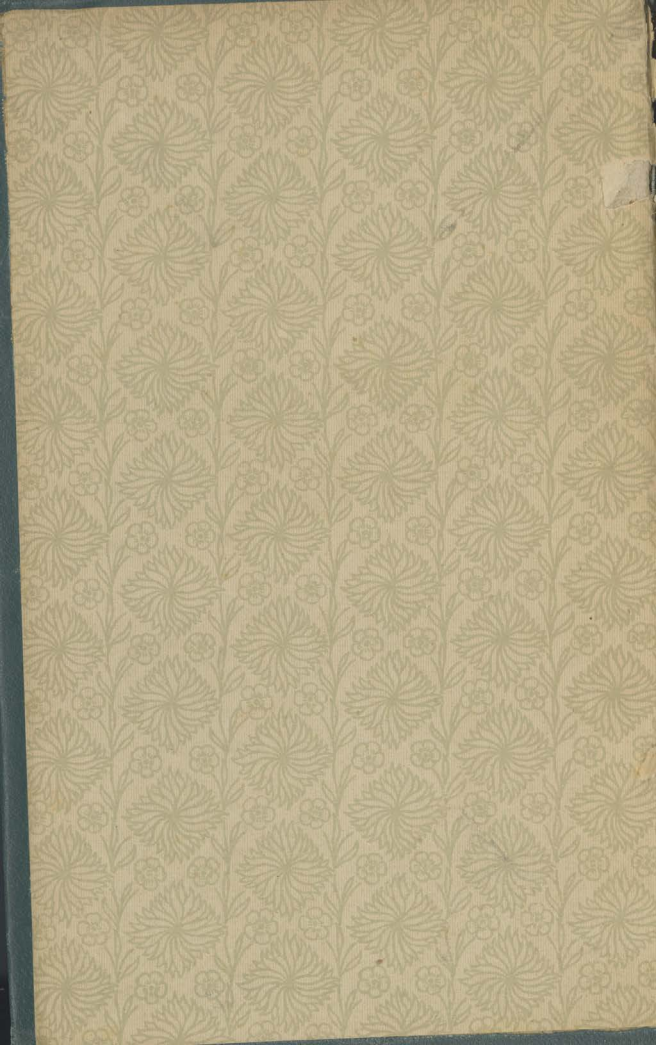
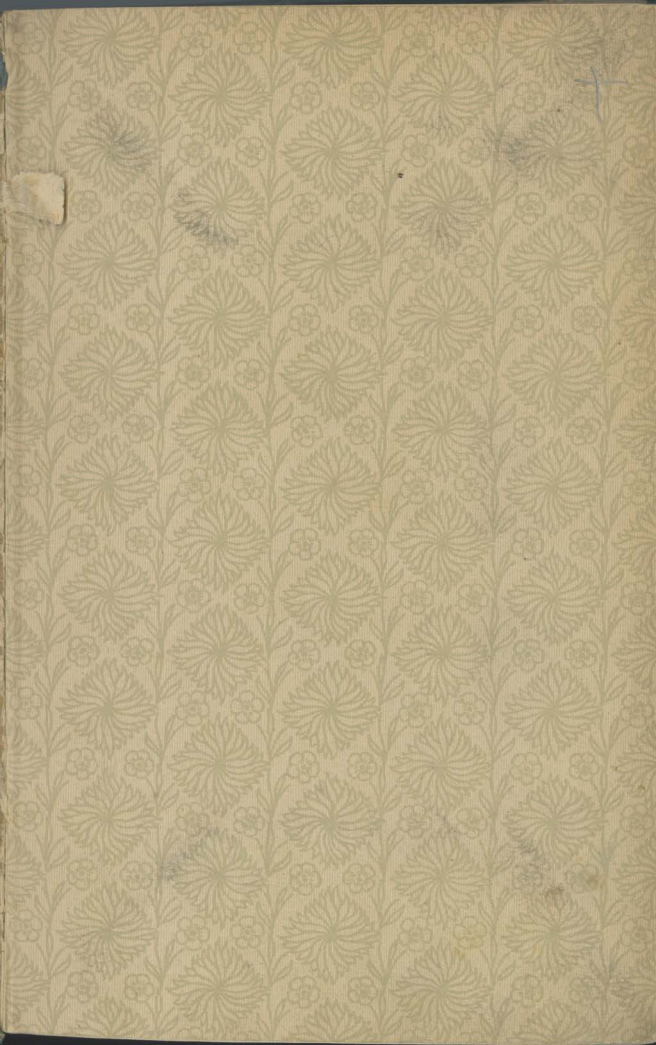
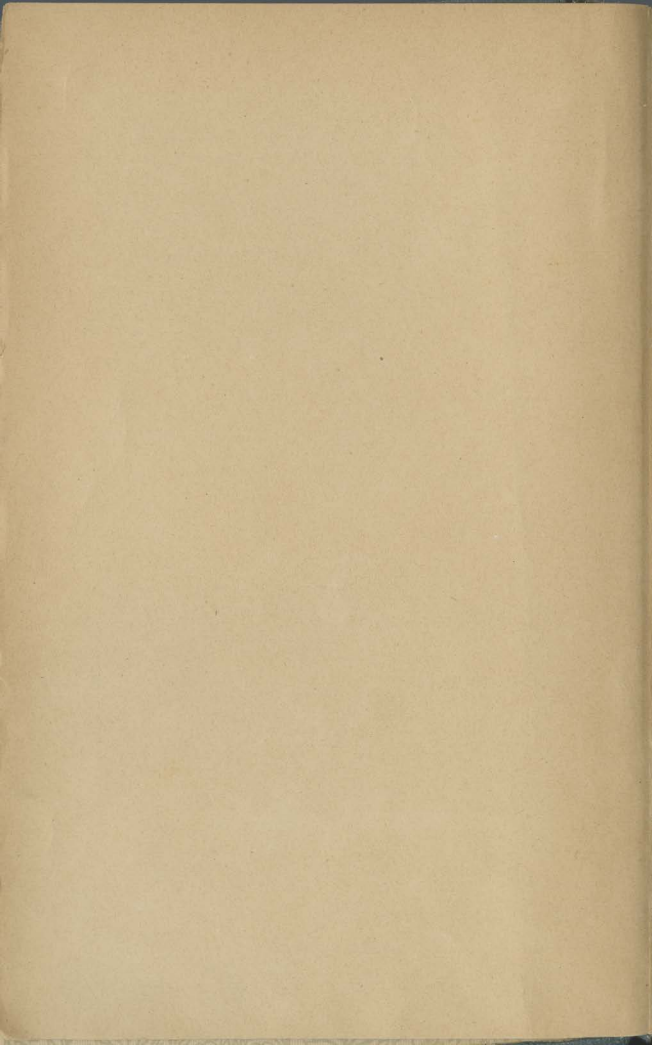


ZYGMUNT
KRASINSKI

PISMA







~~5~~ 60

PISMA
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

IV

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione

Kuptyny Altenbergerönsny.

5/60-15

PISMA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

WYDANIE NOWE ZUPEŁNE

UŁOŻONE, OPATRZONE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

PRZEZ

HENRYKA GALLEGO

TOM IV



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

WOMANLY DEEDS

OF THE AMERICAN WOMAN

1.

Szczere ci, ojcze, przynoszę życzenia;
 Szczęście i zdrowie niebiosa ci dały,
 Nie będą moje wspominać ich pienia,
 Życzę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

2.

Chwała! Cóż bowiem czyni pierś niezłomną?
 Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
 Ah! ta myśl tylko, że nas nie zapomną,
 Że w sercach ziomków odżyjem po zgonie!

3.

Oparty mieczem na grobie ojczyzny,
 Całun jej w sztandar zmienileś zwycięski,
 Świadczą oschłe z krwi niedawnej blizny,
 Wytrwane wojny, poniesione klęski. —

4.

Ty dzikie Maurów widziałeś kraje,
 Zwycięskich Gallów oglądałeś miasta,
 Boskiej Prowancyi odwiedziłeś gaje,
 Gdzie laury kwitną i gdzie róża wzrasta.

5.

Ale napróżno! — losy nam zawzięte
 Wstrzymały orły, wzlatające w chmury,
 Spelzły walki i boje zacięte,
 Upadły grody i warowne mury! —

6.

Omdlałym głosem jeszcze wiodłeś szyki,
Z sercem odważnem rzuciłeś się w boje,
Ni cię szczęk broni, ni cię spiżu ryki
Wstrzymać zdołały. — Lecz daremne znoje!

7.

Niechaj więc świetny wawrzyn pamięci,
Uwity w świetne, uroczne sploty,
Wdzięczna ci kiedyś przyszłość poświęci
Za twe męstwo, za Polaka cnoty. —

8.

Bo kto się pięknej dobijał chwały
Przez groty, przez krwi potoki,
Ten, wzlatując nad niwy, skały,
Wzbija się w górne niebios obłoki.

9.

Tam go płomieniste słońca,
Tam gwiazdy czekają złote
I tam go sława bez końca
W boską przemienia istotę. —

10.

Szczere ci, ojcze, przynoszę życzenia;
Szczęście i zdrowie niebiosu ci dały,
Nie będą moje wspominać ich pienia,
Zyczę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

I.

I.

W Mazowszu jest miejsce zwane Opinogórą. — Trzy pagórki wznoszą się wśród rozległej równiny — lasy zdala czarnym ją okrążają wieńcem — gaje zielone, po niej rozsypane, przyjmują w swoje zacisza różnopióre ptaki lub trwożliwe zające — krzaki gdzieniegdzie z błot i trzęsawisk wznoszą gałęzie, wiatrem na wszystkie nachylane strony. Ileż razy tam się uganiałem za szybko lecącym bekasem, ileż razy broń morderczą podnosiłem na szarą kuropatwę — ileż razy na tych bloniach hasałem i, uniesiony namiętnością, pędziłem za uciekającym zwierzem! Poznałem ciąglem zwiedzaniem najmniejszy krzaczek na rozległej równinie. Ledwie, że każdego kwiatku nie pamiętam. Tu strąciłem z górnych niebios okrutnego jastrzębia, tu przepiórka umierając rozciągnęła swe skrzydła przed moimi nogi. Tam znowu wystrzał mej broni nie trafił celu. Tam dziką kaczkę aż pod chmurami ranilem. — Każde drzewo poznałoby mnie — niema kamienia na tych polach, któregooby moja nie trąciła stopa — niema strugu, przez którybym nie przesłakiwał. Wody Sony unoszą na sobie liczne ptaki i niema fali, której by krewnie zarumieniła — krew, płynąca z razu, zadanego moją ręką. —

2.

Różne wsie, cztery miasta towarzyszą na tych równinach Opinogórze. Ale ona się wznosi z powagą, jak ol-

brzym zwycięski, i wszystkim zagraża płaszczyznom. Czerniec, Pomorze, Płońsk, blizkie miejsca urodzenia nieśmiertelnego wieszczu, naokoło jej rozrzucone. Lidynia, błękitnawemi wody spokojnie płynąc, cichą falą podmywa ciechanowskiego zamku ostatki. Tam kiedyś dzielni rycerze na dziarskich rumakach walczyli za piękność. Tu hoże dziewice obdarzały miłym wzrokiem mężnych wojowników. Nieraz odpadły mosty zwodzone, nieraz połyskujący świetnymi pancerzami męże wychodzili z tych wież, obwijanych teraz kręcącym się bluszczem. Trawa gdzieśgdzie się zieleni na murach, deptanych żelaznemi nogi. Gdzie chorągiew z herbem tęczowe rozwijała farby, tam dzisiaj krzak porasta, a na jego gałązkach kołysze się wróbel lub samotna pliszka. Gdzie huczne odbywały się biesiady, gdzie wino burztynowym lało się strumieniem, gdzie wieńce z róż zdobyły niewinności skronie, gdzie błyszczące szyszaki świećniały na głowach walecznych, tam dzisiaj — samotność i głuche milczenie. — Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o szerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dźwięczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. — Ręka, która je ujmowała, spooczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wiję się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrzeńki łzami, zdają się płakać nad zbiegłemi laty, nad dzielnemi pany. — Codzień kamień odpada, codzień część wieży runie na ziemię; — nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują, a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zerdzewiałej broni. Dumalem ja w tym zamku, zmęczony biegiem kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypominałem sobie dzieje ojczyzny. — Wiatr czasem przerwał milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypomniiał obecne nieszczęścia. Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mię nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy.

brzym zwycięski, i wszystkim zagraża płaszczyznom. Czerniec, Pomorze, Płońsk, blizkie miejsca urodzenia nieśmiertelnego wieszczu, naokoło jej rozrzucone. Lidynia, błękitnawemi wody spokojnie płynąc, cichą falą podmywa ciechanowskiego zamku ostatki. Tam kiedyś dzielni rycerze na dziarskich rumakach walczyli za piękność. Tu hoże dziewice obdarzały miłym wzrokiem mężnych wojowników. Nieraz odpadły mosty zwodzone, nieraz połyskujący świetnymi pancerzami męże wychodzili z tych wież, obwijanych teraz kręcącym się bluszczem. Trawa gdzieś się zieleni na murach, deptanych żelaznemi nogi. Gdzie chorągiew z herbem tęczowe rozwijała farby, tam dzisiaj krzak porasta, a na jego gałązkach kołysze się wróbel lub samotna pliszka. Gdzie huczne odbywały się biesiady, gdzie wino burztynowym lało się strumieniem, gdzie wieńce z róż zdobiły niewinności skronie, gdzie błyszczące szyszaki świećniały na głowach walecznych, tam dzisiaj — samotność i głuche milczenie. — Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o szerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dźwięczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. — Ręka, która je ujmowała, spooczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wiję się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrzeńki łzami, zdają się płakać nad zbiegłemi laty, nad dzielnemi pany. — Codzień kamień odpada, codzień część wieży runie na ziemię; — nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują, a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zerdzewiałej broni. Dumalem ja w tym zamku, zmęczony biegiem kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypominałem sobie dzieje ojczyzny. — Wiatr czasem przerwał milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypominał obecne nieszczęścia. Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mię nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy.

Promienie pochodni niebios zlewały się na mnie i, żalobnym światłem oblewając ostatki dawnej chwały, trącały o leżące kamienie, o wijące się rośliny, a kiedy natrafiały na ułamki miecza lub zbroi, w promienistych rozlewając się strumieniach, zdawały się radować, że na niewolniczej ziemi spotkały ślady dawnej wolności. —

II.

Półtora tysiąca lat zbiegło od czasu, kiedy Opin pannał równinie, otaczającej trzy pagórki. — Jeszcze światło nauki Chrystusa nie przebiło się do tych krain. — Dzierżanie, horda sławiańska, zamieszkiwała płaszczyzny, a Opin, pan trzech pagórków, władał nad niemi. Jego szeroki namiot czerniał się na górze, a nad nim powiewała czerwona chorągiew, znak śmierci i spustoszenia. Bóg piekiel nie miał tak strasznego wzroku, nie miał tak okrutnej duszy. — Srogi Opin uciskał poddanych, nie znał tamy swoim namiętnościom; niedostępny, ponury, ciągle przebywał w namiocie, a kiedy z niego wyszedł, to na wojnę i rzezie; krew wtenczas zalewała ziemię, śmierć czarnemi skrzydły zakrywała jaśniejące słońce. Maczuga Opina siała rzeź i rany — miecz ciężki druzgotał głowy wrogów, powalał na ziemię niewiasty i starce, męża i niemowlęta — nikt jeszcze nie wyszedł żywy z walki, z nim odbytej. — Uśmiech szyderczy siadał mu na ustach, kiedy spoglądał na trupy, zalegające szerokie pola, a radość piekielna jaśniała w oczach, kiedy ostatki życia wydierał obalonemu wrogowi. —

Wszyscy się bali tak okrutnego pana, wszyscy drżeli przed nadludzką jego siłą, przed wzrokiem ponurym, przechodzącym aż do głębi serca. — Żaden śmiertelnik nie mógł naciągnąć łuku, wiszącego w jego namiocie — nikt nie podniósł ciężkiej włóczni, przy ognisku leżącej. —

W mnogich wojnach nabył sławy, a na skinienie jego posłuszni służalcy roznosili ogień i mordy. —

Pogardzał on ludźmi. — Pochlebstwo jego łask zjednać nie mogło — uważał wszystkich za niższych od siebie, nie dbał o ludzi i przestawał na posłuszeństwie. — Posłuszeństwo trzymało u niego miejsce przyjaźni i miłości. — Serce jego tchnęło wojną i mordem — ręka roznosiła śmierć i żalobę. — Wzrok przerażał bojaźnią, a głos, rzadko wychodzący z głębi piersi, nigdy jeszcze nie wymówił przebaczenia, nigdy łaski nie oznajmił. Przy nim Horak dniem i nocą zostaje. — Podobny do pana, z niewzruszonym sercem, z niezwalczoną prawicą, słucha rozkazów Opina — wykonywa okrucieństwa, broczy ręce w krwi niewinnych, zabiera dostatki, majątki zagrabia — ale nic dla siebie nie bierze — znosi wszystko pod namiot Opina, gdzie go czeka wzrok, pełen wzdargi, i ręka, darami napełniona. — Jak dwaj duchy złego, wznosząc się oba nad równiny, napełniają kraje postrachem. — Pan Trzech Pagórków pogardza Horakiem, bo niema człowieka, którymby nie gardził, — Horak zasługuje się Opinowi. — Pierwszy jest zbrodniarzem, ale zbrodnie wykonywa dla siebie: nie dla zysku pustoszy pobratymskie ludy, nie dla zysku zatapia mordercze żelazo w serca krewnych i sprzymierzeńców, ale dla własnej przyjemności, ale dla nienawiści, którą przeciw ludziom pała. — Drugi przyjął jarzmo i nie śmie go zrzucić. — Pierwszy ma coś wielkiego w samych zbrodniach, bo zboleła serce go wiedzie do złego, bo doznawszy niechęci ludzi, mści się teraz nad nimi. — W młodości żebrał względów ludzkich, w młodości chciał pozyskać szczęście — zamiast radości gorycz dni mu napełniła. — Objął w ręce berło i dobył miecza zemsty nad całym rodem ludzkim. Drugi nie mógłby być wzniosłym w cnocie. Opin, gdyby łączył z nieustraszonem sercem łagodne uczucia, wzniosłby się nad innych, napełniłby wszystkie usta swojemi pochwały; mógł być Lwem — wolął zostać Tygrysem. —

Sam opuszczony od ludzi, lubi on rozmyślać nad przeszłością lub w samotnym namiocie bawić się obrazami wojny. — Często, oparłszy głowę o rękę, przypomina sobie staczone walki, poległych mężów, zasłane trupami pola. — Bezsenne pędzi noce, szerokiem przechadza się krokiem, czasem słowo wyrzeczę, czasem lekki cień wzruszenia odbije się na twarzy, ale to tylko przez chwilę. — Nie cierpi zwróconego na siebie wzroku — nie cierpi, żeby badano jego zamiary. — Ucieka od wesołych igrzysk, nie patrzy na biesiady i wesołe ucztę. Radości okrzyki nieznośnym przeszywają go bolem. — Wyraz wesołości, upatrzony na twarzy innego, w rozpacz go pogrąża. — Chciałby wszystkich zasmucić, chciałby własnego serca smętność przelać w serca innych. — Chciałby pozbyć się otaczających, sam zostać na świecie lub też, zgiąwszy wszystkich pod jarzmo niewoli, naśmiewać się dniem i nocą z ich nieszczęścia. — Słowika śpiewy dręczą jego umysł — pogoda dnia wiosennego w ponurość go wprowadza, jakgdyby się lękał, żeby jeden z milionowych jaśniejącego słońca promieni nie przebił się aż do jego serca i strasznych nie odkrył tajemnic. — Pogardza wszystkim, w nic nie wierzy. — Nie uznaje Boga, bo sam chce być Bogiem dla ludzi. — Pioruny czarnej nocy nie przerażają jego duszy. — Naśmiewa się z kapłanów i z ich obrzędów. — Srebrna Dziedzilia nigdy go jeszcze przed swoim nie widziała ołtarzem — nigdy jeszcze nie prosił Marzanny o szczęśliwe łowy. — Nie broni ludowi korzyć się przed panami świata, ale sam jeszcze dumnej nie schylił głowy, a patrząc na poddanych, modły gorące wznoszących do nieba, naśmiewa się z prostoty. — Gdyby przed jego ołtarzem się korzyli, śmiałby się jeszcze, ale dumie stałoby się zadosyć, bo w skołatanem burzami sercu władnie jeszcze duma — i duma, żadnych nie mająca granic. —

Dziwiał się ludy, że szczęście sprzyja temu, który Bogów ma za nic. -- „Moim Bogiem, z szyderskim uśmie-

chem pomyślał Opin, jest ta maczuga«. — Tak więc Pan Trzech Pagórków, gardząc wszystkim na świecie, rządził Dzierzanami, trzymał w rękach berło, z którego krew, wołająca pomsty, się sączyła. — Wszyscy przełękli tarzali się w pyłe u stóp strasznego władcy i nie było człowieka, któryby śmiał spotkać wzrok straszny Pana Trzech Pagórków lub straszniejszą jeszcze prawicę. —

III,

I.

W niezbyt odległym miejscu od góry Opina, w szerokim namiocie wesoła odbywa się uczta u starego Mieczyna. — Pan mnogich trzód i rozległych gruntów, władca kilkuset namiotów, Mieczyn wyprowadza wesele synowi. — Młody Sławan dwudziestą dopiero widzi wiosnę — nikt lepiej koniem nie kieruje, maczugą nie włada, łukiem nie strzela, wiosłem nie robi — siłę nadzwyczajną łączy z męską postacią, z twarzą, na której wyryty zapał i męstwo — serce otwarte dla przyjaciół, dostatki rozdaje uboższym, prowadzi poddanych na wojnę i na polu sławy zastępuje zsiwiałego ojca. Zjednął sobie serce młodej Zulislawy — ona dzisiaj w jego progi wstępuje. — Anielskie wdzięki, oczy żywe, włosy w czarnych rozlewające się splotach zapaliły miłość Sławana. — Zaprażył krasnej róży, w nią się wpatruje, dla niej tylko żyje. — Żelazna szabla rdzewieje od roku, psy spoczywają, niecierpliwe łowów. — Darmo wyją u nóg pana — nic on nie słyszy prócz głosu Zulislawy, myśli dniem i nocą o nadobnej kochance. — Wiosna wszystkie wdzięki rozlała w dniu poświęconym na ślub Sławana — słońce żywiej jaśnieje — kwiaty przyjemniejsze rozsyłają wonie i woda w świetniejszych rozbija się kroplach o brzeg ukochany — słowik radośniej się wita z odrodzonym przyrodzeniem — liście, poruszane miłym wietrzykiem, milej się kołyszą — wszystko zda się radować

z sercem Sławana i Żuliśławy — wszystko odpowiada ich duszy uczuciom. —

2.

Zaproszeni goście złożyli oręż, zsiadli z prędkich rumaków. — Stół ugina się pod zabita zwierzyną. — Tu jeleń, niedawno wznoszący pośród borów promienisty swój wieniec, tam znowu dzik, wiele razy niezwalczony, stają się pastwą biesiadników. — W czaszkach poległych wrogów krąży napój — okrzyki i śpiewy napęlniają powietrze: — «Chwała Sławanowi, szczęście nadobnej Żuliśławie!» — Skromna dziewczica płoni się i rozplywa w miłosnych uniesieniach — Sławan siedzi przy niej, ściska kształtną rękę — wlepia oczy w błękitne kochanki oczy, poprawia spływające na jej ramiona pierścienie i z uśmiechem na ustach raduje się z osiągniętego szczęścia. — Przy Sławanie stoi młody jego przyjaciel Nadar. — Doszedł on już lat trzydziestu — o głowę niższy od towarzysza — włócznia, nieraz w krwi zbroczona, spoczywa w jego ręku — wzrok ognisty umie upatrywać na łowach kryjącego się zwierza, na wojnach czyhającego wroga. — Przewali go Dzierzanie »Sokołem równin«, Sławan nosi imię wzniosłego »Orla«. — Oba, nieodstępni od dziecinnych lat w boju czy w igrzyskach, przysięgli sobie braterską miłość i nikt nie śmie ścierać się z bohaterami. — Mówią nawet, że Nadar walczył z niezwyciężonym Opinem. W nocy jesiennej, przy pochmurnem niebie, wracał z łowów — strzały spoczywały w kołczanie, pałasz błyszczał u boku. — Wychodził z ciemnego lasu, kiedy stawiał mu się olbrzym z maczugą w ręku. — Stoczyli walkę zaciętą — »Sokół równin« wytrzymał z odwagą razy przeciwnika i nie upadł pod niemi. — Jutrzenka walczących rozdzieliła — znikł olbrzym, ale po śmiechu szyderczym i przerażającym wzroku poznał Nadar Pana Trzech Pagórków. — Jeden więc nadludzkiej nie

przeląkł się siły, jeden tylko wyszedł żywy z boju, stoczonego z władcą Dzierzanów. — Ale napróżno szukałby kto w jego sercu łagodności Sławana. — Dziki, nie zna uprzejmości, nie umie darować życia obalonemu wrogowi — ale kiedy komu przysięże wierność i przyjaźń, żadna siła nie zdoła go z nim rozłączyć. — Teraz spoglądał na Sławana i, często podnosząc pełne czary, pił zdrowie przyjaciela: — »Życzę ci szczęścia, twojej żonie mężnych synów, a nam wszystkim śmierci Pana Trzech Pagórków«. — Na to straszne imię zbłądły biesiadników lica — każdy odjął od ust puchar, każdy z trwogą przypominał sobie Opina. — Stary Mieczyn starał się przywrócić radość w swoim namiocie; — nowe zastawiono pokarmy, nowe przyniesiono konwie — sam zachęcał gości, przemawiał i prosił, by smutkiem syna nie zatrawali godów. — Ale daremno Mieczyn zachęcał, darmo Sławan powstawszy pełne nalewał kielichy — darmo piękna Żulisława śliczną ręką roznosiła wianki z niezapominajek i ruty swoim towarzyszkom — wszyscy milczeli, już nawet oddychać nie śmieli. — Wspomnienie Opina zgasiło ich radość, w niwecz obróciło męstwo, ustały krzyki, ucichły śpiewy i rzadko kiedy kto cichym głosem przemówił do sąsiada.

3.

Jeden tylko Nadar przechadzał się wzdłuż i wszerz — trwoga nigdy nie miała jeszcze przystępu do jego serca; widać było na jego ustach uśmiech pogardy dla otaczających go towarzyszków, którzy na samo imię Opina zbledli i z rąk wypuścili wesołości puhary. — »Nikczemnicy, myślał Nadar, nie warci nosić zbroi ani mieć miecza!« — »Sokół równin« lubił się naśmiewać z słabości innych i urągać się z nieznanego mu trwogi — porwał więc drugi raz czarę i głośno zawołał: »Życzę wam wszystkim śmierci Opina!«

»Przestań, zawołał Mieczyn, nie mieszaj naszej radości!« i powstał starzec z siwą brodą i wzniosłszy czarę: »Szczęście wam, rzekł, szczęście, moje dzieci!«

Umilkł Nadar, szanował bowiem starość, ale schylił się do ucha Sławana: — »Niewiasty tu tylko siedzą, nie widzę mężów! — Strach ich opanował na wymówienie imienia zbrodniarza! — Chciałbym, żeby tu sam przybył!«

4.

Ale jakież to zgilek i hałas miesza spokojność biesiadników? Jakież głosy miotają przekleństwa i srogie obelgi? Czyż miecze błyszczą przy wejściu do namiotu? — Otoczeni goście hułcami zbrojnych — Sławan daremnie broni Żuliśławy — daremnie Nadar wstrząsa swoją włócznią. — Wróg niewinności i cnoty, nieprzyjaciel wesela stanął między szczęśliwymi i rozdzielił ich strasznym wzrokiem. — Pan Trzech Pagórków przybył — wszyscy upadli na kolana przed nim — Sławan tylko i Nadar, oparci na pałaszach, śmieją się wpatrywać w zbrodniarza. — Stary Mieczyn, zwątlony wiekiem, pozostał na siedzeniu z skór dzikich zwierząt. Patrzy Opin naokoło — wszędzie widzi podłość i uniżenie — wszędzie postrach i przymuszone go spotykają hołdy. — Raduje się ze spodlenia rodu ludzkiego. — Ale jakież widok uderzył obłąkane jego oczy? Krew lica mu zalała czerwonym potokiem — ale nie jest to rumieniec młodzińczego wstydu -- nie jest to rumieniec szlachetnego gniewu — jest to rumieniec wściekłości. Trzech tylko śmiertelnych śmie się opierać władcy Dzierzan — trzech tylko znosi z niezmienną twarzą błyskawice, z jego ocz wylatujące! — Chce mówić Opin — ale zamiast słów piana mu z ust wypływa — chce sięgnąć po miecz, ale ręka drżąca odmawia pomocy. — Gniew silny zwałił moc jego i musi czekać chwilę, nim przejdzie osłabienie. — Przez tę chwilę spotyka wzrok nieustraszony Sławana i Nadara —

ta chwila jest piekłem dla niego. — Nareszcie rzekł do Horaka: »Zabierz tę dziewicę — niech dzisiaj pod moim spocznie namiotem!« — Na te słowa róże zwiędły na licach Zulislawy — upadła zemglona w ręce Sławana. — Nic niema okropniejszego nad zemgłą dziewicę — nad tę walkę życia i śmierci — kiedy na zbladłej twarzy wyraz zgonu przyciemnia anielskie wdzięki — kiedy coraz słabnie oddech. — Za każdym poruszeniem piersi zdaje się, że serce bić przestanie — że już żelazna ręka śmierci przy- myka powieki i wydiera życie. — Ogień młodości, w ży- wych przygaszony oczach, już odlatuje do niebios, z któ- rych wziął początek. — Wszystko się waha, wszystko jest w niepewności. — A życie z śmiercią, jakgdyby dwa prze- możne duchy, ścierają się, ulatując nad martwym ciałem. — Jeśli zwycięstwo przy pierwszym, wracają wdzięki, znowu głos pieszczony różane umiła usta, znowu nadobny rumie- niec ukrasza lica. — Ale jeśli śmierć przeważy, wtenczas zniszczenie rozprzęga ciało, wtenczas godowa suknia za- mienia się na pogrobowy całun — kwiaty, wieńczące czoło, odpadają z dziewiczych skroni — dusza ulatuje, a piętno spustoszenia i smutek zostają się na ziemi
.
.
.

5.

Ciemna i burzliwa noc zasępiła niebo — Poświst na tronie z chmur unosi się po przestworzu. — Trzy razy rzu- cił się i wstrząsł ogromną prawicą, a trzy razy odpowie- działy mu wiatry, odpowiedziała mu ziemia. — Upadły przed nim w kurzawę dęby i wysokie sosny, zieloną uwieńczone jemiolą — chaty ludzi w drobne rozsypały się szczątki — słabe zboża schyliły się po polach, a kwiaty na zawsze za- warły swoje kielichy. — Góry wstrząsły się w posadach,

bałwany jezior i rzek wzniosły się ku niebu, jakgdyby chciały wymawiać i wyrzucać Panu pioruna zniszczenie jego stworzeń. — Jeden tylko namiot Opina, czerniąc się wśród mroku, jako znak klęsk i mordów, nieugięty, jak dusza pana swego, wytrzymywał walkę z nacierającymi wiatry i zwycięsko z niej wyszedł. —

Ale coż robi Opin? — Czy nad wojną przemyśla? czy u stóp Żuławki szuka przebaczenia winy? — Radość Sławana, szczęście dziewczicy, gorycz wlały w duszę Opina. — Nie mógł znieść szczęścia podobnego sobie i zatruił jego życie. — W namiocie Opina piękna Żuławka łączy roni — okrutnik z uśmiechem w nią się wpatruje. — Każda łąka przymnaża mu radości — każda oznaka smutku duszę mu unosi. — Najmniejsze śledzi poruszenie, najmniejszą zmianę na twarzy nieszczęśliwej, okropnym wzrokiem wszystkie jej niszczy nadzieje i, sam wśród walki i burzy żywiołów, opuszczony od wszystkich, pastwi się nad swoją ofiarą — a uśmiech piekielny wydaje radość, godną szatana. —

Ale czy już Bogi sprzysięgły się na Pana Trzech Pagórków? — Czy już nieszczęsna dla niego wybiła godzina, a sen, nie mogący nigdy obciążyć jego powiek, zwał się teraz ołowianą ręką? — Schylił głowę i upadł na łożo. — Pierwszy raz nie mógł się oprzeć uśpieniu — pierwszy raz słabe przyrodzenie człowieka zwyciężyło w nim niezgiętą wolę — ale obrazy, towarzyszące nocy, otaczają jego łożo — rzuca się, jęczy, a nie może stargać więzów, przez sen narzuconych. — Raz zdaje mu się, że Sławana wchodzi do jego namiotu. — Skóra z dzikich żbików obwija młodzińca — kołczan z brzozy kory, najeżony strzałami, grozi tyłoma zgonami, ile pocisków w sobie mieści. — Łuk w lewej ręce, a w prawej błyszczy szabla. — Zdało się jeszcze Opinowi, że Nadar, Sokół równin, siedzi za przyjaciелеm. — Wzrok jego okrutny zwracał się na leżącego Pana Trzech Pagórków — już nawet miecz zemsty zajaśniał nad jego głową. Wstrząsł się Opin, dobył sił wszyst-

kich — ale próżne usiłowania — nie mógł zerwać się z łoża i ciągle miecz zemsty grozi mu niechybnym razem. — Nadar urąga się z niego, jak on się ze wszystkich urągał — przedłuża jego męczarnie. — Błyszczący oręż, jakby mściwy piorun niebios, w tysiącnych rozlewa się płomieniach nad jego głową. Otacza go morzem ognia, męstwo odejmuje, siły wydiera i jedno tylko uczucie bojaźni zostawia. — Ale ręka Nadara opada: — Sławan zabronił mu zbrodni nad bezsilnym wrogiem. — Sławan porwał Żulislawę w swoje objęcia i unosi ją z namiotn, za nim Nadar. — Znikło wszystko — tętent tylko koni, oddalających się od góry, uderza uszy Opina. — Zebrał jeszcze raz wszystkie siły Pan Trzech Pagórków — oparł się szeroką prawicą o łożę — chciał się rzucić, ale jakby przykuty pozostał na miejscu. —

Ale nagle zmieniła się postać rzeczy. — Biesiada zastawiona w namiocie Opina — naokoło stołu z dębu czarnego siedzą białawe i wybladłe postacie — niektóre, do mgły lekkiej podobne, kształt tylko ludzki mają — inne, oparte na włóczniach i mieczach, zwracają wzrok okropny na Opina. — Chciałby on odwrócić oczy, ale nie może — chciałby zamknąć powieki, ale nieznana siła nie pozwala mu ich zawrzeć — musi patrzeć, musi, jak głąz nieczuły, spoglądać na otaczające widma, ale serce czuje, duszę rozrywają boleści, a bojaźń pierwszy raz posępniemi go pokrywa skrzydły. —

Wybladłe i suche ręce wyciągają do potraw biesiadnicy — puhary z czaszek ludzkich krążą po szerokim stole. — Ale kogoż-że poznaje Opin? Czyjże wzrok przeraził go trwogą? Czyjaż twarz przypomniła mu przeszłość? Człowiek wysokiego wzrostu, wspaniałej postawy stoi na pierwszym miejscu. Czarna broda obwija się naokoło pogrobowej twarzy — zmarszczki na czole, bladeść lica, posępność, po całej twarzy rozlana, nie zdołała jeszcze zatrzeć znaków dawnej powagi i godności. — Berło nawet żelazne w lewej ręce dowodzi, że był poprzednikiem Opina. —

Ale w miejscu, pod którem bije serce, znać szeroką ranę — krew z niej kroplami się sączy i już okropnym strumieniem dosięga łoża Pana Trzech Pagórków. — Wzdrygnął się Opin, poznał twarz, srogie przywodzącą pamiętki. — Nagle morze czarnej krwi oblało kamienną pokoju podłogę — purpurowe bałwany zboczyły uginający się pod wiatrem namiot. — Opin ze śmiercią w sercu, niewzruszony, leżał na łożu, jakgdyby na małej wyspie, wznoszącej się wśród ogromnego oceanu. — Zbliżyły się do niego wybladłe biesiadników postacie — tłum ich stanął wieńcem naokoło Pana Trzech Pagórków — podali sobie dłonie i wszyscy wlepili wzrok przeszywający w Opina. — Jak wśród tysiącznych błyskawic wypadający piorun oświeca pół nieba, tak wśród tylu wzroków jeden tylko wlał rozpacz w serce leżącego zbrodniarza. — Był to wzrok tego samego, który, berło trzymając, pierwsze zajmował miejsce.

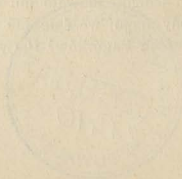
Jeszcze raz Opin chciał się podnieść, ale nadludzka potęga zniweczyła jego usiłowania. — Chciał zakryć oczy rękoma, ale zawsze widział okropny obraz, zawsze trupy otaczały łożę, a postać, z okropnym wzrokiem schyliwszy się ku ziemi, puchar krwią napelniła i, podając go Opinowi, cichym, ale przerażającym wyrzekła głosem: — «Pij krew własnego ojca!» — Wszystkie cienie powtórzyły słowa: »Pij krew własnego ojca!« — nieznajoma siła zmusiła Pana Trzech Pagórków — wyciągnął rękę, przyjął czarę, przytknął ją do ust i wychylił do ostatniej kropli. — Znikło wtenczas wszystko oprócz krwi, zalewającej komnatę. — Bystre jej strumienie coraz się wyżej wznosiły, coraz zbliżając się do łoża, już go zajmowały pod swoje panowanie. — Tonął Opin wśród fali krwi ojca, przyjaciół i krewnych. Już jednej tylko nie dostawało kropli, kiedy sen uleciał. — Wstrząsł się Opin — pojrzał wokoło, ale nigdzie krwi nie zobaczył — a jednak zdawało mu się jeszcze, że czuje na ustach okropny napój we śnie mu podany. — Ale cóż się stało Panu Trzech Pagórków? Porwał za maczugę, wsko-



czył z namiotu, zawołał Horaka — »Niema Żulisławy —
piorunnym głosem krzyknął — zginiecie wszyscy! — Zni-
kneła wśród nocy — Sławan ją

Darmo szukają dziewicy, niema Żulisławy.

.
.
.



IV.

1.

Chcecie wiedzieć, co się stało z nadobną dziewczicą? Chcecie słyszeć, co się stało z odważnym Sławaniem? Ledwo jutrzeńka w kroplach jaśniejących na kwiatach i krzewach obraz swój różowy odbiła, aliści Sławian z Żulisławą przybyli pod niedaleki lasek góry Opina. — Dziewica rzuciła się na szyję swemu wybawcy — Nadar szedł za nimi.

.
.
.

2.

Zeszli się na równinach Sławian i Nadar, Opina i Horak. — Walka zacięta między nimi powstała — Żulisława patrzyła na bój i mordy. — Sławian toporem uderzył Horaka — Horak upadł bez życia. — Rzucił Sławian broń swoją i patrzył z założonemi rękoma na walkę Nadara z Opinem, bo uważał za zdradę, niegodną męża, dwom łączyć się na jednego. — Pan Trzech Pagórków walczył zręcznie — walczył, jak na bohatera przystało — Sokół Równin utrzymał swoją sławę; — oba byli sobie równymi — oba z równą zaciętością nacierali na siebie. — Nareszcie skoczył Opina, jak tygrys na swą zdobycz, silnemi ramionami objął Nadara i chciał powalić na ziemię. — Ale przyjaciel Sławana pozostał na ziemi. — Dwa razy usiłował go obalić

Opin, dwa razy, podobny do skały wrytej w ziemię, Nadar utrzymał się na nogach. Ale trzeciego razu stracił równowagę i runął na ziemię. — Opin podniósł maczugę, ale nim ją mógł skierować na głowę wroga, Nadar wyjął nóż żelazny, zatknął u pasa, i tak silnie i zręcznie go rzucił, że ten aż po rękojeść zanurzył się w serce Opina. — Upadł Pan Trzech Pagórków. — »Godny byłeś walczyć ze mną — zawołał do Nadara — i umieram radosny z tego, że jeszcze między ludźmi człowieka znalazłem.« — Takie były ostatnie słowa Opina, uśmiech nie wściekłości, ale wesela i szczęścia, zajaśniał na jego twarzy, ścisnął rękę Nadara, jak gdyby żegnał się z przyjacielem i, oparłszy głowę o szeroki kamień, skonał. —

DOKONCZENIE.

Właśnie przeszłej jesieni kilka dni przebywałem w Opinogórze. — Łowy mojem były zatrudnieniem — jednak inna jeszcze rzecz przychodziła często na myśl: — skąd nazwisko »Opinogóra«? Nigdzie nie mogłem znaleźć początku lub powodu takiego imienia. —

Jednego wieczora późna w lesie zaskoczyła mię pora. — Cały dzień goniłem za lisami i zającami, nie zważając na schylające się ku zachodowi słońce. — Właśnie już teraz ostatnie światła promienie złociły iglastych sosen wierzchołki i szczyty poważnych dębów, ptaki rozliczne ostatnim śpiewem modlitwę wieczorną wznosiły do Boga, gdzieniegdzie liść zaszeleścił pod lotną stopą zwierza, wracającego do nocnego łożyska, czasem kraska lub różnobarwna sójka przeleciała nad głową i, pociągnąwszy dalej, siadła na jakim drzewie — tam, oblana promieniami słońca, zdawała się unosić po falach złotego potopu. — Wietrzyk raz, niskie poruszając krzewy, igrał z każdym liściem i kwiatem, drugi raz, okręcając się naokoło stuletnich lasu olbrzymów, nachylał ich gałęzie na wszystkie strony. — Czasem też zupełna panowała cisza. — Błękit niebios, w purpurze ku zachodowi ginący, rozweselał oko, a milczenie i samotność wzywały duszę do dumania. — Psy daleko się zagoniły, myśliwcy zapędzili się za niemi. — Niekiedy jeszcze daleka trąbka słyszeć się dawała, ale na chwilę jej głos tylko poruszał powietrze, tak, że często można było wątpić, czy dźwięki, dopiero co słyszane, były rzeczywistymi, lub też

wyobraźni skutkiem. — Już pierwsza gwiazda, od starożytnych ubóstwiana ludów, wstąpiła na safirowe przestworze — już coraz bardziej fale światłości ustępowały przed nocą i czerwonawy kolor nieba zastępowały już czarne cienie. — Daleko było do domu — przyspieszyłem więc kroku, ale postrzegłem, że już nie idę po ścieżce, że moje nogi nie torowaną postępują drogą, ale na miękkiej i wilgotnej chłodną rosą murawie się znajdują. — Daremno obracałem się wokół, daremno szukałem straconej drogi. — Przebijalem się więc dalej przez krzaki i ciernie, głogi i krzewy. — Noc już całkiem oswładła niebem. — Po długim dosyć czasie wyszedłem na miejsce otwarte, zewsząd jednak lasem otoczone. — Kilka tam ogromnych białało kamieni. — Ujrzałem we środku białą postawę — stała niewzruszona na miejscu — w jednej ręce trzymała coś czarniawego — drugą kazała mi się zbliżyć. — Z odwiedzionym kurkiem, z biciem serca, z pilnemi oczyma, ze wstrzymanym oddechem przybliżyłem się do niej. — Twarzy rozeznac nie mogłem, ale pamiętam, że blade jej lica zgadzały się zupełnie z lekkimi jej szaty. — Podała mi pergamin, trzymany w ręku. — »Tu, rzekła, znajdziesz powód imienia Opinogóry«. — Po tych słowach oddaliła się — ja chciałem gonić, ale rękopism upadł na ziemię — schyliłem się, żeby go podnieść — a kiedym go z ziemi ujął, wszystko już było znikło. —

Nazajutrz przebiegłem oddane mi pismo. — W wielu miejscach zepsute przez wilgoć. — znać, że w jakimś łożu leżało — nie mogłem więc, jak ułamki powieści o Opinie podać do wiadomości, co też uczynilem. —

1828 R. 6-GO KWIETNIA, OPINOGORA.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»PANA TRZECH PAGORKOW«.

Utwór niniejszy po raz pierwszy został wydany z autografu przez p. T. Piniego w wydaniu 6-tomowym (Lwów 1904). Najwcześniejszy to plód natchnienia 16-letniego poety. Wiersz, położony na czele, jest rodzajem powinszowania na imieniny ojca, Wincen- tego Krasieńskiego, który, jako wódz szwoleżerów, brał udział w kampaniach napoleońskich.

Str. 5. Opinogóra — posiadłość rodziny Krasieńskich, wieś w powiecie ciechanowskim. Tam poeta spędzał letnie miesiące swych lat dziecięcych.

Str. 6. Nieśmiertelnego wieszczka — mowa tu o Sarbiewie, miejscu urodzenia Macieja Kazimierza Sarbiewskiego (1595 † 1640), poety polsko-łacińskiego XVII stulecia.

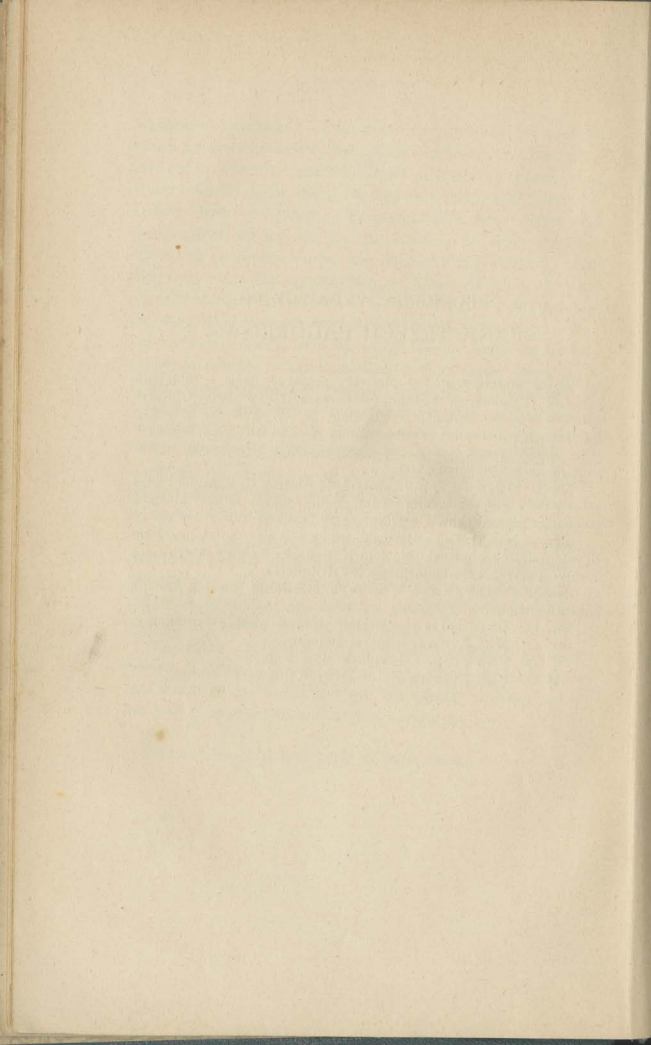
Str. 8. Dzierzanie — historia pierwotna Słowian nie zna takiego plemienia.

Str. 11. Dziedzilia — bogini Słowian według kronikarzy.

Str. 11. Marzanna — bogini śmierci.

Str. 17. Poświst — słowiański bóg wiatrów.

Str. 17. Pan pioruna — bóg Perun (litewski Perkun).



WŁADYSŁAW HERMAN

I DWÓR JEGO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z DZIEJÓW NARODOWYCH

XI. WIEKU.

WEAVER, LAW, THE

THE NEW YORK

THE NEW YORK

THE NEW YORK

ROZDZIAŁ I.

Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Strasзлиwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże powiędną
I będą żółte, jako piersi gadu.

Wallenrod.

Dzień 8. maja 1089 r. był jednym z najpiękniejszych dni wiosny. Niebo czyste, żadną nie pokryte chmurą, odbijało się w wodach, licznie po błoniach rozlanych. Wschodzące zboża zieleniły szerokie Mazowsza pola, a Płock wznosił się z ich środka z swojemi wieżami i niebotycznym zamkiem. Słońce błyszczało po srebrzystych strumieniach i kopule kościoła katedralnego stolicę. Wszystko oddychało szczęściem i odświeżoną pięknnością natury, ale serca ludzi wśród tych pięknych łąk, wśród tych gajów rozkosznych, przy potokach światłości, przez gwiazdę dnia rozlewanych, srogami szarpane namiętnościami, nie umiały cenić dobrodziejstw Boga. Wszystko w przyrodzeniu było zachwycającem, a tymczasem srogie gotowały się burze i walki pośród mieszkań ludzi.

O pół mili od miasta wznosił się wzgórek, kilkoma drzewami ocieniony. Z pomiędzy nich wystawał krzyż drewniany z wizerunkiem Zbawiciela, u którego nóg pełno zawieszonych kwiatów i wianków świadczyło o pobożności mieszkańców. U stóp krzyża leżał kamień, na którym mech

już zaczynał pokrywać wyryty napis. Przy nim stał mąż, zbrojny od stóp do głowy, z założonemi na piersiach rękomą, kopia spoczywała przy jego stopach, koń dzielny rżał, przywiązany do drzewa, a u siodła wisiał szyszak, po którym białe spływały pióra.

Twarcz rycerza wydawała głębokie zamyślenie, męstwo, na niej wyryte, mieszało się z wyrazem okrucieństwa, nie odpowiadającym czarnym, żywym oczom, w których najśłodsze uczucia i najgwałtowniejsze namiętności z równą łatwością malować się mogły. Czasem zwracał on bystry wzrok na drogę, do miasta wiodącą, jakgdyby się kogoś spodziewał z tej strony, ale ciągle w największem pograżony zadumaniu, rozmyślał nad ważnym zapewne przedmiotem.

Lekki wietrzyk rozwijał, to znów skręcał czarne jego włosy, krótka broda tego samego koloru przy bledości twarzy przypominała godło smutku i żałoby, a miecz, u boku wiszący, ogromem swoim dowodził, że nie słaba zwykle go dźwigała ręka. Wtem ukazał się z daleka białawy tuman kurzu, który coraz się przybliżał; wkrótce blask stali wydobył się z jego środka. Pojrzał mąż zbrojny i nagle ruszył się z miejsca. Leciał ku niemu na rozpędzonym koniu człowiek ze spuszczoną przyłbicą; niezaślugo stanął u wzgórką i skoczy na ziemię, a oddawszy pokłon, zbliżył się do rycerza, który niecierpliwy śpiesznie zeszedł z góry na jego przyjęcie.

— A cóż? — zawołał — jest czy niema?

Te jedyne tylko wyrzec mógł słowa. Zamilkł i czeka w najśroźszej niepewności, aż nowoprzybyły się odezwie. Ten ostatni wysokiego był wzrostu i w bogatej zbroi, na puklerzu nosił węża z wyrzuconem na nieprzyjaciela żądłem, z temi słowy: *»Śmierć temu, który się mnie dotknie«*.

— Mestwinie! — powtórnie krzyknął rycerz — czy ci piekła przymknęły usta? Mów, bo już dalej wytrzymać nie zdołam!

Odkrył wtenczas Mestwin przyłbicę i okazał twarz, której rysy dowodziły, że stał na środku drogi życia, równie oddalony od burzliwej młodości, jak od zgrzybiałego wieku.

Są ludzie, którzy, nic nie mając szpetnego w twarzy, nieprzyjemne jednak czynią wrażenie.

Do ich rzędu należał Mestwin. Pomimo wysokiego czoła, ognistych oczu, orlego nosa, było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się, że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych. Otarł naprzód pot z czoła i, jakgdyby z upodobaniem patrzył na niecierpliwość towarzysza, kilka chwil jeszcze pozostał w milczeniu, nareszcie powtórzył swój ukłon.

— Gierda — rzekł — uwiadomił mię, że w tem miejscu będziesz czekał na mnie. Przybyłem więc i donoszę ci, żem ją przywiózł i że jest w twojej mocy.

Na te słowa rycerz rzucił się w jego objęcia, ścisnął mu kilka razy rękę i z głębokiego zamyślenia do najwyższej przeszedł radości.

— Żałuję — ozwał się — że nie mogłem tam być przytomnym, ale wiesz, żem musiał walczyć z tym rycerzem pomorskim, z Ottonem z Strontheim; zabiłem go, opuściłem zaraz mój zamek pomorski i przyleciałem tutaj; ale opowiedz mi wszystko!

— Tak — dalej mówił Mestwin — tak, mój panie i książe. Dostałem się do niej w nocy, oszukałem czujne czaty, przebrnąłem przez szerokie wody, wdarłem się na wieżę. Czekala już, gotowa rzucić się w objęcia miłości.

— Zeszła po giętkiej drabinie, ale kiedy byliśmy na pół drogi, zawieszeni między szumnemi jeziora falami i pochmurnym niebem, nagle rozruch wszczął się w zamku. Do oręża porwali się męże. Tłumne krzyki obłyły nam się o uszy. Przez jedną chwilę tylko, przez jedną chwilę wahała się i chciała wrócić do swojej komnaty, już cofała lekkie kroki,

ale ja, pomnąc na ciebie, pochwyciłem ją w silne ramiona i z miłym tobie ciężarem pośród ciemności zeszedłem na dół.

— Wskoczyłem w łódkę z kilkoma towarzyszami, uderzyłem wiosłem dwa razy i już byłem na przeciwnym brzegu. Słyszeliśmy jeszcze przez chwilę wrzaski i wołania zbrojnych ludzi Wszebora, ale wkrótce wysokie Ciechanowa wieże znikły nam z oczu. Leciałem, co koń mógł wydolać, a ona pytała mi się o Zbigniewa; twoje imię sto razy w jej ustach było.

— Nad rankiem przybyliśmy do Płocka, a gotowe mieszkanie przyjęło twą kochankę. Czeką teraz na ciebie; ale, panie, trzeba tu nam tajemnicy, trzeba skrytości! Bo już wieść się rozchodzi, że Wszebor z Ciechanowa na czele swych przyjaciół i panów jedzie na skargę do twego ojca.

— Niech sobie jedzie! — odparł Zbigniew. — Znasz mnie dobrze. Nie ulegnę trwodze, ani krzyki szlachty mazowieckiej, ani dumnych panów zażalenia i skargi nie wyrwą jej z rąk moich. Kocham ją, ją pierwszą kocham, a taką miłością, że wszystkoby dla niej poświęcił i oddał. Ona wzajemnie mnie tylko polubiła, gardzi moim bratem. Niech tam sobie Mieczysław teraz gryzie wargi, niech zobaczy, jak przychylnego ma we mnie brata!

— Ale upamiętaj się, książę i panie mój! — rzekł Mestwin głosem, w którym już nie znać było tyle uszanowania, ale raczej przekonanie, że słuchający ulegnie danej radzie — upamiętaj się! Dla dogodzenia twym żądom naraziłem się na setne niebezpieczeństwa, nie pierwszą już poryvam dziewicę, nie jednego już zabiłem rycerza. Dopóki widziałem, że dopełnienie twych chęci może tylko przyjemność i rozkosz ci zjednać, wszystkich twoich słuchałem rozkazów. Nie straszyły mnie przeszkody, ni liczne trudności. Ale nadszedł teraz czas pełen zamieszania i kłótni. Ojciec nieprzychylnym na ciebie patrzy okiem, a mały Bolesław z swoją szabelką i zbroją wszystkie jego chwile zajmuje. Panowie Mazowska dają się codzień słyszeć z gło-

śnemi skargi. A któż jest celem tych żalów, tych przekleństw? Książę Zbigniew i zawsze książę Zbigniew. Teraz już przepaść bezdenna otworzy się pod twoimi krokami, jeśli sędziwy Wszebor i rozkochany Mieczysław dowiedzą się, że piękna Hanna, nadzieja ojca, podpora jego starości, uwiedziona przez pana mego i księcia, przemieszkuję w Płocku i tam w ukryciu dni pędzi ze szczęśliwym kochankiem.

— Mężem, mów lepiej — przerwał mu Zbigniew — spodziewam się, żeś nie zapomniał na dzisiejszą noc uprzedzić kapłana! Bo postanowiłem oddawna dzisiaj jeszcze się z nią na wieki połączyć.

— Nie zapomniałem — odparł Mestwin — ale choć twoje rozkazy tkwiły mi w pamięci, nie uczyniłem im zadość, bom sądził, że nie mogę ich wykonać bez ujmy czci i sławie mego pana i księcia.

— Od jakiegoż to czasu — zawołał gniewnym Zbigniew głosem — śmiesz sprzeciwiać się mej woli? Jeśli mogą się wasale w Niemczech lub na Pomorzu przeniewierzać panom swoim lennym, wiedz, że nie taki jest u nas zwyczaj, nie taki, na Boga i Najświętszą Pannę, nie taki, na wszystkich Świętych! Bo u nas, panów polskich, miecz zawsze jest przy boku i prawica skora do jego wydobycia!

— Poskrom gniew niepotrzebny! — odparł Mestwin. — Na ileż przykrości, na ileż niebezpieczeństw odważałem się dla ciebie! Czym kiedy nie był posłuszny najmniejszym twoim chęciom? Ale wszystko nam teraz grozi. Władysław, pan tego kraju, nie jest panem, ani królem, ani książęciem. Zasiada na tronie, ale na tem kończy się jego władza. To Sieciech, wojewoda krakowski, to Wszebor, to Skarbimir z Gulezowa rządzą jego unysłem, a wszyscy tobie nienawistni. Jakże chcesz w takiej chwili pojąć za żonę córkę Wszebora, narzeczoną brata? Ojciec się twój dowie, a Wszebor podszeptnie mu przekleństwo na ciebie, a tysiąc mieczów, skierowanych w pierś twoją, wzieśnie się na głos

Mieczysława. Znasz go dobrze, wiesz, jak dzielny, jak zakochany w Hannie. Zachował dumę wygnanego ojca, a ręka jego przypomina prawicę, która odnowiła szczerb na złotej bramie Kijowa.

— Stój! czyś zapomniał, że i w Zbigniewie krew bohaterów płynie? czyś zapomniał moje walki i zwycięstwa? Dopiero 24. rok życia mego liczę, a mógłbym ci nierównie więcej narachować rycerzy, poległych pod mojemu ciosy.

— Panie — ozwał się znów Mestwin — i komuż opowiadasz swe czyny? Temu, który je widział i dziwił się nad nimi? Ale posłuchaj mojej rady, ona cię zbawi, nie rzucaj się na sztylety nieprzyjaciół!

— Cóż więc mam czynić?

— Chcesz się ożenić? — odparł Mestwin ze śmiechem szyderczym — po cóż? Zrób kilka obietnic dziewczynie, kilka słów miłosnych wyrzecz, a posiędziesz przedmiot najgorętszych pragnień! Tym sposobem unikniesz gniewu ojca i tysiącznych nieprzyjemności; bo ona cię nie wyda, a nikt ciebie do wyznania nie będzie mógł przymusić. Po kilku miesiącach zostawisz ją, a...

— Precz mi, szatanie! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — precz mi z taką radą! Takież to wam dają nauki w szkole rycerstwa w Niemczech? takichże to zasad się uczycie po dworach najświetniejszych Europy? Prawda, że moje serce skażone, że moja dusza wieloma obciążona zbrodniami, prawda, zdradą i otwartym bojem zabijałem podobnych sobie, prawda, uwodziłem dziewczyny, zrywałem ugody! Ale została się iskra cnoty w mojem sercu. Nie, nigdy nie pójde wskazaną od ciebie drogą! Ona mnie tak kocha, ona tak niewinna! Jazby miał pograżać ją w nieszczęściu, okrywać hańbą najciotliwszą, najpiękniejszą Mazowsza dziewicę? Nie, tak mi dopomóż Boże i szablo moja, nigdy Zbigniew, książę polski, tego nie uczyni!

To mówiąc, klął przed krzyżem, złożył ręce, zbrojne w żelazne rękawice, i wzniosł oczy do nieba. Była to chwila,

w której Zbigniew najszlachetniejszym był może w ciągu całego życia. Stał za nim Mestwin i szyderczym wzrokiem poglądał na schylonego księcia. Oczy jego zdawały się mówić: »Darmo wzywasz Boga, musisz mnie posłuchać!«

Powstał po chwili Zbigniew i rozkazującym rzekł do Mestwina głosem:

— Jeśli chcesz dłużej pozostać w naszej łasce, wykonaj śpieszno nasze rozkazy! Niech dzisiaj wieczorem w kaplicy mego zamku czeka na nas kapłan i Hanna! Bo takżeśmy postanowili i nie cofniemy na krok naszego zamiaru. A później nie odzywaj się, rycerzu, z tak nieostrożnemi mowy!

— Nie są nieroztropne i owszem — odparł do żywego tknięty Mestwin. — Władysław, twój ojciec, musiał pójść za podobną radą przed 24-ma latami.

— Szatanie podły — krzyknął Zbigniew i rzucił się na Mestwina z rozognionem okiem, z rumieńcem na twarzy — obmierzły sługo, i ty będziesz przymawiał panu, z którego łaski żyjesz!

To mówiąc, szeroką prawicą ścisnął tak silnie Mestwina za garło, że aż zgięła się zbroja, pokrywająca mu szyję. Usunął się Mestwin, z początku chciał dobyć miecza, ale po chwili namysłu odjął rękę od szabli i tak się z gniewem odezwał:

— Zatrzymaj się, mości książę, ani kroku dalej, bo poczujesz ostrze niemieckiego żelaza! I ja, rycerz Mestwin z Wilderthalu, takżeżem miałem się spodziewać nagrody za zasługi i poświęcenie bez granic? I ja, pasowany na rycerza przez cesarza rzymskiego, przybyłem do Polski, żeby znosić obelgi od Zbigniewa? Nie myśl, że przestałem być wolnym człowiekiem i żem się zamienił na twego sługę lub niewolnika! Karę ostremi słowy lub żelazem poddanych lub wieśniaków, ale nie tak porywczo wpadać na rycerza, wsławionego po turniejach Europy! Nie myśl, bym szukał mojem słowy czynić krzywdę twojemu rodowi! Niedawnemi

jeszcze laty ów sławny Wilhelm wyprawil się z brzegów Francyi i posiadał tron angielski, a czemuż on był? Podobnym do ciebie księciem, a nie brał sobie tego za obelgę. Owszem, potężny pan Normanów, zasiadłszy na tronie, mianował się nieprawym synem ojca swego i gardził obywatelami słabszych lub dumnych panów. Szczerze i otwarcie postępowałem z tobą. Szukałeś mojej rady, dałem ci ją, a teraz odchodzę, bo nie potrzebuję opieki książąt polskich, bo o tęż opiekę nie chcę się starać, bo w tym mieczu znajdę dla siebie opiekę i sławę. Byłem twoim przyjacielem, zerwałeś wszystkie nasze związki, żegnam cię. Nie pomogą ci obelżywe słowa, ni groźby, bo widziałem już w życiu gniew mocarzów, a jednak przed nimi nie cofałem kroku.

To mówiąc, położył nogę na strzemieniu, ale, wsiadając na konia, oglądał się na Zbigniewa, wiedząc, że ten bez niego obejść się nie zdoła.

Zbigniew bowiem, choć walecznego był serca i niesłabej duszy, nie mógł pozbyć się Mestwina. Uważał go oddawna za najlepszego przyjaciela i najwierniejszego doradcę. Trzeba tu oddać sprawiedliwość rycerzowi niemieckiemu; kochał on swego pana, o ile jego serce kochać go mogło, serce, zbrodniami i brzydkimi skażone namiętnościami. Pragnął nadewszystko swego wywyższenia, a zatem i potęgi Zbigniewa, której część zawszeby się na niego złała. Dlatego teraz odradzał księciu zameęcie z Hanną, upatrując w tem przyczynę gniewu Władysława Hermana i zgubnych zamachów Mieczysława i Wszebora.

Zresztą we wszystkich okolicznościach dopomagał Zbigniewowi to radą, to orężem, nakłaniał jego umysł to do podstępu, to do szlachetności, to do cnoty; ale niedobrze teraz wyrachował swój wpływ na księcia, bo syn Władysława Hermana, choć w późniejszych czasach niejedną skalał się plamą, choć już teraz niejedną popełnił zbrodnię, zachował jeszcze część szlachetności dzielnych pradziadów

i brzydził się zdradą tem bardziej, że najgorętsza miłość wymownie mu ją pod najbrzydszem wystawiała światłem.

Mestwin więc zabierał się do podróży. Ostatni raz rzucił wzrokiem na Zbigniewa, niewzruszenie stojącego na miejscu, a ten wzrok, biegły w sztuce udawania, przeszył wyrzutami serce księcia. Ostatnie to pożegnanie przyjaźni, choć nieme, zniszczyło gniew w jego duszy; rzucił się i zatrzymał Mestwina.

— Rycerzu! — rzekł — jakem cię obraził, tak gotów jestem, jak to każdy czynić powinien, spróbować się z tobą. Może w mojej krwi znajdziesz ulgę poniesionej krzywdzie. Wyznacz miejsce i godzinę, a mój pałasz zetrze się z twoim!

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin — dosyć mi na tem, żeś poznał niesprawiedliwość swojego uniesienia. Przebaczam ci z głębi duszy i gotów jestem na twoje rozkazy.

— Więc daj mi radę, ale nie tak szkaradną!

— Milczę, mości książę, nie chcę twojego ponawiać gniewu.

— Słuchaj, Mestwinie, powiedz mi, kogo mam zabić, a zabiję, wskaż zamek i rzeknij: »Niech będzie spalony!«, a wnet pochłoną go płomienie. Bo wiem, żeś do mnie przywiązany, jak klinga do rękojeści, bo wiem, że radzisz mi dla dobra mego, ale w tym jedynym przypadku nie usłucham cię. Stała jest moja wola, jak kamień grobowy, leżący pod tym krzyżem. Nie uwiodę Hanny, będzie ona moją żoną, przysięgam na Boga i na krew św. Biskupa! Nie dlatego, żebym, jak słabe dziecko lub niewiasta, cofał się przed zbrodnią, ale dlatego, że moje serce pierwszy raz kocha i kocha niebieskim ogniem. Nie chcę piekielną zdradą niszczyć anielskiego szczęścia. Tak, Mestwinie, wyrzekłem i niech się stanie mojej woli zadość! Przywiedź kapłana! Wobec nieba przysięgnę jej niezłomną wiarę.

— A potem ogłosisz przed całą Polską i wobec ojca,

żeś pojął za żonę córkę Wszebora, pana Ciechanowa i znacznych posiadłości?

— To co innego, przyjacielu. Zaczekam, aż, przygniótłszy za twoją pomocą dumnych panów, miłości ojca nie pozyskam. Wtenczas wobec świata całego, przed zuchwałemi lennikami, wyprowadzę Hannę. U stóp tronu odbiorę błogosławieństwo Władysława, a lud uradowany wołać będzie: »Długie życie księciu Zbigniewowi i nadobnej Hannie!«

— Marzenia młodości! — przerwał Mestwin. — Ale ponieważ to ma twe szczęście ustalić, wykonam dane mi rozkazy. Dzisiaj w nocy przy ołtarzu czekać na ciebie będą: kapłan, Mestwin i Hanna. Ale jedźmy do Płocka, pokaż się ojcu! Wszebor już pewno zaniósł swe skargi do niego. Mieczysław lata po zamku z dobytym orężem. Nie daj się przestraszyć!

— Przestraszyć? — zawołał książę, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu. — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć.

— Chciałem powiedzieć — odparł Mestwin — bądź ostrożnym, ale siadaj na koni i jedźmy! Powiesz zapewne ojcu, że wracasz z swojego zamku i że cię łowy zatrzymały, bo nie radziłbym wspominać o tym Ottonie de Strontheim.

Zbigniew ścisnął rękę towarzysza, dosiedli koni. Przeżegnał się przed krzyżem książę polski, niemiecki rycerz się rozśmiał i oba wyruszyli.

ROZDZIAŁ II.

. Wcześniej się zasłona rozdarła,
I ojczyzna i wdzięczność w twym sercu umarła;
Idź, ani pragnę w dalszych zarzutach się szerzyć,
Ni przywozić

Władysław pod Warną.

W zamku Płockim, w niewielkiej komnacie, siedział sędziwy Władysław Herman na szerokim krześle, złotemi poręczami opatrzonem.

Piękne rysy, żadnym nie ożywione ogniem, zdaleka go czyniły podobnym do martwego posągu. Broda biała spływała na piersi. Suknia z czarnego aksamitu szerokimi aż do nóg obwijając go fałdy, a obraz Najświętszej Panny, zawieszony na łańcuchu złotym, błyszczał mu na piersiach. Na blizkim stole leżało berło, miecz i korona, wśród mnóstwa rozrzuconych obrazków świętych i drogich relikwii.

Pokój nie lśnił się złotem ani bogatemi obiciami. Rozwieszone po ścianach krzyże i obrazy świętych świadczyły o bogobojności króla polskiego (choć go bowiem późniejsi dziejopisowie już księciem mianują, Polacy, żyjący za niego, nie przestawali go darzyć imieniem króla). Ciasne, wysokie okna rzadkie promienie słońca przepuszczały przez malowane szyby, wystawiające śmierć i mękę Zbawiciela. U stóp królewskich, na aksamitnej poduszce, siedział mały Bolesław, później Krzywoustym przezwany.

Czasem wstawał i, biegnąc po pokoju, małą wywijając

szablą. Z prawej strony krzesła królewskiego stał młodzieniec nadobnej twarzy, świetnego ubioru, płomienistych oczu, z lewej zaś starzec, którego twarz, okryta bliznami, pełną była grozy i surowości. Choć wiekiem styрани, ciężki miał pancerz na piersiach, pomimo zmiany, zaszłej za Bolesława Śmiałego w uzbrojeniu rycerstwa. Miecz wisiał u boku, a w ręku trzymał podługowatą czapkę, podbitą wewnątrz żelazną blachą. Do niego król najczęściej się obracał i w te przemówił słowa:

— Wierny nam Wszeborze, zaręczamy ci słowem królewskim, że zbrodniarz odbierze należyłą karę i że wszystkich środków za pomocą Boga i Najświętszej Panny użyjemy do jego odkrycia. Niemasz żadnych śladów? Czy nie wiesz, z jakiej strony przybył i gdzie się udał? Rzeknij, a natychmiast rozpoczniemy śledztwa i poszukiwania!

— Najjaśniejszy panie, nie mogę nikogo oskarżać. W ciemnej nocy porwali moje dziecię i, ledwo głos »do bronil« rozległ się po dziedzińcu zamkowym, już jej nie było. Skoczyli moi do oręża, ale nikogo nie ujrzeli. Wszystko nieprzyjaciel przewidział z szatańską przezornością. Łódki przyjęły zbrodniarzy i znikły, do mgły zwodnej podobne. Ach, miłościwy królu, jedną tylko miałem córkę, dziedziczkę dawnej sławy i zamożnych włości! Twój synowiec, a tu przytomny książę Mieczysław, o jej ubiegał się rękę. Miałem nadzieję, że przed zgonem ujrzę spełnione szczęście mojej Hanny, ale Bóg ukarał mnie za grzechy i straciłem najdroższy skarb po ojczyźnie.

— Stryju mój! — zawołał młody Mieczysław — nie trzeba tu zwlekać, rycerzy i moich ludzi zebrać kazałem; na czele ich pójdę szukać wyrwanej z rąk moich narzeczonej, a śmierć i zaguba temu, który ją śmiał wydrzeć synowi Bolesława!

— I ja pójdę z tobą — przerwał mały Bolesław.

To mówiąc, dobył szabelki, stanął naprzeciwko ojca,

a w oczach dziecinnych znać było już męstwo, które późnziej w czterdziestu bitwach zgromiło nieprzyjaciół Lechii.

— Jeszcze dosyć będziesz miał czasu przypatrzeć się kłęskom i mordom — rzekł Władysław — a ty, synowcze, zanadto porywczy jesteś. Czyż nie możesz poczekać na przybycie Zbigniewa, którego co chwila się spodziewam? Roztropny jego towarzysz, Mestwin, dobrą zapewnie nam da radę.

— Zbigniew! — powtórzył Mieczysław.

— Zbigniew! — powtórzył Wszebor, a na twarzy ich obu malowała się niechęć i nieufność.

— Nie lubię Zbigniewa — zawołał syn królewski — niedawno prosiłem go, ażeby mi pożyczył sztyletu na kilka godzin, a on pojrzał na mnie i odmówił tej broni, zowiąc mnie dzieckiem. Ale pokażę mu — dodał przyszyły bohater, uderzając o rękojęść małego pałasza — pokażę mu, kiedy dorosnę, czy tak z bratem obchodzić się trzeba!

Słaby król pozostał na chwilę w milczeniu i smutku, widząc niechęć, którą otaczający go pałali ku synowi, choć wiedział dobrze, że jest zasłużona. Wtem otwarły się drzwi pokoju i wszedł Zbigniew z Mestwinem, oba w zbrojach i okryci kurzem.

— Witam cię, najjaśniejszy panie i ojcze, dobry dzień, bracie! Witam cię, Wszeborze! — Po tych słowach przysunął krzesło Zbigniew i usiadł, ocierając pot z czoła. Mestwin stanął za nim.

— Dawnośmy cię nie oglądali — rzekł Władysław — i wcale nie wiemy i domyślać się nie możemy przyczyny nieprzytomności twojej, mimo często posyłanych do ciebie gońców z rozkazem, żebyś natychmiast tu stanął.

Dotąd chciał słaby ojciec i słabszy król jeszcze utrzymać swoją powagę, ale, widząc twarz kochanego syna, wyrażającą wewnętrzne boleści i długie znużenie, łagodniejszym dodał głosem:

— Nie chcemy cię jednak o to winić, ulubiony synu, bo wiemy, że ważne często zajmują cię sprawy.

Odplacił dobroć ojca Zbigniew zimną odpowiedzią:

— Byłem na łowach, a wiesz, ojcze, że kiedy moje psy gonią jelenia lub dziką, nic mnie od boru oderwać nie zdoła.

— Ale teraz nie o łowach mowa, bracie! — zawołał srogim głosem Mieczysław. — W wielkiej jesteśmy niepe-
wności. Zdarzył się wypadek, mogący wielkie ściągnąć kłę-
ski; ponieważ przybyłeś z Mestwinem, waszej wymagamy
rady.

— Co wam po moich lub Mestwina radach — odparł Zbigniew, domyślając się, o czym będzie mowa — kiedy tak często bez nich obejść się możecie?

— Ale teraz nie chcemy się bez nich obchodzić — prze-
rwał mu Wszebor — bo tu idzie o zhańbienie domu i ro-
dziny, zasłużonej na Mazowszu, bo tu idzie o śmierć, sławę
i życie!

— Słucham więc — rzekł Zbigniew, pokrywając naj-
sroższą mękę pozorem lekkomyślności — słucham tej tak
ważnej sprawy.

Wszebor i Mieczysław opowiadali więc Zbigniewowi, jak
niecni zbrodniarze porwali i unieśli Hannę. Mieszali do
swego opowiadania tysiączne przeklęstwa i pogrożki; to
gniew, to zawiść miotaly jego sercem, czuł jednak, że
trzeba udawać dla ocalenia siebie i Hanny.

Ale kilka razy, podczas długich skarg i uzaleń Wsze-
bora, już mu nie stało cierpliwości, i gdyby nie Mestwin
go wstrzymał, wstałby i, pogardzając nieprzyjaciołmi, z dumą
na czołe wyznałby czyn popełniony i oświadczył, że gotów
jest bronić oblubienicy do ostatniej krwi kropli.

Nareszcie ozwał się Władysław Herman:

— A my, synu, postanowiliśmy dołożyć wszelkich sta-
rań dla wykrycia złośliwych i szkaradnych ludzi, którzy
śmieli taki gwałt popełnić. Spodziewamy się, że i radą
i orężem dopomożesz wykonaniu naszej woli i wyprawie

twego tu przytomnego brata, a naszego synowca, który sobie zamierza ścigać ogniem i mieczem podłych i zbrodniczych wykonawców czynu, pogrążającego w smutek najgłębszy i księcia naszego domu i zacnego znacznych posiadłości pana.

Ale widząc, że Zbigniew brwi zmarszczył i ścisnął wargi:

— Nie chcemy cię jednak przymuszać, synu. Możesz słaby na zdrowiu. Możesz długą zmęczony podróżą. Zostań, bo dalecy jesteśmy od wszystkiego, co by mogło szkodzić naszemu Zbigniewowi!

— Anim znużony, ani słaby na zdrowiu, najjaśniejszy panie i ojciec mój! — odparł Zbigniew, powstając i pozierając okiem pogardy na Mieczysława i Wszebor. — Ale dziwi mnie, że tak długo poważnego brata zajmować może porwanie jakiejś dziewczyny. Z początku sądziłem, że idzie tu o dobro kraju, o ocalenie Polski, sądziłem, że niebezpieczeństwo grozi naszej ojczyźnie, i już gotowy byłem do zdobycia miecza w obronie kraju i ojca mego. Ale teraz dowiaduję się, że celem tej narady, że zatrudnieniem syna Bolesława Śmiałego jest jakaś dziewczyna, porwana przez nie wiedzieć kogo i nie wiedzieć kiedy! Niechże ją sobie ojciec szuka po Polsce, ale niech nie przychodzi zatrudniać próżnemi skargami umysł króla, ważniejszymi zajęty sprawy!

— Jakaś dziewczyna! — powtórzył Wszebor i najżywsze uniesienie, żal najżywszy twarz mu zachmurzył. — Cóż to, mości książe, czy sądzisz, że życie i sława córki są obojętną dla ojca, że życie i sława Polki są obojętną dla króla rzezcą? Gdzieżeś takich uczył się nauk? Czy dzicz pruska lub pomorska w twojem sercu tak piękne zaszczepiła uczucia? Wiedz, Zbigniewie, że król sprawiedliwy winien się ująć za pokrzywdzonym poddanym i oddać mu sprawiedliwość, choćby wyrokiem tej sprawiedliwości była śmierć własnego syna!

To mówiąc, rzucił Wszebor tak przenikającym na Zbigniewa wzrokiem, że ten się zmieszał i oniemiał.

— Bracie — ozwał się Mieczysław — nie waż się na dalszy czas z takimi oświadczać się słowy, bo wiedz, że dziewica, przedmiot naszych smutków i poszukiwań, miała być moją żoną! Z większem więc o niej winienesz mówić uszanowaniem! Z większem, na Boga, bo nie wiem, co mnie wstrzymuje, że cię jeszcze za tak bezczelne nie skarciłem zuchwalstwem!

— Niechże cię więc nie nie wstrzymuj! — zawołał Zbigniew, zapominając o przytomności ojca i o wszystkim, i dobył napół miecza.

— Synowcze, Zbigniewie, Wszeborze! — przerwał im nieszczęśliwy rozterkami krewnych i przyjaciół Władysław. — Czyż zawsze kłótnie i zatargi najmiłszymi wam będą? Kiedyż przestaniecie wzajemną niechęcią smucić dni moje i własne zatruwać szczęście?

To mówiąc, przycisnął do ust z pobożnością obraz Najświętszej Panny i podniósłszy oczy do nieba: — Królowo niebios — zawołał — i ty, święty Piotrze i Pawle, wdajcie się do Syna Bożego za nami, wdajcie się do Boga świata! Niech kłótnie, zajazdy i niezgody przestaną rozrywać Polskę, niech wszyscy moi poddani, połączeni węzłem pobożności i cnoty, dla Twojej tylko chwały, o Boże, żyją, dla Twoich Świętych chwały! — Przez chwilę trzymał jeszcze oczy wzniesione do nieba, potem obrócił się do Mestwina i rzekł: — Rycerzu, twojej rady roztropnej tu trzeba! Pozwólcie mu mówić, proszę was, moi mili!

— Jeśli taka twoja, najjaśniejszy panie, wola, to do brze — odparł Wszebor.

— Ja cię wyratuję — pocichu szepnął Zbigniewowi do ucha Mestwin i wystąpił na środek komnaty, uklonił się naprzód, a potem dźwięcznym głosem, z ułożoną postawą przemówił:

— Najjaśniejszy królu, i ty, książę Mieczysławie, i ty, stroskany ojcze, jedyną macie w pośpiechu i ořeżu nadzieję. Daleko już zapewne za Płock unieśli twą córkę zbrodnia-

rze. Każcie więc osiodłać konie i weźcie się do szabel! W szybkiej pogoni, w dzielnem natarciu cała wasza otucha. Ślady bez wątpienia znajdziecie po drodze, a zdrajca legnie pod waszymi ciosy. W Płocku darmobyście jej szukali, bo jakże można myśleć, aby zbrodniarze przybywali wobec króla i walecznych, otaczających go, rycerzy, przechwalać się z podłego i karygodnego czynu? Powtarzam więc jeszcze raz: pośpiech jeden tylko w tej sprawie waszą sławę i najdroższy skarb ocalić potrafi.

Zamilkł Mestwin, ale mówił z takim pozorem szczerości, że Mieczysław zbliżył się do niego i podziękował, że Wszebtor rękę mu ścisnął. Wszystkie podejrzenia na Zbigniewa znikły na chwilę z ich myśli, kiedy przekonali się, że jego towarzyszy i powiernik tak się ujmuje za ich krzywdy i tak zbawienne daje rady.

Pożegnali się z królem książę Mieczysław i ojciec Hanny, idąc gromadzić zbrojnych ludzi.

— Naszą jest wolą — rzekł słabym głosem Władysław — żeby uniknąć, o ile będzie można, krwi rozlewu i oszczędzać życie naszych poddanych.

— Ja zaś, mój stryju — odparł żywo Mieczysław — wyrwę, choćby po krwi strumieniach, oblubienicę z rąk wrogów.

— Żegnam cię, miłościwy mój królu — ozwał się Wszebtor — i przyrzekam ci, że jako Polak przeciw Polakom walczyć nie pozwolę, chyba, że sława córki wymagać niezbędnie tego będzie. Mam nadzieję, że wkrótce ją do twoich stóp przywiodę.

— Czy Zbigniew się z wami także oddała? — zapytał Władysław.

— Jak chce — krzyknął Mieczysław.

— Jeśli tak, to nie chcę — odparł Zbigniew — i zostanie z Mestwinem przy zmartwionym ojcu.

Długo milczał król polski; Zbigniew, siadłszy blisko

niego, założył ręce na piersiach i spuścił głowę, a Mestwin w oddalonym kącie bawił się z małym Bolesławem.

Nakoniec Władysław Herman do syna swą mowę obrócił:

— Zbigniewie, synu ukochany, ilem-że już razy cię upominał, ilem razy błagał jako ojciec, rozkazywał jako król polski! Czyż nigdy nie przestaniesz gwałtów i krwi rozlewów, czyż zawsze będziesz postrachem dla ziomków, hańbą dla ojca, wrogiem dla niewinności? Prawda, Bóg ci dał odważne serce i prawicę, do bojów nawykłą, ale do bronienia ojczyzny i cnoty, nie dla napadania na braci, na krewnych, na współobywateli. Gorzkim żalem zatruwasz mą starość i muszę przeklinać dzień, w którym poznałem twą matkę; upamiętaj się, Zbigniewie, przestań zdzierstw i kłótni! Stań się prawym mężem, godnym ojca, króla Lechii, godnym dziadów walecznych i cnotliwych! Widzisz, do czego namiętności brata i poprzednika mego przywiodły. Bolesław, tułacz z mocarzą, przeklęty z błogosławionego, zginął marnie wśród najpiękniejszych nadziei i najświetniejszych powodzeń. Czyż i ty chcesz podobnego doznać losu?

Na te słowa żywym rumieńcem pokryła się twarz Zbigniewa. Powstał i, przechodząc się po komnacie, urywane wymawiał słowa:

— Do szatana, czyż nigdy tych kazań nie zaprzestanie? Czy bierze mnie za mnicha lub niewinną dziewczynę? Na Boga, jakżem znudzony!

— Znudzonyś, wyrodny synu! — zawołał król rozgniewany. — Znudzonyś łagodnemi rady, kiedy surowe mogą ci dać rozkazy, kiedy na mój głos tysiąc mężów się uzbroi na twoję karę i zagubę!

Zamknął Władysław, widząc iskrzące się od wściekłości oczy Zbigniewa, bo czuł aż nadto, że z trudnościąby mu przyszło uiszczyć wyrzeczone groźby.

— Zbigniewie, Zbigniewie, czyż przyjdzie mi — dalej ciągnął Władysław — jak królowi Hebreów zawołać na ciebie: »Absalon! Absalon!« i oddać cię wściekłości nowego

Joaba? Upokorz się, dopóki czas jeszcze, bo jakiś głos mówi mi w duszy, że porwanie Hanny nie bez twojego zaszło udziału!

— Upokorzyć się, najjaśniejszy panie — odparł zmieszany Zbigniew — jest nieznaną mi rzeczą. Ale daję ci słowo, że nic nie wiem o Hannie.

— Wierzę — przerwał mu król rozczulony — słowo syna i rycerza, pasowanego mieczem, tu obok leżącym, dostatecznem jest dla mnie.

Zbigniew, widząc dobroć ojca, oniemiał. Smutek i zgryzoty szarpały mu serce. »I ja — pomyślał — który tylekroć oparłem się burzom i gniewom, teraz kłamię, jak słabe dziecko, dla uniknienia chłosty: ale taka rada Mestwina, cóż robić?«

— Chodź, synu, w moje objęcia, niech będzie zgoda między nami! Wtenczas nikt czoła podnieść się nie ośmieli i oba, węzłem zgody połączeni, straszni będziemy wrogom...

Rzucił się Zbigniew na piersi ojca i z prawdziwem uniesieniem ścisnął rękę królewską.

— Chodź, Bolesławie — zawołał Herman — pogodzić się z bratem!

— Nie chcę — odpowiedziało dziecko — dawniej go o pożyczanie sztyletu prosiłem. Teraz, jeśli mi go daruje, może się z nim pogodzić.

— I ty także wszczynasz kłótnie! — zawołał nieszczęśliwy monarcha i łza smutku spłynęła na głowę Zbigniewa, który po chwili, pożegnawszy ojca, wyszedł z Mostwinem.

ROZDZIAŁ III.

Walter pojął Aldonę; Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach,
Gdy się rycerze poženią, kończy trubadur piosenkę.

Wallenrod.

Zamek księcia Zbigniewa niedaleko Płocka wznosił się nad brzegiem szerokiej Wisły. Znacznie oddalony od królewskiego, wystawiał widok warowni, opatrzonej we wszystkie wojenne porządki. Z jednej strony rozległa rozciągała się równina. Z drugiej zaś toczyły się fale poważnej rzeki, w oddaleniu ukazywał się środek miasta, z którego wieże zamku królewskiego i kopuła kościoła katedralnego, jak dwa olbrzymy panujące, wznosiły się. Nie oszczędził niczego Zbigniew w własnym zamku, coby mogło służyć ku obronie. Dowodziły tego wysokie mury, szerokie baszty, liczne strzelnice, ogromny rów, opasujący zamek, most zwodzony, brama, opatrzona kratami żelaznemi i z dębowego drzewa zrobiona. Tą bramą wchodziło na obszerny dziedziniec, na którym stały stajnie dla koni orszaku księcia i budowle, na skład broni wszelkiego rodzaju i ubiorów służące.

Na środku dziedzińca wznosiła się szubienica, ostrzegająca każdego o losie, nań czekającym, gdyby się oparł woli możnego tych miejsc pana. Dalej ukazywał się wysoki gmach, w którym liczne pokoje służyły to dla Zbigniewa, to dla jego przyjaciół i znaczniejszych gości.

Wieże z ciemnymi lochy i okropnemi więzieniami strze-

gły obu stron gmachu i wszystko dowodziło, że, choć wśród pokoju, zawsze książę Zbigniew gotów był do walki i odparcia napaści, które mogły nań kiedyś sprowadzić jego postęпки i duma. Nie dziwiono się jednak temu, gdyż to było zwyczajem wtenczas w Polsce, że pośród nędznych domów drewnianych, składających miasta, często przedniejsi panowie i książęta zamki i gmachy warowne budowali.

I tak w Płocku oprócz zamku króla Władysława, księcia Zbigniewa i kościoła katedralnego wszystkie inne domy, do chat wieśniaczych podobne, były drewniane.

Pośród ciągłych klótni i rozruchów nie miał czasu ani sam panujący starać się o upiększenie miasta, ani mieszkańcy o to się nie ubiegali; owszem, panowie, chcąc utrzymać swoją powagę i potęgę, niechętnem patrzyli okiem na tych, którzy przy ich dumnych zamkach lepsze i porządniejsze wznosili domy.

Ale zamek księcia Zbigniewa teraz był pusty, choć już noc ciemna i pochmurna pokryła ziemię. Nie widziano w nim żadnego światła, tylko w jednym oknie migał się kaganiec i małą część murów przeciwległych bladawo oświecał i jeden tylko człowiek przechadzał się po dziedzińcu, uderzając pałaszem o kamienie, po ziemi rozrzucone. Słyszał on dzwony kościoła katedralnego, ogłaszające czas, przeznaczony na spoczynek, a jednak pozostał i wciąż szerokimi krokami w różnych kierunkach dziedziniec zamkowy okrążał.

Wtem silny, choć cichy głos zawołał: — Gierdo! — a natychmiast się odwrócił, pobiegł do bramy, mniejsze drzwi w murze otworzył i wpuścił męża wysokiego wzrostu i pięknej postawy.

— Stój na warcie, Gierdo — rzekł — a ktokolwiek tu przyjdzie, możesz go posłać do piekła!

— Dobrze, potężny mój panie — odparł sługa i podniósł ciężki topór — nieraz on mi już podobne wyświadczał usługi. Wypełniłem twoje rozkazy, córkę moją Katarzynę posłałem na usługi tej urodziwej pani, którą tu przywieźli. Ale gdyby

szło, potężny panie, o jakie morderstwo lub otrucie lub zdradę, mnie wyznacz, córki mojej nie namawiaj, bo serce jej dotąd czyste, jak serce anioła niebieskiego!

— Milcz, nie myślę nawet o tem! — odparł Zbigniew, którego czytelnicy zapewne poznali. Oddalił się, rzuciwszy kilka sztuk srebra usłudznemu mordercy i wszedł do zamku. Doskonale znał drogę i pomimo ciemności doszedł bez żadnego przypadku do komnaty, którą smutny kaganiec oświecał. Nie zastał tu nikogo, a zapaliwszy pochodnię, szedł dalej. Bładość, jego licom zwyczajna, zamieniła się w żywy radości i spełnionych życzeń rumieniec. Ogniste czarne oczy pałały miłością, kształtny i bogaty strój, napół ciemnym zakryty płaszczem, dodawał mu jeszcze piękności. Miał on na głowie aksamitną czapkę, okręconą kilka razy łańcuchem złotym, spiętym drogim nad czołem kamieniem, z pod którego białe wznosiły się pióra. Na piersiach nosił kolczugę, aż do kolan spadającą, której pierścienie, ze świetnej wyrobione stali, błyszczały tysiącznemi połyski. U pasa, wytwornie tkanego złotem i srebrem, wisiał z jednej strony miecz, nigdy nie opuszczający boku pana, z drugiej tkwił sztylet z kosztowną rękojeścią. Złote ostrogi zdobiły buty z giętkiej skóry, pokrywające stopy, które nieraz wśród pocisków i szczęku broni wdarły się na wysokie wały i najeżone rycerzami mury. Złoty łańcuch, oznaka godności rycerskiej, błyszczał na piersiach. W takim więc ubiorze szedł książę Zbigniew na spełnienie czynu, usprawiedliwiającego poczęści porwanie córki bez zezwolenia ojca.

Liczne komnaty, któremi przechodził, smutny wystawiały widok. Znać było, że już nikt ich nie zamieszkał oddawna, a nawet w tej części swego zamku nigdy nie przebywał Zbigniew i nigdy nie przyjmował gości. Te pokoje smutne, niezamieszkane, bronią i orężem, rozwieszonym po ścianach, nie zabawy ani wesele, ale srogie mordy i klęski przypominały. Tu szyszak, rdzą pokryty, z żalem odpierał promienie pochodni, nie mogące, jak dawniej, płomieni z niego

wydobyć, tu zbroja, okryta kurzem, na rogu jelenim wisiała. Tam znowu miecz poszczerbiony dowodził, że wytrwał długie wojny, tam kopia, oparta o ścianę, zdawała się żałować, że teraz w nieczynności, zapominając o bojach, musi się stawać pastwą zepsucia i czasu. Przybył nareszcie nasz bohater do szerokiej komnaty, żadnego nie mającej wyjścia, ale dobrze znajomy tajemnic swego zamku, zbliżył się do ściany i pchnął silną ręką żelazny gwóźdź, na którym wisiały rycerskie rękawice. W mgnieniu oka otworzyły się drzwi, tak przystające do ściany, że niepodobna było ich rozeznąć. Odkryły się wschody, na dół zstępujące; poszedł niemi Zbigniew i po jakimś czasie dostał się do komnaty, błyszczącej świetnymi obiciami i mnóstwem lamp srebrnych, u sklepionego sufitu zawieszonych.

Siedzenia, krzesła, stoły, największym wyrobione kosztowności, ozdabiały salę, podpartą rzędem marmurowych filarów, za którymi ukazywało się łóżko, purpurowemi zasłonięte firanki, które, w lekkich fałdach spadając na ziemię, kończyły się złotymi brzegami. Przy nim, na stole z dębu czarnego, stały pyszne naczynia, ozdobne drogiemi wschodu kamieniami. Kołowrotek z kości słoniowej z śnieżną wełną, do jedwabiu podobną, dowodził, że to było pomieszkane Hanny, kochanki, a za kilka chwil żony Zbigniewa. Z tej pierwszej komnaty, przeszedł książę do drugiej, równie świetnej, w której wszystko nagromadzono, co się oczom kobiety podoba. Kosztowne ozdoby, naszyjniki, drogie pierścienie zewsząd błyszczały, piękne obicia, tkane w złoto i srebro, pokrywały ściany, a Pismo święte, największa rzadkość w tym wieku, oprawne w skórę, leżało na hebanowej półce pod obrazem Najświętszej Panny. Dwie jeszcze podobne komnaty przeszedł książę i stanął wreszcie u drzwi żelaznych, na których wyrobiony był kształtnie wieniec cierniowy nad trupią głową. Za ich otwarciem ukazała się kaplica, oświecona rześkim światłem i strojna w obrazy świętych i pyszne narzędzia kościelne. Ołtarz z marmuru dźwigał ogromny krzyż srebrny,

a przy nim stał kapłan w zakonnym ubiorze, ze wzrokiem ku niebu wzniesionym, z założonemi rękoma na piersiach. Przy drugich drzwiach, wiodących wprost na brzeg Wisły, bo kaplica stała nad samą rzeką, opierał się o filar Mestwin w bogatym stroju ówczesowych rycerzy niemieckich, a po drugiej stronie ołtarza klęczała najpiękniejsza Mazowska dziewica.

— Przebacz, Hanno, moje kochanie! — zawołał książę — nie mogłem przyjść pierwej, bo mnie ojciec zatrzymał w swoim zamku. Ale zapewne z radością się dowiesz, że przychodzę połączyć się z tobą na wieki, pogodziwszy się z moim rodzicem i królem.

Na głos, tak dobrze znany, odwróciła się Hanna z Ciechanowa i okazała oblicze, godne zazdrości aniołów. Bładość, je pokrywająca, była skutkiem gwałtownych wzruszeń, doznanych od dni kilku, ale już z tą bladością miewał się powracający rumieniec, który zwyczajnie boskie jej wdzięki umiłał.

Ślodycz nadludzka odbijała się w niebieskich oczach i nadawała uśmiechowi jej twarzy powab, wszystko pociągający. Znać jednak czasem było we wzroku, że duma nie opuściła córki Wszebora i że pani Ciechanowa, że przyszła żona księcia polskiego, czuła swoją godność, czuła, że jej się należą hołdy i poszanowania, i to jej spojrzenie nieraz odparło lekkomyślne słowa Mestwina, nieraz pokryło zmieszaniem bezwstydnego jego czoło. Za ujrzeniem Zbigniewa powstała, zdało się, jakgdyby chcąc się rzucić w jego objęcia; wstrzymała się nagle i poważnym wyrzekła głosem:

— Zbigniewie, wykonywam, com ci obiecała, oddając ci rękę, i świadczę się niebem, jak i tobą, szanowny kapłanie, że z własnej to czynię woli. Niech więc kara moich grzechów na mnie tylko spada!

To powiedziawszy, zbliżyła się do Zbigniewa i, poglądając na młodzieńca okiem pełnem miłości: Za chwilę będę

twoją żoną — rzekła — za chwilę Hanna wieczną przysięgnie wiarę, którą ci oddawna w sercu przysięgła.

— Hanno! — zawołał książę — podaj mi rękę i klękniemy u stóp ołtarza, odtąd nic nas nie rozłączy!

Podczas obrzędu ślubnego stał Mestwin niewzruszony. Przewidywał on nieszczęścia, mające wypłynąć z tego kroku, i niechętnym patrzył okiem na czyn Zbigniewa. Ale kiedy zwracał wzrok na kapłana, oczy jego wyrażały coś zgubnego i okropnego, choć nie znać było w nich ani niechęci, ani gniewu, owszem, zdawało się, że zimny rozmyśl jego zamiarami kierował. Przy końcu modlitw, podczas ślubu odmawianych, wyjął sztylet i oglądał go z spokojną rozważą, potem zbliżył się do księcia i Hanny, odchodzących od ołtarza, i, oddawszy głęboki pokłon:

— Przyjm pani — rzekł — moje usługi, przyjm usługi tej ręki, nawykłej do bronienia twego męża!

Ale podczas tych słów nie mógł wstrzymać szyderczego uśmiechu, który tak był wydatnym, że Hanna odwróciła głowę. Tymczasem Zbigniew, wyjąwszy worek pełen srebra, oddał go swemu powiernikowi.

— Te pieniądze mogą mnie zapewnić o milczeniu. Jest to pewny sposób zachowania tajemnicy.

— Znam ja pewniejszy — odparł pocichu Mestwin i, znów się ukloniwszy, wyszedł wraz z kapłanem drzwiami, wiodącemi na brzeg Wisły.

W kilka chwil później usłyszano słaby krzyk i wkrótce potem łoskot, podobny do tego, jaki sprawia ciężkie ciało, wrzucone w wodę. Zadrżała córka Wszebora, Zbigniew mimowolnie cofnął się kilka kroków.

— Idź, moje kochanie — rzekł do żony — idź do swojej komnaty, ja zaraz za tobą pośpieszę!

Posłuszna radzie Hanna niepewnym oddaliła się krokiem, a Zbigniew sam został w kaplicy. Są chwile w życiu, kiedy człowiek, otoczony weselem i szczęściem, wśród przyjaciół, po osiągnięciu celu najgorętszych życzeń, przypomni nagle

swoje winy, przypomni nieszczęścia, mogące nań runąć, a wtenczas smutek okropny jest jego udziałem; trwa tylko przez jedną chwilę, ale ta chwila zatruwa radość serca, ta chwila jest piekłem. Właśnie w podobnem był Zbigniew położeniu. Sam wśród nocy, u stóp ołtarza, otoczony prze-
pychem i bogactwami, po dopełnieniu najżywszych pragnień, czuł jakiś ciężar na sercu.

Wszystkie klęski i niebezpieczeństwa, mogące nań się zwalić, stanęły mu na myśli, a choćby w innym czasie nie wzdrignął się na ich wspomnienie, uczuł teraz nieznośną, nadzwyczajną trwogę. Ujrzał przeklinającego ojca, ujrzał postawę Wszebora, wyrzucającego mu porwanie córki i widział Mieczysława pałasz, na swoją podniesiony głowę. Zobaczył najzaciętszych wrogów, przesuwających się przed oczyma, dawne, zatarte pamiętki ozwały się groźnie, popelnione występki tłumnie się gromadziły w jego umyśle. Chciał kilka razy wyrwać się z tego przykrego położenia, ale, jakgdyby przykuty, pozostać musiał na miejscu, głowę oparł o ołtarz, przy którym niedawno najżywsze czuł szczęście i pogrążony w rozpacz zapomniał o żonie. Zamknął oczy, nie mogąc znieść światła, błyszczącego w kaplicy, oświeconej licznymi lampami, których blask podwoił się, odbity od bogatych naczyń i bogatych krzyżów. Dopiero usłyszane kroki Mestwina wróciły mu przytomność i wstydzając się słabości, porwał się z miejsca, a udając najżywszą radość, poszedł ku niemu.

— A cóż — zawołał — czy pomogło srebro, czy nie wyda tajemnicy?

— Na co — odparł ze zwyczajnym uśmiechem Mestwin — na co tak drogiego używać kruszcu, kiedy nierównie podlej-
szym można wymódlć milczenie, i wieczne milczenie? — To mówiąc, pokazał panu swemu sztylet, z którego krew, świeżo wylana, kroplami spływała.

— Niepotrzebna zbrodnia — rzekł oziębło Zbigniew, który już odzyskał był moc duszy.

— Niemalą jest rzeczą życie człowieka — rzekł Mestwin — i gdyby nagle nie wymagała tego potrzeba, nie byłbym dni jego skracał.

— Mestwinie, zazdroszczę ci tak zimnej krwi, tak zimnego serca!

Po tych słowach roześmiał się Mestwin i pytał Zbigniewa o rozkazy, mówiąc, że zapewne teraz zechce sam pozostać.

— Wyszlij natychmiast gońców, Mestwinie — zawołał książę — do moich ludzi, do moich zamków, do moich przyjaciół; niech zaraz siadają na koń i tu przybywają! Trzeba nam się przygotować na wszelki przypadek. Może za kilka dni krew na tych dziedzińcach lać się będzie.

— Jużem wszystko przewidział i wszystko poczynił. Jutro, najdalej pojutrze, ten zamek napelni się ludźmi, gotowi umrzeć za księcia mego i pana. Ale najlepiej trzymać wszystko w skrytości i nikomu nic nie wyjawiać, może przejdzie burza i nie rzuci piorunu, o czym jednak bardzo po wczorajszych pogroźkach wątpię.

— Nieoszaczowany przyjacielu! — krzyknął Zbigniew, rzucając się w objęcia Mestwina — odprowadź mnie do pokoju żony!

Książę polski, wzięwszy za rękę rycerza, udał się do pięknej Hanny. Zastał ją klęczącą przy obrazie Matki Zbawiciela. Za przybyciem męża powstała i pośpieszyła na jego przyjęcie.

— Zbigniewie, nieznana trwoga opanowała me serce, całą mą duszę przeraziła. Czy nie spotkało jakie nieszczęście sługę bożego, który przed chwilą połączył nas na zawsze?

— Nie wiem — odparł Zbigniew — słyszałem jakiś łoskot.

— Zapewnie, pani — przerwał Mestwin — łoskot sprawiony rzuconemi pieniędzmi do Wisły przez tegoż sługę bożego, który mi powiedział, że nie potrzebuje zapłaty dla zachowania tajemnicy.

Słowa Mestwina, szyderczym wyrzeczone głosem, nową bojaźnią napelniły serce Hanny. Wtem zbliżył się do niej rycerz niemiecki i, uklękawszy przed nią:

— Witam cię, księżno — zawołał — witam cię moją panią! — i śmiałą rękę wyciągnął po rękę córki Wszebora.

Odskoczyła w tył o kilka kroków Hanna, ale Zbigniew prosił ją, by dała ten dowód łaski najwierniejszemu przyjacielowi.

— Chyba dla ciebie uczynię tę ofiarę — odparła księżna, oddając swą rękę rycerzowi, który ją z taką siłą do ust przycisnął, że aż krzyknęła przerażona Hanna, ale w tym krzyku znać było przerażenie, pomieszane z pogardą. Zrozumiał ten głos Mestwin, ścisnął usta, powstawszy oddał głęboki pokłon i odszedł. Została się Hanna sama ze Zbigniewem.

— Odszedł już — po chwili rzekła, jakgdyby ciężar jaki spadł jej z serca — odszedł — po tych słowach zamilkła, ale nagle porwała się z siedzenia, zbliżyła się do Zbigniewa i, porywając go za rękę, z okiem, pełnem rozrzewnienia, głosem przenikającym do duszy, z zapalem cnoty i miłości zawołała:

— Mężu mój, oddał chytrego powiernika, odrzuć zdrady i obłudę, dopóki czas jeszcze, odepchnij od piersi węża, nim w swoje zamknę cię kłęby, z których się już nie będziesz mógł wydobyć! Zbigniewie, uwierz przeczuciom mojej duszy! Mestwin grozi ci zagubą i nieszczęściem. Mestwin jest twoim najzaciętszym wrogiem. Zbierz całą moc twoją i uwolnij się od tego szatana, który pod pozorem przyjaźni mami twoje serce; wróć do spokojności i cnoty! Czy myślisz, Zbigniewie, żem nie spostrzegła twojego zadumania? Czy myślisz, że kiedy cię pierwszy raz poznałam, że kiedy przychodziłam do ciebie w borach ciechanowskich, czy myślisz, żem nie spostrzegła burzy, miotającej tobą? Ileż razy widziałam cię niespokojnym, błędne wymawiającym słowa! Ileż razy niepewny wzrok zwracałeś na mnie, a w tym wzroku znać

było srogie wspomnienia i srogie przyszłości przewidywania! Tak, mężu mój, Hanna wie, żeś wiele złego popełnił, wie, żeś przekroczył po wielekroć granice, nakazane ludziom od Boga, a jednak oddała ci serce i rękę, bo cię kochała nade wszystko, bo wiedziała, że jesteś szlachetnym i wielkim, bo wiedziała, że źli doradcy, że obłudnicy i podstępni doprowadzili cię do przestępstw i gwałtów. A któż do tego czasu nieprawne ci wskazywał cele? Kto wiódł twe kroki dotąd po drodze skażenia i zepsucia? Mestwin, Mestwin, on cię zamieniał, często szlachetnego i wzniosłego, na niskiego i niezgodnego rodu i sławy naddziadów.

— Hanno — odparł uroczystym głosem Zbigniew — nadszedł czas wyznania ci moich przestępstw i odkrycia serca, bo nie myśl, że chcę cię zwodzić! Nie, wystawię ci wszystko w prawdziwym świetle. Jedną tylko kochałem na świecie kobietę. Ty nią jesteś, a ta, dla której wszystko poświęciłem, dla której naraziłem się na przekłństwo ojca i mordercze zamachy wrogów, nie będzie nigdy miała prawa wyrzucać mężowi, że krył się pod pozorem cnoty i sprawiedliwości. Tak, Hanno, słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj słów, które jedna tylko na tym świecie usłyszysz i raz tylko w życiu!

Tu zamilkł Zbigniew i, jakgdyby coś sobie przypominał, dosyć długo dumał, oparty o filar, podpierający bogatą kolumnatę; nareście w te się odezwał słowa:

— Kochanko mego serca, żono ulubiona, jestem zbrodniarzem! Choć jeszcze młody, uniesiony namiętnościami, daleko już zaszedłem w drodze niesprawiedliwości. Raz podsycala mnie chęć sławy, to znów żądza zaszczytów i wielkości. Nie jednogom już tą ręką stracił z tego padolu nieszczęść. Zdradą pozbywałem się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności lub prośby pokonanego nieprzyjaciela. Wśród burzy i nocy zatapiałem mój sztylet w serca podobnych sobie, wśród biesiad i radości, w lśniących się puharach posyłałem śmierć w darze zawziętym na mnie. Ale przyjaźni,

dopóki mi wierną była, nigdy nie zdradził. Dlatego kocham Mestwina, bo nigdy mi się ani słowem ani czynem nie sprzeniewierzył. Tak, Hanno, tak, córko Wszebor, truchlejesz, ale jużes wyrzekła przysięgę, już moją jesteś, a choć trwoga twą duszę napelnia, widzę w twych oczach miłość dla Zbigniewa. Odtąd nasz los nierozłączony; jeśli zstąpię do piekła, i ty pójdziesz za moimi ślady, jeśli zasiędnę na tronie, i twoje czoło świetna okryje korona. A chociaż twój Zbigniew był mordercą, zbrodniarzem, chociaż wszystko, co może ciężyć na duszy człowieka, obarcza moje sumienie, musisz kochać mnie i kochać bez granic, musisz wszystko dla mnie znosić. Twe serce pała ogniem, wszystko pożerającym. Zapomnij o zbrodniach i oddaj się miłości! Dopelnilem mego obowiązku, znasz teraz Zbigniewa, a wiem jednak, żebyś mnie nie opuściła i za nic w świecie nie chciała rozłączyć się ze mną.

To mówiąc, przyłożył do ust żony gorejące usta i przycisnął ją do piersi z całem uniesieniem najgwałtowniejszej namiętności.

— Zgadłeś, mężu mój — zawołała Hanna — zgadłeś, miłość moja wszystkie względy przemaga, a choć może teraz wieczności brama zamyka się przede mną, nie odstąpię Zbigniewa! Ale możesz nas oboje jeszcze uratować, wracając do cnoty, poskramiając burze, miotające szlachetnem sercem. Upokorz się przed Panem niebios — dodała, wznosząc oczy i ręce ku niebu — zawołaj: »Panie, Panie!« a usłucha cię Bóg i okiem litości spojrzy na grzesznika!

— Już zapóźno, Hanno — odparł Zbigniew — już zapóźno! Zdalekom się posunął. Zbrodnia żadna mnie nie straszy, rzadko odzywają się zgryzoty sumienia, bo w ciągłej wrzawie, wśród wojen i bojów, zapominam o własnych winach, by nowe popełniać lub zaniedbane dokonywać jeszcze. Ale jeśli Bóg zechce, to spojrzy na mnie, jeśli to Jego wola, wyratuje mnie z tej toni, jeśli nie, niech się dzieje wola boża! Poświęcony-m na wszystko, na tej ziemi nieraz zno-

siłem rany i okropne boleści, nie przstraszyły mego serca zbrojnych wojsk tysiące ni miecze, na moją wzniesione zagubę.

Podczas tych słów jakiś rodzaj dumy rozjaśnił mu czoło, zaświecił w oczach; a po chwili kląkł na ziemi, złożył ręce i głosem, w którym odbijała się najżywsza wiara i największa pobożność, zawołał:

— Niech się dzieje wola twoja, o Boże!

Tak więc ten nieszczęśliwy młodzieniec brał za wolę Boga własne skażenie i pociąg do złego.

— Zbigniewie, Zbigniewie, cóż się z moim ojcem stało? — krzyknęła Hanna, nagle uderzona wspomnieniem — Ojczel! ojczel! — i padła na krzesło, obfite łyż lejąc.

— Twój ojciec, moje kochanie, szuka cię teraz z dobrym naszym bratem, księciem Mieczysławem, po okolicach Płocka, ale nie smuć się, Hanno, przyjdzie czas, w którym twój ojciec przyjmie cię na swoje łono i pobłogosławi córce!

Wtem nagle porwała się Hanna i upadła do nóg mężowi.

— Zbigniewie, znam przewagę twojej ręki i gniew gwałtowny twego serca. Ale zlituj się nad starcem, chcącym uratować córkę, on może myśli, że ją rozbójnicy porwali, że jest bliską utraty czci lub życia! Zlituj się, mój mężu, i przysięgnij, że nigdy, uniesiony gniewem lub zemstą, nie podniesiesz miecza na siwą głowę ojca twojej żony! — Pobiegła Hanna do półki i podniósłszy księgę: — Przysięgnij! — powtórzyła mdlejącym głosem w najsroźszym oczekiwaniu.

Zbigniew zbliżył się do stołu i położył prawicę na księdze.

— Przyrzekam ci przed Bogiem, na miłość, którą czuję ku tobie, że przytlumię w sercu zemstę, że poskromię gniew i że nigdy nie podniosę ręki ani dam rozkazu na uczynienie najmniejszej krzywdy ojcu mej żony.

— Zbigniewie, szlachetny mój mężu, otwórz boską księgę, a na każdej jej karcie znajdziesz, że Bóg rozkazał ludziom złe dobrem odpłacać! Jeszcze jest jeden człowiek, ku któremu pałasz nienawiścią. Zacznij od tego dnia powracać do

cnoty i przyrzecz podobnie, że nie będziesz go ścigał, że krewnego, że członka własnej rodziny nie zamordujesz!

— O kim chcesz mówić? — zapytał Zbigniew z dzikim spojrzeniem.

— O bracie twoim, o Mieczysławie.

— Lepiejbyś nigdy nie wymówiła jego nazwiska! — krzyknął książę, a w oczach jego odbijała się wściekłość i gniew najsroższy. Odepchnął daleko od siebie książkę, uderzył o rękojeść miecza. — Zapomnij — dodał srogim głosem — że Mieczysław żyje na świecie, bo wkrótce żyć przestanie! Pierwszemu człowiekowi od urodzenia darował swoje krzywdy Zbigniew za twoją prośbą, boś podobniejsza do anioła, niż do ziemianki, ale drugi raz już to się nie powtórzy. Zapomnij o nim, bo ile razy powtórzysz jego imię, o tyle chwil śmierć jego przyśpieszysz!

— Daruj mu, o Boże — zawołała Hanna — daruj mnie, żem się stała nieszczęść bliźniego przyczyną! Ale nie, nie tak źle sędzę o sercu Zbigniewa, usłucha on głosu i żony i cnoty.

— Nie, zginie Mieczysław. Śmierć jemu i wieczna zguba; — odparł książę — dopóki miecz mi wierny będzie, dopóki ta ręka zdoła udźwignąć oręż lub czarę, pełną trucizny, żadnej niema dla niego nadziei.

— Bądź jednak pewny — rzekła nakoniec Hanna — że nigdy nie przestanę wołać na ciebie: »Nawróć się, mój mężu, i pokochaj cnotę!« bo mi same nieba ten obowiązek wskazują!

— Dosyć już na tem, moja luba Hanno! — zawołał Zbigniew, przyciskając nadobną żonę do łona.

ROZDZIAŁ IV.

Gdzie ona, mów prędzej, gdzie ona?

Odyniec.

Musimy teraz opuścić Zbigniewa i przenieść naszych czytelników do jednej z komnat zamku królewskiego, w której kilka dni później siedział książę Mieczysław z Wszebor. przy stole, zastawionym dzbanami i puharami, pełnemi węgierskiego wina. Ich twarz oznaczała smutek i znużenie, pochodzące z męczącej wyprawy, odbytej w zamiarze szukania we wszystkich okolicach Płocka i Ciechanowa śladów Hanny, ale, jak łatwo się domyślić, nadaremnie.

— A teraz cóż począć? — rzekł smutnym głosem Wszebor. — Gdzież znaleźć, gdzież wysledzić zdrajców? O Boże, Boże, czyż nie ześlesz anioła dla wskazania drogi i odzyskania jeszcze nadziei opuszczonemu ojcu? Biedna moja Hanna bez wątpienia wdycha teraz za wolnością w czarnem więzieniu! I ja po tylu trudach takiej miałem pociechy się spodziewać? Po życiu, ojczyźnie poświęconem, po usługach, królowi oddanych, nie przyszło mi spokojnie umrzeć. W nadziadów moich zamku nie przyszło patrzeć na szczęście córki, Muszę się o jej życie, o jej sławę obawiać. Taki koniec przeznaczony był ostatnim dniom moim, ostatnie chwile miałem przepędzić w smutku i rozpacz.

— Powziąłem już stały zamiar — odparł młody Mieczysław. — Pójdę z wiernym mieczem, na lotnym moim koniu

szukać jej po Polsce, po całym świecie, jeśli tego będzie potrzeba, nie zdejmę zbroi, nie odkryję twarzy z pod ciężkiej przyłbicy, dopóki nie wynajdę najdroższej mi na świecie istoty; jeśli zginę, pocieszą mnie łzy twoje, wylane na przyjaciela grobie.

To mówiąc, ścisnął rękę starca, a błogosławieństwo strokanego ojca spłynęło na jego głowę.

— Sam szatan, sam duch ciemności musiał w to się wmieścić — rzekł po chwili Wszebor. — Tylu mam przyjaciół, tylu poddanych, którzyby mi donieśli, gdyby odkryli najmniejsze światło w tej ciemnej sprawie, a dotąd żadnego od nich nie odebrałem uwiadomienia. Milczenie i nieszczęście wszystko pokryło. Dzielna straż mego zamku tyle razy dała mi dowody męstwa, a teraz żadnego nie zabiła z przeciwnej strony, żadnego w niewolę nie pojmąła zbrodniarza. Powtarzam, władca piekieł musiał wdać się w tę sprawę.

— Choćby i tak było, choćby tysiące złych duchów przysięgło się na nasze nieszczęście, nie opuszczę twojej córki i mam nadzieję, że Bóg litościwy nie będzie chciał mnie karać za przestępstwa ojca. Choć jednak — dodał ponurym głosem — poznałem już oddawna, że jakiś los okrutny nieweczy wszystkie moje zamiary, niszczy najpiękniejsze nadzieje. Czyż jęki Stanisława niebiosą na mnie oburzyły? Czyż Rzymu przekłęstwa z ojca nieszczęśliwego na syna się zwały? Ale czemuż mam uleść trwodze? Czemuż mam odstąpić szczęścia i pomyślności? Nie, z sercem odważnem, z sercem ufmem w Boga, pójdę ją ratować i uratuję, lub nie posłyszysz więcej o Mieczysławie.

— Nie myśl, książę — rzekł wtenczas Wszebor — żebym ja córkę opuścił; i ja osłabłe ciało powlokę za tobą, i ja osłabłą ręką dobędę jeszcze szabli na obronę córki! Ale pierwaj jeszcze z królem się nam widzieć trzeba, odkryjemy mu nasze zamiary, a potem puścimy się na niebezpieczeństwa i walki.

— Zaiste, trzeba mi wprzód stryja zobaczyć, niech się tylko przebiore!

Ale wtem wszedł człowiek zbrojny i oznajmił, że Skarbimir z Gulczewa na czele nielicznego orszaku przybywa odwiedzić księcia.

— Dałbym wszystko — zawołał niecierpliwy Mieczysław — żeby się nie widzieć z tym chytrym króla doradcą, ale trzeba go przyjąć. Będę się starał jak najprędzej go pozbyć.

Po tych słowach usiadł książę na krześle, kazał zabrać wino i z należytą powagą przyjął wchodzącego Skarbimira, jednego z dwunastu radców królewskich i podskarbnika Władysława Hermana. Miernego ten pan był wzrostu, a choć jeszcze zgrzybiała starość ciężarem go nie przygniotła, schyłone miał ciało ku ziemi i wydawał się długimi pracami strudzonym. Twarz wcale za nim nie przemawiała; w małych, żywych oczach znać było chęć zysku i zręczną przebiegłość. Do włosów czarnych już siwe mieszać się zaczynały, ubiór nie odpowiadał wysokiej jego godności i licznym dostatom, rdza pokrywała rękojeść pałasza, suknia była wytarta, a obraz króla Władysława, zawieszony na miedzianym łańcuszku, spadał na piersi. Pierścień tylko złotem i drogiemi kamieniami błyszczał na wyschłej jego ręce.

— Siadaj, potężny panie z Gulczewa i innych włości! — rzekł Mieczysław, wskazując niższe od swojego siedzenie. Wszebor powitał go prawie nieznacznem schyleniem głowy, a Skarbimir, głęboki oddawszy pokłon, usiadł z uniżonością, dowodzącą, iż czuje, że jest w przytomności księcia krwi królewskiej; ale w chwili, kiedy Wszebor i Mieczysław od niego wzrok odwrócili, żywe jego oczy pokój przebiegły, uśmiech chwilowy zbladłe rozszerzył usta i najwyraźniejsza chytrość odbiła się na zwierciadle duszy — na zwiędłej jego twarzy.

— Najjaśniejszy książę! — ozwał się nareszcie — za dobry jesteś na sługę swego, wołając nań tak pysznem imieniem. Ubogi jestem i łaska tylko króla mnie wywyższyła. Za to też codzień, pomimo lichego majątku, daję na

mszę, prosząc niebios o zachowanie tak dobrego i mądrego pana.

Uśmiech niedowiarstwa był jedyną odpowiedzią Mieczysława.

Skarbimir drugi, jeszcze głębszy pokłon oddał Mieczysławowi, który znowu nic nie odpowiedział, a Wszebor brwi zmarszczył i poszedł do blizkiego okna.

— Ale — dodał Skarbimir — niebo usłuchało gorących prośb grzesznika i dzisiaj jeszcze raczyło mnie oświecić. Tak, mam pewne wiadomości o Hannie z Ciechanowa.

Te ostatnie słowa tak cicho wyrzekł, oglądając się na wszystkie strony, że ledwo je Mieczysław usłyszał; ale jak tylko imię kochanki obilo się o jego uszy, skoczył do pana Gulczewa i, zapomniawszy o znanej jego obłudzie, ścisnął mu rękę i zawołał:

— Mów prędzej, co wiesz!

— Mów — powtórzył Wszebor — mów jasno i bez niepotrzebnych przydatków, a nadewszystko nie mijaj się z prawdą, mości podskarbniku królewski!

— Jeśli książę mi pozwoli zawołać człowieka z mego orszaku, on najlepiej całą tę rzecz wyłuszczy.

— Zawołaj! zawołaj!

— Bardanie, do mnie! — krzyknął Skarbimir, a natychmiast wszedł człowiek zbrojny, wychudłej i posępnej twarzy. — Mów, coś słyszał i coś widział — rzekł Skarbimir — ale pierwaj drzwi przymknij!

— Na co ta ostrożność? — rzekł Wszebor — kto nam może mieć za złe, że chcemy znaleźć...

— Kto? ja wiem, kto — odparł podskarbnik, zmieniając swój głos na rozkazujący, bo wiedział, że trzyma w swej mocy słuchaczy. — Przymknij drzwi, zarygluj drzwi, Bardanie, zatknij dziurkę czemkolwiek, kawalkiem, obdartym od szaty, za którą ci książę Mieczysław wynadgrodzi, bo ja za ubogi jestem!

— Masz — zawołał Mieczysław, rzucając mu kilkanaście

sztuk srebra — tylko mów prędzej, prędzej, przyjacielu, jeśli dbasz o moje życie!

— Najjaśniejszy panie — rzekł żołnierz — i ty potężny rządco zamku Ciechanowskiego, pan mój Skarbimir, władca Gulczewa i Kościelca...

— Prędzej tylko, prędzej! — przerwał mu Mieczysław.

— Racz mi przebaczyć, wielmożny i potężny panie i książę, ale trzeba zawsze od początku zaczynać, tak przynajmniej nam ksiądz mówił na nauce w kościele gulczewskim, wystawionym przez mego pana, Skarbimira z Gulczewa...

— Prędzej, prędzej, co mi po twoim kościele! — zawołał zniecierpliwiony młodzieniec.

— A toż, najjaśniejszy książę, ponieważ mówiłem, że trzeba zacząć od początku, powiem ci, że tego samego dnia świętej Agnieszki, w którym porwano córkę wysokiego i możnego pana Wszebora z Ciechanowa, przyjechałem na moim siwym koniu do Ciechanowa, bo różne tam sprawunki miałem, a wyznając wszystko szczerze, najjaśniejszy panie, córka Bartłomieja Krzywonogiego jest ładną dziewczyną, a ojciec jej wziął mnie pod brodę, pogłaskał i rzekł...

— Przeklęty gaduło — krzyknął Mieczysław — mów, kto ją porwał, opuść wszystko, bo ci inaczej łeb zdruzgoczę!

— Przepraszam Wielmoż...

— Nie przepraszaj, tylko mów, ale prędzej, prędzej! — i stanął o dwa kroki od żołnierza.

Przestraszony Bardan zaczął więc zwięźlej trochę swą rzecz opowiadać.

— Więc przyjechałem do Ciechanowa i, stanawszy u Bartłomieja Krzywonogiego, bawiłem się z Małgorzatą; wtem wszedł człowiek i prosił o czarę miodu, którą spełniwszy za zdrowie — i tu Bardan za znakiem, danym przez Skarbimira, głos znacznie zniżył — księcia Zbigniewa, położył pieniądze na stole i wyszedł mówiąc, iż dobrze, że pokrzepił siły, bo wieczorem będzie miał wiele do roboty. Zbroja

jego była podobną do zbroi żołnierzy tego księcia; a zatem Bartłomiej...

— Zbigniew, niema wątpliwości! — przerwał Mieczysław — Zbigniew, ale niech teraz się spowiada i żegna z tym światem, bo niedługie mu dni zostały! Hej, giermku mój, podaj mi zbroję i szyszak, Henryku, prędzej!

Wyszedł nadobny młodzieniec w kwiecie wieku i podał księciu żadaną zbroję.

— Zatrzymaj się! — rzekł Wszebor — pierwszej pójdziemy do króla, a potem pomyślimy o środkach odebrania z rąk Zbigniewa córki mojej.

— Niema co myśleć — zawołał Mieczysław — na co mi króla, na co mi myśleć, kiedy wiem, gdzie znajdę wroga, i mam wierną szablę w rękę!

— Nigdy nie zezwolę na to — rzekł poważnym głosem Wszebor — by dla mojej córki zaszło rozdwojenie w rodzinie panującej, by brat podniósł oręż na brata; usłuchaj zdrowej rady, Mieczysławie, zmiękczyć się mojemu prośbie! Chodź raczej do Władysława! On synowi swemu rozkaże oddać mi córkę.

— Nie znasz Zbigniewa, starcze, nie znasz. Twoja córka może teraz... — i tu zatrzymał się Mieczysław, ani słowa dalej nie mógł wymówić, oczy jego zabłysły zapalczywym gniewem, a dobywszy miecza skoczył do drzwi, ale nim je mógł otworzyć, powstał Skarbimir, a Wszebor zatrzymał księcia.

— Książę Mieczysławie — zawołał Wszebor — nie sądz, by ci Hanna droższą, niż mnie była, ale przez długi przeciąg lat, strawionych na usługę krajowej, nauczyłem się przekładać ojczyznę nad najmiłsze uczucia! Cóż stąd wyniknie? Walka między tobą a bratem, śmierć jednego z was, klęski dla Polski i żal ciężki dla króla. I któż jeszcze wie pewno, że Zbigniew porwał moją Hannę? Czyż słowa żołnierza, pijącego zdrowie swego pana, są dostatecznym dowodem? Upamiętaj się, panie, nie wszczynaj niezgód i roz-

terek w Polszcze, już i tak nieszczęśliwie! Przekonaj się pierwszej, a potem znajdziesz sprawiedliwość u króla!

— Musi zgiąć z mojej ręki! — przerwał cichym głosem książę, ale schował miecz do pochwy, a ochłonawszy nieco z gwałtownego gniewu, usiadł. Wtenczas Skarbimir ponowił swe ukłony i prosił, by mu pozwolono dać radę. Za zezwoleniem Wszebora i księcia zaczął płynnie mówić i znać było w jego słowach wyćwiczonego na dworach i biegłego doradcę.

— Wyjdz, Bardanie! Najjaśniejszy książę, widziałem cię małym i na moich nosiłem rękach. Twój ojciec nieraz łaskawem na mnie rzucił okiem, a teraz nas panujący Władysław Herman przypuścił do swego boku. Ośmielam się więc podać wam radę. Bez wątpienia Zbigniew trzyma w swojej mocy Hannę, ale nie można mu tego zarzucić, bo nie mamy pewnych i niczem niezbitych dowodów. W ich niedostatku możemy sobie przywieść na pamięć gwałty i łupiestwa, mordy i grabieże, które ten książę często popełniając, stał się klęską dla narodu. Dotąd go miłość króla ochroniła, ale teraz przyszedł czas zrzucenia go ze szczytu potęgi. Temu kilka dni przysięgł Władysławowi, że nic nie wie o Hannie, a kiedy się ojciec przekona, że przeniewiercę i krzywoprzysięcę ma za syna, odepchnie go od łona, w czem twój najniższy sługa, teraz mówiący do ciebie, najjaśniejszy książę, będzie ci się starał dopomódz.

— Nie potrzebuję wcale tego — przerwał Mieczysław. — Nie przystoi mi cichemi podszepty, zdradnemi słówkami, oburzać serce mego stryja na syna, choć ten syn całego mego gniewu jest godzien. W otwartych szrankach się spotkamy, ale nigdy nie zezwolę na ukryte drogi, na ciemne ścieżki, któremi chcesz mnie prowadzić; ale mów dalej, mów, jednejbym tylko pragnął rzeczy, żeby można Zbigniewa o zbrodnię zupełnie przekonać, a wtenczas śmierć mnie lub jemu!

— Tego chcesz? — rzekł Skarbimir. — Nic łatwiejszego;

tylko króla poprosić, by zwołał swoich panów radnych i urzędników do tronowej sali; tam niech na księdze świętej poprzysięgnie ścigać zdrajcę, niech każe przejrzeć wszystkie domy w Płocku, a odkryje się zbrodnia!

— Na to się zgadzamy — odparł Mieczysław wraz z Wszeborem.

— Ale byłoby lepiej — ciągnął dalej Skarbimir — na-przód królowi zdaleka dać poznać, że Zbigniew należy do tej sprawy. Potem coraz bardziej zbliżać się do celu, powoli niszczyć w jego sercu miłość ku synowi, a na koniec odkryciem wszystkiego zupełnie ją wyrugować. Potrafiłbym to uczynić, bo moje poświęcenie się dla ciebie jest bez granic.

— Milcz z takiemi zamiary! — krzyknął Mieczysław. — Syn Bolesława Śmiałego otwartą drogą idzie, nikogo na świecie się nie boi, zawady nie zdradą, ale dzielną przelamuje ręką, wrogów nie tajnemi sposoby, ale mieczem pokonywa; milcz, mówię ci, Skarbimirze, jeśli nie chcesz się wydać przede mną z podłością serca i nizkością duszy!

— Źle sądzisz o mnie, najjaśniej...

— Dziękuję za radę, a teraz nie mam więcej cię słuchać czasu i żegnam.

To mówiąc, zawołał na pazia, kazał sobie podać płaszcz książęcy i, wzięwszy czapkę z czarnemi pióry, wyszedł do króla z Wszeborem, który w milczeniu tań głęboki smutek duszy, sądząc, że niegodnem jest męża słabość okazywać. Skarbimir został sam w komnacie.

— Piękna nagroda — szemrał — za rady moje, ale przyjdzie czas, że i ty uznasz moją wyższość. Tymczasem już jeden upadnie, już groźny Zbigniew się ukorzy. Gińcie, przepadajcie wszyscy, niech się sam Skarbimir zostanie! Czołga się teraz przed wami, ale kiedyś jego łaski żebrać będziecie, a on wasze zajmie miejsca! — a potem obracając się do pazia: — Czy tak zawsze żegna się z przyjaciółmi twój książę, mój chłopcze?

— Książę, mój pan — odparł młodzieniec — szanuje tylko tych, którzy są godni tego. Z wszystkimi innemi podobnie się, jak z tobą, żegna.

Po tych słowach wskazał drzwi podskarbnikowi, który z nienawiścią i z ręcznie ukrytym gniewem wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ V.

Królu mój, straszną twoja powinność!
Twoje święte przeznaczenie
Jest: karać zbrodnie, pomścić niewinność,
Cierpiącym podać ulżenie.

Serbska Duma.

W przedpokoju królewskim zastał Mieczysław z Wszeborem Sieciecha, wojewodę krakowskiego, hetmana Władysława i wodza jego straży. Siedział on, otoczony zbrojnym rycerstwem, i nie powstał za zbliżeniem się księcia, choć bowiem jeszcze wtenczas nie nabył tej ogromnej na dworze przewagi, która się stała później przyczyną wielu kłótni i niezgód, dumny jednak z swego męstwa i znaczenia nikomu kroku nie ustępował. Jeszcze młody, choć już pożegnął się z wiosną życia, wysokiego był wzrostu i męskiej postawy. Wiele usług oddał królowi, a choć często poświęcić był gotów dobro powszechne własnej chwale, umiał cenić szlachetne uczucia i nieraz im się jego serce poddawało. W lekkiej zbroi i świetnym szyszaku rozmawiał z swojami żołnierzami, których umiał przywiązywać do siebie hojnemi podarunki i przepuszczaniem największych bezprawiów. Z drugiej strony komnaty siedział w szerokim krześle człowiek otwartej i wesołej twarzy, na blizkim stole leżała czapka z czaplemi pióry, torba borsukowa ze srebrnemi guzikami i nóż myśliwski; na lewej ręce trzymał ogromnego sokoła, który, do tego przyzwyczajony, snem twardym ujęty, spuścił był głowę.

— Wolimirze z Moskorzewa, jak się masz? — rzekł Wszebor, wchodząc do pokoju.

— Jakem sokolnik króla Władysława, tak to Wszebor z Ciechanowa! — zawołał Wolimir — a cóż, gdzie córka? czy puścić za nią mego sokoła? — i to mówiąc, wznosił rękę. Ptak roztoczył skrzydła, jakgdyby gotował się do lotu, i bystrym wzrokiem szukał zdobyczy, ale za słówkiem, wymówionem przez Wolimira: »Niżej, niżej z piórami!«, znów do dawnej wrócił ospałości.

— Niema córki mojej i na nieszczęście idę teraz mojemu królowi i panu to oznajmić.

— Nie można się teraz widzieć z najjaśniejszym panem — rzekł Sieciech, udając, że nie poznaje Wszebora ani Miecysława.

— A ja mówię, że można, mój Sieciechu — odparł ksiązę z uśmiechem pogardliwym na ustach i, nie dbając więcej na słowa wojewody, wszedł do Władysława, prowadząc za sobą Wszebora.

— Odplacisz mi to »mój Sieciechu!« — zawołał gniewny hetman i tak ściał usta gwałtownie, że aż mu krew z dolnej wytrysła wargi.

Nie słyszał tej groźby ksiązę, bo już był przy krześle, na którem król siedząc oglądał przyniesione pergaminy i podpisywał się na nich znakiem krzyża, bo nie było wtenczas zwyczajem, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu.

— Witamy was, moi mili — ozwał się Władysław. — Ale cóż widzimy? czoło twoje zachmurzone, synowcze, a łzę smutku napróżno usiłuje wstrzymać wierny nasz Wszebor. Czyż Hanna dotąd nie wrócona ojcu?

— Miłościwy królu i stryju mój, nie mogliśmy odkryć zbrodniarzy, nie odpoczęliśmy ani dniem ani nocą. Po wszystkich okolicach Płocka daremnieśmy błądzili.

— Królu mój — zawołał Wszebor i rzucił się do nóg Władysława — sprawiedliwości, sprawiedliwości się doma-

gam, królu, wyrwij mnie z toni nieszczęść, ocal cześć i życie mojej córki!

— Wszystko zrobimy w tym względzie, co będzie w naszej mocy, i na to dajemy ci nasze słowo królewskie. Może chcecie ludzi zbrojnych? Każemy wam ich z własnej dać straży, pošlemy z wami Sieciecha, rozgłosimy po całym królestwie, żeby wszyscy wzięli się do broni i siedli na koni dla szukania twojej córki; nie powiedzą, że Władysław, król Polski, opuścił poddanego w nieszczęściu.

— Powiedz mu domysły nasze o Zbigniewie — rzekł pochichu Wszebor do Mieczysława — bo ja się nie mogę odważyć na zmartwienie tak dobrego pana!

— A ja nie chcę oskarżać, kiedy tylko same mam domysły — odparł Mieczysław — ale pójdźmy za radą Skarbimira, bo choć chytry i niegodziwy, w tej okoliczności nic nie mamy innego do uczynienia! Gdybyś mnie nie był wstrzymał, możebyś już teraz błogosławił córkę.

— Dobrze — rzekł Wszebor i znów się obrócił do króla. — Najjaśniejszy panie, mam prośbę do ciebie, której wykonanie może ci przykrem będzie, ale mam nadzieję, że nie odmówisz mi tego, co może wrócić mi szczęście i zgon mój niedaleki przytomnością córki pocieszyć.

— Nie, zapewne, że nie odmówię — odparł Władysław, ale znać było na twarzy, że się lękał przyrzekać.

— Królu Polski, wzywam więc twojej sprawiedliwości i zanoszę do podnóża twego tronu pokorne prośby, byś kazał zebrać się panom twoim radnym i rycerstwu i wobec wszystkich oświadczył, że srodze ukarzesz sprawcę niesłychanej zbrodni, tę obietnicę przysięgą stwierdził i rozkazał wszystkie domy w Płocku obejrzyć i przetrząść, bo może w tych murach jęczy moja Hanna w mocy tak potężnego zbrodniarza, że go własny monarcha i... — ale zatrzymał się tu Wszebor, bo chciał już wymówić: »i ojciec«, ale po chwili dodał: własny monarcha i pan nie ustrasz.

— Boże! — zawołał nieszczęśliwy Władysław, domyśla-

jący się przyczyny chwilowego zamilknienia Wszebora, i łza boleści na siwą brodę spłynęła. — Boże! dodaj mi mocy, pokrzep mój umysł! — To mówiąc, wstał z krzesła, poszedł do blizkich drzwi, za których otwarciem ukazał się mały ołtarz, oświecony srebrną lampą. Kłękawszy przed nim, krótką modlitwę odmówił. Obrócił się potem do Wszebora i z powagą królewską: — Zadosyć się stanie — rzekł — twojej prośbie, Bóg dobrotliwy udzielił mocy mej duszy. Oddam ci sprawiedliwość. Jutro zasięde na tronie i ogłoszę to, o coś mnie prosił. Czuję, że to moja powinność i dlatego ją wypełnię.

Nie mógł dalej mówić i upadł na krzesło, a Wszebor i Mieczysław, ucałowawszy mu rękę, wyszli z komnaty.

— Synowcze — zawołał król osłabionym głosem za odchodzącym młodzieńcem — powiedz Sieciechowi, by jeszcze dzisiaj rozkazał uwiadomić panów moich i biskupa płockiego o jutrzejszej naradzie, bo Bóg zesłał na mnie ciężkie bóle i nie mógłbym teraz z nikim rozmawiać!

Uklonił się Mieczysław i, przymknawszy drzwi królewskiego pokoju, poszedł do Sieciecha.

— Hetmanie królewski, Władysław Herman, król i stryj mój, każe ci przez moje usta powiedzieć, żebyś uwiadomił natychmiast wszystkich panów radnych, biskupa płockiego i znakomitych rycerzy o wezwaniu królewskim stawienia się jutro, tutaj w zamku, i zgromadzenia się w tronowej sali.

— Nie zwyczajny-m odbierać rozkazy pana mego i króla przez trzecią osobę, więc...

— Więc przyzwyczaj się teraz — przerwał groźnie Mieczysław — i wypełnij, co ci powiedziałem!

To mówiąc, wyszedł. Sieciech wstał z miejsca, a choć go Wolimir z Moskorzewa chciał wstrzymać, wyszedł i dognał księcia u bram zamkowych.

— Synu przekłętego ojca — zawołał — wstrzymaj swe kroki, bo mam kilka słów ci powiedzieć!

— Sieciechu, do kogóż się tak odzywasz? — rzekł Wszebor — czy nie wiesz, czyś zapomniiał, że to książę Mieczysław?

— Właśnie dlatego, żem nie zapomniał — odparł dumny wojewoda — mianuję go synem mordercy i świętokradcy.

— Nie wymówiłbyś ani słowa więcej — krzyknął Mieczysław, z trudnością poskramiający gniew gwałtowny — gdyby te mury zamku królewskiego nie przypominały mi, że jest zbrodnią na tym dziedzińcu potykać się z wrogiem.

— Krokiem dalej postąp, a już nic cię nie wstrzyma — zawołał Sieciech, dobywając miecza.

— Stój, wojewodo! — odparł z zimną krwią Mieczysław. — Owszem, byłoby zasługą uwolnić króla mego i monarchę od tak bezczelnego sługi, co później, spodziewam się, że przy pomocy Boga i mojej szabli uczynię. Ale ważniejsza sprawa nad wszystkie względy ziemskie zajmuje teraz mój umysł. Po jej ukończeniu, po uwolnieniu najcenniejszej i najpiękniejszej dziewczyny, spotkam się z tobą, jak na rycerza i Polaka przystoi. Ale pierwej nie więcej pomogą twoje krzyki i obelgi, od skowyczeń małego psa, którego podróżny kijem z swojej drogi odpędza. Milcz więc, jeśli prawy z ciebie rycerz, i czekaj, aż pan i książę twój zniży się do walczenia z tobą!

— Dobrze, będę milczał, ale głos mój, kiedy się odezwę, będzie do pioruna podobnym; legniesz pod mojemu ciosy.

To mówiąc, z dumą na czole wrócił do zamku, a Mieczysław i Wszebor z zasępieniem obliczem oddalili się.

— Wojewodo krakowski i hetmanie króla Władysława — rzekł do wchodzącego Sieciecha Wolimir. — Nie udało ci się polowanie, bo ani zwierza, ani nawet farby na mieczu nie widzę. Podobno lepszy mój sokół.

Nic nie odpowiedział Sieciech, usiadł w milczeniu, a Wolimir zaczął ulubionego ptaka nakarmić kawałkami mięsa, które z świetnej torby wyjmował.

ROZDZIAŁ VI.

Usiadły wodze. Troski na wszystkich wyryte;
Powstał król..., lejąc izer obfite,
I gęstym przerywane jękiem słowa rzeczce.

Iliada, XIX księga.

Salą tronową czyli naradną nazywano obszerną komnatę w zamku plockim, wystrojoną prawdziwie z królewskim przepychem. Obicia z aksamitu purpurowego lśniły się, pozawieszane po ścianach, wyrobionemi na nich ze złota i srebra kwiatami. W środku zginającego się sklepienia wymalowany był pierwszy król chrześcijański, przyjmujący chrzest z rąk świętego biskupa, a przy nim jego żona, piękna Dąbrówka, i Polacy z dobytym orężem. Choć za naszych czasów niezgrabnym i niekształtnymby się wydawał ten obraz, wzbudzał on wtenczas podziwienie i uwielbienie rzadkich i nieumiejętnych miłośników sztuk pięknych. Gdziekolwiek wisały nabijane złotem zbroje i stalowe kolczugi, pomieszczone z szablami i tarczami, po których świetności można było poznać, że więcej ku ozdobie, niż do boju służyły. Sam tron, szkarłatnem obity suknem, stał w głębi sali pod pokryciem niebieskiem, nad którem wznosił się herb polski, orzeł biały z srebrzystemi piórami; pięć marmurowych stopni prowadziło do niego, a trzy rzędy filarów z obu stron podpierało wysokie sklepienie, na każdym filarze widziano bogatą koronę, wznoszącą się nad dwoma, w krzyż złożonemi berłami. Żelazna krata oddzielała tron od drugiej połowy sali. Przy sie-

dzeniu królewskim było kilka niższych, przeznaczonych dla książąt krwi i znakomitszych urzędników. Okna, różnemi malowaniami zdobione, sięgały od podłogi do początku sklepienia, przy każdym z nich paliły się najdroższe kadzidła w alabastrowych naczyniach.

Teraz cała sala napelniona była mnóstwem osób, czekających ukazania się monarchy; świetne ubiory zgadzały się z przepychem miejsca. Przy tronie królewskim stał Zbigniew, a za nim wierny Mestwin, poblizkie siedzenie z drugiej strony zajmowali Wszebor, Skarbimir, Sieciech, Wolimir z Moskorzewa z sokołem na prawicy, inni panowie radni i Stefan, podówczas biskup płocki.

— Patrz — rzekł Wolimir Sieciechowi do ucha — jak na to zgromadzenie przybył Zbigniew w zupełnej zbroi i z szyszakiem żelaznym na głowie, jakgdyby, poczuwając się do porwania kuropatwy, obawiał się jakiego niebezpieczeństwa, kiedy my wszyscy i ty nawet, wodzu straży królewskiej, jesteśmy bez pancerzy, bez hełmów! Patrzże, jak brwi zmarszczył, kiedy teraz zbliżył się Mestwin do niego i coś mu po cichu powiedział, patrz, jak się nagle wzruszył i położył rękę na szyi! Na Boga, zdaje mi się, żem na łowach. My wszyscy jesteśmy psami, król dojeżdżaczem, Wszebor myśliwym, a księżę Zbigniew dzikiem osaczonym... A co, czy-m nie trafił?

— Ale wiele psów legnie pod jego kłami, nim się podda — odparł Sieciech — lubię Zbigniewa, dzielny, a choć czasem popełni zbrodnię, lubię go jeszcze. Trudno obejść się bez gwałtów na tym świecie. Jaka postać rycerska, jakie męskie rysy, jaka piękna na nim zbroja! Lubię go za to...

— Ale co to się znaczy — rzekł sokolnik królewski — że naszego wysokiego i wielce miłościwego pana dotąd nie widać, czy nie zasnął czasem?

— Może się boi przyjść do nas, lub jeszcze nie pokończył pacierzy — odpowiedział Sieciech.

Lecz wtem ucichły rozmowy i żarty, a król Władysław wszedł do sali.

Czoło Sieciecha pokryło się chmurą, wszyscy powstali. Wszedł król drzwiami, blizkiemi tronu, opierając się na rękę synowca; zbliżając się do tronu, lekkim ukłonem zgromadzonych panów powitał. Twarz jego nosiła piętno boleści i rozdzierających duszę smutków; szedł powolnym krokiem, z koroną na głowie, z berłem w ręku, szerokim, białym otoczony płaszczem, na którym srebrne błyszcząły orły. Podawał mu rękę Mieczysław w kształtnym, niebieskim stroju; nie miał pancerza na piersiach, zamiast ciężkich rycerskich rękawic białe z giętkiej skóry pokrywały mu ręce. Łańcuch złoty, oznaczający godność rycerza, spadał mu na piersi. Płaszcz ksiązęcy w lekkich fałdach spływał mu z ramion, a zamiast czapki z piórami, stosownej do tego ubioru, miał na głowie ciężki hełm stalowy ze spuszczoną przyłbicą, w skutku uczynionego ślubu, że nie odkryje twarzy, dopóki nie wykryje śladów lub nie dowie się o losie Hanny z Ciechanowa.

Szmer, dotąd panujący w sali, zamienił się na głośnie okrzyki: »Niech żyje król Władysław! niech żyje Herman! chwala jemu i błogosławieństwo!«

Ale kiedy król usiadł na tronie, wrzawa ta, pochodząca bardziej ze zwyczaju, niż z przywiązania do monarchy, ucichła. Wszyscy oczy zwrócili na Władysława, wzrok i słuch natężając. Jeden Zbigniew został niewzruszony przy tronie; za zbliżeniem się króla kroku nie postąpił ani cofnął, żadnego znaku wzruszenia nie okazując. Czasem tylko za przelatującym wspomnieniem lekki rumieniec występował mu na lica, które wkrótce potem wracały do grobowej bladeści. I gdyby nie to jedyne znamie życia, można go było raczej wziąć za martwy posąg, niż za żyjącą istotę. Mestwin stał za nim, ale ile razy chciał mówić, nieznacznym prawie ruchem ręki nakazywał mu książę milczenie i musiał rycerz niemiecki przestawać na szyderskim uśmiechu, który nigdy jego ust nie opuszczał.

— Panowie, tu zgromadzeni — rzekł król słabym głosem — i dzielni rycerze, zebrani za naszym rozkazem, postanowiliśmy dzisiaj roztrząsnąć sprawę, przyczyniającą nam wiele zmartwienia i smutku; bo nasze serce ojcowskie ubolewa nad nieszczęściami naszych poddanych, nad kłótniami i niezgodą naszych panów, nad gwałtami i zdzierstwami naszego rycerstwa. — To mówiąc, pomimowolnie rzucił okiem na Zbigniewa, ale książę stał na tem samem miejscu i najmniejszej zmiany w tej chwili nie można było dostrzedz na jego twarzy. — Dniem i nocą w własnym zamku i w kościołach błagaliśmy Boga o wrócenie pokoju, o oddalenie zamieszkań i rozbojów. Ale ciężkie musieliśmy popełnić grzechy, kiedy Pan niebios nie raczył się do naszych prośb przychylić; owszem, widzimy ze smutkiem najgłębszym, że codzień złe się wzmaga, codzień szerzą się kłótnie i łupiestwa, codzień ponawiają się mordy, zajazdy, łupiestwa i klęski, pogrążające naród w nędzy i porządek społeczny wywracające. Niema zakątka w Polsce, gdzieby zacięte nie odbywały się walki między ziomkami, między synami wspólnej ojczyzny. Krew się leje, a nasza powaga królewska nie może jej wstrzymać ani namową, ani prośbą, do której król nigdy nie powinien się zniżać; nie zdołamy skrócić namiętności poddanych i burzliwych poskromić gniewów. Czyż piekło nasłało hufce złych duchów na naszą ziemię? czyż dzikie, otaczające nas narody przelały swe uczucia w serca naszych panów i naszej szlachty? A jednak bywały dawniej czasy porządku i wewnętrznego pokoju! Za Bolesława Wielkiego, założyciela naszej chwały i potęgi, w pierwszych latach panowania nieszczęśliwego mego brata, nikt nie śmiał dobywać na braci oręża i wszystkie szable polskie skierowane były w pierś wrogów. Ale teraz ojciec w niezgodzie z synem, stryj zagrabia synowca majątki, brat podnosi oręż na brata, wszędzie zamieszkanie i szcęk broni, a tymczasem kościoły puste daremno wzywają na modlitwę rycerzy dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów, groby świętych

opuszczone i w pogardzie miane. Sami tylko kapłani zapełniają przybytki pańskie, a wszędzie naokoło krew rumieni ziemię i Polak ściera się z Polakiem. Nie, poddani moi, nie nie przesadziłem w tym opisie. Samiście tego świadkami i sumienie wasze zgadzać się musi z naszymi słowy. Przykład tego właśnie teraz się wydarzył. Oto...

Ale w tem miejscu król zamilkł; wystawił dotąd ogólne zarysy, ogólnie do wszystkich przemawiał, ale kiedy przyszło do opowiadania wypadku, dotykającego tak blisko przytomnych i mogącego ściągnąć na syna nieszczęśliwe skutki (dowiedział się bowiem Władysław od Skarbimira o opowiadaniu Bardana), nie czuł już w sobie potrzebnej do tego mocy. Myśl, że wypełnia świętą powinność, nakazaną przez niebiosa, utrzymywała go dotąd w zamiarze, ale teraz jakiś ciężar przycisnął mu serce, głos ustał i przymknęły się usta.

Przez kilka chwil głębokie panowało milczenie; nareście nabrał więcej siły i często przerywanym głosem się odezwał:

— Wszebor, pan Ciechanowa, zasłużony w ojczyźnie, dzielny w boju, mądry w radzie, z łzami w oczach przybył nam oznajmić przed tygodniem, że mu córkę nadobną, Hannę z Ciechanowa, której wdzięków i cnoty sławą całe brzmi Mazowsze, porwali w nocy zbrojni ludzie i że to tak prędko i niespodzianie się zdarzyło, że nie mogli ledwo ze snu obudzeni jego żołnierze schwytać ni ujrzeć nikogo z porywających. Obiecaliśmy mu, że jeśli pogoń i wyprawa, którą zamierzył, bezskutecznymi będą, wtenczas dołożymy wszelkich środków za pomocą władzy, od Boga nam nadanej, na wyśledzenie, odkrycie i ukaranie zbrodniarzy. — Tu ciężko westchnął Władysław i znów się zatrzymał.

Ale Wszebor, widząc, że w jednej chwili wszystko stracić może przez słabość i niestałość króla, kląkł przed tronem i głośno: »Sprawiedliwości się domagam!« zawołał.

— I otrzymasz ją, wierny nasz sługo. Wrócił po kilku dniach — mówił dalej Władysław — na próżnych staraniach

i zabiegach strawionych, do nas oto przytomny Wszebor, a my, dopełniając obietnicy i w niczem nienaruszonego słowa królewskiego, zgromadziliśmy was, panowie i poddani, żeby przed wami ogłosić i oznajmić naszą wolę królewską i, co następuje. Słuchajcie więc uważnie, słuchajcie, a kto się poczuwa do zbrodni, niech wyzna przestępstwo, bo za chwilę nie czas już będzie!

Tu znów umilkł król polski i czekał, czy jaki głos się nie odezwie; ale grobowe milczenie nieprzerwanem zostało. Zbigniew tylko rzekł pocichu do Mestwina:

— Idź do mego zamku, uzbroj wszystkich żołnierzy, rozstaw ich po murach i basztach! Niech każdy z gotowym do boju orężem czeka na mnie!

— Książę i panie mój, nie rzucaj się dobrowolnie w siła nieprzyjaciół, tajemnica i milczenie wszystko pokryć może, przysięga i słowo książęce uwolni cię od poszukiwań i śledzeń!

— Wykonaj moją wolę, przyjacielu — odparł Zbigniew — bo już nadchodzi czas i niezadługo błysnie wierna moja szabla!

— Do śmierci wiernym ci będę, ale powtarzam...

— Ani słowa więcej, wykonaj moje rozkazy!

— Już nic, nic cię nie wyratuje: zgubionyś! — były ostatnie słowa Mestwina, wychodzącego z sali, co niemało wszystkich zdziwiło. Wtenczas Stefan, biskup płocki, z powagą do tronu przystąpił, zdjął z swojej szyi bogaty relikwiarz, zawierający kość z głowy świętego Wojciecha, i, złożwszy go w ręce królewskie, uroczyście wyrzekł:

— Władysławie, królu Polski i panie mój, wypełń teraz powinność, nakazaną od nieba i świętego Kościoła! — a widząc pomięszanie monarchy, dodał — a za to Bóg ci przez moje usta obiecuje szczęście i nagrodę w życiu przyszłym. Wezwij na pomoc anioła stróża, świętych męczenników, którzy krwią własną dowiedli nienaruszonej wiary, i dwunastu apostołów Zbawiciela naszego! Wypij kielich goryczy

w tem życiu, a po śmierci wieniec nieśmiertelnej chwały niebieskiej okryje ci skronie! Wypełń więc obowiązek i powinność swoją, Władysławie, królu Polski!

Cale zgromadzenie odpowiedziało: »Amen«.

Zebrawszy wszystkie siły, powstał Władysław Herman, a choć bliżej tronu stojący postrzegli łzę, toczącą się w oku, dość silnym odezwał się głosem:

— Wzywamy wszystkich naszych poddanych, tak panów i rycerzy, tak wolnych jak niewolnych ludzi, żeby wszystkimi środkami starali się wykryć zbrodniarzów, którzy porwali Hannę z Ciechanowa. Wzywamy i rozkazujemy, aby nasi rycerze wsiedli na koń i dopomogli ojcu do szukania straconego dziecięcia, a to pod utratą względów i łaski naszej. Dalej wzywamy naszego hetmana i wojewodę Sieciecha, by na czele przybocznej naszej straży uczynił przegląd wszystkich domów miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy w srogiem więzieniu Hanna z Ciechanowa... Ktokolwiek się dowie o Hannie z Ciechanowa, a nie doniesie natychmiast o tem nam i Wszeborowi, jej ojcu, tego czeka kara, żadnemi nie odwrócona prośby; a teraz pozostanie nam jeszcze ogłosić wolę naszą, żeby występny i winowajca porwania Hanny ukaranym był śmiercią, co następną stwierdzamy przysięgą.

W tem miejscu wszyscy przytomni powstali i, dobywszy z pochew orężę, głośnie okrzyki świadczyli się niebem, że wszelkich dołożą starań dla wybawienia Hanny. Łzy radości zakręciły się w oczach Wszebora, kiedy zobaczył, że taki zapał wzbudziła jego sprawa. Twarzy Mieczysława pod przyłbicą nie można było dostrzedz, ale równie, jak inni, dobył miecza i wznosił go w powietrze; jeden tylko Zbi-gniew milczał i niewzruszony pozostał na miejscu.

Po przywróceniu milczenia król, wznosząc z pobożnością święty relikwiarz i odebrawszy błogosławieństwo biskupa Stefana: »Przysięgam« — rzekł...

— Nie przysięgaj, ojcze, śmierci własnego syna! — prze-

rwał mu Zbigniew głosem, do pioruna podobnym, i postąpił o kilka kroków, a założywszy ręce na piersi, tak zawołał z uśmiechem pogardy: — Ja Hannę z Ciechanowa porwałem. U mnie, tu, w Płocku, w moim przemieszkuję zamku. A teraz niech kto wystąpi, niech kto poważy się na mnie powstać!

Zamilkł, a czoło jego zajaśniało dumą i ręka, gotowa do boju, spoczęła na rękojeści miecza. Wszyscy w zadziwieniu nieporuszeni stali. Władysław upadł na krzesło i schylił głowę, zleciała z niej świetna korona i wraz z berłem, przez słabą rękę opuszczonem, runęła aż do stóp tronu. To się wszystko stało w mgnieniu oka i w tej samej chwili Mieczysław podniósł przyłbicę i skoczył do Zbigniewa, ale kiedy wściekły rzucał się na wroga, widok konającego prawie króla i stryja wstrzymał go, a szlachetny książę, zapomniawszy o własnej zemście, pobiegł do Władysława Hermana i starał się go wrócić do zmysłów. Podniósł powoli król polski oczy i, wracając do życia, ujrzał przy sobie Mieczysława, a pamiętny na samo tylko niebezpieczeństwo Zbigniewa, wszystkimi siłami uchwycił się ręki synowca podobnie, jak tonący rzuconej liny, w której jedyną pokłada nadzieję. Darmo usiłował się wyrwać Mieczysław i musiał, stojąc o kilka kroków od śmiertelnego nieprzyjaciela, patrzeć na jego postać dumną, nie mogąc do niego się posunąć. Widział przed sobą sprawcę wszystkich swoich nieszczęść i uciemężyciela Hanny i spokojnie przypatrywać się musiał wyrazowi pogardy, który na licach Zbigniewa się odbijał. Czuł mocniej książę bijące serce, czuł oręż, zawieszony u boku, w każdej chwili czuł wzrastający gniew na wroga, a nie mógł na niego się rzucić, nie mógł krwią się jego nasycić i wobec wszystkich pomścić się krzywdy i zbrodni, przed wszystkimi wyznanej. Władysław Herman tymczasem pozostał w milczeniu i błędny wzrok, pomieszanie duszy oznaczający, rzucał na przytomnych.

Wszebor zaś, klękający u stóp tronu, znów:

— Sprawiedliwości, najjaśniejszy panie, sprawiedliwości się domagam! — zawołał, ale nie słyszał go król Władysław, bo wciąż miał wzrok wlepiony w Zbigniewa. Gniew bowiem i sprawiedliwe oburzenie ustąpiło miłości ojcowskiej, trwożnej o syna, otoczonego mnóstwem nieprzyjaciół.

Zbigniew patrzył na wszystkich spokojną twarzą, wzrok jego tylko zdawał się mówić: »Niech się zbliży ten, który śmie mnie wzywać!« Nareszcie obrócił się do ojca:

— Najjaśniejszy panie, oddalam się stąd, bo wszędzie widzę wrogów. Czekam na nich na murach mego zamku. Tam zobaczymy, komu Bóg przeznaczył zwycięstwo. Mieczysławie, tam ze mną będziesz mógł się spróbować. Wszeborsze, nie masz po co wychodzić, bom przysiągł, że nigdy się ciebie nie dotknę, chyba, że chcesz widzieć szlachetny zgon narzeczonego kiedyś twojej córki. Żegnam was, panowie i rycerze. Kto się chce ze mną rozmówić, niech się pierw w dobrą zbroję i miecz niezłomny opatrzy! — To mówiąc, szedł Zbigniew po stopniach, do tronu prowadzących, na szeroką salę.

— On ją uwiódł, on ją hańbą okrył! — zawołał Wszeborsze.

— Zatrzymajcie go! — krzyknął Mieczysław, darmo usiłujący opuścić rękę królewską.

— Śmierć Zbigniewowi!

— Długie życie księciu Zbigniewowi!

— Nie puszczajcie go!

— Kto go zatrzyma, mnie z tego zda sprawę! — wołało rycerstwo, na dwa podzielone stronnictwa.

Poszedł syn Władysława powolnym krokiem wśród dwóch rzędów rozstępujących się przed nim panów i szlachty.

Miecze dobyte, podniesione sztylety zatrzymywały się w powietrzu za zbliżeniem się jego. Nikt nie śmiał przystąpić, wszyscy, zdziwieni bohaterską męża postawą, w osłupieniu stali, odpowiadając na krzyki to przyjaznym, to pogardliwym uśmiechem. Mając wychodzić, obrócił się raz jeszcze i ujrzał przy sobie pana z Gulczewa.

— Najjaśniejszy książę, w trudnem jesteś położeniu, wszyscy moi ludzie do ciebie należą, jeśli za poniesione koszta odstąpisz mi zamek w...

— Precz mi z taką usłużnością! — krzyknął Zbigniew i odepchnął podłego Skarbimira. Potem raz jeszcze rzucił wzrokiem na całe zgromadzenie, przez chwilę jeszcze parzał na błyszczące otaczających go orężę, przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się ich wrzaskom. Nareszcie: — *Żegnaj* was — dodał — i zapraszam na biesiadę, gdzie wino krwi strumienie, a potrawy trupy zastępują. — Po tych słowach, gardząc długiem usprawiedliwieniem się i oznajmieniem, że Hannę pojął za żonę, wyszedł z radością w sercu, ciesząc się, że wkrótce z wież swego zamku upokorzy nieprzyjaciół i niecierpliwemu Mieczysławowi śmiercią się odpłaci. Tymczasem wrzawa i największe powstało zamieszanie. Jedni drugich wyzywali. Krzyki nie ustawały, choć już Wszebor i Sieciech prosili o uspokojenie się burzliwej szlachty. Już nawet dawał się słyszeć szczeł orężów, uderzonych o siebie. Dopiero teraz król Władysław puścił synowca, który natychmiast, roztrącając otaczających, wybiegł z sali i bez zbroi i szyszaka, z mieczem dobytym rzucił się w pogoń za Zbigniewem. Ale Wszebor poszedł za nim i zatrzymał zapal młodzieńczy roztropną radą.

— Książę, gdzie lecisz bez pancerza i hełmu? Zbigniew już zapewne bezpieczny w swoich murach.

— Prawda! — odparł Mieczysław. — Ach, gdyby nie mój stryj, gdyby nie to ściśnienie ręki konającego prawie brata mego ojca! Ach! ale za to dzisiaj jeszcze obleżemy jego zamek. Władysław da nam posiłki.

— Na własnego syna? — rzekł Wszebor. — Książę, znać, że nie masz jeszcze dzieci.

— To sam bez nikogo rozwalę żelaznym toporem bramę do jego jaskiń, wydrę mu życie z piersi, wydrę z rąk jego Hannę.

— Ale nie beze mnie — odparł Wszebor. — Teraz już

pewni jesteśmy. Dotąd nie chciałem się stać wojny domowej przyczyną, ale kiedy jedyna nadzieja w orężu... Ale wróćmy, mości książę, do króla!

Za wejściem do sali z trudnością im przyszło przecisnąć się przez tłumy rycerstwa. Setne błyszczały miecze i straszne groźby odbijały się o wklęsłe sklepienia.

Szlachta, przeczuwając wojnę, na dwie strony się już przedzieliła. Jedna Zbigniewa wielkość i czyny w tłumnych głosiła wrzaskach, druga z uniesieniem witała Wszeborą i księcia Mieczysława. Najwięcej sędziwych, w bojach wyćwiczonych rycerzy ujmowało się za potomkiem Bolesława Śmiałego i, przypominając głośno dzielność i hojność walecznego ojca, najpochlebniejsze sypało pochwały synowi, kiedy znowu młodzież, lubiąca łupiestwa i gwałty, wynosiła pod niebiosą Zbigniewa i bohatyrskie jego męstwo. Z trudnością Sieciech, wojewoda krakowski, mógł podnieść głos wśród tej wrzawy, a dopiero kiedy biskup Stefan zabrał się do mówienia, ucichło zgromadzenie, opadły uzbrojone ręce i schyłone głowy dowiodły uszanowania dla poważnego sługi Boga.

— Chrześcijanie i Polacy, czyż tak dowodzicie uszanowania dla monarchy, zesłanego od niebios? Widzicie go zbłądłym, osłabionym na siłach, a ten widok stroskanego ojca przestępstwami syna nie wzrusza zatwardziałych serc waszych. Przestańcie nieprzystojnych krzyków i w milczeniu posłuchajcie woli królewskiej, bo władza królów daną im jest od Boga, a obrażając władzę najwyższą na ziemi, obrażacie tem samem najwyższą w niebie! Uciszcie się więc, schowajcie oręż, bo nie powinniście ich wydobywać, jak za rozkazem panującego wam króla lub świętego Kościoła!

Te słowa wróciły spokojność i milczenie głucho, milczenie, podobne do cichości niebios przed burzą i rykiem pioruna. Wtenczas odwrócił się Stefan i zbliżył do króla:

— Dokończ — rzekł — zaczętego dzieła i dopełnij świętego przyrzeczenia! Wszebor z Ciechanowa wzywa cię przeze mnie, byś rozkazał wojewodzie krakowskiemu, jakieś to da-

wniej, miłościwy królu, obiecał, dać mu pomoc w zbrojnych ludziach i ryszunkach wojennych.

Władysław słabym odpowiedział głosem:

— Róbcie, co chcecie; bierzcie, oddawajcie, walczcie, zawierajcie pokój, ale nie zmuszajcie ojca, by powstawał na kości swoich kości i wnętrzności swoich wnętrzności.

— Królu! — zawołał nieubłagany biskup — przed sprawiedliwością ojca narodu polskiego znika syn własny, a zostaje się zbrodniarz. Nie odrzucaj zesłanego kielicha goryczy! Znieś, jak na chrześcijanina przystoi, smutek za karę grzechów swoich! Spełń obowiązek monarchy, a za to zbawienie czeka cię w wieczności! — A widząc, że Władysław Herman niewzruszony zabierał się do odejścia: — Zbawienie — dodał — lub wieczna zguba! Obieraj królu, zaklinam cię na błogosławieństwo nieba i Kościoła, wyratuj duszę, dopóki czas jeszcze! Zbawienie lub piekło!

Te straszne wyrazy przeszły bojaźnią słabe serce Władysława, przywołał Sieciecha i zaledwie dosłyszaniem wyрекł wyrazy:

— Wojewodo, weź straż moją, wiesz, co robić, wiesz, rozumiesz mnie; bo nie mogę wymówić tego strasznego rozkazu! Nie zabijaj go, bo zginę!

— Miłościwy Panie i królu mój — odparł wzruszony tym widokiem Sieciech — nic mnie nie przymusi do walczenia z twoim synem, dopóki nie wyrzeczysz rozkazu: gotów jestem go nawet bronić, jeśli żądasz. — Ciszej dodał: — Książę Mieczysław dziś jeszcze legnie pod moimi ciosy!

— Nie, nie chcę — zawołał przerażony monarcha, — rób, co ci biskup rozkaże!

— Czy-m u ciebie, miłościwy królu i panie mój — odparł Sieciech — czy u biskupa wojewodą krakowskim?

— Sieciechu — zawołał głos cichy — wyznacz godzinę i miejsce, a dzisiaj jeszcze spotkam się z tobą, jeśli zechcesz połączyć się z Wszeborem i dać mi słowo, że, jeśli zginę,

nie złożysz oręża, dopóki Hanny nie uwolnisz, bo jej szczęście nad własne życie przekładam.

Odwrócił się wojewoda i ujrzał za sobą Mieczysława. Szlachetność księcia wzruszyła serce Sieciecha, który, choć dumny bez granic, umiał jednak cenić piękne uczucia i bohaterskie poświęcenie się.

— Temi słowy — odparł — zmieniłeś mnie, książę, zupełnie. Odtąd twoim jestem przyjacielem. Pójdę z tobą dobywać zamku śmiałego Zbigniewa. Ale nie sądz, bym to czynił dla ślepego posłuszeństwa, bo nikogo niema na świecie, któryby przymusił Sieciecha do wydobycia miecza, kiedy go chce mieć w pochwie, lub do schowania, kiedy go chce mieć dobytym, bo chwilę przedtem mówiłem królowi, że gotów zamordować ciebie! Ale czynię to z własnej woli, uwielbiając szlachetność i wspaniałość twego serca.

Odpowiedział na te słowa Mieczysław ściśnięciem ręki Sieciecha.

— Zbawienie lub piekło! powtarzam raz jeszcze i ostatni! — zawołał przekonany Stefan, że jest jego obowiązkiem czuwać nad wykonaniem surowej sprawiedliwości.

Usłyszawszy tę groźbę, powstał król z trudnością:

— Sieciechu! — zawołał — rozkazujemy ci pomagać we wszystkim Wszeborowi z Ciechanowa. Panowie, tu zwołani, wierni nasi poddani, tu zgromadzeni, skończyły się nasze obrady.

— Synowcze! — dodał, znów opadając na siłach — oszczędaj Zbigniewa, przysięż mi, że...

— Przysięgam, że go zdradą nie zabiję, królu i panie mój! — przerwał syn Bolesława Śmiałego.

— Więcej żądać nie mogę, niepodobna! — rzekł król konającym głosem. — Ojcze niebieski, daruj Zbigniewowi, daj mu długie życie dla upamiętania się i odpokutowania za grzechy! Boże, widziałeś moje poświęcenia dla Ciebie! Nie karz nieszczęśliwego zgonem syna!

ROZDZIAŁ VII.

Bezpieczni tarczą hasła: »Zginę lub zwyciężę«,
Na żelazie oparci spoczywają męże.
Noc cichość na uśpioną rozlała naturę,
Mnie tylko sen wspomnienie przerywa ponure.

Tymowski: Dumanie żołnierza polskiego w Hiszpanii.

Przywilejem, pisarzom powieści właściwym, musimy znów zmienić scenę naszych działań i z sali naradnej przejść się do zamku Zbigniewa, który teraz wcale inny przedstawiał widok od tego, w którym go pierwszy raz przedstawiliśmy czytelnikom naszym; napępniały go bowiem hufce zbrojne, składające straż i wojsko Zbigniewa, które ścigały z rozmaitych swoich zamków i włości. Gotowy zawsze do napaści lub odporu, ciągle utrzymywał po swoich dobrach żołnierzy, poświęconych sobie. Męstwo dzikie, najczęściej przechodzące w okrucieństwo, i przywiązanie do wodza jedynymi ich przymiotami były. Zresztą chęć grabieży i łupiestwa wszystkie u nich tamowała uczucia. Zbrodnia jakakolwiek dla takich ludzi małą była rzeczą, pożary i mordy najpiękniejszym widokiem, a przyszłe nieszczęścia i klęski najmilszą nadzieją. Umiął ich trzymać w porządku Zbigniew i do woli mógł rozpuszczać lub skracać ich namiętności.

Tak wielkiej nad nimi nabył przewagi, że na głos jego drżeli, że na skinienie ręki uciszali tłumne gwary i, z uszanowaniem słuchając woli księcia, schylali głowy, które wkrótce wśród bojów podnieść mieli. Przy pomocy Mestwina urzą-

dzał ich teraz Zbigniew, rozstawiał po murach i wieżach. Każdemu obiecywał nagrodę, zachęcał do waleczności i groził karą w przypadku nieposłuszeństwa. Wszyscy, należycie uzbrojeni w palasze, łuki, tarcze i topory, z jednakowymi szyszakami i pancerzami, stanęli na swoich miejscach nie wzruszeni, czekając chwili, w której zabrzmi trąba, wzywająca ich do walki, a w każdego oku znać było pragnienie krwi i mordów.

Gierda, już nam znajomy, wielkie miał między niemi znaczenie i największą łaskę u księcia, bo serce jego nigdy nie zadrżało przed nikim, bo ręka jego nigdy się jeszcze nie cofnęła, kiedy szło o wykonanie zabójstwa. Przechadzał się teraz szerokim krokiem po murze i patrzył na nadciągnięcie wojska nieprzyjaciół.

Długim snuły się rzędem bitne Sieciecha szeregi, z pośród których wznosiła się chorągiew królewska. Dalej Wszebor z swojemi postępował ludźmi, a obok niego na białym koniu, w błyszczącej zbroi odbitemi słońca zachodzącego promieniami jechał książę Mieczysław. W mgnieniu oka podnosiły się na polu namioty dla żołnierzy i wodzów. Obszerna bowiem równina otaczała z jednej strony zamek Zbigniewa, z drugiej płynęła Wisła. Kilka chat, rozsypanych po polu, należało jeszcze do Płocka, którego najładniejsze ulice otaczały zamek królewski i katedralny kościół, znacznie oddalony od zamku, ku którego oblężeniu zabierały się teraz liczne nieprzyjaciół rot. Na samym końcu przybył Skarbimir z Gulczewa z wielkim orszakiem, dowodzącym uzbrojeniem i ubiorem skapstwo pana, wielu bowiem z jego ludzi nie miało nawet pancerzy, a jeden tylko Bardan nosił stalowy szyszak, wszyscy inni skórzane mieli czapki. Skarbimir nie myślał sam dowodzić swoim ludziom, bo jego ręka, skora do liczenia pieniędzy, niezdatną była do oręża, kazał jednak wystawić swój namiot przy namiotach Wszebora, Sieciecha i księcia Mieczysława.

Tymczasem Zbigniew, ukończywszy swoje rozporządze-

nie i przewidując, że dopiero nazajutrz rozpocznie się walka, wyszedł na wysoką wieżę, z której w milczeniu poglądał na obóz, rozwijający się przed oczyma. Pod jego stopami wszystko już ucichło, rozstawieni po basztach żołnierze z bronią w rękę czekali spokojnie na hasła do bitwy, tylko czasami słyszany był turkot wozów, obładowanych żywnością, które, przez Mestwina sprowadzone z miasta, gromadziły się przed spichrzem i piwnicami księcia, ale wkrótce i ten łoskot się uci-
szył.

Namioty zaczynały już mieszać się w zmroku, chorągwie i znaki, na nich zatknięte, w różnobarwnych powiewały fałdach, nad wszystkimi wznosił się sztandar Mieczysława z książęcą koroną, niżej trochę widziano znany topór Sieciecha. Krzyki i gwar żołnierzy, niesiony na skrzydłach zrywającej się burzy, dochodził do uszu Zbigniewa, jakgdyby wyzwanie do boju. Co chwila przesuwwały się na równinie trudne już do rozeznania to męże, to konie, tam błyszczała kopia przy obozowym ognisku, tu znów stalowa migiała się tarcza. Wodzowie dawali rozkazy do jutrzejszej walki i powoli jeden za drugim do swego wchodził namiotu, a podczas tego giermkowie, siedząc na murawie, czyścili przy ogniu zbroje i orężę swoich panów; można było uważać, jak stopniowo strudzeni, schylając głowy na piersi, z początku chcieli walczyć ze snem, na powiekach ciężącym, po chwili znów zabierali się do pracy, ale zwolna z ich ręki wypadał świetny hełm lub ciężki pałasz, patrzeli jeszcze przez niejakiś czas niewzruszeni na broń leżącą, a potem, sami przy niej rozciągnięci na ziemi, zapominali o bojach i powinności; niektórzy jednak, nie opuszczając swojej roboty, układali w porządku rycerzy swoich zbroje. Przy końcu zaś obozu, przy każdym wodza namiocie, stały czujne czaty, a krzyk przeciągły, którym dowodzili pilności, jeden już teraz przerywał milczenie.

Ten krzyk mieszał się do świstu coraz bardziej wzrastającego wichru. Czarne chmury pozazdrościły ziemi sre-

brzystego światła księżycy i zasępiły niebo. Smutna i zbrodni sprzyjająca ciemność pochłonęła cały obóz. Gasnące tylko ogniska, czasem za przelatującym wiatrem, znów w czerwonych płomieniach wzbijały się w górę, oświecając pobliskie namioty, ale wkrótce już konające, ostatnim promieniem żegnały się ze zbrojami, leżącymi naokoło, i krwawem je oblewały światłem, jakgdyby przepowiednią mordów i rzezi, nastąpić mających.

Poglądał na to Zbigniew z spokojnem sercem, bo, zafany w własne męstwo i dzielność nieraz doświadczonych towarzyszy, żadnego nie obawiał się niebezpieczeństwa. Ale kiedy wspominał na ojca, srogie uczuł boleści; przekonał się bowiem, o ile Władysław go kochał. Myśl, że może w tej chwili w srogiej niespokojności gorzkie łyż leje, rozrzewniła syna i książę usiadł na szerokim kamieniu, pogrążony w zadumaniu i smutku. Dostę długo pozostał niewzruszony sam z swojemi myślami. A tymczasem burza wzmagala się coraz więcej.

Wiatr, dotąd czasami tylko wiejący, przybrał siły i, wznosząc się ponad dumne wieże, wirem swoim porwał liście i kurzawę. Ogromne chmury, na jego skrzydłach przyniesione, z hukiem ścierać się zaczęły, a blade błyskawice chwilowo ziemię oświecały. To wzburzenie przyrodzenia, ten zamęt zgadzał się z burzą serca Zbigniewa. Z pewnym rodzajem uniesienia i przyjemności przypatrywał się temu obrazowi.

Ciemność, go otaczająca, świsty wiatru, przedzierającego się przez puste zamku korytarze, huk odległego piorunu, przejmowały jego duszę to smutkiem, to wzniosłym zapalem. Wyobrażał sobie, że sam na tej ziemi walczy z siłami natury i nie ulega ich zapędowi, wszystko przewyciężającym.

Z okiem, w niebo wlepionem, z założonemi na piersiach rękoma uragał się z usiłowań wichru, wstrząsającego murami, na których dumnie, jakgdyby pan przyrodzenia, przy-

patrywał się jego niemocy. Śmiało myślał, wyzywał wszystkie świata siły i, gdyby w tej chwili ozwała się trąba anioła ostatniego sądu, zapewnieby jego serce nie zadrżało. Ale nareście słodsze uczucia zstąpiły w jego duszę, miłość potężnym ozwała się głosem, a obraz Hanny, której nie odowiedział jeszcze od swego powrotu, całkiem umysł mu zajął. Obrócił się więc, chcąc iść do ukochanej żony, ale wtem ujrzał stojącego za sobą męża wysokiej postawy; nie mógł go z początku rozeznąć i silnie zapytał się:

— Kto jesteś? czego chcesz?

— Dziwno, żeś mnie nie poznał, mości książę! — odparł Mestwin ze zwyczajnym uśmiechem. — Głębokoś musiał dumać, kiedyś o kilka kroków nie mógł rozeznąć przyjaciela.

— Prawda, żeś głęboko dumał i nie myślałem, że przyjdiesz śledzić moje kroki i najskrytsze duszy uczucia.

— Im to częściej czynię — odparł rycerz niemiecki — tem lepiej uczę się poznawać ludzi, a trzeba mi ich znać, trzeba mi umieć odkrywać najmniejsze wzruszenia i serca zakątki, żeby wiedzieć, komu rękę mam podać, a kogo odrzucić; ale pomimo nabytego w tem doświadczenia darmo starałem się domyślić przyczyny, która przynagliła ciebie do odkrycia ojcu i wszystkim tego, co najbardziej przed kilkoma dniami chciałeś mieć ukrytem.

— Kiedym cię przyjmował do służby mojej, nie pamiętam, rycerzu, żeby zaszła jaka między nami ugoda odkrywania uczuć serca. Tyś tylko przyobiegał mi być wiernym i dopomagać orężem i radą, ja zaś łask ci moich i względów nie odmówiłem.

— Zapewnie, dobrą masz pamięć, panie — odparł urażony Mestwin — ale nie przypominam sobie, żebym się obowiązał na twoje skinienie porywać dziewicę, zabijać rycerzy; miałem cię tylko w boju bronić, a w domu wypełniać nie zbrodnie, ale rozkazy, zgadzające się z chrześcijańskim sumieniem — a tu głośno się rozśmiał — nie wy-

najdować coraz nowsze zdrady, ale wiernie i cnotliwie rozrządzać twoją strażą i majątkiem.

— Za śmiało często nam odpowiadasz, rycerzu, a chociaż dobrze ci w pamięci stoją warunki naszej ugody, zdaje się, żeś zapomniiał, z kim ją zawarłeś.

— Z tym — przerwał żywo Mestwin — któremu poświęciłem się z duszą i ciałem, dla którego naraziłem nie raz i sławę i życie, któremu dotąd wiernym byłem, jak przyjaciel przyjacielowi, z tym, który zawsze wspomina o swoich zaszczytach, a nigdy o moich usługach, który sprowadza na siebie nieszczęścia, nie słuchając dobrej rady, a potem gniewem odstręcza najprzywiązanszego do siebie człowieka. Jeśli tak dalej będzie, łatwo mi przyjdzie osiodłać konia i opuścić zamek księcia Zbigniewa.

— Mestwinie, przebacz, drogi przyjacielu, bo teraz tyle ciosów ugodziło w moje serce!

— Mogłeś ich uniknąć...

— Nie chciałem i nie potrzebowałem ich unikać — odparł dumnie Zbigniew. — Z początku sądziłem, że Mieczyśław i Wszebor po daremnej wyprawie uspokoją się, a wtenczas zaczękałbym z ogłoszeniem mojego ślubu dogodniejszej pory; ale kiedy ujrzałem wszystkich oczy zwrócone na mnie, kiedy się przekonałem, że domysły, wkrótce w rzeczywistość mogące się zamienić, mnie za sprawcę tego czynu ogłaszały, postanowiłem, przynajmniej do niego, upokorzyć nieprzyjaciół, którzyby za kilka dni powiedzieli, że ich się przełakł, a wolałbym śmierć i wieczną zagubę od hańby. Ja, który tyle razy mieczem sobie drogę wśród wrogów torowałem, ja, który na trupach pośród rzezi z spokojną twarzą na zgon szlachetny czekałem, ja teraz, jak słabe dziecko, miałem przerazić się widokiem kilku panów radnych i zgrzybiałego biskupa! Daleki od tego, ogłosiłem, że porwał Hannę, o ślubie nie wspominałem i słowa, bo pierwszej chcę ich pobić i zwyciężyć i po ich ciałach zawieść moją żonę do ojcowskiego zamku. Niech poznają szablę Zbigniewa,

niech zadrżą nikczemnicy przed tym, na którego śmieli wznieść krzyki i obelżywe słowa! Tak osiągnąłem cel życzeń i przyspieszyłem szczęście moje. Nie przeciągiem czasu i trwożliwem zwlekaniem, ale mieczem poniżę ich dumę, a depcąc po hardych karkach, pokażę światu i męstwo moje i wyższość moją. Takie powody nakłaniały mnie do nieroztropnego napozór czynu. Ani słowa więcej, Mestwinie, bo nie cofniesz tego, co się stało, ani przekonasz Zbigniewa, że lepiej było w nędznem milczeniu i poniżającej spokojności tajnemi drogami pracować nad zwycięstwem, niż wśród szczęku broni i srogich bojów nabywać chwały, równać się z sławą z dzielnymi naddziady. Cała moja nadzieja spoczywa w tej szabli, a jeśli jeszcze wyrok niebios nie padł na moją głowę, zabłyśnie ona i zdruzgotuje wrogów. Zostaw mnie, idę do Hanny, po długich dnia tego trudach potrzeba mi szukać osłody w jej miłości!

— A ja tu się zostanę, bo mogę stąd śledzić wszystkie ich obroty; może dzisiaj w nocy zechcą nas napaść.

— Zaręczam ci, że nie, bo choć szalony Mieczysław, bitny Sieciech, roztropny Wszebor i hojny Skarbimir zagrożają mi swoją nienawiścią, nie sądzę, by chcieli w nocy tak ciemnej odważać się na niepewne spotkanie; możesz pójść do swojej komnaty.

— Nie, zostanę się tutaj; lubię czasem patrzeć na noc pochmurną i, słysząc ryk burzy, przyzwyczajając mój umysł do piekła, które, podług świętej naszej wiary, zapewnie kiedyś prawo do mnie rościć będzie.

— Jeśli tak — rzekł Zbigniew — to nie przeszkadzam — i poszedł do żony.

Hanna z Ciechanowa przez cały dzień nie widziała męża, a jednak dowiedziała się przez Katarzynę, córkę Gierdy, która zwyczajnie dnia całe z nią przepędzała i, starając się przerwać smutek pani, usłyszane powtarzała wieści, o wypadkach dnia tego; wielu bowiem rycerzy, przytomnych na zgromadzeniu w sali tronowej, przybyło do zamku Zbigniewa

i bronić go przysięgło, od nich więc słyszała Katarzyna wszystkie szczegóły i śpiesznie opowiedziała je Hannie sądząc, że jej tym sposobem przyjemność uczyni, a w rzeczy samej pograżyło to córkę Wszebora w smutek najgłębszy. Gniew ojca, rozpacz Mieczysława, boje, mające się zacząć, niebezpieczeństwa, na które wystawił się Zbigniew, wszystko to razem stało jej na myśli, a w tem wszystkiem jedyną tylko widziała przyczynę, to jest siebie i zawsze siebie; ale kiedy Zbigniew, wróciwszy ze zgromadzenia, nie przyszedł ją zwyczajem swoim powitać, kiedy upłynęły liczne godziny, a mąż się nie ukazał, w najsroźszej męce martwa i zbladła, klęcząc w kaplicy, błagała niebios o przebaczenie winy i odwrócenie klęski. Katarzyna, widząc smutek pani, opowiadała wszystkie przygotowania do odporu, powtarzała słowa ojca i, znów wracając do zgromadzenia, mówiła, że księżę Zbigniew uniknął grożącej śmierci, stawiając nieugięte męstwo i niewzruszoną spokojność przeciw wściekłości wrogów; nareście zakończyła dowodząc, że wszystko to jest rzetelną prawdą, słyszaną od kilku rycerzy, a osobliwie od Henryka, giermka księcia Mieczysława, z którym się widziała chwilą przed rozkazem, danym od Zbigniewa, zawarcia bramy zamkowej. Wśród takich rozmów i ciągłego oczekiwania przepędziła Hanna z Ciechanowa dzień cały, aż wieczór nie nadszedł; słyszała słabo do niej dochodzące krzyki żołnierzy, słyszała oddalone kroki, raz zbliżające się, znów oddalające się od jej ukrytych komnat. Za każdym poruszeniem usłyszanem biło jej serce żywiej, bo miała nadzieję, że to może Zbigniew przybywa, a choć tysiąc razy omylona, zawsze wpadała w błąd ten sam i nadzieję też samą.

Nareście, kiedy już noc ciemna zastąpiła jasność dnia świetnego i kiedy zabłysła lampa wieczorna, poznała zdaleka jeszcze Hanna kroki męża i, drżąca zarazem i uniesiona radością, poszła naprzeciw niemu i rzuciła się w objęcia Zbigniewa. Przez chwilę zapomnieli o wszystkim

i prawdziwe szczęście zstąpiło w ich serca i, choć tak krótko trwałe, nagrodziło za długie cierpienia i smutki.

— Zbigniewie, czyż prawda, com słyszała? Książę Mieczysław i mój ojciec oblegają ten zamek?

— I cóż z tego — odparł Zbigniew — kiedy czuвам nad tobą i tysiąc wiernych mi mieczy tych murów bronią?

— Ale, mężu mój, oni Polacy, a ja córka Wszebora...

— Tyś żona Zbigniewa — przerwał książę z zapalem — a przed tem imieniem wszystko upada i niknie; przysięgłem ci wiare, dochowam ją do grobu i dla ciebie teraz będę walczył i zwyciężał.

— Ale, Zbigniewie, jakąż chęć ich uniosła, jakież dziki zapał, że, dowiedziawszy się z twoich ust, żeś mnie pojął za żonę, chcą mnie wyrwać z rąk męża? Czyż nie wierzą twojemu słowu?

— Któż ci mówił, że wiedzą, żeś moją żoną? Nie, Zbigniew nie myślał usprawiedliwiać się przed niemi, niegodnem to jego było; nie żebrząc przebaczenia, ale nakładając warunki, zwycięstwem nauczę ich mojej woli, pokażę, com uczynił, kiedy u nóg moich schyleni prosić będą o pokój, wezmę cię za rękę i całej Polsce ukażę. Ale przedtem nikt się nie dowie, że Hanna z Ciechanowa zawarła ze mną małżeńskie śluby. Niech się wysilają, niech padają pod wieżami mego zamku, a kiedy, z potężnego wojska w małą przemienieni garstkę, poznają własną słabość, wtenczas się dowiedzą, że próżne były ich zabiegi, że darmo poświęcali życie na wyrwanie z rąk moich uwiedzionej, jak mówią, dziewicy! Widzę już ich żal i rozpacz, patrzę już na ich zbladłe i posępne twarze. Poznacie, co to jest targnąć się na Zbigniewa!

Podczas tej mowy Hanna niewzruszona stała, z początku kilka łez spłynęło po anielskich licach, ale przy końcu nabrała więcej siły i rzekła do męża:

— Niech wola Boża dzieje się na ziemi, odbieram karę grzechów i nieposłuszeństwa! Człowiek, któremu poświę-

cilam wszystko, mnie zhańbił; kiedy jednym słowem mógł swoją i żony sławę ocalić, wołał jednak, uwiedziony wido-kiem niepewnej i niegodnej chrześcijanina zemsty, pokryć żalobą i goryczą życie swojej Hanny. Ale przebaczam ci, Zbigniewie — dodała głosem rozrzewnienia, a w jej oczach ogień niebieski zajaśniał — przebaczam ci i korzę się przed wolą Boga!

Zmarszczył brwi księżę i pozostał niewzruszony na miejscu. Ale po chwili rzekła Hanna:

— Choć niesława jest najgorszą życia trucizną, zniosłabym ją dla ciebie, gdyby mój ojciec nie myślał, że jego córka mogła opuścić cnotę i zostać kochanką księcia Zbigniewa.

— Moja miła — zawołał Zbigniew z nadzwyczajnym zapalem — wszystkobyś poświęciła dla mnie, znam twoją miłość, wiem, że, gdybym był chciał, zapomniałabyś o ojcu, rzucając się w objęcia miłości. Nie zapieraj się, Hanno! Wszystkobyś uczyniła dla Zbigniewa, oddawna poznałem, że moje słowa, że twarz moja pociąg mają zwodniczy; ileż to dziewic nadobnych cnotę dla mnie porzuciło, ileż to razy jednym słowem, jedynem spojrzeniem pokonałem wyrzuty sumienia i przyciągnąłem niewinność na bijące me serce! Tak, Hanno, łatwoby mi przyszło uwieść ciebie i twą cnotę w zbrodnię zamienić, a teraz śmiej mi wyrzucać, żem cię zhańbił, zniesławił, kiedy, mogąc cię rzucić w przepaść, a sam zostać się u brzegu, wołałem losy nasze połączyć! Kiedym tyle dla ciebie uczynił, możesz pozwolić, byś, przez kilka dni pogrążona w ciemności, wyszła z niej świetniejszą otoczona sławą męża. Hanno droga, Hanno! wyrzuty twoje niesprawiedliwemi były.

— Nie chcę już wspominać, Zbigniewie — odparła. — Wyznawam ci szczerze, że dziwnemi dowodami nie przekona-łem mego rozumu, ale jedno twoje słowo już uspokoiło me serce, a choć ojciec może teraz córkę przeklina, ona, docho-wując przysięgi, ciebie kochać i tobie się poświęcać będzie.

— Porzuć więc smutki, żono moja, rozjaśnij czoło, przeznaczone do radości, wstrzymaj łzy, któreby nigdy z twoich oczu płynąć nie powinny! Wkrótce piękniejsze zabłyśną nam chwile, chwała moim stąpie się udziałem, a wśród całej Lechii jeden tylko bohater wzniesie swoją głowę nad zgromionemi wrogami.

ROZDZIAŁ VIII.

Już w czystych błoniach tej nowej Farsali
Stały szyki braterskie,
Gotowe sobie ostrzem krwawej stali
Zadawać ciosy morderskie.

Spiewy Historyczne.

Za pierwszym ukazaniem się wschodzącego słońca na niebie, złotem obsypanem chmurami, dał się słyszeć głos księcia Mieczysława, zwołujący do broni wiernych towarzyszków. W jaśniejącej zbroi obiegał na koniu hufce zbrojnych, zachęcając wszystkich i nagłąc z całym zapalem młodego wieku i wrzących namiętności, przyspieszał uzbrojenie żołnierzy i dawał rozkazy. To z Sieciechem, to z Wszeborzem rozmawiał.

— Do broni, Bardanie — krzyknął, widząc ociągającego się zastępcę Skarbimira — do broni! Jeśli twój pan niezdolny do bitwy, ty przynajmniej popraw jego sławę! Wojewodo krakowski, każ swoim ludziom się uszykować! Wszeborze panie Ciechanowa, niech kilku twoich żołnierzy przysposobi drabiny do murów, bo, na Boga, zdobędziemy jego zamek, odbierzemy Hannę! Bardanie, cóż to się znaczy? czy twoi żołnierze zwyczajni walczyć w czapkach? czyż ich głowy tak twarde, że zdolne stal i żelazo zastąpić?

— Najjaśniejszy książę — odparł Bardan, — pan nasz, Skarbimir z Gulczewa, dowódcą mnie mianował, mówiąc: „Słuchaj, Bardanie, jeśli dobrze się sprawisz, to ci nową

dam zbroję, choć taki jestem ubogi, bo mi Pan Bóg odmówił dostatków!»

— Dajże pokój! — przerwał Mieczysław — ale nim pan twój da ci nową zbroję, możesz tysiąc razy zginąć w tym dziurawym pancerzu i pogiętym szyszaku. Pójdź do mojego giermka Henryka, da ci całkowitą zbroję, pamiętaj tylko odważnie się potykać!

Schylił się prawie do ziemi Bardan, dziękując księciu. Mieczysław go opuścił i wrócił do Sieciecha, szykującego swoich ludzi z Wszeborem.

— Zwyciężemy, panie wojewodo — zawołał — bo Bóg zawsze dobrej błogosławi sprawie. Coś mi powiada w głębi duszy, że jeszcze dzisiaj ten zamek przed nami bramy otworzy.

— Wątpię o tem — odpowiedział Sieciech, głaszcząc sobie brodę — bo choć Zbigniew jest zdrajcą, mordercą, słowem zbrodniarzem, nie słabe serce bije mu pod zbroją, a potem ta brama wytrzyma mnogie razy, te mury oprą się taranom. Tylu zbrojnych stoi po wałach i basztach, a w każdego rękę łuk spostrzegam i sędzę, że każdego oko niemylnie wysła ciosy. Mestwin także zna się na sztuce wojennej, a nadewszystko nasz główny nieprzyjaciel, książę Zbigniew, dzielnie walczył w licznych potyczkach. Niejedno on już widział oblężenie, nieraz już i bronił i dobywał zamków. Niechże więc próżna cię nie ludzi nadzieja! Dzisiaj, ani jutro, ani w tym tygodniu nie zdobędziemy tej warowni, jednak spodziewam się, że z przeciągiem czasu, za pomocą wytrwałości i męstwa, dostaniemy się do tych dumnych wież i przełamiemy te wysokie mury.

— Wszystkiego dokazać można z szablą w ręku — przerwał z żywością Mieczysław.

— Prawda, że wszystkiego — odpowiedział wojewoda — dlatego Zbigniew nie tak prędko się nam podda. Zapewnie, Wszeborze, jednego ze mną jesteś zdania?

— Boli mnie — rzekł, podnosząc głowę, Wszebor głosem

głęбоkiego smutku — że dla mojej córki tylu synów jednej ojczyzny walczyć będzie, że tylu pocziwych ludzi krew popłynie. Dopóki mogłem, starałem się uniknąć wojny domowej, ale świadczę się Bogiem, że okoliczności zmusiły mnie do wzniesienia oręża na syna mego króla, do przynaglenia mego monarchy, żeby, oddając mi sprawiedliwość, najświętsze, najmiłsze wyrugował z serca uczucia. Nie możecie pojąć, jak to mnie martwi. Spędziwszy długie lata w usługach ojczyzny, nauczyłem się walczyć z Rusinem, to z dzikim Prusakiem, to z nieuległym Czechem, ale trudno mi teraz przychodzi, osłabłemu i styranemu pracą i wiekiem, dobywać miecza na Polaków i braci. Wolałbym upadek domu mego, zniszczenie majątków, śmierć samą. Ale córki opuścić nie mogę, sława jej droższą mi jest nad wszystko. Trzeba się potykać z niemi, ale matki i siostry moich przeciwników na moim grobie łyzy nie uronią, owszem, będą miały prawo powiedzieć: »On zabił swoich braci«.

— Nie troszcz się o to, panie Ciechanowa! — krzyknął Sieciech. — Owszem, lepiej, kiedy czasem wojsko sobie wojnę przypomni, bo w ciągłej spokojności drętwieje i staje się podobnem do sokoła, któremu strzelec za długo oczy kapturem zakrywa. Wierz mnie, takie częściowe walki przynoszą pewną korzyść dla kraju; żołnierze, szlachta, rycerze nawykają do miecza i sposobniejszemi się stają do odparcia zewnętrznych nieprzyjaciół, a potem szczerze ci wyznam, żem niezmienne rad tej wojnie, czyli raczej temu oblężeniu, bo już moi ludzie gnuśnieć zaczęli. Teraz mają co robić i daj Boże ci za to zdrowie, panie Ciechanowa! — dodał Sieciech z uśmiechem, ściskając rękę smutnego starca. — Jaroszu z Kalinowy! — po chwili zawołał do człowieka wysokiego wzrostu i twarzy, napiętnowanej szczerością wyrazem, stojącego przed szeregami — kiedy zaczniemy oblężenie, pamiętaj zawsze i ciągle ich napadać z lewej strony, blisko kaplicy przy brzegu Wisły, bo tam najsłabsza ich strona; spraw się dobrze, nie zważając na nic, z szablą w rękę naprzód

się posuwaj, za tobą pójdą inni, a zawsze wołajcie: »Król! Mieczysław! i Wszebor!« — jeśli zaś czasem moje będziesz mógł wsunąć imię, krzyknij i »Sieciech!«

— Na Boga, wodzu mój — odparł Jarosz — będę całemi piersiami krzychał i całemi siłami rąbał pałaszem! Ale wołałbym na otwartem potykać się polu, bo w tych przeklętych murach nie można dostrzedz wroga. Świśnie strzała z ręki, ukrytej za kamieniem, i już po człowieku; najlepiej, kiedy widzę przeciwnika: przez chwilę oko w oko spozieramy na siebie, a potem do oręża, tak to najlepiej, ale te baszty, niech je Pan Bóg piorunem zrzuci! Wypełnię zresztą twoje rozkazy i zobaczę, ile tych sów na nas z poza murów patrzących dziś poszlę na cmentarz.

— Prawda — rzekł po chwili, jakgdyby zamyślony Sieciech -- prawda, nie myślą wyjść na pole, niewzruszeni stoją zakryci warowniami, głowy im tylko wystają. W każdej strzelnicy dostrzegam łuk napięty i strzałę. Książę Mieczysławie, ginąć będziemy pod ich ciosami, kiedy tymczasem oni bezpieczni w żart nasze usiłowania obróca. Na Boga! sądziłem, że za naszym zbliżeniem się nie wytrzyma Zbigniew, że wypadnie na pole zetrzeć się z nami, ale ten szatan niemiecki musiał tak roztropnie obronę urządzić. Wszeborze! książę! trzeba nam szyk zmienić! Ale co widzę, zbliża się do nas Skarbimir, bogaty i hojny właściciel Gulczewa. Zobaczycie, jak z niego zażartuje! Wszeborze, trzeba się trochę pocieszyć; książę, nic lepszego przed bitwą nad żarty i śmiechy

Po tych słowach zbliżył się do starego skąpca i tak silnie ścisnął go za rękę, że wyraz bólesci skrzywił usta Skarbimira.

— Najbogatszy z Polaków, najhojniejszy z panów, mam nadzieję, że nam dasz dzisiaj waleczności dowody. Dobrześ obeznany z kopią i mieczem, sztyletem i toporem, jak to głoszą wszystkie narody, z którymiś kiedykolwiek walczył, a choć lubisz trochę rabunek i zdobycz, zawsze ci to prze-

puszczają przez wzgląd na nieugięte męstwo. Dzisiaj spodziewamy się, że dopomożesz nam dzielnie; cała nadzieja nasza jest w twoich skarbach i w twojej prawicy.

Poznał chytry Skarbimir zamiar wojownika, a oczy jego zaiskrzyły się wściekłością, bojaźń wkrótce potem jej miejsce zajęła, kiedy o skarbach swoich usłyszał, a wreszcie przytłumił gniew wewnętrzny i ze zwykłą uniżonością odpowiedział:

— Jakżeżbym chciał, żeby twoje słowa prawdą były, potężny wojewodo krakowski! Zapewniebym wtenczas wszystkie dostatki poświęcił tak świętej sprawie i na nieszczęście, a może i na szczęście, bo często bogactwa cnotę w zapomnienie podają, ubogi jestem, najuboższy ze wszystkich pánów, a nazbierane pieniądze z łaski boskiej obracam na kościoły i ubogich, odmawiam sobie wszystkiego dla dawania jałmużny; co tylko mogłem uczynić, już dla was uczyniłem. Ludzi moich tu przywiódłem, sam się stawilem; choć nie mniemam, abym mógł wam wiele dopomódz własną osobą. Wiek i choroby wycięczyły ostatek sił w mojem ciele.

— Ale gdzież tam, Skarbimirze — przerwał mu Sieciech — wyglądasz na młodego rycerza. Przy moim boku dzisiaj się bić będziesz, zobaczymy, kto z nas dzielniejszy, choć zawsze gotów jestem ustępować przed wsławionemi a do tego skromnemi bohaterami. Więc zgoda, będziesz, panie Gulczewa, dziś walczyć przy mnie.

Nie mógł odmówić przerażony Skarbimir bez wystawienia się na największą hańbę. Z ściśnionem więc sercem, z błądzą na licach, przystał na żądanie wojewody, obiecując mu za to w duszy skrytą i nieubłaganą zemstę.

— Zdaje mi się — zawołał Mieczysław, litując się nad starcem — że nie można tego wymagać od podskarbnika mego stryja i króla, kiedy chory, osłabły, znużony...

— Choćby z łoża śmierci — krzyknął Sieciech — prawy rycerz powstać powinien, kiedy go król lub przyjaciele wzywają! Więc naprzód, Skarbimirze, dzielnie się potykaj, bo

jeśli mi zechcesz uciekać — dodał po cichu, schylając się do ucha człowieka, którym pogardzał — sam ci pierwszy tym toporem głowę rozwałę! Jaroszu, stawaj na czele swojego oddziału! Wszeborze, wypada ci się oddalić do swoich ludzi. Książę Mieczysław niech będzie łaskaw to samo uczynić! Pan Gulczewa i Kościelca i kościoła, tam wystawionego, z nami się zostanie!

— Ale jakież to hufiec do nas się zbliża od strony miasta? — zawołał Mieczysław, który sokolim wzrokiem dostrzegł zdaleka na polu błyskanie stali i tuman kurzu.

— Może przyjaciele, może nieprzyjaciele — odpowiedział spokojnie Sieciech. — Na wszelki przypadek, stójcie w pogotowiu żołnierze, dobądźcie mieczy z pochew, strzał z kołczanów! Zdaje mi się, że niewielki orszak. Niech mi tylko kto powie, kto to jest? — zawołał głośniejszym głosem — czy nikt lepszycy oczu nie ma od nas?

— Może król — rzekł Wszebor — przybywa przerywać boje.

— Do szatana z taką myślą! — krzyknął wojewoda. — Gdybym był tego pewny, natychmiast szturmbym rozpoczął.

— To biskup Stefan! — zawołał młodzieniec w lekkiej zbroi i świetnym hełmie.

— Mylisz się, Henryku — przerwał książę Mieczysław.

— Książę i panie mój, jakim wierny tobie, tak prawdą jest, że się biskup płocki do nas zbliża; widzę przed nim jadącego kapłana z krzyżem świętym, z tyłu zaś straż jego przyboczną. Powtarzam, że to biskup Stefan.

— Chwała niech będzie Tobie, o Boże! — rzekł Wszebor — możesz go natchnąć, może przeszkodzi wojnie z Polakami!

— Żeby go Bóg był zabrał do chwały swojej — rzekł Sieciech do Jarosza — nim taka myśl wpadła mu do głowy!

Po kilku chwilach wszyscy się przekonali, że giermek księcia Mieczysława miał prawdę, bo za zbliżeniem się orszaku doskonale już można było rozeznać sędziwego Ste-

fana, jadącego na spokojnym koniu, księdza, niosącego przed nim krucyfiks, i rycerzy, za nim w świetnych zbrojach postępujących, bo było zwyczajem w tych wiekach duchownych osób wysokiego dostojenstwa, żeby trzymali przy sobie ludzi zbrojnych i rycerzy. Ten widok różne sprawił wrażenie na różnych umysłach. Mieczysław z niecierpliwością czekał przybycia leniwo jadącego biskupa, a nawet wyraz nieukontentowania malował się na jego twarzy; bo choć kochał ojczyznę i ze smutkiem patrzył na klęski, ją rozdzierające, pragnął nadewszystko walki i wyrwania z rąk wroga narzeczonej.

Sieciech, lubiący rozlew krwi i boje, zmarszczył brwi, domyślając się, że Stefan przychodzi z warunkami pokoju, bo uparty wojewoda i dumny z przyrodzenia nie cierpiał, by się kto mieszając w jego sprawy, przeszkadzał dokończeniu rozpoczętego dzieła, a wreszcie sława, którą sobie obiecywał z pokonania Zbigniewa, droższą mu była nad wszystkie korzyści kraju i współobywateli. Wszebor, poświęcając własne pożytki szczęściu ojczyzny, miał nadzieję, że biskup spór załagodzi, oddalając wojnę domową. Skarbi-mir cieszył się także, ale dla podlejszych powodów; myślał, że może potrafi uniknąć walki, w której miał przed sobą dwie równie przykre ostateczności: strzały żołnierzy Zbigniewa lub topór Sieciecha, gdyż wiedział, że wojewoda krakowski zwykł był podobnych dotrzymywać obietnic.

Tymczasem przybył Stefan i, zsiadłszy z konia, z przynależną powagą zbliżył się do wodzów, kiedy jego rycerze witali się ze znajomymi i przyjaciółmi.

— Przewielebny biskupie! — zabrał głos przed wszystkimi Sieciech — opuściłeś spokojne przybytki Pańskie dla przeniesienia się na pole, które wkrótce krew ludzka obleje; zapewne chcesz nam dać święte twoje błogosławieństwo przed bitwą?

— Jeśli do niej przyjdzie — odpowiedział sędziwy ka-

plan — nie omieszkam tego uczynić. Ale teraz posłuchajcie mnie uważnie!...

— Może chcesz nam zabronić sprawiedliwej zemsty — przerwał Mieczysław, uniesiony obrazem uwięzionej Hanny — ale, choćby cię wszyscy usłuchali, jeden tu się zostanie i będę walczył, dopóki siebie lub wroga pod gruzami tego zamku nie zagrzebię.

— Synu Bolesława — rzekł Stefan — wstrzymaj gwałtowność, która twego ojca zgubiła, i posłuchaj słów człowieka, którego obowiązkiem jest przywracać pokój i dzikie łagodzić zapędy! Słuchajcie mnie wszyscy, bo wszystko, co wam ogłoszę, zgadza się z przepisami Boga, Kościoła i cnoty!

Po tych słowach zamilkł na chwilę Stefan i przywitał się z każdym wodzem.

— Czyby nie lepiej było pójść do jakiego namiotu, niż tu przed wszystkimi się wynurzać? — rzekł Skarbimir.

— Wszyscy mogą słyszeć moje słowa — odparł biskup — bo nic złego w nich się nie mieści; na cóż dla niewinnej narady udawać się do namiotu, kiedy jak najprędzej nam ją odbyć potrzeba? Alboż — dodał z uśmiechem — nie jesteśmy pod szerokim namiotem, rękami Stwórcy rozbitym? a to świetne słońce czyż nie weselsze myśli pokoju i szczęścia w nasze wlewa serca od ciemnych mieszkań ludzi, w których często odbywa się zbrodnia i kryje się obluda? Zaczynam więc moje przełożenia i proszę o uwagę. Wczoraj, kiedy szło o sprawiedliwość, zachęcałem króla, by ją wymierzył z całą uroczyością, jakiej wymagało zgromadzenie przedniejszych panów narodu. Stało się podług moich chęci i życzeń. Ale dzisiaj, widząc sposób oszczędzenia smutku i żalu dobremu panu, przybyłem was prosić, byście mnie w swoim imieniu pozwolili udać się do Zbigniewa. Tam jako poseł i sługa boży na ziemi wystawię mu ciężką niemocą złożonego ojca, ciężką klęską zasmuconą ojczyznę; przełożę mu wasze żądania, aby oddał córkę Wszeborowi z Ciechanowa i przysiągł, że zachowała zupełną niewin-

ność, bo mam nadzieję, że Bóg nie dozwolił, by syn naszego monarchy tak ciężką zbrodnią swoje sumienie obarczył. Ale nie myślcie — dodał, widząc zachmurzone czoło Miecysława — bym przystał na warunki, sławie lub czci waszej ujmę przynieść mogące, bo znam powinność rycerza i Polaka! Może zmiękczyć skamieniałe jego serce wyliczaniem popełnionych zbrodni i mam nadzieję, że tej ostatniej nie będzie chciał dodać do przeszłych. Wypełnię obowiązek, który sam na siebie wkładam, jakgdybym był waszym przyjacielem, obrońcą, powiernikiem, jakgdybym jutro miał składać przed Panem świata rachunek z moich czynności. Nie obawiam się śmierci, a jeśli odważy się podnieść rękę na mnie, z Stanisławem razem błagać będziemy Boga, by odwrócił nieszczęścia i klęski od naszej ojczyzny, od Polski. — To mówiąc, wznosił oczy w górę, ogień nadludzki, jakgdyby promień przyszłej nieśmiertelnej chwały, oświecił twarz, zmarszczkami okrytą, i zdawało się, że anioł pokoju zstąpił z nieba na uszczęśliwienie ziemi. — Skończyłem i sądzę, że będziecie woleli ukończyć tę sprawę, jak na cnotliwych ziomków przystoi, niż pluskać się w krwi współbraci, rozrywać przyjaźń bratnią, zapominać o uczuciach, w którychście wzrosli, i srożyć się na synów wspólnej matki.

Taką była powaga biskupa i tak powszechnie dla niego uszanowanie, że nikt nie śmiał się jego słowom sprzeciwiać, chociaż Sieciech zawołał:

— Daremna praca!... Zbigniew nikogo nie usłucha!... A Jarosz z Kalinowy dla przypodobania się wodzowi krzyknął: »Do broni, towarzyszel do broni!«

— I ja pójdę z tobą do zamku, szanowny kapłanie — ozwał się Miecysław — w tej zbroi, ze spuszczoną przylbicą lub przebrany wkradnę się do niej.

— Nie, młodzieńcze, poświęcam siebie dla was i ojczyzny, ale nie zezwolę na to, by książę Miecysław narażał się na niebezpieczeństwa. Stefana inny biskup zastąpi,

zgonu syna Bolesława nikt nie zastąpi, bo Zbigniew jest zbrodniarzem, a jego brat dzieckiem.

— Przekłęty starzec — pomyślał książę — i tej już nie mam nadziei! Wszystko ułoży, oddadzą Hannę, a Zbigniew przy życiu zostanie. Nie, na Boga, muszę się o niej czegoś dowiedzieć, muszę zabić wroga, Henryku! — zawołał.

— Pójdę do zamku — odparł młodzieniec, zgadujący pana swego chęci — dowiem się o Hannie z Ciechanowa, bo mam tam znajomych. Może zginę, a w tym przypadku po zdobyciu zamku każesz moje ciało pochować, jeśli go do Wisły nie wrzucą, i siostrze mojej powiedzieć, żem do ostatniej chwili wiernie i mężnie tobie służył.

Łza zabłysła w oku Mieczysława.

— Zostań się, dobry mój Henryku, zostań się!

— Na Boga, nie zostanę, książę i panie mój! — i to mówiąc, odbiegł księcia. Tymczasem radzono, kogoby posłać przed bramę zamkową dla oznajmienia Zbigniewowi zamiaru Stefana.

— Nikt do tego zdatniejszym nie jest — rzekł Sieciech — od naszego szanownego Skarbimira, bo z rzadkiem męstwem umie łączyć rzadszą jeszcze roztropność.

— A więc, panie Gulczewa — ozwał się biskup — polecamy ci oświadczyć stojącym nad bramą zamkową, że Stefan, biskup płocki, żąda posłuchania u księcia Zbigniewa.

Poszedł, chwiejąc się na nogach, z bijącym od strachu sercem zmuszony Skarbimir, ale za każdym krokiem wzmaciała się bojaźń tak, że prawie bez duszy przybył do miejsca, dosyć jeszcze dalekiego od bramy. Tu stanął i, obtarłszy zimny pot, ciekący z czoła, ledwo mógł wymówić kilka słów, które nie doszły uszu stojących na straży nieprzyjaciół.

— Bliżej — zawołał Sieciech — bliżej przystąp, potężny władco Kościelca, nie obawiaj się niczego, a potem nic to nie szkodzi, kiedy dla dobra ojczyzny strzała w sercu lub w mózgu utkwil!

— Niech cię piekło pochłonie! — rzekł słabo Skarbimir, słysząc dolatujące go jak piorun słowa Sieciecha. Zebrał ostatkiem sił, wsparł się na mieczu i postąpił dalej. Tu, jak najprędzej mógł, spełnił poselstwo, a nie czekając odpowiadzi, szybkim biegiem uciekł, jakgdyby wszystkie wojska nieprzyjaciół go ścigały, i wrócił do swoich.

— Jakaż więc odpowiedź? — krzyknął Sieciech napół żartobliwym, napół groźnym głosem.

— Jakaż odpowiedź? — zapytali wszyscy.

Ochłonął z bojaźni Skarbimir i wściekle pojrzał na otaczających.

— Możecie posłać — zawołał — jakiego giermka lub żołnierza po odpowiedź, bo pewno wam jej nie przyniesie Skarbimir, pan radny i podskarbnik królewski! Od jakiegoż to czasu wysyłają do bram nieprzyjacielskich ludzi, najwyższymi dostojenstwami zaszczyconych? Ale na ten raz zgoda. Skarbimir z Gulczewa poniósł wasze przełożenia; niechaj Sieciech, wojewoda krakowski, odpowiedź przyniesie!

— Jaroszu — przerwał Sieciech — idź po odpowiedź! Niezmierną chęć czuję rękojeścią pałasza usta mu przytknąć; biegnij, Jaroszu!

— Znowu kłótnie, niesnaski! — ozwał się biskup i z smutną twarzą czekał na powrót posłańca, który odważnie, śpiwając piosnkę wojskową, szedł do warowni nieprzyjacielskich, a chcąc swemu wodzowi dogodzić zawstydzeniem Skarbimira, stanął o dwa kroki od ogromnego rowu, zamek opasującego. Wkrótce ukazał się nad bramą Mestwin i odpowiedział, że pan jego, książę Zbigniew, nie może przenieść na sobie odmówienia posłuchania biskupowi płockiemu.

— Jeden tylko mały warunek zastrzegamy — dodał rycerz niemiecki — żeby nikt oprócz Stefana nie wszedł do zamku, czynimy zaś to z obawy niepotrzebnych kłótni przed walką, mającą się zacząć, a nie ze złych i zgubnych na osobę szanownego kapłana widoków.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi wznosił ręce do nieba bi-

skup i, klękawszy, gorącemi modły błagał Boga zastępów. Poszli za jego przykładem wszyscy przytomni, a kiedy Mieczysław z schyloną głową ku ziemi, przemyślał nad ocaleniem Hanny, uczuł rękę, lekko dotykającą się jego ramienia; odwróciwszy się, ujrzał przy sobie młodzieńca, uzbrojonego na wzór żołnierzy Zbigniewa.

— Skąd dostałeś tej zbroi? — zapytał książę.

— I ja mam Hannę w tych murach — odparł Henryk z nieznacznym uśmiechem. — Żegnam cię, panie.

Po tych słowach wniósł się do ludzi biskupa, którzy ze spuszczonei dzidami, ze smutkiem na twarzy, odprowadzali pana, jakgdyby żadnej już na tej ziemi dla niego nie pozostało nadziei, bo znali wszyscy gwałtowność Zbigniewa, wiedzieli, jakich miał doradców i trzeba było całej biskupa odwagi, wzmocnionej wiarą i przekonaniem, że obowiązek wypełnia, na ośmielenie się do kroku, mogącego najniebezpieczniejsze skutki ściągnąć na jego osobę. Henryk zaś, uniesiony przywiązaniem ku Mieczysławowi, miłością ku Katarzynie, rzucał się na widoczną zgubę z tą nadzieją i ufnością, młodości właściwą, choć dobrze wiedział, że Zbigniew, jeśli go odkryją jako szpiega i gwałcącego warunki zawartej umowy, stracić rozkaże.

Za przybyciem Stefana do bramy spuszczone most zwodzony, a kilkunastu żołnierzy wystąpiło z zamku i, broniąc przystępu przeciwnej stronie, puściło tylko samego biskupa. Powstały wrzaski i groźby. Przez chwilę trwało zamięszanie, już nawet brano się do oręża, ale na skinienie Stefana opadły ręce, wzniesione na jego obronę. Nie stracił tymczasem z oczu Mieczysław młodego giermka i dostrzegł, jak, wniósłszy się zręcznie do ludzi Zbigniewa, wraz z Stefanem wszedł do zamku. Ale w tej chwili zawarto bramę i podniesiono na skrzypiących łańcuchach most szeregi, który oddzielił dwóch tych śmiałych ludzi od reszty przyjaciół i towarzyszy.

ROZDZIAŁ IX.

Nie oddam jej, przysięgam na ostrze tej stali.

Feliński, Barbara.

Dwa rzędy ludzi zbrojnych stało z obu stron dziedzińca, przez który przechodził biskup. Dzikie ich spojrzenia i srogie twarze wróżyły nieszczęścia. W rozmaitych ubiorach, z różnych stron i okolic ściągnięni, nie znali się jeszcze do brze między sobą, bo Zbigniew z mnogich swoich zamków, po całej Polsce rozsypanych, zebrał żołnierzy do bronienia Hanny. Wszyscy jednak mieli jednostajne szyszaki i puklerze, a Henryk za pomocą zbroi, od Katarzyny udzielonej, podczas zgielku i wrzawy łatwo mógł się wsunąć pomiędzy orszak, odprowadzający Stefana do sali posłuchalnej księcia. Od nikogo niepoznany, szedł z odwagą w oczach i bez okazania powierzchownie najmniejszej trwogi. Odzywał się nawet do towarzyszy, rozśmiewał ich żartami i obiecywał, że zapewne kapłan, przez nich otoczony, nie wróci do obozu oblegających. Chwalił hojność Zbigniewa, a czasem cichszym głosem śpiewał dumki i piosnki, ale umilkł i zaczął się ukrywać, kiedy ujrzał Mestwina, przyjmującego biskupa na wnijściu do gmachu, starając się, by przenikliwy wzrok Niemca nie spotkał jego twarzy, bo rycerz z Widerthalu, jak wieść niosła, znał wszystkich Zbigniewa żołnierzy. Henryk nie pierwszy raz już był w zamku syna Hermana, bo dawniej

często w nieprzytomności księcia przychodził tu odwiedzać Katarzynę, a oprowadzony przez nią po wszystkich zakątkach, miał nadzieję, że potrafi, przechodząc przez jaką ciemną galeryę, zostać się z tyłu, a potem udać się do pokojów Hanny lub Katarzyny, koło których, sądził, że nikogo nie spotka, gdyż wszyscy byli zanadto ciekawi rozmowy biskupa, by w inną podczas niej udawać się stronę. Nie wiedział zresztą, jakim sposobem uda mu się wyjść z zamku; ale kiedy ta myśl nagle się w nim obudziła, spojrzał mimowolnie na pałasz i nabrał odwagi młodzieńczej, odwagi nie mierzącej liczby wrogów, ale idącej na ciosy śmiertelne z nieustraszonem sercem.

— Szanowny kapłanie — rzekł Mestwin napół szydzącym, napół poważnym głosem — chodź za mną, zawiodę cię do księcia mego i pana! Żołnierze, postępujcie za nami, żeby oddalić natrętnych, którzyby może chcieli ucałować nogi lub kraj szaty sługi bożego! Bo choć się to u nas, szanowny biskupie, nie często zdarza, jednak chcę ci jak najbardziej uprzyjemnić pobyt w tych miejscach i nie ścierpię, by kto przerywał twe pobożne myśli, a osobliwie w zdarzeniu, w którym mi dobrą ich i dobraną liczbę mieć w głowie potrzeba. Proszę za sobą.

— *Super aspidem et basiliscum ambulabis et conculcabis leonem et draconem* — zawołał mocnym biskup głosem i pewnym krokiem wszedł do sieni.

Zdaje się, że Mestwin miał upodobanie oprowadzać kapłana po ciemnych galeryach, ukrytych przejściach, krętych, raz w górę się wznoszących, znów na dół zstępujących schodach, aby przerazić jego duszę widokiem miejsc, do których nie dochodziły promienie słońca i gdzie łatwo było, daleko od wszelkich świadków, pozbyć się wroga lub niepotrzebnego gościa. Szli żołnierze z zapalonemi pochodniami i Henryk ciągle z zwyczajną śmiałością postępował z nimi, upatrując wszędzie jakiegoś przejścia, któremby mógł, oddzieliwszy się od nich, bezpiecznie dojść do celu swoich zabiegów. Przy-

byli nareszcie do małej komnaty, mającej kilka drzwi, od których rozchodziły się galerye na różne strony zamku.

Giermek Mieczysława nieznacznie się odsunął od towarzyszów i, stanąwszy w ciemnym kącie, miał nadzieję, że nie spostrzeżony sam się potrafi zostać w tem miejscu, a potem udać się do Katarzyny. Z początku Mestwin nie postrzegł tego, ale kiedy już miał wychodzić z komnaty, jakgdyby uderzony jakim domysłem, nagle porwał od żołnierza, z tyłu idącego, pochodnię i, obróciwszy się, wznosił ją wszystkim ponad głowę. Henryk poznał niebezpieczeństwo i udając, że coś poprawia u szyszaka, z zimną krwią został na tem samem miejscu.

— Jak się zowiesz? — zawołał Mestwin — jakie hasło dzisiaj?

Nie mógł odpowiedzieć na to zapytanie młodzieniec, a gniew, że, już tak blizki dokonania przedsięwzięcia, widział się odkrytym, zawrzał w jego duszy i z zapalczywością odpowiedział:

— Śmierć tobie i twojemu panu, takie moje hasło!

— Stójcie wszyscy! Niech się żaden pod karą śmierci z miejsca się nie ruszy! Stój, biskupie płocki, stój, boś nas zdradził! Zuchwalcze — dalej zawołał — próżne tu kłamstwo i wybiegi; skąd jesteś? jak się zowiesz? kto cię przysłał?

— Jestem twoim wrogiem, przybywam z obozu, ale nie tak blizko przystępuj, bo, na Boga zginiesz z mojej ręki!

To mówiąc, dobył Henryk z prędkością błyskawicy szabłę, rzucił się na Mestwina i przeważnie go orężem w piersi uderzył, ale jego żelazo na drobne się rozleciało kawałki, a zbroja przeciwnika nawet się nie zgięła.

Mestwin nie okazał żadnego znaku zmieszania, zmarszczył brwi naprzód, a potem głośno się rozśmiał:

— Lepszy mój pancerz norymberski od wszystkich waszych mieczy; zwiążcie go i prowadźcie za mną! Przedstawcie tego gościa naszemu panu i księciu! Nabożny biskupie, przybywaj ofiarować pokój, a za sobą morderców prowa-

dzisz; ale prawda, wszystko wolno Kościołowi, matce naszej wspólnej. Ani słowa, milczenie, idźmy dalej!

Po przejściu kilku jeszcze pokojów i korytarzów, otwarły się przed nimi drzwi ogromnej sali, w której zastali Zbigniewa, siedzącego na wzniesionym krześle. Kilku zbrojnych rycerzy go otaczało.

Za ukazaniem się biskupa skłonił głowę Zbigniew.

— Choć już wszystko gotowem jest do bitwy, szanowny Stefanie, jednakeśmy postanowili z uszanowaniem, winnem twojemu wiekowi i wysokiej godności, którą piastujesz w Kościele bożym, wysłuchać twoich przełożeń lub rady i z niecierpliwością ich oznajmienia czekamy.

Wtem zbliżył się Mestwin do księcia i kilka słów rzekł mu do ucha. Czoło Zbigniewa pokryło się chmurą, oczy zaś iskrzyły gniewem, ale po kilku chwilach bladeść zwyczajna spędziła z jego twarzy gwałtowny rumieniec.

— Po wysłuchaniu biskupa plockiego zajmiemy się tą sprawą — zawołał — a teraz go prosimy, aby niezwłocznie odkrył zamiary — ten wyraz wyrzekł z przyciskiem — które go do nas sprowadziły.

— Zamiary moje — ozwał się biskup — są czyste i nieskażone. Ufny w potęgę Boga, który zamienił niegdyś twarde opoki w ciekące strugi i umie zmiękczać serca grzeszników, przychodzę tu ci wystawić, czego się po tobie spodziewa Polska cała i jej monarcha; przybywam prosić cię, byś, pamiętny na słowa Zbawiciela, przed którym staniesz w dniu sądu ostatniego, zaniechał zgubnych przedsięwzięć i wrócił na drogę cnoty. Otwiera się teraz przed tobą pole poświęceń i pokuty za długie gwałty i występki. Może Bóg dozwolił, byś przez długi czas zapomniał o Nim, ażebyś z większą świetnością, porzuciwszy błędy, napowrót do Niego się udał. Książę, porwałeś dziewicę, zasmuciłeś jej rodzinę, własnego ojca i króla zbliżyłeś swoim postępowaniem do grobu, opuściłeś i w niepamięci zagrzebałeś przepisy świętej religii. Głuchy na prośby niewinności, na głos doświadczenia, popeł-

niłeś gwałty i morderstwa. Zakończ teraz nieprawne działania, skróć burzliwe chęci i stań się posłusznym Bogu, który do ciebie przez usta moje przemawia! Ojczyzna oczekuje wypadku dzisiejszej naszej rozmowy. Same niebiosy na nią uwagę zwracają, bo tu idzie o uratowanie duszy, zanadto długo pogrążonej w ciemności i zapamiętałości. Nie urażaj się, książę, jeśli z taką do ciebie przemawiam śmiałością, bo nie ja, ale sam Bóg się do ciebie odzywa i poznajesz zapewne, że moje słowa są powtórzeniem tego, co ci bez wątpienia już oddawna wyrzuca sumienie! Przybywam więc ofiarować ci pokój i zgodę braterską, przybywam natchniony miłością chrześcijańską. Zgromadzone wojska czekają hasła do boju — podzieleni Polacy gotowi są do rozlewu krwi bratniej. Wystąp więc, oddaj ojcu córkę, przysięgnij, że zachowała niewinność, przysięgnij, że odtąd Polska mieć w tobie będzie bohatera, nie zawziętego na własnych współobywateli, ale gotowego jej bronić własnymi pierściami, a tym sposobem pogodzisz się z Bogiem, z monarchą, z Kościołem i sumieniem! Późne wieki zapomną o błędach młodości, lub, jeśli jeszcze staną im w pamięci, będzie to lekka mgła tylko, za słaba na przyćmienie świetnych słońca promieni.

Tu zamilkł biskup i wpatrywał się w Zbigniewa, jakgdyby z jego twarzy chciał skrytość serca przeniknąć. Na czole posępnem księcia znać było to niecierpliwość, to zamyślenie, a pomimo milczenia Stefana zdawał się go słuchać jeszcze. Słowem, wystawiał obraz człowieka, dumającego bardziej o przeszłości, niż gotowego do zrzeczenia się durności i zaniechania najmiłszych uczuć, by osiągnął szacunek ludzi i nagrodę życia wiecznego. Mestwin, widząc wtenczas, że książę nic nie odpowiada, obawiając się, by słowa biskupa zanadto mocnego wrażenia na nim nie sprawiły, wyrzekł pocichu:

— Nieszczęśliwy kraj, gdzie męże, do walki gotowi, spuszczały miecze, składają zbroje na głos starca, nawykłego do klasztornej spokojności, nie do dzielnych bojów lub rycerskich igrzysk! Książę i panie mój, nie daj się przerazić!

Czy dusza twoja za słaba? Czyż zbroja, znosząca góry i razy, silniejsza od serca, które pokrywa? Obudź się, Zbigniewie — dodał ciszej jeszcze — bo już gaśnie twoja chwała! Zginałeś, jeśli...

— Nie zginałem — zawołał oburzony Zbigniew, porywając się z siedzenia, rzucił okiem na otaczających i zatrzymał go na Stefanie. — Nie, krzyknął, nie, nigdy raz dobytego nie schowam miecza, nie, na Boga i Najświętszą Pannę, kończ dalej swą mowę, biskupie! Chciałeś mnie zdradzić, morderców wiedziesz za sobą. Mów dalej, słucham! Mówże, dopóki słucham jeszcze! — Znow usiadł i, schyliwszy głowę, skrył czoło w dłonie, ale można było poznać niecierpliwość ze wszystkich jego, choć nieznaczących ruchów.

Stefan nie stracił odwagi, z pogardą słyszał się obwionym o zdradę, od której tak był dalekim, że nawet na ten zarzut nie odpowiedział, ale dalej już i groźnym głosem swej mowy dokończył.

— Przełożenia i warunki, które ci podałem dotąd, były łagodne, przemawiałem do ciebie, jak ojciec do grzeszącego syna; ale teraz posłuchaj cięższych rozkazów Kościoła i Boga, słuchaj ich z uszanowaniem i wypełń, jeśli dbasz o ocalenie występnej duszy! Książę Zbigniewie, każę ci imieniem Kościoła, byś natychmiast broń złożył i rozpuścił wojsko!

Tu biskup zamilkł na chwilę.

— Cóż dalej? — odparł Zbigniew, podnosząc głowę i ścisnąc usta, a twarz zapłonioną od gniewu znow skrył między ręce.

— Byś oddał Hannę z Ciechanowa jej ojcu i błagał jego przebaczenia za tak ciężką wyrządzoną mu krzywdę!

— Nigdy! — krzyknął Zbigniew i znow zamilkł.

— Byś złożył nazawsze oręż, przywdział suknię zakonną i bosymi nogi udał się do naszego płockiego kościoła...

Tu stanął znowu biskup.

— Dobrze, cóż dalej? — zawołał Zbigniew, wszystkimi siłami wstrzymujący wściekłość w swych piersiach.

— Byś, zrzekłszy się pychy tego świata, rozdał majątki ubogim, wziął różaniec i kij pielgrzymi w rękę i poszedł do Rzymu! Damy ci listy do Ojca świętego, w których go upraszać będziemy, by wysłuchał ciebie i w nagrodę skruczy wyznaczył pokutę, za uskutecznienie której łaskę boską odzyskasz.

— Cóż dalej? — znów ozwał się książę.

— Nareszcie, abyś odwiedził grób Zbawiciela w Ziemi świętej, nigdy już nie wracał do Polski i zakończył życie, na nieszczęście ci dane, w klasztorze pośród modłów i żalu za zbrodnię! Takie ci teraz podaję warunki. Jeśli na nie przystaniesz, obiecuję ci w nagrodę przebaczenie ludzi na ziemi i przebaczenie Boga w niebiosach.

— Cóż dalej, biskupie płocki? Bo może jeszcze nie koniec? — zawołał Zbigniew. — Może co jeszcze masz dodać?

— Nic więcej, tylko, żebyś kazał zdjąć okowy z rąk tego młodzieńca, który, sprawiedliwie broniąc swojego życia, schwytany został przez twoich ludzi, spółników twych zbrodni.

Tak przemawiał Stefan, otoczony wrogami, jakgdyby tysiące mieczów wzniesionych było na poparcie słów jego.

— Kiedy taka twoja wola, zatrudniemy się tą sprawą, bo, na Boga — zawołał Zbigniew — nic więcej dla ciebie uczynić nie możemy! Wystąp, młodzieńcze! Niedługo cię tu zatrzymamy z wymierzeniem sprawiedliwości... jak się zowiesz?

— Pozwolisz, książę — odparł śmiało Henryk — że ci moje imię zataję.

— Słusznie, nie chcesz, by się rozgłosiło za prędko, żeś uległ haniebnej śmierci na szubienicy. Może odpowiesz na drugie pytanie. Kto cię przysłał?

— Nikt i na to przysięgam w obliczu nieba i ziemi!

— Więc już sąd nasz się skończył i jego wyrokiem skazany jesteś na powieszenie; spojrzaj przez okno, a ujrzysz gotową nagrodę za chęć zamordowania naszego powiernika!

Kacie — dodał. — oddaję ci tego człowieka i niech za godzinę patrzy w ziemię, a nogami jej się nie dotyka! Zapewnie, biskupie Stefanie, wypowiadasz go przed śmiercią, bo co do nas, nie myślimy ci tej pracy zadawać.

Wystąpił po tych słowach zbrojny człowiek z orszaku, otaczającego księcia, i stanął przy skazanym młodzieńcu.

— Zbigniewie — ozwał się Stefan — zważ ostatnie słowa, które do ciebie przemówię! Może jeszcze na sprawiedliwej szali miłosierniejszego Boga twoje występki nie przechyliły zarodków cnoty i szlachetności, męstwa i odwagi, które wlał w twą duszę Stwórca świata. Zbrodnia, którą teraz chcesz popełnić, kto wie, czy nie przeważy i nie weźmie góry nad twojem szczęściem, nad twoją pomyślnością.

Te słowa, uroczyście wyrzeczone, zastanowiły księcia. Nic nie odpowiedział, ale wpadł w głębokie zamyślenie. Złożywszy ręce na piersiach, bystry wzrok wlepił w Henryka, stojącego o kilka kroków, ale nie mógł dostrzedz na jego twarzy żadnego znaku wzruszenia lub trwogi; owszem, często uśmiech pogardy dla otaczających osiadał na ustach giermka Mieczysława.

— Najjaśniejszy książę — nagle przerwał milczenie rycerz, który dotąd pilnie zważał na Henryka — przysięgam, że to jest Henryk z Kaniowa, giermek księcia Mieczysława, tak, jak ja jestem Odrowąż z Górzewa!

— Mieczysława! — krzyknął Zbigniew i skoczył ze wzniesłego siedzenia — Mieczysława! Więc już niema nadziei dla ciebie. Zmów pacierze, odbądź spowiedź, bo zginiesz! Natychmiast wyprowadźcie go na dziedziniec! Widzisz tę wysoką szubienicę?

— Tem lepiej — odparł śmieie Henryk — bo im wyższa będzie od murów twego zamku, tem lepiej mój pan się o moim zgonie przekona, tem pewniej jego zemsta spadnie na ciebie.

— Niema wątpliwości — dalej mówił Zbigniew — to morderca, przysłany od niego. Godziłeś na moje życie?

— Niema w zwyczaju książę i pan mój — zawołał Henryk — wyprawiać zbrodniarzy lub czynić zasadzki. Nie chowa się za murami. Nie przesiaduje w zamkach, kiedy dane jest hasło do boju na otwartem polu i każdy rycerz w jego pierś mierzyć może.

— Zuchwalcze! — przerwał książę, przejęty burzliwym gniewem, dalej chciał coś mówić, ale głos skonał mu na ustach; kilka chwil chodził szybko po komnatach, nareszcie stanął.

— Wyprowadźcie go! — powtórzył. — Biskupie płocki, skończona nasza rozmowa. Prędko go wypowiadaj, sami przytomni będziemy jego śmierci! Mestwinie, odprowadź kapłana tego z giermkim na dziedziniec, zaraz tam przybędę! Odrowążu z Górzewa, pójdź zobaczyć, czy wszystko do walki gotowe, czy wszędzie w porządku stoją! Sam za wami zaraz pośpieszę. Idźcie!

— Niech żyje dzielny nasz książę! — zawołał Mestwin. — Henryku, giermku księcia Mieczysława, wzywam cię, byś szedł na szubienicę, z której, na Boga, będziesz mógł widzieć wszystkie pana swego czyny. Przewielebny ojciec duchowny, podobnież cię wzywam, byś za mną postępował dla ostatniej chrześcijańskiej przysługi odważnemu młodzieńcowi, który niedobrze jednak wymiarkował twardość stali niemieckiej. Ty, kacie, zdejm mu okowy, trzeba śmierć mu przynajmniej przyjemną uczynić!

Na dziedzińcu zamkowym stała wysoka szubienica, wystawiona dla przestraszenia żołnierzy, którzyby chcieli zgubny przykład dawać swoją niekarnością. Otaczała ją zagroda z chróstu, u boków której stały dwa słupy; na jednym leżał topór, na drugim powrozy. Do tej zagrody zaprowadził Mestwin Henryka, który, klękawszy, zaczął się spowiadać biskupowi płockiemu. Nachylił się ku niemu Stefan, w którego oczach raz lżę można było dostrzedz, to znowu ogień żywy, ponury, jakgdyby wezwanie boskiego przekleństwa na zamek i jego pana.

Zbigniew, o kilkanaście kroków oddalony, przypatrywał się temu obrazowi; ale twarz jego utraciła piętno nieugiętej woli i znać było na niej pewny rodzaj wahania się. Wszyscy otaczający, przerażeni tym widokiem, nie myśleli przerywać cichości; żołnierze poglądali na siebie, jakgdyby jeden drugiemu chciał powiedzieć: »Może i nas podobny los czeka«. Niedługo trwała spowiedź skazanego młodzieńca; wznosił oczy do nieba biskup i z sercem pełnem wiary położył ręce na głowie tego, którego dusza miała wkrótce ulecieć do pierwszej ojczyzny.

— Opuuszczam ci grzechy, synu — rzekł poważnym głosem — umieraj z pewnością, że twoja młodość zmiękczy Stwórcę za złe, które mogłeś zrządzić w przelotnem życiu na tej ziemi! Umieraj bez żalu za tym padołem nieszczęść, w którym często cnota opuszczona, a zbrodnia na szczycie wielkości; owszem, ciesz się nadzieją, że za chwilę u stóp tronu Króla królów będziesz mógł błagać Jego miłosierdzia dla nieszczęśliwych braci!

— Ach! gdyby nie książę Mieczysław, gdyby nie Katarzyna — przerwał pocichu młodzieniec — bez żalu żegnałbym ten świat znikomy. Ale gdybym gdzie mógł dorwać się jakiej broni, możeby jeszcze poczuli moją rękę.

— Oddal od siebie te myśli, mój synu, przebac nieprzyjaciołom!...

— Prędzej, prędzej się tam odbywajcie! — zawołał Me-stwin — czas upływa, słońce w górze, a miecze nasze jeszcze w pochwach, a krew wrogów jeszcze w ich żyłach płynie!

— Milcz — przerwał Zbigniew — milczcie wszyscy!

Słowa niemieckiego rycerza wróciły Henrykowi gniew, który na chwilę uciszył się w jego sercu, zajętem rozpamiętywaniem czynów życia i nadziei po śmierci. Nagle zerwał się z miejsca i, dobywając sił wszystkich, skoczył do żołnierza, blisko stojącego. Tak szybko się nań rzucił, że ten napół tylko mógł dobyć miecza; przeważnym razem

w piersi obalił go Henryk na ziemię, wyrwał mu sztylet, u pasa zatknięty, i przyłożywszy do gardła:

— Książę Zbigniewie — krzyknął — zginie ten człowiek, jeśli mnie nie puścisz natychmiast z biskupem płockim!

— Niech zginie! — zawołał Mestwin.

— Milcz! — przerwał Zbigniew i przez chwilę patrzył z uwagą na młodzieńca, stojącego z orężem nad leżącym żołnierzem. — Henryku z Kaniowa — zawołał — daruję ci życie, ale nie myśl, bym to uczynił z bojaźni o życie tego człowieka, bo nie wart służyć u mnie, kiedy nie umie mężnie się stawić bezbronnemu nawet; daruję ci życie, boś odważny, a żeby ci prawdy słów moich dowieść, zatrzymasz się w moim zamku, dopóki ten nędzny nie zginie! Ty, kacie — krzyknął — prędko i bez spowiedzi, bo jej nie godzien, skończ mi z tym żołnierzem!

Natychmiast Sykut z kilkoma innemi porwali się na nie-szczęśliwą ofiarę i na śmierć zawiedli. Musiał biskup i Henryk patrzeć na śmierć żołnierza. Zbladły szedł on do szubienicy. Rzucił się po wielokroć do nóg Sykuta, ale groźna postać Zbigniewa nie dozwalała nawet myśleć o jego ocaleniu. Wszedłszy do zagrody, kląkł i krótką odmówił modlitwę, podczas której związali mu ręce z tyłu; powstał i oblany łzami wstąpił na rusztowanie, z którego rzewliwemi krzykami i ręką żegnał naokoło stojących towarzyszków. Srodzy ci ludzie bez wzruszenia patrzyli na ten okrutny widok i nawet usłyszano kilka głosów, wyrzucających mu bojaźń i niewieście jęki. Zakrył twarz biskup Stefan, a kiedy po chwili znów pojrzał, już się ciało żołnierza kołysało w powietrzu. Jeszcze ruch gwałtowny nóg i twarzy oznaczał ostatek uchodzącego życia, kiedy nagle krew wytrysła mu z oczu i nosa. Głowa się schyliła, oczy zawarły, a piętno srogich boleści, zachowane na martwym czole, nie zgadzało się z stalową zbroją i hełmem, świetniejącym odbiciem słońca promieniami.

— Teraz wolni jesteście — rzekł książę. — Biskupie

płocki, moją odpowiedzią jest, że, jeśli boją się ze mną walczyć, to mogą broń złożyć i przebaczenia u stóp moich zebrać. Henryku, masz ten pałasz za odwagę! Patrzałem ciągle na ciebie, nie okazałeś najmniejszego znaku trwogi; gdybym był dostrzegł bojaźń na twojej twarzy, nie żyłbyś już teraz. Żegnam was obu.

Po tych słowach wrócił Zbigniew z Mestwinem do swoich komnat. Ciężka brama znów się otwarła, most zwodzony na skrzypiących opadł łańcuchach, a sługa boży i dzielny młodzieniec, obronieni opieką nieba i własnem męstwem, wyszli z zamku, w którym już teraz wszystko w pogotowiu stało do nieodzownej walki.

ROZDZIAŁ X.

Zewsząd szczęk mieczów, wrzask, chrzęsty pancerzy,
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,
Co miecz oszczędzi, druzgoczą podkowy.

Grażyna.

Biskup płocki pośpieszył oznajmić czekającym na jego powrót wodzom, że wszystkie starania nadaremnołożył, żeby odwrócić Zbigniewa od wojny domowej, i ze łzami w oczach zapowiedział, że odjeżdża uwiadomić o tem króla i pocieszyć go w ciężkich tęsknotach świętymi myślami.

— Więc już niema co zwlekać! — krzyknął Mieczysław. — Za mną, towarzysze, bracia, za mną!

Po tych słowach rzucił się na czele wojska i śpiesznie przebiegł dzielącą go od zamku równinę; za nim poszli Wszebor i Sieciech ze Skarbimirem, którego twarz zbladła i napół otwarte usta wydawały przerażenie i bojaźń o życie. Nie wstrzymywały dzielnych hufców strzały, sypiące się z murów, i kamienie, na nich wyrzucone z baszt i wież wysokich, a choć niejednen, śmiertelnym ugodzony ciosem, padł bez ducha, inni, pragnący się odznaczyć pod okiem młodego księcia, za jego wodzą na śmierć i niepewną odważali się walkę.

Henryk w zupełnej zbroi szedł za Mieczysławem, a całe wojsko garnęło się za niemi do murów. Zdawało się, że jeden zapal wszystkich ożywia, i nawet powolny Bardan podwoił kroku, choć widział kryjącego się pomiędzy rotami

pana. Sieciech z zimną krwią i właściwą sobie rozważą urządził bitwę; dawał znaki i hasła, zachęcał, zagrzewał do odwagi, sam się rzucał naprzód, znów ustępując szykował złamane szeregi, wracał do porządku rozerwane orszaki. Krzyżowały się w powietrzu strzały i włócznie, z obu stron rzucane. Tarany tymczasem, przez część żołnierzy niesione, powoli przysuwały się do bramy i pomimo grotów nieprzyjacielskich zapełniano fosę zamkową ziemią, darniem, kamieniami i chróstem, do tego sporządzonym.

Na najwyższej stronie murów widziano męża wzniosłej postawy, w czarnej zbroi i odkrytą twarzą, a choć w takiej odległości rysów jego rozeznac nie można, z rozkazów, przezeń dawanych, z nadzwyczajnej odwagi i spokojności, okazywanej wśród boju i grożącej śmierci, łatwo było poznać Zbigniewa. Przy nim stał niżej nieco rycerz, który z równem męstwem zachęcał żołnierzy i czasem, porwawszy łuk od stojących ludzi, niemylnie wysyłał ciosy. Pięć razy już wymierzył w serce Mieczysława, a pięć razy głos księcia: — »Stój, Mestwinie!« — wstrzymał go, bo Zbigniew, palając nienawiścią ku synowi Bolesława Śmiałego, sam chciał się jego śmiercią i nacieszyć i wsławić. Wrzask, krzyki, rozkazy tłumnie się mieszały, chrzęst zbroi, świstanie rozrywających powietrze pocisków, jęki ginących i rannych unosiły jego duszę; urągał się z śmierci i niebezpieczeństw. Rzucone strzały rzadko dochodziły miejsca, na którem stał, czasem tylko u stóp jego padał osłabły już pocisk; wtenczas z uśmiechem pogardy odsuwał go nogą lub też oddawał Mestwinowi, który, szczycąc się z doskonałego strzelania, natychmiast znów go wypuszczał na oblegających, a wtenczas rzadko chybiał celu. Kilku jeszcze innych łuczników otaczało Zbigniewa i, jakgdyby dla zabawy, różnych sam im okazywał rycerzy. Za jego rozkazem szybkie wylatywały groty i, podobne do piorunu, padały na wskazane ofiary.

Wtem jeden z nich zwrócił oczy na Wszeborę, stojącego przy ludziach, taran do murów przysuwających. Natychmiast

poznawszy po świetnym hełmie, że to jakiś wódz być musi, wyciągnął łuk, przyłożył strzałę na drgającą cięciwę; ale spostrzegł to Zbigniew i, pamiętny danego słowa, silnie uderzył w pierś łucznika; wyleciał grot, ale już bez siły i prosto w górę, po chwili upadł przy księciu.

— Niech żaden z was nie godzi na życie tego człowieka — krzyknął Zbigniew — bo ze mną będzie miał do czynienia! — I wskazał na szubienicę, u której kołysał się nieszczęśliwy żołnierz. — Wszebor i Mieczysław nie są waszym przeznaczeni ciosom. Dosyć innych macie. W tego, w tego traficie — dodał, wskazując, Zbigniew — w tego zdrajcę, który dawniej z przyjaźnią mi się oświadczał!

Nie ukończył tych słów jeszcze, a już strzała utkwiała w pancerz Sieciecha, ale wielka odległość moc jej osłabiła, nie mogła nawet przebić zbroi; odrzucił ją wojewoda krakowski i, dobywszy miecza, ukazał go Zbigniewowi. Zrozumiał znak ten książę i krzyknął, jakgdyby tamten mógł go usłyszeć:

— Może dadzą nieba, że się spotkamy, a wtenczas zgagnaj się z życiem!

Tymczasem w niektórych już miejscach zasypiano fosę, przystawiono drabiny i rzucił się na jedną z nich Mieczysław. Henryk skoczył na drugą i z kilkoma rycerzami obawdzierali się na wysokie mury. Zbigniew chciał zaraz pobiedz naprzeciw śmiertelnemu nieprzyjacielowi, ale widząc, że wkrótce cały rów zasypią, musiał zostać na miejscu, z którego najlepiej mógł uważać obroty przeciwników i skąd najłatwiej mu było dawać rozkazy i rozsyłać ludzi. Posłał więc tylko Odrowąża z Górzewa z kilkoma zbrojnymi na wstrzymanie Mieczysława i na zrzucenie z drabin żołnierzy, już wierzchołka muru dochodzących. Ale nim doszedł ten rycerz do przeznaczonego miejsca, już młody książę z Henrykiem na mur szeroki wyskoczył.

Za nimi cisnęli się żołnierze, wołając:

— Górą książę Mieczysław! Górą dzielny nasz książę!

Ale w tej samej chwili rozstawieni po innych stanowiskach łucznicy tak zręcznie zaczęli razić pociskami wrogów, że niepodobnem się stało przystawić więcej drabin do muru, a mała tylko liczba zbrojnych mogła się wdzierać, i to powoli, na te dwie, któremi Mieczysław i Henryk dostali się na nieprzyjacielskie baszty; przybył też i Odrowąż z Górzewa i zacięta zaczęła się walka. Spuściwszy przyłbicę, syn Bolesława Śmiałego oparł się o szeroki kamień i walecznie napadających odpierał, Henryk zaś posunął się dalej i wszelkimi siłami starał się dojść do Odrowąża. Dopiął wreszcie celu swych życzeń i stanął o dwa kroki od rycerza.

— Poczekajże — zawołał widząc, że ten chce przerznąć się aż do Mieczysława — nie godnyś z rąk mego pana zginąć, poczekaj, niech ci się za dzisiejszą odplacę przysługę!

Usłyszawszy te słowa, odwrócił się Odrowąż.

— Na Boga — zawołał — czyż wniwecz obróciły się zwyczaje i prawa nasze? czyż prosty giermek już wyzywa rycerza ze złotemi ostrogi?

Nic nie odpowiadając, zaczął Henryk walkę, której wypadku niedługo oczekiwali otaczający; po kilku zwarciach upadł Odrowąż śmiertelnie przebity. Porwał go za hełm Henryk i zrzucił z murów w szeroką fosę.

— Macie — krzyknął — na czem oprzeć drabinę!

I wrócił do Mieczysława, który z równą potykał się odwagą. Widział Zbigniew śmierć rycerza i brwi zmarszczył.

— Na szatana, uparta bitwa! Ale niech się sam tylko wmieszam, to zobaczymy; muszę tu jeszcze zostać. Jordanie z Gozdawy, pójdź im na pomoc!

Natychmiast mąż olbrzymiej postawy odłączył się od ksiązęcego orszaku i pobiegł stanąć na miejscu nieszczęśliwego Odrowąża.

— Zaręczam ci, książe i panie mój — zawołał odchodząc — że wkrótce te muchy odlecą, nie takich-em je na Pomorzu do ucieczki zmuszał.

— Dobry rycerz — ozwał się Zbigniew do Mestwina,

patrzącego z uśmiechem zwyczajnym na rzeź i mordy — a choć najczęściej chwali się z tego, co nie zrobił, w przypadku potrafi wszystko zrobić i mówi, że już tysiąc razy uczynił.

Wtem zbliżył się do księcia człowiek w szerokiej, czarnej sukni, bez zbroi i oręża. Broda, do której siwe włosy już się mieszały, spływała na piersi, w oczach widać było spokojność, dowodzącą, że nie pierwszy raz patrzy na boje. Trzymał pod ręką kształtnie wyrobioną szkatułę, a u rzemennego pasa wisiały klucze, flaszka, napelniona żółtawym płynem, i pomniejsze narzędzia, na które niewiadomi ich przeznaczenia i użytku z podziwem patrzyli żołnierze.

— Abrahamie z Hamburga — zawołał Zbigniew — już jeden z naszych rycerzy nie potrzebuje twojej pomocy, spojrzij w rów, pod nami będący, a tam zobaczysz jego ciało i zapewne mimo wielkiej nauki nie masz już nadziei wrócenia go do życia!

— Najjaśniejszy i najpotężniejszy — odparł złą polszczyzną Żyd lekarz — mam nadzieję, że Bóg Izraela pozwoli, by moje usługi przydały się innym ludziom, bo co do tego, już ciało jego się rozprzęga, opuszczone od duszy. Stąd dostrzegam sine pręgi na jego twarzy, co jest znakiem śmierci gwałtownej, jak o tem Ben Masudi pisze w rozprawie o nieprzewidzianych zgonach.

Po tych słowach głęboko się uklonił księciu, stanął nie daleko i, wyjąwszy długi pargamin, uważnie czytać zaczął dziwaczne na nim charaktery tak spokojnie, jakgdyby w własnym się widział pokoju; potem zwinął go w trąbkę i oddalił się, niosąc ratunek rannym.

— Dobrzem zrobił — rzekł Zbigniew do Mestwina — żem tego Żyda zamówił do siebie przed rozpoczęciem oblężenia, bo widzę, że na nieszczęście często go będziemy potrzebować. Ale patrz, tam nasi giną! Jordan z Gozdawy dzielnie się potyka.

— Dzielnie — odparł Mestwin — dzielnie, na Boga, ale

coś mi powiada, że niedługo kroku Mieczysławowi dotrzyma; dobrze, że Abraham nadszedł, żołnierze nasi przypatrują mu się z uwagą, powtarzając wyrazy: »Czary, czarnoksiężnik!«

— Czy piekło się na mnie sprzysięgło? — przerwał mu Zbigniew. — Już mało naszych się opiera. — Jordan wraca ich jednak do porządku dobrze, znów zacięty bój się wszczyna. Kazałem, by żaden nie tknął Mieczysława, bo i tak niedługo mu już dni zostały; zachowuję dla siebie przyjemność zabicia go własną ręką; ale co do tego Henryka, bodaj go szatan porwał, szkoda, że go tu nie zatrzymał! Łucznicy — dodał donośnym głosem — lepiej mierzcie, prosto w serca wrogów, za rzadko trafiają wasze groty!

Tymczasem Wszebor starał się ciągle o przystawienie więcej drabin, Sieciech zaś z drugiej strony kierował oblężeniem; kazał szeregowi swoich żołnierzy w pewnej odległości od murów wysypać wały, z za których bezpiecznie mogliby odpowiadać pociskom, z zamku rzuconym. Tą roztropną zatrudnioną pracą, nie wiedział, że Mieczysław walczy na murach nieprzyjacielskich. Długiego czasu potrzeba było na usypanie tych szaniec, ale nareszcie pomimo ciężkich strat, które co chwila doznawał, potrafił obrać korzystne stanowisko i zasłonić swoich od niebezpieczeństwa walczenia na otwartem polu przeciw nieprzyjaciółom, ukrytym w strzelnicach i wieżach. Równowaga między ginącymi z obu stron się ustaliła; na każdego wystrzał z zamku odpowiadała strzała z za wałów usypanych, które, z świeżej ziemi zrobione, wkrótce pokryte zostały mnóstwem chybiających pocisków. Z równem męstwem z obu stron wytrzymywano walkę, równa zręczność odznaczała obu wojsk żołnierzy; kilka razy Sieciech usiłował zbliżyć się do murów i, zapełniwszy fosę, szturm przypuścić, ale pomimo jego odwagi, pomimo dzielności Jarosza z Kalinowy, tyle tracono ludzi, jak tylko występowano z za szaniec, że musiał, zaniechawszy tego zamiaru, poprzestać na własnej obronie, czekając pomyślnych nowin od drugiej połowy wojska, której

nie mógł widzieć, oddzielony od niej częścią rozległych murów, w kącie na równinę występujących. Miał jednak nadzieję, że kiedy się powiedzie Mieczysławowi, da mu on znać o tem i że Zbigniew, przymuszony zwołać swych ludzi do najważniejszego miejsca, ogłosi z części obrońców baszty, których dobywał, i że wtenczas łatwiej mu będzie na nie się dostać. Oczekując tego wypadku z krwią najzimniejszą, wyznaczał każdemu miejsce i powinność.

Tymczasem Jordan z Gozdawy pełnił obowiązek dzielnego rycerza: jak tylko zbliżył się do miejsca walki, zaczął zachęcać już ustępujących przed Mieczysławem.

— Górą książę Zbigniew! — zawołał — za mną wiara! za mną, bracia! strąćmy ich z tych murów!

— Górą Zbigniew, książę i pan nasz! — krzyknęli żołnierze i z odrodzonym męstwem wrócili do bitwy.

Nie jeden jeszcze tu zginął, nie jeden, ciężko raniony, musiał ustąpić, ale pozostali, widząc odwagę Jordana, wstydziili się uciekać, kiedy ich wódz, nie dbając o życie, na ciosy i śmierć tak pięknie się narażał.

Poznał Mieczysław, że nie potrafi utrzymać się na zajętem stanowisku, jeżeli nie zabije dzielnego przeciwnika, i do tego zwrócił wszystkie usiłowania. Trudno mu jednak było przerznąć się przez tłum walczących do rycerza, siejącego postrach i rzeź dokoła; powstało największe zamieszanie i, kiedy nowe posilki nadciągały po dwóch drabinach, których nie mogli obalić pomimo największych starań żołnierze Zbigniewa, Jordan, porwawszy ogromny kamień, tak zręcznie go rzucił, że połamiał kilka szczeblów u pierwszej drabiny; runęli ludzie, po niej wdzierający się na mury, w głęboką fosse i jęki ich pomnożyły trwogę otaczających Mieczysława. Wkrótce i druga padła z łoskotem, a z nią zdawało się, że wszelka znikła nadzieja dla młodego księcia, już nielicznym wspieranego żołnierzem. Nie zmniejszyło to jednak zapału syna Bolesława i z nową wściekłością rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, zasłaniając się tarczą, znów mieczem, torując

sobie drogę z wiernym giermkim, kładł trupem opierających się, ale czuł, że już słabnie i że, jeśli dłużej tak nierówna potrwa walka, niezbędnie zginąć mu przyjdzie. Dobytą więc wszystkich sił, roztrącił kilku żołnierzy, stojących przed Jordanem i wpadł na rycerza. Skrzyżowały się ich miecze, a ogień ich oczu wydał uczucia duszy. Zwarli się wstępnym bojem, zaczynając krwawy pojedynek, w którym okazywali, że jeden drugiego jest godnym, bo oboje z największym męstwem i z największą walczyli zręcznością.

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin na Zbigniewa, gdzieindziej patrzącego — zwarli się, ciekawy jestem, na którym z nich wieczerzać dziś będą sępy.

Pojrzał w tę stronę Zbigniew i w tej samej chwili dobył oręża.

— Już czas to zakończyć — rzekł — wcześniej czy później trzeba go zabić! Zapomniał chyba Jordan o moim rozkazie. Jordanie z Gozdawy — krzyknął całemi piersiami, biegnąc do niego — Jordanie z Gozdawy, złóż oręż, jeśli dbasz o moją łaskę!

Doszły te słowa do uszu rycerza. Schylił pałasz i wściekle go rzucił na stronę.

— Przez duszę Eryka Steifroka, którego zabił w Prusiech, wolałbym zginąć z rąk kata, niż takie słyszeć rozkazy!

Szlachetny Mieczysław nie korzystał z tej chwili, żeby zamordować wroga, i, spuściwszy oręż, z najwyższą niecierpliwością czekał na Zbigniewa, wprost ku niemu lecącego.

— Dziękuję ci, Jordanie, za posłuszeństwo — rzekł książę przybiegając — teraz z tobą będzie sprawa! — i wpadł na księcia. — Niechaj mi nikt nie pomaga, niechaj nas nikt nie rozdziela! Do pochew oręża schowajcie wszyscy! Teraz ja zaczynam walczyć.

Tu dopiero poczęła się walka długa, uparta, której przypatrywali się wszyscy z trwogą i pewnym rodzajem usza-

nowania. Na każdej twarzy można było wyczytać przykre oczekiwanie wypadku, który jedną lub drugą stronę miał w smutku i zgubie naigłębszej pograżyć. Nie tylko na murach, ale i na równinie wszyscy bitwy zaprzestali i umilkli. Wszebor podniósł oczy do góry, a za każdym uderzeniem orężów coraz większą czuł bojaźń. Sieciech niepomału się zadziwił, kiedy wszystko w milczeniu grobowem się pograżyło; nie wiedząc tego przyczyny, darmo starał się ją wysledzić. Skarbimir nawet podniósł schyloną głowę i na chwilę zapomniał o pieniądzach, słowem wszyscy spuścili na dół miecze, łucznicy zarzucili broń na piersi, rycerze oparli się na pałaszach i pilnie najmniejsze dwóch przeciwników uważali poruszenia.

Zbigniew dziwił się, że tak długo mu się młody przeciwnik opiera, i natężał wszystkie siły na pokonanie jego. Syn dzielnego Bolesława za każdym uderzeniem czuł podwojone męstwo i z największą zapalczywością raz odpierał, znów wpadał na wroga. Poszczerbione pałasze, pokryśowane zbroje dowodziły obu zręczności, ale krew dotąd nie płynęła i podobną była walka do igrzyska na turnieju. Wyćwiczony w setnych bojach Zbigniew zaczął jednak mieć przewagę; jednym uderzeniem oderwał przyłbicę od szyszaka Mieczysława, drugim przeciął pas, który zawieszony na pancerzu utrzymywał pochwę, nie mógł go jednak przymusić do odstąpienia i jednego kroku. Nareszcie po długich usiłowaniach tak dzielnie uderzył o rękojeść pałasza Mieczysława, że ten opuścił rękę na chwilę.

Radość zajaśniała w oczach Zbigniewa. I już miał utopić oręż w piersi przeciwnika, kiedy nagle zbładł, skłonił głowę na piersi i przykląkł.

Strzała, rzucona z równiny, tkwiła mu w lewem ramieniu, a potoki krwi zbroję mu oblały.

Mieczysław, choć tęgi uderzony razem, nie odebrawszy żadnej rany, wznosił pałasz do cięcia, ale jego żelazo, spa-

dając, odbiło się o miecz rycerza, który rzucił się między nim a Zbigniewem, krzycząc:

— Zanieście księcia do komnat i zawołajcie Żyda!

Zbigniew, niesiony przez wiernych żołnierzy, ustępował z pola bitwy, ostatnie słowa jego były:

— Mestwinie, zakazuję ci z Mieczysławem walczyć, bo on z mojej ręki zginąć musi!

Słyszał dobrze słowa pana swojego Mestwin, ale jednak nie zaprzestał boju i zapewne znużonego przeciwnika byłby pokonał, gdyby rzucający się z obu stron do broni żołnierze nie byli ich przedzielili w zamieszaniu.

Coraz trudniejszym stawało się położenie Mieczysława. Osłabiony, nie mógł z równą jak pierwaj potykać się dzielnością. Razy jego padały na zbroje wrogów, ale już do ich serca przedrzeć się nie mogły. Zasłaniał go Henryk i, jak lew rozjuszony, zaścielał trupami mury, ale napróżno tak bohaterskiego męstwa dawał dowody, bo Mestwin ściągnął z innych miejsc posiłki i coraz bardziej nadchodzące hufce tłoczyły się na przerzedzonych obrońców Mieczysława. Widział książę, jak u stóp jego padali żołnierze, i mógł już porachować nielicznych, zostających jeszcze przy życiu towarzyszy.

Jeszcze dosyć długo trwała zacięta walka, aż dopóki sam tylko Mieczysław i Henryk nie zostali, bez żadnej wprawdzie rany, ale do szczytu znużeni. Mestwin wołał głośno na żołnierzy, by giermka zabili, a pana starali się pojmać. Ostatczna zguba już blizką była tych dwóch młodzieńców, kiedy Wszebor po długich usiłowaniach potrafił przysunąć drabinę do murów o kilkanaście kroków od miejsca, w którym potykał się książę.

— Zatrzymajcie ich, niech nie dojdą do drabiny! — krzyknął Mestwin.

I sam na czele dobranych rycerzy chciał zabiedz Mieczysławowi, ale nim to mógł skutecznić, już dzielny książę, stanawszy z Henrykiem przy drabinie, skoczył na nią.

— Łucznicy — zawołał Mestwin — dosięgnijcie ich, pociskami dobrze wymierzcie! Kto trafi księcia, dwanaście sztuk złota dostanie!

Na te słowa wyleciała chmura strzał, z których żadna nie trafiła schodzących bohaterów. Po chwili Mieczysław z giermkim dostali się na równiny. W tej samej chwili ogromny kamień, rzucony przez rycerza z Wiederthalu, zwałił drabinę. Łucznicy znowu rozstawili się po basztach i dawna wróciła się bitwa, ale nie z taką odbywana jak rano prędkością, bo znużeni żołnierze dobrze naciągać łuków już nie mogli.

Tymczasem Sieciech, dowiedziawszy się o zdarzonych wypadkach przez Jarosza z Kalinowy, którego był posłał do Wszebora, przybył natychmiast z kilkoma rotami i Skarbimirem, którego wszędy z sobą wodził, ale już zastał Mieczysława u stóp murów, na których niedawno z tak bohaterskiem spotykał się męstwem.

— Górą książę Mieczysław! — krzyknął uniesiony walęcnością młodzieńca. — Do drabin, żołnierze moi, do murów!

I sam porwał drabinę i przystawił do wysokiej wieży, ale teraz runął na nią kamień i w kawałki potrzaskana w fosę wpadła.

— Nic im już dziś nie zrobimy — rzekł Sieciech — przecież to od rana przepowiedziałem; trzeba żołnierzom i nam samym spoczynku. Moją radą jest wrócić do obozu i, jeśli się podoba księciu Mieczysławowi, dam znak do odwrotu.

— Nie, nigdy! — krzyknął młodzieniec.

Sieciech wskazał ręką na trupy wiernych księcia towarzyszy, które częścią jeszcze na murach, częścią w rowie leżały.

— Czyż wszyscy dzisiaj mamy tak zginać, książę? Czyż taka twoja wola? Wprzód usypmy szańce na polu, przygotujmy tarany, drabiny, chrósty, kamienie, zaopatrzmy się

w oręż i żywność, przetnijmy dowozy do zamku, poczekajmy na posiłki, z Ciechanowa przybyć mające, a wtenczas żołnierze z większą ufnością pójdą do boju! Nareszcie wszyscyśmy znużeni i trzeba nam kilka dni odpoczynku, to na wyleczenie rannych, to na pochowanie zabitych, to na porzepienie osłabłych; ale zresztą czekam na oznajmienie twej woli, książę.

— Przystaję na twoją — odparł Mieczysław — uznając roztropność rad twoich, ale nim nakażemy odwrót, wprzód jeszcze świętej wdzięczności nas wzywa obowiązek, który najchlubniej na tem krwawem pobojuwisku spełnić. Henryku, zegnij kolana!

Przykląkł na rozkaz pana giermek, a książę Mieczysław uderzył go w ramię po trzykroć skrwawionym mieczem.

— W imieniu — rzekł — Boga, Najświętszej Panny, świętego Michała i Stanisława, pasuję cię na rycerza, Henryku z Kaniowa; bądź rzetelnym, pobożnym i walecznym, a na znak swojej godności przyjm ten upominek ode mnie!

To mówiąc, zdjął świetny łańcuch złoty z piersi i zarzucił go na szyję Henryka, którego własną podniósł ręką, dodając, że mu najmilej będzie, jeśli przy jego boku pozostać zechce.

— Ciebie bronić i tobie służyć pierwszą zawsze dla mnie powinnością będzie, książę i panie mój! — odpowiedział rycerz Henryk z Kaniowa, kiedy tymczasem grad pocisków raził oblegających.

— Wojewodo krakowski — zawołał Mieczysław — daj znak do odwrotu!

Natychmiast zagrzmiała trąba; usłyszane to hasło wstrzymało od bitwy wszystkie wojska szeregi. Zwinięto sztandary, odsunięto tarany, pozbierano, o ile można było, trupy i z tym smutnym morderczej walki dowodem zaczęły ustępować hufce. Wodzowie szli za swojemi rotami. Ostatni raz strzały wysypały się na nich z zamku Zbigniewa, ale niewielu trafiły. Wieczór się już zbliżał; słońce zapadało,

otoczone orszakiem chmur złotych, jak król, odchodzący z swojemi dworzany. Czasami odzywały się tłumne głosy, czasami słyszano piosnkę żołnierską, a wkrótce potem wojsko weszło do obozu, gdzie ze smutkiem liczyli wojownicy nader mnogą liczbę namiotów opuszczonych, pozbawionych już swoich rycerzy.

ROZDZIAŁ XI.

Turnieje, zabawy rycerskie, niech ukołyszają
wzbudzone serca przeciwników, niech sobie
dłoń podadzą bratnią!

Stary romans.

Zboczmy teraz od głównych osób naszej powieści, wracając do biskupa Stefana, który, odjechawszy w chwili rozpoczęcia walki, smutnie zbliżał się do Płocka.

Puściwszy wolno cugle koniowi, rozmyślał starzec nad nieszczęśliwymi skutkami domowej wojny i niezgody i szukał jeszcze sposobów odwrócenia ich. To cichą serca modlitwą błagał Boga, to znów, pogrążony w zadumaniu, ważne odkrywał widoki i nowe przedsiębrał zamiary. Daremno towarzyszący rycerze chcieli przerwać jego czarną smętność; nie zważając na ich mowy, spokojnie w milczeniu jechał, ale kiedy już stałe powziął przedsięwzięcie, kiedy znalazł sposób, którym się spodziewał, że zaradzi nieszczęściom ojczyzny, ściągnął osłabłą ręką wodze u konia i krok jego przyspieszył. Dostawszy się do Płocka, zsiadł przy swoim mieszkaniu, złączonem z kościołem katedralnym, i wszedł do niego; ale kiedy wszyscy sądzili, że myśli odpocząć po tak męczącej drodze, znów go ujrzeli wracającego na ganek i na koń siadającego. Ale nie ku obozowi już się teraz obrócił, udał się w najludniejszą stronę miasta i po kilku chwilach wjechał na dziedziniec zamku królewskiego. Zo-

stawwszy konia jednemu z swoich koniuszych, wszedł sam do sieni, znikł z oczu zdziwionych dworzan, którzy nie wiedzieli, co rokować z tak nadzwyczajnego pośpiechu w osobie tak wysokiej godności i lat tak podeszłych.

Wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa siedział w przedpokoju królewskim, pustym teraz, bo wiele osób, zwyczajnie go zapelniających, udało się częścią do Zbigniewa, częścią do Mieczysława. Bez wątpienia myślał o przyjemnym dla siebie przedmiocie, bo uśmiech całą twarz mu rozjaśnił, a pukiel czarnych włosów, któremu z umileniem się przypatrywał, trzymał w prawej ręce, na lewej zaś sokół ulubiony trzepotał skrzydłami.

Zapewnie głęboko musiał się zastanowić nad drogim upominkiem, bo nie słyszał otwierających się drzwi za sobą i dopiero za dochodzącemi go słowy:

— Wolimirze! czy można naszego miłościwego króla oglądać?

Odwrocił się i ujrzał stojącego Stefana.

Zawstydzony, że go biskup podszedł, kiedy rozmyślał o rzeczach tak światowych, porwał się natychmiast z krzesła, schował przedmiot miłosnych dumań i odpowiedział, że, choć najjaśniejszy pan słaby na zdrowiu, zapewne jednak nie odmówi odwiedzin biskupa płockiego.

— Oznajm mu więc, proszę cię, moje przybycie i powiedz, że ważne przynoszę nowiny!

Poprawił trochę pomięty kołnierz wielki sokolnik, otarł rękawicą buty, wziął do ręki czapkę z czaplemi pióry, przypasał pałasz, leżący na stole, i udał się do Władysława Hermana; niezadługo potem wróciwszy, wprowadził biskupa do króla polskiego, który spoczywał na łożu, osłoniętem bogatą makatą, i ciężkie koł boleści ciąglemi modły.

Ledwo wszedł biskup do pokoju, aliści Władysław powstał i, opierając się na rękę:

— Co się stało ze Zbi... — zawołał i zatrzymawszy się: — Wszebor, Mieczysław co robią? Ale czegoż mam

ukrywać słabość moją? Zbigniew, Zbigniew! Co się ze Zbigniewem stało, kapłanie?

— Królu i panie mój, Zbigniew jest w swoim zamku. Tam go przynajmniej zostawiłem.

— Cóż mówił? cóż zamyślał, biskupie? czy nie ranny? czy zdrow? — zapytał król, zapominając o tem, że Stefan nie był walce przytomny.

— Starałem się — odrzekł biskup — namową odprowadzić go od nieszczęśliwych wojen, wystawiałem mu wszystko, co sądziłem być zdolnem do wzruszenia jego serca, ale chęć sławy, namiętność do bitew, przemogła nad moje rady i teraz zapewne bój się już toczy.

— Twoja to wina, krwi pragnący kapłanie! — zawołał król w rozpacz. — Tyś mię przymusił wydać rozkaz Sieciechowi do bitwy! Tyś uzbroił moją rękę na syna, ty, wyzuty z najmilszych uczuć, rozerwałeś, rozszarpałeś moją duszę, tobiem winien strapienia, zgryzoty, a wkrótce może i stratę syna! Stefanie, gdyby nie twoje namowy i groźby, teraz może przy Zbigniewie doznawałbym najwyższych miłości ojcowskiej wzruszeń. Nie musiałbym się co chwila obawiać o śmierć mojego dziecięcia, co chwila wyobrażać sobie podniesione nań miecze lub utykające w jego piersiach strzały. Użyłeś za narzędzie swoich zamiarów słów boskich, pogroziłeś mi piekłem, obiecywałeś zbawienie; gdzież to zbawienie, kapłanie? gdzież ta nagroda sprawiedliwości? może nazwiesz nagrodą żal, zapelniający mój umysł, boleść, przerażającą me serce, przerażenie, ściskające wszystkie moje siły? Tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko na złe obrócił, a teraz jeszcze, jak duch piekielny, przychodzisz się uragać z twojej ofiary!

Wytrzymał tę burzę biskup z największą spokojnością od początku do końca, nareszcie, kiedy król przestał mówić i opadł na łoże, z uroczystą ozwał się powagą:

— Panie mój miłościwy, widzę z żalem, jak daleko szlachetne i chlubne twego serca przymioty mogły cię unieść;

wszystko ma przeznaczone dla siebie granice, a miłość ojcowska nawet ich przekraczać nie powinna. Dla przywar i występków syna nie godzi się cały naród poświęcać i poddanym krzywdy wyrządzać! Nieszczęście zesłało na twoją głowę trudne do zniesienia ciężary, bo przyznaję, że syn, nieposłuszny i nie odpowiadający staraniom ojca, najboleśniej jest ciosem; możesz go żałować, możesz oplakiwać jego błędy, ale nigdy im pobłażać, kiedy jeszcze tyle dzieci innych, poddanych przez Boga twojej opiece, woła o sprawiedliwość. Wspomnij, królu, na tego patriarchę, szanownego sędziwym wiekiem i tyloma cnotami, wspomnij na jego syna, tak różnego od dzisiejszych synów, tak pobożnego ku Stwórcy, tak posłusznego swojemu rodzicowi! A jednak ojciec za rozkazem Pana niebios nie wahał się wznieść noża ofiarnego na głowę niewinną swojego dziecięcia. Porównaj jego położenie z twoim, jego poświęcenie z własną słabością! Królu Lechii, zbierz siły i mocny otuchaj, że Bóg sprzyja cnotcie, przestań narzekać na Niego, schyl głowę przed sądami Stwórcy i posłuchaj rad moich, posłuchaj, jaki sposób wynalazłem do uratowania Zbigniewa, do pogodzenia go z Mieczysławem!

— Jakiż to sposób? — zawołał król, który już, przestraszony własną śmiałością, gotów był błagać o przebaczenie biskupa. — Jakiż to sposób, święty Boga pomazańcze? Daruj mi niebaczną mowę! Uniósł mię gniew niesprawiedliwy, bezbożny, ośmieliłem się powstać na człowieka bożego. Zapomnij o tem, biskupie płocki! Król Polski przeprasza ciebie i zarazem Boga, którego jesteś pośrednikiem na ziemi; powiedz, co odkryłeś na wyratowanie Zbigniewa, na ocalenie syna mojego i ojczyzny razem!

— Miłościwy mój panie — odparł biskup — twoje uniesienie już z mojej uszło pamięci, człowieka słabość ustąpiła przed uszanowaniem, winnem mojemu monarsze. Byłem w zamku Zbigniewa, widziałem przygotowania do bitwy, widziałem twarz jego, zachmurzoną żalem i wyrzutami su-

mienia, ale źli doradcy, ale szatan, wszędzie mu towarzyszący, ten rycerz niemiecki, odwiedli jego kroki od cnoty i sławę, o którą się ubiega, wskazali mu wpośród zbrodni i morderstw. Bóg nieprzebrany w litości może go jeszcze nawrócić do siebie; spoglądałem nań z uwagą, kiedy mi przyszło twe imię wymówić, i dostrzegłem na licach uczucia skolatanej duszy; nazwisko ojca go wzruszyło, pamięć na ciebie wprawiła w wahanie i mam słuszne przyczyny do wnoszenia, że, gdyby łyzy twoje ujrzał, napomnienia usłyszał, dobroć poznał, wtenczas-by się rozczulił i dla ojca odrzekł się niegodnych związków i niegodnych czynów.

— Biskupie — rzekł król słabym głosem po chwili namysłu, podczas której zdawało się, że sobie coś przypomina — kocham go nadewszystko, ale dobrze pamiętam, jak niedawno temu zaparł się przede mną występku swego, jak dał słowo, że nic nie wie o porwaniu Hanny. Syn, którego wychowałem, pieściłem w dzieciństwie, który nieraz spoczywał na mojem łonie, obrócił się przeciwko mnie samemu, oszukał moją dobroć, ufność zdradził, przysięgając, że nie spełnił zbrodni, do której wszystko go teraz zmusiło się przyznać. Ile razy mówiłem mu dawniej: »Zbigniewie, jeśli co złego popełnisz, przyznaj się ojcu! U niego pobłażanie i miłość znajdziesz. Chytrzy fałszywi przyjaciele namówią cię do jakiego występku, nieostrożny wpadniesz w przepaść, ale on cię z niej wyrwie, jego wyrzuty ciebie straszyć nie powinny, bo zawsze wpośród nich przebaczenie rozeznasz«. Ale odstąpił teraz Zbigniew ode mnie, zasiadł w swoim zamku pomorskim i otoczył się cudzoziemcami. Donosili mi przyjaciele o gwałtach i żdzierstwach, które popełniał. Wierzyłem czasem, najczęściej miłość ojcowska mnie zaślepiła, ale nareszcie przekonałem się o mojem nieszczęściu, rozerwana zasłona spadła mi z oczu, zniknął cel moich starań i najdroższych uczuć, a został zbrodniarz. Ach! syn mój zbrodniarzem!... Biskupie, ty tego nie czujesz, tyś nigdy nie miał dzieci, tyś nie patrzył na młode ich lata okiem pełnem

nadziei, tyś nie pielęgnował tej młodej latorośli, tyś ją nie okrywał cieniem własnych gałęzi i nie czujesz teraz, jak ona się wzniosła, okrążyła pień zastarzały, nie czujesz, jak codzień, pnąc się do góry, coraz mocniej go obejmuje, ściska i przytłumia! Poświęciłeś się Bogu, a żadna myśl ziemską nie przerwała spokojności twojej duszy. Ale prawda jest, że grzech daje zawsze grzechowi początek. Grzech go na świat wydał, a zbrodnia przyjęła jeszcze w powiciu i napiętnowała cechą zniszczenia i zaguby. Ach! jakem nieszczęśliwy, biskupie!... — Tu oddech przerwany zatrzymał Władysława. Załamał ręce i wzrok wlepił w Stefana, który z trudnością łzę wstrzymywał w oku.

— Nie opuszczaj się tak, panie mój! — zawołał biskup — i jeśli ziemia dla ciebie zdrajców tylko wydała, jeśli świat znikomy zawiódł twoje nadzieje, niebo ci się zostało, otwarte są jego bramy przed skruchą i zmartwieniem!

— Niebo, ach niebo! — odrzekł król polski — tak, niebo, ale nie będzie tam Zbigniewa! — I załżał się rzewnym płaczem.

— Może Bóg pozwoli...

— Nie, ach! Bóg jest sprawiedliwy, przebrała się miara jego przestępstw. Morderca, zbrodniarz, zatruwający starość ojca, walczący z bratem, nie znajdzie wstępu do przybytku cnotliwych.

— Królu mój miłościwy, czas upływa, chwile nam drogie na narzekaniach przepędzamy; Władysławie Hermanie, królu polski...

Ale nadaremno głos biskupa obijał się o głuche sklepienia, bo już nie dochodził uszów przygniecionego strapieniami ojca.

Zawarł oczy Władysław, sine plamy lica mu pokryły i zdawało się, że już żelazna ręka śmierci ciąży na nim.

Przerażony biskup zawołał na Wolimira. Ale wielki sokolnik, niespodzianie zaskoczony, musiał znów odzież poprawić, pukiel czarnych włosów schować i, przerywając swoje

dumania, wybrać się do pokoju królewskiego; kilka chwil uszło, nim odpowiedział na głos Stefana, kilka drugich upłynęło, nim porwał sokoła. A kiedy stanął u drzwi komnaty, niebezpieczeństwo Hermana doszło do najwyższego stopnia.

— Rzuć niepotrzebnego ptaka i pomóż mi ratować swego króla i pana, opieszaly sługo! — krzyknął Stefan, podnosząc głowę monarchy.

— Nie tak opieszaly, jak ci się zdaje, szanowny biskupie! — odparł Wolimir i, wyjąwszy z sukni flaszkę, napełnioną mocnym płynem, zaraz króla zaczął ocucać, opowiadając Stefanowi, że jeszcze nad brzegami Sekwany, które kiedyś odwiedzał, uzyskał był od damy dworu królowej francuskiej ten upominek, nie odstępujący odtąd nigdy jego piersi, a wielce w tej chwili przydatny Władysławowi, bo po chwili wolniej oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc, że chce sam na sam z biskupem zostać.

— Lepiej, żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w mojem sercu przez kilka chwil było, a teraz wrócony życiu znowu czuję i widzę moje nieszczęście!

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył! — odpowiedział biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zaradzeniem klęskom krajowym i osobistym!

— Mów więc, co sądzisz być do tego przydatnem, bo ja cię słuchać tylko mogę!

— Pewny jestem — zawołał biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękcza Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, inszego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem! Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczego, jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego,

świętość wiary, nic na hardym księcia umyśle dotąd nie zdziałały, ostatni ratunek pozostaje w tych skrytych w głębi serca uczuciach, które, długo stłumione, odzywają się nareszcie i, często błędzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a niewątpliwie, że Zbigniew padnie do nóg ojcu i winy swe uzna!

— Dałby to Bóg! Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach, Boże, jakżeś srogo mnie ukarał!

— Właśnie w tem cała trudność polega — rzekł Stefan — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew, nie mając z kim walczyć, tu się stawi. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków, łączących go z ojcem, jak tyle innych już w życiu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tem wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego nie zdolny! Ach, Boże! Ach, Zbigniewie, ty nie wiesz, co cierpi twój ojciec!

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdatnym jest do tego Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszej osobie, ale zbyt często unosi się gniewem, zbyt roztargnionym i lekkim jest do takowej sprawy. Jego więc wyszlę do Skarbimira, tego nieoszacowanego doradcy, tego roztropnego...

— Przepraszam cię, królu mój miłościwy — rzekł biskup — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gulczewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości, potrzebnej w takim razie, zupełnie mu zbywa. Ja to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usłudze tobie.

— Mylisz się Stefanie, Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie oddawna. Wszystko, co wie, co czuje,

wynurza przede mną, a szczere jego serce nic skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira. On naszą wolę i polecenie poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, najjaśniejszy panie! — Wolimirze z Moskorzewa! Wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędzej otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty biskupie, bo ja nie czuję się na siłach! Ach, Zbigniew, Zbigniew!

— Wolimirze — rzekł biskup — król Władysław przeznacza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

— Przedziwnie! — zawołał sokolnik — przedziwnie! Gotów jestem na wszystko. Może po drodze znajdę stado kuropatw, a mój sokół...

— Zostaw sokoła, Wolimirze z Moskorzewa — dalej mówił biskup — i pilniej zważaj moje słowa! Przybywszy, oznajmisz księciu Mieczysławowi, że jego król i stryj żąda, by wojny na krótki czas zaprzestał. To samo wojewodzie krakowskiemu powiesz, Skarbimirowi zaś z Gulczewa ogłosisz wolę królewską, by natychmiast udał się do Zbigniewa i w imieniu ojca i króla zaprosił go do Płocka, na rozmowę z naszym monarchą, ręcząc mu, że podczas tego przeciwna strona do oręża się nie weźmie.

— Na Boga i świętego Huberta przysięgam to wszystko spełnić jak najprędzej, ale dzisiaj zdaje mi się, że już nie czas wyjeżdżać, bo zastanę wojska walczące, a głos jednego człowieka nie wróci do pokoju i porządku tysiące rozłożonych po szerokiej równinie i palających namiętnością do boju; jednak, jeśli rozkażesz, miłościwy królu, natychmiast wyruszę.

— Ma prawdę za sobą Wolimir — ozwał się Władysław. — Jutro rano wyjedziesz, by tylko przed świtem jeszcze,

— Drugą uczyniłbym uwagę — rzekł Wolimir — gdyby na to król mój i biskup płocki pozwolili.

— Mów, wielki sokolniku! — było odpowiedzią monarchy.

— Nie obrażaj się, miłościwy mój panie — rzekł więc Wolimir — jeśli ci przedstawię, że nie tak łatwo zwabić księcia Zbigniewa, osobiwie w takim stanie rzeczy! Skarbimir z całą swoją wymową nic nie zdziała i lis szlacheznego nie przyciągnie orła. Pamięć nawet na ciebie, wątpię, by tyle poruszyła księcia, żeby chciał na pierwsze zawołanie ojca opuszczać swoich ludzi i oblężony zamek, zostawując przed jego murami wrzącego ku sobie gniewem brata i sławnego z dzieł wojennych Sieciecha. Zdaje mi się, że lepiejby było inaczej księcia Zbigniewa przymusić do widzenia się z tobą, najjaśniejszy panie, ale potrzeba wtenczas przyczyny, którejby skutkiem było ustąpienie jego nieprzyjaciół z pobojowiska. Czyby jaka zabawa rycerska, turnieje naprzykład, tu się nie przydały? Dzień twoich urodzin, najjaśniejszy panie, niedaleki. Możemy łowy świetne wyprawić. Mnóstwo sokołów, psów, łowców, czeka na skinienie twoje.

— Dobra myśl — przerwał Stefan — i radzę ci, królu, byś ją przyjął. Turniej osobiwie łatwiejszemby uczynił ich pogodzenie i świetności by mu dodał.

— Kiedy tak chcecie — odparł Władysław — urządzcie to oba; słabość, a nadewszystko smutek siły moje nadwęgry!

— Na turnieju — dodał Wolimir — łatwo ci będzie ich pogodzić, najjaśniejszy panie, bo sława wszystko tam pobudza; gdzie idzie o sławę, nikną insze namiętności, jak przed moim sokołem siwek lub kobuzów stada.

— Trafne porównanie — odparł Stefan, nie mogący lekko wstrzymać uśmiechu. — Więc za sześć dni igrzyska rycerskie się otwierają.

— Tak, za sześć dni, to jest we czwartek, jeśli się nie mylę, w dzień urodzin Władysława, króla polskiego, odbędzie się turniej w mieście Płocku, na który imieniem najjaśniejszego pana Skarbimir z Gulczewa ma zaprosić księcia Zbi-

gniewa i Mieczysława, rozumie się z innemi także. Wszystkiego zaś ma być główną sprężyną wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa, wyruszający jutro przededniem, wracający wkrótce potem i urządzający podług wszelkich prawideł rycerstwa ów turniej, który pogodzi rodzinę królewską.

Po tych słowach głęboki oddał panu swemu pokłon i wyszedł z komnaty.

— Pierwszym warunkiem zaś będzie w tym turnieju — ozwał się biskup — ażeby ani Mieczysław ani Zbigniew doń się nie mięszali, a kiedy wszyscy, zabawą zajęci, ubiegać się będą o chwałę, znajdziesz czas, panie i królu mój, do pomówienia z jednym i drugim, do zbliżenia serc rozjątrzonych i załagodzenia sporu. Wiele ci zapewne trudu stąd wyniknie, ale pamiętaj, miłościwy panie, że to jedyny w tej mierze ratunek!

— Zrobię to, zrobię — odpowiedział Władysław — poświęcę się dla Zbigniewa, nie opuszczę syna w potrzebie, synowca uratuję, pokój, cnota...

Chciał dalej mówić, ale osłabł nagle, spuścił głowę na piersi i zalał się łzami, a kiedy biskup pocieszać go zaczął:

— Zostaw mnie teraz — rzekł — szanowny Stefanie, udam się do modlitwy, która może zgoi ciężkie rany!

Kapłan, szacując tę pobożność, opuścił go w milczeniu, odchodząc nie omieszkiał powtórzyć Wolimirowi raz już danego zlecenia.

— Zobaczysz, szanowny biskupie, jak pięknie się sprawię — zawołał wesoly sokolnik. — Nie znam się na locie ptaków, ani na łowach, jeśli nie pogodzimy tych młodzików; poselstwo z przykłądną powagą odbędę, Skarbimirowi męstwa natchnę w serce, co najtrudniejszym będzie ze wszystkiego. Ale, na wszystkie sokoły w Polsce, zapomniałem, że mi jutro przed wschodem słońca wstać potrzeba i że się nie wywczasowawszy mogę zasnąć w obozie i źle się spisać. Więc żegnam cię biskupie, i zabieram się do spoczynku;

w tej komnacie noc przepędzę, gdyż dzisiaj jestem, jak to najczęściej się zdarza, na służbie.

To mówiąc, obwinał się płaszczem i usiadł w szerokim krześle...

— Gdyby król mocno zasłabł, natychmiast każ mi o tem donieść, Wolimirze! — były ostatnie słowa odchodzącego Stefana, ale podobno ich wielki sokolnik nie słyszał, gdyż, snem twardym ujęty, marzył już o sokołach i puklach dziewczycych.

ROZDZIAŁ XII.

Oj, nie bardzo sobie życzę
Oglądać jego oblicze.
Gotów w zapale wściekłości
Wszystkie potrzaskać mi kości.

Piosnka gminna.

— Stój! Jakie hasło? — krzyknął żołnierz, stojący przy końcu obozu, rozwiniętego przed murami Zbigniewa, na człowieka, który jeszcze przed wschodem słońca na rozpędzonym przybiegał koniu.

— Stój! — powtórzył — jeśli nie chcesz z życiem się rozstać!... Jakie hasło?

— Na wszystkie sokoły — odparł jeździec — nie znam twego hasła, puszczaj mnie, bo na Boga, śpieszyć się muszę!

— Stój! — groźnie po raz trzeci ozwał się żołnierz i pikę w pierś konia skierował.

— Do szatana, na piekło i Belzebuba, człowiecze, co robisz? Przybywam od króla Władysława, puszczajże mnie, bo, na wszystkie orły gór karpackich, niemiłem ci będzie moje przywitanie! Czyż nie znasz wielkiego sokolnika Wolimira z Moskorzewa?

— Nie znam, tak, jakem Michał z Jarłuty — krzyknął zawzięty żołnierz — i choćbyś tu godzinę mi wyliczał swojej godności imiona, nie puszczę cię, nim mi hasło powiesz, lub przez moje ciało przejedziesz!

— Piekiełnieś uparty, Michale! Przysięgam ci, żem Wolimir; król nasz Władysław, o którym już musiałeś słyszeć, przysłał mnie do księcia waszego.

— Nie ludź mnie na próżno — odmruknął strażnik — bo nic dla ciebie uczynić nie mogę!

Podczas tego sporu kilku innych żołnierzy zgromadziło się wokoło towarzysza, chwając głośno jego pilność i ostrożność; na nieszczęście żaden nie znał Wolimira, bo właśnie wielki sokolnik trafił na hufce Wszebora, które, niedawno z Ciechanowa przybyłe, nikogo w Płocku nie znały.

Tymczasem chmury, okrążające niebo, poszły w rozsypkę na wszystkie strony i, oświecone najżywszemi farbami, zdawały się w uszanowaniu czekać wschodu słońca. Dzień coraz się jaśniejszym stawał. Lały się potoki ognia na błękitne sklepienia, a wreszcie gwiazda światłości ukazała się w całym przepychu złotych i purpurowych promieni. Ten widok podniecił gniew sokolnika.

— Do diabła, spóźnię moje przybycie; co król, co biskup powiedzą? Żołnierzu, puść mnie natychmiast, bo przysięgam ci, że zdrowo nie wyjdiesz z tej sprawy! Puszczaj, bo cię zwałę pod końskie kopyta!

— Precz stąd, zuchwalcze! — zawołali wszyscy, ujmując się za towarzyszem, ale zniecierpliwiony Wolimir spiął rumaka i rzucił się pomiędzy tłum żołnierzy; z początku odstąpili, ale potem, ścisnąwszy swe koło, zatrzymali wielkiego sokolnika, który widząc, że trzeba się chwycić ostateczności, dobył oręża. Ale nie ochroniłoby to go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyby głos, w tej samej chwili usłyszany, nie zatrzymał dzikich wojowników.

— Co się to znaczy? Niech każdy wraca na swoje miejsce! Precz stąd, żołnierze! — i ukazał się Jarosz z Kalinowy, który na szczęście Wolimira nadszedł przypadkiem w tę stronę.

— To szpieg, to zdrajca! Powroza! powroza! Zawlec go do najbliższego drzewa!

— Do stu tysięcy strzał i łuków, precz mi stąd, motłochu! — krzyknął Jarosz.

Natychmiast cofnęli się żołnierze, a Wolimir podziękował dobrze sobie znanemu towarzyszowi wojewody krakowskiego, by go zaprowadził do namiotu księcia Mieczysława.

— Ale jakim sposobem to się zdarzyło, wielki sokolniku? — rzekł Jarosz. — Prawda, że to wieśniacy, chłopci, ci żołnierze z Ciechanowa, my co innego, przecie zawsze stoimy zimą i latem w królewskim zamku.

To mówiąc, pokręcił węża i ukłonił się Wolimirowi, który, obtarłszy zakurzoną odzież, z wytworną postawą gotował się iść do księcia.

— A cóż chcesz? — odpowiedział — przybyłem tu, a kiedy nikt mnie nie znał, chciałem się z nimi zapoznać. Lecz ponieważ i wielcy sokolnicy nic nie mogą przeciwko tysiącom poradzić, zapewniłbym bez twojej pomocy życie i urząd postradał. Ale kiedy to wszystko teraz w żart się obróciło, macie, moi przyjaciele! — i rzucił z obojętnością pańską niedawno zawziętym na siebie garść pieniędzy. Późem oddał się z Jaroszem, poprawiając podczas drogi bogaty pas, na którym wisiał pałasz i kołnierz szerokiego płaszcza, spiętego złotą klamrą, którą, jak to opowiadał Jaroszowi, w Paryżu na turnieju był odebrał z rąk niezrównanej piękności.

— Król Filip wtenczas siedział — ciągnął dalej — na tronie, a wszystkie dziewice Franków, wszystkie róże Prowancyi zgromadzone patrzyły na nasze igrzyska i gonitwy; pamiętam, jakgdyby to się dzisiaj działo, żem zwałił z konia Enguerranda de Montemor, wielkiego koniuszego króla, a oklaski wszystkich i wieńce z kwiatów spadały na mnie, cudzoziemca, z dalekich krajów przybyłego. Był jeden wieńiec droższym mi od wszystkich, bo rzucony ręką Eleonory de Montmorency...

— Już jesteśmy u namiotu księcia Mieczysława — przerwał mu Jarosz, który, pierwszy raz słysząc o Paryżu, królu

Filipie, Enguerrandzie i Eleonorze, nie wiedział, czy te osoby na ziemi lub na księżycu przesiadują...

— Szkoda, że nie trochę dalej go księżę wystawić kazał, bo bym ci mój opis dokończył, ale teraz muszę cię pożegnać.

Po odejściu towarzysza przez chwilę stał przed szerokim namiotem wielki sokolnik i dał znak żołnierzowi, pełniącemu tam służbę, by go jeszcze nie wprowadzał; wyjąwszy pałasz z pochwy, przeglądał się w jego klindze, czystej jak kryształ, która nieraz podczas boju lub łowów za zwierciadło mu służyła. Zadowolony z własnej postawy, z ułożenia włosów i całego stroju, postąpił dalej i wszedł do namiotu, w którym właśnie odbywała się narada wojenna, złożona z księcia, wojewody, pana Ciechanowa, Skarbimira z Gulczewa i wyniesionego świeżo na godność rycerską Henryka z Kaniowa.

— Witam cię, księżu, i was, panowie, z życzeniem jak najlepszego dnia, nie opuszczając najpiękniejszych nocy. Zapewnieście trochę zdziwieni mojem przybyciem? Przysłał mnie najpotężniejszy i najjaśniejszy Władysław I., król polski.

— Witamy cię nawzajem — odparł Mieczysław — i niezmiernie nas uciesza twoja przytomność. Jakże się mój stryj miewa? Jakież są jego rozkazy?

— Co do pierwszego, odpowiem, że nie najlepiej. Co do drugiego, to właśnie będzie następnej mowy przedmiotem, — mowy, którą proszę słuchać z uwagą, tak, jakgdybyście własnego monarchy słuchali, gdyż jego wolę wam oświadczę. Wstęp do tej mowy krótki i zwięzły, składa się z tego, że mnie król Władysław przysłał. Osnowę zaś dzielę na trzy części.

— W pierwszej ogłaszam wolą króla polskiego zawieszenie broni, sześć dni trwać mające.

— W drugiej oświadczam, że w przyszły czwartek, w dzień urodzin najjaśniejszego pana, odbędzie się turniej na rynku płockim, na który zapraszam imieniem mego króla i pana księcia Mieczysława, Sieciecha, wojewodę krakow-

skiego, Wszebora, pana Ciechanowa, Skarbimira, pana Gulczewa i Kościelca, i wszystkich, którzy tam zechcą się stawić.

— Przystępuję do trzeciej i ostatniej części, w której pozostaje mi powiedzieć Skarbimirowi, panu Gulczewa i Kościelca, że go król Władysław przeznaczył do świetnego i chlubnego poselstwa, które ma odbyć natychmiast do księcia Zbigniewa, żeby go zaprosić na turniej i ogłosić mu zawieszenie broni, po którego upływie, jeśli zechce, znów rozpocznie wojnę.

— Domówienie należałoby teraz uczynić, ale na wszystkie dziewice Prowancyi przysięgam, że nie czuję się więcej na siłach i że dobre śniadanie najlepiejby temu zaradziło.

— Żart przedziwny! — rzekł Skarbimir, drżący ze strachu.

— I ja tak sędzę! — zawołał Mieczysław.

— Wielki sokolniku, ja dodam — rzekł Sieciech — żeś źle się wybrał z takimi żartami.

— Na wszystkie sokoły i orły, na wszystkie czarne i błękitne oczy, na krucze i bursztynowe dziewic warkocze, na ten pałasz u mojego boku, na wszystkie turnieje całej Europy, nareszcie na przedmiot moich myśli i miłości, przysięgam, że prawdę powiedział!

— Dajże już pokój — ozwał się Wzebor — bo wprawisz nas w mniemanie, żeś oszalał, lub zanadto winem...!

— Przysięgam słowem rycerskiem, że przysłany od króla i że wszystko, com wam powiedział, pochodzi z woli najjaśniejszego pana, Władysława Hermana, króla i władcy mego, a ktokolwiek poważy się o tem wątpić, przekonanie o prawdzie słów moich znajdzie na ostrzu tego miecza!

— Wierzę teraz! — krzyknął Mieczysław, zrywając się z siedzenia. — Ale cóż się stało mojemu stryjowi? Czy sądzi, żeśmy dzieci, na zabawę wypuszczone, z której muszą wracać za rozkazem nauczyciela? Nie, na Boga, dopóki Hanna w tych murach będzie, dopóty i kroku stąd nie odstąpię!

— Gdzież ja mam iść do Zbigniewa — rzekł Skarbimir — do takiego okrutnika, do człowieka, przekłętego przez biskupa? Jego oddech, Jego słowa skażą moją niewinność!

— Jeśli tylko o twoją niewinność idzie — przerwał Sieciech — dawno po niej śpiewano *requiescat in pace*, nie masz się czego obawiać. Ale, do pioruna, nie jesteśmy niewolnikami; kto nas przymusi, a przynajmniej kto mnie przymusi stąd odstąpić, kiedy nie taka będzie moja wola?

— Róbcie, co chcecie, moi przyjaciele — zawołał Woli-mir — bylebym z głodu nie umarł. Jeszcze noc była, kiedy wyjechał, wszyscy spali i nic nie mogłem dostać do jedzenia. Książę Mieczysławie, zginę, jeśli...

— Lassoto — rzekł książę do stojącego pazia — każ przynieść śniadanie dla wielkiego sokolnika!

— Posłuchajcie mnie! — zawołał wtenczas Wszebor. — Dobrze umiem oceniać przyczyny, powodujące naszym królem i panem. Chce on pokój wrócić, spór załagodzić i wstrzymać krwi rozlew. Jeśliście wierni poddani, winniście mu być posłusznymi.

— Jeśliście dobrzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny — rzekł Skarbimir. — Ale niech kto chce idzie do Zbigniewa, ja zaś nie myślę!

— Przysięgam na mój topór — krzyknął Sieciech — że nie kto inszy, ale ty pójdziesz! — Kiedy dla posłuszeństwa broń ulubioną składamy, boje najmilsze porzucamy, ty możesz kilka kroków zrobić i jeśli nie językiem, to orężem odczyźnie się przysłużyć.

Zamknął podskarbi i, siadłszy w kącie, polecał się świętym i aniołowi stróżowi.

— Przez sławę i zwycięstwa mojego ojca! — zawołał Mieczysław, wpadając w gniew, niezwykle sobie — pierwszej te mury ode mnie na turniej się udadzą, kiedy idzie o życie, o sławę Hanny! Król każe mi się bawić, kiedy każdym uderzeniem mogę wroga zamordować; będę musiał siły wy-cieńczać dla przypodobania się królowi i dworzanom, kiedy

serce moje ledwo mi z piersi nie wyskoczy; sześć dni trzeba będzie przepędzić w spokojności, dać czas Zbigniewowi do uzupełnienia zbrodni. Nie, przysięgam...

— Wstrzymaj się, książę! — przerwał mu Wszebor. — Ogłaszam wam wszystkim, że usłucham woli króla. Nazwijcie mię ojcem wyrodnym, bojaźliwym, niegodnym imienia rycerza, nic to nie pomoże; pierwaj byłem Polakiem, nim rodzicem, pierwaj przysięgałem na wierność monarsze, nim doczekałem się córki. Zapewnie, złożyć broń w takim razie wielką jest dla mnie ofiarą, ale nie straciłem z wiekiem tyle mocy i stałości, bym się na nią nie zdobył. Książę, uczynisz, co ci się podoba, ale nigdy ręka Hanny z Ciechanowa twoją nie będzie, jeśli nie przeniesiesz dobra ojczyzny nad szaloną miłość. Obieraj więc!

Usiadł w milczeniu Mieczysław, obiema rękami twarz zakrywając.

Tymczasem Wolimir nie stracił ani chwili i, przedziwną zjadając sarninę, skrapiał ją węgierskiem winem.

— Przedziwne śniadanie! Ach, twój kucharz, książę, musi przybyć na turniej. Zdrowie twoje, Sieciechu! Na wszystkie sokoły, nigdy lepszej nie widział zwierzyny. Piję do ciebie, Wszeborze! Nie mogę cię opuścić, giermku księcia Mieczysława!

— To jest rycerz Henryk z Kaniowa, od wczorajszej bitwy — ozwał się wojewoda krakowski.

— A więc muszę zdrowie powtórzyć, bom się omylił. Do ciebie piję drugi raz, szlachetny rycerzu! Do was wszystkich, panowie! Niech żyje król Władysław! Uczy nas religia i o nieprzyjaciółach pamiętać, więc zdrowie Zbigniewa! Nie zapominam i o nadobnej Hannie z Ciechanowa.

— Wielki sokolniku — rzekł, zwołna podnosząc głowę, Mieczysław — odpowiedz królowi i stryjowi mojemu, że przybędę na turniej! Wszeborze, tyś tylko mógł mnie do tego przymusić.

— Synu mój ukochany, niech wszystkie najlitościwszych

niebios błogosławieństwa spłyną na twoją głowę! — odpowiedział rozczulony pan Ciechanowa. — Choćby nawet — dodał — i król tego po nas nie wymagał, straciliśmy wielu ludzi wczoraj. Namioty zapełnione są rannymi i w takim stanie czasu najmniej sześć dni potrzebujemy do pokrzepienia wojska nowymi posiłkami i do obwarowania obozu. Własną więc korzyść połączamy z wolą monarchy. Nieprawdaż, Sieciechu?

— Zawsze z tą wolą monarchy występujesz, Wszeborze — odparł dumny wojewoda — a chciałbym, żeby czasem i naszych radzono się chęci; zresztą potwierdzam twoje wnioski dodając, że turniej najpiękniejszą jest zabawą i że się spodziewam spotkać na nim z księciem Zbigniewem.

— To się mylisz, wojewodo krakowski — rzekł Wolimir, nie opuszczając stołu — bo ani Zbigniew, ani książę Mieczysław podobno walczyć na tym turnieju nie będą. Chce ich król nasz pogodzić.

— Pierwej ogień z wodą! — krzyknął Mieczysław. — Pierwej zmięć przypuszczę do łona, niż syna Władysława!

— Ależ, na wszystkie sokoły, potężny Skarbimirze, śpiesz się do księcia, bo król największej prędkości i pilności po tobie wymaga!

— Jam dotąd sądził, że żartujesz, wielki sokolniku.

— Toś się bardzo omylił; daję ci słowo, że król Władysław obrał cię do tak ważnego poselstwa, znając twą mądrość i biegłość, nieraz doświadczoną.

— To nie może być, ani mogę temu uwierzyć...! Po co mnie do niego wysyłać, mnie, starca, niewiele dni mającego do grobu?

— Tem mniej będziesz ich żałował, jeśli życie tam postradasz! — krzyknął Sieciech i, obróciwszy się do Lassoty, kazał mu zawołać Jarosza z Kalinowy.

— Skończyłem śniadanie — rzekł Wolimir — i przyznaję, że rzadko podobne w licznych nawet zagranicą podróżach jadałem. Mam nadzieję, że będę mógł lepiej osądzić

jeszcze twoją kuchnię, książę, bo myślę tu się zostać na obiad. Wątpię, by wprzód wrócił z zamku pan Gulczewa.

— Zapewne ledwie na wieczerzę wróci — zawołał Sieciech, mający największe upodobanie w poniżaniu podłego Skarbimira, który całą nienawiścią chytrego i złośliwego serca odpłacał mu za częste żarty.

— A może Zbigniew do stołu zaprosi — dodał Woli-mir — tylko żeby nie do nazbyt wysokiego.

— Najwyższe miejsce — odparł wojewoda — najzaszczytniejszem jest zawsze.

— Zapewnie — znów odrzekł sokolnik — i szkoda, że mego sokoła z sobą nie przywiózł.

— A to na co?

— Boby odstraszał kruki i żarłoczne ptaki, które może będą przeszkadzać panu Gulczewa i Kościelca.

Tu powszechny śmiech, od którego nawet zamyślony Mieczysław nie mógł się wstrzymać, powstał w namiocie.

— Żeby przynajmniej — ozwał się Skarbimir — hufiec zbrojnych ludzi mi towarzyszył! Powaga królewska nawet tego wymaga.

— Już temu zaradziłem — przerwał wojewoda — kilku zbrojnych odprowadzi cię do bramy, bobyś inaczej uciekł, wyszedłszy z obozu, a wtenczas prawdziwyby uszczerbek poniosła. Ale kiedy wejdiesz do zamku, zostawimy cię własnym losom i przeznaczeniu.

— Dlaczegoż, wojewodo krakowski — zapytał się Mieczysław — nie mamy przystać na tę prośbę Skarbimira?

— Bo, mości książę, potrzebni są nam ludzie, a choć Henryk uniknął wczoraj śmierci, możeby to się dzisiaj nie powtórzyło.

— Więc wystawicie towarzysza broni, podskarbiego królewskiego — rzekł pan Gulczewa głosem rozpaczony — na pastwę złoczyńców bez litości, wydajecie go wrogom za to, że wam przyprowadził własne hufce?

— Które — przerwał Sieciech — nie chciał przyjąć książe Zbigniew, wychodząc z sali naradnej.

Zamilkł zawstydzony podskarbi trafnym wyrzutem Sieciecha, który dostrzegł był czyn jego niegodziwy. Wtem ukazał się u wnijsia do namiotu Jarosz z Kalinowy.

— Dzielny mój wojowniku — zawołał Sieciech — odprowadź na czele swojego oddziału z białą chorągwią potężnego podskarbiego królewskiego do zamku księcia Zbigniewa! U bram się zatrzymasz i, przekonawszy się, że wszedł do zamku, natychmiast się wrócisz!

Skłonił głowę Jarosz na znak posłuszeństwa, a Skarbimir, widząc nieodzowną konieczność, stanął w środku oddziału i, pożegnawszy wzrokiem napół smutnym, napół wściekłym, przytomnych, oddalił się. Słyszał jeszcze dosyć długo głośnie śmiechy wojewody i wielkiego sokolnika, ale nareszcie wszystko umilkło. Minał ostatnie obozu namioty i powoli zbliżał się do zamku z równem przerażeniem, jakgdyby szedł na szubienicę. Chorągiew biała, z daleka jeszcze ujrzana, dowiodła stojącym na straży przy moście zwodzonym, że w zamiarach pokoju zbliżają się do nich; natychmiast uwiadomili o tem pana, który wysłał na przyjęcie gości Jordana z Gozdawy. Grzecznie uklonił się rycerz podskarbiemu.

— Jaroszu — rzekł pocichu Skarbimir -- obiecuję ci worek pełen złota, jeśli za mną do zamku pójdziesz.

— Potężny panie Gulczewa, nie potrzebowalbym nagrody dla oddania ci tej przysługi, gdyby rozkazy wojewody Sieciecha mnie nie wstrzymywały; pozwól więc, bym cię pożegnał!

To mówiąc, dał znak swoim ludziom do odwrotu i zostawił Skarbimira z Jordanem, który kazał spuścić most zwadzony, a łoskot, stąd wynikły, wydał się w uszach przerażonego starca ostatecznym zaguby wyrokiem.

ROZDZIAŁ XIII.

Pragniesz mię, widzę, zdrajco, schwycić w swoje szpony —
Zobaczysz, kto z nas lepiej w zradach wyćwiczony!

Bezimienny.

— Książę i pan nasz trochę słaby — rzekł Jordan, prowadząc Skarbimira do komnaty Zbigniewa. — Ale Abraham z Hamburga obiecuje, że wkrótce go uleczy z lekkiej rany i że będzie mógł wrócić na pole bitew i sławy.

Rycerz żadnej nie uzyskał odpowiedzi, bo Skarbimir cały drżał od strachu i wszystkie natężał siły, by nie upaść; to wszystko, połączone z niespokojnością duszy, z niepewnością, jak go przyjmie książę, w taką wprawilo go trwogę, że odrzekłby się wszystkich bogactw dla uniknięcia przykrego położenia. Nagle bowiem, jakgdyby porwany z obozu i rzucony w mury nieprzyjacielskie, poglądał błędnym na otaczających wzrokiem, a słowa Jordana, choć uprzejmie wyrzeczone, groźnie w jego uszach grzmiały. Miał jednak czas do przyzwyczajania się, bo nie zaraz za wejściem do zamku do jego pana się dostał; przechodził wiele komnat i galeryi, ale wcale inszą postępował drogą od tej, na której Mestwin biskupowi przewodniczył. W każdym pokoju zastał mnóstwo zbrojnych, różnie czas przepędzających. Jedni z puhaem w ręku dawne opowiadali czyny, drudzy grali w kości i, uniesieni namiętnością, jednym ruchem rozstrzygali los swój przyszły, lub też, umiarkowańsi, nie wystawiali całych majątków na pastwę ślepego losu, ale pomniejsze przed-

mioty, jak: hełmy, pałasze, sztylety. Słowem ożywiony zamek przedstawił oczom Skarbimira liczne hufce i wesoło bawiących się rycerzy, którzy rzadko odwracali oczy na przypatrzenie się jemu. Dostał się on nareszcie do drzwi, za których otwarciem ukazały się ogromne z ciosowego kamienia schody, wybudowane w różne zakręty, coraz bardziej wznoszące się do góry. Temi poszedł za znakiem, danym od Jordana z Gozdawy, który znowu wszczął rozmowę opowiadaniem własnego poselstwa do jakiegoś dzikiego wodza Prusaków, ale i teraz żadnej nie uzyskał odpowiedzi.

Skarbimir czując, iż wkrótce przyjdzie mu spełnić zlecenie Władysława, zaczął nad niem myśleć i, ochłonawszy nieco z przestachu, urządził w myśli tryb całego postępowania; nareszcie i miłość własna, nigdy nie opuszczająca człowieka, ozwała się w głębi duszy i, przemógłszy nad bojaźń, pomogła do ułożenia mowy, w której miał ozdobnemi słowy i właściwemi wybiegami wolę monarchy oznajmić, dumy księcia nie zrażając i zarazem czyniąc zadość rozkazom króla. Dzięki długości drogi zupełnie był przygotowanym do spełnienia odebranych zleceń podskarbi królewski, Skarbimir z Gulczewa, kiedy Jordan z Gozdawy ostrzegł go, że przybył do komnaty księcia.

Był to mały pokój z okrągłemi oknami i wysokim ko-minem, którego ognisko znacznie występowało. Łoże z zielonemi zasłonami stało po jednej stronie, a nad nim widziano zawieszoną zbroję leżącego teraz Zbigniewa, której brakowało tylko sztyletu, położonego na stole obok łoża, przy którym siedział na aksamitnej poduszce Mestwin z Wilderthalu. Z drugiej strony Abraham z Hamburga obwijał ramię Zbigniewa szerokimi taśmami.

Syn Władysława bledszym się niż zazwyczaj wydawał, a chociaż uśmiech umiłał mu usta w chwili ukazania się Skarbimira, można było w nim rozeznaczyć pewną gorycz i uczucie boleści. Powiernik jego niemiecki dzikim wejrze-

niem wpatrywał się w otaczające przedmioty, a jeden tylko Abraham zachowywał piętno zwyczajnej łagodności.

— Nie spodziewaliśmy się zaiste twoich odwiedzin, najhojniejszy z panów dworu ojca mego — rzekł książę, odpierając zwolna lekarza — ale kiedy przyszło do tego, że cię słuchać musimy, mów prędko, co masz do mówienia, bo zapewne wiesz, że cierpliwość nigdy moim nie była przymiotem, a teraz jeszcze zmniejszył się jej ostatek, kiedy dolega mi rana, przez was sprawiona! Tak, przez was samych. Co za hańba! Kiedym jak prawy rycerz walczył z twoim księciem Mieczysławem, kiedy wszyscy moi ludzie schowali oręż, wyleciał pocisk z równiny i zdrada dokonała tego, na coby nigdy Mieczysław się nie zdobył. Mieczysław, on, to dziecko miałoby mnie zwalczyć? Jedno moje tchnienie zmiotłoby go z tych murów! Ale sprawiaj się z swego poselstwa!

Taka mowa zastraszyłaby mężniejszego nawet od Skarbimira. Jak wryty, stanął na środku pokoju pan Gulczewa i nie mogąc dalej postąpić, ani wstecz się cofnąć, zapomniał nawet uklonić się księciu i razem całej swojej mowy. Jej okresy jeden po drugim znikwały mu z pamięci, a ile razy otwierał usta, dreszcz śmiertelny, przebiegając wszystkie kości, wstrzymywał go od mówienia. Zimny pot kroplami sączył się z czoła. Wzrokiem pomieszonym patrzył na Zbi-gniewa i nie miał już mocy odwrócenia go w inną stronę. Zmarszczył brwi książę, ale poczekał jeszcze chwil kilka, a kiedy ciągle panowało milczenie, postanowił go przerwać.

— Cóż więc nam masz ogłosić, panie Gulczewa? Po coś tu przyszedł? Nuż, do szatana, czyż nie otworzysz ust, jak-gdyby na kłódkę zamkniętych? czyż ja mam pojedyncze ci zadawać pytania? Gadajże więc do pioruna!

Ale to nic nie pomogło i podskarbi, coraz bardziej upadając na siłach i nie mogąc się dłużej utrzymać, przykląkł na podłódze.

— Czyś oszalał, tchórzu przeklęty? — krzyknął Zbi-

gniew. — Raz przysyłają mi biskupa, któremu ust przy-
mknąć nie można, to znowu człowieka, któremu ich nie-
podobna otworzyć!

— Dobry mam klucz na takie przypadki — rzekł Me-
stwin, wskazując na sztylet.

— Daj pokój! — odparł książę. — Ale, Skarbimirze, nie
nudź mi tak długo, bo, na Boga, każę cię związać i wrzu-
cić gdzie do lochu, w którym, przespawszy się na słomie,
rozum i mowę odzyskasz! Ale, na wszystkich świętych, zo-
baczycie, że zemdleje. Abrahamie, nie masz jakiego lekar-
stwa, przydatnego podskarbiemu królewskiemu?

— Nasza nauka — odpowiedział Izraelita — zawiera
ważne tajemnice; umie odwracać choroby, przewidywać ich
skutki i zarządzać licznym ułomnościami, alem takiej słabości
nigdy jeszcze nie widział, choć moje stopy okryły się ku-
rzawą ziem odległych z tej i z tamtej strony morza, choć
nie w jednej szkole uczyłem się boskiej sztuki uzdrawiania,
bo najwięksi nasi mędrcomie w Hiszpanii i Cesarstwie Wscho-
dnem dobrze znają Abrahama z Hamburga; jednak na
wszelki przypadek będę się starał mu pomóc.

Po tych słowach wyjął z szkatułki, z którąśmy już czy-
telników zapoznali, kawałek z odległych stron przywiezio-
nego drzewa i przyłożył go do skroni i nozdrzy Skarbimira.

Odskoczył w tył pan Gulczewa i uczył rozlewającą się
siłę po wszystkich żyłach; już mu nogi nie drżały, już pot-
mroźny nie oblewał czoła i odzyskał nagle przytomność
umysłu.

— Doskonale — zawołał książę — radzę ci mieć zawsze
przy sobie takiego lekarza.

— A osobiwie — dodał Mestwin — przy poselstwach
zdałby się Abraham panu Gulczewa.

— Kiedyś już odżył, to zaczynaj! — ozwał się Zbigniew.

— Racz darować — rzekł nareszcie Skarbimir — racz
przebaczyć, nieprzebrany w łasce i litości książę! Chwała,
która cię otacza, moc, nigdy nie odstepująca twojego ra-

mienia, przeraziły moje serce. Słowa, przez ciebie wyrzeczone, wydały mi się grzmotem, upadłem na twarz przed tobą. Teraz, wróciwszy do zmysłów, dobroć twoją bez miary poznaję i ośmielam ci się oznajmić zlecenia, przez mego miłościwego króla mi dane. Brzmia one w następującej treści:

Twoje rozkazy świętymi są dla mnie, najjaśniejszy króla nam panującego potomku, w najściślejszych obrębach rzecz moją obejmę. Władysław Herman, pierwszy tego imienia...

— Już pierwszy ten wyraz niepotrzebny — przerwał Mestwin.

— Władysław Herman uprasza cię, książę, być pozwolił na zawieszenie broni.

— A to dziwy teraz na świecie — zawołał Zbigniew — ojciec i król uprasza syna i poddanego, ażeby pozwolił!

— Więc rozkazuje — rzekł Skarbimir, u którego dosyć często złość bojaźń przemagała — byś zawarł zawieszenie broni z księciem Mieczysławem, wojewodą krakowskim Sieciechem i...

— Domyślam się, z kim więcej — znów przerwał Zbigniew — dalsze króla rozkazy mi ogłoś!

— Najjaśniejszy książę, zbliżają się urodziny twego ojca; zamyśla on przepyszny wyprawić turniej dla świetniejszego ich obchodu, na który zaprasza cię przeze mnie. Wszyscy twoi przeciwnicy tam będą.

— Turniej — krzyknął Zbigniew — turniej! Mój ojciec schorzał, wiekiem osłabiony, lubiący nadewszystko cichość i spokojność, turniej wyprawia! Widzę, że się wszystko przewróciło od kilku dni na świecie. Już nawet zaczynałem się tego domyślać, kiedym nie mógł za drugim uderzeniem schwytać tego Mieczysława, tego dziecięcia, niedawno wyszłego z kolebki.

— Czekam teraz z uszanowaniem i pokorą ci winną odpowiedzi, najjaśniejszy książę.

Pomyślał przez chwilę Zbigniew, a potem, obróciwszy się do Mestwina:

— Tydzień nas dzieli od urodzin ojca, rana się zgoi, a potem chcę ich widzieć. Chcę z Sieciechem kilka słów pomówić, nareszcie dlaczegoż miałbym nie uczynić zadosyć woli ojca w tak małej rzeczy? Sześć dni później czy wcześniej zginą, wcale mię nie zastanawia. Dla nich życie jest drogie, bo już go długo posiadać nie będą. Skarbimirze, możesz upewnić mego rodzica i monarchę, że przybędę na turniej życzyć mu szczęśliwych urodzin i pomyślnej starości.

Po tych słowach wskazał ręką drzwi podskarbiemu, ale ten zamiast pożegnania się z księciem padł przed nim na kolana i z złożonymi rękami prosił o pozwolenie wynurzenia najszczerzych, jak mówił, chęci i pragnień.

— Znowu cud! — krzyknął Zbigniew — szczerść u ciebie! Ale mów, pozwałamy!

— Najpotężniejszy panie, Bóg mi jest świadkiem, że cię szanuję i uwielbiam nadewszystko, że Mieczysławowi nie sprzysiam, że ciebie tylko zawsze miałem na widoku. Tobie służyć najpożądańszą dla mnie rzeczą, w twojej służbie umrzeć najmiłszą byłoby dla mnie nadzieją; przyjm ode mnie przysięgę wierności, a za to żądam tylko od ciebie łaskawego wejrzenia! Najjaśniejszy książę, wymów jedno tylko słówko, jedno pozwolenie, a Skarbimir najszcześliwszym będzie!

— Precz mi — przerwał mu z gniewem syn Władysława — precz mi z oczu, zdrajco! pochlebco! Precz stąd — powtórzył sroższym jeszcze głosem — bo twoja głowa niepewna, dopóki w tych murach przebywa! Milcz, podły zuchwalcze, milcz, skąpcze obmierzły! Słowo jedno z ust twoich już mnie w wściekłość wprawia. Niech jeszcze twój głos usłyszę, a usta, które go wydały, oniemieją na zawsze! Wracaj do swoich, powiedz królowi, jakieś pięknie spełnił poselstwo, jakieś przymusił wymową księcia Zbigniewa do usłuchania ojca, idź bezwstydnie kłamać, jakieś tu bezczelnie

zdradzał! Jordanie, odprowadź tego człowieka jak najprędzej! Mestwinie, usuń ten sztylet z pod mojej ręki, bo mógłbym, uniesiony gniewem, zgwałcić na jego osobie uszanowanie, winne mojemu ojcu!

Natychmiast Jordan z Gozdawy silną ręką dźwignął z ziemi odchodzącego od zmysłów podskarbiego i za drzwi go wyprowadził.

Ledwo wyszedł, aliści powstał milczący dotąd Mestwin i rzekł do księcia, kazawszy naprzód lekarzowi się oddalić.

— Zdać się nam może Skarbimir niezadługo; taki człowiek w naszym zamku próżnym byłby ciężarem, ale w obozie nieprzyjaciół nieoszacowanym jest klejnotem.

— Daj mi z nim pokój! Znam jego chytrą i podstępny, nie chcę, nie potrzebuję jego usług.

— Książę i panie mój, zaufaj mojemu doświadczeniu! Skarbimir, samemu sobie zostawiony, mógłby stać się naszej sprawie szkodliwym pod pozorem przyjaźni i upokorzenia, ale znajdzie we mnie mistrza, w niczem mu nie ustępującego. Wykryję jego wybiegi i podstępny, wyświecę pierwszą jego myśl zdradziecką, a wtenczas któż nam zabroni zdjąć z szubienicy żołnierza i zastąpić go podskarbis?

— Rób, co ci się podoba, Mestwinie! — odpowiedział zniecierpliwiony książę. — Na dzisiaj daj mi pokój i opuść mnie! Snu potrzebuję.

To mówiąc, obrócił się do ściany, a Mestwin, uzyskawszy pozwolenie, wyleciał z pokoju szybko, dobrze znanymi skrytymi schodami zstąpił na dół i w mgnieniu oka przebiegł cały zamek, po którym tak długo Jordan oprowadzał pana Gulczewa.

Już Skarbimir z radością widział otwierającą się bramę zamkową, już most zwodzony spuszczano, kiedy nowy głos: »Stójcie!« — zawołał i w tej samej chwili stanął przy nim Mestwin.

Na ten widok pewny śmierci starzec skłonił głowę na piersi i głęboko westchnął, ale nim podniósł oczy, uczuł

przyjazne ściśnienie ręki i grzecznie wyrzeczone słowa usłyszał.

— Książę chory, trzeba mu uniesienie przebaczyć!

— Przebaczyć — powtórzył zdziwiony Skarbimir — ach! jakże nie przebaczyć takiemu bohaterowi, rycerzu Mestwinie z Wilderthalu!

— Posłuchaj mnie, panie podskarbi królewski! — rzekł Mestwin i odprowadził go na stronę.

— Gotów jestem — odpowiedział Skarbimir, poznając, że chcą go w jakieś sidła ułować. — Ale nie tak łatwo ze mną — pomyślał. — Alboż to nie przepędziłem życia na dworze? alboż to poselstw mnogich nie odprawilem? Alboż to nie oszukałem, nie zwiodłem tylu książąt i panów?

— Książę i pan mój — zaczął Mestwin — takiego jest ułożenia, że pierwsza myśl, co się nawinie, zawsze mu się z początku najlepszą wyda, ale potem, zastanowiwszy się, często gotów jest do rozeznania rzeczy, któremi pogardzał, do szanowania osób, na które złem okiem patrzył. Właśnie to się samo dzisiaj zdarzyło; nieprzyjemnemi pożegnał cię słowy, aleś ledwo wyszedł, upamiętał się i przysłał mię do ciebie, Skarbimirze, czy można na ciebie rachować?

Te słowa ostatnie wyrzekł stanowczym głosem i mocno ścisnął rękę podskarbiego, który po chwilce namysłu:

— Jużem się oświadczył — odpowiedział — z poświęceniem bez granic dla księcia, a choć źle przyjęto moją życzliwość, w niczem się ona nie zmieniła.

— Pozostaniesz więc w obozie nieprzyjaciół, czy tu się przeniesiesz? — zapytał Mestwin.

— Uczynię, co książę rozkaże.

— Tłómacz się jaśniej, szczerze powiedz: czyś gotów wiernie służyć Zbigniewowi? Czy twoje usługi zdrady czasem nie pokrywają?

I patrzył się Mestwin na Skarbimira byстрыm wzrokiem, chcąc przeniknąć tajniki jego serca. Ale nikt podskarbiemu nie mógł wyrównać w sztuce udawania, a w spokojnej na-

radzie, w której nie błyszczały miecze, rzadko kto potrafił zmieszać bezwstydne czoło. Rycerzowi też niemieckiemu nie zbywało na przebiegłości, a miał on tę wyższość nad panem Gulczewa, że czy to w cichej naradzie, czy pośród wrzawy i bojów, zawsze zachowywał niczem nienaruszoną spokojność. Wystąpili teraz ci dwaj ludzie, równie chytry i niegodziwi, każdy w swoim rodzaju, do potyczki; każdy starał się przeciwnika myśli odgadnąć, każdy obiecywał sobie zwycięstwo, każdy był pewnym, że drugiego oszuka, ale rozważa i zimna krew Mestwina zapewniała mu wygraną, bo Skarbimir trwożnem okiem poglądał na rękę rycerza, opartą jakgdyby od niechcenia na rękojeści stalowego sztyletu.

— Zdrada daleka ode mnie była zawsze i będzie — odparł Skarbimir — przysięgam więc.

— Nieważna przysięga — przerwał rycerz niemiecki — bom słyszał od wielu, żeś nieraz podobną naruszył i złamał.

— Kto mógł mnie oczerniać, kto oskarżać o taką zbrodnię, dzielny rycerzu? Staw mi go przed oczy, a moja niewinność zawstydzi jego potwarze!

— Przyszłoby mi wtenczas stawić przed tobą — zawołał Mestwin — panów wszystkich, którym kiedykolwiek służyłeś, przyjaciół, których zdradziłeś, całą Polskę, w której szeroko się rozlega pogłoska o fałszu twoich miotanych słówek i udanej cnoty. Sam powiedz, czy w tej chwili nie zdradzasz Mieczysława? Więc pewniejszej mi trzeba rękojmi nad twoje przysięgi.

— Ja Mieczysława zdradzam? — odrzekł podskarbi. — Alboż udzielny pan Gulczewa ma jakie dla niego obowiązki lennicze? Alboż słowo lub wdzięczność wiążą mnie do niego? Owszem, chęć serca i uszanowanie zbliżyły mnie do Zbigniewa. Nie od dzisiaj ozwały się te uczucia we mnie. Jeszcze w sali tronowej mu je oznajmiłem, jak sam zaświadczyć może. I któż teraz tak ślepym, tak nierozsądnym będzie, ażeby mojemu słowu nie ufał, ażeby nie wiedział, że

same niebiosa natchnęły mnie przywiązaniem do syna monarchy?

— Wszystko to są próżne słowa — rzekł mocnym głosem Mestwin. — Nie możesz inaczej mówić w tem miejscu; będąc w naszej mocy, każdyby na takie same oświadczenia się zdobył.

— Więcej ci jeszcze powiem — zawołał z żywością pan Gulczewa. — Nie cierpię, nienawidzę Mieczysława, Wszebora, Sieciecha, tego wojewodę, który, ufny w swoim mieczu, śmie mnie na śmiechy i żarty wystawiać! Choćbym nie czuł przychylności dla Zbigniewa, nienawiść ku wojewodzie jużby mnie kazała się zaciągnąć pod znaki jego nieprzyjaciół. On, wzniosłszy się na ten urząd, nie wiedzieć za co i nie wiedzieć dla czego, mnie, zestarzałego na dworze, mnie, wiekiem i godnością szanownego, sto razy na dzień obraża! Mestwinie, wierz mi, gdybym mógł, udusiłbym go własnymi rękami!

Słuchał tych słów rycerz niemiecki z natężoną uwagą i na chwilę nie odwrócił oczu od twarzy Skarbimira, która dopiero teraz odbijała prawdziwe duszy uczucia. Złość, długo zatajona, wybuchnęła we wścieklej mowie, marszcząc jego rysy, a oczy piekielnym ożywiając ogniem.

Odstąpił o kilka kroków Mestwin i rzekł pocichu Jordanowi z szyderskim uśmiechem:

— Trzymam go teraz w mojej mocy, pierwsze słowa szczere teraz wyrzekł i wpadł w zastawione sieci, dzięki miłości własnej, która nawet nad chytrą wzięła górę u niego.

Ochłonawszy z zapału, poznał Skarbimir, że niebacznie odkrył prawdziwy stan serca, i gorzko westchnął, tak, jak wojownik widzący, że po przegranej bitwie musi ustąpić dzielniejszemu przeciwnikowi; nie stracił jednak zupełnej nadziei, spodziewając się, że może jeszcze potrafi złudzić Mestwina. Zaczął więc na nowo oświadczenia, powtórzył

przyrzeczenia i zakończył dowodząc, że przejęty jest najwyższemu do księcia przywiązaniem.

Rozśmiał się wtenczas głośno rycerz niemiecki i, z urąganiem poglądając na podskarbiego:

— Wierzę, wierzę — zawołał — ale nie wszystkiemu! Z początku i teraz na końcu bezwstydnie skłamałeś, we środku prawdę powiedział. A cóż, czym nie zgadł?

Pozostał w milczeniu Skarbimir, gryząc sobie wargi.

— Panie Gulczewa — ciągnął dalej Mestwin — znam cię doskonale teraz, oszczędź sobie słów i zabiegów, bo nadaremni będą! Na świecie, gdzie tylu jest niedoświadczonych lub nierozsądnych, możesz jeszcze się pokrywać barwą cnoty, możesz jeszcze udawaniem przyciągnąć i oszukać, ale w tym zamku już nie zdołasz. Są bowiem w nim ludzie, którzy wśród najburzliwszych namiętności umieją ich uniesienia rozeznaczyć od zimnej rachuby i wykrywać każdego skryte chęci i żądze. Skarbimirze, bądź wiernym Zbigniewowi, a nagrodę pewną ci obiecuję, czy zechcesz poniżenia Sieciecha, czy własnego wzniesienia! Wróć do obozu, w nim ciągle przebywaj i sprzyjaj naszej sprawie, wypełniaj nadsyłane od nas polecenia...!

— Jakież one są?

— Dowiesz się o nich w przyzwoitem miejscu i czasie, a kiedy po drugi raz ujrzysz ten pierścień w ręku drugiego, bądź pewnym, że to mój posłaniec!

— Rozumiem.

— Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz zresztą postępować; skrytość i chytrość najmilszymi ci towarzyszami od dzieciństwa były. Wszystko uważaj i pilnie nam donoś, pamiętaj oraz o pierścieniu!

— Więc mi szpiega rzemiosło przybrać trzeba, rycerzu?

— Nie szpiega, ale poświęconego sługi mego księcia i pana; bo na wszystkie cienie pomordowanych tą szablą wrogów, gdybym kiedy odkrył chęć zdrady w tobie, nie-długobyś na tej ziemi przebywał. Dopóki wiernym nam bę-

dziesz, dopótyśmy przyjaciele. Nie ośmielaj się walczyć ze mną, nie ubiegaj się o pierwszeństwo w podstępach, ostrzegam cię, nie knuj żadnej zdrady, bo, jak dzisiaj oderwałem zaslonę z twego serca, tak zawsze to samo potrafię uczynić! Przyznaję, że przez długi czas nikt ci nie zrównał na drodze fałszu i kłamstwa, dotąd pierwszym byłeś, ale dzisiaj uledez musisz wyższemu od siebie! Znalazłeś pana, który cię utrzyma na wodzy. Porwany jego potęgą, odtąd jego tylko rozkazy wypełniać będziesz, a jeśli zechcesz mu się sprzeciwić, zrzuci cię on w przepaść, z której nigdy nie powstaniesz. Idź więc, wracaj do obozu, spraw się Władysławowi z poselstwa, ale pamiętaj, że odtąd oko czujne czuwać będzie nad tobą i że ręka, zawsze gotowa spaść na twoją głowę, wiecznie ci będzie grozić zgubą!

Po tych słowach odszedł Skarbimir, złością i wstydem przejęty. Budowę chytrósci, którą z taką pracą wznosił przez lat tyle, zwałił człowiek, na którego dawniej patrzył z pogardą. Wracał więc do obozu z spuszczoną głową, z rozpaczą w sercu; czuł, że odtąd wszystkie jego kroki śledzić będzie nieprzyjaciel, skory do użycia najgwałtowniejszych środków, a sobie samemu musiał przypisywać winę tego nieszczęścia. Czegóż było wydawać się tak porywczo z żalem do Sieciecha? Czyż tysiącznych wybiegów wynaleźć nie mógł na omamienie i odurzenie Mestwina? I rycerz ten, pośród namiotu wychowany, częściej na koniu niż w radnem krześle siedzący, wziął górę nad przebiegłym Skarbimirem! I on nie potrafi zrzucić tego haniebnego jarzma? Takie myśli dręczyły zbliżającego się do obozu starca, jednak nadzieja zemsty nad Sieciechem pocieszyła go trochę, a potem rzekł sobie pocichu: »Nie Zbigniew, to Mieczysław upadnie i zawsze jednym mniej będzie, potem pomyślimy i o tamtym«. To mówiąc, nagle odwrócił głowę i obejrzał się z mimowolnem przerażeniem na wszystkie strony tak, jakgdyby Mestwin go mógł słyszeć.

ROZDZIAŁ XIV.

Lecz w piersiach jego piekło zawrzało,
Zawrzała zemsty chęć wściekła,
Gdy się cofnąwszy z postacią śmiała,
Te dumne słowa wyrzekła:
»Nie dość, że ciężką znosiłam mękę,
Że jeszcze zuchwały zbójca
Śmie mi zbrodniczą podawać rękę!«

Zbrodniarz.

Wprowadzimy teraz czytelnika do jednej z komnat zamku księcia Zbigniewa, dotąd mu nieznaney, chociażśmy go często i może aż do znudzenia po nim wodzili.

Żeby oznaczyć jej położenie, wypada powiedzieć, że wszedłszy na schody, kręcące się u wieży zachodniej, dosyć długo trzeba było iść niemi, nim się dostano do ciasnej galeryi, oświeconej teraz rzadkimi pochodniami, których migające się światło z trudnością się przedzierało przez nocne ciemności. Przy końcu tej galeryi widziano wyniosłe drzwi, nad którymi zakrzywiało się sklepienie, a za ich otwarciem okazywała się wzwyż wspomniona komnata, do której opisu przystępujemy, o ile nam tego dozwolą mdłe i słabe promienie samotnej lampy, stojącej na długim stole, zajmującym cały środek pokoju. Kamienna posadzka dźwigała liczne siedzenia, czarnem obite suknem, i kilka szaf, żelaznemi obwarowanych kraty, z za których lśniły się oręża wszelkiego rodzaju. Spoczywała tam bowiem polska szabla i francuska szpada, angielski topór i włoski sztylet, ciężki pancerz

niemiecki i lekka koleczuga południowych krain, strzały, śmierć niosące z daleka, i włócznie, z bliska rzucane, kilka ogromnych kopii stało opartych o ściany, ciemnem obiciem zakryte, na których rzadkie wisiały obrazy, wystawujące morderstwa i walki. W głębi ukazywało się łóże, zasłane niedźwiedzią skórą, blisko niego zaczynały się kamienne schody, prowadzące do ciemniejszego pokoju, z którego wypływające światło, wchodząc do szerokiej, pod nim będącej, komnaty, konało u stóp łóża, niewyraźnie już tarczę, przy nim zawieszoną, i napis, na niej wryty, od innych odznaczając przedmiotów.

Wpatrywał się w ten napis rycerz Mestwin z Wilderthalu z założonemi rękoma i powtarzał czasem ze zwykłym sobie uśmiechem: »Śmierć temu, który się mnie dotknie!« Czasem też oddalał ją od ściany i, szybko przechadzając się po komnacie, pojedynczemi wykrzyknikami: »Do szatana, jej oczy! jej twarz! niema nic równego w Niemczech!« poruszenie duszy odkrywał. Nareszcie usiadł przy stole i zaświstnął w srebrną świstalkę, wiszącą na sznurku, okręcającym się naokoło szyi. Natychmiast ukazała się na schodach kamiennych zbiegająca z wierzchniego pokoiku osoba, która, przystąpiwszy do rycerza, lekkim go przywitała ukłonem. Był to młodzieniec, nie więcej nad ośmnaście lat liczący, w kształtnym paziów niemieckich stroju; twarz jego wiosenną speciły oznaki burzliwych już namiętności, a ogień, błyszczący w oczach, stracił znamię niewinnej cnoty. Jakaś nawet ponurość, daleka od wesołości najpiękniejszej życia pory, każyła piękne jego rysy. Zresztą żywość i zręczność wydawała się w każdym poruszeniu, a włosy, w gęstych pierścieniach szyję otaczające, przydawały jeszcze powabu do oblicza, na nieszczęście zbrodnią, a przynajmniej zimnem do niej przyzwyczajeniem nacechowanego.

— Ulrychu — rzekł Mestwin — powiedz mi szczerze, czy kiedy w naszych bogatych miastach lub na brzegach Elby lub w górach dzikiej Szwajcaryi lub nareszcie na świe-

tych turniejach naszej ojczyzny widziałeś równą jej piękność, oko tak pełne, kibić tak kształtną?

— Trudno mi być sędzią w tej sprawie, bo nie wiem, o kim chcesz mówić, mój panie.

— O niej. Czyś nie słyszał? O Hanniel

— O księżnej naszej, rycerzu?

— Kto tu jest księżną? — zawołał Mestwin, podnosząc się nagle i wściekle miotając na wszystkie strony spojrzenia. — Kto tu śmie ją tak nazywać, nie uzyskawszy wprzód pozwolenia ode mnie, prawdziwego tych miejsc pana? Kto tu jest księżną? dziecię, pytam się jeszcze raz ciebie.

— A zdaje mi się — odparł zdziwiony Ulrych — jeślim nie w błędzie, że taką jest żona księcia Zbigniewa.

— Kto tu jest żoną Zbigniewa? — po drugi raz zapytał Mestwin. — Czym na to się zgodził? Czyż jedno moje słowo lub skinienie potwierdziło ten obmierzły związek?

— A czemuż jest Hanna z Ciechanowa?

— Moją żoną! — krzyknął rycerz kładąc rękę na piersi — moją żoną lub trupem bez czucia, ciałem bez duszy za dni kilka!

Po tych słowach nastąpiło chwilowe milczenie, które znów przerwał Mestwin, odzywając się do Ulrycha:

— Nie chciałem wierzyć, żeby tajemnicza siła zapalała serca i w ciężkie okowala pęta. Śpiewy naszych minstrelów i zalotności współtowarzyszów broni urojeniami się wydawały; gardziłem miłością, a jeślim uwodził dziewczyny, było to raczej skutkiem przyjemności, którą obiecywał sobie z ich łez i westchnień w chwili pożegnania lub opuszczenia. A teraz i mój duch śmiały uległ nieznanej potędze, która przemogła nad wiernością i przywiązaniem mojem do Zbigniewa. Ulrychu, nie wierz, śmieć się, albo raczej wierz i nie śmieć się, bobyś to srogo mógł opłacić: kocham, kocham Hannę z Ciechanowa, chcę ją pojąć, przysięgam, że albo moją będzie, albo zginie! Dwie drogi otwierają się

przede mną. Jedna prowadzi do zdrady i miłości, druga do wierności księciu i zemsty; rozumiesz mnie, Ulrychu?

— Na szatana, cię nie rozumiem, drogi mój panie!

— Nie rozumiesz, ziemską istotę, prochu nikczemny! Powiadam ci, że Hanna musi do mnie należeć. Z nią ujadę w dalekie strony. Te śnieżne piersi za mną wzdychać, te czarne oczy za mną tylko zwracać się będą.

— Niepojęte dziwy! — rzekł Ulrych. — Zamek obwarowany, mury wysokie, a serce kobiety komu innemu oddane; chyba pożyczwszy skrzydła u sokoła, a wdzięków u Serafa, wykonać to będziesz w stanie.

— Wywrócę zamek, przejdę mury, opanuję serce; moja wymowa i mój rozum jednego i drugiego dopną. Łatwo mi stąd, z Polski nawet umknąć. Dzisiaj przyjąłem nowego sługę.

— Nowego sługę, ukochany mój panie — przerwał smutnie młodzieniec — a cóż się stanie z Ulrychem? Czyż na to ojczyste opuścił kraje, byś go zostawił w tych stronach, bez przyjaciół, bez opieki, a nadewszystko bez ulubionego pana? — To mówiąc schylił się i ucałował rękę rycerza.

— Nie rozumiesz mnie dzisiaj, niepojętne dziecię: mówię ja o inszym słudze, a tym jest Skarbimir z Gulczewa, podskarbi jego królewskiej mości. On mnie wszystko ułatwi, za wyrzeczonym rozkazem przybiegnie podesłać się pod moje stopy i wszystko wypełnić z ochotą, co zechcę. On mi szczęście zapewni, za jego pomocą Hanna moją będzie, albo też, jeśli odrzuci Mestwina, dozna jego zemsty, zemsty, której przykład zagrzeje w przyszłości, zemsty nie widzianej dotąd!

— Czyś nie słaby czasem, mój panie? — zapytał paż przerażony uniesieniem pana.

— Precz mi z takimi wnioskami! — przerwał grzmiącym głosem Mestwin. — Owszem, czuję napływ sił nadzwyczajnych, sił, któremi świat-bym mógł zniszczyć, czuję ogień w piersiach, którego wkrótce wybuchną płomienie.

Nigdy nic w życiu lepiej mi nie usłużyło nad tę ranę, odebraną przez Zbigniewa. Hanna teraz sama przesiaduje w swoich komnatach. Na szatana i piekło zarazem, to moja żona, powiedziałam ci paziu, ona moją żoną być musi!

— Jeśliś tak postanowił — ozwał się Ulrych — to będziesz łaskaw użyć mnie do posługi w tej sprawie, wiesz bowiem, że orle mam oko i jelenie nogi, umiem się jak wąż czołgać po nieprzyjacielskich obozach i rzucić się z zjadłością na wskazane ofiary.

— Doświadczyłem często twojej zręczności — odparł Mestwin — a teraz potrzebniejszą mi ona, niż kiedykolwiek, będzie. Wspomniałeś o obozach nieprzyjacielskich, wkrótce je odwiedzisz. Ale, Ulrychu, zdaje mi się — dodał już ciszej i z szyderskim uśmiechem — że spokojny i wyrachowany zwyczajnie rycerz z Wilderthalu zanadto się uniósł; rysy jego zapewne przybrały cechę namiętności i prawdy, od dawna zapomnianej. Trzeba odmienić ten wyraz twarzy i znowu wrócić do zwykłego stanu! — To mówiąc, zdjął świstalkę, a na jej miejscu zarzucił rycerski łańcuch, szpadę z świetną rękojeścią, z szafy wyjętą, zawiesił u boku, a aksamitną czarną czapkę z długimi pióry wziął do ręki.

— Idę — rzekł — zobaczyć, czy pierwsze natarcie mi się uda — ale rzadko od razu zupełne odnosi się zwycięstwo, wolno jednak szczęścia próbować. Wleję w jej serce nieufność ku mężowi, tyle sidła naokoło nastawię, że nareszcie w nich uwięźnie. Ty zaś nie opuszczaj mojej komnaty, a gdyby książę mnie kazał przywołać, o czem bardzo wątpię, wyjdź na galerię, stań przy schodach i po trzykroć w tę świstalkę zagwizdaj!

Po tych słowach wyszedł Mestwin, tak zajęty wrzącą namiętnością, że nie słyszał słów Ulrycha:

— Zapewnie oszalał, ale dobrze, że przynajmniej teraz będzie co do roboty.

Śpiesznym idąc krokiem, znanymi sobie przechodami przybył Mestwin do wspomnianej już dawniej sali, w której

za pchnięciem gwoźdźcia część ściany się odsuwała; kilka chwil później witał ukłonem i mową księżną Hannę z Ciechanowa, która przyzwyczaiła się poniekąd do odwiedzin Mestwina, często od męża do niej przysyłanego.

— Cóż cię o tak późnej godzinie do nas sprowadziło, rycerzu? Czy mój Zbigniew czasem nie zasłabł? czy mojej nie potrzebuje pomocy? Książę, miłym snem snem ujęty, marzy zapewne o chwale?

— Chęć widzenia ciebie i uwielbienia twoich wdzięków, pani, tu moje kroki przywiodła.

Zdziwiona tak niezwykłą księżną przemową ze wstrętem odwróciła oczy od Mestwina i w milczeniu obszywała w złote i jedwabne nici rękawiczki z białej jak śnieg skóry, dowodzące swoją wielkością, że nie miała ich nosić piękna i szczupła ręka, która ich przyozdabianiem się zatrudniała. Czasem też prosiła Katarzyny, za nią stojącej, o podanie narzędzi, do tej pracy potrzebnych.

Mestwin nie wiedział, od czego znowu zacząć rozmowę, ale wkrótce zimna jego bezczelność wzięła górę nad chwilowem pomieszanem i tak się odezwał:

— Nadobna Hanno, mam ci ważne odkryć tajemnice, głęboko dotąd ukryte; ważne i bardzo ważne, mające wpływać na los twój cały rzeczy ci oznajmię.

— Uwolnij mię, rycerzu, od tych wynurzeń! — odparła księżna. — Nic nie chcę wiedzieć ani słyszeć od ciebie. Możebyś zmniejszył i tak niebardzo błogie szczęście moje. Zostaw więc mnie i lepiej uczynisz, kiedy pójdziesz obejrzyć nocne czaty w zamku!

Odpowiedź ta rozjątrzyła Mestwina. Miał jednak dosyć siły do wstrzymania gniewu i znów mowę zaczął, ale już mocniej i dotkliwym głosem:

— Ważne, zaiste! ważne przedmioty i sprawy zagnęły mnie do odwiedzenia cię, pani. Nie bądź tak porywczą i wysłuchaj człowieka, któryby całą swoją krew wylał dla ciebie!

Podniosła wtenczas oczy Hanna i z największem podziwieniem, pierwszy raz, odkąd poznała Mestwina, nie postrzegła na jego ustach szyderczego śmiechu. Wnosząc po tej odmianie, że prawdę powiada, z obawą go się pytała o wyjawienie tajemnicy.

— Każ naprzód, piękna Hanno, odejść tej służebnicy!

Te wyrazy oburzyły księżnę i żywo przerwała je rycerzowi:

— Wśród tych samotnych murów i niebezpieczeństw, codziennie grożących, znikają różnice stanu; Katarzyna tyle razy swoje przywiązanie mi dowiodła, że raczej wypadałoby ci ją przyjaciółką, niż służebnicą nazywać!

— Pomyliłem się — odparł Mestwin — racz przebaczyć, pani, ale cię jeszcze raz upraszam, byś kazała oddalić się tej przyjaciółce!

— Czy o Zbigniewie chcesz mi mówić?

— Przynajmniej o rzeczach, dotyczących się mego pana i księcia.

— Odejdź więc, Katarzyno! — rzekła księżna i z bijącym od bojaźni i miłości sercem porwała się z krzesła i zbliżyła się do Mestwina, czegoby w innym nie uczyniła razie.

Milczał rycerz, dopóki zupełnie odgłos kroków odchodzącej córki Gierdy nie ucichł, a wtenczas ujawszy rękę Hanny:

— Przysiąż — wyrzekł — na wszystkie świętości, przysiąż na ewangelię, że nikomu nie powtórzysz słów, usłyszanych ode mnie!

Zwiedziona podstępem, drżąca o Zbigniewa, z całym zapalem kochającego serca przysięgła księżna, mnogie gotując sobie przez to nieszczęścia. Wpatrywał się w nią Mestwin wzrokiem raz ponurym, znów jaśniejącym nadzieją, ale nie była to nadzieja niewinności, kojąca cierpienia i zamieniająca ciernie życia ludzkiego na woniejące róże; była to raczej cecha namiętności, połączonej ze zgubnymi widokami, z obrazem przyszłości, pełnej zbrodniczych uciech.

Po skończeniu zaklęcia ścisnął jeszcze mocniej rękę Hanny z Ciechanowa rycerz niemiecki i nareszcie zawołał:

— Pamiętaj, niewiasto, żeś wykonała straszną przysięgę, za której zgwałcenie twój Kościół i religia grozi ci najsroższymi męczarniami, niech więc odtąd milczą twoje usta jak kamień grobowy, niech wieczne zapomnienie pokryje rozmowę i zdarzenia tej nocy! Zobowiązałaś się słowem, którego naruszenie zwałoby na ciebie i gniew niebios i gniew ludzi. Pamiętaj więc, powtarzam ci, Hanno z Ciechanowa, że jakkolwiek twoje podziwienie lub uniesienie wielkiemi będą, nie powinnaś ich ukazywać zewnętrznemi znakami, nie powinnaś nawet myśleć o ich wykryciu!

— Znam dobrze — przerwała mu w tem miejscu Hanna — przepisy świętej naszej wiary i możesz być pewnym, że nie złamię przysięgi. Mów więc, Mestwinie, co wiesz, bo tu idzie o Zbigniewa, o człowieka, którego najwięcej na tej ziemi kocham!

Takie oświadczenie wcale nie przypadało do myśli rycerzowi niemieckiemu, który odstał kilka kroków i szydersko patrzył na anielską twarz córki Wszebora.

— Mów, nie odwracaj, nie zwlekaj, rycerzu!

— A więc powiem ci wszystko — odrzekł Mestwin — kiedy sama tego żądasz. Wiedz, że rozniecilaś w moich piersiach płomień, pożerający moje serce! Ognie piekła, podsycane przez szatana, niczem są w porównaniu tego, co wre pod tą koleczugą... Tak, kocham, i ciebie kocham, Hanno, musisz być moją!

Zarumieniona księżna od gniewu i wstydu, przerwała mu tę mowę z przynależną godnością i powagą:

— Rycerzu, jako małżonka twojego pana, rozkazuję ci się oddalić! Mowa ta zuchwała nie powinna kazić moich uszu, wcale niedogodne dla niej obrałeś miejsce; tego jeszcze nie dostawało, żeby rycerz Mestwin ośmiewał się uragać z swojej pani tak, jak z całej ziemi i nieba samego się urągał!

— Zuchwałą mową zowiesz — krzyknął Mestwin — najżywszy obraz miłości, którą dla ciebie pałam! I kiedyż, piękna Hanno, widziałas mnie w takim stanie? czyż kiedy błyszczały moje oczy równym ogniem? czyż kiedy twarz moja biała pokryła się takim rumieńcem, jak dzisiaj? Przylóż rękę do moich piersi, a uczujesz, że to serce, spokojne oddawna na groty nieprzyjaciół i spojrzenia dziewic, bije z podwójną mocą w twojej przytomności...! Pozwól rękę ucałować, pozwól ust różanych się dotknąć, wyrwę cię z tego położenia — dodał, napół dobywając szabli — nie będziesz dłużej jak uwięziona przebywać w obleżonym zamku! Poznasz czarowne Niemiec okolice, gdzie mi wskażesz, tam cię zawiozę, na dworach książąt i królów pierwszą będziesz, a gdyby kto ci śmiał tego zaprzeczyć, ległby u nóg twoich, śmiertelnym uderzony ciosem. Opuść zimnego już dla ciebie męża i przejdź w objęcia człowieka, który cię tak kocha, że gotów na twój rozkaz krwią przyjaciół i krewnych się oblać i świat cały zniszczyć dla twojego upodobania! Patrz, nigdy w świątyni nie kląkłem przed Bogiem waszym, nigdy, żebząc przebaczenia lub łaski, nie zniżyłem czoła przed mocarzami, a teraz zginam przed tobą kolana! Hanno, jeśli życie ci drogie, pokochaj mnie, bo jeśli mnie odrzucisz, biada wam wszystkim, wściekle rzucę się w objęcia zemsty i zapomniesz, jakie są groźby Mestwina!

A tu dziko się rozśmiał, schylony u stóp księżny, która z początku z przerażeniem, a teraz z pogardą i gniewem nań poglądała.

Nagle odskoczywszy, wzięła biblię w ręce i zastawiała się tą świętą od rycerza tarczą. Jeszcze chciał odezwać się Mestwin, ale Hanna przerwała mu temi słowy:

— Podły sługo, kiedyś pilnować łoża boleści twojego pana, kiedyś lekarstwa mu podawać powinien, przychodzisz do jego żony i zuchwałem obrażasz ją mowy, o których w przytomności Zbigniewa nie śmiałbyś i pomyśleć nawet! Podszedłeś mnie piekielnym podstępem.

— Alboż, co powiedziałem ci, pani, nie tyczy się księcia Zbigniewa? — zapytał się szyderskim głosem Mestwin.

— Milcz, zdrajco, nie zatruwaj powietrza zgubnym tchem twoim, precz z moich oczu, odwróć szatański wzrok od mojej twarzy! Czyż myślisz, że, gdybym nawet kiedy mogła zapomnieć o cnocie i wierze, poprzysiężonej Zbigniewowi, żebym na ciebie choć jedno wejrzenie zwróciła? Czyż sądzisz, że szlachetna Polka i córka pana Ciechanowa chciałaby się zniżyć do odbierania hołdów Niemca, posługacza swego? Srogą dziś popełniłeś obrazę, zgwałciłeś wszystkie obowiązki człowieka i sługi, podniosłeś oczy na własną księżnę, szkaradną zdradą zmusiłeś ją do wspomnienia świętych imion Boga i księgi, przez Niego danej, w okoliczności, w której niegodziwe twoje chęci i zbrodnicze zamiary na jaw się wydały. Przebaczam ci jednak jako chrześcijanka i jako księżna polska, którejby niegodnem było mścić się na takiej, jak ty, istocie. Ale nie pokazuj się więcej moim oczom, uciekaj z tych komnat i niech już twoje stopy nigdy się nie tkną miejsc, gdzie przeszły moje ślady!

— Rozważ, pani — krzyknął Mestwin, miotany najsroższymi namietnościami — że swój własny wyrok wymówiłaś teraz, bo jeśli mną wzgardzisz, to ramię dopóty nie spocznie, dopóki cię i miłych tobie nie zagrzebie pod ciężarem klęsk okropnych! Cóż to jest cnota, o której tak dobrze pamiętasz? Jest to mara i widmo, nigdy nie istniejące na świecie, utworzone w głowie mędrców. Jedyną dla mnie cnotą jest ciebie posiadać, innych się wyrzekam i znać nie chcę!

— Bluźnisz, Mestwinie! — zawołała księżna, która zaczęła sądzić, że pomieszane ma rycerz zmysły. — Bluźnisz, nieszczęśliwy, ale powtarzam, oddal się stąd, wassalu i sługo!

— Gdzież tu widzisz, Hanno z Ciechanowa — odparł wściekły Mestwin — wassala lub sługę? Owszem, lepiejbyś mnie swoim panem i mężem nazwała, bo, na piekło, spodziewam się, że tego dopnę! Inaczej bowiem zemsta... ale,

Hanno, ostatni raz powiadam, niema słów w jakimbądź ludzkim języku na wyrażenie zemsty, którą tobie gotuję.

— Jestem w twojej mocy — przerwała Hanna — bo krzyków moich niktby nie usłyszał, ale wiedz, nikczemny rycerzu, że choć słabą jestem i lękliwą niewiastą, wcale jednak nie drżę przed ognistym twoim wzrokiem i ręką, spoczywającą na szabli! Bo cóż możesz mi zrobić? Zabić?.. Nie lękam się śmierci, ale całą potęgą nie zerwiesz miłości, łączącej mnie ze Zbigniewem, nie zatrujesz pięknych młodości myśli i ułudzeń, a te są jedynem mojem szczęściem... Ale dosyć już o tem, odejdz — a kiedy Mestwin i krokiem nie ruszył — lub uderz i zakończ obelgi, których cierpieć nie powinna ani żona Zbigniewa, ani córka Wszebor!

— Mylisz się — odpowiedział zimno Mestwin — sądząc, że zechcę własne żelazo w piersi twe utopić; przyjdzie czas, dumna Polko, kiedy gorzko pożałujesz, że tego nie uczynił. Sroższe ci męki i boleści gotuję nad chwilowe konanie pod mieczem zabójcy. Z rąk ulubionych odtąd gorycze na cię spływać będą, a niespokojność i nieufność napelnią godziny życia twój. W porównaniu z przyszłością niebezpieczeństwa, którym teraz ulegasz, codzienne troski i zgryzoty dziecinnymi igraszkami, a najprzykrzejsze chwile, dotąd przez ciebie doznane, są niebieskiem szczęściem... Ulubione ci związki potargam, nadzieję zniszczę. Łez i westchnień ci nie stanie na opłakiwanie nieszczęść, które cię otoczą i zamkną wszelką do pomyślności drogę. Kiedy zrzucisz jedną zawadę, natychmiast druga urośnie pod twoimi krokami; kiedy zerwiesz jeden cierni, tysiąc innych przejście ci zagrozi. Opuszczona od męża, okryta hańbą, odrzucona przez ojca, nie mogąca strapien swoich powierzyć przyjaźni, boś straszną związaną przysięgą, pożałujesz chwili, w której nazwałaś mię wassalem, sługą, w której nie chciałaś mojemu sercu odpowiedzieć. Taką ci przyszłość zapowiadam, Hanno z Ciechanowa, jeśli mnie odrzucisz!

— Ufna w Bogu — odparła Hanna — przyjmuję ten

zgubny obraz, mając nadzieję, że się nie spełni. A gdyby to sprawdzić się miało, pocieszy mię przekonanie, że była cnotliwą. Ale nie, ty nie możesz stać się przegrodą między mną a Zbigniewem!

Poznał wtenczas Mestwin, że gwałtowność i groźby nie nie pomogą i, zebrawszy wszystkie siły, skrócił wściekłość, nim władającą.

— Zostaw mi przecie choć małą nadzieję — rzekł znizonym głosem — że nie zupełnie zabraniasz mi o sobie myśleć, że mi wolno będzie przyjść do ciebie!

— Milcz! — odparła księżna uroczyście. — Kiedy zechcę te rękawiczki przesłać księciu Zbigniewowi, każę cię zawołać, byś je mu poniósł. Inaczej nie śmiej stawić się przede mną! —

Dokończając tych słów, z taką powagą wskazała mu drzwi komnaty, że, uderzony wyższością, którą zawsze zachowuje cnota nad zbrodnią, odejść musiał; powolnym jednak odstępował krokiem i często się odwracał. Nareszcie, mając już wychodzić, jeszcze chciał coś przemówić, ale odwaga go opuściła i, zawstydzony własną nieśmiałością, obiecując sobie, że potrafi później dokonać niegodziwych zamiarów, wyszedł, powtarzając pocichu ze zwyczajnym uśmiechem, że trudno odrazu zupełnie odnieść zwycięstwo.

Hanna sama została, a wtenczas powagę i stałość dotychczasową zastąpiły rzewne łzy i jęki. Z trwogą poglądając na przyszłe nieszczęścia, utraciła męstwo. Myśl, że Mestwin może kiedyś oderwać od niej serce Zbigniewa, w taką rozpacz ją wprawiła, że upadła bez zmysłów na ziemię. W samotnym pokoju leżała dosyć długo w tym stanie, zbliżonym do śmierci, żona księcia Zbigniewa, a odzyskując zmysły, ujrzała przy sobie wierną Katarzynę. Żał wrócił za wróconem życiem. Niemożność wyjawienia jedynej przyjaciółce strasznych wydarzeń srodze ją bolała. Musiała zamykać w znękanem sercu gnębiące ją uczucia. Nie mogła szukać nigdzie pociechy, odtąd dni jej życia miały upływać

pośród okropnych przewidywań losu, przez Mestwina zgotowanego, i okropniejszych jeszcze z nim sporów. Uklękła nareszcie przed obrazem Matki Boskiej.

Oslabiona, zbladła, trwogą przejęta, modlić się już nawet nie mogła i te jedynie tylko wyrzekła słowa:

— Oddal od Zbigniewa tego człowieka i zmiłuj się nad nami!

ROZDZIAŁ XV.

Jeden i drugi wnet mieczów dobywa
.....
I oto się walka zaczęła straszliwa.
Odyniec.

Na szerokiem polu, niedalekiem od Płocka, mnóstwo robotników pracowało nad wznoszeniem wysokich zagród i rusztowań. Niektórzy obalali drzewa, gdzieś tam łąkę ocieniającą, drudzy wyrywali darninę, na jej miejscu żółty wysypując piasek, przywieziony z blizkich Wisły brzegów na mnogich wozach. Krzyki z piosnkami mieszały się w powietrzu, a czasem słyszano zachęcania i napominania przełożonych nad robotą; szybko wznosiła się budowla w obszernym okręgu, na którym porobione siedzenia miały służyć widzom płci obojej.

Przy jednym z końców zagrody wystawiono przeznaczone dla króla miejsce, pokryte okrągłym dachem, pod którym stało bogate krzesło, napół purpurowemi zasłony zakryte, połączane zaś poręcze stały naokoło tego tronu. Z czterech stron gmachu były wysokie bramy z żelaznemi kraty, przeznaczone rycerzom do wniknięcia na przestrzeń, piaskiem zasypaną, w której mieli się potykać, a przy każdej z nich przygotowano siedzenie dla woźnych, ogłaszających przepisy i prawa turniejów.

W tłumie tylu ludzi, pracą zajętych, rozeznąć można było człowieka, szybko się przechadzającego i przemawia-

jącego rozkazującym głosem. Obwinięty w zielonym płaszczu, którego fałdy z wiatrem igrały, zdawał się wszystko rozporządzać i wszystkim się zatrudniać. Bogaty strój go okrywał i piękne pióra ulatywały ponad aksamitną czapkę. Sokół, niesiony na lewej ręce, bardziej go jeszcze, niż ubiór, odróżniał od innych. Czasem odrywał oczy od otaczających i bystrym wzrokiem przebiegał równinę i niedalekie od niej błoto, jakgdyby spodziewał się w nich odkryć jaką zdobycz dla ulubionego ptaka, ale zapewne hałas i gwar nieustanny odstraszył spokojnych pól mieszkańców, bo wszystkie jego starania nadaremne były i mimo czystej pogody nie mógł znaleźć celu swych życzeń. Odzywały się wprawdzie śpiewy ukrytych w gałęziach ptaszków, ale te głosy nie poruszały szlachetnego sokoła, którego odwaga i siła straszniejszych wymagała przeciwników.

— Nuże, do roboty! — wołał Wolimir z Moskorzewa. — Dokończajcie budowli, bo jutro w miejscu waszych narzędzi dzielnych rycerzy błyszczeć tu będą zbroje i pryskać pancerze! Ten rów zasypcie, podeprzyjcie tę ścianę! Na wszystkie sokoły, leniwo się sprawiacie; prędzejże, prędzej!

Te napomnienia podwajały robotników ochotę. Pot, ciekący z ich czoła, dowodził pracowitości i w mgnieniu oka tu zagrody, tam znowu siedzenia podnosiły się z ziemi. Szare przed chwilą ściany żywymi pokrywały się farbami, a pyszne zasłony i obicia przyozdabiały stopniowo przygotowane dla widzów piętra, do których zewsząd liczne prowadziły schody i galerie.

Często dla zachęcenia rzucał wielki sokolnik kilka sztuk srebra pracowitszym, a ociągającym się żywymi karciał słowy. Oznaczywszy każdemu miejsce i stosowne zatrudnienie, oddalił się na chwilę, zwracając kroki do blizkiego strumienia, który, sącząc się w ciasnem korycie, rozdzielał się na pomniejsze strugi, niknące wśród gęstych łąz i krzaków. Ziemia grzązka uchylała się pod jego stopami i często nawet zanurzał się w niej po kolana, ale nie zważając na tę nie-

dogodność, coraz się dalej posuwał w nadziei znalezienia jakiej zdobyczy, zmierzając do małego jeziora, którego iskrząca się od słońca powierzchnia przebijała przez otaczające krzewiny i drzewa.

Nagle rozjaśniła się twarz jego radością, bo dostrzegł coś czarnego na środku wody. Jeszcze przez czas jakiś nie mógł rozeznać, czy to należało do rzędu żyjących istot, ale za zbliżeniem się zaczęło się poruszać i wielki sokolnik z nadzwyczajnem zadowoleniem poznał długi dziób ogromnej czapli i drogie pióra, jej głowę zdobiące. Dotknął się więc sokoła, który, ze snu obudzony, spojrzał naprzód na pana, a potem na wskazane jezioro, a oczy mu zajaśniały podobnym ogniem do błyszczącego w wejrzeniu Wolimira, który, schyliwszy się, ostrożnie podchodził czujnego ptaka, odginając rośliny, stojące mu na przeszkodzie, i omijając zeschnięte gałęzie, któreby skrzygnięciem mogły ostrzedz czapłę o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nareszcie, kiedy już sądził, że dosyć się przysunął, powstał nagle i ukazał się ponad wierzchołkami niskich zarośli. Natychmiast czapla porwała się z wody, a w tej samej chwili za dobrze znanem świnięciem roztoczył sokół pióra i, zleciawszy z dłoni Wolimira, w górę wzniesionej, puścił się w pogoń za szybko uciekającą zdobyczą.

Założył wtenczas pan Moskorzewa ręce na piersi i z uwagą wpatrywał się w tę gonitwę z pewnością, że, czy później, czy wcześniej, zawsze z korzyścią dlań się zakończy. Nim się jeszcze sokół wysoko wzbił w powietrze, zagrzewał go głosem i poruszeniami, a potem choć go zapewne ptak przywiązany słyszeć już nie mógł, przeciągłem gwizdaniem. Z początku czapla, unikając walki, szerokimi skrzydłami szybko przecinała powietrze, oddalając się coraz bardziej od zawziętego wroga. Ale i szlachetny sokół nie ociagał się w drodze, a wkrótce znacznie zmniejszyła się przestrzeń, dzieląca go od ofiary. Mieszkaniec samotnego jeziora poznał wtedy konieczność walki i obrócił czoło, ale podleciał za-

razem pod nieprzyjaciela, starając się, by ten ostatni w natarciu z góry spotkał dziób straszliwy i wbił się na niego. Doświadczony sokół w tysiącnych potyczkach, uniknął przecież zamachu czapli i ciężką jej ranę zakrzywionemi zadał szponami.

Przeraźliwy krzyk bóleści przeleciał przez powietrze i obił się o uszy Wolimira, zapewniając mu wygraną, a w tej samej chwili ujrzał, jak wysoko nad nim spotkały się ledwo widziane dwa czarne ciała, jak przez czas jakiś krwawa nastąpiła walka, w której niepodobnem było odróżnić zwycięzcę od pokonanego, i jak wkrótce potem z szybkością błyskawicy wprost się ku niemu spuścił sokół, trzymając zabitego nieprzyjaciela, którego trzy pióra, wyrwane z ponad dziobu i krwią zbryzgane, obmył wielki sokolnik w jeziorze i zatknął na czapce. Nagrodził sokoła kawałkiem mięsa, z torby wyjętym, i znów go na ręce posadził, a ptak, przeniesiony z siedliska burz i gromów na dłoń wszechwładnego pana, zamknął oczy i zasnął.

Uniesiony radością, wrócił śpiesznie sokolnik i, dostawszy się po krótkim czasie na brzegi przebytych trzęsawisk, niepomalu się zdziwił, kiedy dostrzegł siedzącego na koniu męża, zbrojnego w pancerz, połyskujący z daleka, który zdawał się rozkazywać robotnikom, układy jego zmieniać i opuszczone zastępować miejsce.

Skoczył więc prędko ku niemu i z gniewem w sercu dopadł rycerza, kiedy właśnie na jego nalegania obalali robotnicy dopiero co wystawione siedzenia.

— Któż ci dał prawo — krzyknął wielki sokolnik — rozrządzać tu w mojej nieprzytomności?

— Sam go sobie nadałem — odparł mąż zbrojny — i sędzę, że nikt tego prawa nie będzie śmiał zaprzeczyć Sieciechowi, wojewodzie krakowskiemu!

— Zaprzeczam go jednak — odparł do żywego tknięty Wolimir dumnymi słowy Sieciecha — i proszę wojewody

krakowskiego, by się nie miewał do spraw w niczem doń nie należących, od króla mu nie poruczonych!

— Gdyby tu się odbywały łowy — zawołał Sieciech — miałbyś prawdę za sobą, chociaż i w nich równą tobie biegłością poszczycić się mogę, ale ponieważ tu nie o sokołach ani o psach mowa, ale o turniejach i igrzyskach rycerskich, zdaje się, że mieć w nich powinien pierwszeństwo hetman królewski nad wielkim sokolnikiem.

— Mości panie wojewodo! — krzyknął obrażony Wolimir. — Sokoły i łowy nie przeszkadzają mi wiedzieć, że miecz mi jeszcze nie przyrósł do pochwy.

— I mój też jeszcze nie zardzewiał — przerwał Sieciech, uderzając o rękojeść pałasza — ale nie masz konia.

— Broń się! — zawołał gniewem uniesiony sokolnik. — Nie potrzebuję konia dla nauczania zuchwalca, że nie urząd hetmański, ale szlachetne serce pierwszeństwo nadaje.

— Przynajmniej odejdzmy od tego motłochu! — rzekł Sieciech i, zsiadłszy z konia, oddalił się na stronę.

Wolimir poszedł za nim, rozkazawszy pod karą śmierci robotnikom, aby się nie ważyli zbaczać od rozkazów, przez siebie danych.

Przybywszy nad błota, w których przed chwilą tak się Wolimirowi powiodło, stanął wojewoda, dobył szabli i natarł na sokolnika, który, złożony ptaka na murawie, odbił mieczem żelazo przeciwnika.

Na nieszczęście wyszło Sieciechowi, że zapomniał spuścić przyłbicy. Za drugim zwarem się albowiem sokół Wolimira, podobny do tego starożytnego kruka, co rzymskiego ocalił bohatera, porwał się z ziemi i rzucił na szyszak wojewody. Stamtąd dopiero szpony w czoło jego zatopił i skrzydłami oczy mu zasłonił. Zmieszany Sieciech, broniąc się jedną ręką, darmo drugą chciał odrzucić nowego nieprzyjaciela.

Nie korzystał Wolimir z tak nadzwyczajnego wypadku i przez chwilę z uśmiechem przypatrywał się tej dziwnej

walce, a potem zagwizdął. Natychmiast posłuszny sokół opuścił Sieciecha i przyleciał do pana. Wtenczas wojewoda podał rękę Wolimirowi z Moskorzewa:

— Mogłeś mnie z łatwością zabić. Umiem cenić twoją wspaniałomyślność i winszuję ci tak przywiązanego sługi, do którego mało jest między ludźmi podobnych.

— Zapomnijmy — odparł Wolimir, głaszcząc sokoła — o tem, co się stało? Oba-śmy się niewczesnym unieśli zapałem, a teraz wróćmy do zgody! Nie odrzucę rad twoich, choć sam wiele turniejów widziałem i niejednym wieńcem ozdobiły się moje skronia.

— Dobrze — rzekł Sieciech — ale przybyłem z obozu w zamiśle dowiedzenia się od ciebie nazwisk sędziów turnieju.

— Słyszałem z ust najjaśniejszego pana, że nimi będą: książę Mieczysław, Wszebor i Zbigniew. Bo koniecznie chce ich król pogodzić.

— Nie nazywam się Sieciechem i topór nie jest moim herbem — zawołał wojewoda — jeśli to Władysław uskutecznić potrafi... Szkodaby mi było tej wojny.

— Zobaczmy — odpowiedział Wolimir — ale jakże się miewają Mieczysław, Wszebor i pan Gulczewa?

— Mieczysław posępny ciągle, Wszebor smutny, a Skarbimir swoim zwyczajem drży na każdy łoskot i wieczorem zamknąwszy się w namiocie, liczy z Bardanem pieniądze.

— Obmyjże, wojewodo, twarz, krwią zbryzganą, bo mój sokół nie żartem zapoznał się z twojem czołem!

— Dziękuję za przypomnienie — rzekł Sieciech, a schyliwszy się, nabrał wody w rękę i nią się oblał. Odszedłszy potem, wrócił z wielkim sokolnikiem do wznoszącej się budowli.

— Przepraszam cię — zawołał, zbliżając się do robotników — jeśli cię ostrzegę, kochany Wolimirze, żeś zapomniał nader ważnej rzeczy: o siedzeniu dla sędziów.

— Na wszystkie sokoły, prawda; wdzięczny ci jestem

za sprostowanie błędu. We Włoszech jednak podczas całego turnieju stoją sędziowie, czego przykład widziałem na rycerskich igrzyskach, wyprawionych przez księcia Sydonio del Maro.

— Znać, że wytrzymalsze mają od nas nogi — odparł wojewoda. — Ale, prawdę mówiąc, gmach potężnie się wznosi i piękną postać przybiera. Dzielnie jutro na tem miejscu gonić będziemy, a moja kopia niejednego zwali rycerza. Teraz żegnam ciebie, bo muszę wracać do obozu, a dosyć daleka mi stąd droga.

— Bądź zdrów, wojewodo! — rzekł sokolnik, ściskając człowieka, na którego życie godził przed chwilą, a koń Sieciecha, ostrą dotknięty ostrogą, w prędkim biegu wyruszył.

Nadchodził wieczór a z nim i dokończenie budowli. Przy szerokich ogniskach piekły się dla robotników woły i beczki, pełne miodu, stały tu i owdzie na łące. Nadciągały też powoli orszaki panów, mających walczyć nazajutrz. Liczne namioty wznosiły się po całym polu, a zawieszona na każdym z nich chorągiew z herbem i tarcza z godłem oznaaczała godność i dostojęństwo rycerza. Puste przed kilkoma dniami miejsce napelniali teraz biegnący na wszystkie strony to słudzy, to robotnicy. Giermki przybywali z świetnemi zbrojami, obładowane żywnością i rynsztunkami wozy przesuwały się po dolinie, krzyki, rozkazy, nawoływania i klótnie mieszały się z sobą. Z drugiej strony kupcy budowali niskie chaty, rozstawując w nich sprzęty, ubiory, hełmy, kopie i pancerze.

Ożywiona okolica przedstawiała piękny a zarazem poważny widok wzniesionego gmachu i tłoczących się naokoło tłumów. Wśród takiego zgiefku i zamieszania głos Woli-mira często się podnosił. Czynny sokolnik wszyskciem się zatrudniał i przewidywał wszystko, raz w tem, drugi raz w tamtem ukazywał się miejscu, a nareszcie za jego sta-

raniem ukończono gmach przed zachodem słońca, które ostatnim promieniem oświeciło bogato wystrojoną budowę i orła białego, wznoszącego się na niej, z uroczystością, przyzwolitą królowi ptaków i godłu najdzielniejszego narodu słowiańskiego plemienia.

ROZDZIAŁ XVI.

Ledwo najpierwsze słońca wschodzące promienie
Padły na przestrzeń pola, w którym szranki stały,
Gdy się na wieży dało słyszeć otrąbienie,
Że się wkrótce igrzyska rozpoczynać miały;
Szczęk oręża, blask hełmów, strojnych koni rzenie,
Odważę, żądzę chwały, męstwo zapalały:
Król, hetman! i liczne płci pięknej osoby
Pysznemu widokowi dodały ozdoby.

Tomaszewski, Jagiellonida.

Dzień 22 maja widział Władysława Hermana zasiadającego na turniejach wśród swojego rycerstwa. Przybywszy z licznym dworzan orszakiem, zajął wzniosłe, przygotowane dla siebie miejsce, z miłą w sercu nadzieją, że może uda mu się rozjątrzone połączyć serca i syna oddalić od przepaści, do której ślepo zmierzał. Wkrótce potem ukazał się Zbigniew z Mestwinem i kilkoma towarzyszami, ale że podług królewskiego rozporządzenia miał być tylko sędzią turniejów, nie błyszczał mu pancerz na piersiach ani świetny szyszak nie krył jego skroni. Zamiast ciężkich żelaznych, nosił dane od żony rękawice, na których złote wyszyła mu róże. W stroju, lśniącym się drogiemi kamieniami, stawił się książę przed ojcem i rękę mu ucałował. Zabłyśły łzy w oczach Władysława, kiedy ujrzał na twarzy syna dowód poniesionych cierpień i ramię, niezagojone jeszcze, zwieszane na bogatym pasie.

— Synu — rzekł — mam nadzieję, że ten dzień wszystko zakończy, że pokój i zgoda wstąpi w wasze serca, że poznasz swe winy, poprawisz się i podasz rękę bratu...

Zbigniew nic nie odpowiedział, ale wzrokiem pełnym wyrzutów spojrzał na ojca, a następnie na własne ramię, bezwładne dotąd i srogimi rozrywane boleściami, potem zajął z lewej strony tronu ojcowskiego miejsce, które mu wskazał Władysław Herman, bo dopiero później miał zejść na dół i usiąść na przygotowanym tam dla sędziów siedzeniu.

— Zbigniewie — jeszcze raz ozwał się Władysław — sądę, że ci wolę boską dostatecznie objawił szanowny biskup płocki, że cię same nieba ostrzegły, dozwalając, by ciężka rana trafiła twe ciało, by doświadczone w tylu bitwach szczęście odstąpiło cię w tej ostatniej, w której oręż na brata podniósłeś. Synu mój, otrząśnij się z pyłu światowego, wzgardź pokusami szatana, nie uwódź dziewicy, nad którą święte ma prawa Mieczysław, a świętsze jeszcze Wszebor! Zbigniewie, czyż nie piękniejszemby było z twojej strony, żebyś zamiast bronienia niesprawiedliwości odniósł nad samym sobą zwycięstwo i błękitne oczy Hanny poświęcił przywiązaniu i miłości ojcowskiej, a przed niemi jeszcze powinności chrześcijańskiego rycerza?

— Ojczel drogi ojczel — rzekł Zbigniew.

I już wyznanie prawdy miało ukoić żale Władysława i syna mu wrócić, kiedy Mieczysław ukazał się na schodach, do siedzenia królewskiego wiodących, a ten widok obudził gniew i dumę Zbigniewa. Krew żywiej po żyłach zawrzała, słodkie uczucia, zapelniające duszę, ustąpiły gwałtownej żądzy zemsty. Ani słowa do wprzód wyrzeczonych nie dodał, ale wlepił wzrok srogi w młodego księcia, który się witał ze stryjem i królem.

Mieczysław, równie jak Zbigniew, nie miał zbroi, a ubiór odpowiadający dostojeństwu, szeroki płaszcz obwijał. Na twarzy znać było tęsknotę i smutek, sprawiony tak wielką

stratą czasu, którego każdą chwilę mógłby był użyć na uwolnienie drogiej oblubienicy. Powiedziawszy kilka słów Władysławowi, stanął przy tronie naprzeciwko Zbigniewa, a dwóch młodzieńców, pałających nienawiścią ku sobie, przedzielił osłabły starzec, schylony pod lat ciężarem i brzemieniem nieszczęść.

Zdało się Władysławowi, że w głosie Zbigniewa poznał prawdziwe wzruszenie, i stąd pomyślnie sobie skutki rokując:

— Synu i synowcze — rzekł — macie dzisiaj wypełnić piękny i szlachetny obowiązek, macie przyznać chwałę dzielnym rycerzom i wyznaczyć nagrody zrzeczności! Zstąpcie więc w zgodzie z tego wzniosłego miejsca, podajcie sobie dłonie i jak dwa anioły pokoju ukażcie się otaczającemu ludowi! Zbigniewie, Mieczysławie, pomnijcie na Boga i ojczyznę, ty pamiętaj na strapienia, ty zaś na zgubę własnego ojca! Zbrodni popełnionej, świętokradztwa, pokrywającego całą Polskę kirem żaloby, nie chcecie bratobójstwem powiększać, uwolnijcie wasze sumienie od przyszłych zgryzot, bo, jeśli dotrwanie w złem, każda łza moja będzie ciężać kiedyś na waszem sercu, a odkądście się poróżnili, nie jedną-m wylał nad wami samemi i nad tym nieszczęśliwym krajem, w którym synowie i krewni nie słuchają głosu ojcowskiego, w którym wołania cnoty giną pośród okrzyków niesfornych namiętności! Jeszcze raz was proszę, żebyście się pogodzili; pogódź się, synu mojego brata, z własnym moim synem! Równiście młodocianym wiekiem, dzielnością, pięknymi przymiotami. Dozwólcie mi się wami nacieszyć, dozwólcie pokrzepić się mojej starości widokiem waszej przyjaźni i zgody, nie wyniszczajcie się wzajemnie, nie poglądajcie na siebie tak dziko, niech uśmiech pokoju rozjaśni wasze lica!...

Napróżno Władysław tak czule przemawiał. Ręce obu książąt nie wyciągnęły się do braterskiego ujęcia, ale, spoczywając na szablach, wściekle ich rękojeści ścisnęły. Tymczasem niespokojne tłumy oczekiwały z niecierpliwością roz-

poczęcia rycerskich igrzysk. Piękny widok przedstawiał ogół tyłu ludzi, tak różnych stanów i ubiorów, razem zgromadzonych. Po wyższych miejscach gmachu siedzieli sędziwi panowie z żonami i córkami, dla których niejedno serce żywiej biło pod twardem żelazem, pokrywającym piersi rycerzy, siedzących na koniu z opartemi o ziemię kopiami. Nim jeszcze dano znak do gonitw, można było uważać, jak spojrzenia młodzieńców, wzniesione ku górnym piętrom szerokiej budowli, spotykały się ze wzrokiem dziewic, zachęcających ich uśmiechem lub skinieniem ręki, trzymającej upleciony z róż i liścia dębowego wieniec, który miał być nagrodą najdzielniejszego.

Polyskujące zbroje, wysokie nad hełmami pióra, pyszne niewiast i panów ubiory zgadzały się z przepychem gmachu, świetniejącego bogatemi obiciami i zasłonami przy najpiękniejszej dnia wiosennego pogodzie.

Drogie makaty i kobierce, wszędzie rozesłane, złożone kraty i poręcze, aksamitem pokryte siedzenia, dowodziły, że niczego król polski nie oszczędzał dla uświetnienia zgody swojej rodziny.

Na prędkich rumakach okrążali zagrodę rycerze, schylając kopie przed królem i sławionemi z urody dziewicami. Często nawet, spiąwszy konia ostrogą, pokazywali swoją zręczność, patrząc z radością, jak bladły lica spoglądających na ich niebezpieczeństwa kochanek. Wszystko było pełnem życia i wszystkich serca z podwojoną biły mocą w oczekiwaniu na hasło, mające szerokie pole otworzyć męstwu każdego i każdego zręczności.

Podzielili się na dwie strony rycerze; jedną dowodził Sieciech, drugą dzielny Jordan z Gozdawy. Mestwin albowiem odmówił ofiarowanego dowództwa i, odszedłszy na stronę, rozmawiał z Ulrychem, który mu konia trzymał na pogotowiu.

Pośród orszaku wojewody krakowskiego odznaczał się jeden rycerz męską postawą i pięknymi rysami. Czekał

spokojnie na białym koniu znaku do zwarcia się z przeciwnikami, a wzrok trzymając zwrócony ku ziemi, zdawał się żałować czegoś; i wistocie nie było między otaczającymi tej, której serce poświęcił. Pocieszała ona w tej chwili stroskaną panią, a Henryka z Kaniowa nie pobudzała do sławy przytomność Katarzyny. Dumający młodzieniec zawiesił na szyszaku podług ówczesnego zwyczaju wstążkę ulubionej, kiedy tymczasem topór dumnie się wznosił na hełmie Sieciecha, doń się zbliżającego.

— Henryku — mówił — czemuż schylasz wzrok ku ziemi? Obejrzyj się naokoło i oddaj hołd przynależny piękności Mazowsza! Widzisz z tej strony Zalisławę z Górki, patrz, jak tam Rodosława z Boratyna wszystkich rycerzy zajmuje! Dalej siedzi z smętnymi oczyma Sławomira, córka Żegoty z Kossowa, tu znowu...

— Choćby sto innych, jeszcze piękniejszych, było — przerwał Henryk — nie zwrócą one mojego spojrzenia; wśród tylu niewiast jednej mi nie dostaje. Nie zdobią jej szyi złote ni drogiemi kamieniami sadzone ozdoby. Grzebień z kości słoniowej nie wznosi się na włosach, ujętych w niewolnicze choć bogate pęta — rozpuszczone pierścienie spływają na śnieżne łono, a wieniec z kwiatów polnych skromnie je wieńczy.

— Szkoda, rycerzu — rzekł Sieciech — żeś zamiast pałasza, nie wziął się do lutni, bo, na Boga, nie lada wieszcz byłby z ciebie.

Chwilowym uśmiechem odpowiedział na te słowa młodzieniec, a wojewoda oddalił się i, przystąpiwszy do Wszebora z Ciechanowa, który jeden dotąd siedział na miejscu przeznaczonem dla sędziów:

— Jakże ci się ten widok podoba? — zapytał.

— Ciało moje jest tutaj — odparł starzec — ale myśl, daleka stąd, przebywa mury Zbigniewa i do córki dolata. Niegdyś w młodości i szczęściu wzruszyły mnie ten obraz, ale teraz zanadto cierpienia przygniotły mą głowę, żeby co

mnie uderzyć mogło. Walka, którą zwodzę codzień między uczuciami ojca a obowiązkiem Polaka, między przywiązaniem do córki a miłością ojczyzny, zważyła siły i czuję, że, jeśli okoliczności temu nie położą końca, to niezaślugo nową trumnę wniesiecie do moich ojców grobu. Często zwracam oczy ku miejscu, w którym siedzi Władysław Herman, staram się jego słów dosłyszeć, ale twarze książąt nic mi dobrego nie rokują. Stąd choć osłabłym wzrokiem dostrzegam znaki smutku na twarzy królewskiej. Sam powiedz, czy się mylę?

— Zdaje mi się, żeś zgadł — rzekł Sieciech — ale nie smuć się, bo jeśli dzisiaj nie odzyskasz córki, zaręczam ci, jakem wojewodą krakowskim, że zamek Zbigniewa niedługo już nam się będzie opierał!

— Ale gdyby — przerwał ojciec — przed zdobyciem... — a tu okropność obudzonej myśli nie dozwoliła mu dokończyć i smutno spuścił głowę na piersi.

»Na Boga, myślał Sieciech, wszyscy smutni, ten się kocha, ten płacze córki, król w rozpacz, Zbigniew i Miecysław patrzą na siebie, jak dwie jadowne żmije, ja tylko jeden spokojność zachowałem, ale trzeba nareszcie ten turniej rozpocząć!«

I wrócił do swojego hufcu, kazawszy Jaroszowi z Kalinowa, by mu konia przywiódł. Kiedy ten ostatni wrócił, prowadząc dzielnego rumaka, zapytał go się wojewoda o Skarbimira z Gulczewa.

— Żadnym sposobem — odpowiedział Jarosz — nie mogłem go doprowadzić tutaj. Zrzucił zbroję, którąś go, panie wojewodo, wdziać przymusił i opuścił nasz orszak. Ależ oto na gorze rozmawia z Żegotą z Kossowy.

— Szkoda — rzekł Sieciech — żeś go nie przytrzymał, bo zapewnieby mu było do twarzy z długą kopią i w ciężkim pancerzu.

To mówiąc, ubódl konia ostrogą i poleciał pod piętro, na którym siedział Władysław. Tu stanąwszy, schylił głowę

na znak uszanowania, pytając króla, czy już każe ogłosić przez woźnych prawa turniejów.

— Najjaśniejszy panie, żegnam cię — rzekł wtenczas Zbigniew, milczący dotąd — urząd, który sam na mnie włożyłeś, wzywa mnie do innego miejsca.

— Do tego samego i ja dążę — zawołał Mieczysław.

Ale Władysław Herman, zebrawszy całą powagę, odpowiedział rozkazującym głosem, co mu się rzadko przytrafiało:

— Zostaniecie się przy mnie. Po skończeniu igrzysk dość będziecie mieli czasu na osądzenie, komu się należy nagroda. Do tej chwili może was Wszebór zastąpić.

Obawiał się albowiem król polski, aby zemstą pałający młodzieńcy, uniesieni widokiem gonitw, prawdziwej i sroższej nie rozpoczęli walki, kiedyby już ich naleganiom lub prośbą nie mógł wstrzymać, a potem miał zawsze nadzieję, że potrafi zwaśnionych pogodzić i na ten koniec cichą modlitwą wzywał często Boga. Sieciechowi zaś odpowiedział, że przystaje na rozpoczęcie turniejów.

Zawrócił więc wojewoda konia, ale dostrzegłszy, że między tyloma rycerzami niema Wolimira z Moskorzewa, nie chcąc ubliżyć człowiekowi, który tak szlachetnie się z nim obszedł, czekał przez kilka chwil jeszcze na jego przybycie.

Właśnie ukazał się z daleka na polu mąż zbrojny, przylatujący pędem błyskawicy. Przybywszy do zagrody, skoczył ze znużonego rumaka i wszedł pieszo na pobojuwisko; ukłonił się wtenczas królowi i najpiękniejszym paniom naokoło. Wysoki szyszak z złotym sokołem, trzymającym w szponach kilkanaście piór czaplich, unosił się nad głową, kolczuga, nabijana złotem, i lekkie obucia ze skóry, srebrem wyszytej, resztę ubioru składały. Prosta szpada z rękojeścią z słoniowej kości tkwiła u boku, a na tarczy wyrta była strzała z napisem: »Serca i ptaki zarówno przebijają«.

— Witam cię, wielki sokolniku — krzyknął Sieciech — ale cóż, do tysiąca piorunów, tak długo cię zatrzymało?

— Łowy, gęsi dzikie i czaple — odparł żartobliwie Wolimir. — Wróciwszy wczoraj do domu, dowiedziałem się od moich ludzi o niedalekich błotach, pełnych zwierzyny, a ponieważ chciałem wystąpić, jak na sokolnika wypada, wybrałem się o świcie z moim ptakiem, a jego zdobycz widzisz na tym szyszaku.

— Niech teraz wystąpią woźni — zawołał potężnym głosem Sieciech — i niech czytają przepisy turniejów!

Natychmiast otworzyły się bramy z obu stron zagrody, wystąpiło dwóch woźnych w krótkich, lśniących się od złota i srebra sukniach, z wyszytym herbem państwa na piersiach. Jeden obrócił się do rycerzy Sieciecha, drugi do hufca Jordana i obadwa ogłaszali, co następuje:

— Ja, woźny króla Władysława Hermana, zastrzegam za jego wolą, żeby w mających się odbyć turniejach zachowano następujące przestrogi i prawa:

»A naprzód, żeby rycerze pamiętali, że zabawa, przeznaczona na pokazanie zręczności, nie jest krwawą bitwą.

»Powtóre, żeby ciż rycerze z wszelką szlachetnością i uczciwością z przeciwnikami się potykali. Broń, dozwolona na tych turniejach, jest: kopia i topór. Miecza można tylko za pozwoleniem króla dobywać; kiedy jaki rycerz zwalonym z konia zostanie, z nim walczący nie ma dalej posuwać zwycięstwa i powinien czekać, aż giermek drugiego konia przeciwnikowi poda. Niech zawziętość i chęć zemsty dalekimi będą od duszy wchodzących w te szranki i niech pamiętają, że oczy patrzącej się na nich piękności brzydzą się nieładzkością i krwią, w srogich rozlewana bojach.

Nagrody zwycięzcom przeznaczone są: hełm szczerozłoty ze strusimi piórami i puchar, sadzony drogiemi szafirami. Zwycięzcą zaś będzie ten, którego oddział zwycięży, i dalej ten, który w szczególnych gonitwach pokona wszystkich współzawodników. Sędziami, przeznaczonemi do osądzenia zasług każdego, do przyznania wygranej i udzielenia nagrody są: książę Mieczysław, książę Zbigniew i potężny pan Ciecha-

— Łowy, gęsi dzikie i czaple — odparł żartobliwie Wolimir. — Wróciwszy wczoraj do domu, dowiedziałem się od moich ludzi o niedalekich błotach, pełnych zwierzyny, a ponieważ chciałem wystąpić, jak na sokolnika wypada, wybrałem się o świcie z moim ptakiem, a jego zdobycz widzisz na tym szyszaku.

— Niech teraz wystąpią woźni — zawołał potężnym głosem Sieciech — i niech czytają przepisy turniejów!

Natychmiast otworzyły się bramy z obu stron zagrody, wystąpiło dwóch woźnych w krótkich, lśniących się od złota i srebra sukniach, z wyszytym herbem państwa na piersiach. Jeden obrócił się do rycerzy Sieciecha, drugi do hufca Jordana i obadwa ogłaszali, co następuje:

— Ja, woźny króla Władysława Hermana, zastrzegam za jego wolą, żeby w mających się odbyć turniejach zachowano następujące przestrogi i prawa:

»A naprzód, żeby rycerze pamiętali, że zabawa, przeznaczona na pokazanie zręczności, nie jest krwawą bitwą.

»Powtóre, żeby ciż rycerze z wszelką szlachetnością i uczciwością z przeciwnikami się potykali. Broń, dozwolona na tych turniejach, jest: kopia i topór. Miecza można tylko za pozwoleniem króla dobywać; kiedy jaki rycerz zwalonym z konia zostanie, z nim walczący nie ma dalej posuwać zwycięstwa i powinien czekać, aż giermek drugiego konia przeciwnikowi poda. Niech zawziętość i chęć zemsty dalekimi będą od duszy wchodzących w te szranki i niech pamiętają, że oczy patrzącej się na nich piękności brzydzą się nieładnością i krwią, w srogich rozlewana bojach.

Nagrody zwycięzcom przeznaczone są: hełm szczerozłoty ze strusimi piórami i puchar, sadzony drogiemi szafirami. Zwycięzcą zaś będzie ten, którego oddział zwycięży, i dalej ten, który w szczególnych gonitwach pokona wszystkich współzawodników. Sędziami, przeznaczonemi do osądzenia zasług każdego, do przyznania wygranej i udzielenia nagrody są: książę Mieczysław, książę Zbigniew i potężny pan Ciecha-

nowa, Wszebor z Ciechanowa. Walka między dwoma rycerzami natychmiast ustać powinna za rzuceniem między nich laski któregośkolwiek z sędziów. A teraz: niech żyje król Władysław i hojność panów mazowieckich!

Po domówieniu tych słów wysypał się zewsząd na odchodzących woźnych grad złotych i srebrnych pieniędzy, a trąby po trzykroć się ozwały i turnieje się zaczęły.

Zwarły się przeciwne szyki i w natarczywym pędzie mieszały się z sobą. Przez chwilę stali niewzruszeni rycerze, ale wkrótce potem usłyszano chrzęst zbroi, łoskot żelazców, kruszonych o tarcze, i łamiących się kopii, w okamgnieniu spadły na ziemię pióra i szyszaki, dumnie przed chwilą nad tłumem się wznoszące. Rozciągały się konie na polu potyczki i potrzaskane odłamki stali i żelaza wzlatywały w powietrze. Wodzowie obu stron, dotrzymawszy jednak siodła, gotowali się do nowej gonitwy; kilku zbrojnych, straciwszy zmysły w szybkim z konia upadku, leżało na ziemi. Na jednych pęknięte zbroje dowodziły mocy poniesionych ciosów, na drugich całe były pancerze, ale hełm lub puklerz zdruzgotany pokazywał, że nie z słabemi przeciwnikami mieli do czynienia.

Giermki i żołnierze weszli wtenczas do zagrody, prowadząc świeże konie rycerzom, mogącym jeszcze walczyć, osłabłych zaś na siłach do własnych zanieśli namiotów.

Trąby znów zagrzmiały i rzuciły się na siebie po drugi raz waleczne hufce. Wojewoda spotkał się z Jordanem z Gozdawy i tak silnie oba się zwarli, że ich konie, uderzywszy jeden o drugiego, padły bez ducha na ziemię i jeźdźców przywaliły. Jordan pierwszy się wydobył z pod zabitego rumaka, a Sieciech, choć z trudnością, wkrótce potem też samo uczynił, ale jeden i drugi odstąpić musieli dla przywdziania innych zbroi. Podczas ich niebytności odpoczęły obie strony, znacznie na liczbie zmniejszone, ale jeszcze gorejące zapałem; oklaski i krzyki widzów, uśmiechy i wej-

rzenia dziewic krzepiły ich męstwo, dodawały ochoty i pragnienia sławy.

Tymczasem nadaremno Władysław Herman, nie zważając na turnieje, usiłował pojednać Mieczysława ze Zbigniewem. Milczeniem odpowiadali na jego prośby i napominania, z uszanowaniem wprawdzie słuchać się go zdawali, ale przewidywał stroskany monarcha, że za oddaleniem się od niego rzucają się na siebie z całą wściekłością, odbijającą się w ich ponurym wzroku.

Niedługo czekano na powrót wojewody i Jordana, a wtemczas po trzeci i ostatni raz spotkały się ich hufce. Okropnie było patrzeć na mieszejące się kopie i puklerze, na topory, wznoszące się i spadające na przeciwników zbroje, na mężów, opuszczających wodze i z badością śmierci padających wraz z koniem lub pod jego kopytą, a choć prawa broniły krwi rozlewu i najczulsze istoty patrzyły na te zabawy, już kilku zginęło rycerzy. Henryk zwałił z konia kilku współzawodników i żelazcem nieskruszonej dotąd kopii odpierał napadających.

Sieciech patrzył ze zgrzytaniem zębów na swoich, którzy się co chwila usuwali z pobjowiska. Jedni szli po świeże zbroje, drugich wierni odnosili słudzy, inni znowu, krwią i kurzawą okryci, sami wychodzili z zagrody, a tymczasem dzielny Jordan nieustannie nacierał i krzycząc: — »Niech żyje Gozdawa! górą Gozdawa!« — znaczne odnosił korzyści, kiedy z drugiej strony słabe tylko i rzadkie już głosy odpowiadały: — »Górą Topór! górą wojewoda!«

Nareszcie, kiedy na polu walki jeden tylko Sieciech z Henrykiem się został, Wszebor, powstawszy, zatrzymał bitwę, przyznając zwycięstwo Jordanowi z Gozdawy. Z pewnością smutnem było ojcowskiemu sercu chwalić człowieka, którego musiałoby liczyć do uciemiężycielów córki, ale uczucie sprawiedliwości przemagało nad wszystkie względy w prawej duszy pana Ciechanowa i własnymi rękoma dał Jordanowi pyszny szyszak z świetniejącego złota.

Wojewoda wstydem okryty, rozżarzony obrażonej dumy wyrzutami, poprzysiągł przeciwnikowi zemstę i zaczął prze-myślać nad sposobami odzyskania przewagi i wiernej do-tąd sławy. Zapominając o prawach turnieju, o rodzaju tej zabawy i o przytomności króla, uknuł w głębi duszy śmierć Jordana i dlatego, odszedłszy na chwilę do namiotu, przy-wdział najlepszą zbroję i przypasał miecz doświadczony, medyolańskiej roboty.

Za swoim powrotem ujrzał, jak wielki sokolnik gotował się do skruszenia kopii z Mestwinem. Z przeciwnych stron zagrody zbliżyli się oba do siebie w najżywszym biegu; kopia Wolimira przebiła puklerz Niemca, a dzida Mestwina strąciła z szyszaku pana Moskorzewa wznoszącego się nad nim sokoła.

Następnie Henryk z Kaniowa gonił za Jordanem z Goz-dawy i, choć silnie uderzony bronią przeciwnika, siodła do-trzymał, ale w drugim spotkaniu nie był tak szczęśliwym i runął na ziemię, z której porwawszy się zrcześnie, wytrą-cił za trzeciem natarciem stalową tarczę z rąk Jordana i zgiał mu pancerz przeważnym razem.

Walczyli potem inni rycerze, ale wszystkich pokonał Jordan i zwycięzcą sam jeden na pobojuwisku został. Już Wszebor drugą chciał mu przyznać nagrodę, kiedy woje-woda, wsiadłszy na konia, wyzwał go do potyczki. Nie od-mówił jej Jordan, tyloma utarczkami znużony; wzięwszy kopię z rąk giermka, zanurzył ostrogi w bok dyszącego konia i rzucił się naprzeciwko Sieciecha, który doń przy-biegał z wściekłością w sercu.

Wielką miał przewagę wojewoda, na świeżym siedząc koniu, i zaraz też za pierwszym zwarem upadł rumak Jordana, a rycerz ledwo mógł się z pod niego wydobyć. Rzucił wtenczas Sieciech niepotrzebną kopię, z konia zesko-czył i cichym rzekł głosem:

— Wzywam cię na śmiertelny pojedynek.

— Gotów jestem — odparł Jordan — choć nie po temu

miejsce — i, dobywając miecza, zastawił się od potężnego zamachu wroga.

Rozległ się po równinie okrzyk oburzenia i trwogi, król powstał i chciał przemówić, ale nie miał dosyć mocy. Wszechor cisnął buławę między walczących, ale to nic nie pomogło, a nikt nie śmiał, rozdzielając rycerzy, nadstawić się ich ciosom. Potykali się więc z sobą wśród mnóstwa przerażonego ludu, wśród jęku i płaczu niewiast, zapomniawszy o własnej powinności i uszanowaniu, królowi należnem. Wtem Jordan słabiej zaczął odpierać napad Sieciecha; utraciwszy siły w tyłu potyczkach, napróżno starał się ich ostatki podźęgnąć wspomnieniem na chwałę i na zagrażające niebezpieczeństwo. Rana, odebrana w piersi, jeszcze bardziej moc jego zwątpiła. Wkrótce potem wojewoda krakowski oderwał mu szyszak ze skroni i w obnażone czoło siekł pałaszem. Tarcza Jordana padła obok potrzaskanego hełmu, zawróciła się głowa, oczy nie mogły już rozpoznać nacierającego coraz bardziej wroga; nareszcie przykląkł na piasku i, uchwyciwszy oręż w obie ręce, starał się ocalić życie, które upływało w krwi potokach, zbroję jego i miejsce, gdzie walczył, broczących. Wtenczas Zbigniew, widząc blizki zgon tak dzielnego męża, chciał mu na ratunek pobiedz, a kiedy ojciec go nie puszczał, stanął z szybkością błyskawicy na poręczach, tron otaczających, i stamtąd rzucił się na dół. Trzeba było odwagi i całego uniesienia księcia do tak rozpacz nego czynu, a zarazem szczęścia, zawsze mu prawie towarzyszącego, żeby po nim ocalał. A jednakże, choć dość wzniesionym był tron królewski, bez żadnego szwanku dostał się do ziemi, skoczywszy w otwarte objęcia Mestwina, zważającego z pobojowiska na wszystkie jego poruszenia.

— Daj mi twoje rękawice i sztylet! — rzekł Zbigniew, rzucając dane od żony rękawiczki i, porwawszy broń żadaną, pobiegł do wojewody, silnem ramieniem odsunął ko-

nającego prawie Jordana, którego kilku żołnierzy wzięło, a sam z mieczem w prawej ręce, z sztyletem w lewej:

— Musisz teraz zginać! — zawołał — i zaczął walkę z Sieciechem.

Najwyższe zadziwienie wstrzymało wszystkim oddech i głosy. Mieczysław dobył szabli, chcąc, pobiegłszy na równinę, stanąć na miejscu wojewody i rozstrzygnąć pojedynkiem los domowej wojny, ale Władysław Herman zarzucił mu ręce na szyję i, przyciskając do piersi:

— Jedyna i ostatnia moja nadziejo, zostań! — zawołał — a Wolimir z Moskorzewa, Wszebor i kilku innych panów, którzy się zbiegli do króla, zatrzymali, za prośbą nieszczęśliwego monarchy, szlachetnego młodzieńca.

To się wszystko w okamgnieniu stało, a kiedy kilku rycerzy chciało rozdzielić księcia od wojewody:

— Śmierć temu, który się przybliży! — krzyknął Zbigniew i dalej ciągnął śmiertelną walkę.

Wszystko, co siła i zręczność doświadczona może, towarzyszyło razem, nawzajem od dwóch przeciwników sobie zadawanym, ale Sieciech nieprzebitą okryty był zbroją, kiedy Zbigniew oprócz miecza i bohaterskiej odwagi żadnej inszej nie miał obrony. Starał się on kilka razy, zatrzymując szablą oręż nieprzyjaciela, sztyletem go, w drugiej ręce trzymanym, ugodzić, lecz zawsze ciężąca na lewym ramieniu rana osłabiała zamach i bezkorzystnymi jego zapędy czyniła. Pomimo najsroższych boleści ucierał się jednak Zbigniew z tak zapalczywym męstwem, że wojewoda zaczął wątpić o wygranej, ale nabrał otuchy, kiedy zobaczył, że wielokrotne uderzenia wroga, odbite zawsze żelazem, piersi mu strzegącym, bezskutecznymi się stawały. Możeby jeszcze i stalowy pancerz na nic się nie zdał wojewodzie naprzeciw olbrzymiej sile i wścieklej księcia odwadze, gdyby rana, nie dobrze zagojona, nanowo się nie roztwarła, a wtenczas Zbigniew ramię opuścił i sztylet wypadł z jego drżącej dłoni. Radość zajaśniała na twarzy Sieciecha, podwoił na-

tarczywość i wszystkimi siłami rzucił się na nieprzyjaciela. Nie ustąpił jednak i teraz osłabły książę i, dosyć długo opierając się przeciwnikowi, nawet lekką ranę w nogę mu zadał. Lecz coraz bardziej tracąc na mocy, czuł, że się zbliża chwila, w której mu przyjdzie zginać, zginać pod żelazem Sieciecha i opuścić Hannę, tyloma burzami zagrożoną. Obraz łez jej i rozpachy podżegnał na chwilę jeszcze cały jego zapał i wrócił utracone siły, rzucił miecz daleko od siebie, w górę podskoczył i schwycił wojewodę za szyjak, starając się go nachylić do ziemi, gdzie leżał Mestwina sztylet, którym myślił dokończyć zwycięstwa. Wtenczas Sieciech, słuchając tylko głosu zemsty i uniesienia, nową, cięższą ranę zadał synowi własnego króla, a omdlewający bohater runął na ziemię, pociągając za sobą w upadku niecierpianego wroga. Z trudnością przyszło się hetmanowi wydobyć z nieprzyjaciela objąć, ale Zbigniew już powstać nie mógł. Napróżno starał się podnieść szlachetną głowę, napróżno ścisnął bezsilną ręką sztylet, na nowo uchwycony, jakgdyby z zimnego żelaza chciał przejąć nowe życia potoki, napróżno, oparłszy raz jeszcze szeroką prawicę o blizki kamień, dźwignąć się usiłował. Ciemności pokryły niebo przed tak bystrym przed chwilą wzrokiem, wzdłuż ciało się wyciągnęło i zmysły go opuściły. Zapamiętały Sieciech podnosił już żelazo, kiedy silne uderzenie z dłoni mu go wytrąciło; obrócił się, a rycerz niemiecki, Mestwin z Wilderthalu, stał przed nim z założonemi na piersiach rękoma. Nowy pojedynek jużby się zaczął, gdyby tłumy wchodzącego do zagrody ludu ich nie przedzieliły.

Wtenczas dopiero powstało nadzwyczajne zamięszanie, krzyki i wrzaski rozległy się na wszystkie strony. Całe pojowisko pokryte było pospólstwem i rycerzami, niewiastami i żołnierzami, bogato wystrojonemi pany i ubogiemi wyrobnikami, którzy, mieszając się w ścisku, największego zaburzenia i nieładu przedstawiali widok. Nieszczęśliwy Władysław musiał patrzeć z tronu na walkę, liczyć każdą

ranę, synowi zadaną, a nareszcie widzieć jego pokonanie. Zadna już łza z ócz nie wypływała, ale znamię rozpaczny ukazało się w skośniętych od przerażenia rysach.

Gorzko żałował Mieczysław, że wojewoda zajął jego miejsce i jedyny cel pragnień zniweczył, bo już nie można było wątpić, że wkrótce dobieje ostatnia chwila dla księcia Zbigniewa. Leżał on na miejscu walki, krwią własną oblany, a co chwila oddech cięższym się stawał, co chwila większa bladeść po jego rozlewała się licach, a sine powieki, w pół zakrywające czarne oczy, lekkim drganiem świadczyły, jak mało już życia pozostało w tak pięknym niedawno ciele.

Nadzwyczajnem zdarzeniem nikomu wśród tylu ciekawych widzów na myśl nie przyszło ratować go jeszcze lub podnieść z kurzawy. Czy też dlatego, że w wielu sercach wrzała niechęć ku niemu, czy też, przejęci postrachem bohatera, nie śmieli się go dotknąć i niezrozumianą bojaźnią przejmował ich jeszcze umierający Zbigniew. Dopiero po jakimś czasie przerznął się przez otaczające tłumy Henryk z Kaniowa, a pamiętny darowanego przez Zbigniewa życia zmierzzył okiem pogardy tych, którzy w bezczynności rachowali ostatnie wielkiego człowieka chwile, i, dźwignąwszy księcia, cucić go zaczął.

Tymczasem Sieciech, wojewoda krakowski, klęczący przed królem, w takie doń ozywał się słowa:

— Władysławie, królu i panie mój! Nie szukałem walki z księciem Zbigniewem. Wyrwał on poświęconą sprawiedliwej zemście ofiarę, a wtedy... Ale, królu i panie mój, sam patrzyłeś na to zdarzenie. Podniosłem oręż na twojego syna, mnogiemi rany pokryłem mu piersi, choćbym własnymi go tów zastawiać jego ojca i życie oddać za ciebie.

— Wojewodo — rzekł król — serce moje przeklina ciebie.

Zmarszczył brwi Sieciech i pojrzał na straż królewską wymownym wzrokiem; raczej była to straż dumnego hetmana, niż straż Władysława. Zrozumiał nieszczęśliwy starzec utajone myśli Sieciecha.

— Wojewodo — rzekł — wiesz, jak cenię twoje zasługi...

Usłyszawszy taki początek, nie czekał Sieciech końca mowy słabego monarchy i rozkazującym wykrzyknął głosem:

— Zanieść księcia Zbigniewa do zamku królewskiego w Płocku!

Tysiąc głosów powtórzyło: — »Zanieść księcia do zamku!« — »Zbigniew do Płocka!« — a wojewoda rozkazał jednemu z swoich rycerzy, Spytkowi z Rytwian, by przerznął się z kilkoma zbrojnemi przez tłumy, otaczające Zbigniewa i, odebrawszy go z rąk Henryka z Kaniowa, do Płocka wyruszyli. Więc już miały się zakończyć walki i spory, wojna domowa ustaćby musiała, Zbigniew w mocy nieprzyjaciół oddałby Hannę. Mieczysław stał smutnie, oparty o poręcz tronu, bo inny zwalczył jego wroga; nie przewagą własnego oręża, nie narażeniem się na setne niebezpieczeństwa wyrwie kochankę z rąk Zbigniewa, ale przez układy, przez poniżające umowy spokojnie ją odbierze i miecz jego nie zabłysnął z pochwy wydobyty, i spokojnie przypatrywał się walce i widział krew nieprzyjaciela, od innej przelewana ręki; każda kropla przymnażała mu boleści i wstydu, każde uderzenie Sieciecha hańbił go okrywało. W tej chwili tak go chęć sławy uniosła, że życzył sobie, żeby Zbigniew uszedł niewoli. Gotów był nawet życie jego wszelkimi sposobami teraz ocalić, żeby później mógł mu je sam wydrzeć i w oczach świata ukazać się godnym synem Bolesława Śmiałego.

Takie myśli snuły się w umyśle młodzieńca, kiedy Spyttek z Rytwian szedł śpiesznym pośród mnóstwami ludu krokiem, zmierzając do Zbigniewa, którego usiłowania Henryka do zmysłów jeszcze wrócić nie potrafiły.

Zbliżył się rycerz, od Sieciecha posłany, i kazał żołnierzom wziąć syna Władysława. Ale w tej samej chwili usłyszano przeraźliwe krzyki i z przeciwnego końca pobojowiska ukazał się rycerz, który na czele kilku zbrojnych z spuszczoną przybiegał przyłbicą, tratując po ciałach zwa-

lonych przez siebie ludzi. Z dobytym pałaszem dopadł miejsca, gdzie był książę. Objął go lewem ramieniem i, porwawszy z ziemi, położył przed sobą na siodle. Spytkowi, zatrzymującemu wodze u konia, miecz w piersi utopił, a spinając rumaka ostrogą, roztrącił opierających się, w najżywszym pędzie uniósł księcia ponad trupy, któremi drogę zaścielał.

Wkrótce potem ujrzano młodzieńca, jadącego jego sładami; kilku z przytomnych poznało jeźdźca, a imię »Ulrych«, z ust do ust przechodząc, kazało się domyślać, że jego pan tak odważnym sposobem wyrwał Zbigniewa z rąk przeciwników i z hańby niewoli.

Dwoma godzinami później puste było pole turniejów. Gmach wznosił się jeszcze wśród ostatków połamanych orężów, krwią zbryzganych trupów i szlachetnych koni, na kurzawie rozciągnionych. Gdźieniegdzie wianki z kwiatów, upuszczone przez drżących piękności ręce, leżały, a róża, wpół z liści obnażona, podnosiła się jeszcze z piasku zbrozonego lub tkwiła wśród szczętów potrzaskanej broni.

Zbigniew zaś leżał w swoim zamku, a u jego łoża stał rycerz z Wilderthalu, Abraham z Hamburga i Hanna z Ciechanowa.

— Nie wiem — rzekł po chwili — czego mam się spodziewać, czy życia, czy zgonu? Ale to wnet rozstrzygnę. Mestwinie, podaj mi pałasz!

Z zadziwieniem rycerz niemiecki taki rozkaz usłyszał, natychmiast jednak broń żadaną złożył w ręce księcia.

— Teraz — rzekł Zbigniew — postaw na ziemi przed mojem łóżem ten szyszak stalowy!

Również i to Mestwin wypełnił. Abraham śledził z uwagą najmniejsze księcia poruszenia, a do zdumienia Hanny mieszała się jakaś bojaźń, zarówno do opisanego, jak do wytłómaczenia trudna.

Wtenczas Zbigniew z trudnością się podniósł i, lewą ręką oparłszy się o łożo, dźwignął miecz swój ogromny w górę, pomimo największych boleści zatrzymał go przez chwilę w powietrzu, a stamtąd spuścił na hełm, z twardej wyrobiony stali; a choć słabsze było to uderzenie od zwyczajnych bohatera ciosów, rozpadł się szyszak z łoskotem, na dwoje przecięty.

— Nie zginę! — zawołał książę i opadł na łożo, dręczony pomnożonym przez te wysilenia bólem, nadzieję znać było jednak w żywych jego oczach, a choć chwilowy rumieniec bledniejące lica opuścił, zostawił na nich ślady życia. Wtem Abraham z Hamburga głos zabrał i oświadczył, że spokojności nadewszystko księciu potrzeba i że bez niej nigdy go nie potrafi pomimo najlepszych chęci i największych usiłowań z tak niebezpiecznego wyprowadzić położenia.

Zapewnie uczuł prawdę tego rozumowania Zbigniew, bo, obróciwszy się do żony:

— Hanno — rzekł — wróć do swoich komnat, nie ścierpię, by widok moich boleści nieustannie cię dręczył, byś przy chorym przepędzała dni młodości, rozkoszom i uciechom przeznaczone! Wróć do siebie, moje kochanie!

— I gdzież mi lepiej niż tutaj będzie, drogi Zbigniewie! Z radością każde twoje słowo słyszę, z uniesieniem patrzę

na męża, wracającego do życia. Nie posyłaj mnie na wygnanie do tych komnat, tak bogatych wprawdzie, ale już tak dawno twoją przytomnością nie ożywionych!

— Księżno i pani moja — przerwał lekarz — twój widok księcia porusza, niespokojnym go czyni, podwaja napięcie umysłu, wlewa ogień w osłabione żyły, a to wszystko jest niebezpiecznem. Jutro, za kilka dni, dłużej będziesz mogła przy nim zabawić, ale dzisiaj zaklinam, oddal się pani, jeśli drogie ci są dni księcia Zbigniewa, za których całość ręczę teraz, jeśli Bóg dwunastu pokoleń pobłogosławi mojej nauce i sztuce!

— Hanno — rzekł książę — myśl, że każdy jęk, wydarty z moich piersi przez ciężkie bóle, twoje serce zasmuca jest najgorszą dla mnie męczarnią!

Nie mogła się już dłużej opierać księżna. Rzuciła się więc w męża objęcia i, uroniwszy łez kilka na rozdartem jego łonie, spojrzawszy jeszcze raz na ulubionego, wyszła z Mestwinem, któremu Zbigniew kazał odprowadzić żonę do jej pokojów, a potem zebrać ludzi, rozstawić ich po wieżach i wszystko przygotować do wojny, w której miał doprowadzić aż do wyzdrowienia księcia. Zalecił mu także Zbigniew, żeby miał staranie o dzielny rycerz z Gozdawy, którego niedawno bez zmysłów wniesiono do zamku.

Drżąca Hanna przebiegała lekką stopą liczne korytarze i manowce, dzielące ją od pysznych pokojów, a ile razy przy wstępowaniu lub schodzeniu z natrafiających się schodów chciał jej podać rękę rycerz niemiecki, odpierała jego usługę spojrzeniem, malującym pogardę i największe oburzenie. Nakoniec, przybywszy do swojego mieszkania, stanęła na progu.

— Tu kończy się twoja droga — rzekła do Mestwina — uchodź więc z moich oczu! — i wstąpiła do komnaty, lecz wkrótce potem, odwróciwszy się, ujrzała z gniewem, z bojaźnią pomieszany, stojącego za sobą Mestwina. Chciała zawołać na Katarzynę, ale rycerz z Wilderthalu nie dał jej

czasu wymówić i słowa. Zbliżył się śmiało, porwał za rękę i cichym wyrzekł głosem:

— Milczenie!... niewiasto, pamiętaj na straszną przysięgę!

— Ach! jakżem nieszczęśliwa — zawołała księżna. — Nierozważna przysięga każe mi ukrywać występki tego zbrodniarza i słuchać miłosne oświadczenia tego potwora, kiedy może w tej chwili mój Zbigniew umiera!

— Potwór i zbrodniarz — przerwał Mestwin — stojący przed tobą, naraził dziś życie dla człowieka tak kochanego od ciebie i uniósł go wśród grożącej zewsząd śmierci z tłumu zażartych wrogów.

— Tem bardziej żałuję — odparła Hanna — że Zbigniew winien za to jakąkolwiek wdzięczność takiemu jak ty zbrodniarzowi.

— Czyż zawsze — zawołał Mestwin — zaślepiona lecieć będziesz w otwartą przepaść? Czyż zawsze, związana przesądami, nie wzniesiesz umysłu nad ciemności wieku i nie wzgardzisz stosunkami towarzystwa i niewolą, od nich narzuconą? Możesz zostać najszczęśliwszą na ziemi istotą, a dla kilku słów, przez człowieka równego tobie, przy stosie kamieni, który zowiecie ołtarzem, wymówionych, uzbrajasz zabójczymi grotami rękę, którejby tak miłym było przyciskać cię do piersi. Hanno, obudź się ze snu, odpędź mary cnoty i powinności, oddal mylące cię złudzenie, bo wierzą mi, pani, że już Zbigniew nie kocha ciebie!

Z trudnością córka Wszebora zatrzymała łzę, temi słowy wydartą jej boskim oczom, i ze wzgardą odpowiedziała:

— Precz stąd, precz żmijo, twój jad nie wciśnie się do mojego serca, bo Zbigniew kocha mnie i kochać nie przestanie, a choćby zapomniał o Hannie, opa mu wiecznie za przysiężonej wiary dochowa!

— Nie, nie dochowa — przerwał ponuro Mestwin — bo wtenczas najdoskonalszy utwór Boga musiałby zniknąć z tego świata.

Wzdrygnęła się Hanna i po chwili z rozczuleniem wyrzekła:

— O Zbigniewie! gdybyś usłyszał obelgi, któremi twój powiernik mnie pokrywa, gdybyś poznał udaną przyjaźń i fałsz, pokryty barwą szczerości, czyżbyś nie porwał się z łoża cierpień, nie przybiegł na pomoc twojej Hannie? Czyżbyś go nie orężem, ale już samym wzrokiem stąd nie oddalił?

— Niema siły na świecie — krzyknął Mestwin — któryby mogła mnie stąd oddalić, kiedy widzę przed sobą pozostać ulubionej!

— A więc — ciągnęła dalej księżna — trzeba pożegnać się ze złotymi chwilami młodości, z rajem, w wyobraźni utworzonym! Kwiaty, strojące drogę życia, więdną przed moimi krokami, zamiast Zbigniewa, zamiast opiekuńczego anioła, duch piekielny się zjawił i, zatruwając szczęście, czarnymi smutkami powłócił me życie, zaćmił tak czystą, tak jasną dawniej przyszłość moją.

— Hanno, napróżno narzekasz. Nie znajdziesz litości w moim sercu, dopóki nie zezwolisz na moje żądania. Wtenczas dopiero poznasz nieznane dotąd szczęście, dopiero uczujesz wdzięk panowania nad wszystkiemi. Niech cię nie trwoży odległa ojczyzna i ojciec, ja nową, piękniejszą ojczyznę ci wskażę! Ujrzysz czarujące Niemiec okolice; twoje oko spocznie na miłych łąkach, na srebrzystych strumieniach, lub, jeśli wzniosłe wolisz obrazy, dosyć jest skał i przepaści na świecie — dodał z szyderskim uśmiechem — dosyć burz i wichrów. Obierzesz, co zechcesz, czy niebo, czy piekło, czy pałac okazały, czy cichą chatkę, wszystkie żądania twoje wypełnię, wszystko, co można uczynić, uczynię, a to, co nie można, jeszcze dla ciebie uczynię.

— Rycerzu, zapominasz się zupełnie. Czy już nie wiesz, do kogo przemawiasz?

— Do mojej żony, lub do mojej ofiary — odparł wściekle Mestwin.

Wzdrygnęła się Hanna i po chwili z rozczuleniem wyrzekła:

— O Zbigniewie! gdybyś usłyszał obelgi, któremi twój powiernik mnie pokrywa, gdybyś poznał udaną przyjaźń i fałsz, pokryty barwą szczerości, czyżbyś nie porwał się z łoża cierpień, nie przybiegł na pomoc twojej Hannie? Czyżbyś go nie oręźem, ale już samym wzrokiem stąd nie oddalił?

— Niema siły na świecie — krzyknął Mestwin — którzy mogła mnie stąd oddalić, kiedy widzę przed sobą pozostać ulubionej!

— A więc — ciągnęła dalej księżna — trzeba pożegnać się ze złotymi chwilami młodości, z rajem, w wyobraźni utworzonym! Kwiaty, strojące drogę życia, więdną przed moimi krokami, zamiast Zbigniewa, zamiast opiekuńczego anioła, duch piekielny się zjawił i, zatruwając szczęście, czarnymi smutkami powłócił me życie, zaćmił tak czystą, tak jasną dawniej przyszłość moją.

— Hanno, napróżno narzekasz. Nie znajdziesz litości w moim sercu, dopóki nie zezwolisz na moje żądania. Wtenczas dopiero poznasz nieznane dotąd szczęście, dopiero uczujesz wdzięk panowania nad wszystkimi. Niech cię nie trwoży odległa ojczyzna i ojciec, ja nową, piękniejszą ojczyznę ci wskażę! Ujrzysz czarujące Niemiec okolice; twoje oko spocznie na miłych łąkach, na srebrzystych strumieniach, lub, jeśli wzniosłe wolisz obrazy, dosyć jest skał i przepaści na świecie — dodał z szyderskim uśmiechem — dosyć burz i wichrów. Obierzesz, co zechcesz, czy niebo, czy piekło, czy pałac okazały, czy cichą chatkę, wszystkie żądania twoje wypełnię, wszystko, co można uczynić, uczynię, a to, co nie można, jeszcze dla ciebie uczynię.

— Rycerzu, zapominasz się zupełnie. Czy już nie wiesz, do kogo przemawiasz?

— Do mojej żony, lub do mojej ofiary — odparł wściekle Mestwin.

— Jeśliś matkę lub siostrę miłował, jeśliś ojczyznę lub cokolwiek na świecie kochał, w imieniu tego każę ci się natychmiast oddać.

— I sądzisz — rzekł rycerz, nie zważając na to wezwanie — że Zbigniew jeszcze cię kocha, a przecież — dodał zręcznie — ciągle dzisiaj zwracały się jego oczy na Sławomirę z Kossowy.

Zadrżała pomimowolnie księżna; nie uszło to uwagi rycerza, który cięższe jeszcze rany gotował jej czułem sercu.

— Powiedział mi nawet na turnieju, że jej piękność nie równie twoją przewyższa.

— Kłamstwo nieraz twoje usta skaziło i dotąd je kazi — przerwała Hanna. — Znam dobrze Zbigniewa, nigdy on mnie nie opuści.

— Wyrzuci cię z serca, jak wyrzucił dar twojej ręki — zawołał rycerz, rzucając na stół dane księciu dnia poprzedniego rękawiczki, które podniósł, kiedy Zbigniew, lecąc do boju, jego własne przywdział. Ten widok przeraził Hannę i, drżąc, przycisnęła do piersi rękawiczkę, która niedawno spoczywała na dzielnej bohatera prawicy.

— Pani — rzekł wtenczas Mestwin — zdaje się, że ten dowód musiał cię przekonać, że przed nim ustąpią wstrzymujące cię dotąd względy, że dłużej nie potrzebuję powtarzać prośb i przełożeń — a to mówiąc, chciał namiętne zarzucić uściski na śnieżne piersi swojej pani.

Cofnęła się Hanna.

— Rycerzu! — zawołała rozkazującym głosem — jestem bez pomocy, bez obrony. Wiara rycerska, jeśli jeszcze nie zginęła w bezpiecznem sercu, niech cię wstrzyma w szalonym zapędzie!

Właśnie w tej chwili wypadł sztylet, zatknięty w pasie Mestwina. Porwała broń morderczą księżna i zwracając go do własnego łona:

— Już znalazłam obrońcę — zawołała — i nie lękam się ciebie!

A w jej oczach świecił nadludzki ogień i zdawała się już nie być mieszkanką tej ziemi.

Stał oniemiały Mestwin, wlepiając wzrok okropny w postać anielską. Niezrozumiana przez niego cnota w całym ukazała się blasku i zwątpił o osiągnięciu szkaradnych celów.

— Ostatni raz powtarzam ci — rzekła księżna — abyś zaniechał na zawsze swoich zamiarów i nigdy nie śmiał stawiać się przede mną. Wieczna zapora między cnotą i zbrodnią dzieli nas w tem życiu, w przyszłym zaś przestrzeń niezmierzona między niebem i piekłem, jeśli skruczą i żalem nie przebłagasz Stwórcy.

Poznał wtenczas Mestwin, że mu żadna nie pozostawała nadzieja, że wszystko oprócz zemsty znikło dla niego na ziemi. Porzucił więc dotychczasową postać i nagle przemściem z wściekłego kochanka przemienił się na wyrachowanego zbrodniarza. Ukłonił się księżnie z szyderskim uśmiechem:

— Pani, już się stało, chciałaś się zgubić i zgubiłaś się. Od tej chwili miłosne oświadczenia już o twoje uszy obijać się nie będą, ale przekleństwa i srogie wyrzuty zajmą ich miejsce. Żegnam cię, Hanno z Ciechanowa, poświęconas na męki i boleści, nieznanne dotąd temu światu, a jeśli po śmierci mam jęczeć w bezdennej przepaści, twoje życie piekłem się stanie i tak zawsze twój los mojemu podobnym będzie.

Po tych słowach oddalił się rycerz, a kiedy stanął u drzwi, łoskot rzuconego na ziemię sztyletu obił się o jego uszy; odwrócił się i, podniósłszy broń ulubioną, odszedł do swojej komnaty. Nim jeszcze stanął u jej wnijscia, już miał ułożone pasmo zdrad i podstępów, któremi chciał najpiękniejszą i najcnotliwszą niewiastę doprowadzić do zguby.

Zastał w pokoju Ulrycha, trudniącego się urządzaniem broni w szafach, już czytelnikowi znajomych. Zbliżywszy się w milczeniu do stołu, rzucił spokojnie szyszak, zdjął ciężki pancerz i odpiął szpadę. Następnie z krwią najzi-

mniejszą usiadł w szerokiem krześle, założył ręce na piersi i giermka przywołał.

— Ulrychu — rzekł mocnym głosem — ostatnia nadzieja uleciała dzisiaj ode mnie, zostaję wiernym panu mojemu i księciu, ale jego żona musi porzucić tę ziemię.

Po tych słowach głośnym i przeciągłym śmiechem oznaczył dziką radość, pochodzącą z pewności, że Hanna nie ujdzie jego nienawiści.

— Tak, mój chłopcze, będziesz miał teraz dużo do roboty, ale też ufam ci, jak sobie samemu. Przyznać trzeba, żeś się dzielnie dzisiaj spisał, właśnie w stanowczej chwili doniósłeś mnie o niebezpieczeństwie księcia. Zagadałem się z tym Skarbimirem i, gdybyś nie przybiegł, wszystkoby już zgubionem było. Teraz uratowałem Zbigniewa, a on na mnie polega, jak na aniele stróżu. Przewybornie, doskonale, okoliczności mi sprzyjają, zemsta gotowa, ułożona już i niechybna.

— Od jakiegoś czasu — przerwał Ulrych — nie mogę cię zrozumieć, czy to, że w Polsce rozum straciłem, czy też, że ciemno i niedobrze się wyrażasz, rycerzu i panie mój.

— Do szatana, zaraz ci się lepiej wytłumaczę, ale wprzód daj mi czarę wina!

Pobiegł na górę giermek i przyniósł złoty puhar, pełny szumiącego napoju, który Mestwin odrazu wychylił.

— Dobre wino, na Boga — krzyknął — kilkam kropli wypił, a już jaśniejsze przychodzą myśli, rozwidniają się zamiary i cele nie tak dalekimi się wydają. Siądź na tej poduszce przy moich nogach i słuchaj uważnie!

Wypełnił rozkaz Ulrych i z natężoną ciekawością wpatrywał się w rycerza, sądząc, że mu wykryje ważne tajemnice. Niezmiernie zdziwił się zatem, kiedy następujące usłyszał pytanie:

— Czy dobry masz sztylet?

— Nie najlepszy — odpowiedział po chwili — bo ten piękny, darowany mi jeszcze w Niemczech przez ciebie, na

łowach zgubiłem; wprawdzie drugi w Płocku nabyłem, ale nie tak już ostry i mocny.

Wstał Mestwin i, poszedłszy do szaf, jedną z nich otworzył, wyjął z niej sztylet stalowy i dał go giermkowi.

— Weź — rzekł — jego żelazo jadem napuszczone, a kiedy nim tylko zadraśniesz wroga, natychmiast zginie!

Potem usiadł znów rycerz i dalej mówił:

— Czyś zawsze równie silny i wytrzymały w biegu?

Zdumiony młodzieniec odpowiedział, że nie stracił tych ważnych zalet.

— I czujesz się zdolnym narazić się na niebezpieczeństwa?

— Na wszystko, co rozkażesz.

— A gdyby, na przykład, i podstępny trzeba było użyć, czybyś umiał sprawę poruczoną zręcznie wykonać?

— Znasz mnie, panie — odparł Ulrych — doświadczyłeś w niejednym razie i nie widzę, do czego te wszystkie zapytania zmierzają.

— Ach! nie widzisz, zaraz się dowiesz, Ulrychu! Chciałeś tak młody, powierzę ci jednak najskrytsze myśli, a w nagrodę takiej ufności żądam poświęcenia bez granic, oddania życia za moją sprawę i zrzeczenia się wszystkich uciech bez najmniejszego żalu.

— Gotów jestem, panie! — krzyknął młodzieniec. — Rozkaż, a pójde na śmierć.

— Dobrze, porywcze dziecię, dobrze — odparł Mestwin i wpadł w głębokie zamyślenie, które nieprędko przerwał.

Nareszcie spokojnym tak przemówił głosem:

— Ta dumna Polka, ta księżna, jak to ją zowiesz, nie chciała odpowiedzieć na uczucia Mestwina z Wilderthalu, rycerza niemieckiego, a zatem zapadł na nią wyrok niczem niecofniony; musi umrzeć. Nie myśl jednak, żem ci dał ten sztylet dla jej zabicia; o nie, uchowaj Boże: tak słodkiej i prędkiej śmierci nie dozwolę Hannie z Ciechanowa, córce potężnego Wszeborza, żonie potężniejszego jeszcze księcia

Zbigniewa! Jeśli nie ze smutku, to przynajmniej z trucizny zginie. Prawdaż, Ulrychu, trucizna jest przedziwnym środkiem, osobliwie, kiedy nie wnet, ale przez kilka godzin skutki swe wymierza.

— Bez wątpienia — odparł młodzieniec — ale szkoda tak pięknej i cnotliwej...

Głośnym śmiechem przerwał mu Mestwin.

— Cnotliwej! — powtórzył — a, to coś nowego! Kobieta cnotliwa! Nigdy nie słyszał, nigdy takiego cudu nie widział! A wszakże pierwszą niewiastę w kilka dni po urodzeniu szatan skusił! Wierz mi, Ulrychu, niema na świecie cnotliwej kobiety! Każda skryciej lub jawniej zdradza swoje powinności. Tak królowa, jak wieśniaczka woli żywe oko kochanka od poważnego męża.

— A jednak zdaje mi się — rzekł Ulrych — żeś sam dopiero doświadczył oporu, któryby cię powinien przekonać o cnocie...

— Dziecko z ciebie, wielkie dziecko, nie masz doświadczenia! Że Hanna, powodowana cnotą, odrzuciła moje przełożenia, ja w całym jej postępowaniu tylko dumę upatruję. Wystawia sobie, że prosty rycerz; mniej dźwięcznie brzmi w jej ustach: »Mestwin z Wilderthalu« niż: »Zbigniew, książę polski« i dlatego też taką odprawę mi dała. Ale na piekło poprzysięgam, że pozna, kto jest ten Mestwin i z kim śmiała się poróżnić. Teraz, mój uczniu kochany, wyobraź sobie, że jestem mistrzem, którego nauk dobrze ci zapamiętać trzeba! Niech od dzisiejszego dnia twoje przywiązanie do mnie ma za granice ściany tego pokoju! Za niemi jesteś moim nieprzyjacielem, stajesz się sługą niewiernym, nie cierpiącym swojego pana. Udajesz przed księżną, do której koniecznie musisz się wsunąć, i przed jej Katarzyną, że moje okrucieństwo zniechęciło cię zupełnie, okrywasz mnie obelgami, oskarżasz o najokropniejsze zbrodnie. Tym sposobem pozyskasz ufność dowierzających najczęściej każdemu niewiast, a wieczorem każde ich słówko, każde poruszenie

donosić mi będziesz. Dalsze postępowanie później ci oznaczę. Przewiduję, że nieraz odwiedzisz obóz Mieczysława, gdzie Skarbimir poddany mi zupełnie... Rozumiesz, Ulrychu?

— Rozumiem.

— Gdybym innemu te rozkazy ogłaszał, zakończyłbym ich wyliczanie workiem pełnym srebra.

— Ale wiesz — krzyknął młodzieniec — że nie potrzebne ci srebro, kiedy masz ze mną do czynienia.

— I właśnie dlatego nic ci nie dam.

— Oprócz łaski i przywiązania do człowieka — odparł giermek — który cię pewno nie zdradzi.

— Dosyć i nauk i obietnic — rzekł Mestwin, wstając z krzesła — pójdę teraz do Jordana. Słyszałeś?

— I wykonam — zawołał Ulrych.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rzucą się wszyscy — i razem
Płomień słupem w niebo buchnie,
Wszędzie żarzyste migają główne,
Leją się siarki i smoły,
— — — — —
Chmurami wieją popioły.

Odyniec.

Nazajutrz po tej rozmowie tysiączne oręża błyszcząły przed murami Zbigniewa i pomieszane wrzaski spokojną od kilku dni przerażały okolicę.

Wrzący namiętnością sławy Mieczysław podchodził z żołnierzami baszty, a Sieciech na koniu objeżdżał rotę, gdyż lekka rana pieszo mu iść nie dozwalała. Wszebor również swoich zagrzewał, kiedy Skarbimir, unikając śmierci, krył się pomiędzy tylnymi hufcami — i ten sam stan rzeczy, który był przed zawarciem zawieszenia broni, wrócił na nowo. Jedną tylko w nim zachodziła różnica, że nie już Zbigniew z Jordanem z Gozdawy siał postrach pomiędzy szyki nieprzyjaciół, ale Mestwin z Wilderthalu, który co do znajomości sztuki wojennej i nieustraszonej odwagi, godnym był zastępować ich miejsce.

Myślał z początku wojewoda, że łatwo mu przyjdzie zdobyć zamek, sądząc, że już w nim skonał Zbigniew i że liczba obrońców, znacznie poprzednimi napadami zmniejszona, niedługo opierać się zdoła. Lecz w tem mniemaniu

zupełnie się zawiódł, gdyż podczas turnieju, na którego widzenie wszystkie hufce Mieczysława obóz opuściły, nowe posiłki i świeże zapasy żywności dostały się do zamku.

Po krótkim czasie zaczął się prawdy domyślać Sieciech, kiedy ujrzał, jak walecznie broniła się załoga i jak umiejętnie wszystkim rozporządzał Mestwin. Podwoił zatem własne usiłowania, bojąc się, żeby nie powiedzieli, iż rycerz niemiecki przemógł nad wojewodą krakowskim i hetmanem Władysława Hermana.

Roztropność atoli Mestwina w niwecz obróciła jego zamiary, a dziki Gierda, potrząsając ogromnym toporem, w czapce borsuczej i niedźwiedziej skórze, z których włosów krew zabitych się sączyła, wszystkich przerażał. Ciężkie kamienie, świszczące strzały, jadem napuszczane pociski, z obu stron wylatujące, zaciemniały słońce przed wzrokiem walczących, a krzyki, to uniesienia i zapалу, to bóleści i rozpacz, przebijając tę chmurę wznosiły się do niebios, jakgdyby srogie wyrzuty tyłu mąk i nieszczęść na ziemi.

Ginęli męże i, padając na kurzawę, szlachetną krew wlewali, przeznaczoną sprawiedliwym za ojczyznę bojom.

Wśród tego zamieszania odznaczał się zapalony Mieczysław, doświadczony Sieciech i żartujący z ich wysień Mestwin, który, wzniesiony nad dolinę i głowy wrogów, kierował wystrzałami łuczników i pole trupami zasiewał.

Kiedy tak zacięta odbywała się walka, zupełnie inne uczucia zajmowały dwie osoby, rozmawiające z sobą w jednym z długich zamku korytarzów. Jedną z nich była dziewczyna z żywym okiem i świeżym licem, drugą młodzieniec, pod którego szlachetnemi rysami krył się fałsz i obluda.

Katarzyna, przechodząc, ujrzała go wylewającym ciche łzy w ukrytym kącie, a serce osiemnastoletniej dziewczyny wzruszyło się na widok udanych cierpień młodego giermka. Przeszła jednak szybko, ale jęki Ulrycha cofnęły jej kroki i, nazad wróciwszy, zapytała się nieśmiało:

— Cóż to znaczy? Czego płaczesz, biedny młodzieńcze?

Podniósł schyloną głowę młodzieniec i ukazał płomieniste oczy wśród rzęstatego łez potoku.

→ Ah! — zawołał głosem rozpaczony — tyś szczęśliwa, pędzisz życie przy cnotliwej i łagodnej pani, wszystkie życia chwile umila ci anioł dobroci, nie znasz gorzkich płaczów, nie wiesz, co to jest okrutnik srogi i nieublagany. Ah! nie wiesz, co to służyć u Mestwina z Wilderthalu!

Zadrżała na to straszne imię Katarzyna.

— Cóż ci on zrobił? — rzekła po chwili.

— Zapytaj — odparł Ulrych — wszystkich ofiar jego gniewu i zemsty, zapytaj się ich, co im zrobił Mestwin z Wilderthalu! Z początku słodki, ujmujący, zamienia się potem na gwałtownego ciemiężcę. Mnie także zawiodła jego słodycz, pokrywająca najczarniejsze występki. Oderwał mnie od ojczyzny, wyrwał z objęć matki; dla niego opuściłem piękną, czułą, jak ty, siostrę i z najmilszych wyzułem się uczuć, a teraz coraz surowszym i straszniejszym się staję! — A tu nowe łzy mowę mu przecięły i nowe westchnienia z kłamiwych piersi wydobył.

— Nie płacz tak, Ulrychu! — zawołała już sama płacząca Katarzyna. — Alboż w naszym kraju niema sprawiedliwości? Alboż nie zasiada w Płocku król nasz miłościwy, a w tym zamku syn jego, potężny książę i pan nasz, Zbigniew!

— Nic mi nie pomogą!

— Zanieś skargę, rzuć się mu do nóg, a zapewniam cię, że skarci twójgo pana! Jeśli chcesz, to nawet powiem mojej pani, a ona tak dobra, tak czuła — jestem pewna, że się ujmie za tobą.

Zbladł na te słowa młodzieniec, jakgdyby wyrzuty sumienia ozwały się w duszy, ale to pomieszanie krótko trwało.

— Nie — zawołał z udaniem przerażenia — nie czyń tego, jeśli nieszczęśliwy, stojący przed tobą, ma jakiegokolwiek prawo do twojej litości! Onby mnie zabił, rozszarpał, gdyby miał choć najmniejsze podejrzenie, że śmiem sprze-

ciwiał się jemu i żalić na postępowanie, które wkrótce do grobu mnie wtrącił! O matko, o siostró moja, o luba ojczyzno! Czyż was nigdy już nie obaczę? Czyż nie ujrzę tych łąk, na których w dzieciństwie igrałem, tych strumieni, po których tak przyjemnie mi było pływać przy wieczornym powiewie, tych skał, pokrytych zielonemi krzewami, na które często się wdzierałem, czepiając rękoma słabe rośliny i trawy?

— Nie narzekaj tak, Ulrychu, rozdzierasz mi serce!

— Ale nie — przerwał giermek, zapalając się coraz bardziej — nie powiedzą, żem jak niewolnicze zwierzę schylił kark pod narzuconem jarzmem! I w moich też piersiach bije serce, i w moich żyłach krew płynie. Bez obrony, bez przytułku, w obcym kraju, wydarty matce, wystawiony na okrucieństwo srogięgo pana, zdołał jeszcze zebrać młodzięncze siły i, jeśli nie pogiębić, to ukarać przynajmniej wroga, który mnie wkrótce o śmierć przyprawi. Patrz, dziewczyno, na tę twarz pozbawioną rumieńca, na te oschłe i wychudłe palce, na tę schyloną, a kiedyś tak lekką i wysmukłą postawę: oto są skutki niewoli i ucięmżęnia! Tajemniczy, zawzięty, samą zbrodnią oddychający człowiek to sprawił, a teraz osądź sama, czy nie mam przyczyny łzy wylewać, kiedy codzien czuję słabnące ciało, odzywające się boleści i czarne troski w miejscu dawnej, niczem nie zatrutej radości! Ale przyjdzie czas i podniosę się z pod stóp potworu, tłoczącego mnie ku ziemi.

Przerażona dziewczyna w milczeniu i z ściśnionem sercem poglądała na człowieka, uniesionęgo gniewem.

— Opowiedz mi — nareszcie się ozwała — to, co Meštwin ci wyrządził!

— Wczoraj — odparł Ulrych — wrócił do siebie niewytkłym uniesiony szale, oderwane wymawiając słowa, pomiędzy któremi imię twojej pani i księcia Zbigniewa najczęściej słyshałem; ponure i okropne rzucał na mnie wejżenia. Nakoniec, wywierając swój gniew bez najmniejszego

powodu, mało co w zapamiętałej wściekłości dni moich nie skrócił trzymanem ciągle w ręku żelazem. Wymawiałem mu w rozpaczę to niesłuszne obchodzenie się ze mną, nawet śmiałem wspomnieć o słyszanych wyrazach i wyrzucić, że coś zamierza przeciw księżnie, której wdzięki i anielska słodycz pozyskały całe moje przywiązanie, a wtenczas, piejąc się od złości, z ognistym wzrokiem, wywrócił mnie na ziemię i, piersi nogą przytłoczywszy, wymógł straszną przysięgę, że nikomu nie powtórzę... Ale zdradzam ją — dodał z oznakami trwogi — może nas podsłuchał? Zgubionym... — i oglądał się na wszystkie strony z przerażeniem na twarzy.

— Bądź spokojny, on teraz walczy na murach! Czyż nie słyszysz wojennych okrzyków i świstu pocisków?

— Prawda, wypadło mi już wszystko z pamięci, prawda, wkrótce rozum stracę! — rzekł Ulrych, zwracając ku ziemi wzrok osłupiały.

— A więc — ozwała się Katarzyna — kochasz moją panią i możnaby rachować na ciebie w razie potrzeby?

— Całą krew chętniebym za nią przelał — krzyknął giermek i wzniosłszy ręce do góry: — Przysięgam, że wypełnię wszystko, co mi rozkaże.

Nie zważając na dwóznaczność tego przyrzeczenia, z radością wyrzekła dziewczyna:

— Pamiętaj o tem, coś wymówił, i staw się w słowie, kiedy czas i miejsce będą po temu!

To mówiąc, oddaliła się, pewna, że znalazła nowego przyjaciela i poświęconego sługę Hannie z Ciechanowa.

Zadowolony Ulrych z udania się tej pierwszej próby, poszedł na dziedziniec zamkowy dla przypatrzenia się walce, ale coś nieprzyjemnego mieszało się do jego radości.

Okropna bitwa toczyła się ciągle na murach, okrytych pomięszanemi z sobą żołnierzami Zbigniewa i Mieczysława, krwi potoki spływały po kamieniach i basztach. Poobcinane głowy, oderwane od ciała członki i drętwiejące jeszcze ostatkiem życia zewsząd się sypały. Wtem ukazał się na naj-

wyższej wieży rycerz z Wilderthalu z kilkoma ludźmi, którzy ogromny, tam leżący, kamień podważywszy drągami, zwalili go na drabiny i głowy wspinających się po nich wojowników. Wnet potem zapalone pochodnie, kawały ciężkiego ołowiu, pomieszane z wrzącem wapnem, wysypały się na oblegających. Potok morderczych płynów oblał dobywających się do zamku, a natychmiast rozległ się po przestrzemi krzyk bóleści i żołnierze z napół spalonych dłoni wypuścili żelaza. Strąceni z wysokich murów rycerze roztrzaskali się o kamienie, na dole leżące, a grad pocisków bez ustanku leciał na strwożone szeregi. Ze wszystkich stron napadane hufce straciły odwagę, walka nierówną się stała i znak odwrotu nareszcie dowiódł ciężkie nieprzyjaciół straty i przewagę Mestwina.

Podobne codziennie odbywały się boje, a zawsze, odparci na końcu, oblegający z odrodzonym męstwem i nową stałością nazajutrz wracali. Zbigniew sił powoli nabierał, ale jeszcze po dwóch tygodniach nie mógł wystawiać się na niebezpieczeństwa, którychby nie był zdolnym odeprzeć. Wiedziano go jednak niesionego czasem na rękach wiernych żołnierzy; zasłonięty ich puklerzami odwiedzał mury, opatrywał stanowiska i dawał rozkazy. Za słaby jeszcze na dźwiganie ciężkiej zbroi, nosił czapkę z białymi piórami i lekką kolczugę, a wypuszczone nań strzały jakgdyby z uszanowaniem naokoło padały. Tak więc bohater wyrwał się jeszcze z objęć śmierci dla bronięcia żony i zjednania sobie nieśmiertelnej chwały.

Jednego wieczoru po ustąpieniu nieprzyjaciół kazał zwołać Mestwina i, spierając się na łożu:

— Czyś nie strudzony? — zapytał.

— Jeszczebym gotów walczyć — odparł rycerz.

— A więc przygotuj się do walki! — zawołał książę. — Jak tylko noc pokryje niebo, z dobranymi wojownikami pojeżdż ich obóz, a niech wtenczas noc się w dzień zamieni. Nie chcę, byś im wszystkich spalił namiotów, część tylko

obejmij płomieniami! Ja zaś wyjdę na wieżę i patrzeć będę na ten obraz, bo jednostajność teraźniejszego życia nudzić mnie zaczyna. Trzeba takiego widoku na wyrwanie mnie z słabości, na przywrócenie utraconej mocy.

— Już oddawna — rzekł rycerz — o tem myślałem. Dziękuję ci, książę, że taką sprawiasz mi zabawę. Na Boga, na kilka mil wokoło rozjaśnię okolicę!

Po tych słowach, ukłoniwszy się, wyszedł na dziedziniec zamkowy.

— Do broni! — krzyknął — do broni! — a wnet zgromadzili się naokoło niego dzielni żołnierze. Byстрыm wzrokiem przebiegł ich szeregi i wyznaczył mających się z nim udać na krwawą wyprawę. Potem wrócił do komnaty i, pokrzepiwszy siły puharem wina, rzucił się na łożę, gdzie na chwilę zasnął.

Czarna noc zasępiła niebo, a chmury, silnym pędzone wichrem, na pomoc jej jeszcze przybyły. Obóz pograżył się w ciemnościach, a stojący na straży żołnierze słyszeli z bojaźnią współtowarzyszów jęki, mieszące się do świstów wiatru. Z powagą przesuwały się chmury, jak orszak milczący, który smętnie postępuje za pogrzebem i, zdawało się, że samo przyrodzenie, sprzyjając zamiarom wrogów, ich wykonanie ułatwia.

Obudził się Mestwin, przywdział zbroję i na czele zbrojnych wyszedł bramą zamkową, schylając głowę przed mężem, który, zasiadłszy na wieży, czekał widoku kłesk i mordów.

W milczeniu szedł rycerz niemiecki, a on jeden tylko miał szyszak na głowie. Wszyscy inni trzymali hełmy w lewej ręce, prawą kryli w ich wydrażeniach zapalone pochodnie. W cichości przesuwali się po równinie, jak duchy złego, natężając wzrok i słuch na wszystkie strony. Niecierpliwość i żądza walki podwajała bicie serca każdego z nich, ciemności i milczenie pokrywały ich dokoła; za chwilę potoki morderczego światła i tłumne wrzaski miały

napełnić miejsca, po których stąpali z ostrożnością łowca, podchodzącego czujną zdobycz.

Kiedy zbliżyli się do obozu, dobył miecza Mestwin, a natychmiast zabłysnęły pochodnie i obok nich podniosły się się oręż. Rzucili się żołnierze pomiędzy namioty, a natychmiast zajęły ich płomienie. Czerwone kłębu dymu, kręcone wiatrem, uniosły się nad równiną, a krzyki, jęki i rozkazy rozległy się wszędzie.

Obudzony ze snu Mieczysław porwał szablę i wyleciał z namiotu, Sieciech wyszedł później trochę na pole bitwy w zupełnej zbroi, Wszebor podniósł oręż styraną dłonią i również pośpieszył do walki. Napół uśpieni żołnierze skoczyli do broni, ale nie wiedzieli, gdzie się udać i przeciw komu walczyć, bo nieliczni Mestwina towarzysze, podsycając ogień lub pojedynczych zabijając nieprzyjaciół, rozbiegli się pośród namiotów i wałów.

Trudno ich było odróżnić w zamieszaniu i nieładzie, a żołnierze Mieczysława, dobywszy oręża, obracali się naokoło, szukając wroga, nie ukazującego się nigdzie. Wtenczas wściekli patrzali z rozpaczą na ogarniające ich płomienie i, słysząc dzikich napastników krzyki, nigdy z nimi spotkać się nie mogli. Mieczysław rzucał się pośród płomieni i trupów, podnosząc błyszczący pałasz, ale ani kropla krwi jeszcze nie spływała z niego. Przezorniejszy Wszebor, zebrawszy kilku ludzi, zaczął pracować około zagaszenia pożaru, ale kiedy ustawał za jego staraniem w jednym miejscu, wnet z drugiego wybuchał, niewidzianą zapalony ręką. Zdawało się, jakgdyby ziemia się otworzyła i szerokimi płomieniami całą zagarnęła przestrzeń. Nareszcie Mestwin zwołał swój orszak i na jego czele wpadł na przerażone przeciwników szeregi; wnet przeraźliwe krzyki wskazały miejsce okropnej walki.

Mieczysław, uradowany ze znalezienia wrogów, przedzierał się z siłą lwa przez rozognione belki, walące się namioty i ginących towarzyszy, biegnąc do Mestwina; lecz

nim się mógł spotkać z niemieckim rycerzem, ozwał się po dwakroć zdala silny głos rogu, a natychmiast spuścił Mestwin skrwawiony oręż, i, obtarłszy go spokojnie, schował do pochwy.

— Nazad, żołnierze! — zawołał piorunnym głosem.

Głos rogu przerwał mu słowa.

— Wstecz, towarzysze! — krzyknął. — Słyszycie? To róg księcia, to rozkaz Zbigniewa!

Potem rzucił się szybko między popioły i trupy z małym orszakiem, wkrótce znikł odgłos ich kroków, a ich postacie pograżyły się w ciemnościach, z pośród których ukazywały się szczątki obozu, zniszczonego morderczymi płomieniami.

Książę Zbigniew ledwo po czwarty raz odjął z ust ogromny róg, zdobny świetnemi ze złota okręgi, kiedy usłyszał kroki wracającego hufcu i kazał zawołać Mestwina.

Stawił się przed panem rycerz, okryty krwią i kurzawą, z poczernionem czołem od dymu i z potrzaskaną zbroją przez ułamki rozpalonego drzewa, nieraz podczas walki nań spadłe. Sześciu żołnierzy z zapalonymi pochodniami stało naokoło księcia, którego bladość przeciwny wystawiała widok od rumieńca Mestwina, sprawionego przez trudy i bliskość ognia.

Zdał sprawę rycerz z poruczonego obowiązku, a potem, wyciągając rękę:

— Nie mam co więcej opowiadać — zawołał — niech mi ten obraz zastąpi wymowę!

— Dzielnyś zawsze, Mestwinie — rzekł książę — ale bałem się, byś uniesiony nie posunął się za daleko, gdyż nie chcę wszystkiego w jednej nocy zakończyć.

— Przyznaję — odparł Mestwin — że, widząc tak sposobną porę, uczułem żywiej krew biegnącą po żyłach i wy dobyłem żelazo, ale głos twojego rogu odwołał mnie natychmiast.

— Jeszcze więcej za to ci wdzięczności winienem, niż za ten pożar — rzekł Zbigniew, ściskając mu rękę — ale,

na Boga, zdaje mi się, że niebo popsuje, co ziemia sprawiła.

— Raczej piekło — dodał pocichu Mestwin.

— Te czarne chmury — ciągnął Zbigniew — wkrótce w deszcz się zamienia, już kilka kropel padło na moją rękę.

Ledwo tych słów domówił, aliści obudziło się spokojne dotąd przyrodzenie hukiem blizkiego pioruna, jakgdyby haśle do bitwy, i w okamgnieniu błyskawice rozdarły niebiosą, a deszcz rześisty spuścił się na ziemię.

Nie ruszył się z miejsca Zbigniew i poglądał wśród burzy na zapalony obóz, z którego jęki nieszczęśliwych jego uszów dochodziły. Ale wkrótce wzbijające się ku niebu płomienie zaczęły się ku ziemi skręcać i czarny dym wydarł je poczęści patrzącemu oku, a tymczasem coraz większe potoki lały się z odwiecznych sklepień i coraz bardziej gasyły zapalone ręką wrogów ognie. Wzniósł oczy do nieba książę i przez chwilę zdawało mu się po łunie, przestwór zalegającej, że pożar nic z mocy nie stracił, bo chmury, jeszcze większym oświecone blaskiem, zamieniły się na ogniście gromy, toczące się z hukiem po przestrzeni; lecz poznał wkrótce, że częste błyskawice zastąpiły śmiertelne ognie, a kiedy spuścił wzrok na dół, już nie ujrzał szerokiego pożaru, ale na miejscu jego czarne, błado odznaczone od ciemnej nocy namioty, które wznosiły się nad leniwo dogorywającymi gruzami.

— Tak znikają nadzieje — pomyślał książę — jak te świetne płomienie, obwiane wichrem i zalane wodą.

Potem w głos się odezwał:

— Skończyła się na dzisiaj zabawa. Zanieście mnie do łóża! Spodziewam się, że przynajmniej kilka dni odpoczynku mieć będziemy.

Nie ozwała się nazajutrz w obozie trąba, zwołująca do bitwy, nie zarżał wyprowadzony na boje rumak Sieciecha, ani zabłysnął pałasz Mieczysława. Grobowe milczenie zaległo pozostałe od zniszczenia namioty, czasem wybladli wo-

jownicy w napół spalonej odzieży przesuwali się pomiędzy ostatkami własnych mieszkań, schylając się ku ziemi, roztrącali dymiące jeszcze gruzy i szukali opuszczonych orężów w wczorajszym nieładzie. Broń znalezioną znosili na środek obozu, skąd każdy należytość swoją odbierał. Odchodził tu żołnierz z napół stopionym mieczem, tam znowu z połamanym pancerzem lub z świetnym niedawno szyszakiem, pokrytym teraz to czarnemi, to rudemi od ognia i od wody plamami. Nie słyszano jęków ani westchnień, ale zimna rozpacz malowała się w ich wzroku, pozbawionym życia.

Dotąd żaden wódz się nie ukazał, a przełękłe hufce traciły stopniami odwagę i ufność, położoną w toporze Sieciecha, mieczu syna Bolesława Śmiałego i roztropności Wszebor. Ale kiedy Mieczysław w zupełnej zbroi, tylko bez hełmu, ukazał się w gronie wybladłych i cierpiących towarzyszy, kiedy z nieostygłym zapalem wskazał na zamek i przysiągł, że nigdy nie odstąpi zamiaru, tysiąc głosów ozwało się w tłumnej wrzawie:

— Niech żyje książę Mieczysław! Niech żyje syn dzielnego zdobywcy Kijowa! — a twarze, przed chwilą posępne, pokryły się rumieńcem i oczy zmartwiałe nowym zabłysnęły ogniem.

— A więc za mną, bracia! — krzyknął młodzieniec, dobywając miecza.

Ale nadchodzący Wszebor i Sieciech wstrzymali go od tak nierozważnego kroku, przekładając poniesione znoje, zmniejszoną liczbę żołnierzy i potrzebne naprawy w zniszczonym obozie. Mieczysław, poznawszy prawdę tych uwag, zaczął wszystkich do pracy zagrzewać i za jego rozkazem setne ręce, rzuciwszy oręż, wzięły się do motyki dla wzniesienia nowych wałów i ustawienia nowych namiotów.

Tak usilnie pracowało całe wojsko, że po kilku dniach naprawiło szkody, sprawione napadem wrogów, i drugi obóz wznosił się nad ostatkami pierwszego. A wtenczas wróciły

utarczki, rozpoczęły się boje i anioł śmierci znów skrzydła nad bijącemi się braćmi roztoczył.

Nowa pomoc przybyła broniącym zamku, kiedy Jordan z Gozdawy po słabości, w której długo pasował się ze śmiercią, ozdrowiał i wystąpił na czele swoich hufców. Zbigniew, choć pragnął przywdziać zbroję i porzucić spokojne łóżę, nie czuł dosyć sił jeszcze do tego. A więc Mestwin i Jordan odpierali razem oblegających, wspartych nowemi z Ciechanowa zaciągami.

Trudno było przewidzieć, kogo uwieńczy zwycięstwo, gdyż obie strony odznaczały się równą odwagą, codziennie równie ponosiły straty. Ale Mieczysław nagradzał je świeżemi ludźmi, kiedy Mestwin, otoczony i zamknięty w małej przestrzeni, nie mógł nikąd zaciągnąć pomocy. Sztuką więc starał się liczbę zastępować. Krył biegłych łuczników między basztami i murami, ogromne kamienie z wysokich wież spychał dragami, poruszaniem od niewidzianych żołnierzy. Nieprzyjacielem, idąc do szturm, nikogo nie widzieli na przeciwnych murach, dopiero kiedy bliżej przystąpili, grad pocisków zlatywał na ich głowy, a daremno szukali oczyma zakrytych i czyhających na najmniejsze ich poruszenia wrogów. Lecz później za danym znakiem podnosiły się nagle zbrojne szeregi, z pod szarego kamienia błyszczący powstawał szyszak, z za ciemnej baszty wysuwały się bielejące pióra, puste dotąd wież szczyty jaśniały połyskiem stali, chorągwie rozwijały się w powietrzu i zdawało się z początku, że się martwe głazy w żyjących przemieniły rycerzy, których wydobyte miecze i wyciągnięte ramiona nie jeden zgon wrogom zapowiadały. Wtenczas zaczynała się zwyczajna walka, a po jej skończeniu cofały się hufce Mieczysława do obozu, załoga zaś Zbigniewa, rozstawiwszy się po murach, zasypiała, na pałaszach lub włóczniach oparta.

W tych tyle razy odnawiających się bitwach ubiegał się o świetne wawrzyny Krystyn z Mortoga, rycerz, przybyły do zamku na czele dość licznego hufcu podczas turnieju.

Dawno znany Zbigniewowi, towarzyszył mu w kilku wyprawach i, jak tylko posłyszał o oblężeniu księcia, przybiegł mu na pomoc z ponad brzegów Narwi. Teraz zaś walczył z największą odwagą, ale darmoby się po nim spodziewano roztropności Mestwina lub znajomości Jordana.

Nie pytał się, czy sprawiedliwą była sprawa, której służył, przestawał na tem, że w niej miecza dostać było można i męstwo swoje okazać. Ledwo wiedział, że idzie o Hannę z Ciechanowa i że Mieczysław zamek oblega. Wszystko mu jedno było przeciw temu lub temu walczyć, byleby walczyć przeciw komuś.

Zbigniew tymczasem znowu w młodzieńcze uzbroił się siły, uczuł dawną żądzę chwały i, powstawszy z łoża boleści, nową odrodzony mocą, pośpieszył bronić najdroższej istoty i wojnę zakończyć.

Ale nie szło mu po myśli, bo coraz liczniejsze szeregi zamek otaczały i codzień nieprzyjaciele rośli w potęgę, kiedy on w ciasnym obrębie, z malejącem wojskiem, wyteżał wszystkie środki i sztuki i męstwa na odparcie grożącej burzy, która, zaciemniając widnokrąg, z coraz większym rykiem doń się zbliżała. Ale serce Zbigniewa właśnie w takich okolicznościach nabierało nadludzkiej prawie siły. Umiał dostrzegać niedostrzeżone wrogów pomyłki, piękne nadzieje wskazywać towarzyszom i z słabą garstką stawiać się potężnym wojskom.

Pośród boju twarz jego jaśniała nadziejskim męstwem i zapalem. Niktby w niej wtenczas smutku lub tęsknoty nie dostrzegł. Lecz kiedy po ucieszeniu wojennej wrzawy znużeni spoczywali męże wśród jęków ranami pokrytych towarzyszy, bladeść grobowa na jego lica wracała i wzrok tracił ogień, ożywiający go pośród rzezi i mordów. Unikał ludzi, nawet Mestwina, oddalał się od żony, a kiedy prosiła o wykrzycie przyczyny smutków, odpowiadał na jej zapytania milczeniem rozpacz. Księżna sądziła, że takie postępowanie jest skutkiem zabiegów Mestwina, choć jej odkrył

nareszcie Zbigniew prawdziwe swoje położenie, dodając jednak, że się spodziewa wkrótce przybycia Ludwika ze Żmigroda, jednego z rycerzy, których miał po swoich zamkach.

Nie możemy tu opuścić okoliczności, która, ocalając zamek od niespodzianego napadu, zwlekała jego zdobycie, a ta była, że Mestwin tajemnymi środkami dowiadywał się często o zamiarach nieprzyjaciół i wykrywał je księciu.

ROZDZIAŁ XIX.

Podłość nikczemną widać z jego czoła.
Kłamstwem jego usta zieją
I w czyste serce i w duszę anioła
Piekielne trucizny leją.
Drżij, nieszczęśliwa, niema już sposobu!
Już sny przeminęły złote
I ten sam szatan, który zgłębił cnotę,
W piekło powiedzie ją z sobą.

Bezimienny.

Spełniały się poczęści groźby Mestwina. Nieszczęśliwa Hanna z Ciechanowa pędziła dni i nocy w srogich niepewnościach. Rzadko męża widziała, oddalona od świata, daremno chcąc zrzucić ciężar, gnębiący skolatane serce; najpiękniejsza niegdyś Mazowska dziewczica straciła stopniami niezrównane wdzięki. Oko, któreby niegdyś mogło w nieśmiertelnego anioła natchnąć ziemskie myśli, straciło dawną żywość w potoku łez, codziennie wylewanych. Lica, gdzie kwitły róże, pokryły się bladością, a usta tak miłe, tak ponętne, zwiędły od westchnień, wydartych z śnieżnego łona, radością kiedyś poruszonego, a teraz srogiemi trapiącego tęsknotami. Uleciały marzenia młodości, znikły przyszłego szczęścia nadzieje wśród dzikich okrzyków walczących współobywateli i zamachów zbrodni.

Zbigniew, nie odstępujący żony z początku, teraz od niej uciekał, w samotnej zamykał się komnacie, a Hanna sądziła, że jego serce mniej żywiej już bije do ukochanej istoty. Nie, miłość równa zawsze, może nawet podwajana przeszkó-

dami, napelniała duszę Zbigniewa, ale, lękając się wyrzutów żony, unikał z nią rozmowy.

Zresztą pamięć na ojca, na troski, sprawione jemu, na dumnych wrogów, których nie mógł pokonać, na ubóstwianą chwałę, której tak wielkie zagrażało niebezpieczeństwo, zaturwała inne księcia uczucia, a kiedy Izy wylewała w drugiej stronie zamku ulubiona jego, on, siedząc przy stole, wściekle ścisnął pałasz i w tajonej rozpaczey noce całe przepędzał. Czasem odzywał się głos w duszy, przepowiadający zwycięstwa i sławę; przez chwilę orzeźwiała go to przecucie, jak powiew wiatru, co spiekle lica wędrownika pustyni ochładza, lecz wkrótce potem wracała smętność i czarne myśli nieprzerwanym cisięły się tłumem.

Katarzyna wszelkiemi sposobami starała się panią pocieszać i oddalać od jej umysłu ciemne obrazy. Nieraz słodkim głosem dumki jej śpiewała, nieraz skracała długie wieczory opowiadaniem powieści i dawnych podań; unikając smutnych i nieszczęśliwych wypadków, wybierała wesołe zdarzenia, uciechy dwojga kochanków, malowała w prostych i niewymuszonych wyrazach tańce i skoki włościan, miłe łąki, okryte igrającą młodzieżą, i ciche chatki, gdzie szczęście przebywa. Wdzięczna Hanna dziękowała powiernicze za jej czułość, ale Izy córki Wszebora obficie płynęły, kiedy porównywała obrazy, wystawiane przez Katarzynę, z ciemnymi murami, które ją otaczały. Nareszcie Katarzyna ośmieliła się raz pani zapytać o przyczynę smutku; księżna odpowiedziała westchnieniem.

— Bo — rzekła Katarzyna — gdybym mogła się domyśleć, czego pragniesz, natychmiastbym ci to przyniosła.

Uśmiech mimowolny okraślił usta, odwykłe od niego.

— Dobra Katarzyno, nie pragnę niczego, oprócz... —
i tu zamilkła.

— Powiedz, dokończ, droga moja pani! Wszystko dla ciebie uczynię, wystaram się wszystkiego, może potrafię twoim życzeniom zadosyć uczynić, jeśli nie sama, to może przez kogo innego

— Przez kogóż, dobra dziewczyno? któż w tym zamku myśli o Hannie? kto rozumie jej lzy i boleści? kto się troszczy o słabiejące zdrowie, o niknącą piękność, o strapione serce, któremu nieliczne bicia pozostają? Gdzież znajdziesz pomoc dla mnie? Czy myślisz, że wzruszysz tych zdziczałych wojowników piersi, twardsze od żelaza, je pokrywającego? Zostaw mnie, zostaw i dozwól przynajmniej srogą opłakiwać dole!

— Tak mówisz, pani, jakgdyby ci już żadnej nie pozostało nadziei, jakgdyby szlachetny nasz książę już nie miał miecza ku twojej obronie.

— Ach! Zbigniew, Zbigniew — zawołała Hanna — on mi kiedyś ziemię w niebo zamieniał, ale wcisnął się wąż do raju i raj w piekło się obrócił.

— Któż jest tym wężem? — zapytała córka Gierdy — wskaż go mężowi, pani, a on w proch go zetrze i śladu potwora nie zostanie na ziemi!

— Gdybym to mogła uczynić — krzyknęła księżna — jeszczebym znalazła uciechy w tem życiu, jeszczebym odzyskała spokojność! Ale nie, czegoż mam się łudzić próżną nadzieją? Grób mój już stoi otworem i codziennie zbliżam się do niego.

— Nie rozdieraj mi serca, księżno i pani moja! Porzuć tę ciemną mowę, te niezrozumiane wyrazy, odkryj tajemnicę, a ręczę, że potrafię przywrócić ci szczęście! — i padła Katarzyna do nóg Hanny z Ciechanowa i ścisnęła jej kolana, łzami oblewając podaną sobie rękę.

— Katarzyno — rzekła po chwili księżna — święta przysięga moje usta zamyka, ale mogę ci wyjaśnić poczęści przyczynę moich boleści. Widzę zadumanego ciągle Zbigniewa, poznaję w jego wzroku, tak żywym dawniej, smutek jakiś; rzadko przemawia do mnie, a wtenczas głos jego cichy i poruszenie dziwne; rzadko bawi przy mnie, z moich objąć się wyrывa — nie, on mnie już nie kocha!

— Mylisz się pani, mylisz — przerwała Katarzyna —

książę oddany tobie, ale wojna, straty, niebezpieczeństwa trapią jego umysł.

— Dla kogóż ta wojna, te straty, te niebezpieczeństwa? — rzekła księżna — dla kogóż codzień naraża się śmierci? dla kogóż Polska rozerwana srogimi bojami? Dla mnie, dla mnie to mój ojciec walczy z moim mężem, dla mnie szlachetny Mieczysław wystawia się zgubnym ciosom, myśląc, że odbierze lat młodych oblubienicę, dla mnie nieszczęścia zgromadziły się nad królewską rodziną, z mojej przychyny najdzielniejszy w Polsce bohater, książę Zbigniew, dobył szabli na brata! I jakżeż teraz nie mam być smutną? Czy chcesz, bym z uśmiechem radości patrzała na tylu ludzi ginących? bym z dawną wesołością słyszała jęki i krzyki Polaków? Już mi wszystko obrzydło, samo przyrodzenie czarnym kirem okryte przed moimi oczyma; znieść nie mogę promieni słońca, kiedy myślę, że ich część się nurza w krwi moich braci.

— Powiedz mi, pani i księżno moja — rzekła Katarzyna — jaką ulgę przynieść ci mogę, a zgadzam się na najokropniejszą karę, jeśli ci jej nie przyniosę!

— Niema ratunku, niema ulgi dla mnie! Już ziemia przestała mnie łudzić, od niejakiegoś czasu wzgardziłam śmiertelnemi myślami, a niebo, cel życzeń i modlitw, niezadługo otworzy się przede mną.

— Może sądzisz — rzekła córka Gierdy — że ja tylko tobie poświęcona w tych miejscach, a przecież znam człowieka, któryby wszystko oddał dla ciebie i na twój rozkaz na śmierć samą się odważył.

Wzdrygnęła się księżna, wspomniawszy oświadczenia Mestwina, ale po chwili zapytała się z uśmiechem niedowiarstwa:

— Któż to jest?

— Ulrych, giermek rycerza Mestwina z Wilderthalu — cichym głosem wyrzekła dziewczyna.

— Mestwin! — krzyknęła Hanna, powstając z krzesła

i surowo spoglądając na Katarzynę. — Kto cię z nim zapoznał? gdzieś go widziała? co ci mówił? Potargaj z nim związki, pożegnaj go na zawsze, jeśli przy mnie chcesz zostać! Uciekaj, uciekaj od niego, jeśli nie chcesz w zmar-twieniu i boleściach zstąpić za wcześnie do grobu! Już i do niej — dodała — wkradł się zbrodniarz, już tu sieci zasta-wił! Zgubionam — otoczył mnie wrogami! Katarzyno, kie-dyż widziałas się z Mestwinem?

— Pani — odparła, spuszczając oczy, Katarzyna — nie zrozumiałaś mnie, nie widziałam się z Mestwinem, ale z jego giermkim Ulrychem.

— To wszystko jedno. Kto służy u zbrodniarza, sam jest zbrodniarzem.

— Nie, pani moja, on nie jest zbrodniarzem, on cię szanuje i uwielbia, nie cierpi swojego pana, codzień łzy wylewa nad jego okrucieństwem; wierz mi, Hanno z Ciechanowa, Ulrych do ostatniej kropli gotów wylać krew za ciebie!

Tu dopiero opowiedziała Katarzyna, jak, odkrywszy zmar-twienie Ulrycha, w częstych z nim rozmowach przekonała się, że przywiązany jest do księżny i że swego pana nie-nawidzi. Dodała następnie, że obluda mieścić się nie może pod tak szlachetnymi rysami, że z takim zapalem ofiaro-wał swoje usługi młodzieniec, że widoczną była szczerść jego mowy, наконец, że ręczy za jego przebiegłość i od-wagę. Z początku z obrzydzeniem słuchała Hanna z Ciechanowa opisu osoby, tak blisko dotyczącej Mestwina, ale kiedy dowiedziawszy się o nieszczęściach Ulrycha, wysta-wiła go sobie w kwiecie młodości wyrwanym matce i ojczy-znie, pozbawionym nadziei, dręczonym od srogiego ciem-życiela, porównała los własny z jego losem. Uczuła litość w sercu dla opuszczonej sieroty i przestała się dziwić, że nieszczęśliwy nieszczęśliwej swe usługi poświęca, że mło-dzieniec, rzucony w odmęt burzliwego świata, pragnie ło-żyć ostatki pędzonego wśród utrapień i niesmaków życia na wykonanie rozkazów równie jak on skolatanej przez

nieszczęścia istoty, której zagrażał ten sam, co jemu nieprzyjaciół.

— Dziękuję ci, Katarzyno — rzekła — za twoją troskliwość, za twoje starania. Zbłądziłam, zowiąc go zbrodniarzem, ale cóż on może mi pomódz?

— Oznajmij, księżno i pani moja, co chcesz, co żądasz, a wtenczas powiem, w czym Ulrych może ci pomódz.

— Ach! widzę — przerwała Hanna — że ufasz w niego, jakgdyby w najlepszego rycerza, najroztropniejszego człowieka. Zapewne serce żywiej ci bije na jego wspomnienie?

— Nie, pani — odparła Katarzyna, kładąc rękę na piersi. — Nie powoduje mną miłość w tej okoliczności, serce moje oddane komu innemu, oddane giermkowi, a może już i rycerzowi teraz. Nie zapomniałaś zapewne o Henryku z Kaniowa. Nieraz on mi opowiadał, że często odwiedzał zamek ciechanowski z panem swoim, księciem Mieczysławem. Ale teraz nie o tem mowa, dodała, płonąć się od wstydu — nie mam teraz osobistych widoków na uwadze, jedynym moim celem jest twoje bezpieczeństwo i szczęście.

Przycisnęła księżna wierną cierpień towarzyszkę.

— Chciałabym sama się zapewnić o jego uczciwości. Czy możesz go tu przyprowadzić?

— Stawi się przed tobą za pierwszym rozkazem, a za kilka słów, usłyszanych od ciebie, życie ci poświęci. Lecz upraszam cię, pani, odkryj mi swoje zamiary!

Dumała Hanna przez chwilę. Powstawszy nareszcie, zwróciła oczy ku obrazowi Matki Boskiej.

— Natchnij mnie siłą i stałością — rzekła — bo uczynię z siebie ofiarę dla niego! Katarzyno, trudną rzecz trzeba wykonać, trzeba mi się widzieć z księciem Mieczysławem.

— Z księciem Mieczysławem? — powtórzyła zdziwiona dziewczyna. — Jakże to skutecznić? Jakże się przedrzeć przez mury zbrojnych? A twój mąż, pani, cóż na to powie?

— Właśnie dla niego, właśnie dla ocalenia mu zmar-twień i niebezpieczeństw odważyć się na tak niepewne przed-

siewzięcie. Może mi hańba lub zguba nagrodą będą, ale wypełnię świętą powinność i względem męża i względem ojca. Wyrwę ich z pośrodku mordów i klęsk, trapiących ojczyznę, oszczędzę ziomkom krwi, należnej krajowi i, jeśli własnem szczęściem dała powód do nieszczęść, teraz może swoim nieszczęściem błogie dni innym przywrócę. Znam dobrze szlachetnego Mieczysława. Jak tylko się dowie, że jego oblubienica własnego serca życzeniem komu innemu rękę oddała, rzuci oręż, krwią bratnią zbryzgany. Tak, wykonam obowiązek i Polki i żony i córki. Jeśli mi nic nie pomożesz, jeśli się z Mieczysławem nie mam widzieć, możesz porzucić Hannę z Ciechanowa, której niedługie dni na tej ziemi zostały.

— Ja cię nigdy nie opuszczę, pani moja — ozwała się dziewczyna. — Dopóki żyć będę, dopóty zostanę przy tobie. Dzisiaj jeszcze Ulrycha do ciebie przywiodę.

Cały zamek we śnie spoczywał, kiedy Katarzyna wprowadziła giermka rycerza Wilderthalu do komnaty księżnej Hanny z Ciechanowa. Przypomniawszy sobie młodzieniec wszystkie pana nauki i uzbroił serce w twardą chytryści powłokę, a jednak stanął pomięszany przed niewiastą, której miał zagubę przyśpieszyć. Niedługo wprawdzie trwał ten stan w jego duszy, a przyklękawszy, oświadczył w wyrazach najgłębszego uszanowania gotowość do zupełnego się jej poświęcenia.

Uprzejmie przyjęła to oświadczenie księżna.

— Zapewniam cię — rzekła — o naszej łasce i wdzięczności, a jeśli nie będę mogła ci jej dowodami stwierdzić, bądź jednak pewny, że Hanna z Ciechanowa zawsze o tobie pamiętać będzie.

— Pamięć twoja, księżno — odparł Ulrych, odwracając oczy od Hanny, gdyż obawiał się wrażenia, sprawionego widokiem oblicza precudnej urody — najmilszą i najpiękniejszą będzie mi nagrodą. Odwróć zamachy niegodziwych od świętej twojej głowy — dodał z zapalem — ocalę bó-

stwo, które zstąpiło w poziome śmiertelnych mieszkania, a jeśli, nie dokonawszy przedsięwzięcia, zginę w najsroższych mękach, twój obraz i przypomnienie obecnej chwili osłodzą boleści i żelazo okrutnika zamienią na kwitnącą różę. Przebac, pani, że śmiem tak mówić, ale przepełnione serce nie zna granic i wylewa się przed tobą, ufne, że mu za złe nie weźmiesz tego, co czuje i czuć nigdy nie zaprzestanie!

Może, uniesiony widokiem Hanny, szczerze mówił Ulrych w tej chwili, bo oko jego błyszczało ogniem uniesienia i rumieniec prawdy krasił mu lica. Może też dla lepszego pokrycia zamiarów, których był narzędziem, wmawiał w siebie zupełnie różne od swojego położenie i przez chwilę mocą żywej wyobraźni przenosił się do innych okoliczności, bo trudno wierzyć, żeby ośmnastoletnie serce już tak wygórowało w chytrłości, że mogło jej nadać tak uderzający pozór nieskażonej prawdy. Bądź co bądź, Hanna z Ciechanowa zupełnie mu uwierzyła i odtąd już jej los stał się nieochybnym. Wytlómaczywszy giermkowi smutku przyczynę, jak to już Katarzynie uczyniła, oświadczyła, że koniecznie wypada się z Mieczysławem widzieć.

— Pani — zawołał Ulrych, przygotowany od Mestwina na wszystkie odpowiedzi — nie możesz tego w tym zamku skutecznić, boby największe niebezpieczeństwo zagrażało synowi Bolesława. Niedaleko stąd przy brzegu Wisły jest kaplica, rozpadła w gruzy, cierniami pokryte; tam bez żadnej obawy możesz z księciem się rozmówić.

— Ale jakimże sposobem wyjść z zamku? — rzekła księżna.

— To już do mnie będzie należeć — odparł Ulrych. — Z twoich komnat, księżno i pani moja, jest wyjście, jeśli się nie mylę, na brzegi Wisły; żołnierz zwyczajnie jeden go tylko strzeże, łatwo strażnika przekupić. Zresztą w nocy, którą naznaczysz na widzenie się z Mieczysławem, bo tego w dzień w żaden sposób uczynić nie podobna, śpiącemu

panu pierścieni z palca zdejmę, a za ukazaniem tego znaku puści cię żołnierz.

— I ja tam dopiero czekać będę na Mieczysława? — rzekła księżna. — To być nie może. Kogóż poszlę do obozu? kto go uwiadomi?

— Twój sługa — rzekł Ulrych, przyklękając nanowo.

— Nie, młodzieńcze, nie narażaj się dla mnie na gniew pana i ciosy wrogów!

— Alboż to pierwszy raz Mestwin posyła mnie do obozu, księżno i pani moja? Ma on tam tajemnicze związki z jednym wodzem; powtarzam ci, pani, że wszystko ułatwie, naznacz tylko dzień i godzinę!

Pomyślała księżna i rzekła po chwili:

— Pojutrze, o dwunastej w nocy — a potem, obróciwszy się do obrazu Matki Boskiej, złożyła ręce i cichą modlitwę królowej niebios zasiała.

Ulrych spojrzał raz jeszcze na Hannę z Ciechanowa, a groźne wyrzuty rozdarły mu sumienie; wzrok księżny, przyćmiony łzami, wzruszył jego serce i przez chwilę stał niepewny, czy, rzuciwszy się do stóp anioła wyzna szkaradną zdradę, czy też dalej pójdzie wskazaną przez Mestwina drogą. Przyzwyczajenie do zbrodni przemogło nareszcie i, oddawszy głęboki pokłon, zwolna odchodził. Jeszcze przy drzwiach komnaty srogą wytrzymał walkę z pasującą się w duszy cnotą, ale mylne wyobrażenie o wierności, winnej panu, któremu służył od dzieciństwa, zwyciężyło. Postąpił krokiem dalej — i już ostatnia nadzieja zginęła dla córki Wszebora.

ROZDZIAŁ XX.

Dlaczego nie idziesz za mną? Rozumiesz, że ta godzina dwakroć uderzy? Zapomniałeś o twojej obietnicy?

Guy manning, Walter Skot.

Spokojnie przez całą noc spał Mestwin z Wilderthalu. Ocknąwszy się nad rankiem, ujrzał przy łożu stojącego Ulrycha z wyrazem zadowolenia na twarzy; podniósł się rycerz i zapytał giermka:

— A cóż, jakże się udało?

— Przedziwnie, jak najlepiej — odparł młodzieniec.

— A więc dzień zemsty się zbliża! — zawołał Mestwin, nie mogąc pomiarkować nagłego uniesienia.

— Jutro będziesz mógł jej los rozstrzygnąć — przerwał Ulrych i opowiedział panu rozmowę przeszłego wieczora.

— Ulrychu — rzekł rycerz, odzyskawszy zwyczajną zimność — równieś odważny, jak przezorny; nie mogłeś mi większej wyświadczyć przysługi.

Słuchał tej pochwały z obojętnością młodzieniec, a potem rzucił się do nog panu.

— Mestwinie — zawołał — daruj mej słabości, ale wyrzuca mi sumienie, że oszukał tak cnotliwą, tak piękną niewiastę! Choć przyzwyczajony jestem do obłudy, wczorajsza zdrada tyle mnie kosztowała, że gdyby nie spełnienie twych życzeń było jej celem, dla wszystkich rozkoszy i bogactw świata niktby mnie do niej nie przymusił. Przyszło

mi nieszczęśliwą, opuszczoną Hannę pod barwą szczerości naprowadzić na brzeg niezmierzonej otchłani, musiałem okazywać najpiękniejsze uczucia przed tem nadludzkim stworzeniem, musiałem napełniać jej serce chwilową radością, żeby potem wszystkiego ją pozbawić. Przebacz, drogi panie, jeśli cię błagam i zaklinam, żebyś jej śmierci nie zamierzał, byś nie niszczył najmilszych nadziei Zbigniewa, a zarazem i najwznioślejszego utworu Boga!

— Gdybym — rzekł posępnie Mestwin — nie sądził, że tylko chwilowe obłąkanie sprawiły na dziecinne sercu oczy, którym piękności odmówić nie można, jużby mój sztylet przeniósł się z tego stołu w środek twoich piersi. Milcz, giermku, lub wspominaj raczej o litości słabym dziewczynom i zniewieściałym mężom, ale nie temu, który jej nie zna i znać nigdy nie będzie!

Powstał Ulrych i kilka kroków w tył się cofnął. »Uczyłem, co mogłem, pomyślał, niech teraz Bóg obroni Hannę, a jeśli ją opuści, czegożbym miał o nią się troszczyć?« Takim rozumowaniem przytłumił ożywiające się jeszcze raz sumienie i z wypogodzonym obliczem zapytał pana o dalsze rozkazy.

Nic nie odpowiedział Mestwin, ale wyskoczył z łoża i zaczął się ubierać. Znać było na jego twarzy zamyślenie z niepewnością połączone; lecz ta wkrótce znikła i, spinając ostatnią sprzączkę u pancerza:

— Ulrychu — rzekł — zapominam o niegodnej słabości, która cię przez chwilę tak daleko od obowiązków i wierności, mi należnej, odwiodła. Jeszcześ pracy nie skończył, zostają niebezpieczne trudy, które, nie wątpię, że pomyślnie uskutecznisz. A naprzód dzisiaj w nocy wypada ci się udać do Skarbimira. Nieraz odbywałeś tę podróż, masz mój pierścień na przekonanie skąpca, że ja cię przysłałem, bo, choć tyle razy już cię widział, mógłby bez tego dowodu obawiać się jakiej zdrady lub podstępu. A nareszcie posłuży ci ten pierścień dla żołnierza, stojącego na straży przy drzwiach,

któremi Hanna na własną wyjdzie zagubę. Starego skąpca niechybnie musisz przyprowadzić do mnie; uważaj dobrze, do mnie, ale nie do tej komnaty. Znasz podziemne lochy, znasz salę grobową, której sam Zbigniew, pan tego zamku, nie zna. Tam przywiedziesz podskarbnika, bo tajemnie trzeba całą rzecz odbyć, a potem chcę się nacieszyć bojaźnią Skarbimira.

— Nie widzę tu nic trudnego — odparł młodzieniec. — Wejdę do mieszkania Skarbimira, jakem to tyle razy uczynił, zagnę go do pójścia za mną. Poruszę kamień między trzema krzakami i...

— Ciszej, ciszej, chłopcze — rzekł Mestwin, kładąc mu rękę na ustach — dalszego opisu nie potrzebuję. Jak tylko się ściemni, udaj się w drogę, a dwiema godzinami później przyprowadź Skarbimira do sali grobowej! Nie zapomnij chustką mu oczy zasłonić!

— Nie zapomnę, rycerzu — rzekł Ulrych — ale chciałbym wiedzieć, jak później mam sobie postąpić?

— W dzień naznaczony o dwunastej stawisz się przed Hanną i powiesz, żeś wszystko ułatwił, bo uwiadomienie Mieczysława ja biorę na siebie. Zakazuję ci pierwaj się widzieć z tą niewiastą, której ciało wkrótce ziemia przysypie — dodał rycerz, obawiając się wrażenia, któreby mogła piękność księżny na umyśle giermka uczynić. — Dalsze postępowanie nie ma już żadnej dla ciebie trudności. Dasz ten worek żołnierzowi, a gdyby to nic nie pomogło, pokażesz ten pierścień, a potem doniesiesz mi, że Hanna z Ciechanowa wyszła do kaplicy.

— Z której nie wróci — przerwał Ulrych.

— Owszem, wróci — odparł srogo Mestwin — ale nie do kochającego męża, wróci do śmiertelnego wroga. O nic więcej się nie pytaj, a teraz podaj mi szyszak!

Wdział hełm rycerz i wyszedł do walki. Zwyczajne boje zakończyły się dnia tego bez żadnej znakomitej z obu stron korzyści. Zbigniew zamknął się w swojej komnacie, Mestwin

z Jordanem i Krystynem z Mortoga zasiadł do stołu, a tymczasem słońce ustąpiło panowania nad czystem niebem królowi nocy, który, napół zanurzony w błękicie, wznosił się powoli na sklepienia, migające rzuconemi przemożną ręką Stwórcy światami.

Otworzyły się drzwi w północnej części murów zamkowych i wyszedł niemi człowiek wysmukłej postawy i ciemnego ubioru. Skórzany szyszak, na który daremnie padały księżycy promienie, krył mu głowę. Szeroki kaftan czarny, nie wydający pana swoim blaskiem, piersi obwijał, dwa sztylety tkwiły z obu stron rzemiennego pasa, na którym wisiał krótki pałasz, a pierścień Mestwina błyszczał na prawicy, rękawicą nie zakrytej. Szerokim krokiem wyleciał w pole młodzieniec, oddalając się od brzegów szumiącej Wisły, i coraz podwajał szybkości biegu, jakgdyby chciał gwałtownością poruszeń ciała przytłumić wzruszenie duszy. Ale uznał wkrótce, że darmo pragnął przygłuszyć wyrzuty serca i wyrugować z pamięci obraz kobiety nieszczęśliwej i ufnej w człowieka, mającego ją zgubić, przez udane poświęcenie i najszkaradniejszą obłudę. Zwolnił więc kroku i obtarł spocone czoło, bo upał dzienny, choć nocną rosą zmniejszony, jeszcze czuć się dawał. Spojrzał w górę i zmarszczył brwi na widok tylu świecących na niebie wrogów, mogących w każdej chwili go wydać. Ale zaraz potem uśmiech, dowodzący zaufanie w własne siły i zręczność, rozjaśnił twarz nieco posępną, która po jego zniknięciu znów przybrała pozór powagi i smętności, nie zgadzającej się ani z wiekiem, ani ze zwykłym Ulrycha usposobieniem.

Darmo starał się czarne myśli oddalić, wyjmując sztylety jeden po drugim, poprawiając osuwającą się szablę i przypatrując pięknemu i uroczystemu widokowi nocy letniej, strojnej we wszystkie przyrodzenia wdzięki. Opuścił więc głowę na piersi i, oddawszy się całkiem smętności, przechodził powoli szerokie błonie, dzielące go od bielejących zdaleka namiotów, do których zdążał.

Pole okryte było rzadkimi krzewami jałowcu i poziomą ieszczyną, świetniejącą kroplami upragnionej przez cały dzień rosy. Nad temi zaroślami wznosiły się gdzieś niedaleko brzozy z opadłemi na dół gałęziami lub wysokie sosny, rozrastające się dumnie nad niskimi krzewinami, które się u ich stóp czołgały. Nie dość jednak licznemi były te drzewa, żeby mógł Ulrych w przypadku potrzebną w ich cieniu znaleźć ochronę, gdyż zewsząd przeciskające się między ich liście promienie księżyca pole naokół oświecały, jeśli nie równym dniu jasnemu blaskiem, przynajmniej dostatecznym na rozpoznanie człowieka i sprowadzenie największych nieszczęść na młodego giermka, który już nieraz odwiedzał nieprzyjacielski obóz i Skarbimira z Gulczewa. Ale na to zwykle burzliwe i ciemne nocy obierał, a teraz w niczem nie miał nadziei, oprócz w mieczu i niezgiętej odwadze.

Już mógł każdy namiot odróżnić, rozpoznać przechadzających się w pewnej odległości od siebie strażników, rozemniać rozmaite godła, zawieszone nad namiotami rycerzy, i widzieć błyszczące stosy broni, złożonej pod płóciennemi opony. Zagrożające niebezpieczeństwo zmieniło kierunek jego myśli, a choć w tak przykrem był położeniu, uczył ulgę w duszy i wolne od ciężaru serce.

Schyliwszy się, zaczął się czołgać od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, od kamienia do kamienia, odpoczywając często w tak męczącej drodze. Nareszcie zbliżył się znacznie do wałów i czekał, aż żołnierz, strzegący tej ich części, kilka kroków w bok odejdzie. A właśnie, kiedy odwrócił się strażnik i, nucąc pieśń wojenną, odstąpił od miejsca przeciwległego Ulrychowi, stanął w mgnieniu oka giermek na dość wysokim kamieniu i, natężając wszystkie siły, skoczył z niego tak zręcznie i tak lekko, że nie usłyszał żołnierz, jak upadł w rów, wykopany za okopem, na którym się strażnik przechadzał. W jego głębi, usłanej w tem miejscu szczęśliwym trafem murawą, czekał młodzieniec, aż znów nie odejdzie żołnierz, który był wrócił na stanowisko,

a kiedy kroki jego oddalające się usłyszał, znów się rzucił z rozciągnionemi ramionami pośród namiotów, zaraz obok wystawionych. Strażnik widział coś przy świetle księżyca i położył rękę nad oczyma, żeby lepiej ten przedmiot rozemnać, ale, kiedy jego palce oparły się o czoło, już wszystko znikło. Słyszał wprawdzie niedaleko szelest, ale podobniejszym on był do sprawionego przesuwaniem się jaszczurki lub węża, niż krokami człowieka. A przecież były to kroki uchodzącego młodzieńca.

Lotem błyskawicy biegł Ulrych pośród uśpionego obozu. Nie zatrzymywały go w drodze ciała żołnierzy, śpiących na ziemi; przeskakiwał je z nadzwyczajną zręcznością, a kiedy który oczy otworzył, rzucał się giermek w mgnieniu oka na ziemię i twarz odwracając od rozespanego nieprzyjaciela, oszukiwał go, rozciągając się lub też sen głęboki udając, a żołnierz, biorąc go za towarzysza, wracał po krótkim czasie do stanu, z którego wyrwał go odgłos kroków Ulrycha, który, porwawszy się, z podwojoną szybkością leciał do pana Gulczewa.

Przybył nareszcie do niewielkiego, w czworokąt wystawionego z drzewa budynku, którego drzwi dębowe podwójnym opatrzone były zamkiem. Zapukał Ulrych, a głos z wnętrza zapytał się natychmiast:

— Czy to ty, Bardanie?

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec, pragnący wejść jak najprędzej, a zaraz ogromny klucz zakręcił się w każdym zamku i drzwi się otwały. Zdyszany Ulrych wszedł natychmiast, przymykając wejście za sobą i ujrzał się w małym, brudnym pokoju, napełnionym ogromnemi skrzyniami, których podniesione wierzchy mnóstwo pieniędzy i kosztownych sprzętów ukazywały. Lampa gliniana oświecała mdłym światłem zgromadzone bogactwa, pomiędzy któremi stał Skarbimir z Gulczewa bez zbroi, w szerokiej, czarnej sukni, podartym pasem podwiązanej. Zbladł na widok zbrojnego człowieka i ledwo stłumionym mógł wykrzyknąć głosem:

— Bardanie! zdrada! Bardanie! żołnierze!

— Czy chcesz całe wojsko przebudzić, nierozważny starce? — ozwał się młodzieniec, odkrywając twarz z pod przyłbicy. — Czy sądzisz, że po twoje skarby przychodzę? Wpatrzże się w moje rysy, panie Gulczewa!

Ale przerażony Skarbimir, nie zważając na te słowa, śpiesznie zamykał skrzynie i nieustannie wołał:

— Bardanie, zbójcy! Bardanie, do mnie!

— Milcz! — surowo odezwał się giermek. — Jestem Ulrych, przybywam od Mestwina z Wilderthalu.

Dopiero wtenczas poznał Skarbimir nieraz już widzianego posłańca i w cichości poszedł drzwi zaryglować, a potem:

— Jutro — rzekł — uradzili wodzowie, żeby napaść ze strony...

— Tu nie o jutrzejszy dzień idzie, ale o dzisiejszy — przerwał Ulrych.

— Czegóż więc chcesz? — z wróconą bojaźnią zapytał Skarbimir.

— Byś przywdział zbroję i szedł za mną! — odparł giermek.

— Ja, za tobą? o tej godzinie, w nocy? ja z tobą mam iść? gdzie? Po co? Czyś zmysły utracił? Do kogo?

— Do Mestwina z Wilderthalu — odrzekł Ulrych, pokazując błyszczący pierścień, na którego widok zadrżał Skarbimir i mało co na ziemię nie upadł.

— Nie pójde, nie, twój pan oszalał.

— Milcz i chodź za mną, bo podobne słowa srogo mógłbyś przypłacić, gdyby mnie chęć wzięła panu je mojemu powtórzyć! Mestwin potrzebuje ciebie, nie zwlekaj więc, panie podskarbi, a ja ci ręczę, że niema tu podstępu, o czym już ten pierścień powinien cię przekonać. Powtarzam więc, przywdziej zbroję i chodź za mną!

Usiadł starzec na drewnianym stołku i głowę skrył w obie ręce; przerażenie opanowało słaby umysł i kilka

chwil w pewnym stanie odurzenia zostawał. Nareszcie smutna konieczność stanęła mu przed oczyma. Dla ocalenia i sławy i życia, musiał wykonać rozkazy Niemca. Dopóki szło o zdradzanie ziomków dla dogodzenia własnej złości, podejmował się wszystkich Mestwina poleceń, ale kiedy przyszło narażać się samemu z uzbrojonym posłańcem i udać się do wroga, czekającego nań może z dobytym żelazem, gorzko zaczął oplakiwać nierozmyślność swoją i przeszłe zbrodnie, które teraz tak wielkie nad nim prawo Mestwinowi nadawały.

Byłby może długo jeszcze dumał wśród steku trapiących myśli i srogich wyrzutów sumienia, gdyby głos Ulrycha nie wyrwał go z zamyślenia; przekonał go wtedy, że nic nie mógł przedsięwziąć na odwrócenie niebezpieczeństwa. Bo choć łatwem mu było w tej chwili krzykami obóz przebudzić, pewnym był, że go później czy wcześniej osiągnięcie zemsta rycerza z Wilderthalu, a potem widział przed sobą pałasz i sztylety, mogące go o śmierć przyprowadzić, nimby żołnierze zdołali wybić drzwi do jego mieszkania. Powstawszy więc zniżył się potężny pan Gulczewa, mnogich władca skarbów, do próśb i błagań, zaklinając giermka, by zlitował się nad wiekiem, pewną mu obiecując nagrodę.

Do żywego obruszony taką podłością, zimno odpowiedział Ulrych, że nic mu nie zagrażało oprócz gniewu Mestwina, jeśli się spóźni lub nie zechce usłuchać jego woli. Wtenczas chytremu Skarbimirowi nowa myśl przyszła do głowy.

— Jakże wyjdziem z obozu? — zapytał giermka.

— Prawda, że trudno, byś tak wyszedł, jak ja się wkra-
dłem do niego — odparł młodzieniec — ale zawołaj Bardana, któremu we wszystkim się zwierzasz i każ mu oddać z waulów żołnierza, ich strzegącego z tej strouy, pod jakim bądź pozorem.

Znikła ostatnia trudność, a Skarbimir, zmuszony koniecznością, przypasał szablę drżącą ręką, pancerzem trwożliwe

okrył piersi i czapkę, podbitą żelazem, włożył na skronie, z których zimny pot się sączył.

Wtem zapukał ktoś do drzwi; za ich otwarciem wszedł Bardan, który, natychmiast poznawszy dobrze znanego Ulrycha, przywitał się z nim i chciał długą mowę zacząć. Lecz giermek milczenie mu nakazał i w kilku słowach wytłómaczył, czego żądał od niego.

— Ale pierwej, nim odejdiesz do wałów — rzekł Ulrych — daj mi puchar wina na pokrzepienie sił, trochę drogą zwatłonych.

Przyniósł Bardan rostruchan pełny miodu. »Gdyż — mówił — nie stać mojego pana na tak drogi napój, jakim jest wino«.

Z uśmiechem pogardy wychylał młodzieniec podaną czarę, kiedy tymczasem Bardan śpiesznie odchodził do okopów. Potem obejrzał sztylety, kilka razy pałasz napół wyjął i schował do pochwy, pomógł Skarbimirowi do zapięcia płaszcza cynową klamrą i, pozwoliwszy skąpcowi dość długiego czasu na zamknięcie wszystkich skrzyń i zaryglowanie drzwi dębowych, szybko z nim wyruszył. Lecz wkrótce postrzegł, że towarzysz został z tyłu i musiał, wróciwszy nazad, wspierać jego drżące ciało i niepewne kroki. Ostrożnie mijał leżących żołnierzy i zaklinał starca, by, wstrzymując westchnienie i ciężki oddech, pośpieszał. Ale kiedy to nic nie pomogło, zaczął mu grozić gniewem niecierpliwego Mestwina, a na to wspomnienie tak się Skarbimir przeraził, że zupełnie ostatek mocy utracił na blizkim kamieniu. Wtenczas gniewny Ulrych podniósł go silnem ramieniem i, napół dźwigając, napół stawiając na ziemi, doprowadził do wału, na którym stał już oddawna Bardan. Natychmiast sługa oparł szeroką deskę na obu brzegach rowu, a po niej przeszedł Skarbimir. Giermek, gardząc podporą, przeskoczył fosę, stanął na okopie, a stamtąd podał rękę starcowi, który po wielu usiłowaniach wszedł nareszcie i z równą trudnością zeszedł z drugiej strony.

Wtenczas uradowany młodzieniec zachęcił go kilkoma słowami i, pożegnawszy Bardana, któremu pan zalecił, żeby miał czujne oko na swoje mieszkanie i skrzynię, zniknął wraz z towarzyszem wśród otaczających krzaków.

Prędzej zaczął iść Skarbimir, ale jego chód dalekim był jeszcze od szybkości, wymaganej po nim od Ulrycha.

— Czegóż Mestwin żąda ode mnie? — rzekł Skarbimir.

— Co żąda, to wypełnisz, mości podskarbi, bo inaczej nie na długoby ci się zdały skarby, które widziałem.

— Jeśli Boga się boisz, jeśli matkę kochasz — zawołał starzec, padając do nóg giermkowi — nic nie mów o tem panu, a za to ci dam...

— Ani ja, ani pan mój nie potrzebujemy twoich pieniędzy — przerwał młodzieniec. — Lepiejbyś kroku podwajał i nie uniżał się przed człowiekiem, który gardzi skarbami, a wkrótce nauczy się i ich posiadaczem pogardzać.

Powstał Skarbimir i szedł dalej. Ochłonawszy nieco z bojaźni, przywołał na pamięć znajome wybiegi i całą chytrą, którą wszystkich umiał oszukiwać oprócz jednego Mestwina i tak zręcznie zaczął zadawać pytania giermkowi, tak sztucznie go podchodził, że dowiedział się poczęści z ust Ulrycha, że szło teraz o Hannę z Ciechanowa. Niepodobna opisać radości, która nappełniła duszę podłego skąpca, kiedy się przekonał, że zamiary niemieckiego rycerza nie jemu, ale innej osobie nieszczęściem zagrażały.

Dodało mu to odkrycie nowej mocy, pokrzepiło słabnące nogi i wkrótce potem doszedł miejsca dość odległego jeszcze od zamku, gdzie zatrzymał się Ulrych i oświadczył, że ma rozkaz podskarbiemu oczy zawiązać. Na te słowa dreszcz przeszedł po kościach Skarbimira, ale musiał uleść młodzieńcowi, a wtenczas postąpił Ulrych kilka kroków dalej, prowadząc towarzysza za rękę, potem nawrócił, poszedł w bok i znów wstecz się cofnął, a nareszcie stanął między trzema krzakami jałowcu nadzwyczajnej wielkości, których iglaste gałęzie unosiły się nad szerokim i podługowatym kamieniem.

Natężając wszystkie siły, podniósł go Ulrych i na bok przewalił. Ziemi pod nim nie było, ale natomiast żelazna, na kilka stóp szeroka krata. Za pchnięciem znajomej sprężyny odsunęła się i ukazała schody, w głąb wiodące, których niewiele stopni dostrzedz było można wśród ciemności tej otchłani. Rozkazał młodzieniec Skarbimirowi ostrożnie po nich zstępować, dodając, że zaraz za nim pośpieszy. Rad nie rad musiał się odważyć na tak niebezpieczną drogę z zakrytymi oczyma pan Gulczewa.

Ulrych zakrzesał ognia, uderzając o krzemień stalowym sztyletem. Zapalił małą lampę, którą się opatrzył wychodząc z zamku, a wtenczas, słysząc głos Skarbimira, wołającego o pomoc, skoczył w otwartą przepaść. Przez chwilę oświeciły jeszcze promienie księżyca bladawą rękę, podnoszącą się z ciemności na zasunięcie kraty, a zaraz potem, zapewne za uderzeniem drugiej sprężyny, kamień, jakgdyby sam z siebie, nachylił się zwolna i upadł z łoskotem na żelazne pręty.

Znikło wszystko i znów tajemne wejście do zamku księcia Zbigniewa zamieniło się w puste miejsce, w którym trzy jałowce ocieniały kamień, mchem porosły.

ROZDZIAŁ XXI.

Jakże może tak ważne zamiary odwlekać?
Czyż aż do dnia sądnego będę tutaj czekać?

Zamek księcia Zbigniewa był wystawiony na piaszczystym brzegu Wisły, który w tem miejscu pokrywał twarde skały, rozległe przestrzenie, napełnione kamiennymi opoki, składającymi niewzruszoną ogromnego budynku podporę. Pod murami więc szerokie rozciągały się lochy, częścią przyrodzeniem, częścią ręką ludzi utworzone w odległych od teraźniejszego czasach, kiedy jeszcze światło chrześcijaństwa nie jaśniało w pogańskiej krainie. Później założyciel zamku, odkrywszy przestronne i ciemne lochy, umiał je sztucznie rozprzestrzenić, a właśnie podczas oblężenia służyły za skład rozmaitej broni i żywności.

Zbigniew, odwiedzając podziemne te miejsca, poznał wszystkie te zakątki, ale tylko do pewnej granicy, pozostałe przestrzenie, stopą jego nietknięte, zupełnie nieznanemu były. A jednak często odwieczne milczenie, w nich panujące, przerywał odgłos ludzkich kroków, śmiało po nich błądzących, i uśmiech szyderczy, godny okropnych ciemności i strasznych otchłai, z pośród których się wznosił. Wtenczas przerażone gady rozstępowały się na wszystkie strony, a obudzone z długiego snu opoki i kamienne ściany, przesyłały aż do wód z daleka szumiącej rzeki przerywane słowa, szatańskim wyrzeczone głosem, które się czasem

wydobywały z piersi, nawykłych do zbrodniczych uczuć, ale w których bijące serce nigdy bojaźni w życiu nie zaznało.

Była wśród ciasnych przejść i krętych manowców obszerna sala, daleka od miejsc, Zbigniewowi znajomych, zachowująca ślady pracy ludzkiej. Jednakże cztery ściany, w skale wykute, z otworem, w kształcie drzwi wyrobionym, były owocem długich trudów, które nareszcie przewyciężyły opór twardego przyrodzenia. W każdej z nich widziano długie i ciasne pieczary, poczęści jeszcze zasklepione, lecz największa ich liczba, stojąca otworem, ukazywała w głębi bielejące się czaszki i kości, ostatki już bez wątpienia oddawna zeszlých z tej ziemi.

Na środku sali wznosił się grób czworokątny, przywalony ogromnym kamieniem, na którym łuk z pałaszem wyryty okazywał, że takim godłem uczcili towarzysze znikłego z ich grona wodza. Naokoło tych broni niewyczytane dziwne głoski, w wieniec ułożone, dopełniały zapewne hołdu smutnych poddanych lub braci, który ich ręce oddawna już bezsilne, a może rozsypane wokoło, zimnemu powierzyły głazowi. Zresztą nic już nadzwyczajnego nie było w tych miejscach, a miałki, płowy piasek, żadną nie umiłony trawą, leżał spokojnie w mieszkaniu zapomnienia i śmierci.

W tej właśnie sali, tego samego dnia, w którym Ulrych wyprawił się do obozu dla sprowadzenia Skarbimira z Gulczewa, mała lampa, stojąca na grobie, oświecała opartego na nim człowieka, który zupełnie czarnym obsłonięty płaszczem i wzniosłym na głowie hełmem, dumał, czekając, jak się wydawało, na czyjeś przybycie, bo druga jeszcze osoba w zamku знаła schronienie, w którym on teraz przebywał. Twarz jego wystawiała pozorną spokojność, ale często na niej ukazywały się silne wzruszenia, bardziej do skutku gwałtownych namiętności, niż do zwyczajnego zadowolenia, pochodzącego z nadziei dokonania zamiarów, podobne. Czasem też szyderski uśmiech rozszerzał usta, gotowe do miotania okropnych bluźnierstw, ale, jakgdyby dla

doświadczenia własnej mocy nad sobą, wstrzymywał się gość tych podziemnych przepaści, kiedy już miał wymówić srogie przekleństwa, i w ciągłym milczeniu zatapiał wzrok ognisty w otaczające ciemności, które pochłaniały bezsilne małej lampy promienie, jak tylko się odważyły opuścić własne ognisko.

Wtem oderwał się kamień z wierzchniej części sali, czasem nadpsutej, i runął przed stopami rycerza z przerażającym loskotem, nie ruszył się jednak z miejsca wojownik i nie odwrócił na chwilę wlepionego wzroku w otwór północnej ściany, skąd zapewne spodziewał się kogoś. Zmienił tylko położenie ręki, na której oddawna się opierał, a wtenczas rozтворzył się płaszcz szeroki i okazał ciemną szatę, ściśnioną u dolnych piersi bogatym pasem, w którym tkwił większy od zwyczajnych sztylet. Zresztą żadnej innej nie było broni przy jego boku, a znak rycerstwa, szczeroloty łańcuch, otaczał mu szyję.

Dobyl mąż czarny sztyletu i jego ostrzem poprawił knot u lampy, która na chwilę świetniejszym zabłysnęła blaskiem, a wkrótce potem znów wróciła do dawnego stanu. Jeszcze przez długi czas spokojnie stał rycerz, ale nakoniec zaczęły się okazywać znaki jego niecierpliwości w poruszeniach twarzy, w częstej zmianie położeń i nareszcie w szybkim pochodzie, którym okrążał starożytny grobowiec. Zbliżał się czasami do otworu i zdawał się z natężoną słuchać uwagą, lecz żaden odgłos uszu jego nie dochodził oprócz odległego szumu, jakgdyby wody, o głązy się roztrącającej; wtenczas dopiero kilka słów wymówił:

— Może go zabili... Może tamten iść za nim nie chce... Gdyby przez tego skąpca ostatnie moje nadzieje zniknąć miały!...

I spojrzal na sztylet, a podwoił szybkość kroków, płaszcz zarzucił na drugie ramię i znów lampe poprawił, przypartywał się otaczającym grobom, rozrzuconym kościom i brał do ręki nietknięte od ich rozprzęgnięcia się czaszki, rzucał

je z gniewem, tratował po nich i z dzikim uśmiechem sły-
szał pękające pod stopą kości. Lecz to nic nie pomagało,
czas uchodził, a nikt nie przybywał.

Już niecierpliwość rycerza najwyższego doszła stopnia,
kiedy usłyszał w oddaleniu odgłos ciężkiego stąpania, po-
mieszany z lekkim suwaniem się dobrze znajomej stopy.
Natychmiast poskromił żywą niecierpliwość i, oparłszy się
o szeroki grobowiec, czekał niewzruszenie na ukazanie się
przybywających. Twarz jego przybrała barwę surowej po-
wagi i niezmięszanej niczem spokojności, choć chwilę przed-
tem najgwałtowniejsze malowała uczucia.

Wtem wszedł otworem północnej ściany młodzieniec trzy-
mający lampę w jednym ręku, a drugą wiodący starca
z zasłoniętymi oczyma. Na znak, dany przez męża w czar-
nym stroju, odkrył mu je towarzysz, a Skarbimir z Gul-
czewa, zbladły i okropnym rażony widokiem, stał o kilka
kroków od Mestwina z Wilderthalu.

— Spóźniłeś się, Ulrychu — rzekł srogim głosem rycerz
niemiecki. — Cóż to się ma znaczyć?

— To znaczy, rycerzu i panie mój — odparł giermek —
że zamiast odważnego rycerza miałem zniewieściałego starca
za towarzysza drogi.

— Więc twoja w tem wina — ozwał się znów zwolna
Mestwin — Skarbimirze z Gulczewa, podskarbi króla Wła-
dysława!

— Daruj — odpowiedział Skarbimir — przyjacielowi, to
jest najniższemu słudze!

— Nie usprawiedliwiał się napróżno, trwożliwy panie
Gulczewa — przerwał Mestwin — ale pamiętaj, że taką
opieszalność umiem śmiercią nadgradzać! Teraz słuchaj mnie
z uwagą, jeśliś zdolny do słuchania człowieka, który długo
czekał na ciebie, oparty na tym grobie wśród milczenia
nocy i śmierci!

— Słucham — rzekł Skarbimir — słucham, potężny pa-
nie i władco, tyle cię szanuję...

— Nie wysilaj się na daremne pochlebstwa, bo wiem, że nie mnie, ale ten sztylet szanujesz! Wypełń więc wszystkie moje rozkazy, jeśli się nie chcesz bliżej z nim zapoznać!

— Słucham — powtórzył upokorzony Skarbimir.

— Trzeba, żeby jutro z rana dowiedział się wasz Mieczysław, że Hanna z Ciechanowa chce z nim mieć tajemną rozmowę w kaplicy, leżącej ponad brzegiem Wisły. Zapewnie nieraz ją widziałeś, łatwem ci będzie ją opisać.

— W tem ostatniem niema żadnej trudności, ale co do pierwszego nie wiem, jak sobie postąpić, nie pojmuję, jakbym ci miał w tej okoliczności usłużyć.

— Chwila — rzekł zimno Mestwin — w której przekonam się, żeś mi na nic niezdatny, będzie ostatnią twojego życia.

Przerażony podskarbi prosił o czas do namyślenia się i usiadł w kącie na małym kamieniu. Tymczasem Mestwin pocichu rozmawiał z Ulrychem, a potem stanął naprzeciwko dumającego starca, wlepiając bystry wzrok w zsiniałe od bojaźni rysy.

— Czy już niemiłe ci życie — zawołał rycerz z Wilderthalu — że tak długo nadużywasz mojej cierpliwości?

— Dozwól mi jeszcze trochę czasu.

— Patrz — rzekł szydersko Mestwin — na tę drobną garstkę popiołu, bielejącego się nad rozognionym knotem mojej lampy, jak śnieg nad ognistą górą; kiedy on na dół opadnie, a ty jeszcze nie wynajdziesz sposobu wykonania moich zleceń, możesz pożegnać się z Gulczewem i Kościelcem.

Myślał Skarbimir, że rycerz doda: »i skarbami«, ale kiedy tego słowa nie usłyszał, uczuł ulgę w ledwo już bijącym sercu i, wstawszy po chwili, oświadczył, że wszystkiemu zaradził.

— Mów więc, a zwięźle tylko! — rzekł Mestwin.

— Wiesz zapewnie, potężny rycerzu, że posiadam rzadką sztukę pisania i czytania, z której i Hanna z Ciechanowa

słynie, którą ojciec tak starannie wychował. Napiszę więc list do księcia Mieczysława, wyłuszcze w nim mniemane żądanie... to jest prawdziwe żądanie księżny — dodał starzec, widząc, że Mestwin brwi zmarszczył — podpiszę: »Hanna z Ciecchanowa«. Znam jej pismo, bo nieraz Wszebor, chlubiąc się z rozległych córki wiadomości, mi je pokazywał, oddam księciu...

— Ale jakże ten list dostanie z rąk twoich? — rzekł rycerz.

— Pewny jestem, że rozkochany Mieczysław nawet o to się nie zapyta; w przypadku mogę odpowiedzieć, że Bardan, naczelnik mojego wydziału, schwytał człowieka, wydającego mu się być szpiegiem, że ten człowiek list mu oddał i przyniósł mi go Bardan. Ja wyczytawszy słowa: »Do księcia Mieczysława«, pośpieszyłem mu oddać przyniesione pismo. A co, czy nie zręcznie? — zapytał starzec z pewnym rodzajem dumy i chępliwości.

Rzucił nań łagodniejszym Mestwin wzrokiem, ale zarazem wszystkie namiętności, które dotąd gnębił siłą żelaznej woli, wyrwały się z pod jej przemocy i tłumnie wybuchnęły. Z jednej strony radość, z drugiej nasycona już napół zemsta zmieszały się w nieładzie w wzburzonym sercu i już rycerz nie mógł ukryć w sobie niezwykłego uniesienia. Groźnie rękę wyciągnął i zaśmiał się śmiechem piekła. Zapominając o przytomności zważającego na każde słowo, na każde poruszenie starca, wykrzyknął:

— Nie chciałaś wejrzeć na błagającego Mestwina, musiał on znosić obelgi od ciebie, a teraz jakaż ci pozostaje nadzieja? Czyż nie lepiej było odwdziaczyć miłością za miłość, przywiązaniem za przywiązanie? Dumna Polko, w zamku potężnego Zbigniewa, któryby ostatnie wysileniałożył na twoją obronę, gotuje się twoja zguba i nic już jej nie odwróci. Zdradzisz go napozór, on uwierzy zdradzie i zginiesz. Obiecałem ci boleści, już oddawna cię trapią. Druga część obietnicy spełni się niezadługo. Nie pod żelazem...

Wtem Ulrych uchwycił pana za ramię i wskazał na Skarbimira, ale zapóźno, bo tajemnicę odkrył już chytry starzec. Natychmiast ustąpiło uniesienie Mestwina, jak zwykle za zmianą jego myśli, i poznał zaraz nieroztropność swoją i korzyść, którą z niej mógł ciągnąć Skarbimir. Zbliżył się więc do niego z posępną twarzą i zdobytym sztyltem, a przykładając broń do piersi truchlejącego podskarbiego:

— Zapomnij — rzekł — o tem, coś słyszał!

Schylił się aż do ziemi Skarbimir, a te słowa tak szczególnie i nadzwyczajnym wyrzeczone były głosem, że ciągle odtąd brzmiały w uszach starca, jakgdyby go ostrzegając o niebezpieczeństwie zdradzenia władającego nim pana.

Ale Mestwin, chcąc go jeszcze bardziej zachęcić do poruczonej sprawy, w krótkich oznajmił mu wyrazach, że upadek dumnego Sieciecha będzie niezawodnym skutkiem wypełnienia okrutnych zamiarów.

Na to zapewnienie, któremu sam rycerz nie wierzył, radość przejęła duszę Skarbimira i przysiągł w jej głębi ślepe posłuszeństwo odebranym zleceniom.

Wtenczas skinął ręką rycerz niemiecki i kazał giermkowi odprowadzić pana Gulczewa. Ulrych zawiązał oczy towarzyszowi i wyszedł z nim północnym otworem.

Mestwin przez chwilę został niewzruszony na miejscu, a poglądając na rozsypane wokoło kości, zawołał:

— Wkrótce twoja głowa, twe lica, do róży świeżo rozkwitłej podobne, taką postać przybiorą.

Schylił się i podniósł czaszkę z ziemi.

— Witam cię, przyszły obrazie Hanny z Ciechanowa!

A potem rzucił daleko od siebie ostatki pięknego może niegdyś ciała i z lampą w ręku wyszedł z grobowej sali.

ROZDZIAŁ XXII,

Pociągłem zemsty i zbrodniczą radą
Postąpił z swoim panem z jak największą zdradą.

Bezimienny.

Nazajutrz po widzeniu się Skarbimira z Mestwinem nie ujrzano żadnego w obozie nieprzyjacielskim poruszenia i z wielkiem zalogi zadziwieniem cały dzień bez walk upłynął. Jordan z Gozdawy i Krystyn z Mortoga, wciąż stojąc na basztach, starali się dostrzedz wszystkich obrotów przeciwnego wojska i domyśleć się przyczyny niezwykle spokojności. Mestwin ze zwykłą rozważą dawał głośno rozkazy, towarzysząc księciu Zbigniewowi, który przechadzał się po wałach z schyloną głową i obchodził wierne hufce, witające go okrzykami, nie budzącemi już teraz ognia i młodzieńczego zapалу w smętnem sercu.

Są bez wątpienia wieszczki w duszy człowieka przecucia, rokujące mu blizkich nieszczęść nawałę. Może są one tylko skutkiem wyobraźni, wylatującej za przeznaczone krańce na odkrycie ciemnej przyszłości, może też duchy innego świata, przyjazne nam kiedyś za życia, w chwili stanowczej wokoło nas się gromadzą i, jedyną świadcząc w ich mocy przysługę, jakąś niepewność i smutek wlewają w serce, żeby je przygotować do niespodziewanego ciosu.

Bądź co bądź pewnem jest, że w dolegliwym teraz był księżę Zbigniew położeniu, bo choć nigdzie tak blizkiego i grożącego nie upatrywał niebezpieczeństwa, choć spodzie-

wał się, że tego samego dnia w nocy wkradnie się do zamku z mnogim orszakiem Ludwik ze Żmigroda, przeczuwał on niezrozumiane i tajemnicze cierpienia i dlatego właśnie, znizywszy wyniosłą głowę, nie czuł dawnej radości, słysząc okrzyki i wrzaski żołnierzy.

— Mestwinie — rzekł ponuro — przygotuj wszystko na przyjęcie Ludwika ze Żmigroda, który dzisiaj ma przybyć! Właśnie zbierają się chmury i sędzę, że noc burzliwa ułatwi mu wejście do zamku. Nie spodziewam się, by natarli na nas swoim zwyczajem nieprzyjaciele, bo już wieczór się zbliża. Odejdę do komnaty, przygotuj jednak wszystko na przypadek, a gdybyś zobaczył rozwijające się przeciwników szeregi, donieś mi o tem natychmiast! — Po tych słowach oddalił się książę, przechodząc blisko żony pokojów, chciał ją odwiedzić, ale przypomniawszy sobie, że ją widział zrana smutną i pomięszaną, a nie czując się na mocy jej pocieszenia, podwoił kroku i zamknął się w własnej komnacie. Tu dopiero zapadł w głębokie dumanie, a jeśli kiedy słodkie zabłysło wspomnienie, odpędzały go zaraz czarne myśli, bez ustanku się snujące.

Nieszczęśliwy Zbigniew wywoływał z głębi przeszłości gorzkie pamiątki, z żalem patrzył na strawioną wśród zbytków i występków młodość, na zużyte w niegodnych sprawach siły, na pogrążoną przez siebie w otchłań smutków Hannę z Ciechanowa, którą oderwał od świata i, pozbawwszy najmilszych uciech, nie umiał w najprzykrzejszych chwilach pocieszyć. Myśl, że może córka Wszebor, zwiędzona dziwaczmem jego od niejakiegoś czasu postępowaniem, sądzi, że zapomniał o jedynej lat młodych oblubienicy, o aniele, który najpiękniejszymi natchnął go pomysły i szczęściem obdarzył, tak go przeraziła, tyle razy stawiała się przed jego umysłem, że już porywał się i, przypominając dawną uprzejmość, oddawna zaniebane miłosne wyrazy i goręjące oświadczenia, chciał, pobiegłszy do żony, u jej stóp błagać przebaczenia winy, kiedy ktoś do drzwi zapukał.

Poszedł je otworzyć z wyrazem gniewu na twarzy, ale ten znikł za ukazaniem się Mestwina z Wilderthalu.

— Czy myślą szturm przypuścić? — zawołał książę z iskrzącymi się od zapału oczyma, w nadziei, że zamęt walki wyrwie go z pod ciężaru trapiących uczuć.

— Nie, panie i książę mój — odparł rycerz — przyszedłem cię uwiadomić o rzeczach, które największej uwagi, a zarazem stałości umysłu wymagają.

Nie słyszał Zbigniew ostatnich słów Mestwina. Jak tylko dowiedział się, że niema przeciw komu walczyć, upadł na krzesło i, nakazawszy ręką milczenie powiernikowi, wlepił oczy w przeciwną stronę i do opuszczonych na chwilę powrócił utrapień. Wreszcie ozwał się w te słowa:

— Mestwinie, jedyny mój przyjacielu, nie uwierzysz, jakem się od jakiegoś czasu zupełnie odmienił. Zapewnie w tej posępnej twarzy, w tej schylonej postawie, w tej drżącej ręce i ustach zbladłych nie poznajesz dawnego Zbigniewa, którego miecz błyszczał nad wszystkimi mieczami polskiej krainy, którego głowa wznosiła się ponad wszystkie dumnych panów głowy. Gdzież się podziła żywotność moja? gdzie uleciał młodzieńczy zapach, wrzący w pierśsiach, którym już dzisiaj lekka cięży zbroja? Odpowiesz, że choroba, że rany to sprawiły. Nic, nic ziemskiego, żadnej ostrze szabli, żadna słabość na świecie nie była zdolna tak mnie zniżyć i pognać. Ileż razy okryty ranami, krwią własną oblany, myślałem jeszcze o zwycięstwie, wyglądając z niecierpliwością chwili wyzdrowienia, chwili, w którejbym mógł ująć oręż na nowo, i zemścić się na wrogach! Pamiętam, jak lotem orła wzbijały się moje myśli, jak nadzieje uśmiechały się nie zatrutemu żadną boleścią umysłowi, a teraz wzrok schylam ku ziemi, uciekam od towarzyszków broni, od żony nawet. Unikam Hanny, najmilszej istoty na świecie, dla której jeszcze czuję miłość w przekwitłym sercu. Jej spojrzenie, przejmujące dawniej wszystkie żyły ogniem namiętności, spada teraz na mnie, jak na bryłę zimnego lodu.

Czasem trąba bitew obudzi mnie ze snu, a wtedy tylko czuję, że mi serce bić nie przestało, ale krótko trwa przemijające wrażenie, a wszystko dokoła czarnem, ciemnem, posępnem się wydaje. Szczęście ucieka na odgłos kroków moich i nawet przypomnieć sobie nie mogę chwil, które zapełniły część śmiertelnego życia niebieską radością. Zdaje się, jakgdyby piekło wyrzekło moją zagubę, bo mi wydarło i nadzieję i pamięć tych nadziei.

To mówiąc, zakrył twarz obuma rękoma. Zapewnie nie chciał, by Mestwin dostrzegł gorzką łzę, spływającą po bladawych licach.

Wahał się zrazu rycerz na zadanie ostatniego ciosu nie-szczęśliwemu panu, ale nie było czasu do stracenia; szybko upływały godziny, a z niemi i zemsta zbliżała się sroga, zemsta, dla której tyle środków użył Mestwin i tyle zbrodni wykonał. Przybrawszy zatem najzimniejszą postać, przemówił do Zbigniewa:

— Przeminań te chwilowe troski. Teraz zaś, książę i panie mój, zbierz wszystkie siły, bo się dowiesz z ust, które ci nigdy nie skłamały, o spełnieniu się ich dawniejszych proroctw!

— Cóż chcesz mówić? — przerwał syn Władysława z przerażeniem na twarzy.

— Chcę mówić i powiadam, książę i panie mój, żeś się połączył z niewiastą niegodną twojej miłości.

— Nędzny! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — pamiętaj, że mówisz o swojej księżnie, o żonie twojego pana!

— Nigdy jej nie nazwę księżną moją -- odparł śmiało Mestwin — bo nią być nie może Hanna z Ciechanowa, zdradzająca najświętsze obowiązki.

— Czy więcej od jednego życia posiadasz, że tak lekce terazniejsze ważysz? — zawołał Zbigniew, okryty rumieńcem gniewu, porywając szablę ze stołu.

— Gdybym tysiąc razy mógł umierać i odżyć, nie wa-

hałbym się ostatnie życie dla ciebie poświęcić i nieraz ci już tego dowiodłem. Ale uspokój się, wysłuchaj mnie i przekonaj się o prawdzie słów moich! Jeśli cię oszukam, możesz ten miecz w moje piersi utopić.

— Ja mam ciebie słuchać, niegodny oszczerco? — krzyknął książę, wlepiając oczy w oczy Mestwina; ale rycerz wytrzymał rażące spojrzenie Zbigniewa i nie zniżył własnego wzroku. — Ja mam słuchać potwarze, rzucane na najnotliwszą niewiastę na ziemi, na drogą moją Hannę, na anioła, co umiał zbrodnicze życie i na wieki związał mnie do siebie niezerwanym łańcuchem? Czyż to od dzisiejszego dnia wiem, że ją nienawidzisz? Czyż to pierwszy raz ją obmawiasz? Odkiedym ją zapoznał, zawsze mnie odwodził od niej, odradzałeś zaślubienie, radziłeś najbrzydszą obłudę, a teraz, kiedym już zgnębiony prawie nawałą prawdziwych i urojonych nieszczęść, przychodzisz mi ostatnią wydierać pociechę. Oddal się, wychodź, precz mi z oczu!

Mestwin nie ruszył i kroku.

— Czyż już przestałem być panem w własnym zamku? — zawołał Zbigniew z rosnącym uniesieniem. — Nawet, gdybyś co wiedział, zakazuję ci odkrywać.

— A, to co innego! — odpowiedział z najzimniejszą krwią Mestwin. — Zaiste, panem jesteś swojej woli i możesz nawet żony Mieczysławowi odstąpić.

Imię niecierpianego człowieka obudziło wściekłość w duszy Zbigniewa. Przypomniawszy sobie dawne jego związki z Hanną i zbłądził nagle, śmiertelne osłabienie zważyło siły, poduszczone gniewem. Dreszcz zimny rozlał się po całym ciele i przejął go mrozem. Nie mogąc utrzymać się na nogach, musiał usiąść, a pot kroplami spływał po zlodowaciałym czole.

Poznał Mestwin, że sposobna nadarzyła się pora i, nie dając czasu do namyslenia się księciu, zaczął opowiadać ułożone fałszywie z pewnością, samej szczeroci właściwą. Wyłożył dawne przestrogi, oświadczył się z przywiązaniem bez granic, a nareszcie opowiedział, jak Ulrych podsłuchiwał przy-

padkiem rozmowę księżny z Katarzyną, z której się wydało, że Hanna pała miłością ku Mieczysławowi, że znienawidziła męża i że się będzie widziała z dawnym kochankiem o dwunastej w nocy nad brzegiem Wisły, w starodawnej kaplicy. Zresztą nowem kłamstwem przebiegły rycerz wytłómaczył księciu sposoby, których użyła Hanna na porozumienie się z synem Bolesława. Nie przepomniał dodać o rzadkiej mowie księżny i o jej listach. Wszystko zaś tak prosto, tak jasno wyluszczył, że już niepewność i podejrzenia zaczęły się wkradać do serca Zbigniewa.

Wtenczas za świnięciem Mestwina wszedł do komnaty giermek, który, przez pana przyprowadzony, czekał w przedpokoju.

Na rozkaz pana śmiało powtórzył młodzieniec, co rycerz przed chwilą opowiadał, a podczas swojej mowy widział wciąż wzrok księcia Zbigniewa, starający się odkryć na próżno najmniejszego w jego rysach pomieszczenia lub trwogi. Ulrych z niepospolitą odwagą łączył poświęcenie dla pana bez granic, wiedział, że go może zgubić najmniejszą oznaką przerażenia. Zresztą już najtrudniejszą część okropnej i tajemniczej sprawy, sobie poruczonej, wykonał oddawna. Kiedy mógł wytrzymać widok łez księżny, nie miał go już później przerazić gniew potężnego Zbigniewa; kiedy nie padł do nóg boskiej córce Wszebora, mało zapewne mogła mieć na nim wpływu rozpacz syna Hermana. A zatem dopełniały się zamiary dzikiego Mestwina i książę ujęty w sidła, szatańską uwite zręcznością, otoczony głośnemi przeciwko żonie dowodami, wątpił, czy żyje, czy też przebywa w oblędu i ułudzeń krainie.

Powstał nareszcie z siedzenia i miotając naokoło pomieszanym wzrokiem:

— Gdzież jestem? — zawołał — gdzie się dostałem? Czy już piekło wyciąga ramiona po należną zdobycz? Czy już zemsta niebios dręczyć mnie zaczyna? Ostatnie marzenie tego życia, ostatnie urojenie, wiążące mnie jeszcze do świata,

zniknęło. Ale nie, wyście sobie rękę podali i fałsz na waszych ustach. Mestwinie, zmiłuj się nade mną, wszak to nieprawda, com słyszał? Hanna jest moją żoną!

— A zarazem kochanką księcia Mieczysława — odparł rycerz.

— Przypomniałeś mi — krzyknął książę — tem nazwiskiem, że wszystko się zakończyło i że dla mnie świat bezludny wokoło. Nieprzyjaciół wydarł mi więc najmiłszą pociechę! W krwi jego, przysięgam, zanurzę się cały! Ale cóż ta krew pomoże? Alboż ona dostatecznem wynagrodzeniem będzie za życie, odtąd żadnej nie znające pociechy? Mestwinie — dodał, zbliżając się do rycerza i ściskając mu rękę — daj mi sposób godnego pomśzczenia się na nim, połóż na jednej szali miłość zdradzoną, zniszczone radości, zatracone szczęście, życie, ogołocone ze wszystkich rozkoszy, młode lata, zwiędłe u ich początku prawie, serce, szarpane wszystkimi rozpaczami mękami, na drugiej zemstę jakąkolwiek! Jeśli ona zrównoważy się z tamtymi ciężary, moje dobra, moje majątki i godności tobie oddaję. Wszystko u stóp twoich składam, bylebym mógł widzieć jego cierpienia, wpatrzyć się okiem żmii w ostatnie chwile wroga; lecz te ostatnie chwile tak się różnić powinny od zwyczajnych zgonów na ziemi, jak różne są męki piekła od uciech niebieskiego raju! Rozumiesz mnie?

Wtenczas Mestwin kazał oddalić się giermkowi, rozkazując pocichu, żeby mu doniósł, jak tylko księżnę wyprowadzi. — Zatrzymanie księcia w tym pokoju już na siebie biorę — dodał, a Ulrych odszedł.

Wtedy rycerz z Wilderthalu srogim ozwał się głosem:

— A cóż się stanie z niewiastą, co zdradziła najświętsze obowiązki i tak ogromną skalala się zbrodnią? Czy przepuścisz jej bezkarnie własne nieszczęście? Czy dozwolisz, książę i panie mój, by z twoich objęć rzucała się w objęcia znieprawidzonego Mieczysława i z nich na twoje wracała łono?...

By, depcąc wszystkie świata prawa, podzielała się wdziękami z mężem i jego śmiertelnym wrogiem?

Milczał wciąż Zbigniew.

— A więc — głośniej zawołał Mestwin — książę Zbigniew odpuszcza winy Hannie z Ciechanowa, wystawia się na żarty całej Polski! Wojownik nieustraszony w bojach, nie zmięczony jękami konających ofiar, ulega przemocy niegodnej kobiety i na jej spojrzenie zapomina o sławie! Zrzuci już zbroję, synu i wnuku tyłu królów, zawieś oręż nad łóżem rozkoszy, przywdziej suknię niewieścią i weź do ręki wrzeczono, albo raczej każ sobie okuć dzielną kiedyś prawicę w pęta, gnuśnością narzucone, i, czołgając się u stóp zdradnej żony, z uśmiechem radości i niedołęstwa patrzaj na własną ohydę i własne zhańbienie! Na wszechwładny rozkaz otwieraj drzwi jej komnat Mieczysławowi i dozwól synowi Bolesława cieszyć się posiadaniem Hanny z Ciechanowa!

— Milcz — rzekł osłabiony książę — nieludzki człowiecze! W twoich piersiach nigdy słodkie nie urodziło się uczucie. Różny od innych ludzi, od dzieciństwa powłókleś członki twardą stałą, a od niej i serce twoje swoją oziębłość przejęło. Czy znasz, co to miłość, Mestwinie? Czyż kiedy doznałeś jej słodyczy? Wiedz, że choć okropna prawda odslania się przede mną, wiedz, rycerzu, że jeszcze kocham tę niewiastę i wątpię, by tak anielskie rysy pokrywały tak niską duszę! Wiedz — zawołał całemi piersiami — że się waham, że wątpię, że nie wierzę waszym potwarzom! Jej obraz, tkwiący w moim umyśle, odpędza podejrzenia i czuję niczem nieosłabione przywiązanie w sercu. Mestwinie, radzę ci, nie powtarzaj wyrzeczonych dopiero co obelg, bo o niej wtenczas marzyłem i słabo twój głos dochodził moich uszu, ale gdybym teraz co podobnego usłyszał, nie zważałbym na dawnego przyjaciela i wiernego sługę, widziałbym tylko szatana, chcącego ostatnią pociechę mi wydrzeć i zniszczyć ostatnią srogich cierpień ulgę, a sam rozważ, o ile taka

myśl może unieść człowieka, który gotów zrzec się wiecznego i doczesnego życia, byleby usłyszał usprawiedliwienie ukochanej istoty! Walczyłem dla niej, a ona miałaby o tem zapomnieć? Patrzyła na krew, płynącą z moich piersi, a wiedziała, że dla niej płynie; słyszała jęki moich żołnierzy i pewną była, że dla niej giną, że dla niej poświęcam i ojca miłość i narodu przywiązanie, że dla niej znoszę oziębłość przyjaciół — i ona miałaby mnie zdradzić? Nie, na św. Stanisława, to być nie może! Sam Bóg nie dałby wdzięków aniola podłemu stworzeniu. Nie, Mestwinie, nie mów nic dalej, nie odzywaj się więcej, bo możebym uważał za święty obowiązek przebłagać oczernioną piękność śmiercią jej wroga!

— Nigdy twoga nie zamknie ust moich, panie — odparł rycerz — tem bardziej, kiedy, prawdę mówiąc, chcę twoją sławę ocalić.

— Zaklinam cię, Mestwinie, byś milczał. Dowiódłeś mi tyle razy przyjaźni wśród bitew, niebezpieczeństw, teraz dowiedziesz mi jej daleko lepiej zatajeniem tego, o czem się dowiedziałeś. Nie chcę zaślony żadnej rozdzierać, zapomnę o twoich słowach, bo, gdybym nie mógł zapomnieć, wolałbym nie żyć na ziemi, ale zapomnę za pierwszym jej spojrzeniem, za pierwszym uciściskiem zapomnę. Wszakżeś mi nic nie odkrywał, Mestwinie, nieprawdaż, nic nie mówiłeś? Proszę, błagam cię, odpowiedz jeno »nie«, a wszystko, co zechcesz, uczynię!

— Nigdy! — krzyknął Mestwin — nigdy podobną nie zmażę się podłością. Jeszczebym z rusztowania wołał na ciebie: »Książę i panie mój, zdradza cię niegodna żona«!

— A więc zgiń i milcz umarły, jeśli żywy milczeć nie umiesz! — zawołał Zbigniew, rzucając się na rycerza z pałaszem w rękę.

Z największą spokojnością odsłonił piersi Mestwin z Wilderthalu i, oderwawszy szablę od boku, stawił się bezbronny gniewowi Zbigniewa, którego wzniesiona opadła prawica,

a wkrótce potem sam książę prawie bez zmysłów oparł się na łożę, spoglądając łzawem na powiernika okiem.

— Straciłem rozum — rzekł — Mestwinie, ale zarazem i jedyne szczęście...

Wtenczas łzy, wstrzymywane dotąd, oblały lica niezgiętego dawniej wojownika i westchnienia wydobyły się z piersi, w których czułe, choć zatwardziałe długim do występków nałogiem, biło serce. Rumieniec wstydu zapłonął twarz bladą księcia, który, przerywając czasem płacz swój wykrzyknikami boleści, odwracał oczy od dzikiej twarzy Mestwina, której rysów w tej chwili mógłby sam władca piekieł mu pozazdrościć.

— Ah! jakżem już osłabły, ah! jakżem już znękany! — wołał Zbigniew. — Hanna, moja Hanna mnie opuszcza! O Boże, zlituj się nadę mną!

— Sądziłem — przerwał Mestwin — że się zaciągnął pod dzielnego bohatera znaki, ale ciężką popełniłem omyłkę: szlochającą niewiastę teraz widzę przed sobą.

— Przekonamy się zaraz, rycerzu — rzekł — o prawdzie słów twoich. Bądź łaskaw towarzyszyć mi do Hanny! Oświadczę jej nasze podejrzenia, a może odkryjemy, że się słuch twojego Ulrycha w tym razie omylił.

Poznał Mestwin, że największe zagrażało mu niebezpieczeństwo, ale nie stracił odwagi, gotów najczarniejszych użyć wybiegów na jego odwrócenie.

— Dobrze — odpowiedział, udając największą obojętność — nie odstąpię cię, panie i książę mój, bo przepaść blizka twoich kroków i potrzebujesz towarzysza, któryby cię na brzegu wstrzymał, lub też z tobą w jej otchłań się rzucił.

— Co znaczą te słowa?

— Znaczą one, książę i panie mój, że zbrodnicza niewiasta zdoła przybrać barwę niewinności. A kto jej uwierzy, już jest nad brzegiem przepaści. Zresztą postępuj według swojej woli, lecz jaki dowód mieć będziesz, kiedy się

zaprze? Wątpię, żebyś chciał mojego giermka stawić przed nią i własną żonę przymusić do bronienia się od zarzutów sługi. A potem, przypuszczając, że jest niewinną i że Ulrych się przesłyszał, daremniebyś ją zmartwił i trwogi nabawił. Lepiej, kiedy o dwunastej sam się przekonasz.

Przyłożył rękę do gorejącego czoła Zbigniew i wahał się długo. Nie wiedział, co począć, bo namiętności, burząc jego duszę, odejmowały rozwagę i zimny rozsądek.

— Książę Zbigniewie — dodał Mestwin — jesteś panem swojej woli, ale usłuchaj rady przywiązanego człowieka, który ci wierny był dotąd i zawsze szanował i kochał, który życie twoje nieraz własnego niebezpieczeństwem obrocił. Jakieżbym miał powody do rozjątrzenia twojego serca, do zatruwania twojego szczęścia? Wierz, że ważne i bardzo ważne powody znagliły mnie do odkrycia ci prawdy, bo tu szło o twoją sławę i jako najwierniejszemu przyjacielowi twojemu, droższą mi jest ona od własnego i nawet od twojego życia! Chciałem tobie tak okropnego ciosu oszczędzić, ale, rozważywszy straszne skutki, wyniknąć mogące z tak występnych przyczyn, uczułem dosyć mocy w sobie na oznajmienie mojemu panu, że Hanna z Ciechanowa straciła wszystkie do jego miłości prawa. A niemałym potrzebowałem odwagi, niemałego poświęcenia na wytrzymanie wybuchu gniewu człowieka rozkochanego w osobie, którą oskarżam o tak ciężkie zbrodnie. Do ciebie należy osądzić i czystość moich zamiarów i przywiązanie tak wielkie, że się naraziło na śmierć i gorsze od niej wyrzuty, żeby ostrzedz pana o okolicznościach, wszystkie jego nadzieje niszczących.

Zawsze prawie rady Mestwina, odrzucane z początku przez Zbigniewa, brały potem górę nad jego umysłem, czy dlatego, że zimna rozwaga Niemca miała niezaprzeczoną wyższość nad uniesieniem i zapalczywością księcia, czy też dlatego, że syn Władysława niezrównaną pokładał ufność w wierności i niejednymi dowodami stwierdzonem przywiązaniu powiernika. Również i teraz uległ Zbigniew przewa-

dze rycerza z Wilderthalu i, nie mogąc sam oznaczyć swego w tej mierze postępowania, skierował je podług myśli i chęci Mestwina.

— Przystaję — rzekł — na twoje uwagi, ale pamiętaj, że, gdyby Hanna się niewinną okazała, nicby ci nie mogło życia ocalić! Doszłem do takiej ostateczności, że mi trzeba żonę lub przyjaciela postradać, bo zemsta, obudzona we mnie, wymaga jakiejkolwiek ofiary. Przygotuj się do śmierci Hanny z Ciechanowa, albo do własnego zgonu!

— Pozwalam ci jeszcze wątpić, książę i panie mój — odparł Mestwin — ale za kilka godzin o wszystkim się przekonasz. O dwunastej przybędę do ciebie i razem udamy się do kaplicy.

— Nie wytrzymam! — zawołał Zbigniew. — Pobiegnę do niej! Mówię ci, że nie wytrzymam, Mestwinie.

— A gdzież się podziła stałość umysłu i męstwo, żadną nie zrażone przeciwnością? — rzekł rycerz. — Czyż tylko w bojach mężem być przystoi? Czyż tylko, kiedy zbroja kryje serce, ono się odważnem okazać powinno? W domowym życiu często trudniejsze zachodzą sprawy, niż na pobojuwisku, i nie tylko z szablą w ręku bohater jest bohaterem.

— Możesz sobie tych kazań i przestróg oszczędzić — zawołał książę — bo moje ucho nie przyzwyczajone do nich! Mówię ci po ostatni raz, że nie mam dosyć sił na przepędzenie tylu godzin w tak okropnej niepewności. Nie cierpię jej teraz, za chwilę będę ubóstwiał. O Hanno z Ciechanowa, czegóżbym nie dał, żebym mógł, jak dawniej, z słodką rozkoszą twe imię wymawiać!

— Jedyńy więc tylko środek — rzekł Mestwin — pozostał w tym razie. Zamknę cię w komnacie, a o przeznaczonym czasie przyjdę, uwalniając, przekonać ciebie o obłudzie żony i powrócić wyższym celom nad ziemską i niską miłość.

Milczenie Zbigniewa uważał Mestwin za przystanie na podobny sposób; odwrócił się więc i, wyszedłszy, zamknął drzwi żelaznym kluczem, który schował pod zbroję.

— Więc już zapewniłem jej zagubę! — pomyślał i z niewypowiedzianem uniesieniem, które brał za radość, oddalił się od komnaty nieszczęśliwego pana.

ROZDZIAŁ XXIII.

Król: Widziałeś?

Inkwizytor: Widziałem.

Król: Słyszałeś?

Inkwizytor: Słyszałem.

Król: O wściekłości! a więc podejrzenie...

Inkwizytor: Stało się pewnością.

Alfieri, Filippò.

— Już czas, księżno i pani moja — rzekł Ulrych, wchodząc do pokoju Hanny, a pierścień Mestwina złowróżbne blaski rzucał z jego ręki.

Czekała już księżna, gotowa narazić się na niebezpieczeństwa i obmowy, żeby dopełnić świętego żony i świętszego jeszcze Polki obowiązku. Spojrzawszy łagodnym na giermka wzrokiem, odpowiedziała, że natychmiast pośpieszy, prosząc, by się do drugiej oddalił komnaty, gdzie Katarzyna już była.

Zostawszy samą, jeszcze raz swój postępek i skutki z niego wyniknąć mogące, rozważyla. »Może niesława, może wieczna okryje mnie hańba, myślała, lecz mój Zbigniew i sławę i szczęście odzyska. On tyle dla mnie uczynił, niech więc i ja coś dla niego uczynię! On nie zważał na obmowy, kiedy szło o Hannę, a jabym miała niemi się trwożyć? Nareszcie gdyby świat cały, gdyby on nawet powstał na mnie, sumienie moje spokojnem pozostanie«.

— I Ty wiesz — zawołała, odwracając się do obrazu Matki Boskiej — że nigdy występna myśl mojej nie skaziła duszy... — Uklękła potem i, złożwszy śnieżne dłonie, wzniosła je ku niebu.

— O Królowo, uwieńczona światłością! zakryj mnie skrzydłami Twojej opieki! Przejrzyj skrytości mojego serca, oświeć mnie promieniem nieśmiertelnej Twojej chwały, a jeśli nieznane mi nawet jakie nizkie uczucie kryje się w jego głębi, spraw, bym z tego nie powstała miejsca; jeśli zaś czyste i cnotliwe mną powodują zamiary, daj, bym Zbigniewa szczęściu wróciła!

Po tej modlitwie wstała, czarną zasłonę zarzuciła na siebie i, pożegnawszy ostatniem spojrzeniem pełną tyłu wspomnień komnatę, wyszła do drugiej, a stamtąd, nie rzekłszy i słowa, przebiegła kaplicę z Katarzyną i smętnym Ulrychem. Córka Gierdy otworzyła drzwi, na brzeg Wisły wiodące, pierwszy giermek naprzód wyleciał, ale tak szybko i tak dziwnym sposobem, że zadrżała pomimowolnie księżna, która z Katarzyną pozostała z tyłu.

— Strażniku — rzekł pocichu młodzieniec do przechadzającego się żołnierza — otwórz te drzwi, tylko prędko! — Chciał jeszcze coś mówić, ale słowa na ustach skonały i ledwo drżącą ręką mógł dorzucić worek, dany przez Mestwina.

— Czy śmierci szukasz — odpowiedział głos chrapliwy — że chcesz słabym srebrem zwalczyć żelazo mojego topora?

Zadrżała Katarzyna, stojąca z swoją panią w kaplicy. Był to głos jej ojca... Zadrżał i giermek, ale nie z bojaźni.

— Radzę ci, żebyś wziął i otworzył.

— A ja rady tak przyjmuję, psie podły! — zawołał Gierda i ciężki jego topór błysnął wśród ciemności, lecz Ulrych zręcznym skokiem uniknął śmierci a topór wbil się głęboko w ziemię.

— Gierdo? co czynisz? — krzyknął Ulrych. — Czyś mnie nie poznał? — i to mówiąc, stanął między dzikim mordercą a jego orężem.

— Poznałem i dlatego właśnie chciałem dar szatanowi posłać — i po tych słowach szabli dobył.

— Jeśliś mnie poznał, to i to zapewne poznasz — rzekł

młodzieniec, podnosząc rękę naprzeciwko światłu, wychodzącemu z napół otwartej kaplicy.

— O, nieraz widziałem go już — odparł Gierda, spuszczać oręż. — Teraz wszystko wypełni. Wszakże nam książę zalecił równie ten pierścień, jak jego własny uszanować.

— Puścisz więc, Gierdo, dwie osoby, za mną idące, i zachowasz głębokie o tem milczenie! Są to, przyjacielu — dodał ciszej — dawne... domyślisz się zapewne, książę nie chce, by żona wiedziała...

— Rozumiem — rzekł żołnierz z hucznym śmiechem. — Na cóż mi ten worek dałeś?

— To dar od księcia.

— Niech żyje Zbigniew, pan nasz! — zawołał Gierda, a drzwi, pchnięte jego ręką, otworzyły się w murze.

Gwizdnął Ulrych i dwie postacie przesunęły się w ciemności przed żołnierzem, który, nie chcąc badać tajemnic pana, oczy odwrócił.

— Trzymaj te drzwi otwarte! — rzekł giermek i wyszedł w pole wraz z towarzyszkami.

Księżna mu czule podziękowała, a jednak każdy jej wyraz przebijał mu serce. Burzliwa i ciemna noc nie dozwoliła uważać Hannie z Ciechanowa, jak nagle zbladł i zadrżał cały. Katarzyna, odzyskawszy przytomność, utraconą na widok ojca, zaczęła namawiać księżnę do przyśpieszenia kroku.

Ulrych wśród świstu wichru i huku piorunów odprowadził księżnę aż do zarośli, zamek otaczających. Tu stanąwszy, oznajmił pomieszczanym głosem, że musi ją opuścić, i wskazał niedalekie światło.

— To lampa, paląca się w kaplicy. Tam cię, księżno, czeka Mieczysław, muszę cię pożegnać. Stać będę tymczasem przy drzwiach, strzeżonych przez Gierdę i pilnować, żeby nikt nie nadszedł.

— Dziękuję ci raz jeszcze — rzekła Hanna i szybkim z Katarzyną oddaliła się krokiem.

Łzy spływały po licach młodzieńca:

— O Boże, zlituj się nad nią, bo moja powinność wzywa mnie gdzieindziej! — mówił zalany łzami młodzieniec. — Czemuż topór Gierdy nie przybił mnie do ziemi!

A potem puścił się jak strzała, wyrzucona z cięciwy, przeleciał pole, przebył bramę, komnaty, galerie i drzwi pokoju Mestwina z trzaskiem odemknął.

— Już się stało! — zawołał i upadł napół zemdlony.

— Takeś zdyszany — rzekł siedzący rycerz — jakgdybyś z długiej wracał podróży, a jednak kaplica stąd niedaleka.

— Ale, panie — odparł ponuro Ulrych — podczas krótkiej drogi można wiele uczuć doznać.

— Zapewnie — szydersko odparł Mestwin. — Ale oddaj mi pierścień i powiedz, czyś go użył!

— Musiałem. Dane wprzód pieniądze nic nie pomogły.

— Któż taki stoi na straży? — zapytał rycerz.

— Niestety trafem Gierda pilnuje tam murów.

— Szkoda — rzekł zimno Mestwin — szkoda, dobry żołnierz.

— Nie rozumiem znaczenia tych słów, rycerzu.

— Człowiek, który widział mój pierścień, musi i mój sztylet zobaczyć — spokojnie odparł Mestwin. — Czyż nie pojmujesz, że mógłby mnie zdradzić? Zapomniałem ci się pytać, czyś do samej kaplicy księżnę odprowadził?

— Zostawiłem ją o pół drogi, bom dalej iść nie mógł.

— Jeszcze dziecinne serce — z politowaniem ozwał się rycerz — bije w twoich piersiach, ale mam nadzieję, że nadejdzie czas, w którym na takie wypadki mało albo wcale zważać nie będziesz.

— Śpiesz się, panie, do księcia Zbigniewa!

— Nie czas jeszcze — odparł rycerz. — Niechże wpierw ona dojdzie do kaplicy! Pięknieby było, żebyśmy ją na drodze spotkali, a wiem, że, jak tylko puszczę mojego orla z klatki, do której go wsadziłem, to polec, nie wstrzymany

żadnym głosem ni namową. Ale cóż to się znaczy? Zupełnieś zbladły, do trupa podobny! Wstydź się, chłopcze, takiej słabości!

— Cóż mam robić, panie, kiedy czuła we mnie Bóg wlał duszę!

— Zahartuj serce — odparł rycerz, kładąc hełm na głowę — uzbrój piersi przeciw litości i rozczuleniu! Zatałuj łzy w oczach! Patrz przez lat wiele na zbrodnie, poznaj przebiegi ludzi, dowiedz się o ich obludzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnemi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom! Wtenczas krzyk boleści, jęk rozpaczy miłemi staną się dla ciebie. Wylanie krwi nienawistnej przyjemniejszem ci będzie, niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyras cierpienia na obliczu bliźniego napełni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twojem życiem się staną. — Teraz już czas. Ulrychu, żegnaj cię, zemsta wzywa mnie rozkazującym głosem; innego od niej na ziemi nie uznaję pana, więc idę. — To mówiąc, wyszedł, zmierzając do komnaty Zbigniewa.

Któż zdoła opisać stan serca Zbigniewa w tym dniu wyrocznym, w którym odleciały go najmiłsze nadzieje? Kto potrafi zimnemi słowy oznaczyć ścierające się w jego duszy namietności? Raz w zupełnem odrętwieniu, nic nie postrzegał, zapominał o wszystkim. Myśli jego opuszczały ziemię, ale też nie sięgały nieba; zatrzymane w połowie między światem rzeczywistym, a krainą wyobraźni usypiały w beczynności, to znowu, nabrawszy nadprzyrodzonej siły, przedstawiały mu wszystko przybrane w żywsze i jaśniejsze od prawdziwych farby. Czuł on wtenczas nieznośny ogień, rozlewający się po żyłach, krew rozhukanym strumieniem biła do głowy, oczy ciskały płomieniste wejrzenia, a dla rozpalonych liców darmo szukał ochłody. Zdawało mu się, że otaczające przedmioty nowego życia nabrały, że ściany z płomieni go opasywały, że chimury, przed chwilą posępnej

białości, rozogniły się nagłą zmianą i że wicher niewstrzymany, rozrzucając budowle i mury, wziął górę nad zwykłym przyrodzenia porządkiem. Wszystko naokoło się chwiało przed błędnym wzrokiem, łoskot walących się gładów, łamiących się murów uszy mu przerażał. Porwany wirem niepowściągniętej wyobraźni, darmo zakrywał oczy: straszne i niepojęte obrazy ścigały go zawsze i zdawało mu się, że świat cały zaczyna swoje rozprzęgnięcie od dnia, w którym stracił to, co mu najmilsem na tym świecie było. Lecz po chwili ustawała gorączka, gasła powoli namiętność, nim miotająca, i znów wszystko zimną przybierało postać, wszystko wracało do dawnego stanu, a wśród rzeczywistości nic odpowiadającego uczuciom duszy nie widział i nowa męczarnia na miejscu przyszłej go dręczyła.

Noc pokryła ziemię. Żadnej w tem nawet nie spostrzegł różnicy, nie zwrócił uwagi na ogarniające go ciemności, nie zapalił lampy. Błyskawice oświeślały pokój, czasami piorun grzmiał w górze, ale jakież płomienie mogły rozżarzonemu w jego piersiach wyrównać, jakież piorun zastanowić, kiedy tak okropny cios spadł na jego głowę? To przechadzał się szybko, to kładł się na łożo. Odpiał pas żelazny, zrzucił pałasz, zdjął rękawice, bo mu wszystko ciążyło. Hanna i Mieczysław wciąż przed nim stali. Rzucił się czasami pierwszej do nóg, drugiemu sztyłęt w piersi zatapiał, poglądał ponuro na żonę, to znów, zapomniawszy o jej zdradzie, ścisnął ręce, całował w usta — ale znikome postacie usuwały się myśli, goniącej w niezmierzonym polu, którego już nie ograniczał rozsądek. Złudzenia coraz nowe następowały i, stawiając go na szczycie rozkoszy i szczęścia, chwilą potem w bezdenną strącały przepaść. A jednak dźwigała się jeszcze z niej dzielna dusza, i ten umysł, choć przywalony ogromem rozpacz, w samym pomieszaniu i szaleństwie jeszcze był wielkim.

Wtem zakręcił się klucz w drzwiach żelaznych, błysnęła pochodnia i zbrojny ukazał się Mestwin. Jak tylko Zbigniew

otwarte wnijsście zobaczył, bez zbroi, bez oręża wybiegł z pokoju i pędem błyskawicy poleciał do komnat żony.

— Hanno! Hanno! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział, i dalej mówić nie mógł. Wtem spojrział na łożę i nowa nadzieja zajaśniała w oczach. Zbliżył się, rozemknął zasłony, ale nie znalazł nikogo i okropna prawda stała przed nim, wszystkich niepewności pozbawiona.

— A więc Bóg mnie ukarał — krzyknął i wzniosł pierwszy raz w życiu wzrok pełen wyrzutów ku niebu — ukarał... bo tem tylko mógł ukarać!

Rycerz z Wilderthalu wszedł wtenczas i nie mógł wstrzymać zwykłego uśmiechu. Ściągnął książę rękę do miejsca, gdzie zwyczajnie tkwił sztylet, ale szczęściem dla Mestwina leżał on teraz zapomniany w pokoju Zbigniewa.

— Urągasz się! — zawołał cichym głosem i zbliżył się do Mestwina, a wzrok jego tak był strasznym, że nawet rycerz niemiecki przez chwilę uczuł przejmującą bojaźń, lecz zaraz potem ścisnął rękę Zbigniewa.

— Książę, chodź za mną i poznaj, o ile miłość kochanki różni się od wierności przyjaciela!

Nie opierał się syn Władysława, podbity zimną towarzysza powagą, a wkrótce potem, wiedziony przez Mestwina, przechodził pole, dzielące zamek od starożytnej kaplicy.

Deszcz spadał zwolna z czarnych chmur, niebo zasępiających, błyskawice już nie migały i grzmot czasem tylko w oddaleniu się odzywał. Czyste powietrze, lekkim poruszone wietrzykiem, przypominało pierwsze chwile upłynionej wiosny; i panowanie spiekłego lata musiało chłodnej nocy ulegać. A jednak każda kropla, spadająca na głowę księcia, zdawała mu się gorejącą iskrą, murawa, po której stapał, rozpalonym żarem, każdy powiew wiatru ognistą zawieją.

Prowadził go za rękę Mestwin i szybko zbliżali się do niedalekiej kaplicy, w której zawieszona lampa bładawe rozsyła promienie na otaczające grzy i krzewy, pod rosą

się uginające. Wtenczas rycerz zwolnił kroku i prosił Zbigniewa, by, wróciwszy do przytomności, szedł ostrożniej i jęki wstrzymywał.

Poszedł za prośbą książe, czując, że nadchodzi chwila, w której ostatecznie przyjdzie los własny i żony rozstrzygnąć; ale właśnie w takiej chwili najsroższą męką stała się ostrożność, poradzona przez Mestwina. Ciężej mu było teraz wstrzymać westchnienie, niż kiedyś jęki, przez najżywsze bóle wydzierane, krótka droga bardziej go zmęczyła niż podróż, nieraz odbywana w żelaznej zbroi, wśród odludnych piasków i skwaru letniego słońca.

Kaplica wznosiła się z pomiędzy krzaków i murów, po części już rozpadłych. Szczyt jej niewysoko sięgał ponad ziemię, a powoje i bluszcze, wijąc się po nim zastępowały odpadłe od sklepienia części. Właśnie ze strony zbliżającego się Zbigniewa było małe okienko, opatrzone żelazną kratą; w niem migwały się mdłej światłości promienie od gorejącej wewnątrz lampy, zasłanianej czasami ciałem, które w długim i łamanym cieniu odbijało się na zewnętrznych gruzach i nierównej w tem miejscu ziemi. Ten cień niewyraźny znikał i wracał co chwila, a zdawało się jednak Zbigniewowi, że poznał w nim zbroję i rysy Mieczysława. Zimny mróz serce jego przeszył, piekielna radość napełniła duszę Mestwina. Podsunął się bliżej. Zbigniew stał schylony pod oknem, wahał się powstać, nie wiedział, co czynić, zbierał wszystkie siły, natężał wolę, a jednak nie mógł zmienić położenia. Nareszcie wsparł go Mestwin swoją ręką, a wtenczas nagle podniósł się książe. Chciwy wzrok zarzucił wewnątrz kaplicy, gdzie ujrzał niewiastę niezrównanej piękności i klęczącego u jej kolan mężczyznę. Tą niewiastą była Hanna, tym mężczyzną syn Bolesława Śmiałego. Książe ani słowa nie wyrzekł, ale wydarł sztylet z pasa Mestwina i rzucił go do góry.

Mestwin, widząc jego zamiśl, rękę mu silnie zatrzymał i, odprowadziwszy na bok, cichym zapytał głosem:

— Czy wiesz, co to zemsta, książę?

Zbigniew obłąkanym spojrzał na towarzysza wzrokiem.

— Czy nie wolisz — rzekł rycerz — kroplami wysącać nad niemi puhar goryczy, niż go wylać odrazu? Czy nie wolisz długo patrzeć na drgające ich członki i nasycać się widokiem stopniowanej śmierci, której bóle co chwila wzrastają, niż nagłym zgonem zdrajców obdarzyć i w krwi niegodnej szlachetną zmazać prawicę?

Okropna bladość rozlała się po licach Zbigniewa.

— Już widziałeś — dodał Mestwin — zbrodnię. Teraz nad karą pomyślemy.

Po tych słowach omdlewającego pana zawiódł daleko od kaplicy i, wszedłszy między kilka drzew wyniosłych, dozwolił mu usiąść na kamieniu i stracone zebrać zmysły. Wkrótce potem zerwał się nagle książę i, podnosząc rękę ku niebu:

— Przysięgam — zawołał — jej śmierć i śmierć jego! Niewiasta zdradzająca męża, nie znajdzie litości i u Ciebie, o Boże!... Kara Twoja nigdyby jej nie ominęła... Dozwól więc, Panie świata, bym ją sam przyśpieszył!... Mestwinie! — dodał — teraz już jestem spokojny... Wszak już nie mam żony... wszak sam na świecie zostałem... ale wskaż mi obiecaną zemstę, bo jeśli nie potrafisz tego, nic cię od śmierci nie ocali!

— Książę i panie mój, pomówiemy o tem w twojej komnacie. Tymczasem wracajmy do zamku!

Poszli oba, a wkrótce czarne mury im się ukazały pośród ciemności. Wtenczas Mestwin prosił księcia, by mu naprzód pójść pozwolił.

— Chcę — rzekł — odmierzyć sprawiedliwość żołnierzowi, tak dobrze strzegącemu twoich murów, że dwie niewiasty mogą z nich o każdej porze wychodzić.

— Jak chcesz — odparł zimno książę.

Mestwin przyśpieszył kroku i zawołał na Gierdę. Wyszedł dziki żołnierz i ostatnim ukłonem przywitał przyszłego

mordercę. Skinał nań rycerz i na sam brzeg Wisły zaprowadził, wskazując potem przeciwną stronę.

— Czy widzisz — rzekł — ten ogień?

Obrócił się Gierda i darmo śledził oczyma płomień, o którym mówił Mestwin.

— Niema żadnego ognia.

— Patrz dobrze, a ujrzysz — odparł rycerz i, wzniosłszy sztylet morderczy do góry, z całemi siłami zanurzył go w plecy Gierdy — a ujrzysz ognie piekła! — dodał z szynskim uśmiechem.

Runął olbrzymi Gierda na ziemię, lecz cała jego wściekłość ozwała się jeszcze w ostatniem skonaniu. Zrzucił szyszak i, tocząc się po piasku, doczołgał się do stóp rycerza i, wspierając się jedną ręką o brzeg spadzisty, drugą objął rycerza i ścisnął go uściskiem umierającego wroga. Uczuł rycerz zatrzymany w łonie oddech i słyszał pękające na piersiach żelazo. Nie tracąc więc czasu, drugi cios zadał, a wtenczas opadł Gierda i jeszcze dosyć miał siły do wyrwania sztyletu z szerokiej rany; trącił go zbrojną nogą rycerz z Wilderthalu, dopełniając powtórnego w tem samem miejscu zabójstwa. Przybywając, Zbigniew usłyszał już tylko jęk, pomieszany z szumem fali ciała unoszących.

— Gdyby nie twoje namowy, i Mieczysław jużby tak zginął — zawołał książę.

— I jedno tylko cierpienie doznał — odparł Mestwin — kiedy ich tysiąc doznać może.

— Śpieszmy się więc, śpieszmy! — krzyknął Zbigniew. — Każda chwila, zwlekająca jego zagubę, jest nową dla mnie śmiercią.

— Dam ci moje rady — rzekł rycerz — ale przysiąż, że pójdziesz za niemi i że niewieścia czułość nie splami dzielnego serca. Mieczysław i Hanna zginą! Przysiąż, że nie odmienisz rzuconego na nich wyroku!

Nie wahał się książę i piorunnym głosem zawołał:

— Niech moja dusza marnie z tem ciałem zginie i nie

dozna obiecaney nieśmiertelności, niech każdy dzień mojego życia dzisiejszemu podobnym się stanie, jeśli choć jednym słowem, choć tajemną chęcią odwołam śmierć Mieczysława i tej, która niegdyś moją nazywała się żoną!

— Dobrze — rzekł Mestwin — poznaję Zbigniewa.

I wszedł z księciem do zamku.

Dostawszy się do swojej komnaty, usiadł książę na krześle i obtarł twarz, deszczem i potem okrytą. Dopóki go niepewność dręczyła, dopóty był najnieszczęśliwszym z ludzi, prawda, choć tak sroga, zupełnie odkryta, wróciła mu spokojność, lecz tylko pozorną. Chciał wmówić sam w siebie, że nie dba o tę, która go zdradziła, pogardza Hanną, ale właśnie pragnienie zemsty, pożerające jego duszę, dowodziło, że nieograniczona miłość zamieniła się na nieograniczoną zawiść, że wielkie serce, w najczulszych zwiedzione nadziejach szukało ulgi w drugiej ostateczności. A jednak i w zemście samej pozostały miłości ślady. Jeszcze na wspomnienie córki Wszebora rozdarłe serce żywiej biło. Z tem wszystkiem postanowił Zbigniew przygnieść namiętność siłą woli, wyrugować ostatki przywiązania ciąglem o zemście przemyśliwaniem, lecz trzeba było całej jego dzielności na ukrycie pod barwą surowej powagi i zimnej spokojności żaru, w piersiach tlejącego.

— Mów — rzekł do Mestwina — i pamiętaj, żebyś dogodził moim żądaniom! Wynajdź, czegoby szatan wynaleźć nie potrafił!

— Jeśli skutecznie taki rozkaz — odparł żartobliwie Mestwin — to duch ciemności powinien zejść z swojego tronu i własnego mi miejsca ustąpić.

— Mów! — powtórzył Zbigniew.

— Chcesz, panie, okropnej zemsty — rzekł rycerz — a więc posłuchaj, a jeśli nie zadrżysz, powiem, że nas wspólnie piekło wydało! Hanna kocha Mieczysława, niech więc zgina powolnem skonanem obok siebie i niech jęki córki Wszebora połączą się z jękami syna Bolesława! Abra-

ham z Hamburga dostarczy mi trucizny, zastawimy w wielkiej sali biesiadę, obludujemy stoły srebrem i złotem i puchary śmierci uwieńczym różami rozkoszy. Wyślij jutro Krystyna z Mortoga do Mieczysława, oświadczyć, że chcesz pokój zawrzeć, przyjm go wraz z innemi panami w swoje podwoje! Wiem, że przybiegnie rozkochany młodzieniec, przyprowadzi z sobą Sieciecha, Skarbimira, Wszebora. Wszebora osobliwie, mój panie i książę. Czy czujesz, jak miło będzie córce umierać przy ojcu? czy rozumiesz ten nowy rodzaj zemsty? Zasiadą do stołu, Mieczysław i jego kochanka wypiją truciznę... dalszy opis twoje oczy zastąpią.

Zadrżał Zbigniew i zbladł na chwilę, lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło odbierze piękność, godną nieba! Przyjmuję, przystaję, pošlesz jutro Krystyna.

Zamilkł tu książę, ale później, miotając wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się, duchy zbrodni, uwieńczcie moje i mojego powiernika skronie! Wzywam was do walk. Odpowiedz, szatanie, odpowiedz, czybyś zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie? Nie, nigdybyś takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej, jak ja, miłości. Rumieńcie się od wstydu, duchy czarnych przepaści, śmiertelny człowiek wziął górę nad waszą nieśmiertelną złością i namiętnością, w łonie syna ziemi zrodzona, przewyciężyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy! Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie; pamiętaj wykonać, coś powiedział, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymują!...

— Wyrzuty, książę i panie mój? — odparł rycerz. — Nie rozumiem tego słowa i nigdy go nie zrozumieć.

— Aż kiedy prawica boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i, pożegnawszy pana, odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnej Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jej nóg zrzekał się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna, zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę. Doszedłszy starożytnego budynku, z bijącym sercem weszła do sieni, podpartej dwoma kamiennymi słupami, i następnie do samej kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami, przynoszonymi przez okolicznych mieszkańców. Nie zastała jeszcze nikogo, klękała więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, aliści szybkie kroki słyszeć się dały. Wszedł po chwili człowiek pałający miłością i rzucił się do nóg dawno niewidzianej kobiety, która przyjaźnią tylko i szacunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka, ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schylony klęczał n stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswobodzenia oblubienicy i wyrwania jej z rąk nienawidzonego wroga.

— Hanno, droga Hanno — zawołał — błogosławmy niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od srogiego ciemieży! — I, to mówiąc, ścisnął rękę księżny i drżące usta przybliżał do różanych liców.

— Książę Mieczysławie! — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojej pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wroga, że dumny syn Władysława przymuszał cię do wymawiania czczego, nie nie znaczącego nazwiska. Ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzód w zimnym grobie skościeje, nim opuści miecz, wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał!

— Książę Mieczysławie — powtórzyła Hanna, a Mieczysław zbladł — nie miotać grózb na własnego brata i na męża stojącej przed tobą niewiasty!

— Męża?! — krzyknął syn Bolesława — męża? Mów lepiej wydziercę, zabójcę, zbrodniarza, uciemężyciela!

— Książę — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znało. Szanuję cię, Mieczysławie, uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, żem na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera i zobaczyć, czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki i wrócić szczęście tej, którą kiedyś kochałeś.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław. — Zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę, lecz tyś mnie nigdy nie kochała!

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała rycerza zbrojnego, a chwila potem przycisnął ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i, spoglądając nań wszystkich podbijającym wzrokiem:

— Proszę ciebie, Mieczysławie... ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż, pani! — zawołał młodzieniec. — Ale może chciałaś mnie doświadczyć? Powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierną przysięgłam mu miłość, a sługa boży pobłogosławił tej świętej przysiędze.

— Żegnaj cię więc, młodości — zawołał Mieczysław — żegnaj cię, ziemio! Bo cóż mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła z mojej drogi? Jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierzałem do jednego celu, darłem się na skały, gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłym sercu umarła.

— Nie — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzą się twoje słowa. Przeminie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłości, piękniejszą ode mnie kochankę, połączysz los swój z losem niemniej kochającej dziewczicy.

— Pani — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie! O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą-m tak kochał, przywita długo niewidzianego zimnem słowem, nie odpowie uczuciom, niczem we mnie niezatar-tym, że odrzuci kochanka i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jej wspomnienie było... Lecz mów, księżno, rozkaż, a wypełnię!

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniej, odstęp od zamku mojego męża, wypełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją! Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że, odrzuciwszy twoje uczucia, powinnam lękać się twoich wyrzutów, ale Mieczysławie — tkliwym głosem dodała — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie powstanie w mojej duszy dla ciebie, że, widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym, uznam, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała!

— Pierwszy raz słyszę z ust twoich to słowo połączone z moim imieniem — rzekł książę — i dla tej chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz przytłumię gniew i zemstę. Pani, już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje, bo ty w nim dobrowolnie przebywasz. Wszystko mi już niemiłem, oprócz nadziei, ostatniej na tym świecie, że, kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie, rzadkie między ludźmi, i że bez niechęci lub zawiści usłyszysz imię człowieka, którego na miejscu młodej oblubienicy zimny grób oczekuje. Bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz żałobne pienia, a jeśli wtenczas łza zrosi twoje powieki, wierzaj mi, ulubiona, że ta łza stanie mi za

długie życie żadną nie umilone nadzieją! Jutro ujrzysz z wież swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty. Życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości, życzę ci szczęścia ze... Zbig...

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którem brzydziło się serce. Ukłonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, księżno — odparł ponuro młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion! Lepiej nie wspominać o Mieczysławie, jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć o Zbigniewie! Nie żądam, bym dłoń przyjazną mu podał, bym się zbliżył do niego! Na takie poświęcenie, Bogiem, nie człowiekiem, być potrzeba. Nie zagoją zadanej mi przez niego rany ani czas, ani uciechy. Pozwól, bym szczerze wynurzał uczucia, które aż do ostatniej chwili we mnie pozostaną! Żadna siła ni potęga nie mogłaby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława. Nie obawiaj się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę, u boku wiszącą, — przysięgam, że nigdy nie wydobędę jej na tego, którego miłość twoja ochrania! Rozdzielmy się teraz, nasze drogi, dotąd przynajmniej w moich zjednoczone marzeniach, odwracają się od siebie. Zasiądziesz na książęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojeństwa, zrzekam się sławy, bo jej dzielić nie możesz... Żegnam cię, księżno... — I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami ubóstwianej istoty... — Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie... — i, uchwyciwszy kraj śnieżnej szaty córki Wszebora, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno, ostatni raz żegnam cię na tym świecie!

To mówiąc, wzniosł oczy do nieba, ale, jakgdyby okropnem rażony odkryciem, spuścił je zaraz na dół.

— Żegnam cię — dodał — na wieki, już i w niebie

nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi!

— A mój ojciec, drogi mój ojciec! — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysław, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże, ześlij pociechę na tak szlachetne serce! — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna po długiej z lubym rozmowie i przypomniała zadumanej księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierdy darmo starała się wśród ciemności rozeznąć poległego już ojca. Ze zwykłą usługą zaprowadził giermek księżnę do jej komnat, a ostatni raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV.

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody
I żwawo Kraigdala zapraszaj na gody!

Ballada szkocka.

Jeszcze słońce nie wydobyło się z ciemnych chmur, wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana śpiącego obudził.

— Rycerzu, odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie! Z murów sam widziałem, jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają wały.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Mortoga! — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łoża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknię na siebie rycerz i lekką wdział kolczugę. Niedługo czekał na Krystynę, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Mortoga w zupełnej zbroi. Mestwin prosił, by usiadł i, kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa, księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława i zaprosisz go z wszystkimi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju? — zdumiony powtórzył Krystyn. — A, do dyabła, to coś nowego! Co, już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakim oblężeniu, o jakiej kłótni w Polsce? Bobym zaraz tam pośpieszył,

— Teraz śpiesz się wykonać księcia rozkazy!

— Nigdy jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie stawiał. Nieznane mi to rzemiosło. Dla nauki każ mi dać puhar, rozumie się dobrego i starego węgrzyna!

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę. Po jej kilkakrotnem wychyleniu wyszedł Krystyn i, przypasawszy pałasz, na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Niemąło się zdziwił, kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zatrzymał. Żołnierze, nie spozierając nawet na niego, zwijali namioty i zbierali sprzęty. Wały rozsypane, napół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręż i ubiory dziwny przedstawiały widok. Zdawało się, jakgdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki i rozrzucił zbywającą zdobycz. Przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionemi tłumami, nie odpowiadającemi na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

— Co nam do tego? — wrzeszczeli starzy żołnierze. — Niech cię piekło pochłonie! Długośmy się bili i niema żadnego plonu; bez żadnej korzyści odступujemy od murów krwią naszą zbryzganych, jak tchórze musimy uciekać, kiedy możeby za kilka dni Zbigniew się poddał.

Młodzi zaś, śmiejąc się, wojennemi piosnkami Krystynowi odpowiadali.

Rycerz, nie wiedząc, gdzie się udaje, coraz się dalej posuwał, unikając męczącemi podskoki uderzenia walących się namiotów i wyrzucanych z nich zbroi przez krzyczących żołnierzy. Błądząc przez długi czas, doszedł nareszcie otwartego miejsca, gdzie już kilka tylko namiotów pozostawało. Siedział tam na koniu młodzieniec w bogatej zbroi i ręką wskazywał otaczającym sługom przeznaczoną każdemu z nich pracę. Naokoło stali w ozdobnych pancerzach rycerze, z których jeden często rozmawiał z siedzącym na koniu, a drugi, już starzec, pochyliwszy głowę, zdawał się dumać głęboko. Zbliżył się do tego grona Krystyn z Mortoga i gniewnym głosem zawołał:

— Na wszystkich czartów, służących pod znakami szatana, powiedzcie mnie, gdzie ten książę Mieczysław? Od godziny go szukam i znaleźć nie mogę.

— Czego żądasz od niego? — odpowiedział młodzieniec, zwracając oczy, smutkiem przyćmione, na rycerza, którego twarz zarumienioną pokrywały krople sącącego się potu.

— A co tobie do tego? — odparł Krystyn — powiedz mi tylko, gdzie namiot księcia! Wszystkich się pytam, a nikt mi dotąd nie odpowiedział.

— Któż cię przysyła? — zapytał powtórnie mąż, siedzący na koniu.

— Już mi cierpliwości nie staję! — krzyknął Krystyn, wyrывая miecz z pochwy. — Mów, gdzie Mieczysław, bo inaczej stawię się przed nim z twoją krwią na moim pałaszu!

— Jeśli więc tak pragniesz wiedzieć, gdzie książę Mieczysław, powiem ci, że tu jest i że ja nim jestem.

— Przepraszam — wcale nie zmięszany zawołał Krystyn — przepraszam, mości książę, ale niecierpliwy zwyczajnie. Przysyła mnie książę i pan mój Zbigniew, zowie się, nawiasem, Krystyn z Mortoga i niejednego z twoich żołnierzy zabiłem. A więc pan mój i książę zaprasza cię dzisiaj z wszystkimi panami na biesiadę. Winem rozlew krwi zakończcie, a pokojem miłą mi nadewszystko wojnę. To niegodziwem jest, to niesłychanem, tak wcześnie pokój zawierać. Na Boga, gdyby zależało ode mnie, całebym życie walczył i rąbał wrogów, w nocybym nawet się potykał, w dnie powszednie bitwy zwodziłbym, w święta po mszy już mały pojedynekby mnie zaspokoił.

Zaprosiny Zbigniewa niezmiernie zadziwiły Mieczysława, ale pomyślał, że żona wszystko mu powiedzieć musiała. Z początku chciał je odrzucić, ale, kiedy wystawił sobie, że jeszcze raz ujrzy Hannę z Ciechanowa, że jeszcze nadarza się sposobność pożegnania się z kochanką i oglądania boskich jej wdzięków, nim znikną dla niego na zawsze,

odpowiedział Krystynowi, że nie omieszka za kilka godzin przybyć do zamku z swojemi panami.

Nierad temu Sieciech brwi zmarszczył, ale mieniać, że wstydemby się okrył, opuszczając księcia, idącego do wroga, który czarną może knuł zdradę, przystał na ten układ. Wsebor, który zupełnie prawie przytomność umysłu stracił od chwili, w której się dowiedział o zameściu córki, pomieszaniem tylko na księcia i posłańca poglądał okiem.

Krystyn, dodawszy słów kilka o sztuce robienia mieczem, odszedł sążnistym krokiem i wkrótce potem zdał sprawę Mestwinowi z odbytej wyprawy, przeklinając zarazem cały obóz i mówiąc, że żołnierze Mieczysława nie znają grzechności, winnej znakomitym rycerzom.

Potał sobie ręce Mestwin z wyrazem zadowolenia i, odwróciwszy się, rzekł pocichu:

— Nie sądziłem jednak, żeby taki z niego był szaleniec. Myślałem, że długo przynajmniej trzeba go będzie namawiać, ale jak najlepiej się stało, sama zwierzyna leci naosłep w zastawione sidła. Żegnam cię, rycerzu, pójdź do mnie i pokrzep się węgrzynem, ja muszę gdzieindziej się udać!

Posłuszny radzie, pośpieszył Krystyn z Mortoga do komnaty niemieckiego rycerza, gdzie zastawszy Ulrycha, zaczął z nim długą rozmowę o sztuce wojennej, odwilżając usta wybornem winem.

W północnej wieży, na wysokiem piętrze, był niewielki pokój, w którym siedział teraz starzec, otoczony mnóstwem ksiąg i narzędzi. Często, kiedy wszystkie światła w zamku pogasły, migał się tam jeszcze przez żelazne kraty kaganiec, oświecający mozolne mędrca prace. Schylony nad trudnem do wyczytania pismem, lub z piórem w rękę, dochodził on przyczyn, poruszających ludzkie ciało i skutków, nań od innych przedmiotów wywieranych; właśnie teraz w naukach starał się odkryć nową dla cierpiących ulgę i co chwila ciężkie książki dźwigał z ziemi i przewracał ich pargaminowe kartki. Przed nim na stole leżały ciężkie kości i trupia

głowa. Dalej świeciły przy promieniach słońca, przez okno się przedzierających, noże i kleszcze rozmaitej wielkości, ogromna szkatuła, napół roztwarta, rozliczne ukazywała narzędzia, a u stóp Abrahama z Hamburga rozciągniony był na podłodze trup zabitego w oblężeniu żołnierza, obłożony woniami i korzeniami. Przy ścianach stały rzędem oparte ciała wojowników, obwinięte w zasłony, napojone ostrymi płynami, oddalającymi od nich zepsucie śmierci i skutki czasu. Dwie szafy strzegły drzwi, napół roztwartych, które właśnie teraz wychodził młody sługa i zarazem uczeń Abrahama, chcący po długich pracach na wolnem odetchnąć powietrzu; pomimo rozkazu nauczyciela zostawił flaszki rozłożone po wszystkich kątach i szybkim krokiem się oddalił.

Wkrótce potem ciężkie stąpania słyszeć się dały po schodach, wiodących do mieszkania lekarza, a on jednak nie odwrócił głowy i oczu nawet nie podniósł. Po kilku chwilach wszedł Mestwin z uśmiechem posępnym na ustach, ale obrócony tyłem mędrzec nie zważał na jego przybycie.

— Witam cię — rzekł rycerz.

Te słowa nie otrzymały żadnej odpowiedzi.

— Przybywam z prośbą do ciebie.

Zamyślony starzec sądził, że uczeń, zapalony miłością nauk, wrócił do niego.

— Zapewne chcesz — odpowiedział więc — zrozumieć, jak krew rozlewa się po żyłach i po sercu, ale teraz nie mam czasu.

— Wcale tego nie żądam od ciebie, choć pod innym względem potrzebuję twojej pomocy.

— Dozwól mi kilka chwil wolnych, a tymczasem wylej na tego trupa płyn, zawarty w czarnej flaszce! Jest to lekarstwo ze wszystkich najmocniejsze, mogłoby nawet martwe ciało ożywić, ale od czasu Eliasza Bóg dwunastu pokoleń nie dozwolił tak twórczej siły słabemu człowiekowi. Przepowiadam ci jednak, że przyjdzie czas, w którym nowe płyny odkryją w przyrodzeniu. Nie wiem, jakiego one będą

gatunku; może śmiertelni potrafią wykraść niebu cząstkę piorunów, a wtenczas umarli wstaną z grobów i śmierć zaginie.

— Do szatana, starcze, powiedz mi, jaka trucizna najmocniejsza!

— Poradź się, mój uczniu, dzieł Al Darema, tu leżących, lub raczej Jana z Alkontares, oto je masz! — i wtenczas odwrócił się starzec podając księgę, ale poznawszy Mestwina, powstał i nisko się uklonił.

— Trucizny mi daj, trucizny, Abrahamie!

— Jakiej? Czy wolisz płyn ten jasny? On zabija natychmiast.

— To mi się na nic nie przyda.

— Może ten czarny przypadnie ci do smaku: zwierzę, które go wypije, dwa lata jeszcze pędzi życie wśród boleści...

— I takiego nie potrzebuję — przerwał rycerz. — Daj mi trucizny, niechybne sprawującej skutki w pół godziny, ale niech zarazem głos zupełnie w piersiach przytłoczy!

Rozjaśniło się czoło starca, radość zabłysła w oku.

— Właściem taką wczoraj odkrył! — krzyknął z uniesieniem. — Jest to najpiękniejszy wynalazek, nikomu dotąd nieznany. Zapewne ci już mój uczeń o nim mówił, on wszystko rozgaduje. Chcesz bez wątpienia dziwnych jej skutków na zwierzęciu jakim spróbować.

Porwał Mestwin flaszkę, pełną morderczego płynu.

— Tak — zawołał — na najpodlejszem zwierzęciu, bo na człowieku! — i wyszedł, a starzec, nie dosłyszawszy prędko wymówionych wyrazów, znów w zawile nauki się pogryzł.

Szybko przebiegł rycerz schody, schowawszy truciznę za giętką koleczkę. Uniesienie dzikiej radości ukazywało się w gwałtownych poruszeniach, lecz kiedy kogo napotykał, zmieniał zaraz wyraz twarzy na surowy i posępny. Zmierzał przez długie ganki i ciemne korytarze do komnaty Zbigniewa, rozemknawszy podwoje wszedł do niej pocichu, zamykając śpieszno drzwi za sobą.

Tajemna rozmowa niedługo trwała, a kiedy wychodzący ukazał się Mestwin, znać było na twarzy wyższy jeszcze zadowolenia stopień. Żarzącemi się oczyma miotał na wszystkie strony, jakgdyby chciał odkryć jaką okropnym zamiarom przeszkodę i odkrytą znieść natychmiast, lecz, nim oddalił się z przedpokoju księcia, umiał sobie poważną nadać postawę i stanu duszy jeden ślad tylko w szyderskim uśmiechu pozostał.

Z tym więc nieodstępnym najczarniejszych uczuć godłem zwrócił kroki do mieszkania ofiary swojej zemsty i za kilka chwil stanął przed Hanną z Ciechanowa, której blade lica i zsiniałe usta wydawały smutki tęsknoty, ale zarazem rozlany był na czole urok czarujący, a w oczach świecił ogień, wyższy nad wyrzuty ludzi — i zdawało się, że jasność przyszłej nieśmiertelności już zabłysła nad blizkiem rozpręgnięcia ciałem.

Nie czuła księżna zwyczajnej niespokojności za ukazaniem się zbrodniarza, bo cnota wzniosła ją tak wysoko nad podle śmiertelnych zamachy, że nią uszlachetnione serce już bojaźni nie znało.

Grzecznym ukłonem przywitał ją rycerz z Wilderthalu i, nim przemówił, długo wlepił wzrok posępny w piękność, którą niezadługo zimna śmierć w swoje miała okuć więzy. Lecz, różny od innych ludzi, nie uczuł żadnej zgryzoty sumienia, ówszem, na widok nadludzkiej urody tem większą pałał żądzą jej zgładzenia, bo jemu przeznaczoną nie była. Z niewymowną więc radością tak zaczął:

— Pani, twój mąż, a mój pan i książę, kazał ci oznajmić, że dla dogodzenia twoim chęciom złożył oręż i pokój zawarł; dziś jeszcze sproszeni na biesiadę dawni jego nieprzyjaciele przybędą do zamku. Prosi cię, byś przyjęła z należytą okazałością księcia Mieczysława i innych panów, między którymi i twój ojciec będzie. Sam zaś Zbigniew, nagły wstrzymany słabością, spodziewa się, że go w tej okoliczności zastąpisz; może przy końcu biesiady, do której już

wszystko sporządziłem, książę się ukaże dla przywitania miłych gości.

— Powiedz księciu — odparła Hanna, przewidując jakieś nieszczęście — że jego rozkazy świętymi są dla mnie!

Chciał Mestwin jeszcze coś dodać, ale księżna drzwi mu wskazała i musiał odejść. Ostatni jego wzrok przepowiadał zagubę.

Zrozumiała go Hanna i mocniejsze nad względy ludzkie jej serce zwróciło się ku niebu, ku pierwszej ojczyźnie, którą niezadługo oglądać miała.

ROZDZIAŁ XXV,

...I skonania blizka
Padła niema, to nogi ściskając książęce
To załamane k'niemu wyciągając ręce.

Mickiewicz.

Nadzwyczajny ruch panował w zamku Zbigniewa. Wszędzie biegli to żołnierze, to sługi w bogatych ubiorach noszący sprzęty i kobierce, które rozciągali w ogromnej sali, przeznaczonej do biesiady. Stół, cały środek tej komnaty zajmujący, dźwigał złote i srebrne naczynia, w których spoczywały świeże owoce, pomieszane z wonnemi kwiatami, puhary, lśniące się drogiemi kamieniami, odbijały blask stu pochodni, unoszących się nad tyloma pysznemi świecznikami. Palące się kadzidła lekkie rozsyłały dymy po całej przestrzeni, a tymczasem tłoczyli się ludzie, obciążeni obiciami, które, rozwinawszy, zawieszali na ścianach i kolumnach, ozdobnych bogatemi kolczugami i pancerzami. Wieńce z lili i dębowych liści, sztucznie rozrzucone, plątały się ze zbrojami, zewsząd połyskującemi; słowem najświetniejsze ujrzano przygotowania na przyjęcie księcia Mieczysława i obfite skarbcze Zbigniewa na ten koniec wyprózniono z zapelniających ich bogactw.

Już wieczorna gwiazda zabłysła na niebie, kiedy otworzyły się bramy z łoskotem na głos chrapliwego rogu. Me-stwin, postąpiwszy o kilka kroków, powitał w imieniu Zbigniewa księcia Mieczysława, który przybył na koniu z Sie-

ciechem, Wszeborem i Skarbimirem. Za niemi ukazywał się mały orszak, złożony tylko z Jarosza z Kalinowy, Bardana i Henryka z Kaniowa. Nie chciał bowiem szlachetny syn Bolesława z liczniejszymi towarzyszami przybyć do wroga. Ufający zawsze w cnotę innych, nie posądzał Zbigniewa o czarne i zgubne zamiary, a potem pragnął dać dowód ukochanej Hannie, o ile zamek i jej męża, choć niecierpiącego, zawsze poważa, dlatego jedynie, że był jej mężem.

Puszczono wszystkich na podwórzec zamkowy, gdzie stojący żołnierze z wszelkimi uszanowania znakami przyjęli znakomitych gości, a wtenczas znów bramy zawarto i rycerz niemiecki oznajmił synowi Bolesława, że nagle zasłabł brat jego, ale że to żadnej przeszkody nie stawia wesołej biesiadzie, przygotowanej dla uświetnienia upragnionej zgody, gdyż sama księżna zastępować będzie chorego męża.

Na te słowa zadrżał Skarbimir, Sieciech mimowolnie miecza się dotknął, ale Mieczysław uczuł spadający ciężar z serca, gdyż przytomność Zbigniewa zatrułaby jemu całą smętną przyjemność, którą sobie obiecywał z widzenia raz ostatni i pożegnania na zawsze najdroższej kochanki.

Wszebor ani się zasmucił, ani uradował, gdyż od rana w zupełnym stanie odrętwienia zostawał, jego umysł albo-
wiem, niespodzianym ugodzony ciosem, całkiem dawną siłę utracił. Szedł on z towarzyszami z pochyloną głową, nie wiedząc dokąd się udaje, i kilka razy nawet mówił Sieciechowi, iż mu się zdaje, że przybył do swego ciechanowskiego zamku.

Zaprowadził Mestwin księcia Mieczysława do gotowej sali i, prosząc, by poczekał przez chwilę, poszedł donieść Hannie o przybyciu gości.

Powoli, przybrana w lśniące od złota suknie, wyszła z swoich komnat księżna. Każdy krok, zbliżający ją do miejsca, w którym się ojca zastać spodziewała, pomieszanie jej pomnażał, nareszcie stanęła na progu sali zbladła i z drżącymi pod sobą nogami. Lecz kiedy miłość ku ojcu przemogła

nad trwogą, sprawioną przez pamięć zwyczajnej jego surowości, nie zważając na licznych wodzów, szybko postąpiwszy naprzód, nie witając się z nikim, padła do nóg pana Ciechanowa i rękę ojcowską do bladych ust przycisnęła.

Nie poznał starzec córki i kilka kroków odstąpił; lecz, kiedy głos dziecięcia uderzył mu uszy, zdało się, jakgdyby całą siłą woli gromadził uszłe z osłabłej duszy wspomnienia, jakgdyby dawnemi uczuciami chciał gwałtem rozdarte napełnić serce. Zbliżył się do klęczącej księżnej i pocałunek złożył na anielskiem czole; nawet rękę wyciągnął i zaczął znak krzyża, lecz właśnie w tej samej chwili opuściła go pamięć i stanął jak wryty, obracając na wszystkie strony wzrok, nie wyrażający już, jak dawniej, wewnętrznych uczuć, bo już tych uczuć nie było.

Szczęściem nie domyśliła się księżna prawdziwego stanu ojca i powstała, a wtenczas z prawdziwie królewską godnością przyjęła wojewodę krakowskiego i podskarbnika, chociaż stoczyła się z oczu, kiedy przyszło spojrzeć na Mieczysława.

Mestwin stał z boku, dając licznym sługom rozkazy, a jednak żadne słowo, żadne poruszenie nie uszło jego uwagi, a im bardziej zbliżała się straszna godzina dla osób, poświęconych jego zemście, tem więcej rozjaśniało się czoło zbrodniarza.

Wtenczas wszedł do sali Jordan z Krystynem z Mortoga, niewiadomi gotujących się nieszczęść; oba, ukloniwszy się księżnie, uścisnęli Sieciecha, wielbiąc męstwo, które nieraz niebezpieczeństwem im zagrażało. Niemniej też uprzejmie przywitał się z nimi wojewoda krakowski i zaczął rozmowę o pięknej zamku obronie. Mieczysław, przystąpiwszy do księżny, powtarzał smutne oświadczenia i obietnice. Wszebor stał za nim, a twarz jego nic nie wyrażała oprócz cielesnych boleści, przez wiek, znoje i tęsknoty prowadzonych.

Wtem Henryk z Kaniowa nachylił się do ucha Mieczysława i, kilka słów wymówiwszy pocichu, prosił jednego

z ludzi dworu Zbigniewa, by wskazał mu Katarzyny konnatę, i natychmiast z nim się oddalił.

W głębi sali, zasłonionej przez grube arkady, w łuk zagięte, i kolumny z marmuru, i w miejscu, do którego kilka tylko śmielszych światła dochodziło promieni, stał wysoki mężczyzna w ogromnym, czarnym płaszczu. Często chował się za filarami, choć ta ostrożność niepotrzebną była, gdyż nikt nie myślał, opuściwszy środek sali, świetnej przepychem i blaskiem pochodni, pogrążyć się w jej ciemne i żałobne zakątki. Bezpiecznie więc mógł mąż nieznajomy z obranego stanowiska oglądać na osoby, stół biesiadniczy otaczające. Kilka razy zwrócił oczy na Mieczysława, z Hanną rozmawiającego. Wyrazów niepodobna mu było usłyszeć dla szmeru i odległości, lecz rumieniec księcia, gwałtowne jego poruszenia oznaczały niezgasłą namiętność, coraz więcej żywości nabierającą, a wtenczas mąż czarny podniósł rękę i sztylet wyrwał z pod płaszcza; ale nim do ostrza go z pochwy wyciągnął, znów schował i tylko strasznym pojrzał wzrokiem na księżnę, tak strasznym, że mógłby życia istotę w martwego trupa przemienić. Wnet jednak potem oczy odwrócił w inną stronę, jakgdyby popędliwej chciał uniknąć pokusy, i, oparłszy się o kolumnę, choć jego lica bladły i rumieniały się naprzemian, stał w milczeniu. Jej godziny już w jego myśli były liczone; właśnie teraz wniesli słudzy ciężkie, srebrne półmiski i złożyli je na uginającym się pod naczyniami stole.

Wtenczas Mestwin w imieniu księcia Zbigniewa i małżonki jego zaprosił Mieczysława do biesiady, a następnie wojewodę krakowskiego i pana Ciechanowa. Do Skarbimira nie raczył i słowa przemówić. Najwyższe siedzenie pana zamku próżnem zostało, niższe nieco zajęła księżna, z drugiej strony książęcego krzesła zasiadł Mieczysław, a przy samej Hannie posadzono Wszebora; po nim następował Sieciech, dalej rycerze domu Zbigniewa, a na samym końcu

Jarosz z Bardanem miejsca zajęli. Mestwin nie usiadł, ale zatrudniał się porządkiem całej biesiady.

Na wszystko uważający tajemniczy mąż w czarnym stroju, posunawszy się cichym krokiem dalej, stanął przy jednym z najbliższych stołu filarów.

Poważna rozmowa, wszczęta między Sieciechem a Jordanem, to ustawała, to znowu się zaczynała. Mieczysław, przedzielony od ukochanej księżcem siedzeniem Zbigniewa, kilka słów tylko czasem mógł do niej mówić. Wszebor spijał w milczeniu puhar starego wina, nie domyślając się wcale, że siedzi przy córce. Często łzawe oczy nań księżna zwracała i napotykała zawsze zimny wzrok ojca, a uważając zamię pomieszania zmysłów za oznakę gniewu, trapiła się smutkiem, podwojonym nieprzytomnością męża, któryby jeden tylko zdołał ją pocieszyć.

Smutna więc i rzadko ożywiona rozmową ciągnęła się biesiada, choć przepych naczyń, dobór potraw i napojów, połączony z miłą kwiatów i kadzideł wonią, powinien był ją najświetniejszą uczynić. Ale, choć brzmiały rycerskie trąby i słodkie piszczalki, choć wszędzie lały się drogie wina i rozsypane paliły się bursztyny, wszystkie twarze, piętnem posępności nacechowane, sprzecznym z okazałością, ich otaczającą, przedstawiały widok.

Jeden tylko Krystyn z Mortoga, zachowując zwyczajną weselość, użalał się na prędkie wojny zakończenie i rozprawił to z Jordanem, to z Bardanem o różnych broni rodzajach i gatunkach najlepszych rumaków.

Kiedy już ostatnie wniesiono danie, złożone z najwykwintniejszych utworów ówczesnej sztuki kucharskiej, zbliżył się do księżny dotychczas oddalony Mestwin z lśniącem się od szafirów i dyamentów puharem, i, klękawszy przed nią, rzekł:

— Księżno, jest zwyczaj, że pan tego zamku, wypiwszy do połowy tę czarę, oddaje ją najznakomitszemu gościowi, który ją winien do reszty wychylić. Teraz, w nieobecności księcia Zbigniewa, ten obowiązek na ciebie spada.

Po tych słowach złożył w ręce Hanny błyszczący roztruchan i kiwnął na grających w drugiej stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia, przez muzyczne tony rozpierzchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w której miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak wyroczną dlań była, nie wydał ani głosem, ani twarzą żadnego wzruszenia; owszem, im bardziej ona się zbliżała, tem więcej zimnej krwi nabierał i, nie pozwalając namiętnościom wrzeć w piersiach, z spokojną rozwałą gotował się do patrzenia na tak długo oczekiwany widok, który przez wiele dni i nocy cały jego umysł zajmował i wszystkich chęci był celem.

Wzięła w śnieżne dłonie Hanna z Ciechanowa puhar i powstała z siedzenia.

Dzikim wzrokiem ścigał wszystkie ofiary poruszenia Mestwin, natężył wzrok i słuch, jakgdyby podwojonej chciał doznać rozkoszy, a z milczenia, zalegającego całą salę, wzniósł się dźwięczny, choć nieco drżący głos córki Wszebora.

Ostatnie słowa na ziemi z całym wdziękiem piękności i słodczy wymówiła. Twarz jej rozjaśniona, oczy, w niebieskich promieniach błyszczące, zachwyciły wszystkich, a Mieczysław uczuł odnawiającą się w sercu namiętność i rozpacz.

— Książę — obracając się do niego, rzekła Hanna — niechaj dziś błogi pokój zwaśnionych połączy rodaków i niech zaginie pamięć okrutnej niezgody! O mnie walczyłeś, kiedy już twoją być nie mogła. Przyjm za to wobec zgromadzonych tu panów, wobec ojca mojego, szczere dziękczynienia serca, które mnie cię szanować każe i wdzięczność ci winną oświadczyć! Na znak zgody przyjm ode mnie ten puhar zwyczajem naszych naddziadów!

To mówiąc, podniosła do ust, które na chwilę wszystkie wdzięki róży odzyskały, puhar śmierci, a potem podała go księciu, a Mieczysław do dna go wychylił. Lecz, kiedy chciał oddać roztruchan, ujrzał kochankę zbladłą i rozciągniętą

na krzesło, a sam uczuł truciznę, w piersiach się rozlewającą jak ognisty potok, i, opuściwszy nieszczęsny puhar, upadł na własne siedzenie, nie mogąc nawet jęku najmniejszego wydać, choć najsroższe bóle rozrywały spiekłe wnętrzności.

Wtenczas Mestwin, nasycający wzrok tym obrazem, kłasnął w ręce, a wnet mąż czarny, dotąd stojący za oddalonym filarem, wystąpił z poza niego na środek sali. Tu płaszcz zrzucił na ziemię i książę Zbigniew bez zbroi, z wiernym tylko mieczem u boku ukazał się przerażonym i zdumionym tego zdarzenia widzom.

— Giń! — zawołał groźnie, wyciągając prawicę ku synowi Bolesława. — Odkąd Boga i rycerstwa święte zgwałciłeś ustawy, uwodząc występku a teraz i kary spółniczkę, przestałeś być godnym mojego żelaza. Trucizna jego zastąpiła miejsce, giń więc przeklęty, i niechaj żaden z was, tu przytomnych, nie biegnie im na ratunek, bo, nimby dobiegł, jużby ten sztylet tkwił w jego piersiach!

Tych słów domawiając, zebrał całą odwagę, by spojrzeć na nieszczęśliwą księżnę, ale kiedy zoczył wszystkie jej członki drżące, usta zsiniałe, ściśnięte zęby, włosy rozwiane, przeląkł się własnej zbrodni i odwrócił wzrok pomięszany. Wtenczas ognisty rumieniec rozlał się po jego twarzy, włosy powstały na głowie, pierś wzdęła się wstrzymywanym napiętości wybuchem i okropny wyraz uniesienia zajaśniał posępną światłością w żarzących się oczach.

— Wszeborze — krzyknął — takeś córkę wychował? Dzięki ci składam, wpoileś w serce piękne uczucia! O, tak, zdradziła człowieka, który jej wszystko poświęcił. Ojciec tej występnej niewiasty, sam wydaj na siebie wyrok, czyś nie godzien straszliwej kary!

Ale pan Ciechanowa nie słyszał lub przynajmniej nie rozumiał tych wyrazów, bo w ciągłym odrętwieniu spokojnie poglądał na umierającą przy nim i nieznaną już córkę.

Na domiar nieszczęścia o uszy konającej Hanny obity się

słowa Zbigniewa. Nieszczęśliwa widziała jeszcze osłabionym wzrokiem męża zapamiętałość i u brzegu wiecznego rozstania nie mogła odpowiedzieć na zarzuty, bardziej serce rozdzierające, niż sama trucizna. Czasami tylko, kiedy ból się zmniejszał, by zaraz potem srożej udręczać, zwracała oczy na męża, ale nigdy nie mogła spotkać wejrzenia Zbigniewa. Jedyna ta pociecha, wydartą ostatnim jej chwilom, nierównie okropniejszemi je czyniła. Nareszcie zebrawszy ostatek mocy, wzywała w myśli Boga, nie dla siebie, ale dla Zbigniewa, dla ojca. Mieczysław rzucał się obok niej i, pianą okryty, to czołgał się na podłodze, to bezsilną ręką starał się miecza dobyć, by się zemścić tak srogiego i zdradzieckiego zgonu.

Przystąpił do niego z założonemi na piersiach rękoma syn Władysława i z wściekłym uniesieniem wpatrywał się w rysy wroga, zeszpecone boleścią. Za nim stojący rycerz z Wilderthalu zatapiał przenikający wzrok w twarz księżny, na której cała moc trucizny nie zdołała jeszcze zatrzeć ostatku piękności. Każde poruszenie nieszczęśliwej, każdy znak cierpienia, każdy postęp śmierci, zwycięsko walczącej z życiem, stawał się nową uciechą dla okrutnego Mestwina, a jeśli kiedy zachmurzyło się jego czoło, to z bojaźni, by zaprędko nie ustały boleści, szarpiące poświęconą na zagubę ofiarę.

Nareszcie wrodzone uczucie ludzkości przemogło w Zbigniewie nad żądzą zemsty i pomimowolnie cofnął się o kilka kroków od Mieczysława, który, nie mogąc mówić, jeszcze śmiałym wzrokiem wytrzymywał posępne nieprzyjaciela wejrzenia. Ramiona syna Władysława opadły i dreszcz lodowaty wstrząsł silnem ciałem, ale w tej samej chwili uczył usta z tyłu będącej osoby przyciśnięte do własnej ręki. Przejęty trwogą i rozpaczą, już zaczynającą nim miotać, odwrócił się książe i ujrzał żonę, ostatnie tchnienie wyziewającą na jego drżącej dłoni. Jeszcze chwilowy uśmiech słodczy okraślił twarz smętną, napiętnowaną zgonem, modlitwa krótka,

jak myśl przemijająca, ale czuła, jak pierwsze westchnienie miłości, wzniosła się ku niebu, poprzedzając czystą duszę, która już opuściła martwe ciało Hanny z Ciechanowa, choć jej śnieżna ręka jeszcze przedłużonem ściśnięciem żegnała się z dłonią, tyle razy dla niej w srogie uzbrojoną żelazo.

Ten widok zwałił całą siłę Zbigniewa i już schyliwszy się ku ziemi, miał upaść bez zmysłów, kiedy przedłużony, okropny śmiech wyrwał go z słabości. Podniósł oczy, ujrzał twarz Mestwina, a cała wściekłość zdradzonej miłości na nowo podjęnęła osłabłe piersi. Skoczył do Mieczysława, którego prawica trzymała napół wydarte z pochwy żelazo. Podniósł sztylet i trzymał go w górze nad głową śmiertelnego wroga i oczy zatopił w bladawem jego licu, ale wtem rozciągnął się na ziemi syn Bolesława, rzucił raz jeszcze dumnym naokoło wzrokiem, a potem skłonił młodzieńcze skronie i przynajmniej zgonem z kochanką połączony skonał.

Wszyscy w osłupieniu i trwodze patrzyli na tak niespodziane i okropne zdarzenie. Nikt podczas mąk obojga nie-szczęśliwych nie pomyślał o ich pomśczeniu; jakgdyby do swoich miejsc przykuci, spoglądali z przerażeniem na młodość, opuszczającą ziemię, na piękność, przyćmioną boleściami, na wściekłość księcia i zimną rozagę Mestwina. Lecz kiedy wszystko się zakończyło, jakgdyby piorunem uderzeni porwali się z dotychczasowego odrętwienia. Pierwszy Sieciech, dawszy znak Jordanowi, dobył ogromnego miecza i, zmierzając wprost ku księciu, zawołał:

— Zbigniewie, zerwałś wszystkie związki, łączące poddanego do syna monarchy, umieraj więc z mojej ręki!

Jordan i Krystyn z Mortoga zasłonili pana, uśmiech pogardy mignął na ustach Zbigniewa, i za świnięciem Mestwina orszak zbrojnych żołnierzy wdarł się do sali z głośnemi okrzykami.

Wnet mnóstwo dzikich wojowników otoczyło Sieciecha, Wszebora, Skarbimira, Jarosza i Bardana.

— Uchodź, Sieciechu — zawołał Zbigniew — z mojego

zamku, zostaw te trupy! Dusze, ożywiające ich za życia, zbrodnią i zdradą oddychały. Oddałem zbrodnię za zbrodnię i zdradę za zdradę. Oddalcie się wszyscy! Precz stąd, dopóki bramy otwarte, ich zawarcie oddzieli was na zawsze od świata!

— Uchodźmy! — drżącym głosem rzekł pan Gulczewa. — Puśćcie mnie, puśćcie mnie, dobrzy panowie!

— Czy się jeszcze wahasz? — zapytał Zbigniew, a sklepienie z migającej stali wzniosło się nagle ponad głową odważnego wojewody.

— A więc odejdę — odrzekł z wolna Sieciech — odejdę, mości książę, lecz mam nadzieję, że przyjdzie czas, w którym, nie strzeżony tłumem siepaczków, sam stawisz się moim, już raz doznanym, ciosom.

Ten wyraz obudził w sercu Zbigniewa chęć nowej zemsty.

— Dobrze! Rozstąpcie się, żołnierze!

Lecz Mestwin wystąpił i zawołał:

— Panie mój i książę, jeśli go zabijesz, powiedzą, żeś go zamordować kazał.

Natychmiast uczuł Zbigniew słuszność tej uwagi i powtórzył rozkazującym głosem:

— Precz stąd wszyscy!

Zmuszony koniecznością, wojewoda porwał w swoje objęcia siedzącego dotąd przy zmarłej córce Wszebora i wraz z towarzyszami zamek opuścił.

ROZDZIAŁ XXVI.

...Jej rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jej dziko lata.
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata.

Byron.

Pamięta zapewne czytelnik, że Henryk z Kaniowa przed biesiadą jeszcze wyszedł z sali w towarzystwie jednego z sług dworskich, który się ofiarował go zaprowadzić do komnaty. W milczeniu postępował za nim dumający młodzieniec, nie zważając na miejsca, po których go wiedziono. Nareszcie poznał, że jest w lewym skrzydle zamku, najbliższej Wisły leżącym, i wnet potem wskazał mu przewodnik drzwi z dębu czarnego. Rzucił się Henryk, miłością wiedziony, i rozemknął podwoje, ale okropny obraz nagle jego oczy uderzył i śmiertelny mróz ścisnął mu serce, wrzące przed chwilą ogniem najsilniejszej namiętności.

W pokoju, czarnemi obiciami zasępionym, leżała niewiasta, srogiemi dręczona bólami. Rumieniec gorączki podwajał zdaleka urok wdzięków, w oczach płonął nadzwyczajny ogień, po którego natężeniu łatwo można było się domysleć, że już niedługo miał ożywiać tak świeże dawniej i zawsze rozweselone lica; paciorki różańca, rozsypane na ziemi, i krzyż z kości słoniowej, pęknięty na dwoje, dowodziły nieszczęśliwego stanu osoby, przypadającej się jemu dzikim wzrokiem z łoża śmierci. Stanął o kilka kroków od niej Henryk i nie mógł wstrzymać żałośnego westchnienia.

Obudzona tym głosem lat jego młodych kochanka, odpowiedziała jękami i, wskazując na sztylet i szyszak, niedaleko na podłodze leżący:

— Zabili, zabili go — zawołała — on go zabił, a jednak tak był wierny zawsze, tak mnie on kochał!

Nie mógł już dłużej wytrzymać rycerz i, rzuciwszy się, przycisnął do piersi drogą Katarzynę; z przerażeniem wtenczas uczuł krew, gwałtownie we wszystkich jej żyłach bijącą, i widział płomienie choroby, coraz bardziej ogarniające twarz, do róży dawniej podobną. Najczulszemi wyrazami zaklinał oblubienicę, ażeby się nie oddawała rozpacz, choć nie znał jej przyczyny, prosił o wytłomaczenie tak nagłej słabości.

— Wczoraj — rzekł — tak piękną, żywą, tak wesołą byłaś!

— Bo wczoraj jeszcze ojca miałam — odparła Katarzyna,

— Któż go zabił, kto? — krzyknął Henryk wzniesionym głosem. — Mów, a znajdziesz mściciela!

Wskazała dziewczyna na leżący szyszak i, nie mogąc dalej mówić, schyliła twarz rozognioną na miękkie wezgłowie.

Podniósł Henryk szyszak i sztylet. Ten ostatni niemieckiego był kształtu i po pilnem przejrzeniu spostrzegł na nim wrytego węża.

— To oręż Mestwina! — zawołał.

— A to szyszak mojego ojca — odparła Katarzyna i posępnie spojrzała wokoło. — Mojego ojca! Tak, ten, który mi dał życie, który własne tyle razy dla Zbigniewa narażał, taką nagrodę odebrał z rąk Mestwina! Przyniósł mi dzisiaj żołnierz ten hełm, znaleziony na brzegu Wisły obok sztyletu.

— Zapewnie go opuścił Niemiec, zadawszy cios śmiertelny, a ciało pchnął w rzekę — przerwał Henryk, wpatrując się w szyszak, okryty czarnej krwi plamami.

Katarzyna znów wpadła w obłąkanie i z niewinnej, wesołej dziewczyny słaby tylko ślad pozostał na ustach, które

wśród płomienistych rysów twarzy, rozognionego wzroku, przeszłych, błogich chwil piętno zachowały.

— Droga, ulubiona kochanko — zawołał Henryk, zbliżywszy się do łoża — nie rozpaczaj, oddal od siebie okropne obrazy! Postradałaś ojca, ale ja ci zostaję, ja, który wszystko uczynię dla Katarzyny, który pomszczę niewinność i zbrodniarza spętanego do twoich stóp przywlokę. O jedyna życia mego nadziejo, nie opuszczaj mnie, poznajże głos Henryka, głos tyle razy słyszany, który dawniej wśród lasów, niesiony po rosie, dolatywał zdala do twoich uszu! Dawniej widziałaś za granicami, naznaczonemi oku ludzkiemu, białe pióra mojej czapki, połysk mojej szabli, a teraz blisko ciebie niepoznany stoję! Ja jestem, Katarzyno, ja, twój Henryk, obudź się, patrzaj na mnie!

Patrzała nań kochanka, ale jej oczy nie miłością świetniały; ponury ogień w nich błyszczał, a ręce, wyciągnięte ku leżącemu sztyletowi, dowodziły przedmiotu nieustannych myśli.

— Katarzyno — zawołał już w rozpacz młodziemiec — wierz moim słowom! Jeszcze szczęście wszystkie róże swego wienca złoży na twoich skroniach. Błogie dnie młodości nie upłyną nam wśród trosk i udręczeń, rozwidni się przyszłość luba. Wystawisz grób ojcu, wiosna go przyozdobi swojemi kwiatami. Codzień, ale wsparta na mojem ramieniu, odwiedzać go będziesz; odzyskasz, coś straciła, w tem, co ci zostało. Ziemia jeszcze przedstawi ci miłe obrazy, jej ułudy nie zginęły dla twojego serca; uspokój się, zdej się na opiekę Boga i obronę mojej szabli, a pomszczę ciebie i szczęście ci wrócę!

— Szczęście — przerwała córka Gierdy — jest to marzenie! Szczęście! Nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na ziemi. Szczęście na tym padole zgryzot? O nie, to kłamstwo, to słodka trucizna, której szumne nadano imię. Precz stąd! Ty mnie kusisz, ty chcesz mnie wciągnąć w przepaść, ty kłamiesz, ty jesteś szatanem... —

i, podnosząc się nagle, odpychała go rękoma — ty kłamiesz, bo masz śmiertelną ludzką postać, a wymówiłeś słowa bez znaczenia na ziemi, ty jesteś człowiekiem, a mówisz o szczęściu! — Potem osłabiona, z przerażeniem na twarzy, opadła, przyciskając spiekle czoło do żelaznych łoża prętów.

— Pomnij na Boga i świętą Jego sprawiedliwość! — zawołał rycerz. — Zlituj się nade mną, zlituj się, ulubiona! Czyż chcesz mojej śmierci?

— O, nie, Henryku! — odrzekła dziewczyna głosem, nie oznaczającym już pomięszania, na chwilę bowiem ustąpiła gorączka i bladość zajęła miejsce rumieńca, kryjącego dotąd jej lica. Lecz po tych słowach daremno siła się coś dalej mówić; ruszała ustami, ale żaden głos z nich nie wychodził i nadaremno Henryk z Kaniowa, objawszy ją w ramiona, przyciskał kochankę, jakgdyby chciał część własnego życia z swych piersi w jej łono przelać.

Wtem szybkie kroki dały się słyszeć na pobliskim korytarzu, w oddaleniu wzniosły się tłumne głosy, ozwał się szczęk orężów i wnet drzwi z hukiem się otworzyły i wpadł młodzieniec. Henryk sięgnął do oręża, ale nowoprzybyły, choć był pomięszany i dzikim wzrokiem patrzył naokoło, nie zdawał się mieć nieprzyjacielskich zamiarów, owszem, przybiegł do rycerza i, ścisnąwszy za rękę, zawołał:

— Przynajmniej jednego ocale! — i spojrzał na Katarzynę, która, usiłując powstać, z trudnością imię Ulrycha wymówiła.

— Chodź — rzekł giermek — twój pan otoczony, wojewoda w niebezpieczeństwie!

Dobyl pałasza Henryk:

— Gdzie? Prowadź!

Ale zatrzymał wylatującego z komnaty Ulrych.

— Wierz moim słowom, sam nic nie zdziałasz, biegnij lepiej do obozu!

— Już niema obozu, wojsko do miasta się przeniosło.

— A więc do miasta biegnij, jeśli ci mile życie twojego pana!

— Wskaż wyjście! — po chwili namysłu odpowiedział rycerz.

Ulrych klucz mu oddał i oznaczył miejsce, przez które przeszedłszy, mógł się dostać na otwarte pole.

Rzucił Henryk wzrokiem miłości na kochankę, której już widzieć nie miał, i wyleciał z pokoju. Namiętność ustąpiła miłości w prawem sercu rycerza.

Ulrych sam został przy łożu Katarzyny. Przez niejaki czas niewzruszony na nią poglądał, ale nagle łzy przedarły się przez powieki i czułość niedopsutej jeszcze duszy ozwała się dla pocieszenia ostatnich chwil nieszczęśliwej ofiary.

Walczył jeszcze z sobą giermek, ale zdało mu się zbrodnią ukrywać prawdę i nie wyznać zdrady przed tą, której zgonu poczęści był sprawcą. Rzucił się więc do stóp łoża i w obłąkaniu wyrzekł:

— Już się wszystko zakończyło, księżna nie żyje, Mieczysław wypił z nią truciznę, a ja was zdradziłem! Chciałem ci przynajmniej jedną wyświadczyć przysługę, ratując kochanka. Zasługuję na twoje przekleństwa, ale nie przeklniesz człowieka, który ocalił to, coś najdroższego na tym świecie miała.

Rażona okropnem wyznaniem, córka Gierdy uczuła w duszy tysiączne cierpienia. Śmierć ojca i śmierć ukochanej pani spadła na jej serce, jak piorun niebios, który dzieła pracy ludzkiej w proch zamienia, a jednak w wzroku, przez nią rzuconym na klęczącego giermka, znać było więcej przerażenia niż gniewu. Ostatnie słowa Ulrycha odwróciły myśl stroskanej córki i przyjaciółki do milej nadziei, że luby przynajmniej ocaleje, że zostanie ktoś po jej zgonie na ziemi dla błagania za nią Stwórcy i że choć jedno serce zadrży na jej wspomnienie. Łzy giermka przekonały ją o szczerości jego zgryzot i sama płakać zaczęła. Jakaś smętność, łagodniejsza od dotychczasowego żalu, rozlała się w jej duszy.

Zegnała się spokojniej z otaczającym światem, z większą ufnością podnosiła oczy ku niebu, którego cząstkę tylko widzieć mogła przez wzniesione okno. Kilka gwiazd, świecących na czystym błękitcie, obudziło jej przeczucia i nadzieje. Zdało się umierającej dziewczycy, że promień blizki nieśmiertelności przedarł się przez kraty, że dusza, wkrótce odlecieć mająca, przywdzieje złotą jego barwę i w okazałości anioła wzbije się do Stwórcy. Pośród tych myśli uczuła powolne omdlenie, ujmujące miękkimi więzami wszystkie członki. Im bardziej wznosił się jej umysł, tem mniej doznawała cielesnych boleści; a kiedy nareszcie zdało się jej, że już zaczyna nadpowietrzną drogę i słyszy harmonijne arf anielskich dźwięki, jej ziemską powłoka zupełnie czuć przestała i wszystkie uczucia zgromadziły się w daleko szlachetniejszej części życia, w odlatującej duszy — i już Katarzyna skonała.

Opuścił Ulrych zdrętwiałe ciało i wyszedł, zakrywając twarz oboma rękami.

Tymczasem Sieciech śpiesznie przechodził wraz z towarzyszami pole, dzielące zamek od miasta. Bardan z Jaroszem podpierali drżącego Wszebora, który, uśmiechając się czasem, wspominał o bojach, w młodości odbytych. Już byli blisko miejskich okopów, kiedy tętent koni, w najszybszym wypuszczonych pędzie, dał się słyszeć i wnet potem ukazał się na rumaku rycerz w zupełnej zbroi, wiodący za sobą orszak pancерnej konnicy. Wojewoda z zadziwieniem poznał swoich ludzi.

— Gdzie tak pędzicie? — zawołał, kiedy go już mijali.

Poznał ten głos naczelnik hufca i przybiegł do wojewody.

— Czy już niema nadziei? Gdzie książę?

— Ciszej — przerwał Sieciech — ciszej, już po wszystkim! Zdrada zakończyła życie bohatera.

Na te słowa ciężki jęk wydał rycerz i podniósł przyłbicę, a wszyscy poznali Henryka z Kaniowa.

— Przysięgam zemstę! — zawołał i ubódł konia ostrogą, ale Sieciech go zatrzymał.

— Zawarte bramy, setne hufce ich strzegą, zginiesz i zginiesz bez zemsty.

Ta uwaga uderzyła młodziana i zwrócił konia.

— Do króla lecę — zawołał — sprawiedliwość mi odda.

— Zaczekaj, jeśli Bóg ci miły! — krzyknął Sieciech. — Nic nie zrobisz, przerazisz słabego Władysława, zemdleje i na tem się skończy. Poczekaj do jutra, poproszę biskupa, by go o tem uwiadomił!

— Biskup właśnie dzisiaj wyjechał — ozwał się Skarbimir — i dopiero za dwa dni wraca.

— Więc król za dwa dni się dowie — rzekł Sieciech.

— Na Boga, mości wojewodo krakowski — krzyknął Henryk — tak mówisz o tem okropnem zdarzeniu, jak o najprostszej rzeczy! Puszczaj mnie, wojewodo, puszczaj!

— Nic z tego nie będzie — stanowczym głosem odparł Sieciech — i jeśli rozważysz moje słowa, przystaniesz na mój zamiar, inaczej każę cię przytrzymać.

Złożył ręce na piersi Henryk i dumął, nareszcie rzekł spokojniej:

— Niech się wola boska dzieje, ale przysięgam zemstę! I wszyscy obrócili ku miastu.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przekleństwo ojca wszystkie
na ziemi niweczy nadzieje.

La Bruyère.

Drugi już dzień był upłynął od zawarcia pokoju i rozpuszczenia wojska oblegającego, a jeszcze nic pewnego nie wiadzano w Płocku o losie księcia Mieczysława. Rozległy się wprawdzie pogłoski, ale ciemne, tak powikłane, że z nich niczego dojść nie można było.

Niektórzy utrzymywali, że syn Bolesława został na gościach u brata jego, ale dlaczegoś, pytali się drudzy, wyłączył Zbigniew od nich Sieciecha? Dlaczegoś przybiegł dawny giermek księcia wśród nocy do miasta i, obudziwszy śpiących żołnierzy, poleciał na ich czele, a kilka chwil później wrócił? To wszystko szerokie otwierało pole domysłom, to bliższym, to dalszym od prawdy. Ta niepewność była skutkiem ostrożności Sieciecha, który, oczekując biskupa Stefana, zabronił towarzyszom odkrywać zdarzenia tak okropnego i tyle nieszczęśliwych skutków pociągnąć mogącego. Smutek jednak, rozlany po twarzy Henryka z Kaniowa, wymowniej od słów oznaczał stan jego serca; stąd niektórzy dziwne i rozmaite wyciągali wnioski, a wszyscy gotowali się do odebrania wieści o wielkiem nieszczęściu.

Już noc nadeszła i deszcz jesienny zaczął spadać na ziemię, wiatr silny pogasił kagańce, palące się przed bramą

królewskiego zamku, i w zupełnej pograżył go ciemności. Rzadko kto tamtędy przechodził i ulice bezładne smutnem ciągnęły się pasmem czarnych domów, oblanych rześnistymi potokami. Wewnątrz zamku nie widziano już światła oprócz w jednej z komnat, w prawem skrzydle leżących. Tam bowiem nie tylko lampa świeciła, ale oprócz niej jeszcze zapalony w szerokim kominie ogień buchał jasnym płomieniem. Przy ognisku siedział w krześle wojewoda krakowski z pucharem w rękę, za nim stał Wolimir z Moskorzewa, którego wesołość i zwyczajne żarty nie mogły pobudzić już do śmiechu dumającego Sieciecha, trochę dalej Skarbimir z Guczewa małemi, błyszczącemi oczyma wpatrywał się niewzruszony w twarze towarzyszków, jakgdyby chciał koniecznie domyśleć się ich uczuć.

— Dobrze się stało — rzekł Wolimir — żeśmy wyprawili starego Wszebora do Ciechanowa, bo cóżby tu robił?

Tu przerwał mu odgłos zbrojnej stopy, zbliżającej się powolnemi krokami do drzwi komnaty.

— Cóż to za sokół, tak późno przylatujący? — zawołał pan Moskorzewa.

Ledwo tych słów domówił, aliści otworzyły się podwoje i ukazał się mąż wysokiego wzrostu w zupełnej zbroi i z spuszczoną przyłbicą. Wszystkie jego poruszenia, chód, postawa, nadzwyczajną powagę i godność wydawały. Podniósł śmiało głowę, jakgdyby pogardzał otaczającymi, i, nie powitawszy żadnego z nich, dobrze znajomy drogi, zbliżył się do drugich drzwi i zniknął w długim korytarzu, wiodącym do komnaty króla Władysława.

Rzucili się za nim Wolimir i Sieciech, ale skinął tylko ręką rycerz, a kiedy posuwali się dalej, stanął i założył ręce na piersi.

— Jak się zowiesz? Kto jesteś? — krzyknął Sieciech. — Tu króla mieszkanie.

— A więc dobrze — odparł nieznajomy — bo właśnie chcę się z królem widzieć.

Po tych słowach podwoił kroków rycerz, otworzył drzwi komnaty Władysława i przymknął je za sobą.

Wolimir już miecza dobywał, sądząc, że to może jakiś morderca, ale Sieciech go wstrzymał.

— Wracajmy, głos jego poznałem!

Król polski siedział w szerokim krześle, a jeden z jego dworzan w bogatym ubiorze odmawiał mu litanie, stojąc o kilka kroków, kiedy wszedł mąż zbrojny. Ten widok przeraził monarchę, ale rycerz odkrył przyłbicę, a Władysław rozciągnął ramiona i ścisnął niemi ukochanego syna.

— Dobrześ zrobił, Zbigniewie, żeś sobie ojca przypomniał. Dobrześ zrobił, żeś zawarł pokój, żeś zaprosił Mieczysława do siebie. Piękne tam musiałeś wyprawiać gody, zaiste szkoda, że mi wiek nie dozwolił dzielić waszej radości. Dobrześ zrobił, synu, o, dzięki ci Boże! Niechże cię pobłogosławię, mój synu!

Zbladły i pomieszany stał przed ojcem Zbigniew, bo, idąc do niego, nie spodziewał się takiego przyjęcia, nie spodziewał się słyszeć słów tak łaskawych; przybył zobaczyć jeszcze raz ojca i oddalić się na długo, może na zawsze. Ale kiedy zamiast gniewu dobroć, zamiast przekleństw błogosławieństwo go spotkało, wzdrygnął się na myśl, że tak dobry, czuły ojciec zobaczy za chwilę wszystkie nadzieje powiędłe i radość zniszczoną. Jednak kląkł przed rodzicem i schylił czoło, a Władysław położył mu ręce na głowę i wezwał Boga sprawiedliwości, by nagrodził cnotę syna i ciągle nad nim czuwał.

Po tym tkiwym obrzędzie powstał książę i kazał oddalić się dworzaninowi.

— A więc — ozwał się Władysław — już Wszobor odzyskał córkę, Mieczysław narzeczoną, a ty czyste sumienie.

Milczał Zbigniew, starając się oddalić chwilę wyznania, ale, słysząc pochwały Władysława, uczuł, że niegodnem było dłużej uwodzić ojca i króla, a kiedy monarcha zapytał się po drugi raz:

— Więc już pewno mój synu, Mieczysław i Hanna na zawsze zostali połączeni?

— Tak — odpowiedział uroczystym głosem — połączeni na zawsze w grobie! — Potem rzucił się do stóp króla i w krótkich słowach zdradę żony opowiedział i zbrodnię wyznał.

Trudno opisać wrażenie, jakie uczyniła na duszy ojca mowa księcia. Kołysany dotąd miłym złudzeniem, że Zbigniew wrócił na prawą drogę, ujrzał w jednej chwili wywrócone nadzieje i syn szlachetny, który poświęcił ojcu i krajowi najgorętszą namiętność, zamienił się w jego oczach na wyrachowanego zbrodniarza i zimnego brata i żony mordercę. Nie przygotowany do tak strasznej nowiny, uderzony nagle odkryciem bez poprzednich domysłów lub przeczuć, uczuł starzec cały ciężar lat i rozpacz, spadający na serce. Krew w żyłach się ścięła i przez chwilę nic nie wiedział, nic nie słyszał. W obłędzie i zamęcie wyobrażeń zdawało mu się, że już ziemię porzucił i cierpi męki piekła, których tak za życia się obawiał, a tymczasem książę Zbigniew wciąż klęczał u stóp jego i czekał ostatniego wyroku. Choć i on zapewne w okropnym był położeniu, zachował jednak całą spokojność i pewny rodzaj dumy, pochodzącej z uczucia dopełnionej powinności, bez obawy i trwogi, błyszczał na ponurem czole, jak ostatni promień zachodzącego słońca, który, czarne przedzierając chmury, jeszcze raz zegnął się z zieloną łąką i srebrnym strumykiem.

Wtem wrócił do życia król Lechii, a zarazem do naj-sroższych cierpień; ujrzał przy sobie syna i z drżeniem odsunął krzesło, wyciągnął bladawe ręce, twarz odwrócił i pamięć na brata, którego syn zginał, na nieszczęśliwego Wszebora, któremu daremno sprawiedliwość obiecywał, zajęła zupełnie jego umysł. Zdawało mu się, że występki syna nań spadną w dniu ostatecznego sądu i że Bóg sam każe mu Zbigniewa ukrócić.

— Morderco! — zawołał. — Precz z moich oczu! Bez

woli ojca, sprzecznie z chęcią narodu pojąłeś za żonę oblubienicę brata, by potem potargać związki, święte przed niebem, godną piekła zbrodnią. Wyrzekam się imienia ojca, nie znam już ciebie, oddaję cię boskiej i ludzkiej sprawiedliwości, nic cię nie ochroni od wyrzutów i zgryzot! Ryce-
rzem i księciem być już przestajesz, spadłeś poniżej człowieka! Dzieci cię palcami wytkną, wołając: »To morderca brata i żony!« Zginiesz marnie, przepowiadam ci, zginiesz od żelaza zabójcy, zginiesz z najbliższej ręki! Bóg odwraca oblicze od ciebie, a ja cię przeklinam...

Lecz jak tylko wyrzekł to słowo wyroczne, zatrzymał się, jakgdyby sam nie wierzył sobie, spojrzał na księcia, a kiedy ujrzał szlachetną jego postawę i głowę pokornie, choć jeszcze z ostatkiem dumy, schyloną przed ojca wzrokiem, zalał się łzami i, zapomniawszy o wszystkim, o synu tylko pamiętał.

— Nie, Boże — zawołał — nie wysłuchaj nierozważnych słów człowieka w rozpacz! Odwołuję to, com wymówił!

— Już się stało, panie i ojcie mój — rzekł poświęcony na wszystko Zbigniew — ostatnie nieszczęście już mnie dotknęło. Straciłem ubóstwianą dawniej istotę, imię moje, świętne niegdyś, pokryłem zasłoną obrzydzenia i zawiści. Tego jeszcze nie dostawało, ale i to rączęm przyleciało skrzydłem. Może prędzej obarczony ludzi i ojca przekleństwami życie zakończę, a wtenczas lepiej będzie! Teraz żegnam cię, ojcie, jeszcze dzisiaj opuszczam to miasto i udaję się do mojego zamku na Pomorzu. Żegnam cię, kochany ojcie.

To mówiąc, ze łzami w oczach ścisnął kolana króla i ostatni pocałunek złożył na jego ręce.

— Nie, nie przekląłem cię — rzekł osłabiony Władysław.

— Już się stało — odparł mocnym głosem Zbigniew — i twój wyrok już zapisany w księdze przeznaczenia.

Po tych słowach oddał głęboki pokłon i wyszedł; ale jak tylko drzwi oddzieliły go od jedynej osoby, od której niższym się uznawał na ziemi, zmienił i postawę i wyraz twa-

rzy. Schyloną dotąd z uszanowaniem głowę podniósł wysoko, smętność zamknął w głębi serca, a jej znamie spędził z bladawego lica, na którym pycha się została. Zamiast chwiejących się kroków poważny chód przybrał i nieustraszona śmiałość zabłysła na czole, jak gwiazda nocy na błękie niebios. Kiedy doszedł do komnaty, gdzie siedział wojewoda z towarzyszami, groźnie spojrzał na wszystkich i prawie złożył na rękojeści miecza, a potem, obracając mowę do Sieciecha, rzekł:

— Zatrudnij się, wojewodo krakowski, pogrzebem tych, co mnie zdradzili! Ich ciała leżą w biesiadowej sali. Takie zlecenie daje ci syn twojego króla, odjeżdżając na Pomorze.

Wszyscy milcząc i osłupieni, słuchali tego głosu, który tyle razy grzmiał w bojach, a teraz jeszcze po najokropniejszych wypadkach nic z swojej mocy nie stracił, a choć brzydzili się widokiem tak okrutnego człowieka, choć się już zdawało, że patrzą na poświęconą sprawiedliwemu gniewowi niebios ofiarę, przejęci śmiałością nie śmieli ani odpowiedzieć, ani najmniejszym nawet poruszeniem wewnętrznych uczuć wyjawić.

Zostawił ich książę i tym samym poważnym, którym wszedł, krokiem oddalił się od wojewody, dosiadł konia, czekającego nań przy bramie i puścił się wśród ciemności do brze znaną drogą do swojego zamku.

Stały już tam pod bronią szeregi, mające towarzyszyć księciu w dalekiej drodze. Nielicznymi pochodniami oświeceni, żołnierze podobni byli do czarnych duchów, oczekujących na zdobycz, a kiedy Zbigniew wleciał między nich na rumaku pianą okrytym, kilka tylko okrzyków: »Niech żyje nasz książę!« zmieszało się z świstami wiatru. Jordan i Krystyn objęli dowództwo nad hufcami, porzucającemi zamek, który przez trzy miesiące był świadkiem ich poświęcenia dla pana i dzielnej odwagi.

Książę odmienił konia i naprzód wyruszył. Mówili później żołnierze, że, choć wiatr gwałtowny i ciemność wydierała

ich uszom głosy, a oczom przedmioty, niezawodnie zdało im się, jakoby Zbigniew westchnął odjeżdżając i, wyciągnawszy ręce, załamał je w rozpaczy. Pochodnia przez jedną tylko chwilę oświeciła twarz jego, a choć błyszcząca przyłbica nie kryła liców, odbił się promień o coś świetnego na nich i przez chwilę tylko zdała się ta twarz okryta jaśniejącymi łzami.

Wtem rycerz z Wilderthalu zawrócił konia i, przybiegłszy do orszaku, z tyłu postępującego, skinął na jednego z ludzi, go składających. Wnet wysunął się on z szeregów i, zaprowadzony przez Mestwina pod mury zamkowe, spytał się o rozkazy.

— Pomyślałem i rozważyłem — rzekł rycerz — a stąd wypływa, że się tu zatrzymasz wraz z ludźmi, w zamku pozostałemi. Bądź na pogrzebie waszej wielmożnej księżnej! Ach! ach! ach! jakże się nam udało, mój giermku! Gdyby stary skąpiec chciał się z czem wygadać, gdyby mnie wydać zamyślał, niech twój sztylet pierwej jego serca dojdzie, niż jego słowa otaczających uszu! Nie spuszczań go z oka, wszędzie mu bądź towarzyszem, ale nieznacznie, a potem przybiegnij do nas na Pomorze!

— Stanie się, jakeś rozkazał, panie i rycerzu mój — rzekł Ulrych, a Mestwin spiał konia ostrogami i zniknął.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Wszyscy znają zachwycającą tkliwość pogrzebnego obrzędu. Któryż bowiem człowiek tyle był szczęśliwym, że nigdy nie przyszło mu odprowadzać do grobu ukochanej istoty? Ale jestże co tkliwszego, kiedy ten obrzęd ma za przedmiot zwłoki niewinności i piękności, zwiędłej w kwiecie życia?

Washington Irving.

Nad wieczorem, przy pogodzie jesiennej, mnóstwo ludu napełniało pole, dzielące Płock od zamku, opuszczonego przez księcia Zbigniewa. W tym zbiorze tylu osób wszystkich stanów największy panował porządek i nawet lekkiego nie słyszano szmeru. Wszystkich oczy spuszczone na dół i posępne twarze dowodziły niespokojnego oczekiwania jakiegoś zdarzenia, a zdala dzwony kościoła katedralnego nieustannie brzmiały; z drugiej zaś strony, z dziedzińca zamku, wznosiły się smutne śpiewy księży i zakonników. Setne pochodnie, czerwonego dymu obłokiem przesłonięte, błyskały nad murami i basztami. Czarna chorągiew, zatknięta na wieży, niewzruszona stała, bo najmniejszy nawet powiew wiatru cichości nie przerywał. Uroczysty zapewne był obraz, rozciągający się przed okiem widza. Tu tłumy ludu w bojaźliwym milczeniu, tam gmach żałobny, oświecony światłem żałoby i uwieńczony sztandarem śmierci, pienia, unoszące się po powietrzu, dochodziły uszu otaczających. Nie były to

lekkie, wesole pieśni, przy godach lub świętach używane, ale surowe, uroczyste tony, wznoszące się ku niebiosom za duszami, które porzuciły ziemię; było to harmonijne wynurzenie żalu, bardziej do ogólnego jęku niż do śpiewu podobne. Ruch nadzwyczajny ukazywał się w zamku; wszędzie biegali słudzy, księża, rycerze, wodzowie, a nareszcie za znakiem, danym z wieży, zaczął się smutny obrzęd pogrzebu Hanny z Ciechanowa i Mieczysława.

Najprzód z bram zamkowych wyszedł arcybiskup Stefan ze zgrozą na czole, a krzyżem złotym w rękach; za nim tłoczyło się mnóstwo zakonników i duchownych, a każdy z nich trzymał pochodnię. Posuwali się krok za krokiem, odmawiając modlitwy głosem poważnym i smutnym; dopiero za nimi okazywały się mary, na których wierni, starzy żołnierze nieśli syna tego, pod którym Kijów zdobyli. W zupełnej zbroi leżał młodzieniec i z spuszczoną przyłbicą, bo aż zanadto okropne ślady zostawiła trucizna na jego twarzy; ręce, w krzyż złożone, trzymały rękojeść miecza, który, tyle razy zwycięski, szedł dzielić los pana w zimnym grobie.

Stąpił za ciałem księcia dzielny jego rumak, pokryty całkiem czarną zbroją, a prowadziło go czterech giermków w żałobie. Dalej szedł orszak żołnierzy z spuszczonymi dzidami i w ciemnych pancerzach.

Dopiero za tym hufcem następował wóz, purpurowem suknem pokryty i przez sześć koni ciągniony. Na purpurze spoczywała w śnie śmierci piękna jeszcze Hanna z Ciechanowa. Oczy zawarte i zsiniałe usta śmierci znamie nosiły, ale nad czołem wznosił się wieniec z mirtu, przeplatający swoje zielone listki z złotą książęcą koroną. Włosy, rozpuszczone z obu stron, spadały, jak dwa błyszczące z kwieci-stej góry strumienie. Ubiór raził przepychem oczy patrzących, które dopiero spocząć mogły na twarzy, z której anielską słodycz jeszcze ani śmierć ani zepsucie zatrzeć nie zdołały. Wszystkim łzy w oczach stawały, a tymczasem

przesuwał się wóz, niosący do ostatniego mieszkania zwłoki niewiasty, której nieba pozazdrościły ziemi.

Zaraz za księżną na niższym wozie leżała nieszczęśliwa Katarzyna. Jej ubiór składał się z śnieżnej sukni, niebieską wstęgą przepasanej, z krzyża srebrnego na piersiach i wieńca z róż białych. Obok jej mar postępował Henryk, chcący doprowadzić aż do ostatniej granicy tego świata drogą obłubienicę. Szedł rycerz z Kaniowa z posępnem czołem, a czasem odrywając wzrok od lubej Katarzyny, ścigał nim niesionego Mieczysława i, nagle przechodząc od cichej ponurości do gwałtownego gniewu, otoczony trupami tylu drogich osób, pozbawiony prędkiej zemsty, tłukł piersi żelaznymi rękawicami lub wściekle to wyjmował, to chował do pochwy swój oręż.

Tu dopiero, za ostatnim wozem, tłoczyły się tłumy pospólstwa, panów, rycerzy, to pieszo, to konno. Wojewoda krakowski na czele swojego orszaku, Wolimir z Moskorzewa i wielu innych; ale pomiędzy wszystkimi siedł zbladły i drżący człowiek w brudnych i starych sukniach. Wiek podeszły był u niektórych wymówką jego bojaźni, bo mógł się straszyć na widok śmierci, wyciągającej już do niego ramiona; ale bliżsi jego znajomi powtarzali sobie do ucha imię Skarbimira z Gulczewa i dziwne z jego błądności wyciągali wnioski.

Wtem nagle fale runącego ludu uniosły go w pędzie aż do miejsca, gdzie stanęli żołnierze, niosący księcia, i wozy, na których leżały zwłoki Hanny z Ciechanowa i jej towarzyszek. Tu zatrzymały się tłumy, a biskup płocki zaczął odmawiać modlitwę wraz z otaczającym go duchowieństwem.

Pan Gulczewa, zewsząd ściśnięty i popychany, musiał stać wprost naprzeciw ciał osób, których zgonu po części był przyczyną. Przerażający ten widok, smętne wszystkich twarze przejęły starca bojaźnią, śpiewy, wznoszące się ku niebu, zdały mu się wołać o pomstę na sprawców zbrodni. Powoli mięszyć się myśli zaczęły, w każdego oku zapalczy-

wość spostrzegął, każdy oręż błyszczący zdał mu się w własne skierowany piersi, uległ nareszcie pod ciężarem wspomnień i upadł zemdlony. Zaraz otoczyli go własni ludzie, którzy się przez tłum przedarli, a wojewoda krakowski kazał go zanieść do miasta.

Przerwany na chwilę tym przypadkiem, obrzęd ciągnął się dalej z tą samą powagą i uroczystością, jak pierwiej. Coraz bardziej mrok zapadał, a szkarłatne na zachodzie chmury co chwila bladszemi się stawały. Wtenczas zapalono niezliczoną ilość pochodni i całe zgromadzenie, uwieńczone tysiącznemi światłami, dalej się posunęło. Zbroje, bogate duchownych ubiory, suknie panów połyskiwały zdała, a pochodnie, niesione przy wozie księżny, zlewając czyste promienie na twarz bladawą, złotą jej barwę nadawały i były obrazem na ziemi promieni chwały, otaczających jej duszę w niebiosach. Niebo białawą, przeźroczystą mgłą pokryte, przyćmionemi tysiącznemi oczyma patrzyło na obrzęd pogrzebu tak, jakgdyby smutek ziemi mógł się być udzielić sklepieniom nieśmiertelności; a każda kropla rosy, spadającej w cichości na pola, wydawała się być łzą, posłaną od aniołów w holdzie nieszczęśliwym.

Wszystkich myśli zwróciły się do Boga. Obraz posępnej nocy, towarzyszący posępniejszej jeszcze śmierci, przejmował niezrozumianą, nadludzką trwogą. Wszystkie serca, czy to pod rąbkiem niewieścim, czy pod żelazną zbroją ukryte, zarówno temu wpływowi podlegały. Nie było różnicy w uczuciach tak różnych stanem i zatrudnieniami ludzi, każdy zapominał o rzeczywistości, pograżając się w marzeniach, a tymczasem zbliżali się do kościoła katedralnego, którego dzwony coraz głośniej słyszeć się dawały.

Za przybyciem do świątyni stanął biskup i lud cały pobłogosławił, a potem kazał wnieść ciała umarłych pod święte sklepienia. Wszystkie ściany i filary, czarnem suknem obite, żałobny widok przedstawiały. W środku kościoła Mieczysław, obok Hanny postawiony, zwrócił wszystkich oczy. Po od-

śpiewaniu modlitw i litanii przystąpił Stefan do pochowania ich zwłok. Do dolnych grobów znieśli ciała najznacniejsi panowie i urzędnicy, a tam zimny kamień przywalił serca tak piękne, tak namiętne za życia. Mniejszy głaz z marmuru zakrył obok Katarzynę przed oczyma Henryka — i wszystko się zakończyło.

ROZDZIAŁ XXIX.

Już nad nim Boga rozciągnięta ręka.
Melodye hebrajskie.

Już tydzień upłynął po pogrzebie, kiedy dnia jednego przybył do biskupa plockiego zdyszany Bardan i po krótkiej z nim rozmowie prędko się oddalił. Wnet potem Stefan wraz z kilkoma duchownymi i dworzanami udał się do mieszkania podskarbnika królewskiego, gdzie nadzwyczajne panowało zamieszanie. Na samym progu spotkał szanowny kapłan wojewodę krakowskiego, który mu oznajmił, że od czasu pogrzebu wpadł skarbnik w niebezpieczną słabość, nie wstrzymaną żadnemi sztuki lekarskiej środkami, i że teraz, czując blizki koniec, prosił, by wezwać biskupa, wobec którego i kilku innych panów chciał wyznać ciężkie jakieś winy.

Zmarszczył brwi biskup na te słowa i gorzko westchnął.

— Czyż zawsze zbrodnie — zawołał — ziemię ci w obrzydzenie podawać będą, o Boże! — i szedł za Sieciechem.

Pokój, w którym leżał pan Gulczewa, nosił oczywiste jego skąpstwa dowody. Ściany, żadnem nie zasłonięte obiciem, pokryte były ogromnemi plamami wilgoci, która gdzieśniedzie nawet w kroplach się sączyła. Kilka słomianych stołków widziano tu i owdzie stojących, a łoże z najgorszego drzewa stało przy brudnym stole. Twarz Skarbimira, zawsze odrażająca, okropniejszą jeszcze teraz się stała. Wy rzuty sumienia wyryły na niej ślady swojej zemsty, a oczy,

dawniej tak żywe, napół przymknięte były, bo już światło słońca było ciężarem zbrodniarzowi. Naokoło stali w przerażeniu dworzanie i sługi, a między nimi znany przez Bardana Ulrych, który podług rozkazu pana na krok nie odstępował podskarbnika od czasu jego zasłabnięcia. Często zostawał z nim sam na sam, lekarstwa mu podawał, ale nie miał serca zabijać bezbronnego i czekał, aż ostateczna konieczność do tego go zmusi. Zdziwił się wprawdzie nieco za przybyciem biskupa i zaczął mieć podejrzenia. »Może, pomyślał, chce przestraszony bliskością zgonu, wyznać wszystko? Ale, na Boga, dopełnię mego pana rozkazy, bo wierność pierwszą jest cnotą, a potem ten stary skąpiec nie godny ani życia, ani imienia człowieka«.

Zbliżył się wojewoda z biskupem, za nimi szło kilku innych panów, pomiędzy którymi wmieszał się i Henryk z Kaniowa.

Na widok Stefana podniósł się trochę Skarbimir i głowę schylił, a potem osłabionym ozwał się głosem:

— Panowie, czuję śmierć bliską. Szanowny kapłanie, już kończę życie, ubogi, biedny, samotny, widzisz: nie mam nawet porządnej komnaty ani dobrego łoża, gdziebym spokojnie dech ostatni mógł wyzionąć. Ale to wszystko zniósłbym jeszcze, gdyby nie okropne wspomnienia. Tak... dalej mówić nie mogę, wzdrygam się.

— Chrześcijanie umierający — rzekł mocnym Stefan głosem — skrucza i żal mogą cię z toni piekła wznieść pomiędzy szczęśliwych aniołów. Wyznanie winy przede mną samym, jeśli się ciebie tylko tyczy, przed wszystkimi, jeśli i inne osoby dotyka, jest twoją powinnością; bez jej wypełnienia nie trafisz do nieba.

Prerażony Skarbimir spuścił oczy, a potem się odezwał:

— Ah, jakąż sławę zostawię po sobie?

— Obieraj — zawołał Stefan — ziemską sławę lub szczęście niebieskie!

— Ah, męki piekła! Wyznam wszystko. Tak, biskupie

płocki, ja jestem przyczyną śmierci księcia Mieczysława i Hanny z Ciechanowa...

Ale tu dalej mówić nie mógł.

Wtem wszczął się rozruch między otaczającemi; przedarł się przez nich młodzieniec i zbliżył do łoża z przeciwnej strony tej, gdzie stał wojewoda. Sieciech dostrzegł coś dziwnego na twarzy Ulrycha i położył rękę na szabli, a tymczasem giermek schylił się ku podskarbiemu dla podania mu lekarstwa, a postawiwszy potem flaszkę na stole, szybko sztylet wyciągnął i wznosił do góry; ale prędzej jeszcze wojewoda długiej szabli dobył i w mgnieniu oka podstawił ją pod spadającą rękę młodzieńca. Odleciała odcięta od ramienia prawica, ściskająca sztylet, a Ulrych ciężki krzyk wydał i upadł bez zmysłów. Natychmiast wojewoda schwytać go i w kajdany okuć rozkazał, Arcybiskup zaś ledwie oddychającego już Skarbimira po drugi raz zaklął, by wyjawiał skryte i tak ciężkie, jak wydawało się, zbrodnie. Ale Skarbimir ostatni raz już pasował się z śmiercią, okropny rumieniec wystąpił mu na lica i wzdęły się żyły, ciągnące się sinemi pasmami na czole. Gardło gwałtownemi ruchami dowodziło trudności oddychania, a nareszcie wybuchnęła nosem, ustami i uszami czarnym krew potokiem. Biskup przycisnął do ognistych liców krzyż srebrny. Ciężkie westchnie wydał podskarbnik i, podniósłszy się trochę, umoczył palce w własnej krwi, a potem niekształtnem pismem na ścianie napisał: »On wie«. Po tem ostatniem wysileniu utracił całą siłę i upadł na zbroczone łoże. Chwilą potem ustały jego gwałtowne ruchy, rozciągały się drgające członki i zmartwiały.

— On wie — powtórzył biskup i wskazał na Ulrycha, który, odzyskawszy zmysły, wściekle poglądał na odciętą rękę i bezwładne już ramie.

Natychmiast wojewoda, Henryk z Kaniowa i insi, otoczywszy młodzieńca, zaczęli mu liczne zadawać pytania; ale giermek Mestwina z pogardą na nich poglądał, usta zaci-

śnieże trzymając. Najsrozsze bóle żadnego jęku mu nie wydierały. Spokojny, śmiałym wzrokiem odpowiadał na badania otaczających, a choć pęta ciała mu ścisnęły, dusza jego wolną się wydawała, a choć krew sączyła się z rany, nie słabł umysł i z podwojoną męką podwójnej nabywał siły.

Niecierpliwy Sieciech dobył miecza i groźnie wznosił go ponad głowę Ulrycha. Młodzieniec uśmiechem wzgardy i obojętności wyraził wewnętrzne uczucia i najmniejszego znaku przerażenia nie dał. Długo jeszcze starali się przytomni dowiedzieć się czego, lecz milczenie giermka wciąż trwało. Rozgniewany wojewoda kazał wtenczas kilku żołnierzy zawołać, oświadczając, że najokropniejsze męki zdołają usta mu otworzyć. Biskup nie zgodził się na to i prosił wszystkich, by odstąpili, a sam, zbliżywszy się do młodzieńca, tak słodkim głosem przemówił:

— Dzielnaś okazał odwagę i męstwo, lepszej sprawy godne. Dopóki równi tobie wojownicy zadawali ci pytania, mogłeś sobie mieć za chlubę utrzymanie milczenia, którego ani groźby ani boleści zerwać nie zdołały, ale teraz jako chrześcijanina, jako syna Kościoła zapytuję cię w imieniu Pana twego i Boga, powiedz, co wiesz w tej ciemnej sprawie! Twoje serce jeszcze nie tak zatwardziało, by się nie wzdrygało na myśl zostawienia zbrodni bez kary. Możesz niewinności, choć już znikłej z tej ziemi, wrócić jej ozdoby i sławę, a więc zaklinam cię, powiedz, co wiesz o Mieczysławie, i, jeśli to w twojej mocy, nie dozwól, mój synu, by na pamięci Hanny z Ciechanowa ciężła plama hańby i zdradzonych powinności!

Na imie Hanny z Ciechanowa zmieniła się zupełnie twarz młodzieńca, wyraz oporu i nieugiętej woli ustąpił niezrozumianej jakiejś czułości. Łza zgasła ponury ogień, dotąd błyszczący mu w oczach, ale jeszcze wahanie znać było na ustach, napół otwartych. Z czoła wyniosłego zeszła burza gniewu i rozpacz, ale natomiast osiadła tam chmura żalu. Jedno słowo, jedno wspomnienie trafiło do serca i czułość

obudzona dzikie namiętności w ciele łzami zatopiła. Dłużej już nie mógł wytrzymać i drżącym głosem zawołał:

— Świadcami jesteście wszyscy, że trwoga przystępu do mojej duszy nie miała. Pozbawiony ręki i wszelkiej obrony, okuty w wasze kajdany, nie schyliłem czoła i na chwilę, nawet bladość bojaźni twarzy mojej nie okryła. Męki naj-sroższe nie wydarłyby tajemnicy z głębi piersi; ale kiedy wezwał mnie biskup płocki na świadka, kiedy kazał mi w ostatnich życia chwilach uwolnić umarłą piękność od sro-motnego zarzutu, wypełnię powinność chrześcijanina i ry-cerza.

— Żelazo moje nieraz nasiąkło krwią nieprzyjaciół lub wskazanych ofiar, i umiałem przytłumić wyrzuty sumienia. Słyszałem pienia śmierci i dźwięki wzywających na wieczny spoczynek dzwonów, i przytłumiałem wyrzuty sumienia. Te-raz wszystko odkrywę. Kilka chwil do życia mi pozostało, poświęcę je prawdzie, ale niech wasze usta szyderczego śmiechu nie przybierają, niech wasze oczy wzrokiem pogardy na mnie nie patrzą! Nie róbcie sobie znaków, bo nie przed waszą uległem przemocą, bo nie wasz oręż mnie przeraził; ale uczucie powinności usta mi rozemknęło!... Słuchajcie!

Tu dopiero zaczął opowiadać znajome nam wypadki, wy-jawił przyczynę śmierci księżny i Mieczysława, usprawiedli-wił Zbigniewa, Mestwina uniewinnić się starał, wystawując szal namiętności, który go opanował i nie zostawił żadnej rozsądnej myśli miejsca w jego duszy.

Wszyscy w podziwieniu i trwodze tych słów słuchali, spoglądając na człowieka, któremu w samych zbrodniach pewnego rodzaju szlachetności i cnoty odmówić nie mogli.

Ulrych, skończywszy mowę, schylił czoło i przez chwilę dumiał głęboko, a potem prosił, by mu zdjęto okowy. Na znak biskupa uwolniono go od kajdan, a młodzieniec, z dumą zrzuciwszy żelazne łańcuchy, zbliżył się do Sieciecha.

— Panie krakowski — rzekł smętnym głosem, wznosząc ramię, pozbawione ręki — tobiem winien okropną ranę, wy-

trąciłeś mi oręż na wieki i z nim sławę, mnie czekającą. Kto w tych wiekach niezgód i zaburzeń zechce spojrzeć na nędznego kalekę, ogołoconego z prawicy? Nikt okiem litości nawet na mnie nie spojrzy i nie żądam litości. Zawód mój zakończył się na ziemi. Cięcie twojego miecza oddzieliło mnie od chwały, a zarazem od życia, a jednak nie czuję zemsty ku tobie; zrzuciłem z serca ogromny ciężar i ta rana mniej mi dolega. Lecz może jeszcze potrafię się dobić sławy — dodał, jakgdyby wracała nadzieja do jego serca. — Pozwólcie mi tego miecza, spróbuję nim władać lewą ręką!

Jeden z przytomnych ze łzami w oczach podał mu oręż.

— Teraz — zawołał młodzieniec z nadzwyczajnem uniesieniem — nie lękam się już ani waszych mąk, ani szubienic! Nie zginie Ulrych haniebną śmiercią zbrodniarzów, bo jeśli pełnił zbrodnie, miał jednak czule serce. Patrzcie, jakie lewe ręce cięcie!

I nim go kto mógł wstrzymać, utopił w piersiach krótki i ostry pałasz i upadł na ziemię.

Biskup wzdygnął się i podniósł oczy do nieba, a wszyscy obecni zwrócili je do okropnego widoku. Jeden Henryk z Kaniowa zachował krew zimną, czyli raczej wściekłość nie dozwoliła mu uczuć litości i przerażenia; wystąpił z grona towarzyszy i stanął przy trupie Ulrycha. Tu wyjął z pod koczugi pukiel ciemnych włosów i, umoczywszy je w krwi nieszczęśliwego, zawiesił na szyszaku między trzema białymi piórami.

— To są włosy księcia i pana mojego. Przysięgam dopóty ten znak nosić na hełmie, dopóki go powtórnie nie zanurzę w krwi drugiego mordercy, Mestwina z Wilderthalu. Niechaj Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty słyszą tę przysięgę i niech święty Stanisław i szabla moja ku pomocy mi będą!

To powiedziawszy, wyszedł, ściskając rękojeść miecza.

W kilka dni później pochowano Skarbimira, ciało Ulrycha za cmentarzem w dół rzucono. Sieciech zaś, chcąc

przywiązać do swojej służby rycerza z Kaniowa, kazał go do siebie zaprosić; ale nadaremno Jarosz z Kalinowy przebiegł wszystkie Płocka ulice, nigdzie nawet i śladu Henryka nie znalazł. Żołnierze, stojący u wałów miejskich w dzień śmierci podskarbiego, donieśli potem wojewodzie, że rycerz, podobny z postawy i ubioru do znikłego, lotem błyskawicy przeleciał już blisko nich w nocy na czarnym rumaku i że przez chwilę wśród cieni wieczora ujrzeli migającą się zbroję na jego piersiach, kiedy pędził drogą, na północ wiodącą.

ROZDZIAŁ XXX.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie tve miano?
Kiedy się tobie przypatruję z blizka,
Zdaje się, że cię kiedyś widziałem...

Dziady.

Musiemy teraz przenieść czytelników naszych daleko od Płocka, do jednej z okolic Pomorza, oświeconej w tej chwili zachodzącego słońca promieniami. Dzikosć największa panowała wówczas w tej krainie, nieuprawne pola leżały odłogiem, a pokrzywy, chwasty i ciernie rosły, gdzieby mogły kłosa w złotych płynąć przed wietrzykiem falach. Zbliżający się wieczór jeszcze posępniejszą barwę nadawał przedmiotom. Wzgórza to zniżającym się, to podnoszącym wieńcem otaczały liczne jeziora, których wzdęte silnym wiatrem wody wydawały się zdala przy purpurowym blasku słońca niezliczonemi falami z płomienia. Lasy, już jesienną przyodziane szatą, zarastały wielką część przestrzeni. Z blizka można było rozeznąć zielone liście, pomieszane z żółtymi i czerwonymi. Dalej zaczynały się stapiać z sobą te kolory, a wzrok, sięgający aż do ostatku widnokręgu, postrzegał już tylko szare ogrody, zdające się olbrzymiem pasmem łączyć ziemię z czystym niebios błękitem.

Jedyny ślad pracy ludzkiej w tej dzikiej puszczy, była droga często wijącemi się roślinami zarosła lub ogromnemi kamieńcami zavalona i niekiedy w ciasną przechodząca

ścieżkę; kręciła się ona ponad wodami, ustawała u stóp wzgórzów, gdzie kilka tylko śladów ciężkich wozów pozostawało, lecz z drugiej strony znów ukazywała się szeroka i dobrze odznaczona, by trochę dalej zniknąć pośród zarośli i kamieni różnego rodzaju i wielkości. Właśnie w jednym z miejsc, gdzie trudną była do rozeznania, ostatnie promienie słońca oświecały młodego rycerza, siedzącego na koniu, który się zatrzymał, by, jak się zdawało, zaczekać na człowieka, schodzącego w oddaleniu z spadzistej skały. Jeździec i rumak długą zmęczeni byli drogą, bo pierwszy nieustannie pot z czoła obcierał, a drugiego całkiem biała piana okryła. Za siodłem leżał mały tłómaczek, zawierający zapewne ubiór i żywność rycerza, a blisko lewego strzemienia wisiał topór, używany w owoczesnych bojach. Zbroja, pokrywająca nogi młodzieńca, błotem zbryzgana, dawny połysk straciła, kiedy tymczasem pancerz jaśniał stalowemi, na nim wyrobionemi ozdoby. Twarz jego, choć nosiła znamiona znużenia, wyrażała oprócz tego jakąś ciężką tęsknotę, połączoną z piętnem niestartej woli. Hełm, w kilku miejscach porysowany nadybanemi w podróży gałęzmi, dziwne miał znaki, bo wśród trzech piór białych, połamanych i kurzawą okrytych, tkwił pukiel czarniawych włosów, zeschlą krwią zbroczony.

Poglądał rycerz w górę, jakgdyby chciał poznać, ile chwil do nocy nie dostaje, to znowu wyciągał rękę i wołał do siebie znakami niedalekiego już wędrowca. Im bliżej tamten przystępował, tem chciwiej młodzieniec zatapiał w nim oczy i starał się w sobie dawne obudzić wspomnienia. Nieznajomy, ubrany po myśliwsku, rączym postępował krokiem, trzymając ogromny łuk w ręku. Kołczan, wiszący z tyłu, wypróżniony był do połowy z grotów, a ogromny szary orzeł zarzucony był przy nim. Twarz myśliwca, spalona od słońca, wyrażała pewien rodzaj niedbałej o nic odwagi. Już tylko mały rów dzielił go od rycerza, kiedy ten wykrzyknął:

— Witam cię, Krystynie z Mortoga.

Zdumiony Krystyn zatrzymał się na chwilę, a potem zawołał:

— Niech mnie tysiąc Prusaków posieczy, jeśli cię już gdzieś nie widział! Kto jesteś? Skąd? Ach! wiem, nic nie mów, wiem! Henryk z Karnowa... z Karnowa lub coś podobnego.

— Lub z Kaniowa — przerwał rycerz, wyciągając rękę do dawnego wroga.

— A cóż tu robisz na Pomorzu? — przerwał rycerz. — Czy przychodzisz służby szukać u naszego księcia?

— Przybywam owszem służbę jego zmniejszyć o jednego człowieka — odparł groźno młodzieniec.

— Czy do mnie stosuje się ta mowa? — krzyknął rycerz z Mortoga, dobywając miecza.

Męski zapach Krystyna wycisnął uśmiech zbladłym ustom Henryka.

— Nie — odpowiedział — nie ciebie szukam, bo szanuję rycerzy godnych tego imienia, a szczególnie tak męznego, jak ty, mój Krystynie.

— Dobrze, dobrze, mój Henryku, ale nie lubię na darmo dobywać pałasza. Spróbujmy się choć trochę, do pierwszej krwi, nie żądam więcej! Mój drogi, mój kochany Henryku, do pierwszej krwi tylko!

— Krystynie — uroczyście zawołał młodzieniec — nie żartuj sobie! Ważna, najważniejsza w moim życiu sprawa przygnała mnie z dworu Hermana w te posępne puszcze. Jużem blizki celu i nie myślę w dziecinnej walce narażać siły, przeznaczone dopełnieniu świętego obowiązku.

— Jeśli tak, to zgoda, ale daj słowo, że nie czyhasz na życie mojego księcia i pana, bo inaczej powinnością stanie się dla mnie pierwiej cię twojego pozbawić!

— Przysięgam, że nie, bo Zbigniew niewinny; inaczej moje żelazo żadnej nie czyniłoby różnicy między jego lub innego piersiami.

— A więc wszystko między nami skończone.

— Krystynie, bądź łaskaw wskazać mi drogę do zamku księcia! Zapomniałem już, jak się nazywa; czy jeszcze daleko? Lędwie mogłem się w tym przeklętym kraju drogi dopytać.

— Zowie się Waplew, stoi nad Czarnowodą, na skale tak wysokiej, że z niziny jest podobniejszym do orlego gniazda, niż do potężnego gmachu. Dobrze zrobił książę Zbigniew, że zabił tego Ottona de Strontheim i zamek na nim zdobył, bo, na Boga, wszystkie panów polskich wojska nie potrafią go stąd wyrugować. Powiem ci szczerze, że mnie się nudzi; niema ani wojny, ani kłótni, ani pojedynków, a trudno księcia opuścić — taki smutny, taki nieszczęśliwy, już nawet z Mestwinem nie rozmawia. Ale dlaczegoż takeś się wzdrygnął? A toż i Mestwin dziś na łowy wyjechał; ja w inną stronę się udałem, bo nie lubię tego Niemca.

— A kiedy wróci? — przerwał Henryk.

— Niezawodnie jutro. Lecz muszę psy przywołać.

Po tych słowach przyłożył trąbkę do ust i wydał głos chrapliwy, który w jednej chwili wzniosł się w górę, a potem, spadając, rozległ się wokoło. Natychmiast odpowiedziały dalekie naszczekiwania, a choć wiatr przeszkadzał, co chwila głośniejszemi się stawaly, nareszcie z różnych stron przybiegły ogromne brytany i sześć ich otoczyło pana, wyszczerczając ostre na Henryka zęby.

— Cicho, cicho, Obal! Precz Warda stąd, cicho! — zawołał Krystyn, i natychmiast posłuszne psy legły u stóp myśliwca.

— Teraz, gościu, wskażę ci najkrótszą drogę do zamku, bylebyś szedł stępo i nie odbiegł mnie, jak duch na czarnym koniu.

— Idźmy, idźmy więc! — zawołał Henryk.

Ale droga wcale się nie zgadzała z niecierpliwością młodego rycerza, bo, coraz bardziej trudniejszą się stając, prowadziła naszych wędrowców to w głębokie jary, to na strome wzgórza, z których wierzchołka mogli jeszcze dostrzedz kilka

chmur, oblanych promieniami zapadłego słońca. Lasy, któremi przechodzili, błota, w których grzęzli, zdawały się być dobrze znajomymi Krystynowi, bo, śmiałym idąc krokiem, ledwo czasem spojrział na ziemię, a najczęściej z wzniesioną głową śpiewał dumki wojenne, kiedy tymczasem dzielny rumak Henryka zapadał w trzęsawiska lub, wszystkich sił dobywając, ledwo mógł się dostać na szczyt spadzistego wzgórza. Mrok, powoli zapadający, przymnażał jeszcze trudności, ciemne bory podwajały jego cienie, a jeśli czasem widok się rozprzestrzeniał, gęsta mgła, unosząca się nad wodami, przesłaniała go oczom naszych rycerzy.

Już ptaki rzadko się odzywały, już kilka gwiazd zabłysło, kiedy przybyli na brzeg oschłego jeziora, którego powierzchnia, dawniej wodą zalana, teraz zarosła była mnóstwem sitowiu i uginającej się trzciny.

— Jeszcze się tędy przeprawimy — rzekł Krystyn — a potem, stanąwszy na tamtym wzgórku, zobaczymy bliższy zamek i Czarnowodę.

— A już czas — odparł Henryk — bo mój biedny koń ledwo już się wlecze!...

Po tych słowach zeskoczył z siodła i, prowadząc rumaka za uzdę, wszedł pomiędzy zarośle, ale z każdym krokiem nowe rodziło się niebezpieczeństwo, coraz więcej ziemia grzązką się stawała, i już słyszał Henryk szelest przeciskającej się pod spodem wody. Krystyn jednak ze zwykłą niedbałością zagrzewał go do pośpiechu i bez żadnego przypadku doszli nareszcie do wspomnianego wzgórka, skąd już prawdziwie wspaniały widok przedstawił się im przy świetle księżyca.

Niedaleko wznosiła się niebotyczna skała, żadnem drzewem ani rośliną nie pokryta, a na jej wierzchu zmęczone oko niedobrze już dostrzedz mogło białawych czterech wież, połączonych murem, w kwadrat wystawionym. Ognie, błyszczące z okien zamkowych, do małych gwiazdek podobne były. Na najwyższej wieży buchał ogromny płomień, zawsze

w nocy zapalony dla zbłąkanych wędrowców. U spodu płynęła szeroka Czarnowoda, a choć srebrne księżycy promienie igrały z jej falami, zachowywała jednak smętną barwę, od której nadano jej imię; płaczące brzozy nad brzegiem i dęby stuletnie rosły w ulice, jakgdyby przez sztukę wytknięte, a dalej ciemny bór pozostałą część równiny zalegał; kilka chat, rozsypanych u stóp skały, zamek dzwigającej, służyło za stajnie dla koni księcia, nie mogących dojść do wzniesłego mieszkania pana.

Noc, pokrywająca okolicę, księżyc, błyszczący na niebie, ogień, z wieży wybuchający, jakgdyby drugi księżyc na ziemi, i samotność otaczająca dokoła, wystawiały obraz okropnej dzikości, a zarazem, uderzając oczy Henryka, najczarniejszemi zajętego myślami, wprowadzały go w pewien rodzaj szału.

Przeniesiony z ludnej krainy do samotnej puszczy, wyrwany tak nagle z rąk miłości i rzucony w objęcia zemsty, nie miał jeszcze czasu do uśmierzenia burzliwych uczuć, a teraz namiętne uniesienie nim owładło. Zdawało się, jakgdyby okropne tych miejsc odległych przyrodzenie w zgodzie było z jego sercem, i wystawiał sobie, że widzi krew Me-stwina, płynącą, jak strumień wezbrany, po skale. Ognie, zapalone w zamku, wydawały mu się płomieniami piekła — i wyciągał ramiona, by, jak anioł śmierci, wzleci nad poziom, dolecić ofiary i życie jej przeciąć.

Wkrótce jednak żarty Krystyna wyrwały go z tego dumania, i, wsiadłszy na konia, znów zaczął dalej postępować. Niezadługo u stóp skały stanęli.

— Zostaw konia w tej chacie! — rzekł Krystyn.

Henryk zaprowadził zmęczonego rumaka, a za rozkazem towarzysza przyjął go do swojej stajni mieszkanię chaty, a potem oba, zebrawszy siły, zaczęli wązką i węzłowatą drogą wdzierać się na skałę. Po wielu trudach stanęli u bram rozległego zamku, strażnik je otworzył, usłyszawszy głos Krystyna z Mortoga, a za nim wszedł Henryk z Kaniowa.

ROZDZIAŁ XXXI.

Hamlet: Zdaje mi się, że widzę.

Horatio: Gdzie?

Hamlet: Przed oczyma duszy mojej.

Szekspir.

Podwórzec zamkowy, z czterech stron wieżami zakończony, pustym był teraz. Kilku tylko rycerzy, żywo między sobą rozmawiających, stało na środku i zdaleka jeszcze przy świetle pochodni poznał między niemi Henryk ogromną postawę Jordana z Gozdawy.

Krystyn wziął towarzysza za rękę i zbliżył się do znajomych.

— Zapoznajcie się z nim! — krzyknął. — To jest Henryk z Kaniowa, rycerz niezłomnego słowa i niezłomnej szabli. Jordanie, to już dawna dla ciebie znajomość.

— Tak — rzekł uprzejmie, nieco zdziwiony, Jordan — tak, znamy się dobrze. Nieraz iskry sypnęły się z ścierających się naszych mieczy, i widziałem, że żaden rodzaj śmierci go nie straszy. Ale dlaczego tu przybyłeś? Książę nasz drży z wściekłości na wspomnienie Mieczysława, niebezpieczeństwa ci grożą.

— Setne już przebyłem — odparł młodzieniec — by się na to ostatnie narazić, a kiedy jużem tak blisko, pewno się nie cofnę. Upadnie gniew księcia przed moimi słowy; mam ważne mu do odkrycia tajemnice, i prosiłbym którego z sza-

nownych rycerzy, by doniósł Zbigniewowi, że żądam w tejże samej chwili posłuchania u niego.

Podniósł wtenczas rękę Jordan z Gozdawy i wskazał na najwyższe okno naprzeciwko wieży.

— Tam jest mieszkanie naszego pana od czasu przybycia do tej krainy. Tam samotny przesiaduje dni i nocy. Jeden tylko Mestwin go odwiedza, ale i to rzadko. Nikt innyby się nie ośmielił przerwać ponure myśli Zbigniewa, a Niemiec teraz na łowy wyjechał.

— Upraszam, zaklinam was — przerwał Henryk — uczynicie zadość memu żądaniu!

— Ja ręczę — zawołał Krystyn — że on złych nie ma zamiarów.

— Niechaj będzie aniołem — krzyknęło kilku — lecz żaden z nas nie przyjdzie śpiącego lwa zbudzić!

— Zaniechaj zgubnego zamysłu — rzekł Jordan — bo ci szczerze powiem, że cię śmierć niechybna czeka!

— Lepiej zrobisz, kiedy wyjdiesz z tych murów, nim cię sokole oko Zbigniewa ujrzy z góry.

— A więc żaden mi nie odda tej przysługi? — zapytał spokojnie Henryk.

Milczenie wszystkich było dostateczną odpowiedzią.

— Jeśli tak, to sam pójde! — zawołał.

Ale jeszcze raz Jordan starał się go odwieść od zamysłu.

— Pamiętam — rzekł rycerz z Gozdawy — że w wojnie z Prusakami jakiś wódz ich, olbrzym z postawy, a bohater z odwagi, schronił się do takiej wieży wśród ciemnego boru. Z toporem w rękę i szablą u boku dostałem się za nim na wierzchnią część budynku. Toporem drzwi wyrąbałem, a szablą Prusaka zabiłem i jego głowę przez okno, jakby jabłko, wyrzuciłem. Ale tu co innego. Księciu winne uszanowanie, lecz nie bojaźń, mnie wstrzymuje.

— Gdyby — odparł z zimną krwią młodzieniec — setne kopie i szable tej wieży broniły, jeszczebym sam jeden na nie się rzucił, by dopełnić świętej przysięgi...

Po tych słowach oddalił się, zostawując wszystkich w zdumieniu, i zniknął im z oczu wśród grubych murów niebotycznej wieży.

Zaraz w sieni napotkał wąskie schody, które w licznych, ciemnych zakrętach nad jego wznosiły się głową. Gdziekolwiek tylko stojące kagańce oświecały je częściami. Poszedł niemi i, stukając orężem o kamienne stopnie, śmiało postępował, aż nareszcie doszedł ostatniego piętra, gdzie się schody zakończyły żelaznymi drzwiami, napół otwartymi w tej chwili.

Młodzieniec rzucił ciekawym wzrokiem wewnątrz komnaty i ujrzał siedzącego męża z twarzą między dłonie zakrytą. Na blizkim stole paląca się lampa oświecała leżący sztylet, okręcony różaną przepaską.

Przypomniawszy sobie Henryk, że ją miała w dzień śmierci u łona nieszczęśliwa Hanna. Nie zwlekając dłużej, wszedł śpiesznie rycerz z Kaniowa, ale Zbigniew, zatopiony w dumaniu, podniósł dopiero czoło, kiedy już od kilku chwil stał przed nim dzielny młodzieniec.

Zdziwiony syn Władysława porwał się z gniewem i wlepił iskrzące oczy w twarz Henryka. Dawne pamiątki ozwały się w duszy, patrzył się, zbliżył i poznał, a wnet uchwycił oręż i wzniosł go na towarzysza śmiertelnego wroga, nie przemówiwszy i słowa.

— Książę! — zawołał Henryk, nie wiedząc, jak uniknąć grożącego ciosu — Hanna była niewinną!

Wypadła szabla z rąk Zbigniewa, a łzy zalały mulica wspomnienie tak drogiego imienia.

Henryk nie stracił sposobnej pory i, nie dając czasu Zbigniewowi do namysłu, zawołał:

— Synu najjaśniejszego króla i pana mojego, przybyłem z Płocka do tych miejsc odległych, by ci odkryć tajemnicę. Hanna i Mieczysław byli niewinnymi. Mestwin wszystko uknuł i Mestwin jest zbrodniarzem.

Po tem oświadczeniu, opowiedział księciu wyznania Ulrycha, wyszczególnił najdrobniejsze okoliczności i sam sło-

wem rycerskiem zaręczył, że w owej pamiętnej nocy widzenia się księżny z Mieczysławem całą ich rozmowę słyszał i z niej poznał, że Hanna ciągle kochała męża najczystsza miłością i że Mieczysław najszlachetniejsze poświęcenie uczynił.

Twarz Zbigniewa rozmaite przybierała wyrazy podczas mowy rycerza, lecz kiedy oczywiste ujrzał dowody, jakiś rodzaj smętnej radości zabłysnął w oczach. Zgiął kolana i ręce załamał, wznosząc je ku niebu:

— O Boże! — zawołał — dzięki Ci składam, żeś nie dozwolił, bym dłużej posądział niewinność ulubionej, niewinność tej, która mi najmiłszą na tym świecie była. Zginęła z mojego rozkazu, ale ostatnia jej myśl była błogosławieństwem dla mnie. Zmiękczył się więc w gniewie Swoim, o Panie świata, i ulżyj ciężar przygniatającego mnie życia! Tak — dodał, powstawszy — wolniej teraz oddycham. Tak, równieśmy sobie oddali usługi. Jam ci życie ocalił, ty mi spokojność, to jest część spokojności, wróciłeś.

— Książę — przerwał Henryk — niedawność życie mi darował, teraz większego daru jeszcze wymagam.

To mówiąc, zbliżył się do Zbigniewa, klęknął i zarazem z szyszaka odpiął warkocz włosów, w krwi zmoczony:

— Panie — rzekł poważnym głosem — to są włosy nieśczęśliwego twego brata. Dopókim ciebie miał za jego mordcę, dopótym pragnął je w krwi twojej zbroczyć; lecz kiedym się dowiedział od Ulrycha, że inny sprawił to wszystko, przysiągłem, że je w krwi jego zanurzę. Wymagam więc od ciebie, byś mi dozwolił walczyć z Mestwinem z Wilderthalu.

Na imie Mestwina twarz księcia, przez chwilę rozjaśniona, czarną pokryła się żalobą, wszystkie namiętności uspięne obudziły się w piersiach z podwojoną siłą. Żyły czoła nabrzmiały krwi potokiem, rumieniec wściekłości oblał lica, oczy zaiskrzyły się płomieniami i usta się otworzyły, lecz zamiast wyrazów, krzyk okropny i przeraźliwy z nich wybu-

chnął, a rękę wyciągnął książę Zbigniew i groźnie dobył miecza.

— Przysięgam — rzekł po chwili — że nikt inny ode mnie Mestwina nie zabije! Ach! zginiesz, zbrodniarzu, zginiesz! Zbyt długo rozciągnięta przez ciebie zasłona wzrok mój ćmiła — rozerwana teraz. Pozbawiłeś mnie szczęścia, sławy, wszystkiego, ja cię tylko życia pozbawić mogę! O Hanno! O ojcie mój! O Mieczysławie! — I tu znowu łzy wytrysnęły i upadł książę na blizkie krzesło.

— Nie narażaj się, panie — rzekł rozczulony Henryk — na żelazo tego Niemca! On niegodny twej książęcej ręki. Dozwól mi dokonać przysięgi i zyskać chlubę, że pana mego i ciebie zarazem pomściłem!

Długo Zbigniew nie mógł ukrócić swego żalu, każde wspomnienie dodawało goryczy smutkowi; po długim dumaniu słabym rzekł głosem:

— Rycerzu, nie mogę zadosyć twej prośbie uczynić. Potwarzam i przysięgam, że Mestwin z mojej zginie ręki! Ach, czegoż on mnie pozbawił Hanny! Gdyby mi godności, bogactwa, chwałę był odjął, berło wytrącił, darowałbym mu jeszcze, ale Hannę! O Hanno! o kochanko! o żono moja!... On z mojej ręki zginie!

Te ostatnie słowa wyrzekł stanowczo i, podniósłszy oręż w górę, spojrział wzrokiem, grożącym zgubą. Po chwili namysłu dodał:

— Czuję, że ci największą przykrość robię. Lecz rozważ, o ile moja zemsta twoją przechodzić powinna! Ja płacę za żonę, za sławę, za bratem, niegodnie zabitym. Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję — mnie, doszłego do pół drogi życia, odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie, jak słońce na czystym niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdartem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgрозą, każde usta przekleństwami. Oddzielony od lubej, odrzucony przez ojca,

zwiedziony od przyjaciela, stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, ani wstecz się cofnąć i muszę ciągle trzymać wlepione oczy w jej otchłanie. Tobie młodość, tobie przyszłość się uśmiecha. Miną twe smutki, jak chmury, co nad twoją głową szybko ulatują, a zostanie się niebo czyste i jasne. Dla mnie świat zniknął, jedna została się zemsta, a powiedz teraz, czy chcesz mnie tej ostatniej pociechy pozbawić? Czy chcesz spiekłym wędrownika ustom ostatnią kroplę odmówić, kiedy pełne masz puławy pieniężnego się napoju? Mów, Henryku, czyż możesz tego żądać?

Stał młodzieniec z spuszczoną głową i milczał.

— Co mogę uczynić, to uczynię — ciągnął dalej Zbigniew. — Powierz mi ten pukiel włosów, sam go w krwi zbrodniarza umoczę, a potem oddam!

Henryk nie rzekł i słowa, lecz wyciągnął rękę i oddał swój skarb księciu.

Drażały palce Zbigniewa, kiedy ścisnął włosy Mieczysława; przeszedł się potem kilka razy po komnacie, nareszcie stanął i rzekł do Henryka:

— Jutro przed zachodem słońca odbierzesz je. Lecz gdybym nie wrócił?... Wtenczas ci wolno ścigać po całej ziemi Mestwina. Wtenczas przekazuję ci, Henryku z Kaniowa, zemstę własną i tylu nieszczęśliwych ofiar. Teraz żegnam cię, nie mów nic o tem nikomu i rozgość się w moim zamku!

— Książę — odparł rycerz — nie zostanę w tych murach. Mógłbym w nich zobaczyć wroga, po którego życie tu przybyłem, a ten widok pomieszałby wszystkie władze mojej duszy; woła nadaremna by się stała wstrzymania namiętności. Pomimowolnie wyrwałaby moja ręka szablę z pochwy i zatopila ją w piersiach Mestwina. Zejdę na dół i tam w jednej z chat, nad rzeką stojących, zaczekam na wypadek walki. Jakkolwiek on będzie, bądź pewny, książę Zbigniewie, że w Henryku z Kaniowa masz człowieka oplakującego twoje nieszczęścia, a może będziesz miał w nim mściciela.

Po tych słowach ukłonił się i wyjść zamyślał, ale Zbigniew go jeszcze zatrzymał.

— Nie myślę — rzekł — wobec mojego dworu staczać walki z Mestwinem, zawiodę go w głąb lasu za rzeką. Czekać mnie jutro aż do zachodu słońca na tym brzegu! Jeśli noc zapadnie, a ja nie wrócę... lecz nie, zemsta doda sił tej ręce, a ta pierś nie potrzebuje, by jej co odwagi dodało!

Henryk się oddalił, a Zbigniew został sam z swojemi myślami. Już było późno, lampa dopalała się na stole, mdlemi promieniami oświecając komnatę. Książę jeszcze kilka razy pokój okrążył, a potem rzucił się na łóże. Pamiątki młodości z głębi duszy powstały, przeszłość rozwinęła się przed myślą, a urok jej wdzięków sroższym czynił obraz przeszłości. Miłość, chwała już zniknęły, zimna rzeczywistość miała już aż do grobu towarzyszyć synowi Władysława. Widział przeszłe uciechy i radości zwiędłe, a przyszłe gromy nieustannie grzmiały w przerażonem uchu.

Utracił jedyną istotę, która mogła przynosić mu ulgę w utrapieniach, utracił ją przez zbrodnię. Naraził się na nienawiść ludzi i przyjaciół, zniechęcił naród, któremu kiedyś mogłby był przewodniczyć do sławy. Wszystkie marzenia wielkości, któremi karmiło się serce w tęsknotach, upadły, wszystkie nadzieje okropna zbrodnia wydarła, a ta, która miała być aniołem opiekuńczym życia, pełnego dzieł i chwały, zstąpiła zawczasie do grobu, pchnięta jego własną ręką. Umarła niewinna dla spełnienia widoków Mestwina. Najcnotliwsza niewiasta padła ofiarą zamachów, knowanych przez zdrajcę, i nierozważnych namiętności męża, którego tak kochała. Ojciec w rozpacz, naród w żalobie są skutkiem jego czynów. A cóż powiedzą potomni? Jakimże wieniec przyszłość ozdobi skronie, które miało się wynieść nad wszystkich bohaterów czoła? Czyż strumienie krwi wylanej nie wzniosą się na zagrodenie jego imieniu drogi do nieśmiertelności? Czyż okrzyk trwogi i przerażenia narodów nie przytłumi odgłosu dawnych dzieł i zwycięstw? A tak

w jednej chwili widział zniszczone szczęście i zniszczoną chwałę, dla której rzucał się na miecze wrogów, o której marzył od dzieciństwa. Już się wzbijać zaczynał, jej skrzydłem wzniesiony, ku niebu, a teraz jeden czyn, jedna zbrodnia zwróciła go do ziemi i upadł pomiędzy prochy i kości zapomnianych i przeklętych na świecie, a siły zwątlone nie dozwalały mu jeszcze raz się podźwignąć, i musi żyć, i musi żadnego celu w życiu nie upatrywać, bo sam własną winą najszlachetniejsze, najpiękniejsze dwa cele, chwałę i miłość, na wieki utracił.

Takie myśli snuły się w wyobraźni Zbigniewa, lecz nareszcie, znękany, opuścił głowę i wpadł w odrętwienie do snu podobne, choć snem nie było. Ociężałe powieki napół tylko zakrywały oczy, a uczucia boleści i żalu odzywały się ciągle.

Dogorywająca lampa to bledsze, to żywsze rzucała promienie na przeciwną ścianę, na której zawieszona była całkowita zbroja z hełmem u góry, z przepaską na pancerzu i mieczem u przepaski. Przemijającym zbroja oświecona blaskiem, raz jaśniała, jakgdyby przed światłem słońca, to znów w zupełną pogrążała się ciemność. Wreszcie po długim konaniu zgasła lampa, a jednak widział jeszcze Zbigniew zbroję i zdało mu się, że oczy, wlepione w niego, żarzyły się z pod przyłbicy szyszaku. Chciał się porwać, ale nie mógł i pozostał na miejscu. A tymczasem zdało mu się, jakgdyby oderwała się od przeciwległej ściany zbroja, i jakgdyby się mąż jakiś w nią przyoblekł; a wnet druga postać ukazała się w śnieżnych szatach i mąż zbrojny podał jej rękę i oboje, płynąc w powietrzu, zbliżyli się do siedzenia Zbigniewa, a wtenczas przerażony książę poznał w rycerzu Mieczysława, a w niewieście nieszczęśliwą Hannę.

Zbigniew dobył wszystkich sił, oparł szeroką prawicę o stół dębowy, ale podnieść się nie mógł. A niewiasta w śnieżnych szatach, rzucając nań okiem słodczy, wskazywała niebo; lecz mąż zbrojny okropnem wejrzeniem spoglądał z pod szy-

szaka, otworzył usta i wyrzekł: »Zemsta, zemsta!« A mury długiem echem powtórzyły: »Zemsta!« Dobył rycerz z pod pancerza świetnego puhara i pokazał go księciu pełnym trucizny. Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: »Mestwin!« i powtórzył: »Zemsta!« A wtenczas Zbigniew zebrał całą moc swoją, wyciągnął ramiona ku ulubionej, i zdalo mu się, że uśmiechem nadziei odpowiedziała jemu. W tej chwili wraz z groźnym towarzyszem znikła, zbroja jak dawniej wisiła na ścianie, a Zbigniewa ciężki sen opanował.

ROZDZIAŁ XXXII.

Umiera. — Lecz nikt dla niego nie
czuje litości. — Świat szeroki, a żadne
w nim serce dla niego nie bije.

Bezimienny.

Przybył rycerz z Wilderthalu o wschodzie słońca z łowów i zaraz stawił się przed księciem... Krótkimi słowami przywitał go Zbigniew:

— Przywdziej najlepszą zbroję, przypasz miecz niezawodny i chodź za mną!

Poznał Mestwin z twarzy księcia, że niezwykle pomieszenie duszę jego trapiło, lecz nie domyślał się jego przyczyny. Usłuchał rozkazów pana, sądząc, że Zbigniew ma jakąś wyprawę na celu. Ukrytemi w murach drzwiami wyszedł z nim z zamku i szedł na brzeg Czarnejwody.

Zbigniew skoczył w milczeniu na łódkę, a Mestwin poszedł za jego przykładem.

— Książę i panie mój — zawołał — czyżby nie lepiej było wziąć z sobą kilku zbrojnych?

— Nie potrzebujemy — odparł uroczyście Zbigniew — innego świadka, jak nieba.. Odbijaj!

Odbił rycerz od brzegu, a łódka, pędzona wiatrem, szybko przerzynała wody. Dzielnie popychał ją wiosłem Mestwin, a złote jesienno słońca promienie odbijały się w każdej kropli, wzlatującej w powietrze, czarne fale, konając u boków statku, w białą zamieniały się pianę i daleko za nimi

pierwszy brzeg się oddalał, kiedy przeciwny coraz się zbliżał. Nareszcie dopłynęli, a książę wyszedł na ziemię i Mestwin za nim.

Gęstym był las, przez który się przedzierali, krzewy i wysokie trawy utrudniały drogę, wzniosłe sosny, płaczące brzozy, żałobne świerki i ogromne dęby plątającemi się gałęzmi wydzierały oku błękit niebios, gdzieniegdzie tylko przebijający. Za zbliżeniem się kroków ludzkich odlatywały sójki, kruki opuszczały gniazda, a sęp żarłoczny z żalem odstępował gałęzi, z której zdobył upatrywał.

— Jakież cel naszej wyprawy? — zapytał Mestwin. — Jeśli łowy, tośmy o małej rzeczy tylko zapomnieli: o łukach i strzałach.

— Poznasz ten cel niezadługo — odpowiedział Zbigniew i szedł dalej z zadziwionym rycerzem. Doszli nareszcie miejsca, w którym rozstępowały się drzewa i gdzie niska trawa z żywszą rosła zielonością przy drobnym, sączącym się wśród kamieni i leśnych kwiatów, strumyku. Tu zatrzymał się książę i, dobywając wszystkich sił, zawołał:

— Mestwinie, ziemia, choć tak rozległa, nie potrafi nas dwóch razem objąć! Jeden poledz musi. Znam twoje zbrodnie, Ulrych wszystko wyznał przy śmierci. Broń się, szatanie!

Z początku stał Mestwin z krwią najzimniejszą, lecz gdy usłyszał, że Ulrych zginął, nadaremno chciał wstrzymać łzę, co samotna przedarła się przez powieki. Zgrzytnął zębami i dobył miecza.

— Zbigniewie, wiesz wszystko, śmierć między nami rozstrzygnie, lecz nim zginę lub ty zginiesz, odkryję ci: Ulrych był moim synem! O Bianco, o nieszczęśliwa! Uwiodłem ją, skonała mi na rękach; młodym byłem wtedy, odtąd skamieniało moje serce. Jednego tylko lubiłem Ulrycha, a jednak, wstydząc się przywiązania do człowieka, chciałem to ostatnie przytłumić; posyłałem syna na niebezpieczeństwa, przyzwyczaiłem do zbrodni. Ah, Hanna miała rysy Bianki! Dowiedz się, że to serce pała płomieniami, które muszą zawsze zniszczyć

cel jego miłości! Srogi, okrutny z przyrodzenia, byłem obcą istotą na ziemi, nie znałem tego, w czym ludzie szczęście pokładają. Chciałem także się wynieść, czułem także czasami przywiązanie do ciebie... Ale widzę, mości książę — dodał z szyderskim uśmiechem — że cię moje wyznania nudzą. Doniósłeś mi pierwszy o śmierci syna, zgiń za to! Zgiń — krzyknął wściekle — zgiń, mężu Hanny z Ciechanowa!

I starły się ich miecze i wyroczna dla obu zaczęła się walka. Z rozpaczą i najdzielniejszą odwagą potykał się Mestwin, lecz ramie Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności, skupione w jednej chęci zemsty, a mogące się w sercu człowieka urodzić.

Walczyli w samotnem miejscu, pod sklepieniem niebios, z takim zapałem, jakgdyby narodów los zależał od wypadku bitwy i jakgdyby tysiączne okrzyki dodawały im męstwa.

Mestwin nie tracił rozwagi, a Zbigniew namiętnie nacierał, lecz tak namiętnie, że cała przeciwnika rozwaga musiała uleść uniesieniu księcia i zwycięskie żelazo nieszczęśliwego bohatera przeszło pierś rycerza.

Upadł Mestwin, a książę umoczył w krwi jego włosy brata. Lecz nie mogąc dłużej znieść widoku umierającego człowieka, którego tak długo uważał za przyjaciela, chciał odejść, kiedy Mestwin dobył głosu przebitych piersi:

— Zbigniewie, zaklinam cię na męki piekła, dobij mnie!

Pierwszą myślą księcia było uczucie litości, lecz stanął mu w pamięci obraz, przeszłej nocy widziany, i odsunął rękę od sztyletu, odwrócił oczy i śpiesznie się oddalił...

* * *

Na brzegu Czarnejwody stał rycerz na koniu. Słońce już wzbilo się w górę, a on, niewzruszony, zdawał się czekać na kogoś. Błyszczała jego zbroja, a rynsztunek cały dowodził, że się do długiej przygotował podróży. Często zwracał

niespokojny wzrok na drugą stronę rzeki i wlepione tam trzymał oczy, jakgdyby chciał przebić lasów gęstwiny. Często natężał ucho, przysłuchując się dalekim głosem, lecz nie słyszał oprócz krakania drapieżnych ptaków lub dzikich zwierząt. Nareszcie bystrem okiem dostrzegł zbrojnego męża, wychodzącego z pomiędzy ostatnich drzew boru. Natychmiast żywym rumieńcem okryły się jego lica i konia na sam brzeg skierował.

Wtem z przeciwnej strony wsiadł rycerz w łódkę i poznał go Henryk z Kaniowa, a wtenczas, nie mogąc wstrzymać niecierpliwości, ubódl dzielnego konia ostrogą i rzucił się w rzekę. Płynący rumak z odważnym jeźdźcem podnosił czoła nad fale, jakgdyby chciał się im uragać. Zagrzewał go Henryk słowami i głaskaniem, a koń, dumny z swego ciężaru, prędkim biegiem przecinał wody. Spotkała się łódka z Henrykiem w połowie rzeki i mąż, na statku w zamyśleniu siedzący, wyciągnął rękę i oddał jeźdźcowi pukiel, krwią świeżą zlany. Uchwycił go Henryk, przycisnął do piersi i, milczącym ukłonem żegnając księcia, odwrócił konia, dopłynął brzegu i, puszczając wodze dzielnemu rumakowi, skierował go ku rodzinnej ziemi — i zniknął.

* * *

Upływały godziny a zbrodniarz nie mógł umrzeć. Leżał na ziemi, otoczony krwi strumieniami, spiekłe pragnienie garło mu rozdzierało; słyszał szmer blizkiego strumyka, widział przesuwające się wody przed sobą, a nie mógł do nich się doczołgać. Z początku jaśniejące słońce w połowie niebios biło mu w oczy nieznośnym blaskiem, a nie mógł oczów zamknąć ni odwrócić — i przeklinał słońce.

Opanowało go odrętwienie, krew powolniej z szerokiej rany płynąć zaczęła i przez wiele chwil nic nie czuł; lecz znów potem, za zbliżeniem się wyrocznej godziny, cierpienia

się ponowiły i przytomność, najsroźsze dla niego cierpienie, wróciła.

Przebiegł wśród boleści, śmierci towarzyszących, życia całego liczne wypadki, a nie przypominał sobie żadnego czynu, żadnego słowa, żadnej myśli, coby go obronić mogła przed sądem Boga. Spojrzał w górę, a słońce opuściło wzniosły tron niebios i zstąpiło za wysokie drzewa, oblewając je czerwonawą zachodu jasnością. Gromadziły się nad jego głową orszaki żałobnych ptaków, z początku w odległych przestrzeniach błękitu krążące, lecz potem, zlatując coraz niżej, czarnym opasywały go wieńcem i pomieszanemi głosami zapowiadały bliskość ostatniej chwili.

Ryk dzikich zwierząt grzmiał ze wszystkich stron lasu, i zdało się umierającemu, że widzi ich płomieniste oczy, spoglądające nań z pomiędzy zielonych i żółtawych liści.

Chłód jesiennego wieczoru dolegał rozdartej piersi i krew, sącząca się z niej kroplami, ścinała się na mroźnym wietrze. Nareszcie stanęło słońce na granicy widnokregu — i Mestwin żałował słońca. Przedmioty zmieszały się przed jego wzrokiem, coraz bardziej krakania i ryki się zbliżały, a nareszcie czarne sępa skrzydło przysłoniło konającemu ostatni promień słońca, a boleść, sprawiona zatapiającemi się jego szponami w piersiach, była ostatniem uczuciem Mestwina na ziemi.

ZAMKNIĘCIE.

Dalsze życie księcia Zbigniewa i Wojewody krakowskiego należą do dziejów.

Co się zaś tyczy innych osób naszej powieści, w krótkich słowach opowiemy ich koniec, o ile ten nam jest wiadomy po wielu poszukiwaniach i staraniach, w tym względzie czynionych.

Wszebor w kilka miesięcy po zgonie córki umarł w swoim ciechanowskim zamku.

Wolimir z Moskorzewa ciągle swój urząd piastował, przerywając nudy życia żartami i ulubionemi łowami. Lecz ta ostatnia namiętność przedwczesny sprowadziła mu koniec, gdyż dnia jednego znaleźli go śludzy napół w błocie zatopionym, z sokołem jeszcze na ręku, który już umarłego nie chciał odlecieć pana.

Jordan z Gozdawy towarzyszył wciąż księciu.

Krystyn z Mortoga, pokłóciwszy się z jednym rycerzem o to, czy lepiej prostym lub krzywym potykać się pałaszem, zginął w pojedynku, twierdząc do ostatniego tchnienia, że proste szable są najlepszymi.

Henryk z Kaniowa od chwili rozstania się ze Zbigniewem znika nam zupełnie z oczu; niewiadomo, gdzie się podział. W mnóstwie chronik jego szukaliśmy śladów, ale nadaremnie; nareszcie napadliśmy przypadkiem na rękopism Wilhelma, arcybiskupa Tyru, który krzyżowe wojny opisuje, i tam na następne trafiliśmy słowa:

»Za moich czasów widziano jeszcze za północną bramą Hierozolimy, na polu między czterema palmami, grób, przywalony kamieniem, na którym ten, już nieco starty, był napis:

HIC J.CET H.NR.CUS DE K.NIO. EQUES
POL.NUS BE.LICA VIRT.TE I.SIGN.S, QUI
TRIDIE P.ST C.PT.M U.BEM ET CAESIS
INF.DE.IBUS EX VULN.RIBUS ACCE.TIŠ
M.RT.US E.T

KONIEC.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
„WŁADYSŁAWA HERMANA I DWORU JEGO“.

Niniejsza powieść historyczna niewiele ma wspólnego z historią; postacie dziejowe Władysława Hermana, obu jego synów, Mieczysława, syna Bolesława Śmiałego, nie są przedstawione wierne historycznie, tło zaś rycersko-feudalne nie odpowiada naszej obyczajowości XI stulecia.

Str. 36. Wilhelm — Wilhelm Zdobywca, wódz Normanów, podbił Anglię w r. 1066.

Str. 46. Król Hebreów — Dawid.

Str. 90. Topór Sieciecha — herb „Topór“.

Str. 112. Super aspidem etc. — będziesz chodził po żmii i bazyliisku i będziesz deptał po lwie i smoku.

Str. 127. Ben-Masudi — Ali-Abul Hassan Masudi, pisarz arabski (X w.).

Str. 145. Siwka — rodzaj cyranki.

Str. 153. Requiescat in pace — niech spoczywa w spokoju.

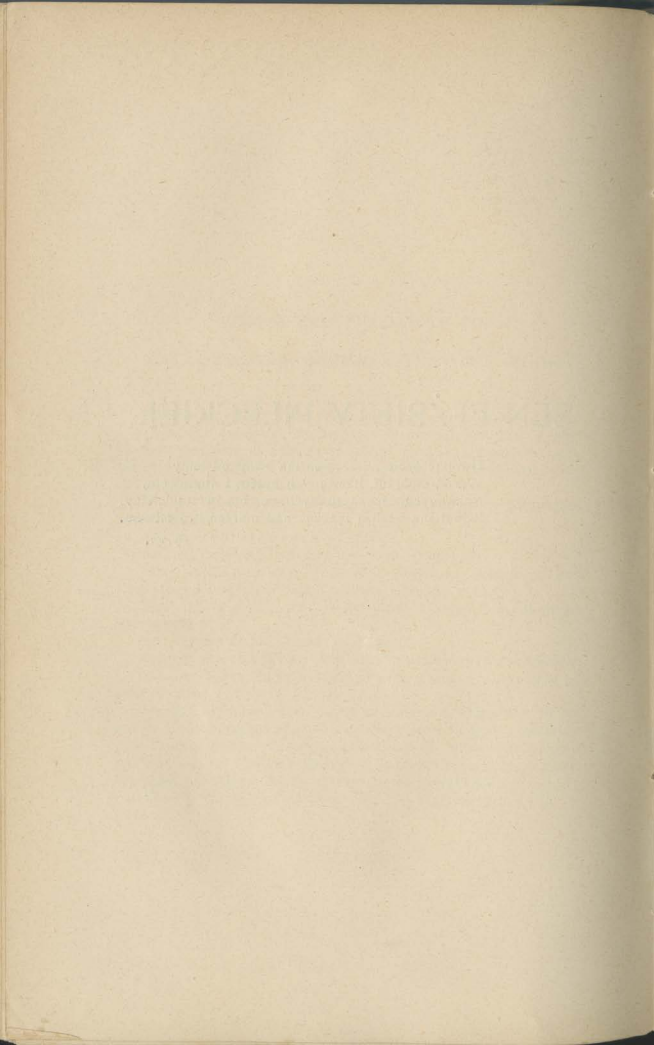
Str. 254. Niewyczytane dziwne głoski — zapewne pismo runiczne.

Str. 355. Hic jacet etc. — napis ten znaczy: Hic jacet Henricus de Kaniow, eques polonus, bellica virtute insignis, qui tridie post captam urbem et caesis infidelibus ex vulneribus acceptis mortuus est; t. j.: tu leży Henryk z Kaniowa, rycerz polski, cnotą rycerską wsławiony, który w trzy dni po wzięciu miasta (t. j. Jeruzolimy) i wyrznięciu niewiernych z ran otrzymanych życie zakończył.

SEN ELŻBIETY PILECKIEJ.

Dwoiste życie nasze; sen ma świat udzielný
Wśród otchłani, nazwanych bytem i nicestwem,
Nazwanych, lecz nieznanych. Sen ma świat udzielný,
Z rzetelną władzą rządząc nad marzeń królestwem.

Byron.



WSTĘP.

Przedmiot do następującego utworu podały mi wypadki życia Elżbiety Pileckiej, żony Władysława Jagielly i królowej polskiej. Była ona córką Ottona z Pilcy, możnego wojewody sandomierskiego; w kwiecie młodości poznała dzielnego rycerza z Morawii, na dwór ojca przybyłego. — Porozumiały się ich serca, i Elżbietę uwiózł rycerz wśród nocy z zamku ojcowskiego, ale odkryto ich ucieczkę i natychmiast Otton poszedł w pogoni za córką. Dogoniwszy ją, zwiódł z morawskim rycerzem walkę i zabił go. Okrutny rodzic, odebrawszy córkę z rąk kochanka, zmusił ją do oddania ręki Granowskiemu, kasztelanowi nakielskiemu. — Miała z niego Elżbieta jednego tylko syna, któremu Jan dano imię.

Po śmierci Granowskiego polubił ją sobie Władysław Jagiello i wziął za żonę. Kiedy zaś przyszło do koronacyi, sprzeciwił się jej Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, mówiąc, że to małżeństwo niezgodnem było z powagą majestatu. — W takim stanie rzeczy król Władysław użył do koronacyi Elżbiety Jana Rzeszowskiego, arcybiskupa lwowskiego. — Elżbieta umarła 1419 r., a jej zwłoki złożono w kaplicy, w której później Stefana Batorego pochowano.

SEN.

Arfo Minstrelów! Arfo, do którejże chwili
Spać będziesz w szumie liści, w mruczeniu strumienia?

Walter-Scott.

I.

Marzenia i ułudy młodości, gromadźcie się naokoło mnie!
Często niespokojnemu sercu przyszłość w promienistym oka-
zujecie światło. Innej teraz po was wymagam przysługi.
Wróćcie mi przeszłość! Unieście mnie w odległe czasy, po-
między innych ludzi, ale zawsze na tej samej ziemi, na ziemi
ojczystej, której zeschła garstka milszą jest duszy i oku, niż
polyskujące wszystkimi tęczą farbami kamienie na skro-
niach możnych! Waszemi wsparty skrzydłami, niech, po-
rzuciwszy dzisiejsze uciechy, pogrążę się w upłynionych
czasu falach, na których odbije się promień niezgasłej
chwały! Niech moje pienia wyrwą ze snu śmierci śpiących
w stalowych zbrojach rycerzy! Niech, pieniem sławy obu-
dzeni, powstaną nagle z pod ciężących głazów i dawno za-
pomniane przedstawią obrazy! — Niech wrócą zwołane
brzmieniem lutni dziewice Lechii i piękność zatartą z ziem-
skich wydobędą prochów! Zakwitnijcie na nowo, róże, mie-
szające się dawniej do ich splotów! Odzielenie się, gaje,
poświęcone miłości, a choć głuche milczenie nieszczęścia
oddawna was zaległo, odżyjcie jeszcze na chwilę w śpie-
wach poety!

2.

Słońce wiosenne wzbilo się na błękity, niedawno z pod jarzma ciężkich chmur uwolnione, a promienie jego lały się w niezmierzoną przestrzeń, oświecając pełną życia i wdzięku okolicę. Nad nią panował zamek, wzniesiony na górze, zieleniejącą pokrytej murawą. Ciemne baszty, dumne wieże, grube mury, most zwodzony, żelazne po wszystkich bokach kraty i strzelnice czyniły go panem rozciągającej się przed nim równiny, a pływający w powietrzu sztandar nosił znaki i godła Ottona z Pilcy, wojewody sandomierskiego.

3.

Piękne ogrody opasywały zamek kwiecistemi ramiony. Mieszały się w nich dzikie północnych lasów wychowające z wysmuklejszemi południa drzewami. Dąb, z którego wieńiec chwały bohaterom spletają, wznosił się dumnie nad poziomą różą, zwracającą oczy piękności, a brzoza płacząca zlewała rosę jutrzeńki na rosnące pod jej stopami fiołki. Ścieżki, drobnym posypane piaskiem, w niezliczonych zakrętach prowadziły to w rozkoszne gaje, to w ciemne ulice, zachęcające posępnością do smętnego dumania. Lecz kiedy dalej kto kroki posuwał, dziwną postrzegał zmianę. — Z czarnego lasu na miłe wychodził łąki, na otwarte błonia, umajone kwiatami, których połyskujące farby tysiącami blaski oko razily. Tu strumień wil się splotami węża, tam znowu gwałtownemi wody rozbijał się o kamienie i konającemi falami z brzegiem ukochanym co chwila się żegnał. Dalej wzgórki, stopniami rosnąc, w olbrzymią przechodziły górę, u której szczytu migaly szklane nadobnych mieszkańców szyby. Tu przepaść zatrzymywała nierozmyślne stopy, ale ją otaczały kwieciste krzewy i powój spletanemi wieńcami łączył przeciwne jej brzegi. Tam skała, obnażona z ozdób przyrodzenia, śmiałym w niebo wzbijała się słupem, a na jej wierzchu spuszczone sosna lub świerk żalobny sa-

motne rozciągał gałęzie. Szumiący potok wrzał pomiędzy spadzistemi opokami, zamglewając powietrze drobną pianką, której każda kropelka na błyszczącą zamieniała się tęczą, a nareszcie poważna Pilica, tocząc kryształowe wody pośród ubarwionych wybrzeżów, zakończyła srebrną wstęgą ogrody Ottona Sandomierskiego. Blisko rzeki był gaj różowy, ze wszystkich najpiękniejszy gajów. Z obu stron strzegły go czarne skały, uwieńczone orlemi gniazdami, a wewnątrz siedzenie z murawy codzien żywszą zieloność przybierało; kwiaty, wonią zapelniające przestrzeń, wiosenne rozwijały wdzięki, a głos słowika, jedyne tych miejsc mieszkańca, co wieczór dawał hasło promienistym gwiazdom do świecenia nad ziemią, co wieczór przywoływał na tron niebios, osierocony od słońca, mniej świetnego, lecz miłszego czułym sercom króla. Wtenczas urok czarujący rozlewał się na całą naturę i usypiające kwiaty, miłym kołysane wietrzykiem, schylały ociężałą od rosy głowę. Świat, opuszczony od śmiertelnych władców, przechodził pod opiekę niezrozumianych istot. Duchy, spływając na srebrnych chmurach, zastępowały miejsce słabych ludzi, w których przemogło do spoczynku nawykłe ciało. Rozciągając z świetnych promieni uwite skrzydła, czuwały nad ziemią, wolno w przestrzenie puszczone, iskrę zapалу wlewały w uśpionych bohaterów lub przyszłych nieszczęść przeczuć ostrzegały wolę, wystawioną na zamachy zbrodni. A kiedy młoda dziewica przychodziła dumać nad brzegami Pilicy, lekkie błękitów niebieskich syny zlatywały się naokoło. Ukryci pośród róż i kwiatów, czarującym wpływem młode serce napawając, oddzielały je przezroczystymi skrzydłami od zmysłowego świata i przenosiły do górnych siedlisk nieśmiertelności.

4.

Już powiew wieczoru, wznoszący na skrzydłach wonne kwiatów westchnienia, zaczął igrać z różami gaju. Słońce

znikło z nieba i ciszej płynęły fale Pilicy. Pomędzy ścieżkami, prowadzącymi do »Gaju czarów«, jak go nazywano, ukazała się postać niewieścia, ale tak cudna, tak piękna, jakgdyby była mieszkanką gwiazd, ku którym wzniesione trzymała oczy. Biała szata w lekkich fałdach obwijała wysmukłą kibić. Lica świeżością podobne były do różanego światła jutrzeńki, mieszanego się do fal srebrnego strumienia. Rozwiane włosy bursztynowymi pierścieniami pieściły się wietrzykiem, a ich barwa tak świetną była, jakgdyby igrający promień zaszłego słońca, wmieszawszy się do nich i nie mogąc już z jedwabnych wydostać się splotów, w złotem po nich roztopił się świetle.

Na czole godność i spokojność niebiańska się odbiła. W oczach tylko znać było ogień, wyrażający zmienne dziewczyczych piersi uczucia, bo raz błyszczał, jak gwiazda wieczorna, to znów, cichą łzą przyćmiony, jak księżyc mgłą obwiany, napół tylko świetniał, a wtenczas najmilej, najczulej tłómaczył budzącą się namiętność w sercu piękności. Westchnęła lekko dziewczica i weszła pod różane gaju sklepienia. Tam, patrząc z siedzenia z murawy na kryształową rzeki powierzchnię, strojną odbitemi z nieba gwiazdami, myślała o nadziejach i o przyszłości. Myślała Elżbieta, córka Ottona z Pilcy, o młodym kochanku, o Archeldzie z Haldy, rycerzu, niedawno przybyłym z Morawii na dwór potężnego jej ojca. Pierwszą pałającą miłością, wszędzie szczęście upatrywała; błogie dni sobie obiecując, w rajskiej marzyła ułudzie. Wtem wietrzyk doleciał do raju i miękkim tchem ją obwionął. Duchy otaczające wyciągnęły przeźroczyste dłonie i usypały z nich drobne, barwą tęczy umajone kwiaty, w nadziemskich błoniach uszczknione. Pod ciężarem woni uległy śnieżne Elżbiety powieki i sen wieczny przeniósł ją w krainę urojeń. Urojeń teraz, ale prawda później! I to piękne, to ponure, to miłe, to smętne obrazy snuć się zaczęły przerywanem pasmem przed jej wyobraźnią.

5.

Zdało się marzącej dziewczycy, że przy świetle lampy, z trudnością przedzierającym się przez ciemną komnatę, widzi klęczącego u kolan rycerza — zaraz go poznała dziewczyna i imię Archelda z Haldy wyszło z jej ust uśpionych. Twarz wojownika nie nosiła piętna dzikości, owszem, łagodne, szlachetne rysy zdobiły lica, pokryte miłości rumieńcem. Szyszak, błyszczący srebrem, unosił się nad promieniami czarnych włosów. Kolczuga, zdobna błękitną przepaską, zdawała się podnosić i zniżać pod namiętnemi serca biciaми. Oręż strzegł boku, a rękojeść złota swoim blaskiem zdawała się przyszychy zwycięstw przepowiadać chwałę.

«O luba, mówił rycerz, już stoją na podwórze konie, słyszysz? tętnią ich kopyta; noc piękna, śpi zamek, księżyc tylko patrzeć będzie na naszą ucieczkę. Nie zwlekaj, zaślubiona już mi sercem oblubienico. Nie zwlekaj!» A słowa młodzieńca podobne były do miłego szmeru błyszczącego strumienia; przenikały one aż do duszy Elżbiety, jak promienie wiosennego słońca do kielicha świeżo rozwitej róży, i jakaś moc nadludzka rzuciła ją w objęcie Archelda. I uniósł ją rycerz przez ciemne zamku galerye, przez kręte schody, wąskie przejścia i podłużne sale aż na szeroki dziedziniec. Tu lekko posadził ją na czarnym swoim koniu, sam obok niej skoczył i przy świetle księżyca wyruszył wraz ze zbrojnymi towarzyszami.

6.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczycy, jakgdyby kochanek na rączym koniu zawiódł ją w odludną i dziką okolicę, najeżoną zewsząd skałami i lasami pokrytą. Niebo, przed chwilą tak czyste, przybrało mglistą i szarą pomrokę, oddzielającą ziemię od ożywnego słońca. Rośliny, drzewa posępna miały postać, liście wyschłe dziwnej były zieloności, wpadającej w czarną

barwę, przez zimę nadaną, wody, naokoło rozlane, wlokły się mętnemi falami, odbijając ciężkie chmury, w górze zamieszane. Złowieszcze ptaki krążyły nad głową i przeraźliwe ich krzyki mieszały się do dźwięku trąb i rogów, z daleka się odzywających. Przez taką krainę unosił Archeld dziewicę i, zatapiając ostrogi w boku zadyszanego konia, mijał z kilkoma towarzyszami góry i skały, lasy i jeziora. Pomimo tej szybkości grzmiał ciągle goniący za nimi w powietrzu odgłos trąb i rogów, i czasem zdawało się Elźbiecie, że dalekie słyszy tętnienia. W biegu tak rączym nie mogli sprostać rycerzowi jego towarzysze; jedni zostali z tyłu, drudzy padali znużeni wraz z końmi na ziemię, a choć lotem błyskawicy oddalała się od nich dziewica, zawsze zdawało się jej, że widzi rozciągnięte nieszczęśliwych ciała. Nareszcie sam jeden Archeld z Haldy został na koniu — ostatni z jego orszaku legł przy spadzistej skale; za chwilę potem jego własny rumak rozciągnął się na piasku, a kochanek porwał oblubienicę i, przyciskając do serca, wydobył ją z pod zabitego konia. Wtenczas głos rogów zdał się powiększać i, coraz bardziej rosnąc, całą przestrzeń napelnił. Mignęły wśród drzew otaczających zbroje i porpce i pancerna jazda wystąpiła z ciemnego boru. Na jej czele poznała Ottona z Pilcy, ojca swojego, a przy nim niecierpianego człowieka. Zdało się wtenczas Elźbiecie, że ją Archeld, silnem dźwignąwszy ramieniem, wniósł na wysoką skałę i tam stanął z dumą orła, króla ptaków, wyzywając na równinie pozostałych wrogów; a wrogi poszły na skałę i Otto zagrzewał ich z niziny, stojąc obok tego, który był dla serca nieszczęśliwej, jak wąż jadowity dla lękiej ptaszyny. Zbrojne szeregi wdzierały się po przepaściach i sterczących urwiskach; Archeld z Haldy, trzymając w prawicy jaśniejący oręż, jak miecz anioła śmierci, podpierając lewą oblubienicę, czekał na nie z odwagą bohatera, poświęconego śmierci. Cała skała, okryta zbrojnymi, w każdym miejscu błyszczała to szyszkami, to pancerzem, i zdało się Elźbiecie, że kamienna

opoka w stalową przemieniła się górę. Doszli nareszcie szczytu mordercy i szczęk broni się rozległ i wielu ich poległo. Archeld bronił najdroższego skarbu z wściekłością rozpaczy. Ale córka wojewody czuła, jak coraz bardziej drżało podpierające ją ramię, postrzegła strumienie krwi, wylewające się z pod zbroi, i cała góra zdała się jej zalaną purpurowym potokiem; porwane nim ciało Archelda runęło ze szczytu opoki i, rozdarte przez ciernie i głazy, padło u stóp pana z Pilcy. A surowy ojciec wziął rękę córki i połączył ją z sędziwą ręką swojego towarzysza — i natychmiast rozległy się okrzyki: »Niech żyje Otton, niech żyje Granowski! I jego małżonka, córka wojewody, Elżbieta z Pilcy, niech żyje!«

7.

A tu po raz trzeci zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczycy, że przebywa wśród posępnych murów. Ogromne wieże, żelazne kraty, głębokie rowy i mosty zwodzone dzieliły ją od świata; ale nad wzniosłe wieże i czarne kraty posępniejszym był pan tych miejsc, ubielony już swym starości włosem. Zapadłe oczy ciskały ponure błyskawice, i, kiedy patrzała nań nieszczęśliwa żona, zawsze obok widziała pokrwawionego Archelda, który, wróciwszy z świata duchów, uśmiechał się jeszcze smętnie do oblubienicy, ale sztylet zemsty wzniesiony trzymał nad jej ciemną. I zdało się Elżbiecie, że dni, miesiące i lata powoli upływały dla niej w tym zamku, w tem więzieniu; jedyną pociechę miało jej serce strapione w dziecięciu, igrającem na matki kolanach, a to dziecię rosło co dzień i ono wiązało córkę Ottona do ziemi.

8.

A tu znów zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Oto zdało się marzącej dziewczycy, że słyszy pogrzebowy dźwięk dzwonów i że, w żałobne ubrana szaty, trzymając syna za

rękę, postępuje za trumną człowieka, którego jej serce nigdy nie kochało. Tłum ludzi cisnął się wokoło. Zbrojne hufce ze spuszczonei dzidami, służalcy z udanym smutkiem szli za ciałem znienawidzonego, a jego wdowa kryła głowę między czarne zasłony, a każdy z otaczających starał się wzrokiem przedrzeć te zasłony i jej łzy wyśledzić, a ona łez wylewać nie mogła — i wdowa Granowskiego była jeszcze kochanką Archelda.

9.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczycy, że spadły z niej żałobne szaty, a natomiast błyszczące przyodziały ją suknie. W obszernym pałacu przeglądała się w srebrnych zwierciadłach i ujrzała róże, nanowo na licach zakwitające. Otaczały ją okazałe przybrane niewiasty, pazie na jej widok kornie czołem bili o marmurowe posadzki, i dzielni rycerze przed nią zginali kolana. Spojrzała przez okno, a naród cały powitał ją okrzykami; odwróciła oczy, a bogate kobierce, jedwabne obicia, złote stropy, alabastrowe filary, porfirowe naczynia, jaspisowe ściany, kryształowe sklepienia uderzyły wzrok zdziwiony.

Wszędzie głowy, lśniące złotem i drogiemi kamieniami, schylały się przed nią. A wtem rozstąpiły się rzędy naokoło stojących dworzan i wszedł poważnym krokiem mąż wysokiej postawy, z koroną na skroniach i berłem w rękę. Na czole błyszczała odwaga, pomieszana z ostatkiem nie startej przez wiele zmian dzikości, a jednak Elżbieta uczuła bijące serce z radości za jego zbliżeniem, a mąż, uwieńczony wieńcem królów, wziął jej śnieżną rękę i zaprowadził do drzwi komnaty.

10.

A tu po raz ostatni zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczycy, że w ogromnym ko-

ściele stoi wpośród tłumów, oświeconych tysiącznemi pochodniami. Wonne kadzidła paliły się na jaśniejących ołtarzach, wznosząc lekkich dymów obłoki. Śpiew poważny sług boskich rozległ się po przestrzeni, dosięgając zagiętych sklepień, rażących blaskiem ozdób, poświęconych Panu nad pany. Pomiedzy mnóstwem osób, zapelniających świątynię, rozeznała Elżbieta męża z koroną, który, siedząc na tronie, rozciągnął berło nad swoim narodem i rzekł do niego: »Obieram poddankę za żonę«. Wszyscy milczeli i milczeniem przystawać się zdawali. Wtem ozwał się głos ponury, groźny, i wystąpił z ściśniętych tłumów duchowny w świetnym ubiorze. Twarzą surową przeraził patrzących i, śmiałemi wyrazy przemawiając, sam jeden stawiał się na przeciw życzeń króla i narodu. Ale drugi duchowny, w równie błyszczących strojach, z łagodnością na twarzy, podniósł się z siedzenia i zgodził się z chęcią monarchy, a wtenczas okrzyki: »Niech żyje król Władysław i małżonka jego, Elżbieta!« przytłumiły głos pierwszego. Powstał mąż z berłem. Zszedł z tronu i podał rękę córce wojewody. Zabrzmiały muzyczne tony, ozwały się pienia, pochodnie podwojoną błysnęły jasnością — i klękli oboje przed wielkim ołtarzem. Duchowny drugi zbliżył się do drżacej Elżbiety. Po chwili uczuła ciężar, unoszący się na splotach własnych włosów; podniosła oczy, a rażący połysk drogiej korony oblał jej twarz anielską — i kochanka Archelda była królową Lechii.

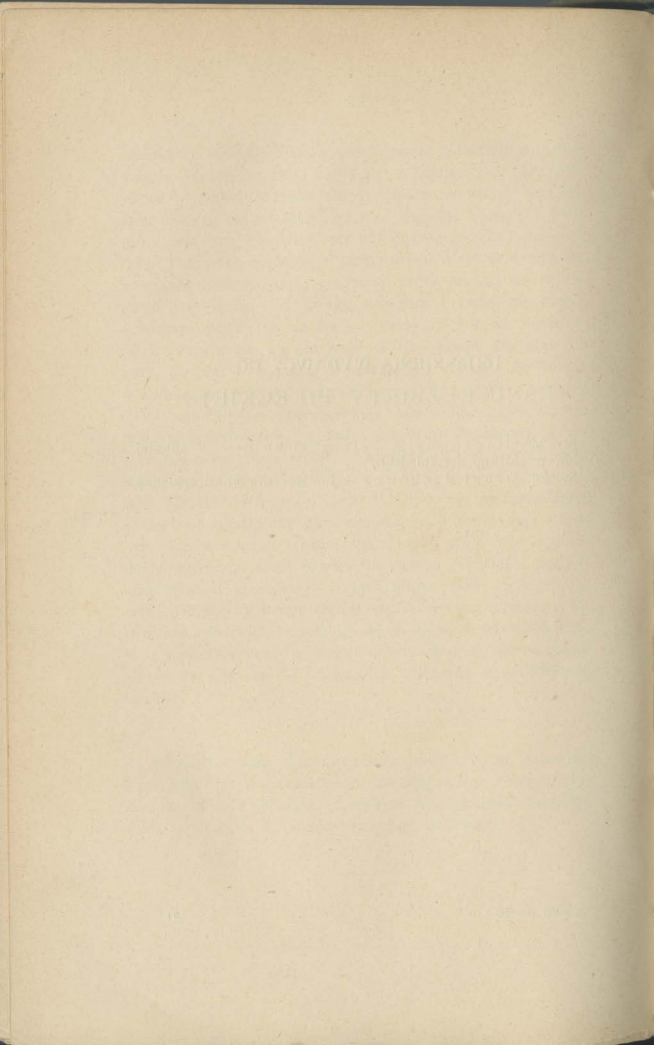
* * *

Właśnie w tem miejscu szmer lekki obudził dziewicę, i pierwsze jej wejrzenie padło na klęczącego rycerza. Rumieniec okraślił jej lica i, wsparta na ramieniu Archelda z Haldy, wróciła do zamku dumnego wojewody.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»SNU ELŻBIETY PILECKIEJ«.

Str. 368. Duchowny w świetnym ubiorze — Mikołaj
Trąba, arcybiskup gnieźnieński.

St. 368. Drugi duchowny — Jan Rzeszowski, arcybiskup
lwowski.



MŚCIWY KARZEŁ

I

MASŁAW, KSIĄŻE MAZOWIECKI.

(POWIEŚĆ NARODOWA).

MASTERS' CARTEL

MASTERS' CARTEL

MASTERS' CARTEL

I.

— Otwórz!...

— Daremnie dobijasz się do bram naszych — odparł żołnierz, stojący z łukiem i kopią na straży przy murach gozdawskiego zamku młodemu rycerzowi, który, całkowitą zbroją okryty, stał na wałach, zamek okrążających.

Promienie jesienno słońca odbijały się w jaskrawym blasku od hełmu, osłaniającego głowę rycerza. Stalowa przyłbica nie kryła pięknej twarzy, smutkiem zawczasie ocienionej, a oczy, całym ogniem młodości iskrzące się, rzucały spojrzenia, któreby wyobraźnia poety mogła przyrównać do promieni, przez połysk słońca pancerzowi wydartych. Usłyszawszy słowa strażnika, zmarszczył brwi młodzieniec i zaczerwienił się na licach. Sięgnął nawet ręką po długi pałasz, lecz niepodobieństwo skarcenia żołnierza, o kilkadziesiąt łokci nad nim wyżej stojącego, wstrzymało zapal — i gniewnym tylko zapytał się głosem:

— I czemuż to nie wolno wchodzić w podwoje Johanny z Gozdawy?

— Bo się spodziewamy przybycia potężnego Masława — odrzekł żołnierz — i te bramy dla niego tylko dzisiaj się otworzą.

— Bodajby przepadł Masław i w proch rozleciały się te mury! — krzyknął młodzieniec, powolnym odchodząc krokiem, i już siadł na konia, do drzewa w pobliżu przywiązanego, kiedy z za krzaków ukazał się człowiek dziw-

nej i odrażającej postaci. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nim karła; twarz poorana zmarszczkami, nie zgadzała się z dzieciennym wzrostem; nos spłaszczony nachylał się nad szerokimi jego ustami, dzikim uśmiechem ożywionemi, a oczy wyrodka ludzkości wyrażały nikczemność, czarnym tylko duszom właściwą. Znać było, że go gniew jakiś dojmował, bo żyły, na nizkiem ciągnące się czole, wzdęły się nadzwyczajnie, a lica nabrzmiały. Ubiór dziwniejszym był jeszcze od postaci; miał na sobie lisie futro, czarnym aksamitem w czerwone paski powleczone, przy boku błyskał sztylet, który, porównyując z wzrostem karła, za dość wielką szablę wzięćby można było. Nad głową wznosiła się żółta czapka, dzwonkami srebrnymi opatrzona, które donosiły wcześniej o jego przybyciu brzmieniem, podobnem do dźwięku grzechotnika, w dzikich Afryki pustyniach zamieszkałego. Zjawienie się karła wstrzymało kroki rycerza i powitał go natychmiast, bo się oddawna już znali.

— Otóż znalazłem mściciela! — krzyknął mały człowiek, ale zaraz, przybrawszy poważną postawę, zapytał cichszym głosem: A cóż tu porabiasz, Jordanie z Bordan?

— Nie mam ci odpowiedzi, mój Gondo, na to zapytanie — rzekł rycerz. — Wiesz przecież, że w tych murach mieszka luba sercu mojemu Zbysława z Czernic.

— Ho! ho! ho! luba sercu twojemu nie wiem, gdzie dziś nocować już będzie, mój waleczny rycerzu!

— Co mówisz, przekłeta poczwaro? — zawołał Jordan, ściskając silną prawicą gardło Gondy; ale wnet uczuł zatapiające się w ramionach ostre karła paznogie i, zdziwiony nadzwyczajną mocą tak małej istoty, puścił go natychmiast.

— Bądźmy raczej przyjaciółmi! — rzekł Gonda. — Wczoraj możebym cię zabił tym sztyletem, dziś posłuszysz do moich celów.

— Do twoich celów? — przerwał Jordan ze wzgardą —

za kogóż to mnie bierzesz? Jestem wolnym Polakiem i rycerzem tarczy nieskalanej, niczym celom służyć nie będę, a coś dopiero twoim, nikczemniku!

— A jednak tak się stanie, jakem powiedział. Założmy się o ten złoty łańcuch, wiszący na twoich piersiach!

— Najchętniej — odparł rycerz z uśmiechem — ale, jeżeli przegrasz, porwę cię z ziemi i cisnę na gozdawskie mury.

— Bardzo dobrze — rzekł karzeł — bardzo dobrze — jestem pewny wygranej. Zbysława dzisiaj zginie, jeżeli nie dopełnisz woli mojej.

Rycerz natychmiast zdjął złoty łańcuch z szyi i rzucił go pod nogi karła, a potem, porywając za rękojeść miecza, groźnym zapytał głosem, co by jego słowa znaczyły i co by zamyślał wykonać.

— Skoro się zmroczy — odparł karzeł — oczekuj mnie na tem wzgórzu pod sosną, a wtenczas wszystko ci wytłómaczę! Teraz poprzestań na tej wiadomości, żem przysiągł zemstę przeciw pani mojej, Johannie z Gozdawy, i że zginąć musi! Ach, na to wspomnienie krew się we mnie burzy; ona dziś mi wyrzec ośmieliła się, że wyrodek ludzkości, że mnie podobna potwora niepotrzebna na jej dworze. Gdy świat mię cały opuścił, ziemia brzydziła się Gondą, znalazłem schronienie, zakupione występkami i zbrodnią, dali mi dach do okrycia głowy i łoże do wypocznienia za to, żem nie odmówił mojej pomocy niegodziwościom, żem się nie bał obarczyć sumienia, dogadzając jej namiętnościom, a teraz mię z domu swojego wygnała! O Johanno z Gozdawy, szerokie masz dobra, liczne włości, wielkie dostatki i bogactwa w skarbcach i skrzyniach i niemałą potęgę w ręku, mury otaczają twój zamek, zbrojni go strzegą żołnierze, a przecież musisz zginąć, bo ani dostatki, ani żołnierze, ani te mury nie potrafią cię zakryć przed zemstą Gondy, tego karła, tej poczwary, tego wyrodka ludzkości!

Wyzwałaś mię do walki, będziesz ją miała — Gonda dotrzyma ci placul...

To mówiąc, jak błyskawica znikł między drzewami i tylko głos jego dał się słyszeć: «Rycerzu, pamiętaj na moje wezwaniel» Przerażony Jordan chciał go ścigać, wtem nowy zatrzymał go widok.

Na drodze, ku zamkowi wiodącej, ukazał się orszak zbrojnych rycerzy, na których czele jechał mąż poważnej postaci, ale surowego lica. Stalowy szyszak błyszczał na jego głowie, a nad nim migająca się złota książęca korona; płaszcz purpurowy, białem futrem w czarne centki podszyty, spływał około pancerza i siodła, a ciężki, obosieczny pałasz aż do stóp dochodził. Rzucając obojętne spojrzenie na okolicę i towarzyszków swoich, jechał powoli; ale łatwo w tych spojrzeniach można było rozpoznać okrucieństwa, które odznaczały Masława, niegdyś podczaszego na królewskim dworze, a teraz księcia plockiego i srogiego łupieżcę, ucieczką Ryksy zaburzonej, Polski. Zuchwałość, połączona z chęcią panowania, strasznym go czyniła nawet odległym sąsiadom i może nie było wówczas w całym Mazowszu człowieka, któryby się poważzył wszechwładnej woli jego oprzeć.

— Handzo z Budyszyna — rzekł Masław do jednego z towarzyszków, przy nim postępujących — wiesz, że już mię Johanna nudzić zaczyna. Przez pioruny i piekło, czasby się pozbyć tej rozmiłowanej wdowy! I cóż to ona tak powabnego w Masławie znajduje? Czyż oczy, krwią zasze, czyż długa broda i wąs gęsty, czyż serce, dalekie od zniechęcającej czułości może być przedmiotem miłośnych zapalów? A przecież od śmierci męża swojego, Mirosława z Godzawy, cała mną zajmować się zdaje. Ha, uśmiechasz się, Handzo, przyszło ci na myśl, jakem go wówczas zręcznie sprzątnął ze świata? — i te słowa już ciszej do ucha powiernika wymówił. — Jednak to dziwna kobieta, pokochała mnie jak szalona! Ale słuchaj, mój Handzo: Zbysława

z Czernic, na dworze Johanny przebywająca, córka owego starego szlachcica, nierównie jest od niej piękniejszą!

— O, zapewne, książę i panie mój, Zbysława jest najpiękniejszą z dziewic całego Mazowsza.

— Przestań! — rzekł Masław — wjeżdżamy do zamku, musimy tu dni kilka zabawić, potem skarby złupimy, a panią... a panią... Ha, znajdzie się pomysł, kiedy znagli konieczność.

— Hej, panowie, zdwoić krok i popuścić koniom wodze!...

I wleciał rozpędzonym biegiem na wzgórze gozdawskie. Cisnęli się za nim wojownicy, skórami dzikich zwierząt odziani, błyszczały ich zbroje, migaly się kopie, a nad każdym powiewała czerwona chorągiew, okrywając krwistemi zwojami najdzikszych może w całej Polsce wojowników.

Długo Jordan poglądał za niemi i dopiero wtenczas, gdy wjechali na podwórze zamkowe, w przeciwną oddalił się stronę.

II.

Słońce już zaszło, a czerwone chmury zapowiadały straszliwą burzę, ciemność zalegała obszary i żadnej gwiazdy nie mógłby dostrzedz wzrok nawet sokoli; ale natomiast okna zamkowe rzęsiwym jaśniały ogniem, bo Johanna z Gozdawy miłego przyjmowała gości. Tymczasem pod sosną, na małym wzgórzu oczekiwał karzeł rycerza; jakoż przybył niedługo Jordan, w lekką kolczugę i ciemną czapkę przybrany, z mieczem i sztyletem u boku.

— Zazwyczaj — rzekł karzeł — oczy wierniejszymi są od uszu, bo to, co widzimy, więcej nas uderza nad odgłosy i podszepty ludzkie. Chodź więc, a ukażę ci najokropniejsze widowisko, ale powiedz mi pierwszej, czy zdołasz niebezpieczeństwu śmiało czoło postawić?

— Moje serce stalową, jak piersi, otoczone jest powłoką, kiedy godzina trwogi dla innych uderzy, a kiedy idzie o śmiałość, poszedłbym za szatanem i do ciemnic piekła.

— Jeżeli może być obraz piekła na ziemi, to go dziś ujrzysz. Chodź a milcz, patrz a milcz, uderzaj a milcz, a kiedy ci powiem: »Otwórz usta!«, to mów i mów z całą odwagą, którą się teraz tak chlubisz!

I szli razem przez wały, przez podziemne przejścia i ciemne korytarze, przez wąskie wschody i długie komnaty, a wszędzie panowała cichość, tylko odgłos ich stąpań od sklepień i murów się odbijał. Karzeł szedł przodem w mil-

czeniu i otwierał drzwi wielkim kluczem, u pasa zawieszonym, poglądając często na towarzysza, z bezprzykładną stałością za nim postępującego. Nareszcie, kiedy przybyli do drzwi żelaznych, mocno na rygle zapartych, obrócił się Gonda i przybliżył pochodnię ku licom Jordana, jakgdyby z nich chciał uczucia duszy jego wyczytać.

— Jeszcze raz ci powtarzam — rzekł po niejakej chwili — jeśli ci zbywa na odwadze i męstwie, jeśliś niepewny ręki i oręża, lękaj się próg ten przestąpić i raczej powróćmy oba!

— Otwieraj te drzwi — zawołał rycerz nieco przytłumionym głosem — otwieraj! Nie słabiej trzyma się męstwo mojej duszy, jak ta klinga rękojeści. To mówiąc, dobył miecza i potężnie uderzył w żelazny rygiel, który natychmiast upadł z łoskotem na ziemię. Karzeł zakręcił klucz w zamku, skrzypnęły zawiasy, rozwarły się podwoje i weszli do komnaty, napelnionej trupami; jedne z nich leżały na ziemi, inne stały przy murach, niektóre już przegniłe, niektóre wyschłe i skościałe, a inne jeszcze świeże były. Wszystkie zaś młodych dziewcz — każdej z nich głęboka rana rozdzierała piersi. Ten straszliwy widok zatrwożył zrazu Jordana, lecz wnet odzyskał przytomność i nagle, odwracając się do karła:

— Czego chcesz ode mnie? — zawołał — czyś tu mnie na śmierć przyprowadził.

— Ciszej, ciszej! — odparł karzeł — niepotrzebnie gniewem się unosisz, budzisz te trupy; są to nieszczęśliwe ofiary Johanny z Gozdawy; ale czas już położyć koniec okrucieństwu; dziś Johanna z rąk twoich śmierć zasłużoną odebrać powinna. Dowiedz się, że za kilka chwil, za godzinę, może... Zbysława grób tu znajdzie dla siebie.

— Coś wyrzekł — krzyknął Jordan — przebóg! byćże to może?... Lećmy... śpieszmy na pomoc! — i pociągnął silnie za sobą karła.

— Wstrzymaj się, niebaczny, jeszcze dość czasu, wstrzy-

maj się, powtarzam! Pod utratą życia przysięgam, że ocalisz Zbislawę, tylko się wstrzymaj! Jeśli pragniesz jej życia, nie czas jeszcze śpieszyć z pomocą; zostań tu raczej i słuchaj mojej powieści — niedługo trwać będzie.

Wahał się jeszcze Jordan, dręczony niepewnością, co miał przedsięwziąć; ale nareszcie zaufał przysięgom karła i postanowił czekać sposobnej chwili ocalenia Zbislawy.

I usiadł karzeł wśród trupów, a rycerz stał przed nim, zmuszony słuchać przewodnika, ale twarz jego i spojrzenie płonęły całym ogniem wewnętrznej niecierpliwości.

III.

»Umarł Mirosław z Gozdawy — zaczął Gonda z szyderskim uśmiechem — a jego trumnę, okrytą napisami i ozdobami pychy światowej, wpuszczono do grobu naddziadów. Została po nim młoda Johanna, można i bogata pani, ale okrutne jej serce raczej pod żelaznym pancerzem, niżli pod rąbkiem niewieściego stroju bićby powinno. Świat nie miał zuchwalszej kobiety, czyny jej mnie samego często zadziwiała, nieraz nawet uwielbiać ją musiałem. Wzgardzony, lubilem mścić się na rodzie ludzkim, to też wkrótce ofiary Johanny stały się mojemi. Ale zbliża się czas i dla niej: chwil kilka, a wzgarda Gondy pomszczoną zostanie.

»Wdzięki pani tego zamku mało równych zapewne liczą na świecie, a przecież nie zdobyły one przed laty Johanny; nie zbywało jej zaprawdę na kształtności rysów i wspaniałości postawy, ale pleć twarzy, nadzwyczaj śniada, niweczyła całą piękność. Lubiała potężna pani zgromadzać do domu swojego młode dziewice. W gronie tych znajdowała się Elżbieta, osierocona córka po wsławionym orężem Czehrynie z Hadzian. Czarowne jej wdzięki wielbiła cała okolica; zazdrośnem na to spoglądała okiem Johanna i przyszła jej myśl piekielna sprzątnąć ze świata Elżbietę. Ja wezwany byłem do spełnienia tych zamiarów. Ułożono daleką podróż, Elżbieta towarzyszyła swej pani. Na pierwszym noclegu związano dziewczę i sama Johanna męczyła ją ró-

żnemi sposobami. Wtem kropla krwi padła na jej twarz śniadą. Johanna, zbliżywszy się do srebrnego zwierciadła, obmywać ją zaczęła i zaraz potem postrzegłem dziwny rodzaj radości i zadowolenia w jej okrutnem spojrzeniu. Skinięła na mnie ręką, a zbliżywszy się, z niemałym zadumieniem ujrzałem, że miejsce, skąd krew otarła, bielilo się, jak śnieg na górach. Johanna spojrzała na mój sztylet, lecz nim jeszcze słowo wyrzec mogła, już Elżbieta u nóg moich bez duszy leżała. Na ten widok całe wnętrze moje zadrżało, przecież wkrótce trwoga ustąpiła dzięki radości. Przed chwilą z pogardą poglądała Elżbieta na obrzydłego karła, teraz martwa jej postać u nóg moich leżała. O, ty zapewne nie pojmujesz mojego uniesienia, ty nie jesteś karłem, ciebie świat nie odepchnął, ciebie przyrodzenie z łona swojego nie odrzuciło! Skorom cios śmiertelny zadał Elżbiecie, Johanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją myła. Trzeba było widzieć jej radość, gdy, zbliżywszy się do zwierciadła, nadzwyczajną białość pści ujrzała; ścisnęła mię za rękę i odtąd złoto i łaski sypały się na karła.

»Niedługo potem Johanna namiętnie pokochała Masława, księcia na Mazowszu, a wtenczas często już trzeba było powtarzać zbrodnicze kąpiele. Ginęły dziewice jedna po drugiej, a dzisiaj Zbysława ma poledzi!...«

Na te słowa zadrżał młodzieniec, a karzeł, porywając go za rękę: Teraz czas i godzina zemsty — rzekł złośliwym głosem; — wprowadzę cię, kiedy już twoją kochankę będą chcieli zamordować, szablą ją twoja uwolni; lecz przysięgnij mi wprzód, że natychmiast zaprowadzisz ją do sali biesiadniczej i rzecz całą Masławowi opowiesz! Wyśłucha cię ochoczo, bo już oddawna pragnie zguby Johanny, aby jej państwem zawładnął.

— Przysięgam! — rzekł rycerz stłumionym głosem, bo zimno śmiertelne po żyłach się jego rozlało i siły osłabły. Otoczony śmiercią, zagrożony zgubą najdroższej sercu

swemu istoty, musiał słuchać zbrodniarza i wolę jego wypełniać. Czuł całą okropność swojego położenia, ale pamięć Zbysławy przemagała wszystko i, dobywszy miecza, poszedł za karlem.

— Wiem dobrze — rzekł ostatni — że śmierć Johanny będzie zagubą i mojego życia, że z nią razem odbiorę zasłużoną karę, ale i ta myśl, straszliwa innym, mnie radością dojmuje; już mi świat obrzydł i życie obmierzło, nie potrafię sroższych wymyślić męczarni.

Wtem, nagle zatrzymawszy się Gonda przy ścianie, żadnego wejścia nie mającej: »Teraz działajmy! — zawołał — i pchnął gwóźdź silnie; odskoczyły małe drzwiczki, schody się ukazały, a Gonda, wbiegając na nie:

— Wybijaj pierwsze drzwi, które napotkasz! — rzekł do Jordana.

Już drzwi wybił Jordan i kilka trupów leżało u stóp jego, na ramieniu zemdlona opierała się Zbysława. Ocalił ją w chwili, kiedy już miała upaść pod ciosem zbrodniczego sztyletu.

— A teraz przysięga! — rzekł karzeł.

— Wypełnię ją! — odparł z wściekłością Jordan i, porwawszy kochankę, biegł przez długi ciąg komnat, aż na koniec wszedł do sali, gdzie huczna odbywała się biesiada.

IV.

Książę Masław, otoczony rycerstwem, siedział obok Johanny z Gozdawy, a dookoła na niższych krzesłach siedziały panie i dziewice jej dworu, uśmiechając się z przymileniem do wojowników, biesiadą i ich oczami zajętych. Przepych naczyń i sprzętów, blask lamp i pochodni czarujący dawały obraz i Johanna na łonie wesołego towarzystwa i najdzikszego w owych czasach księżęcia o swoich zapomniał zbrodniach. Na widok Zbysławy i Jordana pobladły jej lica, a oczy wściekłością się zaiskrzyły. Wydała krzyk straszliwy: wtem młody rycerz, wiodąc za rękę dziewczę, postąpił do Masława i, oddawszy mu pokłon, prosił o wysłuchanie i sprawiedliwość.

— Przez pioruny i piekło — odparł Masław — zwykliśmy ją wymierzać różnemi sposobami. Sztylet, trucizna, szubienica, więzienie i kajdany w naszej są mocy — i cóż ci z tego do smaku przypada?...

Poznał rycerz zimną obojętność księżęcia i natychmiast, śmiałą przybrawszy postawę: »Masławie — rzekł donośnym głosem — słuchaj, a sam wyrok naznaczysz!« i opowiedział wszystko, nie zważając na krzyk i mdłości Johanny. Masław mu też nie przerywał, cieszył się owszem w duchu, że wydarzyła się sposobność złupienia zamku gozdawskiego.

— A teraz ogłoś wyrok! — zawołał Jordan.

— Przez szatana i koniec świata, wymierzę ci sprawiedliwość, ale nie wprzód, aż mi odstąpisz swoją dziewczę.

To mówiąc, powstał z miejsca Masław i, zbliżywszy się do przerażonej Zbysławy, zarzucił na jej szyję stałą okrytą ramiona; lecz go natychmiast odepchnęła silna ręka Jordana i szlachetny kochanek, dobywszy tylekroć już doświadczonego oręża, wznosił go nad głową księżęcia.

— Czy sądzisz, że do mojej sprawiedliwości należy pojedynek o dziewicę między księżciem i prostym rycerzem, między panującym i poddanym? — zawołał Masław z hucznym i szyderczym śmiechem. — O, nie!... Lecz ci pokażę, że umiem sądzić i wymierzać sprawiedliwość! Odstępujesz mi tę dziewczynę?...

— Pierwej sępy paść się twojem cielskiem będą — krzyknął rycerz — pierwej się ziemia rozstąpi i ten gmach zapadnie!...

— Że gmach się zapadnie, to nieżleś zgadł, mój junaku — odparł z zimną krwią Masław — lecz o sępach i ziemi źle ci się udało. Pomyśl jeszcze przez chwilę, może co lepszego powiesz!...

— Szabla ci moja za mnie odpowie — krzyknął, przywiedziony do ostateczności, Jordan i uderzył silnie w pancerz księcia; lecz cięcie poszło płazem i Masław niewzruszony pozostał na miejscu.

— Uwięzić go — zawołał do swoich — mieć na baczności tego zuchwalca, żeby się nie wymknął!

Na te słowa rzucili się na Jordana rycerze i, odebrawszy oręż, otoczyli go dokoła.

— A ty, piękna dziewczyno — zapytał Masław — chceszli być moją? Teraz jestem w niedostatku kochanki, bo ta — dodał, wskazując na Johannę — zanadto krew lubi i kto wie, czyby kiedy nie zażądała i mojej...

— Kto?... ja? ja mam być twoją? — wołała przerywanym głosem Zbysława — nie!... nie!... pogardzam tobą! ja brzydzę się tobą!... precz!... precz ode mnie!

— A więc dobrze, nikogo przymuszać nie lubię. Rycerze, żołnierze, nasz to jest zamek, rabunek i łupież dozwol-

lona, pamiętać przecież, że mi jedna część należy jako wozowi, druga jako księciu, trzecia jako waszemu panu i do broczyńcy, a czwartą... czwartą wam daruję!

W mgnieniu oka zdarto kosztowne obicia i osłony, okrywające komnaty, pozabierano drogie kobierce, naczynia, statki, pieniądze, klejnoty i wszystko, co było w gozdawskich murach.

— Teraz — rzekł Masław — przywiązać przed przy-sionkiem do owych kamiennych słupów wszechwładną panią Gozdawę, tego rycerza, tę dziewicę, ha! i tego karła także, bo któżby jej usługiwał w podróży, w którą ją wysyłamy? Hej, dzieci, żwawiej do łuczywa i pochodni, niech wszystko ogień ogarnie! Tylkoż prędzej, prędzej, nie tak opieszale, bo i czwartą część zabiorę!...

— A teraz, Handzo z Budyszyna i wy, panowie — rzekł, obracając się do przybocznych wojowników — na konie i za mną! Staniemy zdaleka, albo też lepiej zbliżka, bobyśmy ich krzyków nie słyszeli.

Jordan nie utracił odwagi i siedł na śmierć z taką śmiałością, z jaką przed niedawnymi jeszcze czasy spotykał nieprzyjaciela. Bezbronny, otoczony siepaczami, prowadząc za rękę Zbysławę, zbliżał się do przeznaczonego sobie miejsca, kiedy książę siadał na konia, a uściskawszy czule kochankę: »Masławie — zawołał — przyjdzie czas i dla ciebie i, choć za późno, pożałujesz okrucieństw twoich«.

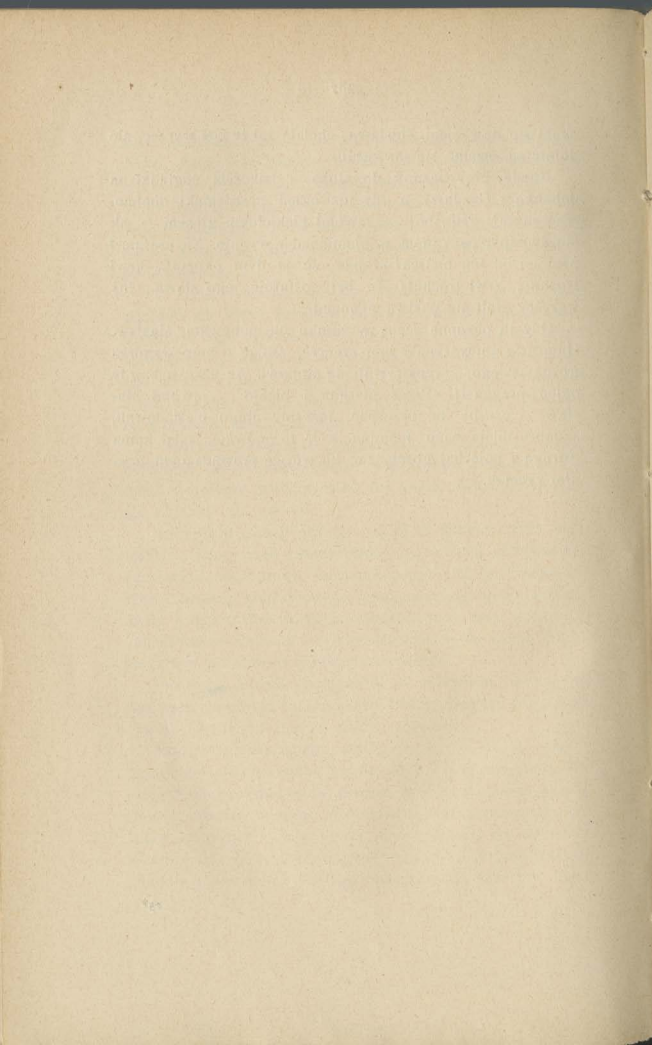
Johanna i karzeł postępowali w milczeniu, ale na ich twarzach malowała się straszliwa bojaźń cierpień przyszłego żywota i godnych zbrodni swojej udręczeń.

Zawarto bramy zamku, podłożone ognie dokoła gmach ogarnęły i płomień wzbił się do góry. Lecz, nim ofiary uległy swemu przeznaczeniu, jeszcze raz Jordan uściskał Zbysławę: »Musimy umrzeć — dodając z wzruszeniem, nie bez stałości przecież — ale duchy nasze złączą się w niebie, a tam żadna przemoc ziemską rozdzielić nas nie potrafi. Żegnaj cię, o luba, niedługo obaczymy się znowu!« Uści-

skała go nawzajem Zbysława, chciała także coś wyrzec, ale żołnierze rozstać się im kazali.

Gonda, przywiązany do słupa, z dzikością poglądał na Johannę z Gozdawy, a gdy już ogień przedsionki obejmować zaczął: »Ha, ha! — zawołał piekielnym głosem — jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! pleć jej od lilii bielsza! szkoda, że ją dym okopci!... krwi trochę!... krwi trochę!« Te były ostatnie jego słowa. Już wszyscy stali się pastwą płomieni.

Gdy ta okropna scena w zamku się odbywała, Masław, Handzo z Budyszyna i inni rycerze, stojąc u stóp wzgórza gozdawskiego, przypatrywali się ogniewi. Aż nareszcie, gdy ogień przygasł: »Przez pioruny i piekło — zawołał Masław — czasby się przespać, jużemy długo biesiadowali, a dobre miała wino Johanna...« i, to mówiąc, spiął konia ostrogą i pojechał gościńcem, ku wiosce prowadzącym, a za nim rycerze.



GASTOŁD.

POWIEŚĆ ŻMUDZKA.

THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
NEW YORK

GASTOŁD.

(LEGENDA).

I.

Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istotol
Dziady.

Wśród boru, oparłszy się nogą o kamień, w myśliwskiej odzieży, stoi rycerz Gastold i rzecze: »Giermku mój, nieś mojej dziewoi ten łeb z dzika, ten łeb z wilka, prędko się spraw!« A wokoło drgają ciała pobitych zwierząt i ciecze z nich posoka po murawie. I dalej mówi jeszcze, odwołując giermka, który już jechał:

— Opisz, jakim się targał z dzikiem i wbił oszczepem o ziemię, a nadewszystko, jakim brał się zapasy z wilkiem, jak dwa razy mnie obalił, a trzeciego legł pode mną, bo ten wilk, znać, był władcą lasu i odważne miał serce, prawie jako człowiek szlachetnego rodul Nieś ode mnie słowo uszanowania i gotowość na dalsze rozkazy!

Został sam rycerz i poprawia kaftan, zdarty pazurami; niedźwiedzią skórę przerzucił na drugie ramię i wsiadł na konia. Jedzie otoczony psami, które wyją, przechodząc obok zabitego wilka. — »Cóż wam się stało, zawołał rycerz, że tak wam smutno po zwycięstwie? Doświadczyłem was nieraz, a dziś, kiedy przyszło do walki, spuściliście ogony i uszy i z tyłu szliście za mną, zamiast coby przodem pędzić i wskoczyć na zwierza; pogniwamy się, psy moje, jeśli

tak dalej będzie». A brytany idą za nim i wyją i wstydzą się.

Las był ciemnym, jako zwyczajnie na Żmudzi o młodej jesieni, kiedy już dobrze na łowy, a jeszcze żaden liść nie opadł; nie ścieżką kierował się rycerz, ale to błotami, to łąkami, a nigdy nie zbłądził, bo, doświadczony myśliwy, znał legowiska dzikich zwierząt i one były dla niego jako słupy na bitej drodze.

Było to już dobrze z południa, żadnego ptaka nie słychać, między bukami tu i owdzie brzmi strumień zielony, bo zielona trawa z stron obu, a gdzie dolina między wzgórkami, tam czasem rozwalone kamienie świątyni pogańskiej, a Gastold się żegna i patrzy z pogardą na ostatki czci niedawnej, którą wielki Jagiello z ziemią zrównał po całej Litwie. Jednak, choć ma oszczep u boku, a na piersiach krzyżyk pod szatą, niemiło mu i niby się lęka, bo słyszał, że czary w tych tu miejscach się schroniły i są bardzo mocne. Owóż zmówi: »Zdrowaś Marya«, poprawia się na koniu i zapuszcza się dalej, i to powoli, bo z konia znój ciecze.

Taki bór wielki, że zda się bez końca. Co wzgórek się uniży, to drugi się podniesie, co jar się przejedzie, to inny się zaczyna, dęby się kończą, a sosny za nimi, piaski i sosny się kończą, a trzęsawiska dalej i po nich gęszczyzna i wierzyby. »Jakże też przyjmie posłańca Helena moja, Dowmunta dziedziczka?« myśli Gastold i modli się do św. Huberta, by go mile przyjęła. »A już od dwóch lat składam jej zdobycze z łowów i bojów, a ona, przyjmując, nic nie mówi i coraz w nowe pędzi mnie trudy, uśmiecha się, kiedy je pokonam. Lecz prócz uśmiechu nic nie mam. Piękna dziewczica! ja znam siebie, żem brzydki, z krysami po twarzy i rudym włosom; ale za to, że ona piękna, jam mężny i, co każe, to czynię«.

Aż tu bór się rozwidnił, choć bliżej wieczora i zewsząd bije światło zachodu pomiędzy drzewami. Już znać zdala

pole czyste i coraz bardziej zniżają się sosny, drobniej dęby; tu już krzami tylko, trochę dalej i krzaków już niema, tylko pełzną po ziemi małe jałowce.

Chata z prostych belek, słomą pokryta, stoi na łące; psy wyprzedziły rycerza i cisną się do drzwi. Rycerz zsiadł z konia i wprowadził go pod dach. Tu uwolnił od rzędu, nasypał jadła do żłobu i spuścił zasłonę, która przedziela komnatę jego od rumaka.

Sam został w komorze, zrzucił zbroję; wkoło lśnią się oszczepy i groty, w kącie leżą rogi jelenia; i położył się na sianie, zasłanem skórą rysia.

Marzy o swojej dziewczynie, a kiedy zmierzch nadszedł, zapalił ogień i znowu marzy. Czas długim się mu wydaje, nalał więc sobie lipcu do drewnianej czary i wychyli, chleb zjadł i mięsiwa. Tymczasem już noc i gwiazdy po niebie. Trąba ozwała się na łące i koń, znać, jak bieży po korzeniach. Skoczył Gastold radosny, bo już giermek jedzie, a z nim słowa kochanki.

Weszło młode chłopię, zmęczone, bo chciało zyskać względy rycerza i stanęło u drzwi z uszanowaniem, lecz, zaledwo słowo przemówi, tchu mu już nie staje.

— Jakież ją zastał, czy w kaplicy, czy na krużganku?

— Czy z kim, czy samą? czy wesołą, czy smutną?

— Panie mój miły, oddałem łeb z dzika i łeb z wilka, a oba przyjęła i, śmiejąc się, podziękowała; odpawę mi dała, lecz nic do picia i nic do jedzenia, i kazała cię prosić jutro do siebie.

— A był kto z nią, żwawy mój Dowryłło?

— Przekacny panie, stała na krużganku, patrząc na wody, choiny, z Świdrygaillą, synem Rymunda, który patrzył na nią.

Rycerz zmarszczył brwi rude.

— A w żmudzkiej naszej ziemi piękniejszego młodźca niema, tak mówią i starzy i młodzi. Lecz także mówią — ja boję się teraz o tem powiedzieć.

— Cóż takiego, mój giermku? Przeżegnaj się trzy razy i mów bez bojaźni!

Przeżegnał się trzy razy giermek:

— Mówią, że on bardziej wierzy w Perkuna, niż w nowego Boga naszego i że często w nocy, chodząc po lasach, rozmawia ze zwierzętami, gdyż wiadomo narodowi, że dawne bogi, pobite przez nowego, zamieniły się w wilki, tury i niedźwiedzie.

Wzdrygnął się Gastold i zbliżył do stołu, gdzie leżał miecz, i niby dla zabawy wziął go w rękę i niby nie z namysłu przypasał, a jak przypasał, lepiej mu na duszy było.

— Już o tem daj pokój, chłopcze, godzina nocna, bór przy nas, sami jesteśmy, a szatan nie śpi! Złe wybrałem miejsce dla tej chatki, choć prawda, że mi stąd dogodnie jechać na całe dnie w lasy — a Helena czy patrzyła często na niego?

— Nie miałem czasu zważać, bom przyjechał i odjechał; i widziałem, że nie chcieli, bym się zatrzymał.

— Jutro o świcie rząd mój stalowy na konia, zbroję z łusek na mnie, a ty zostaniesz tu.

Położył się Gastold po odmówieniu pacierzy, a w nogach spał giermek. Promienie ognia to prześlizną się po nich, to odbiegają; ciemno, aż potem znów ich oświecą napół i tak ciągle, aż do ostatniej iskry nie zagasły.

II.

Na całej Żmudzi nie znaleźć takiej wsi, jak Citowiany, bo stoi na górze nad przepaścią, w której huczą fale, choiny modre u spodu, a biała piana u u wierzchu. Dziedziczką w nich jest kraśna Helena, jedna pozostała z rodziny po ojcu i matce.

Piękność jej w kruczym włosie i w czarnem oku; kiedy spojrzy, zda się, że ciska strzałę; kiedy się ruszy, porywa przytomnych za sobą; kiedy śpi, każdemu by uklęknąć przed nią się zachciało, ale wieść różnie głosi o jej duszy i nieraz mówili włościanie: »Miększe u naszej pani włosy, niż serce«.

Stała teraz przed domem swoim na górze i słała wzrok na drogę z niecierpliwością. Zapewne kogoś się spodziewa, a białą ręką igra sobie po piersiach, spiętych kosztowną klamrą i nóżkami tupie po ziemi.

Chaty wsi dziedzicznej wokół siebie podnoszą. Z jednej strony widok na łąki, lasy i za nimi znów łąki, a z drugiej góra, zdaje się: wprost spuszcza się w głąb ostrym bokiem; a, postąpiwszy, widne są w tajemnym dole choiny, woda, która skacze po kamieniach, unosi z sobą drzewa i pędzi w liczne zakręty.

Po drodze, gdzie błdził wzrok Heleny, ukazał się ryccerz konno. Miga zdala stał na jego piersiach, kopię długą trzyma przed sobą i coraz się zbliża.

Poznała gościa dziewczica i roześmiała się serdecznie, nie było komu zważać, lecz w tym uśmiechu odbijało się nieco trwogi.

Wnet na zawołanie pani wyskoczyli słudzy i poszli witać rycerza; on odkrył przyłbicę, i, wyjechawszy w dziedziniec, zskoczył na ziemię i stoi przed Heleną, jakby przed sędzią.

A Helena była bardzo blada i, kiedy Gastold przysuwał się do niej, rzekła:

— Rycerzu, w nieszczęśliwym dniu polowałeś i giermka przysłałeś mi swego.

A Gastoldowi smutno, że ostrem przywitan słowem, i nie nie mówi.

Helena nie zaprosiła go w krużganek ni w sieni domu, lecz stoi przed nim blada i dalej rzecze:

— Znać, że ci Bóg nie sprzyja i święci, bo złe duchy nad tobą moc wzięły; nie mam sił mówić więcej, ale zawołam kogoś, który dokończy.

Klasnęła w dłonie, a z sieni wybiegł człowiek i ukłonem powitał ją.

— Świdrygajle, synu Rymwida, mów za mnie, boś był świadkiem tej nocy!

Gastold sięgnął do przyłbicy, by ją spuścić, jakby do walki; lecz opadła mu ręka i czekał w milczeniu.

— Rycerzu — słodkim głosem zawołał młodzieniec, uśmiechając się złośliwie — twój giermek wczora przyniósł tej dostojnej pani łeb z dzika, łeb z wilka. Dary twojego męstwa zawiesić kazała w przedsieniu; aż, kiedy zmrok zapadł, łeb z wilka zawył i oczy umarłe błysnęły czerwono — i wył aż do rana; bo z rana zdjęto go z kolka i rzucono w choinę. Rycerzu, zabiłeś wilkołaka i, znać, masz do czynienia z szatanem. Ja tego świadkiem byłem, bom tu, w gościnę przyjęty, noc przepędził.

— Przez Perkuna! — zawołał Gastold, lecz wnet się

wstrzymał i przeżegnał dla bezbożnej przysięgi i słowa nie mógł znaleźć dalej.

— A zatem nie mogę — rzekła Helena — być twoją przy ołtarzu, bo wiedzą, że ze złemi duchami masz sprawę. Prawdziwie, że kochałam cię, rycerzu, ale teraz nie mogę być twoją — i, mówiąc, z boku spozierała na Świdrygajłę, a on także rozkosznie spozierał na nią.

W tej chwili zdawało się zbolełemu rycerzowi, że topór wpadł mu w serce; krzyknął: »Och!« i zawołał:

— Heleno, znam ja sztuki białogłowskie, jak bursztyny w rzędzie mego konia.

— Ty mnie nie kochasz, ale innego, a przecież on dla cię nic nie uczynił. Wspomnij sobie moje prace wszystkie!

— Krzyżak potwarzał twoją cześć dziewiczą; posłałaś mnie — i Krzyżak już ust nie otworzył z pod kopyt mojego rumaka.

— Zażądałaś stu skór niedźwiedzich na jednej komnaty obicie; pójdź do komnaty i patrz, że jest ono obicie! Z kłów dzików zachciało ci się wiązania do kaplicy; przysłałem ci ich cztery wory, a wszystkie sam wyrwałem z zabitych przeze mnie.

— Tatarskich jeńców ciekawą byłaś; pięciu wziąłem dla ciebie w niewolę.

— Heleno, nie opuszczaj mnie, bo żal ci będzie; raczej wskaż jeszcze raz, co mam wypełnić, mów, a wypełnię, lecz oddasz-że mi potem rękę w kościele przed kapłanem?

— Dziewiętnasty rok mi nadchodzi i długo mogę być bez męża — odparła dziewczica i rozmyślała w milczeniu.

Tymczasem wąsy jeżyły się nad ustami Gastolda z niecierpliwości, a Świdrygajło przechadzał się pomiędzy sługami domu, jakgdyby pan; kiedy zaś Helena zabierała się do mówienia, mignął na nią okiem i palcem wskazał ku przepaści i rozśmiał się, lecz odwróciwszy się od rycerza; a zatem Helena rzekła do Gastolda:

— Rycerzu, że proszę ostatniej nie odmówisz mi, spo-

Poznała gościa dziewczica i roześmiała się serdecznie, nie było komu zważać, lecz w tym uśmiechu odbijało się nieco trwogi.

Wnet na zawołanie pani wyskoczyli słudzy i poszli witać rycerza; on odkrył przyłbicę, i, wyjechawszy w dziedziniec, zskoczył na ziemię i stoi przed Heleną, jakby przed sędzią.

A Helena była bardzo blada i, kiedy Gastold przysuwał się do niej, rzekła:

— Rycerzu, w nieszczęśliwym dniu polowałeś i giermka przysłałeś mi swego.

A Gastoldowi smutno, że ostrem przywitan słowem, i nic nie mówi.

Helena nie zaprosiła go w krużganek ni w sieni domu, lecz stoi przed nim blada i dalej rzecze:

— Znać, że ci Bóg nie sprzyja i święci, bo złe duchy nad tobą moc wzięły; nie mam sił mówić więcej, ale zwołam kogoś, który dokończy.

Klasnęła w dłonie, a z sieni wybiegł człowiek i ukłonem powitał ją.

— Świdrygajle, synu Rymwida, mów za mnie, boś był świadkiem tej nocy!

Gastold sięgnął do przyłbicy, by ją spuścić, jakby do walki; lecz opadła mu ręka i czekał w milczeniu.

— Rycerzu — słodkim głosem zawołał młodzieniec, uśmiechając się złośliwie — twój giermek wczora przyniósł tej dostojnej pani łeb z dzika, łeb z wilka. Dary twojego męstwa zawiesić kazała w przedsieniu; aż, kiedy zmrok zapadł, łeb z wilka zawył i oczy umarłe błysnęły czerwono — i wył aż do rana; bo z rana zdjęto go z kołka i rzucono w choinę. Rycerzu, zabiłeś wilkołaka i, znać, masz do czynienia z szatanem. Ja tego świadkiem byłem, bom tu, w gościnę przyjęty, noc przepędził.

— Przez Perkuna! — zawołał Gastold, lecz wnet się

wstrzymał i przeżegnał dla bezbożnej przysięgi i słowa nie mógł znaleźć dalej.

— A zatem nie mogę — rzekła Helena — być twoją przy ołtarzu, bo wiedzą, że ze złemi duchami masz sprawę. Prawdziwie, że kochałam cię, rycerzu, ale teraz nie mogę być twoją — i, mówiąc, z boku spozierała na Świdrygajłę, a on także rozkosznie spozierał na nią.

W tej chwili zdawało się zbolełemu rycerzowi, że topór wpadł mu w serce; krzyknął: »Och!« i zawołał:

— Heleno, znam ja sztuki białogłowskie, jak bursztyny w rzędzie mego konia.

— Ty mnie nie kochasz, ale innego, a przecież on dla cię nic nie uczynił. Wspomnij sobie moje prace wszystkie!

— Krzyżak potwarzał twoją cześć dziewiczą; posłałaś mnie — i Krzyżak już ust nie otworzył z pod kopyt mojego rumaka.

— Zażądałaś stu skór niedźwiedzych na jednej komnacie obicie; pójdz do komnaty i patrz, że jest ono obicie! Z klów dzików zachciało ci się wiązania do kaplicy; przysłałem ci ich cztery wory, a wszystkie sam wyrwałem z zabitych przeze mnie.

— Tatarskich jeńców ciekawą byłeś; pięciu wziąłem dla ciebie w niewolę.

— Heleno, nie opuszczaj mnie, bo żal ci będzie; raczej wskaż jeszcze raz, co mam wypełnić, mów, a wypełnię, lecz oddasz-że mi potem rękę w kościele przed kapłanem?

— Dziewiętnasty rok mi nadchodzi i długo mogę być bez męża — odparła dziewica i rozmyślała w milczeniu.

Tymczasem wąsy jeżyły się nad ustami Gastolda z niecierpliwości, a Świdrygajło przechadzał się pomiędzy sługami domu, jakgdyby pan; kiedy zaś Helena zabierała się do mówienia, mignął na nią okiem i palcem wskazał ku przepaści i rozśmiał się, lecz odwróciwszy się od rycerza; a zatem Helena rzekła do Gastolda:

— Rycerzu, że prośby ostatniej nie odmówisz mi, spo-

dziewać się należy. Siądź na konia i rozpędź go i, w biegu zbiegłszy z tej góry, nie zatrzymawszy się przed żadną rozpadliną ni głazem, jednym rzutem przejdź rzekę u dołu po kładce, która leży nad nią! Niechże ci Pan Bóg dopomóż, a potem będę twoją żoną!

Gastold nic nie odpowiedział, ale skoczy na siodło i pogłaskał konia po grzywie.

— Jedźmy, koniu, na ostatnią przeprawę!

Krok za krokiem dojechał aż do brzegu przepaści i zatrzymał się tutaj. Ręce wzniosłszy do nieba, modlił się, potem kopię ułożył w toku jakby na wroga i, dawszy ostrogi, okrążył dwa razy cały dziedziniec w oczach kochanki. Za trzecią razą rzucił się z góry. Pobiegli wszyscy, by patrzeć na rycerza, a Świdrygajło i Helena trzymali się za ręce, bo sądzili, że zginie. Po schyłku góry leciał Gastold, ujawszy silnie wędzidła; z kamienia na kamień skakał, dwa razy przewrócił się z koniem i przeraźliwie chrzęśla mu zbroja, dwa razy powstał i leciał wpośród tumanu kurzawy. Im dalej, tem kurzawa się wzmaczała wkoło niego; znikł połysk pancerza i hełmu w niej, znikł sam rycerz zupełnie. Tylko słup pyłu coraz niżej, coraz niżej zalatuje i zleciał aż w sam dół otchłani i już, kręcąc się wirem, ulatuje nad kładką, upadł po połowie jej w rzekę, a sam rycerz pozostał na koniu i drugiego brzegu dotyka. Skrzywił się Świdrygajło, spojrziała luba nań Helena i odbiegł z nią aż do ganku i tam jej szeptał do ucha i szeptał, aż, okrążywszy górę, Gastold znów na dziedziniec wjechał.

— Tyś moja, tyś moja! — i już chce zarzucić ciężkie ramiona na Helenę wracający rycerz.

W oczy mu się rozśmiała dziewczica.

— Ach, Gastoldzie, trzeba mi męża, żeby mnie pilnował i bronił, lecz nie takiego, który na lada rozkaz naraża życie. Żegnaj mi rycerzu, ja nigdy nie będę twoją! — I pyszna z urody, spoglądając dumnie na niego, ręką wskazała wrota.

Krzyknął Gastold, ściskając dłonie z gniewem, a oczy mu pały i z żądz miłości i z oburzenia.

— Nie, ja twoją nie będę, żegnaj mi, rycerzu; godny jesteś Laszki, one lubią takich urodziwych i barczystych!

Jęknął rycerz, aż mu zbroja na piersiach odpowiedziała, i skoczył z wściekłością niedźwiedzia ku Helenie, Świdry-gajłę obalił, dziewicę ujął ramieniem, drugą ręką, dobywszy sztyletu, twarz jej białą końcem ostrza skaleczył od ucha do ucha.

— Przepadnij twa gładkość, kobieto, noś znak po mnie i pamiątkę dla kochanka, ile cię razy będzie całował!

Po tych słowach, zapamiętały w szale, uciekł od Citowian.

III.

Na pograniczu Litwy z Prusami stał kopiec usypany, a wokół kopca wierzby. Tuż przy tem laszek brzoźowy i rzeczułka od niego płynie. Z tyłu bory, z przodu równina, a tam i owdzie dzwonnica nad wsią lub miastem w oddali. Z brzoźowego lasku wypadł cwałem człowiek w zbroi i pędził bez uwagi, aż koń jego przeląkł się i stanął, jak wryty. Za nim jechał giermek i wołał głośno, ile mu w piersiach stało:

— Panie przeznacny, pędzisz od dwóch dni bez odpoczynku przez jary, wzgórza i lasy, otóż już litewska granica, Krzyżaki, Niemcy z tamtej strony!

Przez Perkuna, przez Huberta, leb wilczy wyje na kółku! Hej! czy słyszysz? Hej! czy widzisz? krew kroplami się sączy na twarzy; dalej, koniu mój, przeskocz zaporę i dalej!

Ale i ostroga nie pomogła i rozkaz nic nie znaczył: koń nie usłuchał; czy się boi, czy, że mu żal litewskich łąk i paszy?

Zatem giermek dognał pana i uchwycił za strzemię i, w nogi całując, prosił, by wrócił nazad, aż też zbłąkanemu rycerzowi krew odbiegła od głowy i wolniej myśleć zaczął.

— Panie kochany, twój siwy nie chce dalej jechać; posłuchaj go, bo koń przywiązany dobrze życzy panu swemu! Karmisz go najlepszem ziarnem, on też, wdzięczny, ostrzega cię, że przeczuwa biedę.

— Giermku, ciebie nogi i serce wstecz niosą, bo masz dom i rodzica w Kiszolkach. Ściśnij ostatni raz mi popręg i bądź zdrów na wieki!

Milczy giermek, gdyż grzech sprzeczać się z rycerzem, i rzęd poprawił u konia, a tymczasem Gastold wyszedł na kopiec i wokoło patrzy na pola.

— Dobrzem zrobił, że, zamiast pięknej, syn Rymwida brzydką poślubi; ale żał mi miękkiej skóry, która tak łatwo rozdarła się pod moim sztyletem. O kobieto, niewiernico! — pocilem się niemal dwa lata dla ciebie, a tyś chciała mnie zgubić, lecz że się nie udało, odrzuciłaś! I marzyłaś sobie, że tak łatwo odpędzić rycerza, jak motyla, lecz teraz markotno mi i słabo. Czyż też mogłoby być, żebym ją kochał jeszcze? Uciekajmy w świat, by prędzej położył koniec temu życiu!

— Litwo, żegnam cię i twoje bory i zwierza w nich! Smutno Zmudź porzucać! Panie Boże, dopomóż mnie i szabli mojej, a uczyni, by ją Świdrygałło męczył, na to, by często wspomniła z żalem o Gastoldzie! A teraz dalej w niemiecki świat!

Przez chwilę jeszcze spoglądał na ojczyście błonia, a potem zstąpił z kopca i spytał giermka, czy gotowy koń?

— Jużci, jakieś rozkazał, panie mój.

A więc jednym skokiem rzucił się na siodło, kopię wziął z rąk sługi.

— Ostatni rozkaz wypełnisz. Dowryllo, pójdz na wesele Heleny, Dowmunta dziedziczki i powiedz jej...

Tu się zatrzymał i, nie wiedząc, jak zakończyć, to spuszczał, to podnosił przyłbicę i głaskał ręką rude włosy i poprawiał pas i nie mówił nic.

Wtem jedną ręką ściągnął wodze i dał ostrogi i zawołał:

— Bądź zdrów i karm wiernie mojego brytana!

Minął kopiec, goni po pruskiej równinie, aż go wzgórze zakryje, a giermek stoi i patrzy jeszcze za nim.

IV.

Dwadzieścia lat po tym dniu szparko ubiegło — i w Litwie ani wieści o Gastoldzie.

W Citowianach stoi kaplica na górze, gdzie dom zamożnej Heleny stał niegdyś. Choina wre u stóp skały, jak od wieków, lecz już kładka, po której przejeżdżał rycerz, zgniła i w środku przerwała się; dwa jej końce sterczą dotąd, wbite z każdej strony.

Wiosną lekkie powietrze i lżej grzesznikom zrzucać ciężar z serca. U obrazu przeczystej matki Chrystusa klęczy niewiasta w żałobnych szatach sama jedna, bije się w pierś i płacze.

Kaplica ciemna, lampa pali się przed ołtarzem, ołtarz z drzewa, na którym wyrobione rzeźby, a drzwiami otwartymi wpada wiele rannego światła, bo pogoda na dworze.

— Nie przejadę tego miejsca, bym nie złożył hołdu najświętszej Dziewicy — rzekł rycerz, który tamtędy jechał, uwiązał konia u żelaznego haka i stanął przede drzwiami.

Zdziwiony zdał się i spoglądał na wsze strony; znać, że sobie coś z trudnością przypomina, lub, że czegoś zrozumieć nie może: niewielkiego był wzrostu, ciężko okuty w zbroi i średniego wieku.

Lecz nie z litewskiej ziemi, choć patrzy na Litwina, bo pancerz miał po włosku nabijany, pióra niemieckim wzorem zatknięte u hełmu i sztylet niemieckiego kształtu i łań-

cuch bogaty obcej roboty, włosy rude, gdzieniegdzie zsiwiałe, wymykają mu się z pod przyłbicy, a na lewą nogę trochę kuleje. Zresztą był rzeźwy i znać, że podola błędom i trudom.

Ujrzawszy kobietę, zachowywał się w poszanowaniu i zarazem ciekawie spoziera na nią, a ona w pierś się bije i szlocha:

»Matko Boga — woła przecinany głos — wielkie moje grzechy, Matko Panno, wielkie moje grzechy! Kochał mnie rycerz, głośny w całej Litwie, i jam go kochała. Lecz lubiłam przez próżność narażać go na niebezpieczeństwa, on we wszystkim mi był powolny, czy to Niemca wbić w ziemię, czy niedźwiedzia obalić, czy Tatara jeńcem stać przede mną i zawsze czegoś więcej żądałam. Matko Boska, wielkie moje grzechy! Matko Panno, wielkie moje grzechy!«

»Lekkiego byłam serca i pychą nadełam się z mojej urody, bo też w Zmudzi całej gładszej nade mnie nie było dziewoi; i zdarzyło się, że w moje progi uczęszczał młodzieniec o śnieżnem licu, a byłam bez ojca i matki i dałam się uwieść wymowie tego młodzieńca, niewiarą odpłaciłam mojemu rycerzowi i ostatni raz, kiedym go widziała, namówiona przez zdrajcę, chciałam zgubić kochanka u dołu tej przepaści.

»Matko Boska, Matko Panno, ciężkie moje grzechy! On też odjechał, ukarawszy mnie na mojej urodzie, a tamtemu dałam się poślubić i bił mnie nieszcześliwą i męczył czarami, dopóki nie umarł.

»Ledwie, że jedną koszulę na mnie zostawił, a złote moje zausznice i bursztynowe kanaki pozdzierał.

»Matko Boska, Matko Panno, wycierpiałam dużo, bo też ciężkie moje grzechy.

»Wystawiłam ci tu kaplicę w miejscu domu mojego i codzień powtarzam przed Tobą me winy. Oh, przebaczenie dla mnie uzyskaj od Syna!

»Matko Boska, Matko Panno, daj mi ujrzeć jeszcze mojego rycerza przed śmiercią! Już lat dziesięć upływa, jak się męcę przed Tobą i przed krzyżem Syna Twego«.

A rycerz słucha i drży cały, jakby litewską mowę zrozumiał i znał dawniej tę niewiastę. Kiedy skończyła, zabrzmiał ostrogą o podłogę kaplicy i, wszedłszy, kląkł przed ołtarzem, całując ziemię. A grzesznica wstaje pomieszana i odchodzi, lecz, nim odejdzie, zdjęła ją ciekawość — i stoi u drzwi i patrzy na rycerza.

Rycerz też głośną modlitwą wzywał nieba, i to po litewsku:

»Matko Boska, Matko Panno, ciężkie moje grzechy, bom kochał przed laty dziewicę i szalem bezbożnym uniosłem się do niej, tak, żem twarz jej śliczną skaleczył żelazem; odtąd też przez lat wiele nie szło mi po myśli i wiele krwi ze mnie upłynęło na obcej ziemi.

»Lecz teraz, Matko Boska, Matko Panno, połącz koniec moim błędom! Wszakżem Twoje święte imię głosił pomiędzy pogany, Maurów po Andaluzji równinach ścigał i na wieże darł się Grenady!

»Krzyżakom, którzy bluźnili Tobie, miecz mój utkwiał w gardle i dwadzieścia lat biłem się jako rycerz, wołając wśród bitew: »Cześć Przenajczystszej dziewicy!« Matko Boska, Matko Boska, Matko Panno, dozwól mi ujrzeć tę, którą ukochał za lat młodych, bo kocham ją dotąd jeszcze, równie wtenczas, kiedym jej posłał łeb z dzika i łeb z wilka!«

I, to powiedziawszy, powstał rycerz i obrócił się ku niewieście. Ona niepewna stoi i piersiami dysze, zwolna podnosi zasłonę i ukazuje rysy białe; blizna ciągnie się po licu z stron obu, jako nić z ciemnego jedwabiu.

Rycerz oddarł przyłbicę od szyszaka i wyciągnął ręce: »Tyś, Heleno moja!«

»Tyś Gastold mój!« i dawną kochankę przycisnął do łona.

*

*

*

Wesele w Citowianach, wesele! Niemłoda już małżonka, niemłody mąż, a jednak miłość wiek i trudy ma za nic; przed ołtarzem ślubują sobie wierność i Wajdeloty pieśni składają, a przy promieniach zachodzącego słońca wracają z kościoła do domu. Patrzy na niego Helena, jak się nie zgarbił pod trudami, patrzy na nią Gastold, że hoża jeszcze, choć po smutkach tylu.

Niedługo potem urodził się im syn do miecza, a w rok później córka do kądzieli.

ZAMEK WILCZKI.

(POWIEŚĆ NARODOWA).

THE NEW YORK

(1871-1872)

Wskrós okien różnofarbnych powoju roślinia,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami: »Ruina«.

Mickiewicz.

W dawnej ziemi halickiej, tak płodnej w piękne położenia, jest wieś Złotniki, gniazdo rodziny Złotnickich. Niedaleko od niej, na drugim brzegu Strypy, przy Złotnikach płynącej, wznosi się zamek Wilczki, niegdyś obronny, a teraz rozpadły w gruzy, świadczące jeszcze o potędze i dostatkach jego dawnych właścicieli. Otaczają go dokoła na nizinie wybudowane chaty wsi, Sokolema zwanej, i zdaleka patrzącemu wydaje się, jakgdyby Złotniki jedną z nią składały całość. Rzadko trafia się w tej nadobnej krainie tak zachwycające ujrzyć położenie, choć ona jest nieprzerwanym ciągiem pięknych widoków i obrazów, strojnych w hojne dary przyrodzenia.

Przy blasku zachodzącego słońca, po letnim upale najlepiej wydaje się okolica, w której leżą Złotniki i Sokolema. Wzgórza, okryte murawą i krzakami, wabią oko, wszędzie coś nowego napotykać. Strumyki, z pod ich stóp wytryskujące, szmerząc po dolinie, czołgają się powoli aż do Strypy, która, płynąc wśród jednej i drugiej wsi, odbija w swoich wodach i chaty Złotnik i napół rozpadłe wieże Wilczków. Drzewa owocowe zielenią się po ogrodach włościańskich, oddzielonych od siebie żywymi płotami z wierzby, do których mieszają się zieleń polne i kwiaty kraśnej barwy.

Rozłożyste lipy i cieniste buki rosną po brzegach Strypy, gdzieśniedzie błędzącym przecinanej czołnem. Skały i góry mieszają się zdala z lasami różnej farby.

Od wzgórza, na którem stoją rozwaliny zamku, ciągnie się starożytna ulica, wysadzona lipami, dochodząca aż do niedalekiego lasu. Obok widać ostatki pięknego niegdyś ogrodu. Leżą tu i owdzie gruzy obmurowanego parkanu. Zarosłe ścieżki nie migają się już miałkim piaskiem. Chwast i oset zalegają miejsce, gdzie nieraz lekka piękności noga przesuwiała się obok stopy, zbrojnej w ciężkie żelazo. Gaje, od słowika opuszczone, służą pułaczom za schronienie, a pajęczyna obwija sklepienia z róż, najpiękniejszymi niegdyś jaśniejące farbami. Staw wysechł na środku ogrodu, a miejsce jego oznacza tylko rosnąca trzcina i gęsty szuwar. Zapuszczone szpalery rozrosły się szeroko. Mnóstwo dzikich ziół i krzewów zapełniło zostawiane między gajami przerwy i ogród wilczkowski codzień podobniejszym się staje do otaczających go lasów. Jedną tylko ulicę, do zamku wiodącą, można jeszcze od pobocznej rozróżnić murawy, bo dosyć często ciekawi gruzów wilczkowskich po niej się przechadzają. Sam zamek stoi na wzgórzu, dosyć wyniesionem, a wieże jego, sądząc po szczątkach, dochodziły kiedyś znacznej wysokości. Był to budynek, w szeroki czworogran ułożony i kilkoma obwarowany wałami, po których dzisiaj wiją się pokrzywy i rosną głogi. Architektura jego nigdy nie była zupełnie gotycką, zbywało jej albowiem na wysmukłości i lekkości, znamionującej dawne budowy południowych krajów. Ozdoby Maurów hiszpańskich lub seniorów średnich wieków nie wabiły tu oka, ale za to grube mury mogły długo się nieprzyjaciółom opierać. Strzelnice, w nich wyrobione, przepuszczały pociski broniących się odważnie. Wieże z basztami zdawały się ciężać gorze swoim ogromem, okna podługowate zajmowały całą długość ścian, okrytych perskimi kobiercami lub skórą dzikich zwierząt i zbrojami wojowników. Sklepienia zaginały się nad głową

mieszkańców i znać jeszcze na nich haki żelazne, na których wisiały lampy, oświetające ciemne sale, gdzie nieraz brzmiała zbrojna stopa panów wilczkowskich.

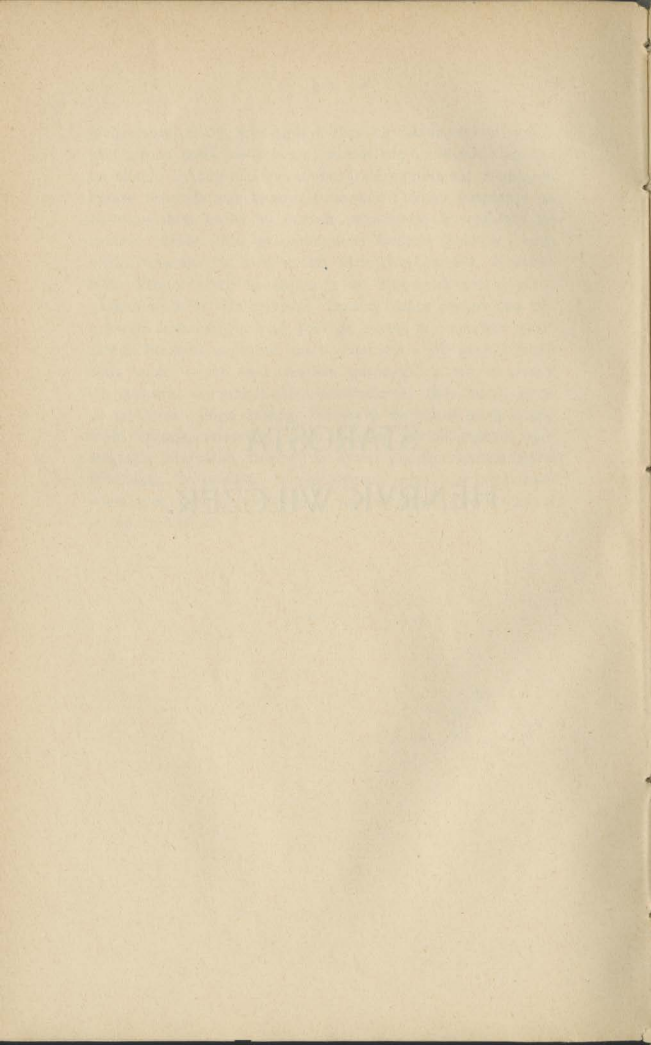
Teraźniejszy właściciel obrócił część zamku na mieszkanie rządcy dóbr swoich, dach słomiany pokrywa część gmachu. Druga zaś strona, otwarta na burze i deszcze, codzień bardziej się rozpada i wali. Kamienie, leżące na dziedzińcu, nabrały czarnej barwy. Znać na niektórych z nich wyrzynięte róże nad hełmami, herb domu Wilczków.

Wchodzi się do części opuszczonej zamku ogromną, sklepioną bramą, na której widać jeszcze posągi świętych, które dotąd uszły zniszczeniu burz i czasu. Długi korytarz prowadzi w obszerne komnaty, na których ścianach pozostały jeszcze poszarpane szczątki obiciów, które każdy wiatru powiew w poruszenie wprawia. Na posadzkach, już pogniłych, leżą ramy dawnych obrazów, a ich pozłota w czerwoną zamieniła się barwę.

Zwiedzając tę starożytną dzielnej rodziny siedzibę, czułem cały wpływ, jaki pozostałe szczątki uszłych wieków wywierają na żyjącego w teraźniejszych. Przechodziłem w milczeniu pokoje i galerye, często przerywane usunięciem się muru lub nawalonemi gruzami. Zwiedziłem wszystkie zakątki i przejścia. Nareszcie doszedłem do małej komnaty, sklepieniem, jeszcze nie przerwanem, obronionej od deszczu i zawiei. Zdziwił mnie niezmiernie ogromny obraz, wiszący na ścianie, bo jeszcze żywych jego farb czas zatrzeć nie zdołał; pilnie mu się przypatrywałem. Pędzel, który go skreślił, nie miał zapewne delikatności, dzisiejszym utworom właściwej, lecz uważałem, że umiał oddać z uderającą prawdą uczucia, odbijające się na twarzy osób, obraz składających. Wystawiał on biesiadę, lecz w chwili, w której toasty i brzęk puharów przerwało jakieś nadzwyczajne zdarzenie. Na pierwszym miejscu siedziała niewiasta, młoda jeszcze, z smutkiem głębokim i w weselnych szatach. Obok niej stał mężczyzna czarniawego lica i okropne wejrzenia ciskał na

pielgrzymą, który, wyciągając ręce ku młodzieńcowi, z drugiej strony stołu siedzącemu, zdawał się omdlewać i opadać na siłach. Sztuka malarza najbardziej wysiliła się w oddaniu rysów tej ostatniej osoby. Surowość i duma panowały na jej wzniosłym czole, w oczach przyćmionych wyrażała się czułość. Błede lica, gdzieniegdzie sinością pokryte, zgon blizki oznaczały, a kiedym się bliżej przypatrzył, ujrzałem kilka kropel krwi, spadających ze zbrojnych piersi, nieco odsłoniionych w tem miejscu. Zresztą szata pielgrzyma pokrywała konającego, nad którego głową wyczytałem gotyckimi literami napisane imię: »Starosta«. W głębi obrazu stało wiele innych osób, bogato ubranych, a na twarzach ich malował się przestach i przerażenie; dało mi to wiele do myślenia. Tego samego wieczora zaspokoił moją ciekawość rządcą, mieszkający po drugiej stronie zamku, opowiadając zdarzenie, tkwiące w żywej pamięci mieszkańców Sokolema. Tę powieść, jakem słyszał, teraz nawzajem opowiem tym, którym nie brakuje na cierpliwości wysłuchania jej aż do końca.

STAROSTA
HENRYK WILCZEK.



I.

Oczy jej, z nieśmiałością wznosząc się od ziemi,
Oczy, zalane łzami, spotkały się z memi.

Starożytna rodzina Wilczków, herbu Poraj, w niejednej potrzebie zasłużyła się Rzeczypospolitej rycerskimi czynami. Henryk Wilczek, o którym mamy tu mówić, był synem Marcina, sędziego ziemi halickiej. Od młodych lat ku usłudze ojczyzny sposobiąc się, w niejednej walce odniósł zwycięstwo, w niejednej bitwie dzielnie się odznaczył. Wyślany od ojca zagranicę, zwiedził dwory Hiszpanii i Francji. Był we Włoszech i w Niemczech, a wszędzie utrzymując godnie sławę polskiego imienia, w wielu gonitwach i turniejach pierwsze odniósł wience i zdobył nagrody. Za powrotem do kraju zastał już trumnę rodzica w grobie ojców, złożoną obok dawno zmarłej matki. Zatem objął zamek przodków i znaczne dobra, lecz przyszło mu często je opuszczać dla wojen, prowadzonych przez cały ciąg panowania Zygmunta III. Służąc pod Żółkiewskim, przyłożył się do wielu wygranych. Moskwy zdobycie nie obeszło się bez jego szabli, z Turkami po wielekroć się potykał, aż nareszcie krótka chwila pokoju dozwoliła mu wrócić do ojców mieszkania. Liczył wtenczas starosta Henryk Wilczek lat trzydzieści, a pięknością rysów i ułożeniem przechodził wielu młodszych od siebie. Siła, w tylu trudach nabyta, po całym rozlała się ciele. Wzrost wysoki, połączony z powagą, znamionował go wszędzie, odwaga, mało równych licząca, od-

bijała się w sokołem czarnych oczu spojrzeniu, a znamie surowości, połączonej z godnością, dodawało powabu do męskiej urody; uprzejmy dla innych, nikogo nigdy obelgą nie dotknął, lecz ten, który go obraził, darmoby szukał przebaczenia winy; krwią musiał ją przyplacić, a mściwy oręż Henryka umiał sobie zawsze utorować drogę do serca nieprzyjaciela ojczyzny lub osobistego wroga. Namietności Wilczka wybuchały z żywością, kiedy iskra pożar, wiecznie tlejący w sercu, zapaliła. Zresztą najgrzeczniejszym i najhojniejszym był z ludzi. Niemale nazbierał wiadomości podczas swoich podróży, a w rozmowie umiał łączyć i godzić lekki dowcip południa z surowszą powagą północy.

Takim był Henryk Wilczek, kiedy poznał Jadwigę, córkę Jana ze Złotnik, obok jego zamku za Strypą mieszkającego. Nie napróżno spojrzenia starosty spotkały jej błękitne oczy i wkrótce potem siedemnastoletnia dziewczyna weszła w progi wilczkowskiego zamku. Stary Złotnicki niezmiernie się uradował z tego połączenia, do czego i dary, któremi obsypał go starosta, wielce się przyłożyły. Nie był on jednak chciwym ani skąpym, ale lubił wszystkie próżniackiego życia wygody i, postanowiwszy sobie spocząć po trudach, postanowił zarazem niczego sobie nie odmawiać. Żył więc z kielichem w ręku, przy wesołych biesiadach, w gronie hucznych przyjaciół. W pięknym drewnianym domu w Złotnikach spędził dni pośród zabaw i wygod, na których wymyślanie tracił czas, pozostający mu od stołu i szklanki. Pomimo tego Złotnicki dziarskim był kiedyś rycerzem, a serce jego było szlachetnych uczuć siedliskiem. Jadwiga przejęła je rodzinnym spadkiem i one to, połączone z rzadką urodą, zwabiły ku niej serce Henryka.

Używając pierwszych chwil szczęścia po ślubie, stracił Wilczek na czas jakiś pamięć o wszystkim innem. Oczy Jadwigi były jego uczuć, kroków i całego życia wskazówką; lecz właśnie, kiedy zaczynała pierwszego syna piastować na łonie, kiedy jeszcze oko niemowlęcia dobrze ojca rozemnać

nie mogło, trąba wojny odbiła się o wilczkowskie wieże i ich pan musiał, uścisnąwszy żonę, pobiedz na boje z Turkami. Rzucił się na rumaka Wilczek i starał się zagłuszyć szczękiem oręża. Pod Chocimem wtenczas walczyli Polacy, a Chodkiewicz jeszcze z łoża śmierci zwycięstwami kierował.

We łzach tonąca Jadwiga odebrała dwa listy od męża wkrótce po jego odejździe, lecz potem i tej już nie miała pociechy. Daremno wypytywała się ciągle o niego, nikt podczas wrzącej wojny nie mógł jej dać o nim wiadomości. Błagała Boga o jego ocalenie, ale coraz cięższy smutek zalegał jej serce. Nareszcie skończyła się wojna, ale starostę nie ujrzano wracającym w podwoje naddziadów; uszedł miesiąc, a jeszcze nie przybył. Wtenczas rozpacz już ogarnęła duszę Jadwigi i, nieutulona w żalach, przebiega zamkowe komnaty we łzach i westchnieniach, choć jej ojciec, pijąc małmazę, powtarzał:

— Nic mu nie będzie, wróci zdrow, jak ryba.

— A może jego kości bieleją na polach chocimskich, a może już jego prochy wiatry rozwiały? — i nowemi jękami napełniała powietrze. Jedyną jej pociechą był syn małoletni; starała się w dziecinnych rysach upatrywać podobieństwo do męża, a kiedy jej wyobraźnia zbliżyła rysy męskie Henryka z miękkimi i mdłemi jeszcze małego Zbigniewa, czuła na chwilę radość, podobną do błyskawicy, oświecającej niknącym blaskiem drogę błędzącego wśród pustyni wędrowca. Rok mijał, a zamek wilczkowski był jeszcze bez pana. Wojownicy, którzy ocaleli w bojach z poganami, mówili, że aż do ostatniej bitwy widzieli Wilczka, siejącego postrach wśród tureckich szeregów; lecz później stracili go z oczu i nikt nie mógł wiedzieć, gdzie się podział. Promyk nadziei, rzadko nieszczęśliwych opuszczający, przebiegał się jeszcze czasem wśród trosk Jadwigi, jak przemijające światło zimowego poranka.

Zajęła się wychowaniem syna troskliwa matka i z pociechą dla niej wzrastał mały Zbigniew. Zamek wilczkowski,

dawniej wesela i przepychu siedziba, stracił całą okazałość. Rzadko goście zawitali do niego, bo mało jest ludzi, lubiących kość troski lub łyzy nieszczęścia podzielać.

Młody Wiesław z Podhorodynia, dawny starosty przyjaciel, jeden tylko Jadwigę odwiedzał; wspominać z nim lubiła o miłszych, dawno utraconych już chwilach, a czasem ucieszył ją Wiesław nadziejami powrotu męża, nadziejami, którym sam nie ufał; i w rzeczy samej zdawało się, że los tajemniczy i okropny rozciągnął wieczną zasłonę nad przeznaczeniem Henryka. Żadnej wieści o nim powziąć nie można było i niepewność coraz bardziej zbliżała się do okropnej pewności.

Pan Złotnik rzadko widywał córkę, choć tak blisko od niej mieszkał. Nie lubiła Jadwiga z sercem, rozpaczą rozdartem, odwiedzać mieszkanie wesołości, a biesiady, codziennie u starego Jana powtarzane, nieprzystojnem nawet były miejscem dla młodej kobiety.

Piątego roku po zniknięciu Wilczka zjawił się nowy gość w Złotnikach, który z początku jako gość, a potem jako stały mieszkaniec i towarzysz ojca Jadwigi w nich osiadł. Był to rycerz niemiecki, Halbert von Glennaberg, który, jak sam powiadał, przymuszony uciec z wojska cesarskiego po zabiciu w pojedynku swego pułkownika, schronił się do Polski. Niemcy, wówczas wojną trzydziestoletnią pustoszone, wydały z swego łona mnóstwo ludzi, nie znających ani czci, ani wiary, pędzących życie najemnicze wśród morderstw i rabunków, przechodzących na tę lub ową stronę podług upodobania lub nadziei większego zysku. Z ich liczby był Halbert von Glennaberg, łączący do dziwnej bezczelności nieustraszoną odwagę, która tem go niebezpieczniejszym czyniła, że jej zawsze w podłych celach używał za obronę swoich przestępstw i niegodziwości.

Powierzchnowny jego charakter zgadzał się zupełnie ze sposobem życia Jana Złotnickiego. Halbert nigdy kielicha tokaju nie odmówił i umiał mnóstwo pieśni wojskowych.

Celował we wszystkim, co tylko Jana zabawić zdołało; stąd wynikało, że wkrótce po ich zapoznaniu osiadł Niemiec w domu szanownego przyjaciela i dniem i nocą z nim wychylał konwie węgrzyna i małmazji. Ojciec Jadwigi, uradowany z nowego sprzymierzeńca, zapomniał zupełnie o córce. Glennaberg pozyskał całą jego ufność i przywiązanie, a żona Wilczka zanadto pogardzała rycerzem niemieckim, by kiedy miała przejść zamieszkane od niego progi. Jedynym węzłem, łączącym jeszcze oba domy, był Bartold Wojnat, wojski lwowski, który czasem odwiedzał Wilczki, a często upijał się w Złotnikach; oddawna on patrzył na Jadwigę, jak lis, czyhający na zdobycz. Dobra wilczkowskie przypadły mu do smaku, lecz Jadwiga nienawidziła skąpca, gotowego na wszystkie przestępstwa dla osiągnięcia podłego zysku. Z tej więc strony upadły nadzieje Wojnata, lecz w Złotnikach jeszcze starał się o zwycięstwo. Łatwo było go otrzymać, byleby się zastosować do zwyczajów ich pana. Scisłą przyjaźnią powiązał się Bartold z Glennabergiem, przyjaźnią, utrzymywaną wprawdzie częstemi darami, które przyjmował rycerz, jako płacę monarchy, któremu służyć się zobowiązał. Śmierć Wilczka, dla wszystkich pewna, niepewną jeszcze była dla serca Jadwigi. Pierwszą tę trudność zniósł Glennaberg, przebrawszy kilku najemnych ludzi za żołnierzy i kazawszy im przysiąc wobec Jadwigi, że widzieli leżącego starostę wśród trupów chocimskich. Druga większej była wagi, ale Niemiec przysiągł wojskiemu, że potrafi pokonać nieprzyjaciela, byleby starczyło mu amunicji i rynsztunków wojennych.

Nowy wór, pełny złota, złożył Wojnat w komnacie Glennaberga, który obiecał, że zaraz nazajutrz rozpocznie oblężenie. Właśnie wtenczas dochodził 15-ty rok od zniknięcia starosty Henryka Wilczka.

II.

Starych ojców wola zawsze straszną
dla córek bywała.

Walter-Scott.

— Dobry dzień, mein Herr, mój patronie — rzekł Halbert von Glennaberg, wchodząc zrana do pokoju Jana ze Złotnik, leżącego jeszcze w łóżku z kilkoma puhami wo-koło siebie.

— Chwała Bogu, że przybywasz, mój panie Halbercie, bo przedziwny węgrzyn, a ja lubię używać wygod i przyjemności w towarzystwie przyjaciół.

— Muszę go upoić — pomyślał szlachetny rycerz i zasiadł przy stoliku. — Pokosztujesz także wina, którego dostałem wczoraj przypadkiem u kupca przejeżdżającego.

— Na Boga i św. Stanisława, nie znam lepszego i dzielniejszego rycerza nad Halberta z Glennaberg — krzyknął stary pan Złotnik i, wyskoczywszy z łóżka, uściśnął towarzysza.

— A ja hojniejszego i lepiej żyjącego od Jana ze Złotnik — odparł Halbert. — A więc, Rudolffie, przynieś te dwie konwie, stojące przy oknie w moim pokoju!

Kiedy już przyprawne wino rycerza zaczęło wywierać dobroczynne wpływy na głowę Jana, tak się odezwał Halbert, który dotąd dopiero jeden puhar wychylił:

— Saperment — nie przeniosę na siebie, bym miał zataić tak dobremu przyjacielowi wieści, szarpiących jego sławę

i roznoszących hańbę jego córki, dziedziczki chwały jego naddziadów.

— Kto śmie to mówić? — krzyknął starzec, obudzony z długiego uspienia — kto Jadwigi sławę szarpie? *Per Deum omnipotentem*, jeszcze mu potrafię zrzucić głowę z karku!

— *Valga me dios* — zapalasz się, mein Herr, jak proch żołnierzy Mansfelda. — Uspokój się, ja wezmę na siebie pomścić się!

— Dziękuję, *per immaculatam conceptionem*, nie potrzebuję Niemców — krzyknął stary Polak — dla zmycia obelgi, mej sławie zadanej, w krwi zadawającego!

— Widzę, że za mocne wino — z zimną krwią rzekł rycerz.

Te słowa zwolniły natychmiast zapal Jana, bo, mając miłość własną, że najmocniejszy trunek głowy mu zawrócić nie potrafi, starał się unikać dowodów, przeciwnych temu ulubionemu twierdzeniu.

— Słucham więc, panie Glenda... Glensa... panie Glenaberg... słucham... cóż dalej? Jak się zowie ten, kto to mówił?

— Zowie się, szanowny patronie, zowie się *całym światem*. Tak wszyscy szepczą sobie do ucha, że za często Wiesław z Podhorodynia, dawny Wilczka przyjaciel, bywa u starościny, córki twojej.

— Bodaj piekło pochłonęło i tego, który bywa, i tych, którzy o tem mówią! Mogę zaręczyć, że Jadwiga...

— I jabym to samo pod utratą życia i sławy zaręczył, lecz trzeba światu usta zamknąć, a z każdym się rąbać niepodobna, inaczej, zum Teufel, wkrótceby im pokazał, że niebezpieczno oczerniać córkę przyjaciela Halberta von Glenaberg.

— Podaj mi więc jaką radę, panie Halbercie, ale pierwszej wypij ten roztruchan! *Vinum laetificat cor hominis*.

— Prawdę mówisz, mein Herr, *valga me dios* — zdrowie

twojej córki, a śmierć jej nieprzyjaciołom! A teraz trzeba ją wydać za drugiego męża.

— Jak? — co? — za męża? — oszalałeś? — ona tak Wilczka żałuje, ja jej przymuszać nie mogę.

— A więc — zawołał Halbert, udając najwyższe uniesienie — patrz na hańbę swego domu, spijając spokojnie kielichy wina! Pozwól całej ziemi halickiej, by niegodnemi żartami wyśmiewała twoją siwiznę. Rodzina Złotnickich, żadną dawniej nie skalana plamą, doczekała się dnia swojego upadku. Upór ostatniego jej potomka a nierozważne jednej kobiety postępowanie położyły koniec sławie szlachetnego domu. — Janie ze Złotnik, tarcza twoja już skażona, białe włosy zhańbione, imię potwarzą okryte! Ratuj się, ratuj i słuchaj rad moich, boś już nad brzegiem przepaści!

— *Per Sanctum Stanislaum* i przez szablę moję nie ścierpię tego, panie Halbercie, by dalej o tem mowy prowadzono. Zresztą rób co chcesz, niech idzie za męża, ale za kogo?

— Za Bartolda Wojnatą, wojskiego lwowskiego — on już oddawna pragnie tego związku.

— Przystaję na wszystko, jeśli od tego zależy sława mojego rodu.

Jeszcze się ich rozmowa długo ciągnęła i Halbert tak umiał przekonać starca o potrzebie zameścia Jadwigi i o przymiotach Bartolda, że przysiągł Jan, że córka odda mu rękę. Posłał jednak naprzód Halberta, by doniósł staroście o konieczności jej ślubu z Wojnatem, bojąc się zapewne, by gołzy córki nie zmiękczyły, kiedy szło o przywrócenie chwały starożytnego domu Złotnickich.

Nie ulękła się piękna Jadwiga długiego rapiera i pistoletów, bez których nigdy nie wychodził z domu dawny żołnierz trzydziestoletniej wojny. Nawet szesnastoletni Zbigniew, ubóstwiający pamięć ojca, chciał go na pojedynek wyzwąć, ale, wstrzymany prośbą matki, przestał na wyrzutach i zakazie, którym bronił Halbertowi wejścia do domu matki. Za długo byłoby tu opowiadać wszystkie usiłowania Wojnaty

i rycerza niemieckiego. Nareście stary Złotnicki, przekonany, że idzie o sławę własnego imienia, wdał się w tę sprawę. Łzy córki nie miały nań wpływu, a po jednej z swoich biesiad zagroził jej przekleństwem ojcowskiem. Już nie mogła się opierać Jadwiga. Zbigniew sam padł na kolana i prosił, by, nie zważając na jego dobro, uwolniła się od ciężkich strapień.

Dzień 20 września wyznaczony został na ślub nieszczęśliwej ofiary. W nim miała oddać nienawidzonemu rękę starościna Wilczek.

Halbert dostał nowe dary od Wojnata i pyszne przygotowania zaczęto czynić do wesela, po którym niedługo już żyć miała Jadwiga.

III.

Zemsta jest rozkoszą bogów.
Stare przysłowie.

Zrana w dniu, przeznaczonym na wesele Wojnata, wyjechał na łowy Wiesław z Podhorodynia. Nie mogąc się oprzeć nieszczęściu Jadwigi, jeden jej tylko z pomiędzy wszystkich prawdziwie życzliwy, nie chciał być przytomnym jej połączeniu z niecierpianym człowiekiem.

Domyślał on się poczęści o podstępach Halberta, lecz, nie mogąc mu ich dowieść, stracił nadzieję oparcia się zamachom, Jadwidze grożącym. Pędząc konia w szeroką knieję, zagrzewał psy i towarzyszków swoich. Ale wkrótce, wpadłszy w zamyślenie, oddzielił się od ich orszaku. Odgłos trąbek i szczekanie ogarów długo jeszcze dochodziły do jego uszu, potem słabnąć zaczęły i nareszcie skonały. Błądził Wiesław po lesie, myśląc to o dawnym przyjacielu, to o jego małżonce. Dopiero nad wieczorem pojrzał naokoło siebie, a niebo i drzewa tylko zobaczył. Spiąwszy konia, na los szczęścia się puścił. W kilka chwil dojechał do karczmy, wśród lasu stojącej, i poznał, że, wyjechawszy zrana z Podhorodynia, oddalił się o siedm mil od domu, gdyż karczma, przed którą zsiadł, była tylko o pół mili od Złotnik.

Znużony, wszedł do gościnnej izby i zastał gospodarza, rozmawiającego z osobą, której twarz natychmiast go uderzyła. Był to człowiek, do 45-ciu lat liczący, którego ani trudy, ani rany, których blizny nosił na czole, osłabić nie

zdołały. Włosy, dawniej kruczego koloru, zbieleły, w oczach panował jeszcze ogień lat młodych. Postawa oznaczała na pierwszy rzut oka dzielnego wojownika, choć go szata pielgrzyma obwijała. Ręka, w której trzymał kij pustelniczy, zdawała się być zwyczajniejszą do żelaza, niż do lekkiej laski, a głowa, na której spoczywał kapelusz czarny z obszernymi brzegami, nieraz pod ciężkim hełmem musiała się nieprzyjacielskim nastawiać orężom. Jakiś rodzaj obrażonej dumy i tajonego gniewu dodawał wielkości do twarzy, zdobnej w bohatyrskie rysy.

Wiesław stał u drzwi pokoju, jakgdyby przykuty nieznaną siłą, podczas kiedy nieznajomy rozmawiał z gospodarzem, a kiedy ten ostatni wyrzekł słowa:

»Kupili ode mnie beczkę wina na wesele. Dziś właśnie pani starościna za mąż idzie« — rzucił się pielgrzym ze złe tajoną wściekłością i zabrząkło coś pod szeroką jego szatą, jakgdyby starło się żelazo z żelazem.

Nie zostało już wątpliwości w duszy Wiesława i skoczył ku przyjacielowi.

— Jedź ze mną! — Ratuj Jadwigę!

— Wiesławie! — krzyknął pielgrzym i ucisnął zbłąkanego strzelca. — Czy to prawda, że moja... że starościna idzie dziś za mąż?

— Prawda, na Boga, ale koni, koni prędzej, gospodarzu! — krzyknął Wiesław, rzucając dukaty na stół.

— Mój ustał pod tym domem i dlatego w nim się zatrzymałem, ostatnia mnie już odleciała nadzieja. Czyżem kiedy mógł się spodziewać, że mi Jadwiga niewierną będzie?

— Siadajmy — przerwał Wiesław — a wszystko ci wytłómaczę! — I już skoczyli na świeże rumaki i pędzili drogą, do Złotnik wiodącą. Właśnie wtenczas zachodziło słońce.

— Godzina jej ślubu już blisko — rzekł Wiesław — ale może da Bóg, że przybędziem pierwszej — i opowiedział przyjacielowi podstępny Halberta i groźby Jana. Mienił się na twarzy starosta podczas słów Wiesława i, nie mogąc już

wstrzymać oburzenia, wyrwał z pod szaty turecką szablę i przysiągł, że ją w krwi zdrajcy zanurzy.

— Moje — rzekł dalej — nieszczęścia ciężkimi były, lecz umiałem je znosić, jako na człowieka i na rycerza przystoi. Dostawszy się w niewolę, jęczałem w głębi Azji lat dziesięć z okładem; później potrafiłem umknąć z więzienia i, puszczony do Hierozolimy, pod tym ubiorem zwiedziłem grób Zbawiciela, a narescie, przez lat pięć tułając się po różnych pogańskich krajach, wróciłem do ojczyzny, gdzie zamiast upragnionej radości, zdradę, całej mojej zemsty wymagającą, na pierwszym napotykam miejscu. Ale nie jestem Henryk Wilczek, jeśli Halbert von Glennaberg nie pożałuje swojej zbrodni. O droga Jadwigo, może cię już innemu zaślubioną zastanę, mój syn już może teraz ma ojczyma!

Ostatnia ta myśl wzburzyła wszystkie namiętności nieszczęśliwego starosty. Dwie łzy spłynęły na długą jego brodę, a następnie zgrzytnął zębami i, koniowi rzuciwszy wędzidlą na grzywę:

— Pośpieszaj, koniu — zawołał — pośpieszaj! Ciesz się, bo lecisz na boje, bo po trupie tratować będziesz, bo w krwi swoje zanurzysz kopyta!

Nie ociągał się Wiesław i wkrótce po zachodzie słońca dostali się do Złotnik. Strypę wpław przepłynęli i, jak tylko drugiego dotknęli się brzegu, znów się puścili pędem błyskawicy ulicą wysadzoną, do zamku wiodącą.

Nie zrównawszy się jeszcze z pierwszemi chatami Sokołema, ujrzeli pędzącego jeźdźca od zamku. Zdała poznać Wiesław Halberta i ostrzegł o tem starostę. Z trudnością wstrzymał się na chwilę Henryk i bliżej rycerza przypuścił. Wtenczas podniósł głos pan Podhorodynia i zapytał:

— Jakie nowiny?

— *Valga me Dios*, ciekawys, mein Herr! — odparł Niemiec w szybkim biegu. — Już po ślubie. Jadę o tem donieść panu Janowi, który nagle dziś zasłabł i w domu został. — Dokończając, hucznie się rozśmiał.

Wiesław zastąpił mu drogę i, wskazując na towarzysza:

— Oto jest starosta Henryk Wilczek, wracający z tureckiej niewoli, który żąda u ciebie chwilę rozmowy.

— Nie zatrzymywaj mnie! — krzyknął Halbert. — Saperment, ustąp! — *Valga me Dios*, ustąp się! — A więc giń! — i wystrzelił z długiego pistoletu. Raniony koń Wiesława upadł i pana na ziemię powalił.

Skoczył Wilczek z namiętną chęcią zemsty do Glennaberga. Chybił go rycerz drugim wystrzałem, a wtenczas dobył długiego rapieru i skrzyżował go z mieczem Polaka. Uniesiony wściekłością starosta nie uważał na zdradziecką broń Halberta, u rękojeści której osadzona była lufa pistoletu, zwyczajem, używanym w Niemczech, pełnych wtenczas zaburzeń, i zaraz za pierwszym złożeniem się kula ugodziła w same piersi Henryka. Szata się rozdarła, pancerz pękł, a głęboko w ciało zaleciał morderczy ołów — lecz w tej samej chwili, kiedy Glennaberg cieszył się już zwycięstwem, szabla dzielnego Wilczka, spadając z góry, głowę mu na dwoje przecięła. Upadł rycerz, a starosta tratował po jego ciele i kopyta konia w krwi jego nurzał. Wiesław, powstawszy z ziemi, przypadł do przyjaciela i poznał z trwogą, że jego rana niebezpieczną była.

— To nic nie znaczy — rzekł spokojnie Wilczek. — Jużem dokonał, co mi pozostawało dokonać na tym świecie. Czuję, że jeszcze życia mi na kilka godzin wystarczy. Zatamaj krew i opatrz ranę! Ostatnią wolą wymagam od ciebie, Wiesławie z Podhorodynia, byś mnie przy wejściu do zamku nie wydał. Kiedy zbliży się godzina śmierci, sam się odkryję.

IV.

Nieba, to był głos jego! To on, wielki Boże!

Izora.

Jadwiga wyrzekła już słowa, wiążące ją na całe życie z obmierzłym człowiekiem, i mąż, podawszy jej rękę, zawiódł ją do biesiadniczej sali. Milczenie grobowe zastąpiło zwykle przy takich uroczystościach okrzyki, a młody Zbigniew nienawistnym patrzył wzrokiem na niecierpianego ojczyma. Słudzy obnosili potrawy, ale prawie nikt nie jadł. Smutek nieszczęśliwej ofiary, poświęconej Bartoldowi, udzielał się wszystkim. Dopiero po kilku daniach krążące kielichy wzbudziły pewien rodzaj weselości. Nowy pan wilczkowskiego zamku, rzucając chciwe wejrzenia na otwarte przed sobą komnaty, bogatemi kobiercami usłane, zachowywał milczenie, ciągle odwrócony od Jadwigi, jakgdyby już nie dbał o żonę, kiedy posiadał jej bogactwa i majątki.

Wtem drzwi otworzyły się powoli i wszedł Wiesław, prowadząc pielgrzyma za rękę. Wojnat brwi zmarszczył i krzyknął z gniewem:

— Skąd ten zaszczyt mój zamek spotyka, że w jego progi wchodzi Wiesław z Podhorodyna?

— Przejeżdżając blisko wałów wilczkowskich, znalazłem biednego pielgrzyma, umierającego z głodu i pragnienia; ośmieliłem się go przyprowadzić, słysząc szcęk puharów i widząc przez okno zastawione stoły, bo znałem gościnność i czułe serce Jadwigi Wilczek.

— Zapominasz — przerwał Bartold — że innym już od dzisiaj szczyć się imieniem.

— Nigdy chlubijszem szczyć się nie będzie — odparł Wiesław. — I, nie proszony, zasiadł do biesiady. Pielgrzym padł na krzesło w końcu stołu i nasunawszy kaptur na twarz, ożywioną ostatnim życia i namiętności rumieńcem, w milczeniu wychylił puhar wina.

Wtem sproszeni goście wzniesli zdrowie pana młodego. Kiedy kielich doszedł do ponurego pielgrzyma, uchwycił go w drżące ręce i silnie zawołał:

— Zdrowie starosty Wilczek, pana tego zamku!

Uśmiech anielski zajaśniał na chwilę na ustach Jadwigi i na znak wdzięczności skłoniła głowę ku stronie, gdzie siedział pielgrzym. Łza zaświetniała w jej oczach, a ta łza ukoili na chwilę bóle, rozdzierające piersi starosty.

Bartold pojrzał wściekle na Henryka i chrapliwym głosem zawołał:

— Kto Wilczka śmie panem w mojej przytomności nazywać? Kto umarłych wskrzesza i w jakim zamyśle?

— Aby go Bóg wrócił stroskanej żonie i dziecięciu — przerwał Zbigniew, poglądając dumnie na Bartolda i gardząc całym jego gniewem.

Wyrazy te obudziły silne uczucia miłości rodzicielskiej w duszy umierającego ojca w oczach nie poznających go najdroższych istot. Ostatniemi siłami wsparł rękę o stół dębowy i powstał. Odpadła go szata pielgrzyma. Zbroja i szabla przy boku zajaśniały.

— Bóg ci go wraca, synu! — krzyknął.

Ale dalszy głos boleści mu przerwały. Krew wytrysnęła z rany. Pożegnał jednym spojrzeniem Jadwigę, drugiem syna, a trzecie wlepił w twarz Bartolda, który zadrżał, jak gdyby miecz zemsty wisiał nad jego głową. Rękę jeszcze, konając, wyciągnął do Wiesława i upadł. Lecz na twarzy umarłego malowała się nienawiść, ostatnie uczucie, którem oddychał.

Taki był koniec znakomitego męża.

Żona, pogrążona w rozpacz, młode lata w klasztorze zamknęła i wkrótce murawa zazieleniła się na jej mogile.

Bartold Wojnat uciekł do Warszawy przed Wiesławem, który chciał w jego krwi szukać zemsty, wskazanej mu ostatniem drogiego przyjaciela wejrzeniem.

Zbigniew wzrósł wśród trosk i smutnych wspomnień, lecz późniejsze jego lata obsypały nieba błogosławieństwem i chwałą.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»ZAMKU WILCZKÓW«.

Str. 410. Senior — możnowładca.

Str. 421. Per Deum omnipotentem — przez Boga
wszechmogącego (łac.).

Str. 421. Valga me Dios — pomagaj Bóg (hiszp.).

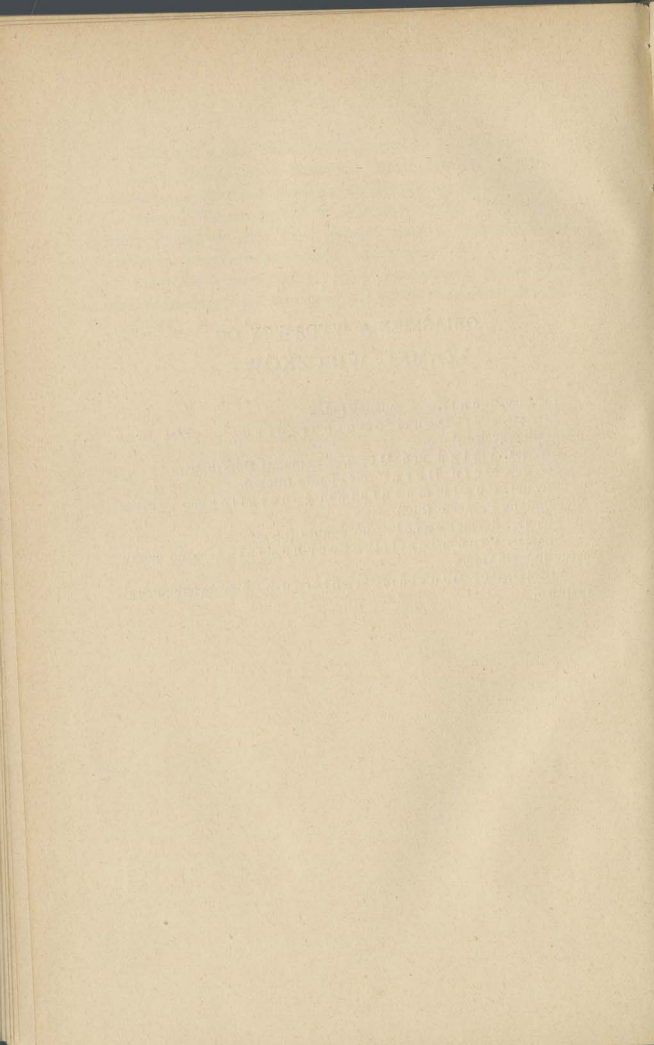
Str. 421. Mein Herr — mój panie (niem.).

Str. 421. Per immaculatam conceptionem — przez
Niepokalane Poczęcie (łac.).

Str. 421. Zum Teufel — do dyabła (niem.).

Str. 421. Vinum laetificat cor hominis — wino cieszy
serce ludzkie (łac.).

Str. 422. Per Sanctum Stanislaum — na świętego Sta-
nisiawa.



UŁAMKI Z OPISU PODRÓŻY
PO SZWAJCARYI.

OPISANIE JEZIORA GENEWSKIEGO »LEMAN«.

(Wyjątek z listu podróżującego Polaka).

O milę jeszcze przed Lozanną odkrył się mojemu oku widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzyć może wzniosłego i pięknego. Jezioro Lemana, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesienno-słońca, jak massa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snuły się jedna za drugą, nakszałt splotów ogniściego węża, a części jeziora, na które padał cień gór nadbrzeżnych, podobne były do roztopionego *lapis lazuli*, w którego łonie osadzono świetniejące barwami tęczy kamienie. Ten ogromny obszar wody, lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło, igrając w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je to na szyby lodu, to znowu na fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra. Kiedy wiatr, unoszący się nad wodą, zwalniał, odbite w jej toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojej, by kąpać się w przeźroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, by się odświeżać w zwierciadlanej toni. Zieloność murawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętej, białość śniegu, wieńczącego wzgórze, mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą. Wsie, po bokach rozsypane, pełne były ogrodów i drzew, jesienną szatą

okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy; tu lipa żółtklemi szeleściła liśćmi za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwijały białe żagle statków jeziora; tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skał wierzchołki, a po bokach bluszcz i różnobarwne, wijące się rośliny czarodziejskie tworzyły sklepienia. Dalej znowu dziksza poczyniała się okolica; naga skała, śmiało czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym, pogardzający kwiatami i murawą; strumień huczący spada z jej urwisk i z pianą biegnie w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszym już płynie korytem. Świerki rosną tu i owdzie nad chatą, której białe ściany zdaleka jeszcze wzrok przyciągają; ciasna ścieżka kręci się od jej drzwi aż do stóp skały. Czasem człowiek po niej dąży, czasem krowy, dzwonekami, u szyi zawiązanemi, brzęczące, przesuwają się powoli wśród dolów i przepaści i z schyloną głową na wzniesionych gór piętach żują ostatek jesiennej strawy.

Ale nad wszystkie te obrazy uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasma gór, wiecznym lodem skrzepłych, ciągnie się po drugiej stronie jeziora; mgła i wśród najczystszej pogody zaciemia ich ściany; chmury w fantastycznych kształtach snują się po ich szczytach, to jak czołgające się węże, to znów jak skrzydlate smoki. Śniegi, od wieków na ich barkach złożone, błyszczą przy słońca promieniach, jak sztaby ze srebra, przykute do piątr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy, znizona, zapowiada zachód czerwonawą barwą swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka i patrzeć tylko i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niczem są rubinu blaski przy jasnościach, rozlewających się po górach, które otaczają jezioro genewskie, kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane, a wierzchołki gór, purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie, o ile to może istnieć na ziemi, tronu Przedwiecznego. Obłoki, podobne do tęczowych skrzydeł Serafów, to się roztapiają i nikną

powoli w czystym błękie, to znowu, gromadząc się razem, rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie, Genewę woddali, lasy i gaje, a utworzy się obraz, który łatwiej uczuć, niż opisać.

Za stopniowem zniżaniem się słońca słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różanej farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tyłu świetnościach i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie, kratowane śnieżnemi pasmami i uwienzione różami.

Zmrok zapadający miesza z sobą odrębne wprzód kształty i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, pięknie przy wodach Lemanu odbijającą; księżyc wschodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia widoki, ale słabiej odznaczane. Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą, milszy czulemu sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały, jak-gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przeziierać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistej nie znikną oddali. Urocze Helwecyi wdzięki, opuszczając nieco z swojej wzniosłości i powagi, zstępują do rzędu widoków, między któremi już nie drży, nie uwielbia, ale rozplywa się serce. Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwienczać gór szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwają i, mieszając się do śniegów, zdają się między niemi roztopiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jedną składać krainę, w której i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków, żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Ale, przyjacielu, nad te wszystkie cuda natury, nad te czarowne Szwajcaryi okolice wolałbym widzieć brzeg naszej

Wisły lub Narwi, poglądać na Gopła fale. Oko zajmuje się
Lemanem i niebotycznymi górami Helwecyi, ale serce wzdy-
cha za Polską — i powtarzam sobie nieraz ów wiersz Mi-
kiewiczza:

Wokoło mnie kraina dostatków i krasy,
Nade mną niebo jasne...
Dlaczegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i, niestety, jeszcze dalsze czasy?

Pisano w Genewie dnia 10 listopada 1829.

JEZIORO GENEWSKIE.

Jezioro tak spokojne i ciche, jak w pierwszym dniu stworzenia. W przezroczystej jego powierzchni odbija się sklepienie niebios. Błękity górnej, powietrznej, i dolnej, wodnej przestrzeni stykają się w niem razem. Tu płynie barka z srebrzystymi żaglami, tam płynie obłok łabędziej białości. Zdaje się ono brzemienne i własnym i cudzym lazurem. Cała piękność przyrodzenia w jego piersiach zamknięta. Wszystko, co nad brzegami stoi, wszystko, co nad falami się wzbija, po raz drugi istnieje w jego toniach. Ono jedno jest sobą samem i całą naturą zarazem. W niem i wód kryształ i niebios obszary i skał wierzchołki razem się malują. Ono zda się być duszą całej okolicy. Każdy jej ruch, uczucie, działanie musi na jego licach odbić się koniecznie. Wodospad w niem po raz drugi spada z urwisk góry; chmura powtórna drogę przelatuje; każdy promień słońca w jego łonie na błyskawicę się zamienia i górne swe ognisko odzyskuje. W pozostałej naturze wszystko jest raz tylko pięknem; w niem i przez niego wszystko dwa razy jest wzniosłem i, dzięki jego przezroczystem falom, serce z podwójną siłą bije tem samem uczuciem na szczycie zielonego Jamanu.

(15 sierpnia 1830).

MYŚLI POLAKA PRZY GÓRZE MONT-BLANC.

Słońce było za mną i za jedną z gór jurańskiego pasma, która, okryta czarnemi sosnami i opasana wstęgą śniegu, wydawała się jak trumna, bladym całunem otoczona i już mojej głowie grożąca. Tymczasem przede mną wznosił się niebotyczny Mont-Blanc w czasie wiecznej zimy, urągając się dyamentowemi lodami ze wszystkich promieni wiosennego nieba.

Witam cię, góro, witam cię, nieśmiertelności obrazie, na ziemi, przeznaczonej zagubie! Ty jedna wśród zieleniejących się gajów, wśród złotych żniw lata i pomieszanych farb jesieni stoisz niewzruszona i nieodmienna, jak bohater, którego duma nie zniża się do śmiertelnych i nie pozwala twarzy wydawać pomieszania i cierpień duszy.

Oh, witam cię, Mont-Blanc! — Przez długie lata pragnąłem ujrzeć twoje poważne i milczące czoło, podobne do grobowca, i widzieć twój orszak, złożony ze skał, zdających się cichą cześć ci składać w głębokiem poszanowaniu. Ty jeden, wylatując nad krańce ziemskiej wielkości, pysznym wierzchołkiem roztrącasz fale błękitów. Panujesz nad wszystkim, co cię otacza, jako pan wszechmocny w płaszczu purpurowym, uwitym z ostatnich dnia gasnącego promieni. Przykuty do ziemi, zdajesz się jednak należeć do nieba. Równina u stóp twoich, oświecona słońcem, żegnającem się z światem, zdaje się być oceanem ognistym, nad którym królujesz,

podobny do piramidy z marmuru, postawionej na wieki Wszechmocnego ręką dla ludzi, błędzących po ziemi przestworzu. Za mną ponura ciemność otacza przepaść i urwiska, nad którymi rosną posępne lasy, jak wijące się bluszcze wokoło grobowców cmentarza.

Już nie zdołam dojrzeć słońca, ale przede mną jego promienie igrają na wierzchołku Mont-Blanc, jak wspomnienia ubiegłych rozkoszy; fale błękitu tłoczą się wokoło, podobne do bałwanów morza, konającego u nadbrzeżów srebrnej wyspy. Duch Twórcy unosi się nad tą krainą i Jego ręka wyryła na opoce Mont-Blanc nadzieję nieśmiertelności.

Oh, jeśli ziemia tyle ma uroku, jeśli ogromy prochu, zmieszane z kłębamii śniegu, zdolne podnieść tak wysoko uczucia człowieka i, oderwawszy myśl od kurzawy, rzucić ją pomiędzy niebios przestrzenie, jakże wyższemi muszą być marzenia duszy! Zdaje mi się w tej chwili, że Mont-Blanc jest świetnym korabem, na który rzuca się moja dusza dla przepłynienia nieskończoności chwały Wszechmocnego. Opasujące go skały rosną stopniowo, dopóki nie zbliżą się do swojego monarchy, a wtenczas schylają czoło, jakby z żalu, że nie mogły osiągnąć nadprzyrodzonej wielkości.

Ale już cienie pochłaniają światło, niewiele już mi chwil zostaje do ubóstwiania tej natury, tak wywyższonej nad pospolite czucia ludzkości. O słońce, dobądź sił ostatnich i zalej równinę promieniami! O góry, ożywcie się dla mnie, pożyczcie głosu od szumu waszych potoków i od grzmotu śniegowych zamieci!...

Mont-Blanc, odpowiadaj na moje wołanie! Czyś bliższy nieba od mojego umysłu?... czyż tonie wieczności stoją otworem przed tobą?... lub czy gwiazdy, zakochane w białej szacie twoich wierzchołków, zostawiły wraz z promieniami tajemnice niebios na niedostępnych twych śniegach?... Milczysz!... boś zanadto dumny, abyś się miał zniżyć do mowy śmiertelnych!...

Coraz czarniejsze otaczają mnie cienie. Różane gór barwy

konają powoli w nienawistnych uściskach ciemności. Odwracając się, dostrzegam tylko ponurą jurańską opokę, która zdaje się mnie przestrzegać, że wszystko na ziemi kończy się prochem. Drzewa jej, chyląc się ku mojej głowie, poruczają wiatrom szelest liści, podobny do odgłosu śmierci. — Domagałem się odpowiedzi od piękności i od światła i nie otrzymałem żadnej, nie rzekłem słowa do ciemności i zaguby, a jednak powiew wieczora przyniósł mi ich odpowiedź.

SPADEK AARY.

W potrójną przepaść połamana skała dźwiga na sobie sypiące się Aary potoki. Wokoło dzika pustynia: nagie skały, ciemne sosny, mech szary. Fale rzeki skaczą po urwiskach, łamią się na ostrzach i, zaokrąglenie wody płynnej straciwszy, w zdruzgoconą zamienione pianę, ulatują w powietrze, opadają z szumem, przedzierają się przez zapory z rykiem i z niezmiernej wysokości lecą w głąb czarnej otchłani, gdzie błyszczące z tęczy śmigają wieńce i wiązki z światła igrają. Zdaje się patrzącemu, że ogrom spadającej wody wszystko za sobą porywa, że twarde łono góry, po której płynie, drży pod jej popędem. Huk piorunu, przemijający na niebie, tu trwa ciągle i w każdej panuje chwili. Krople, oderwane od bałwanów Aary, kołują po przestrzeni, to raz zamglewają powietrze, to znów w lśniącej się chmurze uciekają z korytem. Trzy mosty, zawieszone nad trzema przepaściami, zaginają się w wątle łuki i drżą od gwałtowności i szumu potoków. W głębi para z roztrzaskującej się rzeki snuje się po jarze i po ścianach skały, jak kłęby dymu. Zewsząd sterczą głazy o rozmaitych kształtach; wiją się po nich krzewy i rośliny, a burza nieustanna pokrapia je mgłą świeżą. I tak płynie straszliwa Aara z loskotem piorunu i szybkością awalanszy.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»UŁAMKÓW
Z OPISU PODRÓŻY PO SZWAJCARYI«.

Str. 435. L e m a n, czyli jezioro Genewskie, największe w Szwajcaryi.

Str. 435. L o z a n n a — miasto nad brzegiem Lemanu.

Str. 437. H e l w e c y a — dawne, rzymskie miano Szwajcaryi.

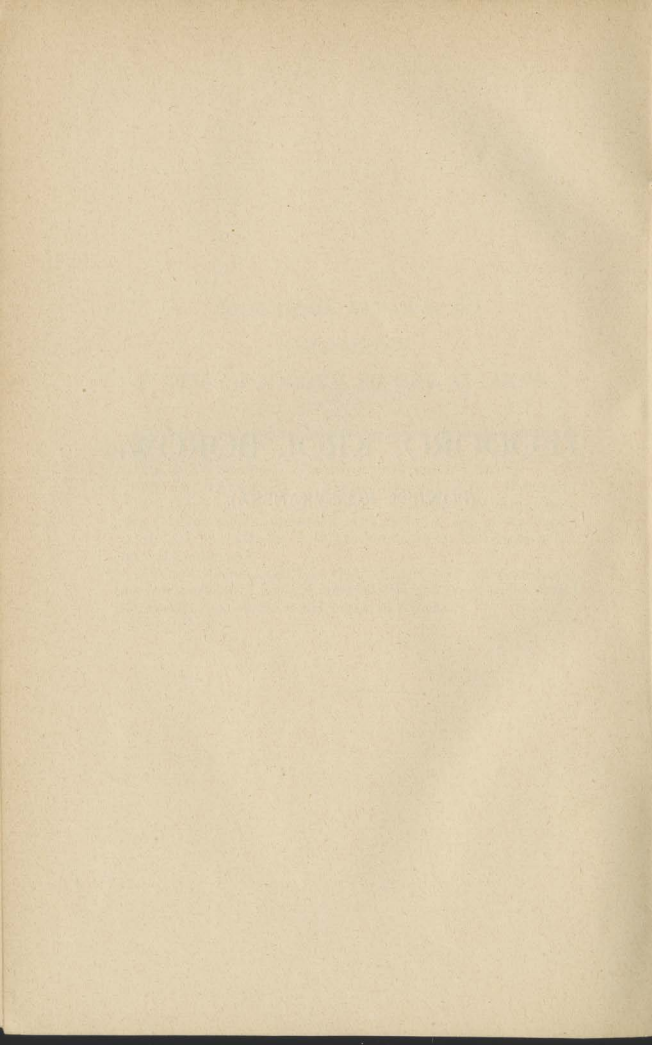
Str. 439. J a m a n — Col de Jaman, szczyt nad zachodnim brzegiem Lemanu między Montreux a Montbovon, 1516 m. wysokości.

Str. 442. J u r a ń s k a o p o k a — góry Jura, na północny zachód od Szwajcaryi.

Str. 443. A a r a, czyli Aar — jedna z największych rzek w Szwajcaryi; wodospad, tu opisany, znajduje się pod Handegg, w Alpach Berneńskich, na drodze z Meiringen do Grimsel.

TEODORO, KRÓL BORÓW.

(POWIEŚĆ KORSYKAŃSKA).



... he lived a wanderer and a fugitive in his native land, and went down, like a lonely bark foundering amid darkness and tempest, without a pitying eye to weep his fall, or a friendly hand to record his struggle.

Washington Irving — The Sketch book.

Korsyka jest wyspą, najeżoną skałami i gęstemi krzewinami obrosłą; ciasne wąwozy i kręte jary, przecinając wszystkie jej części, służą za schronienie licznyim rozbójnikom. Nie trzeba sądzić jednakże, aby rozbójnicy korsykańscy łupież lub kradzież mieli jedynie na celu, zawsze prawie chęć zemsty staje się przyczyną ich zbrodni; rzadko gwałtem na wieśniakach wymuszają pieniądze lub żywność — mieszkańcy dobrowolnie im dostarczają potrzebnych rzeczy, uważając to za winną należytość. Zemsta jest ogólną cechą charakteru Korsykanów: często z najlepszych przyjaciół stają się śmiertelnymi wrogami za jedno słowo, za żart niewinny. Kiedy jeden z nich przysięgnie zemstę komu, wtenczas oświadcza swojej przyszłej ofiarze, że jest z nią *in vindicta* i że od tej chwili zabije ją, gdziekolwiek spotka. To słowo *vindicta* wyraża nienawiść dwóch ludzi poróżnionych i zemstę, przez obu upragnioną; lecz jeśli Korsykanin jaki, będący w nagłym niebezpieczeństwie, schroni się do chaty tego, z którym jest *in vindicta*, znajdzie u niego i pomoc i największe poświęcenie; nieprzyjaciół, czyhający przed chwilą na jego życie, dłoń mu ściśnię i na śmierć się narażą, żeby go obronić; lecz, skoro niebezpieczeństwo odda-

lone, wraca nienawiść i zemsta wre z nową siłą. Widziano przykłady ludzi, żywionych przez trzy miesiące w chacie swoich nieprzyjaciół podczas niebezpieczeństwa, a potem o kilka kroków od tej chaty przez tychże nieprzyjaciół zabijanych. Za przejściem progu mieszkania znowu *vinditta* się rozpoczyna. Dziwny ten zwyczaj, który każe wrogowi poświęcać często życie za wroga, dowodzi, do jakiego stopnia zemsta wznieść się może i wygórować w dzikich umysłach. Bronią oni do ostatniego tchnienia ludzi, z którymi są *in vinditta*, aby nikt inny nie wydarł im rozkoszy ich zabicia; uważają tych ludzi za swoją własność od chwili, w której się poróżnili, za ofiarę, której krew i jęki do nich należą. Walczą więc o prawo zamordowania ich, jakby walczyli o ziemię lub skarby swoje. Widziano raz dwóch Korsykanów, będących *in vinditta*, wziętych do pułków francuskich; tam przez dwadzieścia lat, ścisłą związani przyjaźnią, sypiali w jednym łóżu, jedli u jednego stołu, dzielili wszystkie niebezpieczeństwa i zabawy, smutki i radości i, przypominając sobie ojczyście skały, razem do nich wzdychali — po upłynieniu lat służby jeszcze razem siadając na statek, razem płynęli do rodzinnej wyspy i z równem uniesieniem witali z ponad łona mórz szare jej góry woddali; chwilą przed wylądowaniem jeszcze ich dłonie się ścisnęły i rozumiały się ich serca, lecz, skoro dotknęli stopami ziemi, na której wieczną zaprzysięgli nienawiść, odskoczyli od siebie i okropnym zawołali głosem: »Jesteś *in vinditta*; gdziekolwiek cię spotkam, przywitam cię ołowiem kuli lub żelazem sztyletu!« — i w kilka dni potem pośród skał leżał trup jednego z nich, śmiertelnym ciosem przeszyty.

Kiedy stałem z pułkiem mojem w Bastya w 1827 r. — mówi mi pan C..., oficer francuski — szeroko słynął w okolicy rozbójnik Teodoro, królem borów przezwany. I w rzeczy samej godny był nabytej sławy nadzwyczajną siłą, dziwną zręcznością i nieustraszoną odwagą, której prawie codziennie dawał dowody. Dziwaczne było często jego postę-

powanie i uważano, że ścigał wszędzie żandarmów francuskich, na żołnierzy innych oddziałów nigdy nie napadając. Następne o nim opowiadano szczegóły:

Urodził się i wychował w małej wiosce między górami, młodość całą przepędził u rodziców, pomagając im w pracach, i nikt w słodkim jego wzroku i miękkich rysach nie mógł wyczytać burzliwych namiętności i przyszłych zbrodni. Miernego był wzrostu, ale olbrzymiej siły i wielkiej zręczności, osobiście w strzelaniu. W dwudziestym roku pokochał dziewczynę, mieszkającą w pobliżu rodzinnej chaty, i odtąd jej oko stało się gwiazdą jego przeznaczenia; całe dnie przepędzał w niemem przypatrywaniu się jej wdziękowi, a całe noce w dumaniu przy bładem świetle księżyca, obwianego mgłą, właściwą głębokim parowom Korsyki. Zdarzyło się w tym samym czasie, że oddział francuskich żandarmów dostał rozkaz zajęcia kwaterą wsi rodzinnej młodego Teodora; dotąd wszystkie jego uczucia, zwrócone ku pięknej istocie, zachowały kształt młodzieńczej lęklivosti i z drżącym sercem, z rumieńcem na twarzy zbliżał się do ulubionej — lecz, kiedy ujrzał ją codziennie otoczoną gronem wojskowych i rozdającą wszystkim jemu tylko należne spojrzenia, nagle się odmienił; z nieodłączną strzelbą na ramieniu i pistoletami u pasa przychodził do kochanki i ponurym wzrokiem patrzył na cudzoziemców, goszczących w jej chatcie. Dostyc długo trwało to nieprzyjemne dla niego położenie; nareszcie ze wszystkich żołnierzy, codziennie zalecających się do młodej góralki, jeden się tylko został, ale ten łączył niewzruszoną wolę z silnymi namiętnościami. Milczał, spotykając go, Teodoro, a milcząc, ścisnął nóż szeroki lub kolbą strzelby uderzał o ziemię; nareszcie żandarm francuski postanowił się go pozbyć na zawsze i do tego łatwy sposób wynalazł.

Każdy Korsykanin odbiera trzy wezwania do służenia w wojsku francuskim; jeśli za trzeciem nie stawia się do pułku, sobie przeznaczonego, ulega karze więzienia. Właśnie

już Teodoro odebrał dwa wezwania, trzecie, przejęte przez żandarma, nie doszło go. Niewinnie więc posądzony o nieposłuszeństwo, musiał udać się w towarzystwie przysłanej straży do miasta Bastya i tam pomimo wszystkich prób i oświadczeń wejść pod ciemne sklepienia i wolne dotąd ręce kajdanami obciążyć. Podczas kilkotygodniowej niewoli, srogimi szarpany wspomnieniami, daleki od kochanki, zostawionej na łup nieprzyjaciela, pozbawiony błękitu niebios i widoku gór ojczystych, dumiał przy ponurem świetle małej lampy nad przyszłym losem; wszystkie namiętności, dotąd uśpione w piersiach, ozwały się na głos straconej wolności i miłości zdradzonej.

Nikt nie widział stopniowych postępów namiętności na jego licach, nikt nie słyszał powtarzanych przysiąg wśród wilgotnych ścian więzienia; lecz, kiedy wypuszczono go na wolność, wszyscy dziwili się odmianie całej postawy Teodora, twarzy i poruszeń. Drżącym głosem zapewniał pułkownika, że za cztery dni wróci i zaciągnie się do wojska, i lotem strzały przebiegł odległość, dzielącą Bastyę od wsi rodzinnej. Z rozognionem okiem, z płomieniem na licach, z ściśniętymi pięściami, z pianą na ustach wleciał do chaty ojca i zapytał o imie tego, który wstrzymał trzecie wezwanie. Uradował się stary Korsykanin, widząc rękę syna, skorą do zemsty, i wyrzekł nazwisko żandarma.

— Przysięgam, że zginie on i towarzysze jego! — krzyknął Teodoro. Tego dnia jeszcze nad wieczorem odebrał żandarm francuski list następujący: »Psie przeklęty! Oświadczam tobie, że jesteś ze mną *in vindicta*; gdziekolwiek cię spotkam, zabiję!« Rozśmiał się żołnierz, czytając te wyrazy, i przy kochance zapomniał o groźbie Teodora. W godzinę wyszedł z chaty dziewczyny i poróżnił się z kilkoma towarzyszami broni, którzy, włoskiem winem upojeni, rzucili się na niego z dobytym orężem. Nie mogąc sprostać przemagającej liczbie, żandarm ratował się ucieczką; ścigany szybko, schronił się do pierwszej chaty. Los zdarzył, że to było

mieszkanie Teodora. Mściwy Korsykanin zbliżył się do przełętego Francuza i rzekł z okropną powagą: »Należysz do mnie, nikt nie ma prawa cię dotknąć i, dopóki jesteś w tem miejscu, pewnym bądź życia; lecz, skoro próg mój przestąpisz, bądź pewnym śmierci!« Po tych słowach przytknął drzwi domu i, porwawszy wiszącą strzelbę, otworzył okno i trzy razy wystrzelił i ranił trzech żołnierzy, chcących sobie przywłaszczyć należącą się mu ofiarę. Kiedy oddalili się wszyscy i droga wolną została — »Teraz możesz wyjść« — rzekł zimno Teodoro. — Żandarm chciał mu podziękować, ale on z uśmiechem szyderstwa wskazał mu palcem otwarte podwoje i wkrótce potem, wzięwszy pistolety i strzelbę, udał się pomiędzy góry.

Nazajutrz rano jechał żandarm francuski za rozkazem swego porucznika do Bastya na silnym rumaku, a, przejeżdżając ciasny wąwóz, krzakami zarosły, skracał podróż miłą piosenką — wtem świsnęła kula i nie dokończył zaczętej zwrotki, a Teodoro, wyszedłszy na otwarte miejsce przypatrywał się z dzikim uśmiechem jego skonaniu, a potem zniknął między jarami.

Od tego czasu, przez ciąg dwóch lat następnych, często powtarzały się morderstwa wśród gór przyległych, lecz uważano, że zawsze na znalezionych ciałach błyszczał mundur żandarmów francuskich, a wieść powszechna głosiła, że ich zabójcą był mściwy Teodoro. I nareszcie do tego stopnia znikło bezpieczeństwo, iż żaden żandarm francuski nigdy nie považyl się bez kilku towarzyszy^{ów} ukazać się za murami Bastyi. Ale i ta ostrożność niewiele pomogła; Teodoro nie lękał się przeważającej liczby i często ginęli od kul jego, nie mogąc ani go schwytać, ani ścigać po skałach i przepaściach, jemu tylko znajomych, po których z szybkością kozy leśnej umykał przed pogonią nieprzyjaciół. Już odtąd nie wracał nigdy do rodzinnego domu Teodoro i od mieszkańców tych okolic zyskał przezwisko »króla borów«. Nie zdarzyło się jednak, aby choć raz czyhał na życie innych

żołnierzy oprócz żandarmów francuskich, często nawet, spotkawszy z innych pułków żołnierza, wchodził z nim w poufałą rozmowę.

Takim sposobem, nigdy z oka nie spuszczał celu, któremu życie swoje poświęcił, wśród tysiącznych niebezpieczeństw zawsze śmiały i odważny, pewną ręką i pewnem okiem zadawał zgubne ciosy swoim ofiarom. Nareszcie po wielu usiłowaniach daremnych schwytania go, kiedy już liczba zabitych ręką jego żandarmów siedmdziesięciu dwóch przechodziła, rząd francuski ogłosił nagrodę piętnastu tysięcy franków i ozdobę krzyża legii honorowej temu, kto by głowę Teodora przyniósł. Przez kilka miesięcy jeszcze umiał swoją odwagą i przytomnością obrócić w niwecz wszelkie starania i śledztwa, lecz, nie spodziewając się podstępów, nie strzegł się zdrajcy, a już nadchodziła chwila, w której miał uleść zdradzie, nie uległszy nigdy ni sile, ni męstwu, ni przemagającej nieprzyjaciół liczbie. Po śmierci ojca, daleki od wszelkich związków z społeczeństwem ludzkim, zachował je z przyjacielem lat młodych, Lorellim, który, często widując się z nim wśród borów, dostarczał mu kul, prochu i pożywienia.

Brygadyer żandarmów, zachęcony obietnicą nagrody, zapoznał się bliżej z Lorellim, a przyrzekając mu odstąpić osiem tysięcy franków, prosił, aby zaprowadził go na miejsce schadzek swoich z strasznym Teodorem. Opierał się z początku Korsykanin, ale złoto przemogło i dał słowo Francuzowi, że ukaże mu króla borów, ostrzegł jednak, aby wziął z sobą kilkunastu żołnierzy, gotowych na wszystko i doświadczonej odwagi.

W dzień pogodny miesiąca sierpnia wyjechał ze wsi brygadyer na czele kilkunastu żandarmów i udał się w głąb górzystej i zarosłej okolicy. W największym milczeniu postępując, starali się zawsze ukrywać w gęstwinie krzaków, bo wzrok mściwego Korsykanina równał się orlemu, a strzelba łatwo dosięgała serca nieprzyjaciół. Przez kilka godzin z wiel-

kim trudem przebywali jary, to wstępując w ciemne parowy, to się wdzierali na wyniosłe góry. Przewodnik drżał za zbliżaniem się chwili, w której miał wydać przyjaciela, i, śmiertelną bladością okryty, stąpał niepewnie słabymi krokami. Stanęli nareszcie przy lesie tak gęstym i trudnym do przebycia, że wypadło zostawić konie na brzegu i pieszo w dalszą puścić się drogę. Czasem nawet musieli się czołgać pod gałęziami schylonych i obok siebie rosnących drzew i krzewin. Nad wieczorem doszli do małej łąki, a Lorelli rzekł tak cichym głosem, jakby mu sił brakło w piersiach: »Teodoro od nas już tylko na strzał karabinowy!« Rzucili się żołnierze na ziemię, ukryli głowy wśród zielonych krzewów i odwieśli kurki. Lorelli sam jeden przeszedł łąkę i o kilka kroków spotkał wśród lasu czekającego nań Teodora. Tymczasem obchodzili go dokoła żandarmi, czołgając się z ostrożnością węża, posuwającego się ku zdobyczy swojej.

Teodoro rzucił badawcze spojrzenie na Lorella i, czy to poznawszy w twarzy jego zdradę, czy też usłyszawszy szelest uginających się gałęzi pod piersiami żołnierzy, dobył z za pasa pistolet i, wymierzając go do dawnego przyjaciela: »Zdradziłeś mnie!« — rzekł szyderskim głosem i, wystrzeliwszy, odepchnął nogą trup zdrajcy.

W tej chwili świsnęły kule wokoło Teodora i jedna zła-mała mu kość pacierzową; upadł, lecz oko jego nie straciło wyrazu zemsty i, żadnego nie wydawszy jęku, pochylił głowę ku ziemi i przymrużył powieki. Uradowani żołnierze wyskoczyli z ukrycia, brygadyer pierwszy stanął przy ciele rozbójnika i, kiedy z niejakiem zadowoleniem przypatrywał się rysom jego, on nieznacznie wyciągnął drugi pistolet z za pasa, porwał się potem nagle i niechybnym strzałem położył dowódcę u nóg swoich. Ale osłabłe siły nie pozwalały mu już utrzymać się na nogach; doczołgał się przeciw najbliższego drzewa i, dobywszy pałasza, długo się bronił, srogie zadając rany żołnierzom. Dopiero wtedy oręż opuścił, kiedy, zimnem śmierci skrzepla, prawica nie zdołała już władać.

Taki był koniec człowieka, którego namiętności zbrodniarzem uczyniły, lecz każdy przyzna, że, skierowane na dobrą drogę, mogłyby go i bohaterem uczynić. Trafnie można by zastosować do niego te słowa Washingtona Irwinga o jednym z wodzów indyjskich:

»Żył jak zbieg i wygnaniec na ojczystej ziemi, podobny do statku, który sam jeden walczy przeciwko ciemnościom i burzy, i nie znalazł litościwego oka, któreby zapłakało nad jego upadkiem, ani przyjacielskiej ręki, któraby skrzepłe zawarła powieki«.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»TEODORA, KRÓLA BORÓW«.

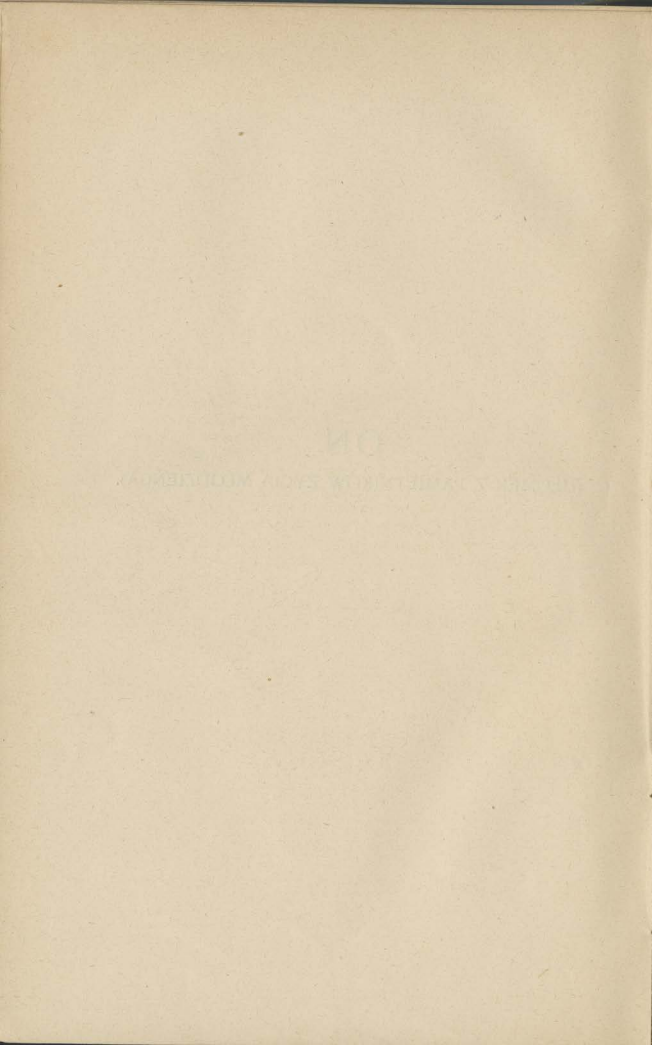
Motto z Washingtona Irvinga, pisarza amerykańskiego (1783—1859), znaczy: żył wędrowcem i wygnańcem w kraju rodzinnym i zginął, jak samotna łódź, tonąca wśród ciemności i burzy; żadne litosne oko nie opłakało jego upadku, ani też przyjazna dłoń nie przypomniła jego walki.

Str. 450. Bastya — miasto na Korsyce.

Str. 452. Brygadyer — generał brygady (stopień w wojsku francuskim).

ON.

(UŁOMEK Z PAMIĘTNIKÓW ŻYCIA MŁODZIEŃCA).



To which Life nothnig darker or brighter
can bring
For which Joy has no balm and Affliction
no Sting. *T. Moore.*

Nad brzegiem niezmierzonego oceanu dumiał, osłabiony
cierpieniem: wszystkie sny i rozkosze młodości przebywały
na skrzydłach wspomnienia i, trapiąc umysł, znękany da-
wną świetnością, podwajały ciemność obecną. Okiem roz-
paczy, okiem, w którym już nadzieja żadnego nie miała ołtarza,
spozierał na fale, coraz bardziej z wichrem bój toczące,
i czuł jakąś radość, bo spodziewał się, że już nadchodzi za-
guba i że przynajmniej w trumnie z morskich bałwanów
odzyska spokojność i ciszę, dawno straconą na ziemi. Lekki
statek kołysał wody niedaleko i żagiel, podarty wiatrem,
żałobne spuszczał zasłony nad sterem, wpół rozpadłym od
piorunu; — czekał jeszcze, aż wzmoże się wojna żywiołów,
aż chmury i wody połączą się na zniszczenie stworzenia,
bo chciał być pewnym zgonu, bo przynajmniej pragnął, by
go śmierć nie zawiodła tak, jak życie zawiodło. Trwoga da-
leką była od jego serca i twarzy, niebezpieczeństwo przy-
wołało całą dumę na zorane smutkami czoło i ogień zgasły
znowż ożył w oczach na odgłos grzmotów i na znak gniewu
niebios. Rzucił się wyniosły postawą i myślą, ku własnemu
okrętowi i oderwał kotwicę z głębi wód i puścił się na
czarną przestrzeń oceanu, witając w każdej fali grób po-
żądany. Z uśmiechem, urągającym się z burzy, patrzył na

pobrzeża, ginące w oddali, bez żalu, bez tęsknoty, zimny na wszystkie gromy, spokojny, bo blizki już ostatniej chwili; został sam z przyrodzeniem, zawieszony na wierzchołkach fal między niebem i morzem, bez nadziei ratunku, bez chęci ocalenia się i jedynem wspomnieniem zajęty, jedynem, które przekwitłe serce jeszcze do żywszego bicia przymuszało.

A tymczasem srożyły się wichry wokoło, bałwany, rozpryskujące się w pianę, to jak ogromne góry, to jak śniegowe zamiecie słabemu statkowi groziły, wszystko zdawało się konać co chwila i co chwila ostatnią wysilać się mocą: świsty wiatru krążyły po zamglonem powietrzu, jak tysiące syczących żmij, huk piorunu rozlegał się po przestrzeni, jak gdyby z nim razem całe sklepienie niebios zdruzgotane leciało w przepaść. Chmury, to rozprute, to znowu w jedno zbite, przelatywały górne obszary, jak potoki, ze skał się walące. Zewsząd niechybny cios, nieunikniony koniec się zbliżał; z przodu, z tyłu, po bokach wzdęte fale śmierć zwiastowały rykiem, podobnym do ostatniego jęku konającego świata: a ON bez bojaźni siedział nad sterem i pewną ręką kierował statek tam, gdzie wścieklej walczyło morze z wichrem i gdzie wiry kręciły się, porwane nieznana siłą w otchłanie bez granic. A jednak dotąd nie mógł zginąć pomimo własnej woli i napadu burzy; jak ziarno piasku niesiony na niezgłębionym przestworze, z jednej fali do drugiej przerzucany, nigdzie zgonu doczekać się nie mógł; ciągle z jednego bałwanu wyrwany i w drugi popchnięty, daremnie oddawał się całej wściekłości oceanu, puszczonego bez wędzidła; nie mógł, nie mógł umrzeć! — I znowu rozpacz zaczęła silniej miotać jego duszą i powstał z mokrego siedzenia i wyciągnął ręce do burzy i błagał potęgę nieba i piekła, by zakończyły życie, nieżnośne porównaniem uszłego, krótkiego szczęścia z długiem i obecnem nieszczęściem. Lecz poznał, że próżne były modły, że czas jeszcze nie nadszedł i że gwiazda przeznaczenia nie wylała jeszcze

z łona wszystkich promieni. Zarzucił więc płaszcz szeroki wkoło siebie i, opierając czoło, nabrzmiął krwi potokiem, o drżące ręce, zaczął dumać wśród spustoszenia i nawałnicy. Wtem lekkie z początku, lecz coraz wzrastające, osłabienie, wkradając się pomiędzy członki, do każdej się żyły dostało; powieki obciążone przywarły dumne oczy i, niesiony na wzburzonej wód kolebce, zasnął *snem wspomnień* i cały zawód i całą młodość ujrzał nanowo i dni przeszłe snuły się przed oczyma jego wyobraźni, jak fale, unoszące statek, na którym drzemał.

Dom rodzinny z szerokimi komnaty, z obrazami przodków, z rozległymi ogrodami na chwilę mu się przypomniał i w żywych barwach stanął przed nim; i słyszał dźwięk dzwonów ojczystej kaplicy i zdało mu się, że, klęcząc przy grobie pod ciemnem sklepieniem, łzami niewinności skrapiał nieczuły kamień i gorące modlitwy wznosił do niebios, o których jeszcze nie nauczył się wątpić. Igraszki dziecinne, pierwszej młodości zabawy, otoczone urokiem szczęścia i przywiązania do miejsc pierwotnego pobytu, wracały na skrzydłach pamięci; łowy, dzikie lasy, przestronne błonia, spienione gonitwą rumaki mieszały się razem i on był częścią każdego obrazu i on ścigał trwożliwe zwierzęta i on trąbką zwoływał ogary i on pod wieczór z radością wracał do mieszkania, nad którego dachem igrające promienie zachodu już wtenczas młodą nęciły duszę, by z niemi do niebios uleciała. Drzewa dawno niewidziane, wzgórek tyle razy deptany, staw lekkim uwieńczony mostem, gaje, odwieczane przy blasku księżyca z pierwszą serca niedoświadczonego ponętą, z pierwszą istotą, która rzuciła w to serce przyszłe cierpienie zarody, okrażyły go mglistem pasmem i, zdając się płynąć przed wzrokiem, gubiły się woddali, by nowym przedmiotom miejsca ustąpić.

Zmieniły się okolice — z niemi dusza młodzieńca. Dalekie strony od ojczystych, inszem oświecone słońcem, inną jej nadały barwę. Ciemne mury go otaczały, miasto po-

sępne w łonie go swoim zamknęło, lecz wzrokiem orła przelatywał bramy i warownie, by bujać po górach uroczej krainy; a jednak, choć wkoło natura nosiła piętno wielkości, dusza jego malała i odrętwienie zajmowało miejsce zapалу. Niedawno jeszcze róża, świeżo rozwita, śpiew słowika, szelest purpurowych skrzydeł motyla, wysysającego słodycze kwiatów, nęciły jego uwagę, strumień przemawiał do niego głosem, niezrozumiałym dla innych, i skale, niemej od stworzenia, użył mowy i z gruzów przeszłości umiał wywoływać zamarłe kształty, lub sięgać w nieskończoność lat, mających przejść nad jego życiem i nad jego prochami. A teraz żegnał się stopniowo z żywą wyobraźnią, ciemną barwą powlekał się błękit niebios; droga, dotąd jasna światłem słońca, ginęła w ponurym cieniu i sam nie mógł wytłómaczyć przyczyny ciężącego na nim smutku i napróżno starał się go oddalić, napróżno wychylał puhary ziemskiego wesela i szukał radości, opuściwszy górne przestwory. Drżące od rozkoszy usta nie zdołały zadosyć uczynić jego tajemnemu żądaniu, błąkał się pośród niepewności, zaczynał wątpić i podejrzenia lały się zatrutym strumieniem w czarę niedawnego szczęścia. Osłabły, stęskniony, tracił codzien na sile; wola dzielna i niezwalczona zaczęła małym zawodom ustępować i nie wiedział, czego pragnie, wiedział tylko, że pragnie czegoś i że umysłowa zaguba będzie skutkiem nieosiągnięcia tajemnego celu ciemnych i powikłanych życzeń, i zapomniał o tem, co było wprzód, i dom rodzinny znikł mu z pamięci.

Właśnie w tej chwili nowa nastąpiła zmiana — i uczul nowe potoki życia, po wszystkich żyłach płynące. Piękna, boska okolica rozciągała swoje wdzięki wokoło, niebo uśmiechało się do ziemi i kwiecica i łąki i gaje uśmiechem za uśmiech odpłacały. Zewsząd lśniły się lazury to wód spokojnych, to błękitów, wpośród których niewzruszony tron słońca górował nad stworzeniem. Góry i skały, dopiero z śnieżnych uwolnione pętów, zdawały się radować każdym

listkiem, każdą trawką, po nich rosnącą. I on był wśród tych wszystkich piękności, ale nie sam — na jego ramieniu opierała się dziewczica i oboje wchodzili na górę i za każdym krokiem w nową krzepił się, dotąd nieznana, siłę i im bliżej dochodził wierzchołka, tem bliżej mniemał się nieba, bo ona szła z nim razem, bo w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia, bo czuł, że serce, bijące w blizkich piersiach, na wieki z nim się połączy łańcuchem, którego każde ogniwo niebieską będzie myślą i wzniosłą nadzieją. I doszli na szczyt góry i sen jego wtenczas przybrał najżywsze barwy, do jakich zdolna wyobraźnia, karmiona długim żalem. Wszystkie farby mgliste zamieniły się na tęczy promienie, wszystkie uczucia chwili, przeszłej oddawna, znowu nagromadziły się w sennych piersiach, jak zbiegłe wygnańce, wracający na ojczystą ziemię, i ujrzał obraz, który rozżarzył zgasłe płomienie i wszystkie struny jego marzącej duszy do drgania przymusił.

Opuszczona chatka góralska i sześć drzew, zieleniejących się tchnieniem wiosny, przed nią gdzieniegdzie błyszczące niestopniałego dotąd śniegu wysepki na obszarach murawy, fiołki, rozkwitające z uroczą wonią, a wokół widok nieograniczony na wsie i miasta, na łąki i strumienie, przecinające srebrnemi wstęgami ciemne błonia; a z drugiej strony skały różane przy zachodzie słońca i góra, wyższa nad wszystkie towarzysзки, zdająca się niebios sklepienie łączyć z ziemi przestrzeniami. Wszystko to stanęło przed nim, boską jasnością oblane. Żywy jego umysł przenikał tajemnice wieczności i na szczycie opoki połączył swoją duszę z duszą, której poświęcił pierwsze, najwznioślejsze i najsilniejsze uczucia.

Po chwili już tego obrazu nie było. Dziwne, pomieszane i tłumne kształty przesuwwały się przed jego wzrokiem, to z powolnością pogrzebnego orszaku, to z szybkością hufców, nacierających na nieprzyjazne szyki; wśród miast i pustyń, wśród wesołych zabaw i smętnych okolic, wsze-

dzie nosił z sobą własne nieszczęście, wszędzie ścigała go myśl jedyna, okropna, targająca wszystkie związki z ziemią, myśl, że już nie ujrzy tej, u stóp której klęczał w dniu wiosennym na samotnej skale — i dusza jego nie znalazła dość siły ani w wewnętrznych uczuciach, ani w zewnętrznych obrazach, by oprzeć się boleści ponurej i ciężkiej, która, podobna do wyrzutów sumienia, na zawsze w sercu jego osiadła i w żelazne je ujęła okowy. Pożary otaczały go syczącymi płomieniami, klęski ludzkości, bitwy i rżenie wokoło nieprzestannie się snuły, miasta w perzynie, państwa, zstępujące do grobu, przyjaciele, ginący bez mocy wyrzeknienia ostatniej woli lub pożegnania, nawałnice przeciwnego losu nic już na przekwitłym uczuciu nie mogły. Zimnem patrzył okiem na zgon cudzych nadziei, bo już sam przyzwyczał się żadnej nie mieć na ziemi. Wdzierał się na skały, przebywał spiekle pustynie, żmijom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły i krew, z ran ciekącą, wysuszały w powietrzu, nim spadła na piaski — przebiegał wiecznem zimnem skrzeple krainy, gdzie światło igra po zwierciadłach lodu, jak po skałach z dyamentu, gdzie głos zastyga w piersiach i myśl sama zdaje się marznąć w oziębłym mózgu — a wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz, w domu siadała przy rodzinnem ognisku, w nocy, krępując się u łoża, zarzucała na sny jego nierozzerwane łańcuchy i w dzień towarzyszką nieodstępną była — i, jedną myślą zajęty, z wszystkimi inszemi rozbrat uczynił i, jeśli działał, to działał bez chęci, bez rozumu, bez namiętności. Ciężar wspomnienia duszę wiecznie przyginał i prysły pod nim wszystkie związki, łączące go ze światem, i został sam na sam z boleścią i smutkiem i myśl jedyna, myśl nieunikniona stała się trumną wszystkich władz jego i długie lata w tym sposobie przeszły nad jego czołem. Żadnej już zmiany nie było, wszystko wprawdzie co chwila inną postać przybierało wokoło, lecz wewnątrz tożsamość została i umarł dla świata, bo jednej tylko wielkiej

i pięknej trzymał się myśli, a ta myśl nie była z tego świata.

Obudził się młodzieniec i dawno niesłyszane westchnienie wydobyło się z jego piersi. Nowy widok, obraz niespodziany uderzył wzrok przyćmiony: burza podczas marzenia ustała, pierzchły chmury, błękit nieba spokojnie się w każdej fali przezierał i na całym widnokręgu, gdziekolwiek sięgał spojrzeniem, już nadziei zgonu nie było. Cisza nastąpiła po nawałnicy, zasnął wicher w przezroczystem powietrzu, promienie wieczoru w purpurowych potokach lały się na morz zwierciadło, błyszcząły wody wokoło, a kiedy zbłąkana fala roztrącała się o statek, tysiączne z niej iskry sypać się zdawały, bo każdą kroplę światła zachodu ogniem słońca ożywiało.

Nie mógł więc umrzeć, nie mógł zakończyć zawodu! I już z daleka odkrywał się brzeg, kwieciami i drzewami umajony; ziemia nanowo odzyskiwała swoją ofiarę. Dzielnej on był duszy i, choć niezliczone spadły nań gromy, zachował dotąd wzniosłość dni młodych i uważał za słabość, niegodną człowieka, na krok cofnąć się przed własnem przeznaczeniem; dlatego nie chciał zgonu swego przyspieszać, dlatego założył teraz ręce i oparł się o maszt pęknięty w połowie, choć mógł się jednym skokiem przedzielić od ziemi *wieczności*. Ale zarazem wzniosł do Boga modlitwę i z zapalem lat dziecinnych i prosił Go o śmierć. Wszystkie względy odpadły od jego umysłu; wzniesiony na skrzydłach ufności w Pana światów, stracił na chwilę gorycz nieszczęścia. Spokojny, daleki od ziemskich namiętności, wracał jak syn do ojca, wracał na łono nieśmiertelności i wśród wszystkich wdzięków przyrodzenia, na błękitnej wód powierzchni, oświecony konającym słońcem, błagał Stwórcy, by nie dozwolił mu przeżyć tego słońca.

Natchnięty rozpaczą, mało dbał, czy nieba, czy piekła wydrą mu życie, bez żadnej dalszej nadziei puścił się na bałwany oceanu i chciał zginąć, niepomny na przyszłość

i śmiejąc się z zachmurzonego nieba, bo pogardzał trwogą i lubił dumnie się uragać z huku grzmotów i świstów szalonego wichru. Ale teraz nadzieja wcisnęła się do stroskanego serca, nadzieja, że za grobem wróci się obraz, we śnie przypominiany, i z całemu uniesieniem, z całą szczerością wielkiej duszy wylał się Wszechmocnemu z swojemi uczuciami i życzeniem, i co chwila silniej ufając w nieśmiertelność, co chwila pewniej spodziewał się zgonu. Jeszcze daleko było od lądu, a słońce już stanęło na granicach widnokręgu i statek, dotąd zwycięski nad usiłowaniami morza, zaczął powoli zstępować w łono oceanu, stopniami zniżał się wśród dwóch bałwanów, zdających się stać niewzruszenie; poznał natenczas, że Bóg zmiłował się nad życiem, klęskami w każdej chwili naznaczonem; kląkł, jak dawniej klęczał w dniu wiosennym na samotnej skale, i spuszczał się coraz bardziej, trzymając wzrok orli w umierające słońce. Nareszcie ujrzał, jak się wody przecisnęły aż na pokład okrętu; powoli objął go bałwan morski, kołysany zwolna w jego łonie pograżał się w pożądaną otchłań i ostatni promień słońca, żegnającego ziemię, który igrał po rozwianych jego włosach, zmieszał się także z lekką i błyszczącą falą, która, nad nimi się wznosząc, pokryła czoło młodzieńca jasnością kryształu, rozognionego światłem nieba.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO FRAGMENTU:

»O N

UŁOMEK Z PAMIĘTNIKÓW ŻYCIA MŁODZIENCA.

Motto znaczy: Ten, któremu życie nie może przynieść nic ciemniejszego ani jaśniejszego, dla którego niema balsamu w radości, ani kołców w cierpieniu.

Str. 461. Dom rodzinny — Opinogóra, miejsce rodzinne poety, który w postaci bohatera siebie samego wystawił.

Str. 461. Pierwsza niedoświadczonego serca ponęta — Amelia Załuska, pierwsza miłość Zygmunta.

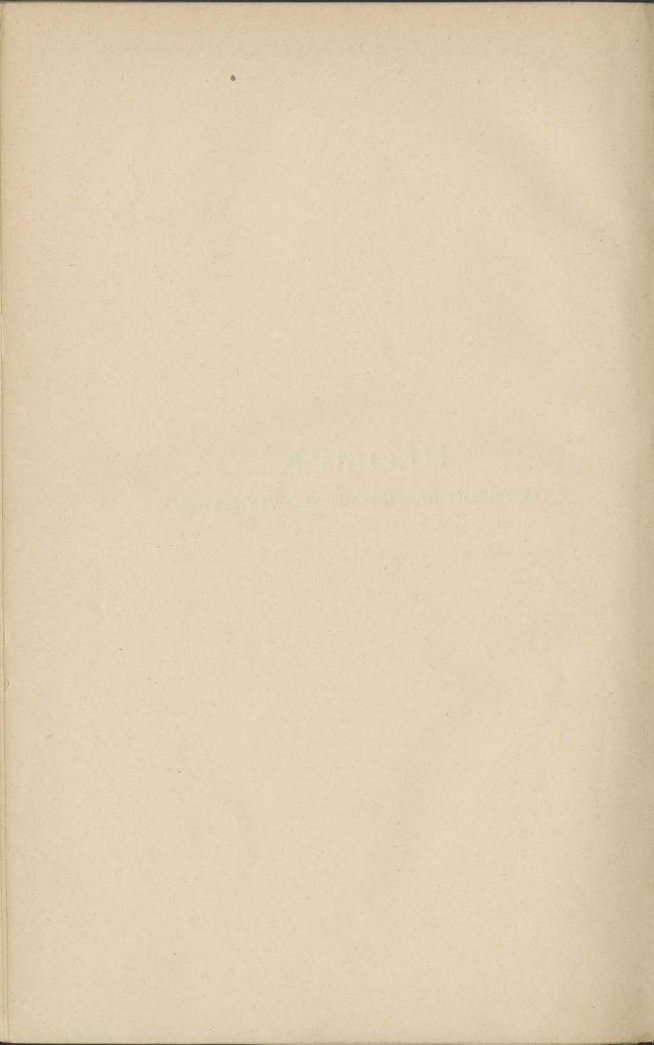
Str. 461. Dalekie strony od ojczystych — Szwajcarya.

Str. 461. Miasto posępne — Genewa.

Str. 463. Opierała się dziewczica — Henryka Willan, młoda Angielka, którą pokochał Krasieński w Szwajcaryi.

UŁOMEK

Z DAWNEGO RĘKOPISMU SŁOWIAŃSKIEGO



Czy pamiętasz jeszcze ten wieczór tak cichy i uroczysty, zdobny złotem gwiazd tyłu, wonią kwiatów miły, nad jeziorem, oblewającym brzegi dalekie od mojej ojczyzny? Pamiętasz dotąd, jakieś mi się pytała, wiedząc dobrze, że nas los rozłączy na ziemi, czy kiedy spotkamy się w niebie? Jam wtenczas drżącym głosem i z niepewnem sercem odpowiedział: »Nie wątp o tem! Zobaczymy się znowu w piękniejszym świecie«. Lecz pewność i wiara dalekiemi były od mojej duszy. Trwogi twej zaspokojenie i pociechę twego umysłu jedynie miałem na celu. Spojrzałaś wtedy na mnie promiennym wzrokiem, z uśmiechem na ustach i dziękowałaś mi czule za słodką obietnicę. Od dnia tego moje myśli nieraz błąkały się po krainie marzenia, szukając prawdy w każdym jej zakątku. Głos twój: »Czy spotkamy się w niebie?« ciągle brzmiał w moich uszach i, ścigając mnie wszędzie, nigdy nie dał pokoju. Wśród nocy słyszałem dźwięk jego tkliwy, unoszący się nad mojem łóżem, wśród zatrudnień i spraw świata nawiedzała mnie twoja postać i zdawało mi się, że czytał wyraz wyrzutu na jej licach za to, że niewinnie pytającej zwodniczą dał odpowiedź, lub przynajmniej kłamanem odparł uczuciem; i wszczęła się we mnie chęć poznania bliżej tajemnic wieczności i dojścia, jeśli podobnem było dostatecznemi na ziemi sposobami, do pojęcia przyszłego stanu duszy w niebie. Zapragnąłem silnie i nieodbitcie przejrzyć aż do boskiej chwały i lot mojej myśli posłać między nieznane, święte i błędne przestrzenie,

bo w nich dowiedzieć się mogłem, co nas, mnie i ciebie, czeka po zgonie — w niej tylko upatrywać cel wielki, piękny i niematerialny, nieodzownie mojej i twojej duszy potrzebny, gdyż bliższego nie mieliśmy, do któregobyśmy ramiona nasze wyciągnęli i wspólne obrócili działania — a wreszcie mojemu sumieniu ciążyło, żem na chwilę udawał przed tobą i chciałem błąd popełniony nagrodzić długiem dumaniem, przeczuwając, że odpowiedź, na los dana, sprawdzi się i ustali nasze nadzieje; a tak te nadzieje, z początku mdłe i niepewne, wód fale i skrzydło wiatrów za podstawę mające, nabrały później rzeczywistej posady i, niewzruszone już teraz w mojem przekonaniem sercu, zleją się do twojego, kiedy przeczytasz te słowa.

*

*

*

Jest w duszy pamiętać niegasła uczuć i namiętności. Można zapomnieć o zdarzeniu, o sobie, o miejscu, zaciera się w naszym umyśle po czasie skała, stercząca nad równiną, łąka, umajona kwieciem, liście drzew jedne po drugich padają, uniesione wiatrem niepamięci, szum fal jeziora słabieje i ucisza się w końcu, śpiew ginie rozproszony po szerokich błoniach wyobraźni, rysy omdlewają po długiem niewidzeniu, oko żywe blask swój traci stopniowo, uśmiech ust coraz mniej wyraźnym się staje. Wszystko, co uderzyło naszą żrenicę, przeznaczone jest mniej więcej zapomnieniu. Wszystkie obrazy, zdobne w początkach tęczy farbami, podobnie jak tęcza, rozplywają się wśród przestrzeni i giną. Lecz uczucia, które duszy nieśmiertelnej wzrok ściągnęły, namiętności, które przymieszały się do jej bytu i ściśle z nią się połączyły, nigdy już zamarzec nie mogą, bo się stały częścią istoty, mającej przetrwać czasu koleje i samego czasu koniec obaczyć, kiedy zniknie na wieki w łonie wieczności. Pamięć tych uczuć stanie się naszą karą lub nagrodą i złote gwiazd promienie, które przyświecały ich

urodzeniu w naszym sercu, nie ujrzą już ich zgonu, bo same zagasną w chwili, kiedy tamtych wieczna chwała lub sromota zaczynać się będzie.

* * *

Jest w duszy człowieka wola, wybujała nad kajdany, któremi dłonie mu krępują, i nad przysionki więzienia, pod którym jego czoło więdnije na ziemi. Ta wola, niczem nie wstrzymana, ze skrzydłem zwyciężkiem po przestrzeniach nieśmiertelności, nie odpadnie od nas, jak Iza od powieki, kiedy, odrzuciwszy świata tego postać, świetniejszą przybierzem. W niej czuję zapewnienie, że spotkamy się po śmierci, bo cóż będzie mogło stanąć nam na zawadzie? Czyż lot myśli nie może przebyć obszarów i zbliżyć pamięcią serc, oddalonych od siebie? — a kiedy już na ziemi błyskawicy się równa, cóż mu przeszkodzi tam, gdzie nierównie prędszym być powinien? O, nie staną przelatującej myśli na drodze te kołujące sfery, żywe teraz niebieskim ogniem, nie będą jej przeszkodą te słońca, z których łańcuch nieskończony uwił Stwórca wokoło błękitów, nie wstrzymają jej biegnące gwiazdy więzami z światła lub zawieją z płomieni, nie porwą za sobą w kręcącym się wirze i na dalekie nie zanoszą przestwory, bo ich już wtedy nie będzie, lub, jeśli jeszcze mdłym blaskiem błyszcząć będą, posłużą tylko duszy za schody z jasności, po których, promiennie się przesuając, dojdzie pożądanego celu, a ten cel, silną natchnięty wola i żywą obudzony pamięcią, będzie: spotkanie tych, którzy miłymi byli za życia, których wspomnienie, może nieco prochem ziemi zatarte, ale odświeżone wróconą młodością po zgonie, silnym popędem rzuci duszę pomiędzy przestrzenie, gdzie je znajdzie i znowu ukocha.

A gdyby dusze nasze, ulegając ważniejszej przewadze i własnej powściągniętej woli, drogi, naznaczone sobie aż do pewnego czasu od Stwórcy, dostały, gdyby wzorem

gwiazd, płynących po błękiecie, i one pewne biegi odbyć musiały po przestrzeni, wskazanej od Boga, dla czegożby jeszcze i w tem przypuszczeniu spotkać się nie miały?

Oh, lubo i miło mi jest wystawić sobie dwie myśli, skierowane do siebie za życia i schodzące się razem u krańców wieczności. Choć różne ich stany i przeznaczenia, w chwili, w której się zejdą, równemi się staną, równem natchnięte uczuciem. Wspomnienia rozwiną się między nimi i przyciągną jedną do drugiej, a jeśli rozdział nastąpi, jeśli jednej droga w przeciwną udaje się stronę, pożegnają się i zanurzą w głębiach, które im zwiedzić potrzeba, lecz z nadzieją, że znowu się spotkają i że kołujące ich kręgi przetną się w punkcie jakim zjednoczenia.

A potem jest związek ogólny, pewny, niczem nie naruszony, między wszystkimi częściami świata materyalnego i moralnego. Jedyne i toż samo prawo rządzi wszystkim i rozliczne swe skutki podobnie wywiera na ciałach i duszach. Puszczone w nieskończoność, istoty muszą się zejść kiedyś, jak dwa ułomy, które na ziemi, wprzód odległe, z następstwem wieków przylegają do siebie tem bardziej, że w pierwszych jest chęć namiętna i wola, a w drugich samo tylko dążenie materyalne. W odmianach ziemi muszla z odległych oceanów przyplywa do skał helweckich i z niemi się spaja. Dla czegoż w nieskończonych duszy nieśmiertelnej biegach nie miałyby rozdzielane skupić się myśli i oddarte od siebie znów zjednoczyć się uczucia? Wszystkie stworzenia składają łańcuch, w którym ogniwa, nieustannie miejsce swe odmieniając, to się oddalają, to się zbliżają, a więc kiedyś te, które na obu końcach przeciwnych świetniały, obok siebie błyszczeć i blaski swe mieszać będą i może, doszedłszy wtenczas ostatecznego kresu i stanu, już nie odbiegają od siebie.

Ale nie tylko, domysłem w błędne goniąc krainy, wierzę w spotkanie się dusz, na ziemi — gdzie tylko spojrzę, widzę tego dowody. Matka, piastująca dziecko na łonie, syn, płaczący nad grobem rodzica, młodzieniec, wiodący do ołtarza w kwiaty strojną oblubienicę, zdają mi się patrzeć wzajemnie na siebie wzrokiem zapewnienia i te spojrzenia, skupiając się wokoło mnie, oświecają przede mną przestrzeń daleko za trumną. I miałyby napróżno westchnienia ze smętnych wychodzić piersi, by marnie w powietrzu się rozproszyć? I miałyby lzy boleści i miłości, raz spadłszy z oczu, wyschnąć napróżno na zimnym kamieniu i jedynie wichru stać się napojem? O, nie! Jest w każdym westchnieniu, w lzie każdej myśl jakaś, która, raz puszczone w przestrzeń, już ani się wrócić, ani w nicość obrócić się nie zdoła. Te wszystkie uczucia stają się węzłem między duszami, a policzmy teraz, ile podczas życia przybywa ogniu do tego węzła! Śmierć sama nie ma dosyć siły, by je rozprysnąć i połamać; panowanie jej jest wszechwładne nad ciałem, ale żadne nad nami samemi, nad tem, co żyje w naszych piersiach. Wolno jej kruszyć twarde materyi pęta, ale nie rozerwie słodkiej uczuć taśmy.

Wieczności nikt nie podzieli na lata, lecz można ją podzielić na stany: życie ziemskie jest jednym z tych stanów i jedną jej częścią. Miałyby więc wszystkie jego najwznioślejsze myśli pójść w rozsypkę i uleść zagubie?

Dziecko w rodzinnym domu, w wejściu do świata uczy się wymawiać imię matki, później to imię okrąża jego serce niezłomnym talizmanem, wzrasta później i nowe odkrywa widoki, lecz słowo, które pierwszy raz z ust bliźnich przejął w kolebce, urok zachowuje wszechmocny dla niego. Pośród spraw i zatrudnień, różnych kolei losów, uśmiechów szczęścia i zmarszczeków przeciwności to słowo odbija się ciągle w jego duszy i czyż można wątpić, by ono już tam wiecznym nie brzmiało dźwiękiem? Czyż podobnem do wiary, że niebo zniszczy, co było najpiękniejszym na ziemi.

O, nie, owszem, ta piękność ziemską nabierze wyższego blasku. To, co było gwiazdą tutaj, tam słońcem się stanie.

* * *

Gdyby nie było wrodzonej pewności, przyniesionej z sobą w zarodzie na świat ten, a rozwiniętej później uczuciem pewności, że śmierć nie stanie się przedziałem między nami na zawsze, jakżeby nam smutnie przeszły dni na ziemi, nieumilone ani przyjaźnią, ani miłością. Celu nam zawsze i ciągle potrzeba dalszego nad materyjalne granice. Lecz, gdybyśmy go dzielić wspólnie nie mieli z temi, których ukochało nasze serce, straciłby on większą część nieśmiertelnego blasku. I na cóż zdałoby się nam wyciągnąć ramię młodzieńcze ku dłoni przyjaciela, gdyby uścisk, poczęty na tym świecie, miał skrzepnąć i nie trwać dłużej od niego? I pocóżbyśmy się stroili w skrzydła miłości i czoło lubej wieńczyli nieba promieniami, gdyby one miały skonać w marmarze nagrobka lub rozproszyć się między kwiatami mogiły? Na krótką podróż towarzyszków nie trzeba nam wcale. Możemy sami ją odbyć i jeśli w dalszych, pozostałych krajach nie ma odkwitnąć to, co powiodło na ziemi, mało, nic prawie nie skorzystamy z woni i połysku róży, świetnej rosą poranną, a wyschłej pod cieniem wieczoru.

Tak, jak czuję, że zginąć nie mogę, tak równie czuję, że połączę się z osobami, mnie drogiemi. Bez tego uczucia ziemiaby większą część wdzięków swoich straciła — i tak już smętno, kiedy pomyślemy, że massa, która złoci świat wokoło, upłynie, że srebrny strumień wyschnie i że śnieżnej jego fali, która ciągnie za sobą zakochane oko, już nigdy nie ujrzymy. Jakiż dopiero smutek rozlałby się po naszej piersi, gdybyśmy duszy ulubionej już uczuć przy sobie nie mieli?

* * *

Wieczorem w cmentarzu cichym i spokojnym niedowierzającemu dumać potrzeba nad grobem straconej osoby. Za każdą łzą wylaną nabędzie większej pewności, im smętność większa w jego sercu, tem wiara wzrośnie mocniejsza. I na cóżby Stwórca wlał miłość w duszę i z miłością razem myśli o niebie, gdyby się one sprawdzić nie miały? To, co snem się wydaje na zimnym świecie, może być rzeczywistością w piękniejszym. To, co było, jest i trwa ciągle, bo uczucia są nieśmiertelnemi i, jeśli popioły, które leżą pod nami, w wonne kwiaty przejść i rozrosnąć się mogą, nasze myśli i przywiązanie równie piękniejszą i wyższą postać przybiorą. Uczucie, raz wlane w duszę, zaprzestać swych postępów nie zdoła i to, co Bóg raz dozwolił, dozwolonem jest na zawsze, co raz urządził, czemu raz niegniewnem przypatrywał się okiem, to co chwila wznosić się i wzbijać się musi, aż dojdzie ostatecznego doskonałości stopnia.

* * *

Zdarza się nieraz, że wpadamy w stan błędnej niespokojności, że marzymy nieziemskim sposobem. Przeczujemy przyszełe zdarzenia — zdaje nam się, żeśmy niewidomem otoczeni pasmem z żywych, niepojętych istot wśród jasności i milczenia, zlewają się w nasze serce dziwne uczucia, podobne do wywartego wpływu nieznaney przyczyny. Wtenczas najmniejszy szelest ściąga naszą uwagę. Liść, wiatrem kołysany, kamyk, zsuwający się z brzegu, natęża nasze ucho, dlatego, że się co chwila spodziewamy jakiegoś głosu, bo w łonie czujemy myśli nie nasze, przecucia, cudzą siłą w okrąg działań naszego umysłu popchnięte, a, zwyczajem świata nauczeni, łączymy wyobrażenie dźwięku z wyobrażeniem myśli. Lecz istoty, wywierające wtenczas wpływ niepojęty na nas, nie mają już głosu. Samemi już tylko stały się myślami. Działanie ich jest dla wielu serc oczywistem. Podnieść się tylko trzeba aż do nich, a odpowiedzą.

Jeśli zatem dusze osób, które zostawiły nas daleko za sobą i wzbiły się nad materję, zachowują związki z nami, związki trudne do rozerwania, lecz nieraz dotkliwe naszemu sercu, jakże wątpić, by się te związki silniej nie ścisnęły, kiedy zrównamy się z niemi? Może ulatują te duchy wokoło naszych skroni i z radością patrzą, jak się posuwamy po drodze życia, by, wkrótce doszedłszy trumny, zmartwychwstać z pod jej pokrycia, a wtenczas bratnie ku nam wyciągną ramiona i porwą z sobą w świetne krainy. Tak, jak przyjaciele czekają niemowlęcia u wejścia do kolebki, tak one może czekają na duszę u przejścia z grobu do nieśmiertelności.

* * *

W różnych czasach nieba używały świętego natchnienia niektórym ludziom na ziemi, lecz to natchnienie, zachowane pamięcią wieków, pod głęboką nieraz zasłoną zawiera obietnicę połączenia się dusz po śmierci. Wiara w to połączenie jest wiarą wszystkich ludów i czasów, potrzebą serca i najmiłszym ostatecznym celem. Mędracy, dumający nad brzegami Eufratu przy dźwięku harf, przelotnym wiatrem trąconych, uznawali tę prawdę. Grecy, lubiący stroić w ziemskie róże puhary i wina i piękność rozkoszy przenoszący nad wszystko, czuli, że kiedyś ujrzą w innym świecie drżące w ich uściskach kochanki i przyjaciół, za nich się poświęcających. Zdradzona królowa milczeniem odpowiedziała w gajach nieśmiertelnej zieloności słowom Troi wygnańca, a ten, który dla pomsty przyjaciela rozbijał w perzynę państwo najświetniejsze wschodu, cieszył się, idąc do walki, że straconego znowu zobaczy, lecz już nie na tej ziemi.

Męczennicy, którzy z nieustraszonem sercem biegli na rzeź i zagubę, czuli w głębi serca zapewnienie połączenia się z temi, których widokiem nie mieli czasu nacieszyć się na ziemi, i chrześcijańska dziewica, z cierniowym wieńcem

wstępująca na stos płomienisty, wzdychając do Boga, nieraz umilała ostatnie chwile nadzieją, że na wieki zjednoczy się z kochankiem, ginącym w tej samej sprawie.

Tak zawsze i wszędzie ludzie, którzy wylatywali nad granice materialnego życia, doszedłszy dozwolonej wysokości na długość krępujących ich kajdan, przeczuwali, że w obiecanych przez własne serce i Boga przestrzeniach ujrzą nanowo miłość swojej młodości lub przywiązanie lat dojrzałych.

* * *

A więc bądź spokojnej i radosnej myśli! Mój wzrok teraz dosięgnąć cię nie może, lecz myśl ciągle ulatuje wokoło twojej duszy, jak gwiazda, przyciągnięta siłą słońca swego. Wzrok mój zagaśnie kiedyś, lecz myśl nie zaprzestanie kolistego biegu i nic jej od obranego środka oderwać nie zdoła.

Wtenczas, kiedy cienia mroku wokoło nas się roztaczały i kiedyśmy nad jeziorem patrzyli w odbitą świetność niebios, gdzieśmy tylko spojrzeli, tośmy gwiazdy widzieli, podobnie i twoja dusza, gdzie tylko się zwróci, moje myśli obaczy, wokoło niej krążące. Wtedy zapytaniu twemu dałem drżącą, niepewną odpowiedź i przestawałem na tem, że twój wzrok się zaiskrzył blaskiem nieśmiertelności, kiedyś z moich ust usłyszała obietnicę spotkania się nad ziemią. Lecz teraz wierz całą duszą i sercem mojej wierze, wierz, że cię już nie zwodzę, żem prawdy pewny, prawdę ogłaszam ci świętą! Wierz, że to słońce rozprysnie się w odłamki, ta ziemia w proch się rozsypie, potoki głos swój a wichry skrzydła swe potracą, a my nad burzą, przestrzeń zalegającą, unosić się będziemy przy sobie i nierozdzielni, otoczeni wieczności powagą i blaskiem nieba, złożonego z uczuć dusz naszych własnych.

* * *

DO TEGO UŁAMKU.

Sans doute pour que l'amour puisse être invoqué, pour que les liens se maintiennent, se renouent encore, pour que l'affection ne soit plus un vain mot, il faut que la séparation ne soit pas absolue, il faut qu'il y ait simplement absence: il faut que les âmes puissent encore se dire dans un langage mystérieux mais certain « nous nous reverrons » et comprendre toute la profondeur de cette parole... Certes, cet avenir est bien à nous. Cette autre patrie est notre vraie patrie.

Degerando, Systèmes de Philosophie, Livre II.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»UŁOMKU Z DAWNEGO RĘKOPISMU
SŁOWIAŃSKIEGO«.

Str. 471. Czy pamiętasz etc. — poeta zwraca się tu do Henryki Willan.

Str. 474. Helwecki — szwajcarski.

Str. 478. Zdradzona królowa — Dydona, królowa kartagińska porzucona przez Eneasa.

Str. 478. Ten, który dla pomsty przyjaciela etc. — Achilles, mszczący się na Hektorze za śmierć Patrokla.

ODRĘBNY WYDZIAŁ DO
CELNIK I DAWNIEGO KRYSTALU
FLOJATA (KRYSTAL)

WYDZIAŁ DO CELNIK I DAWNIEGO KRYSTALU
FLOJATA (KRYSTAL)
WYDZIAŁ DO CELNIK I DAWNIEGO KRYSTALU
FLOJATA (KRYSTAL)
WYDZIAŁ DO CELNIK I DAWNIEGO KRYSTALU
FLOJATA (KRYSTAL)

PRZELOTNA CHMURA.

PIRELLA GÖTTSCHE LOWE

Chciałbym się przemienić w ten obłok, co goni na skrzydłach wiatru — być zwiastunem burzy lub posłem pokoju, gdy, jak anioł światłości, srebrzy się on u stóp wschodzącego księżyca. Mógłbym wtenczas szybować po przestworach powietrznych i zawieszać biały namiot nad wieżycami miast i skałami pustyni. Mógłbym cudowną mocą przybrać każdą postać i być śnieżnym duchem lub czarnym szatanem. Mógłbym roztoczyć skrzydła i w szalonym locie otrząsać się rzęsistym deszczem, aż, znużony, spocząłbym na szczycie góry i usnął, jak dziecko, ukołyszany tchnieniem wiosny. Mógłbym jeszcze, kojąc serca wielką tęsknotę, zostać kochankiem królowej nocy i promienne jej oblicze tulić miłośnie do swego łona. To znów, nową żądzą przejęty, prosto z tych godów weselnych, zerwawszy się na nowe zapasy, stać się postrachem ludzkości; zawisnąłbym nad ziemią żalobnym kirem, całunem otoczyłbym słońce, ażby jęki i prośby ludzi dosięgły mnie w błękitnem mem królestwie. Mógłbym ucztować wśród kryształowych ścian niebotycznych lodowców, przesuwając się bezpiecznie nad bezdennymi przepaściami i igrać na śnieżnych wyżynach, leżąc na kobiercu, utkany w srebrzyste lilie, a po spoczynku wstać, wzbudzony nawałnicą, i, zawarłszy sojusz z piorunem, dać mu w darze królewską oponę z mgły brylantowej, tron z płomieni i twierdzę niewzruszoną, z którejby na świat wyrzucał swe ogniste groty.

Gdym tak marzył, przelatująca chmura zbliżyła się ku mnie i, przenikając skryte me życzenia, tak na nie odpowiedziała:

»O, nie zazdrość mi, niebaczny! Jam nie zawiści, ale litości godna. Blask mój i siła — to złudne pozory opłakanej rzeczywistości. Losy mnie skazały na wieczną ofiarę niszczących żywiołów; nawet, gdy jestem przeklętym wykonawcą zemsty bożej, umierać muszę, spełniając wyroki Najwyższego. Jeśli zabłysnę czasem tęczy barwami, to tylko na krótką chwilę; promienie słoneczne bawią się mną, jak dzieci błyszczącym cackiem, wnet skruszonym i rzuconem w poniewierkę. Jestem uniżonym dworakiem każdej gwiazdy, pokornym sługą księżycy. Gdy mi nakazano zasłaniać słońce, czuję w łonie żrący jego skwar i dręczą mię okrutnie wszystkie przekleństwa ludzi, upatrujących we mnie swego przeladowcę. Gdy w deszcz się rozplywam, własną to krwią płacę i z ostatnią łzą życie mi ulata. Gdy przenoszę pioruny, serce mi pęka i cała moja istota, poszarpana w szmaty, znów musi ginąć marnie. Często rano, gdy mnie zorza obudzi, wspieram się na ostrej skale, cierpiąc długie katusze konania; kształt mój, cząstka po cząstce, rozwiewa się powoli, aż się ulotni całkiem, jak para znikoma, niepamiętna nikomu. Jeśli rodzę się w chwili zachodu, muszę usypiające słońce przyjąć do mego dziewiczego łóża i wtenczas, przemieniona w żyjące zarzewie, wysycham na śmierć, nie doczekawszy się orzeźwiającego uścisku od wieczornego wietrzyka. Jeśli ciemności nocne mnie zrodziły, nieszczęśliwsza jest moja dola. Pozbawiona słońca, które nam użyczą blasku, muszę pokutować w żałobnej szacie; chylę czoło zawstydzone i kołyszę się w powietrzu, co mną pomiata, jak całunem wisielca, a gwiazdy na mnie mrugają z szyderczą pogardą. Gdy gromy zbierają się w powietrzu, muszę lecieć naprzód, ślepo posłuszna burzy, choć przewiduję, że ostre sztylety błyskawic przeszyją mi łono, że mię pioruny strzaskają, a wichur, wyrwawszy mi skrzydła, strąci w otchłań

mgły gęstej, jak piekielne wyziewy, lub zatopi w spienionych falach oceanu. Nie dziw się więc, spoglądając na błędny mój lot po drogach niebieskich, bo zaprawdę szaleję wśród zbytku męczarni; i gdy, miotana i szarpana zewsząd, wiwę się na wszystkie strony, dzikie wyprawiając tany i skoki, zdaje mi się, że zdołam uciec przed nienawistnymi losami. Ale napróżno! Jestem igraszką każdego podmuchu, każdego promienia. Raz, jako królowa, w złocie i purpurze panuję na niebie, to znów w poszarpanych łachmanach jestem jak niewolnica samowładnego wichru. Jak tytaniczny pan haremowi za łada fantazyą wyrokiem śmierci karze ukochaną odaliskę, tak słońce ze mną się pieści, dopóki chwilowej kochanki z objąć swych nie rzuci na łup śmierci. Rodzę się na bezdrożach powietrznych, żyję krótkim życiem owadu, będąc zarazem najjaskrawszym motylem, latającym po lazurach, i najpodlejszym z płazów, pełzającym w ciemności. Konam co chwila i wciąż się odradzam, aby wiekuiście umierać. Na każdym miejscu gotowa dla mnie kolebka i czyhająca mogiła, i ten sam wiatr, co wesołym podmuchałem wita me narodziny, ponurym jękiem zwiastuje mój zgon. Powiedz teraz, gdy znasz smutne me dzieje, czy chciałbyś jeszcze zamienić się w chmurę?»

Otwierałem usta do odpowiedzi, gdy, podnosząc oczy, już nie ujrzałem chmury. Spełniły się jej losy — znikła bez śladu.

WYGNANIEC.

WYONNIEC

We Florencyi, w pałacu księcia S., jest obraz Galearo Pesquieri, sławnego w średnich wiekach przywiązaniem do rzeczypospolitej florenckiej i wieloma nieszczęściami. Nieustraszony w boju i burzliwych radach owych czasów, naraził się nieraz nieprzyjaciółom i musiał kryć się i uciekać, aż znowu za wzmocnieniem się własnego stronnictwa mógł się ukazać i działać. Żarliwy obrońca przywilejów ludu, choć sam był ze znakomitej rodziny, często miewał zatargi z arystokracją i nieraz pokazał się nieubłagany w zemście. Uległ wreszcie zwykłemu losowi tych, którzy w publicznych zamięszaniach stają na czele stronnictw, bo są w sile wieku: zginął od trucizny. Twarz jego odbija ogień duszy niezgiętej, miłości wolności i coś słodkiego w tajniach serca, które, zwiększając wyraz oczu, z ponurego na tęskny zamienia. Ubiór jest prosty i bez haftów, koloru ciemnego, z łańcuchem srebrnym na szyi; na głowie ma czapkę okrągłą bez piór, ze sprzączką stalową, na piersiach kolczugę i sztylet u boku. Prawą ręką opiera się na marmurowym stole, a lewą ciśnie czoło, jakby dla ulgi chciał boleść w głębi zatłoczyć. Pod obrazem, na filarze spartym, tabliczki z perłowej macicy, oprawne w ozdoby gotyckie ze złota, z początkowymi literami jego imienia; w ich środku zachowany jest dotąd długi napis, który starałem się wiernie przetłumaczyć.

NAPIS.

Kiedy cię przekleństwo ojca wyruguje z domu, w którym wyrzekłeś z kolebki pierwsze wyrazy do matki, kiedy z przy-

jaciółmi przyjdzie do pożegnania bez nadziei, żebyś ich kiedyś powitał znowu; kiedy w progu raz ostatni mamkę płaczącą uściśniesz, z bram miasta znajomym się uklonisz na wieki, z drogi, którą się udajesz, znikną ci z oczu mury rodzinne i dzwonnice wysokie, podziwy twego dzieciństwa — nie jest to wygnanie. Jeśli, puściwszy się na morze, spotkasz wiatry przeciwne i, pędzony burzą, po rozbiciu się okrętu sam jeden z towarzyszków tyłu ocalejesz na skale, by, nie-ludnej wyspy jedynym zostawszy mieszkańcem, zdobywać trochę pokarmu na jej dziedzicach — lwie i gadzinie; jeżeli, tygodnie, miesiące, lata tam pędząc, doznasz niepogód i nę-dzy, wylejesz dużo krwi, kalecząc się po zwirze na brze-gach, dużo też wspominając o straconej na zawsze ojczyźnie i rozbitych majątkach — o, wierz mi, nie jest to jeszcze wygnanie!

Walcząc ze stronnictwem, któreś obrał sobie, jeśli prze-grasz, pojmany przez wrogów, w głuchem więzieniu zapo-znasz się z ich zemstą, a po mnogich torturach na światło wypuszczony, stawisz się w orszaku twoich katów przed radą Rzeczypospolitej, która cię razem oskarży, osądzi i po-tępi; kiedy ci wtenczas oznajmią, że na zawsze trzeba się rozbratać z ziomkami i porzucić ziemię-matkę; kiedy po wysłuchaniu wyroku pójdziesz raz jeszcze żonę uściskać i dzieci pobłogosławić w komnatach, gdzie wiszą przodków obrazy, a potem pod wieczór chłodny, w płaszczu, rozdar-tym sztyletami w ostatniej potyczce, wyjdiesz, by nie wró-cić więcej, choć czujesz, żeś nie przewinił; kiedy inkwizytor odprowadzi cię w milczeniu aż do granicy i tam puści, mó-wiąc: »Idź naprzód, ale się nie oglądaj!« o, wierz mi, jeśli zostawisz kraj w pokoju, swobodzie i szczęściu, jeśli, odda-lając się, usłyszysz wokoło pieśni mieszkańców, nie lękasz się, aby kara prześladowania spadła na prześladowców — nie nazywaj tego jeszcze wygnaniem! Lecz może w roz-kosznej krainie, pod jasnym niebem, bawiąc się wesoło, przy kochance cudzoziemce pędząc dni uniesienia i namiętności

z wieńcem kwiecia na skroniach a z jej ręką w dłoni, z ustami na ustach, posłyszysz, że twoja ziemia zrzuca jarzmo i rwie kajdany, które ją krępują; wtenczas, jeśli, pożegnawszy wśród jęków i łez lubą na wieki, pobiegiesz ku szczękowi szabel na ojczyste błonia, lecz w pół drogi cię zatrzymają ludzie i okoliczności, a ty, słysząc codzień wieści o swoich, codzień napróżno ku nim wzdychasz, słysząc, że się biją, ty drzemiesz, słysząc, że zwyciężają, ty dzielić chwały nie możesz, słysząc, że giną, ty żyć musisz; jeśli się ani ucieczką, ani podstępem, ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz, jeśli, wylawszy moc całą na usiłowania, urzysz nareszcie, że daremne, i, od obu kochanek daleki, ani jednej sławą pocieszyć, ani drugiej zgonem pomódz nie zdołasz — o, wierzaj mi, to jest wygnaniem i takim wygnaniem, jakim Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika! Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach z ojczyzny, dłuższymi od dni się wydadzą, nocy twoje przeniosą cię na pola, gdzie uczujesz ostatnie uściśnienie konających braci, a kiedy się obudzisz? jak się zemścisz? przecież już pomstę w snach obiecałeś! U łoża odtąd krew i jęki, na jawie wstyd i cierpienia, zgotowane tak, że przed kościołem nie będziesz śmiał się przeżegnać, ani przed równym oczu podnieść; a jeśli wychodzisz, zakrywaj twarz dobrze, bierz się na tylne schody, na boczne ulice, kryj w sieniach, przemykaj przez rynki, by dzieci poznanego nie wytknęły: »On tutaj, czyż to tu jego miejsce?!«

Będziesz patrzył na wschody i zachody słońca, na dnie pogodne i mgliste, na piękne położenia, dzikie wąwozy bez ponęty ku jednemu, wstrętu ku drugim; choć będziesz pamiętał, żeś jeszcze niedawno lubił czyste niebo, przeżroczyste zacienienia, nie zrozumiesz tego, nic już w tobie nie wzbudzi miłego uczucia. Wygnaćcze, coś marzył w snach od kolebki do młodości, ziściło się dla wszystkich, tylko nie dla ciebie; broń, którą ostrzyłeś, by nie zawiodła w dniu powstania, nie zdała ci się na nic, bo nie możesz pośród bitew

zawołać: »Naprzód, towarzysze!« — bo nie możesz wypaść w noc ciemną i, sztylet kładąc na piersi ciemierzcom, krzyknąć: »Koniec wam i waszym!« Wygnańcze, twój hełm rdzą zachodzi, zgniją białe na nim pióra, rozejdzie się klinga od rękojeści, pierścienie kolczugi się rozpręgna, a serce, co miało pod niemi bić namiętnie do ciosów nieprzyjaciół, podobnie, jak one, wkrótce się rozpadnie. Wygnańcze, żyj bez wzmianki, grób bez napisu jest twoim udziałem i bodajby on jeszcze był takim: wolny od pogardy i przekleństw bliźnich! Dostyć już twoich nad nim było! Nie do was, przyjaciele, z którymi, dziecko, biegałem w apenińskie lasy, ponad brzegami Arno, teraz przemawiam, ani do was, którzyście umarli przede mną i w dziejach swego kraju żyjecie, ani do tych, co po mnie zawód swój zaczną, ażeby im dać naukę: do nikogo na tym szerokim świecie się nie odzywam, tylko do siebie, do siebie, do siebie, bo taki był mój los, a nie czyj więcej.

Te myśli przychodziły mi do głowy w Weronie, kiedym jeszcze w r. 1401 posłyszał o zamieszkach Florencyi z przyczyn Walentego Stragoni. Zapewne bliskość grobu Julii i Romea tak czarnemi myślami i przecuciami mnie wtenczas natchnęła.

KONIEC.



OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO
»WYGNAŃCA«.

Str. 491. Galearo Pesquieri — nazwisko, jak i cała
osnowa fragmentu, prawdopodobnie zmyślone; poeta przedstawia
tu swoje myśli i wrażenia podczas rewolucyi 1830—31 roku.

ORIGINAL IN VANDERBILT

WYOMING

THE STATE OF WYOMING, ss. I, the Clerk of the Supreme Court, do hereby certify that the within and foregoing is a true and correct copy of the original in the files of the Court.

SPIS RZECZY.

	Str.
Władysław Herman i dwór jego	1
Sen Elżbiety Pileckiej	357
Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki (powieść narodowa)	371
Gastołd. Powieść żmudzka	389
Zamek Wilczki. Powieść narodowa	407
Starosta Wilczek	413
Ułamki z opisu podróży po Szwajcaryi	433
Teodoro, król borów. Powieść korsykańska	445
On. Ułomek z pamiętników życia młodzieńca	457
Ułomek z dawnego rękopismu słowiańskiego	469
Przelotna chmura	483
Wygnaniec	489

SPIN BARKING

The first thing I noticed when I stepped
 out of the car was the smell of pine
 needles and the sound of birds. It was
 a beautiful surprise. I had heard that
 the forest was beautiful, but I didn't
 know it would be so good. The air was
 fresh and the sun was shining. I
 felt like I had found a new world.
 I had heard that the forest was
 beautiful, but I didn't know it would
 be so good. The air was fresh and
 the sun was shining. I felt like I
 had found a new world. I had heard
 that the forest was beautiful, but I
 didn't know it would be so good.

